

TeRahandeaR

egzemplarz on-line

wersja tekstu: 1.06

MICHAŁ DĘBICKI

# Terahandear

opowieść huryjska z mesejskiego na albiński  
przez

Galaela von Eichenhearta  
przełożona, zebrana i przedmową opatrzona

U N I V E R S I T A S GRAPHENBURGIENSIS



Graphenburg  
Składnica Uniwersytecka  
rok wtóry 91. cyklu

Opracowanie graficzne, okładka, ilustracje, mapy, skład DTP  
*Michał Dębicki*

Korekta  
*Michał Cuber, Edyta Dendra, Emilia Dębicka,  
Elżbieta Grodzka-Lopuszyńska, Marta Sawicka, Marcin Sawicki*

Twórcy systemu i świata LapRPG  
*Michał Cuber, Edyta Dendra, Michał Dębicki*



Druk i oprawa  
*Totem.com.pl*

**TOTEM**

Wydano nakładem autora  
Katowice 2019

Pełny tekst tej książki dostępny jest bezpłatnie pod adresem:

**[laprpg.eu/terahandear](http://laprpg.eu/terahandear)**

Ta książka wydana jest na licencji

**Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe.**

Możesz ją bez ograniczeń kopiować, rozpowszechniać, adaptować i zmieniać w dowolnym formacie i na dowolnym medium pod warunkiem oznaczenia autorstwa.



**CIP – Biblioteka Narodowa**

Dębicki, Michał

Terahandear : opowieść huryska / Michał Dębicki  
; z mesejskiego na albiński przez Galaela von  
Eichenhearta przełożona, zebrana i przedmową  
opatrzona. – Katowice : nakładem autora, 2019

**ISBN 978-83-951824-0-2 (druk)**

**ISBN 978-83-951824-1-9 (on-line)**

## Przełomowa

Oddany w ręce Godnych Czytelników wolumin jest efektem niemal dwóch cykli żmudnej pracy przekładowej i redakcyjnej. Stanowi translację unikatowego na światową skalę manuskryptu przywiezionego przed siedmiu laty z ziem mesejskich przez cenionego podróżnika i odkrywcę, Vitrayela de Roques. Rękopis, zachowany w stanie dobrym, nie licząc znacznych zacieków, najpewniej spowodowanych tropikalnym klimatem, składa się z dwóch kodeksów, mających 134 i 123 karty pergaminowe niepaginowane przybliżonego formatu ¼, sporządzonych ze skóry bawołu oraz iakka, łączonych gdzieniegdzie rzemieniem. Zarówno rewers, jak i awers kart drobno zapisano pół-ideograficznym pismem mesejskim. Treść pozwala przypuszczać, że brakuje kilku kart początkowych, poza tym manuskrypt jest kompletny. Nie posiada ani karty tytułowej, ani kolofonu, a jedynie wyróżniony kaligraficznie (i prawdopodobnie dodany później) nagłówek „*Terahandear*”, który uznać należy za tytuł dzieła.

Treść pokazuje, że w istocie miejscem akcji utworu w dużej mierze jest dawny Terahandear, choć już w szybkowym okresie imperialnym – to jest od roku wtórego 17. cyklu po zakończeniu wojny z Chaosem aż do rozpadu imperium w 23. cyklu. Przeprowadzone badania pergaminu pozwalają datować rękopis na około 30. – 35. cykl, zatem ledwo jedną – dwie dekady po opisywanych w fabule wydarzeniach. Nazwy miast, fortec i rzek, jakie nieraz możemy odnaleźć w tekście, wyraźnie świadczą o ówczesnych, jakże rozległych, granicach Terahandearu, które sięgały wówczas od ziem centauryjskich na Sterburcie aż po Płaskowyż Amfioński i Wielki Uskok na Bakburcie (obecnie terytorium barbarzyńskie), obejmowały też część Krionii i całą Orkię<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> *Wiek postmagnibeliczny. Kalendarium i źródła z 50 cykli od zarania historii najnowszej*. Praca zbiorowa pod red. Tino'y Listorico. Wydanie 3, rozszerzone i uzupełnione. Thurimheim, Officina Ulzuviriana, rok pierwszy 86 cyklu, s. 339-384.

Fakt tak wczesnego istnienia wysoko rozwiniętej kultury naukowej u Mesejów nie jest może – po radykalnych pracach tegoż samego Vitrayela de Roques – już niczym nowym i nie zaskakuje tak jak przed kilku laty<sup>2</sup>. Zajmuje jednak to, jak głębokim zainteresowaniem darzyły te ludy tak niewiele, zdawałoby się, znaczące hurie. Co ciekawe, samo słowo „huria”, jakie przyjęło się w naszym współczesnym języku, pochodzi właśnie z mesejskiego. Jak na ironię znaczy tam tyle, co „wolny”.

Tekst mesejski najprawdopodobniej stanowi wierny zapis opowieści – legendy, baśni bądź klechdy – gawędy przekazywanej w oralnej formie przez przedstawiciela hurii i to niewątpliwie w huryjskim narzeczu. Spisany został przez anonimowego mesejskiego skrybę, którego bliższej tożsamości nie udało się ustalić – w rękopisie nie pozostawił nawet swego imienia. Musiał to jednak być dawny podróżnik lub etnograf znający dobrze huryjskie tony i ryty. Iście kazarowy charakter pisma oraz nagminne korzystanie z własnego systemu abrewiatu (stąd też trudności w przekładzie) pozwala sądzić, iż usłyszany przekaz huryjski na bieżąco zapisywał na kartach pergaminu – i to od razu we własnym, mesejskim języku<sup>3</sup>. Dopiero później na tak powstałe tłumaczenie nanosił drobniejszym i staranniejszym piśmem liczne korektury oraz własne marginalia i glosy. W glosach takich zwykle objaśnia osobliwe zachowania lub tłumaczy słowa, którym ze względu na różnice kultur<sup>4</sup> nie sposób było dopasować wiernych odpowiedników mesejskich, właściwie oddających sens huryjskiego oryginału. Posługuje się wtedy możliwie najbliższymi, z grubsza jedynie przybliżonymi wyrażeniami mesejskimi, właściwą semantykę objaśniając właśnie w glosach. Glosy te przytaczam w tym wydaniu w całości, ujmuję jako przypisy tłumacza (*przyp. tłum.*) i zaznaczam je *piśmem pochylonym*, podobnie zresztą jak i same wyrażenia, do których się odnoszą. Wiernych odpowiedników tychże huryjskich słów nie sposób bowiem odnaleźć również w naszym, albińskim języku, toteż dla podkreślenia swoistej egzotyki zarówno mesejskich, jak i huryjskich zwy-

2 Vitrayel de Roques: *Speculum kultur pierwotnych z ksiąg i wypraw do krain centralnych zebrane*. Thurimheim, nakładem Biblioteki Uniwersyteckiej, rok pierwszy 83 cyklu.

3 Hurie nie wykształciły jak dotąd pisma, toteż zapis opowieści w języku oryginału w żadnym razie nie byłby możliwy.

4 W tym kontekście mowa oczywiście o kulturze sensu largo. W sensie stricte hurie, podobnie jak quidanie czy gudoki, kultury – zdaniem wielu badaczy – nie posiadają w ogóle. Zob. np. T. Rufficinus Chimero: *Krótki wstęp do kulturoznawstwa*. Wydanie 21, poprawione. Pesce, Oficyna Rosaryjska, rok wtóry 87 cyklu, s. 23-27.

czajów zdecydowałem się na pozostawienie w zapisie fonetycznym tychże przybliżonych wyrażań mesejskich. Podobną zasadę przyjąłem dla huryskich imion, chociaż teoretycznie możliwym byłoby tłumaczyć je opisowo.

W pozostałe przypisy, składane już pismem prostym, winkludowałem wszelkie promulgacje i translacje fraz lokalnego argotu czynione wedle potrzeb przez samego huryskiego gawędziarza. W manuskrypcie zapisywane były w jednym ciągu wraz z tekstem głównym, zostały jedynie wyróżnione graficznie pionową linią falistą na marginesie. Z tego powodu przypisy te nie zawsze umieszczone są przy słowie, którego dotyczą, a w miejscu tekstu, gdzie oryginalnie znajdowało się wtrącenie.

Dla oddania szczególnej specyfiki takiego języka niniejsze tłumaczenie posiłkuje się żargonem graphenburskiej Berasterii<sup>5</sup>, choć zabieg ten ma jedynie cel estetyczny.

Wszystkie wyrażenia – zarówno te pochodzące z gwary więziennej, jak także te z języka mesejskiego – starałem się zebrać w przystępnym słowniczku na końcu niniejszego woluminu. Dla porządku ująłem w nim również szereg gatunków egzotycznych zwierząt i roślin, które pojawiają się w tekście, pomijając te najbardziej oczywiste.

Ze względu na zastosowane inicjały, finaliki oraz inne drobne iluminacje zdecydowałem się pozostawić obecny podział tekstu na dwie części – zgodnie z dwoma kodeksami, w których go zapisano – choć w zasadzie tworzą one spójną i ciągłą całość.

Wypada mi zwrócić uwagę, że tekst opowieści nie rozstrzyga jednoznacznie, kto w zasadzie jest jej pierwotnym narratorem, bardzo wątpliwa jest realność miejsca akcji, jak również samej fabuły – wiele w niej ewidentnie fikcyjnych zdarzeń, ale także niedomówień i względnych niekonsekwencji. W pewnym stopniu powodem tego może być wielokrotna translacja – część wypowiedzi tłumaczona była aż trzykrotnie: z albińskiego na huryski przez huryskiego gawędziarza; z huryskiego – pośpiesznie na mesejski przez mesejskiego skrybę; zaś z mesejskiego – za sprawą niniejszego wydania – z powrotem na albiński... Niemniej jednak wierzę, że mimo wszelkich niedoskonałości tekst ten stanowić będzie cenne źródło badawcze dla pracowników i studentów Naszego Uniwersytetu, jak również wszystkich zainteresowanych.

*Galael von Eichenheart*

---

<sup>5</sup> Arrathal e Hubbo: *Mały słownik języka skazańców*. W: tegoż: *Gród wewnątrz grodu*. Graphenburg, rok pierwszy 68 cyklu, s. 410-448.





**część  
pierwsza**





makowało jej. Zapewne. Pałaszowała wysypane okruchy, jakbym mógł się rozmyślić i nabrać na nie ochoty. Aż jej się wąsy trzęsły... Zastanawiałem się wtedy, jak wielką siłą musi być głód, skoro pomimo wszystko była w stanie podejść aż tak blisko. Jakby nie jadła od tygodnia. Gnana instynktami przewycięzała własny lęk przede mną. Tego dnia nie miałem zbyt dużo chleba – acz w sam raz na początek. Choć pewnie gdybym miał ser – choćby odrobinę – ujrzałaby we mnie boga.

A tak – uniosła swą niewielką główkę, zamarła na krótką chwilę, rzucając mi przelotne acz wnikliwe spojrzenie tymi czarnymi oczyma, i gwałtownym susem odskoczyła pod ścianę. Stała na moment, jakby badając moją reakcję, po czym czmychnęła w szczelinę między ścianą a zardzewiałą kratą, przez którą odprowadzane były nieczystości. Tam przedziera się przez niskie, ciemne korytarze, zbudowane między kamieniami, składającymi się na te grube mury. Zna drogę. Z lewej mijają wyjście do bocznego korytarza, lawiruje wśród gruzu i przeżartej zaprawy w ciasnych tunelach. Skręca w prawo, aby dostać się w pobliże sąsiedniej celi, w której kratki ściekowe mają łagodniejsze zejście. Starając się przyzwyczaić do zapachu, gna po śliskim gruncie uregulowanego spływu. Zatrzymuje się, gdy z prawej dołącza odpływ z górnego poziomu. Tam skręca. Z trudem gramoli się przez ciasne oka żeliwnej kraty, ale zastyga w bezruchu. Kroki. Metal o kamień. Zbrojni! Co najmniej dwóch. Teraz albo nigdy! Napręża się z całych sił i wreszcie wyskakuje z potrzasku, turlając się jeszcze chwilę po kamiennej posadzce. Chowa się w cieniu wielkiej skrzyni z solidnymi okuciami. Główne wrota otwierają się gwałtownie, wpuszczając do holu snop dziennego światła, rozświetlającego pływające w powietrzu złote drobiny kurzu. Energicznie wchodzi para strażników, zakutych w stal, dźwięczących ryszunkiem. Dudniące echo metalicznych kroków rozlega się po sali. W wypolerowanych nagolenicach odbija się soczysta zieleń traw i drzew. Gdy tamci odchodzą, ostrożnie wychyla się zza skrzyni i jakby zauroczona

zapachem wiosny, podchodzi do otwartych wrót. Na tylnych łapkach staje w lśniącym świetle, zdumiona blaskiem wschodzącego słońca i cudowną perspektywą wolności. Z otwartym pyszczkiem rusza pędem przed siebie po brukowanej drodze, by po chwili zboczyć z niej, utonąć w gęstej trawie i zebrać na siebie pogodne krople rosy.

Szczeńk! Coś zgrzytnęło. Zardzewiały trzask jakiegoś mechanizmu.

To pewnie główna krata przy schodach – ta, którą ledwo widać, jak się dobrze wychylić przez pręty dzielące celę od korytarza. Zawiasy niechętnie zaskrzypiały i zamilkły. Brzmią posępne bębny. Bom-bom; powolny rytm, leniwie tętniący pod skórą. Do korytarza wlała się błękitna luna pochodni. Kto to może być o tej porze? Zawiasy jęknęły ponownie, a krata zatrzasnęła się z głuchym hukiem. Poderwałem się gwałtownie, aby doskoczyć w sam róg celi i skryć się tuż pod ścianą – tam mnie było najmniej widać. Luna skręciła jednak na rozwidleniu w przeciwną stronę. Oddalała się. Bębny cichły. A może były to kroki? Ciche, acz słyszalne – jakby coś się skradało, ostrożnie podchodząc swą ofiarę. Skupione i bezwzględne. Płytki oddech, czujne spojrzenie, naprężone mięśnie gotowe do skoku i serce, bijące coraz prędzej i mocniej w gorączkowym rytmie. To krwiożerca bestia, która majestatycznie i niespiesznie zerka do kolejnych cel, wtykając swoją szkaradną paszczkę między kraty. Pociąga nosem. Wącha za czymkolwiek, co nada się na pożarcie. A przecież wszędzie jest pusto. Bębny. Wracają! Bom-bom. Teraz do wtóru z gwarem zachrypłych dzwonów. Don-don. Nie! To łańcuch, jaki ta demoniczna poczwara wlecze za sobą po ziemi! Rozedrgany cień, jaki rzuca na ściany korytarza w błękitnym świetle pochodni, ukazuje jej upiorne rogi i kark pokryty grubym, rozwichrzonym futrem. Niezgrabnie i jakby utykając podchodzi coraz bliżej, wabiona zapewne moim własnym zapachem. Jest ledwo za ścianą. Przystaje na rozwidleniu. Słysząc jak dyszy. Jak łańcuch o kamienie posadzki dzwoni. Błękit pochodni błyska po śliskich ceglach ścian. Nagle znów rusza. Dudnią bębny. Bom-bom; czarna, włochata bestia wychyla się zza ściany. Stukając kopytami, robi kilka chaotycznych kroków i nagle znów się zatrzymuje. Tuż przed moją celą! Obraca się gwałtownie. Ze ślepi rubinowe światło błyska. Z furją i rykiem żelazne pręty chwytają w swe szpony, by wygiąć je jakby były z miękkiej gliny. Z przeraźliwym zgrzytem jeden po drugim ulegają sile demona. Wreszcie przedziera się przez otwór, a ten wzrok przeszywający wbija we mnie jak w worek z piachem. Bezlitosny lęk paraliżuje mnie w miejscu, gdy bestia, dzwoniąc łańcuchem, doskakuje mi do twarzy.

Bom-bom. Upiorny uśmiech, ciężki, ohydnie ciepły oddech, monstrialne zęby, spomiędzy których wypływają hektolitry lepkiej śliny i spływają mi na łachmany. Monstrum przygląda mi się uważnie i ni z tego, ni z owego zaczyna coś żuć.

- To ty jesteś ten mały – odezwał się nagle niskim głosem, nie wiadomo, czy chcąc zapytać, czy też oznajmić.

Kolejna porcja śliny padła na posadzkę, gdy na chwilę przestał żuć i splunął na podłogę. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Zresztą ja z niego – również. Zastygł jakby pomiędzy pogardą a zaciekawieniem. Jego potężne barki przykrywała znoszona peleryna, pokryta na karku sporą ilością grubego, mocno rozwichrzonego futra. Głowę częściowo zakrywał otwarty hełm strażniczy – choć bardzo nietypowy dla tamtych stron: z parą zakrzywionych ku górze rogów – o, takich, przytwierdzonych tuż nad uszami<sup>1</sup>. Przy najdrobniejszym ruchu kakofonią metalicznych dźwięków dzwoniły dziesiątki kluczy, zamocowanych do solidnej obręczy, przytroczonej z kolei do pasa. Jego nieco zgarbiona sylwetka obrysowana była jaskrawobłękitnym światłem pochodni, jaką trzymał w jednej ręce. Drugą opierał się o kratę... Tak! Opierał się o kratę! A wszystkie pręty były całe...

- Zatem nic nie mów – uśmiechnął się lekko, chcąc jakby nawiązać z mną jakiś kontakt. – Zwykle lepiej milczeć niż mówić byle co.

Tak to wtedy powiedział. No cóż. Milczałem zatem – być może z lęku przed demonem, jakiego wciąż widziała w tym człowieku moja wyobraźnia, a jakiemu stanowczo zaprzeczały oczy. To był jakiś nowy, nigdy wcześniej się nie pojawił przed całą. Odniosłem wrażenie, że przybył prosto z frontu, ledwo uchodząc z życiem z jednej z tych wielkich bitew Terahandearu z Królestwem Umarłych. Utykał na prawą nogę, zresztą trudno się dziwić, skoro w połowie była zrobiona z drewna. Pomyślałem sobie wtedy, że to pewnie sprawka Kruczej Armii. Tratowała wszystkich, co odważyli się stanąć na jej drodze. A on wtedy rzekł:

- To pamiętka po niezakrzepłej jeszcze przeszłości... – Jakby pochwytil w locie mój wzrok i jego śladem trafił do myśli. – Jestem Turam An'Ak-karath, syn Turama At'Timmerach, zwanego Żelazną Bramą. Mój ród pochodzi z Fenris, dumnego i pięknego miasta zagarniętego w wielkiej wojnie przez Chaos, ale przed pięciu laty wyzwolonego spod Kruczej Armii przez

<sup>1</sup> Tu nastąpił zapewne gest, pokazujący rozmiar i kształt rogów. W wielu jeszcze miejscach widać ślady pierwotnego przekazu oralnego niemożliwego do przełożenia na słowa – przyp. GE.

Terahandear. No, pewnie nigdy o nim nie słyzałeś, to daleko na Bakburcie, niemal na samym froncie. Ale zapewne jesteś na tyle bystry, by zorientować się już, iż od dziś jestem tu dozorcą, klucznikiem.

Nie mógł być prawdziwym dozorcą – a przynajmniej wówczas tak mi się zdawało. Prawdziwy dozorca nie przedstawiał się w taki sposób, nie obnażał się tak śmiało ze swą życzliwością, a już na pewno nie próbował zaprzyjaźnić się z kimś o tyle niższym hierarchią od samego siebie – tym bardziej, gdy nic na tym nie mógł zyskać.

Zdało mi się wtedy, że stał przede mną nie strażnik, broniący dostępu do wolności, a czcigodny rycerz lub wręcz świetlisty anioł skryty pod płytami zbroi, niosący mi wybawienie, jedynie dla zabawy udający tego, za kogo się podawał.

Szedł być może w jednym z tych gigantycznych korowodów, co niczym wielki wąż o łuskach z metalu wije się wśród dzikich krain. Ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy, oręż przy orężu. Zrośnięte w całość już nie w węza, a jakby w kolczastego smoka, co ogniem ziejie, gdy trzeba. Miliony stóp wybijają dudniący rytm: bom-bom; jakby serce wielkiego gada – pulsując tak mocno – sprawiało, że ziemia się trzęsie... ze strachu. Nie wie jeszcze, że w dziobowe wzgórze wrósł gęsty las włóczni, toporów i mieczy, co strachu nie zna. Bo czyż śmierć może się czegoś lękać?

To zasadzka! Nagle las podrywa się. Rusza przed siebie. Jak lawina! Po zboczu – co sił! Smok staje ze zgrzytem. Najeża łuski, lecz drży. Ten, co budził grozę, teraz obawia się śmierci, która pożera dolinę po horyzont jakby zaraza trawiąca narody! Krucza Armia! Mknie z upiornym wrzaskiem na żelaznego gada. Jak sztormowa fala wbija się z impetem w jego twarde łuski, by rozbić się o nie w iskry i pianę. Po niej jeszcze jedna i następna. Któraś z nich wreszcie rozszarpuje skórę z metalu, targa wnętrzości na strzępy. Tarcze, pazury, miecze i łuski fruwią jak drzazgi. Przed chwilą majestatyczny jeszcze smok teraz traci swe skrzydła, a ogień w nim gaśnie. Rozdarty, bez barw miota się i wije, by zbiec przed zagładą, ale upada bez tchu. Czarna fala zarazy rozlewa się po brzegu i zachłannie zagarnia wszystko w bezkresną otchłań.



Nie było go już. Towarzyszyła mi jedynie wierna do bólu ciemność.

Tyle lat minęło, a tamten dzień pamiętam jakby to było wczoraj. Czas upływał nieco szybciej niż zwykle – o ile w ogóle można mówić, że jakkolwiek płynie, gdy nic się nie dzieje. Nie mogłem go przecież odmierzać za pomocą słońca, skoro żaden z jego promieni nie docierał tak głęboko pod ziemię. Poza tym tego słońca to nigdy w życiu nie widziałem na oczy – jedynie mi o nim opowiadali. W zasadzie nie do końca im dowierzałem w jego istnienie. W ogóle cały ten zewnętrzny świat, o którym mi tyle opowiadali, brzmiał jak jakaś zmyślona bajka. Możecie sobie to w ogóle wyobrazić? Rośliny, zwierzęta, góry, rzeki, niebo, księżycy, gwiazdy – wszystko to było wtedy równie nieprawdopodobne, co smoki i jednorożce. Świat kończył się wraz z murami Młyna. I tyle. Dni pulsowały według rytmicznego porządku zmian warty, obchodów straży, wydawania posiłków, koszy z gruzem, co w szybkiej wiatry na końcu przeciwległego korytarza z łoskotem kursowały w górę i w dół. Doba dzieliła się na dwie części, które w zasadzie trudno byłoby nazwać dniem i nocą, bo obie wypełnione były równie gęstą ciemnością, rzadko tylko przeganianą pochodniami. W pierwszej z nich, nazywanej umownie dniem, skazany byłem na samotność – względnie cichą, zimną i próżną, choć napełnioną przecież lękiem. Lękiem o to, czy nadejdzie noc. A wówczas ta miała właśnie nadejść...

Pierwszy zawsze był ledwo słyszalny z celi odgłos gongu, obwieszczaający koniec szychty. Po jakichś dziesięciu minutach z niższych korytarzy zaczynało dochodzić rytmiczne szuranie kajdan, w jakie wszyscy prócz mnie byli zakuci. W tym samym czasie z góry słychać było kroki schodzącego na pokład klucznika, zwykle z obstawą. Miał za zadanie otworzyć dolną bramę. Następne były głosy – przytłumione i ledwo słyszalne. Wstrzymywałem oddech, by wyłapać choć pojedyncze słowa, strzępy skrytej rozmowy. Czasem, gdy czekali, aż klucznik otworzy dolną bramę, rozprawiali o czymś tajnym, nie wiedząc, że słyszę. Tak też było tamtego dnia. Na wpół szepczące, posępne głosy omawiały sprawę czyjejś nagłej śmierci. Któryś z naszych zginął z ludzkiej ręki! Zaszlachtowany jak zwierzę! Nagły, ostry i grzmiący rozkaz strażnika nakazał milczenie.

Względną ciszę, wypełnioną głównie kwileniem setek nadrdzewiających ogniów, przerwał po chwili Sharia, mówiąc, by w celi nie wspominać o tym zajściu. Sharia był naszym *raisem*<sup>2</sup> – zawsze wiedział, co robić; stawał

<sup>2</sup> *Rais to ktoś w rodzaju wodza – przewodnika i dowódcy w jednym, sprawującego najwyższą władzę nad stadem i ustanawiającego prawa. Każde stado musi mieć raisa.*

w naszej obronie. Szanowaliśmy go za to. Rzecz jasna byli i tacy, którzy nie zawsze się z nim zgadzali. Ale nawet oni dobrze wiedzieli, że wszelkie sprawy ze strażnikami lepiej pozostawić w jego rękach. Miał tę niezwykłą zdolność właściwego dobierania słów ludzkiego języka i robienia z nich dobrego użytku – zupełnie jak rzemieślnik, który precyzyjnie dobiera narzędzia do zamierzonego kształtu swego dzieła.

Gdy przeszli przez bramę i zbliżali się do rozwidlenia, światło strażniczych pochodni rozlewało się zimną, niebieską łuną na korytarzu, rysując na kamiennych ścianach wielkie sylwetki o rozszalałych kształtach. Lubilem obserwować ten chaotyczny taniec cieni. Przyciśnięty do krat, wystawiając głowę, wypatrywałem aż dojdą do rozwidlenia i skręcą w nasz korytarz. A gdy dochodzili, uciekałem pod ścianę, by nie zauważył mnie dozorca. Kiedyś mnie jeden dzielił za to, że pałętałem mu się pod nogami, gdy otwierał kratę. Nie brakowało tam takich parszywych typów...

W jednym momencie ta pusta, zimna i cicha cela napępiała się dziełnastoma huriami i hurysami – tyle nas było w tamtych dniach. Ledwośmy się tam mieścili. Całe pomieszczenie stanowił prostokąt mający może trzy metry na cztery. Ściśnięci leżeliśmy jedni na drugich tak gęsto, że nie było widać posadzki, a przy każdym ruchu wycieraliśmy się o siebie, nieraz depcząc sobie po ogonach. Ze wszystkich stron ograniczały nas stare, spękane ściany z kamienia i cegły, za wyjątkiem jednego z węższych boków. Tam, od posadzki po samo sklepienie, wstawiono żelazne, pionowe pręty grube jak palec i twarde jak głaz oraz kratę zamykaną na klucz. Po przeciwległej węższej ścianie ciurkiem sączyła się woda, jakiś podziemny strumień czy coś. Spływała do kratki ściekowej, co ją wmurowano w podłodze. Natomiast na obu dłuższych ścianach zawieszono na łańcuchach po dwie drewniane prycze. Gdy Sharia stanął czasem na jednej z nich, szorował grzywą o strop, tak było tam nisko. Oto cała moja cela. Całe moje życie...

Tamtego dnia, gdy nasi czekali już pod dolną bramą, z góry zszedł... nowy klucznik, tak charakterystycznie stukający tą swoją drewnianą nogą! Więc wcale mi się nie przyśnił! Gdy otwierał naszą kratę, rzucił mi nawet coś w rodzaju przyjacielskiego spojrzenia, choć zmieszanego z lękiem.

Inni strażnicy z jakiegoś powodu patrzeli na niego z wyższością, niechęcią, może wręcz wstrętem. Pomstowali, że tyle czasu zajmuje mu zejście

---

*Zdarza się, że funkcję tę pełni koalicja dwóch lub trzech braci. Ważne decyzje podejmują wtedy wspólnie, mają wspólne prawa do hurianek, wspólnie też bronią swego terytorium, kolejno stając do ewentualnych pojedynków. – przyp. tłum.*



z góry na pokład. Gardzili nim, choć w ich hierarchii stał wyżej od większości z nich. W końcu nie każdemu daje się klucze Młyna pod opiekę<sup>3</sup>. Strażnicy swoją pozycję zaznaczali za pomocą ubioru: wyżsi w hierarchii używali takich śmiesznych pióropuszy na hełmach, zdobień na swych zbrojach, a także grubych pasów z frędzlami. Dzięki nim mogliśmy poznać, jak do kogo było trzeba się zwracać.

Nikogo z naszych nie brakowało. Gdy wchodzili do celi, starałem się wyczytać w ich strudzonych twarzach, co się stało, ale unikali mego wzroku. Zmordowani pracą ponad siły, ledwo trzymający się na nogach, zadyśniani, brudni i spragnieni. Jak co dzień. Gdy wszyscy byli już w środku, a zbrojni zatrzasnęli za nami zamki, jedynie Matka spojrzała na mnie znad miski z wodą i od razu odgadła, o co pytałem ją oczyma, jednak szybko odwróciła się w innym kierunku. Dopiero po dłuższej chwili wewnętrznej walki, jaką być może prowadziła sama z sobą, wyrzuciła wreszcie:

- Zabili Rembę Roha.

Gdy to rzekła, Sharia zawarczał dobitnie, gwałtownie zwracając się w jej stronę, wyszczerzywszy kły, nastroszywszy grzywę i naprężywszy ogon.

- Syna starego Eneii z celi obok – dokończyła już znacznie ciszej, lekko wie odwracając się w stronę Sharii.

Wypowiedziała to zatem wbrew woli naszego *rais*a. Przecież polecił, by nikt w celi o tym nie mówił. Ich burzliwa, acz bezgłośna wymiana zdań trwała przez dłużącą się chwilę, w której serce waliło mi oszalałe ze strachu. Co mógłbym mu zrobić, gdyby wtedy się na nią rzucił? Ja, tak mały, wobec kłów i pazurów tej śmiercionośnej bestii? Tego smoka, majestatycznie demonstrującego skrzydła i zięjącego żarem? Już widziałem jak w ostatniej chwili podrywam się z ziemi i zagradzam mu do niej drogę, przez co rozrywa mnie na strzępy jak słomianą kukłę. Nic sobie nie robiąc z tej nędznej przeszkody, doskakuje z pazurami do Matki i zagryza... Jako *rais* miał przecież prawo naprawdę mnie pożreć, acz z jakis względów nigdy nawet mnie nie skarcił. Wręcz się zdarzało, że mył mnie całego albo pozwalał mi bawić się swoim ogonem... Traktował mnie jak własnego, a ja wyobrażałem sobie

<sup>3</sup> Nietrudno się chyba domyślić, że mianem Młyna określaliśmy miejsce naszej niewolniczej pracy – ten nasz dom i grób, w którym niegdyś zostaliśmy uwięzieni. *Przypomnę, że przypisy objaśniające gwarowe zwroty nie zawsze umieszczone są przy słowie, którego dotyczą, a w miejscu, gdzie oryginalnie zostały wypowiedziane przez huryjskiego gawędziarza – przyp. GE.*

czasem, że rzeczywiście jest moim ojcem, choć oczywiście nim nie był. Nie mógł być. To w końcu bujnogrzywy arufian, a mnie, czystej krwi tigriana, zrodziła równie czystej krwi tigranka<sup>4</sup>.

Iskrzącą z napięcia ciszę przerwały krzyki dobiegające z korytarza – to kolejna burta<sup>5</sup>. Jak to zawsze bywało, ci zza ściany wracali z podziemi w drugiej turze, ale trudno byłoby liczyć na ich spokój po tym, co zaszło. Zadrżeliśmy wszyscy, słysząc chrzęst zbroi powalonego na ziemię strażnika i rozpaczliwy okrzyk dozorczy, wzywający posiłki. Mogliśmy tylko gdybać, kto porwał się na coś tak szalonego? Z niecierpliwości jeden z naszych wówczas rzucił się ze złością do krat, ale gdy chciał coś krzyknąć, dopadł go Sharia, ściskając silnie za ramię:

- Oszalałeś, hurio? – zawarczał przez zaciśnięte zęby. – Chcesz nas wszystkich zgubić? Im nie zdołasz tym pomóc, a nam szkodę przyniesiesz. To nie poruszenie, a jedynie wyraz rozpaczki bez planu i celu, dający chwilowe ujęcie emocjom. Poskrom więc własne, miast na nas tragedię zrzucić!

Poskutkowało. Bez słowa podtulił ogon i przysiadł gdzieś z boku, liżąc siniaki, jakie zrobił mu Sharia. A my w lęku i skupieniu nasłuchiwaaliśmy, jak z trzaskiem wbiegli na poziom strażnicy z góry, jak maltretowali naszych, jak łamali na nich drewniane kije, by zdusić w zarodku to, co mogłoby przerodzić się w bunt. Skąd po całym dniu męczeńskiej pracy znaleźli na to siły? Wreszcie zamęt ucichł, a po kilku chwilach ruszyli, popędzani rozkazami i pałami strażników. Gdy poturbowani i zgarbieni przechodzili obok naszej celi, liczyłem ich starannie. Zawsze to robiłem. A tamtego dnia jednego brakowało, zaś innego jeszcze zabrano do karceru. Zatem i tak bym się

<sup>4</sup> *Jeśliby kto z was nie wiedział, wyjaśnić wypada, że z tez Wielkiego-Baby, zraszających tono W-Mleko-Obfitej-Mzazi, zrodziło się we właściwym czasie pięć hurijskich rodów. Prócz grzywiastych arufian i przegowanych tigran wymienić trzeba jeszcze samotnicznych spellian oraz onkian, zamieszkujących dżunglę, i pardian, mieszkających tak w lasach, jak i wśród trawiastych sawann. Onkianie i pardianie z zasady podobni są do siebie acz różnią się rysunkiem cętek, nieznacznie też wielkością ciała. Od pozostałych rodów są niżsi i drobniejsi, toteż na wolności ich domostwa najczęściej bywają zawieszane wśród koron drzew. Arufianie, w największych skupiający się stadach, gustują w drewniano-skórzanych szałasach przylepianych do stepowych drzew. Więksi od arufian tigranie zwykli się osiedlać w jaskiniach, które sami w skale drążą; spellianie zaś obierają jaskinie naturalne lub uprzednio wydrążone. Ci ostatni, stroniący od stadnego życia, acz najpotężniejsi spośród hurii, są jednak dość rzadcy i bardzo dzicy – do tego stopnia, że nieposłuszne hurijskie młode straszy się czasem spellianami – przyp. tłum.*

<sup>5</sup> Burtą nazywaliśmy wszystkich więźniów z jednej celi.

domyślił. Zmarły Remba Roho jawił mi się wtedy jako szalenciec, drwiący z praw i porządków. W zasadzie zbyt mnie nie dziwiło, że ściągnął na siebie nieszczęście.

Oczywiście burty z celi obok nie znałem tak dobrze jak własnej *mbari*<sup>6</sup>, ale przecież każdej nocy byli tuż za ścianą, na wyciągnięcie ręki. Od rozwidlenia szło się korytarzem szerokim może na jakieś trzy metry, a wysokim na dwa, jak i wszystko na tym poziomie. Pierwsza z lewej była nasza cela, a zaraz za nią – właśnie cela numer dwa. Dalej korytarz był już ślepy. Jesliby teraz wrócić do rozwidlenia, to na lewo mielibyśmy szeroki korytarz z dwiema celami tortur po bokach i główną kratą, za którą były schody na wyższy poziom; na prawo – długi, prosty odcinek zakończony dolną bramą i schodami w dół; zaś idąc na wprost minęlibyśmy po lewej dwie huryjne cele podobne do naszej – trójkę i czwórkę, potem korytarz skończyłby się zamykanym szybem windy. Prócz dziennego urobku transportowano nim również sagan z obiadem lub śniadaniem. Nocny kontakt z tymi dwiema celami po drugiej stronie rozwidlenia był bardzo ograniczony – można było używać jedynie przytłumionych pomruków; głośniejszy ryk mógłby ściągnąć z góry strażę. Przez to tych dwóch burt nie znałem prawie wcale. Niewiele mi o nich opowiadali, a ledwo kilkoro zdarzyło mi się widzieć na własne oczy – rozpoznawałem ich po głosie lub zapachu. Zawsze, gdy nasze dwie cele wróciły już z poziomu, nasłuchiwaaliśmy z niecierpliwością, jak prowadzili tych z trzeciej, a następnie z czwartej, ostatniej. Bowiem gdy wszystkie hurie były już na swoich miejscach, nadchodziła wyczekiwana pora obiadu.

Trzaskowi bocznej kraty od szybu towarzyszyła rozprzestrzeniająca się woń surowego, hodowlanego mięsa, które na wolności wzbudzałoby największe obrzydzenie. My się o nie niemal zabijaliśmy. Stanowiło jakby zapłatę – bardzo nierówną zapłatę – za męczeńską pracę, do jakiej nasi byli zmuszani. Co ważne: cela, która odkuła najwięcej skały, otrzymywała pre-

---

6 *Hurie nie znają pojęcia rodziny – takiego, które my znamy. Rodzą się w stadzie. Stado ich karmi i ochrania, jak i oni karmią i ochraniają stado. W nim doznają miłości i sami kochają. Bywa, że nie opuszczają go przez całe życie i w nim też starzeją się i umierają. Choć raisowie się zmieniają, stado trwa. To stado zwą właśnie mbarią – w naturalnych warunkach zwykle nie więcej niż dwudziestu na ogół spokrewnionych ze sobą osobników (za wyjątkiem arufian, którzy często skupiają się w liczniejszych jeszcze grupach). Czasem mbarią nazywają ród, znacznie rzadziej – cały swój gatunek – przyp. tłum.*

miową rakiętę z szamunkiem<sup>7</sup>. No i dla tych kilku kęsów mięsa wypruwali z siebie żyły. Nie mogli myśleć już trzeźwo o niczym innym jak tylko o napełnieniu swych żołądków. Po tylu latach stali się martwymi odbiciami samych siebie. Jakaś śmiertelna trucizna przeżarła ich wnętrza, pozostawiając puste, cielesne skorupy – niczym kości o wysanym do cna szpiku...

- Wara od krat, koty! – huczał jeden z bukatów, pchając przed sobą wózek z mięsem<sup>8</sup>. Czasem tłukł pałką o pręty dla podkreślenia swojej wyższości i dla odgonienia oślepionych głodem desperatów.

Któraś z figur przerzucała wtedy fasunek przez specjalne okienko w kracie<sup>9</sup>. Mięsa dostawaliśmy zwykle tylko tyle, ile taka figura uznała za stosowne; a w dobry dzień – tyle, ile według strażniczych rachunków się należało za wykonaną pracę.

Swoją drogą nazwanie hurii kotem jest dość obraźliwe samo z siebie, a w tamtych czasach i miejscu, w którym nas trzymano, nabrało dość osobliwego znaczenia. Tak bardzo podkreślało to naszą zwierzęcość, której od wieków staraliśmy się wyzbyć... Zaślepieni głodem, zatapialiśmy zęby w ochłapie krwistego, surowego i hodowlanego mięsa, niczym się nie różniąc od swych dalekich krewnych. To miejsce obdzierało nas z ostatnich resztek szlachetności, jaką przecież się szczyci nasz gatunek.

Dopiero gdy strażnicy odeszli, było nam wolno w ogóle się zbliżyć do mięsa. Jak ktoś się na nie rzucił wcześniej, stwierdzali drwiąco, że widocznie tyle nam starczy, i odchodzili do kolejnej celi. Dlatego nieraz widziałem naszych, z jak wielkim trudem tłumili swe rozbudzone pierwotne instynkty, starając się wykazać należną cierpliwością.

7 To znaczy nagrodę z kilku dodatkowych ochłapów mięsa – czasem lepszej jakości albo po prostu świeższego. W dobre dni zdarzało się, że taka premia stanowiła dodatkowo nawet połowę standardowej porcji.

8 Bukat to jedno z najczęstszych chyba określeń strażnika.

9 Fasunek to inaczej jedzenie. Zaś figurami nazywaliśmy więźniów funkcyjnych – kilkoro hurii wykonujących takie prace, którymi strażnicy nie mieli zwyczaju brudzić sobie rąk – jak oprawianie zwierzyny czy rozładunek gruzu na górze. Figury były lepiej traktowane, dostawały lepsze racje i miały zdecydowanie łżejszą od nas robotę. Do tego bywały na powierzchni. Nie spali razem z nami – dla bezpieczeństwa zamykali ich bukaci w osobnej celi na wyższym poziomie. Zadzierali głowy i sztywno nosili przy nas ogony. Gardziliśmy tą pyszną burtą służalców jak tylko się dało, bo donosili strażnikom o wszystkim, co od nas usłyszeli. To było pewne. Właśnie przez to hurie w celach zaczęły niegdyś mówić między sobą szyfrem – by ci z góry za szybko się nie domyślili, o co chodzi.

Pierwszy jadł oczywiście Sharia, przynajmniej w tamtym czasie. Na jego znak dołączali kolejni hurie, a ci, gdy już pojedli, dopuszczali najstarszych hadhów, po nich były hidaye, hekale, na końcu hury oraz hurysy<sup>10</sup>. Mi zwykle nie zostawało już nic poza zapachem mięsa, pozostawionym na resztkach poprzegryzanych i przelizanych we wszystkie strony kości. Prawie codziennie była to więc uczta dla wyobraźni – wspaniała i obfita, choć niewiele miał z tego żołądek. Kwestia podziału mięsa zawsze była bardzo drażliwa. Sami sobie byliśmy najlepszymi sędziami. Jednocześnie najmniej sprawiedliwymi. Bo przecież największy przydział dostawali ci, co byli najwyżej w hierarchii, a nie ci, którzy najciężej pracowali. A i tak nie zawsze udawało się Sharii utrzymać należyty ład. Czasem nie kończyło się na ryku i szczerzeniu kłów. Choć od zawsze było to zakazane przez strażników, dochodziło do walk, przypominających każdemu jego miejsce w hierarchii lub względnie ustawiających ją od nowa. Ostatecznie przecież to najważniejszy porządek rzeczy.

Tamtej nocy było u nas spokojniej niż zwykle. Za to w celi obok rozegrał się dramat. Ku naszemu zdziwieniu strażnicy podjechali z mięsem przed ich kratę, ale z okrucieństwem godnym swej natury przywiązali je łańcuchem do przeciwległej ściany korytarza i pozostawili tam na całą noc. Zbyt daleko, by sięgnąć je zza krat; zbyt blisko, by nie czuć jego zapachu. Paskudna to kara morzyć głodem i pożywieniem zarazem... Podobno kiedyś, na początku Młyna, *raisowie* burt w podobnych sytuacjach dzielili się własnym obiadem z sąsiednimi celami, ale tę niezwykłą szlachetność znałem jedynie z opowieści. W praktyce zawsze się okazywało, że wszelkim przejawom szlachetności dawno już poderżnięto gardła –

---

<sup>10</sup> *Innymi słowy po raisie najważniejsi są kolejno: pozostali dorośli hurie, męska starszyzna (hadhowie), dorosłe hurianki (hidaye), żeńska starszyzna (hekale), młodzież (hury i hurysy), a na końcu młode (chekechee). Struktury hierarchii w huryskich stadach są jednak znacznie bardziej skomplikowane i tylko w ogólnych zarysach zależą od wieku i płci. W dodatku podlegają ciągłym zmianom. Podejrzewam, że kwestię tę silnie tu uproszczono ze względów czysto retorycznych. Acz w istocie huryska hierarchia zwyczajowo określana jest podczas dziennego podziału posiłku na zasadzie kolejnych ogniw łańcucha. Zawsze rozpoczyna rais: wskazuje i dopuszcza następnego – najbardziej w swym mniemaniu znaczącego pośród swego stada. Ten podchodzi, odbiera swoją porcję, wskazuje następnego z tych, co pozostali i czekają na swą kolej, i tak dalej. Zatem każdy – nawet sam rais – biera tylko jedno, następne po sobie ogniwo łańcucha. Na co dzień zamiast wywoływać po imionach dawane są znaki, oznaczające na przykład brak zmian – przyp. tłum.*

stały się w Młynie niemal oznaką słabości... Tak, ten świat rządził się innymi prawami.

Pozostała część wieczoru zarezerwowana była na mycie – zwykle pobieżne i ociężałe – część aż zasypiała przy nim ze zmęczenia, niektórzy zaś dla rozładowania stresu i emocji lizali tak intensywnie swoją sierść, że aż ją sobie wydzierali do gołej skóry i ranili się do krwi. Permanentnie mieliśmy na językach tępy smak skalnego pyłu, piachu i starej zaprawy. Wieczór był również porą rozmów wewnątrz celi, jak i z burtą zza ściany; był porą ustalania udziału w dziennym urobku i podziału pracy na kolejny dzień; porą opowieści starych hadhów o wolności, a także porą nauki, jaką starały się młodszym przekazać hekale czy hidaye.

Tamtej nocy nikt jednak niepotrzebnie się nie odzywał – zresztą jak zawsze, gdy działa się jakaś tragedia. Niełatwo było mi zasnąć – ze strachu i... trochę z ciekawości. Cela obok starała się przyciągnąć choćby kawałek odebranego obiadu za pomocą sznura zesztukowanego z derek. Bezskutecznie. Obawiałem się wtedy, że ściągną tym tylko strażę z góry – nie rozumiałem jeszcze, czym jest prawdziwy głód, choć to niemal niedorzeczne jak na warunki, które mieliśmy w tym Młynie. Powietrze zza ściany aż wrzało od splątanych myśli, tłumionych jęków i szlochów, które raz po raz znajdowały ujście w szeptem prowadzonej wymianie zdań. Nadstawiałem ucha...

- Ależ skądże znowu? To bełkot! – huknął ktoś, ledwo się powstrzymując od wypowiedzenia tego na pełen głos.

- Tylko powtarzam, co mówił – tłumaczył spokojnym głosem Maarifa, taki hur z celi obok.

- Bo i cóż może mieć do powiedzenia pomylenieć i kwirus<sup>11</sup>? Ten błazen musiał kiedyś tak skończyć. Tyle że to jeszcze nie powód, byśmy zaczęli wierzyć w to, co wygadywał!

- Ale zobaczcie... Korzystamy ze zmysłów: ze wzroku, aby dostrzec łunę pochodni; ze słuchu, by usłyszeć nadciągającego bukata, z węchu, by...

- ...by poczuć, że szprycują nas tu zgniłym ścierwem – podchwycił jakiś posępny szept – a dziś nawet nie byli łaskawi cisnąć go na pokład<sup>12</sup>!

- Może Remba miał zmysł – ciągnął niestrudzenie Maarifa – dzięki któremu słyszał, co te kolumny chcą nam powiedzieć!

<sup>11</sup> Kwirus, czyli wariat.

<sup>12</sup> Nie inaczej. Mięso szło wprost na tą zawaloną pyłem posadzkę; no i z tejże posadzki je zlizywaliśmy.

- Brednie i jury! Gadasz jak Aria! – parsknął ktoś z głębi. – Nic tam w dole nie słyhać dokoła! Toż to duchy tworem furiackiej spowiedzi, to wszak rozumowi bluźni!

- Daje do myślenia – odwarknął jeszcze jeden głos – że jak tylko jeden kwirus padnie trupem, a innego zabiorą do karceru, to zaraz znajdzie się jakiś trzeci, co zajmie ich miejsce.

- Właśnie, co z Arią? – załkała któraś z hurys, gdy ciszę po raz kolejny przedarła fala odległego jęku dochodząca z karceru. – Nawet nie wiemy, czy te psy puszcza go żywego!

- Mógł się szczur nie wybijać – odparł tubalny, zachrypty głos. – Przez niego czuję wszystkie kości w kremplu! A śmietnik z głodu się mi skręca<sup>13</sup>! – Zachrypty głos ciągnął dalej: – Kto wie, czy jutro dostaniemy cokolwiek na kafe<sup>14</sup>? Te zakute pyski – mówił – nie znają litości, odstawiając taki kant z ubojem<sup>15</sup>. Sam zdzieliłbym Arię po karku, gdybym był wiedział, że się na to targnie. Wezmę na pniaki to stroszone futro, jak tylko wróci... i o ile wróci<sup>16</sup>! – To wszystko powiedział w akompaniamencie zgodnych pomruków tigrzański *rais* tamtej celi, noszący imię Radża. Tak to jakoś u tigrzań już jest, że w każdej, mniejszej czy większej społeczności musi się znaleźć ktoś o imieniu Radża. I w zasadzie nie wiadomo dlaczego.

Konspiracyjny szept zza ściany dał się słyszeć do samego rana. Koncentrowali się głównie na tym obiedzie, którego nie otrzymali, ale kilka razy wrócili jeszcze do Arii Neno Nabii, tak bowiem nazywał się ten pardian, którego za wszczęcie buntu strażnicy torturowali w karcerze. Na co dzień uchodził za poetę i dziwaka, któremu czasem strzelało coś do głowy. Mówili też o Rembie Rohu, acz wówczas jego śmierć ciągle nie była dla mnie jasna. Z tego, co wtedy słyszałem, wynikało, że podczas odkuwania jednej z kolumn znalazł coś, co szczególnie przykuło jego uwagę. A gdy dozorca usiłował ponaglić Rembę do dalszej pracy nad chodnikiem, ten niespodziewanie rzucił się na dozorcę. Nie miał jednak szans z grubym, stalowym pancerzem, tym bardziej bez pazurów. Strażnicy regularnie je naszym przycinali obcęgami, nieraz aż do krwi. Byłem z tego zwolniony, ale nie zazdrościłem im takich atrakcji.

<sup>13</sup> Chodziło mu o kości kręgosłupa. Natomiast śmietnikiem nazywaliśmy żołądek. Trzeba przyznać, że w tych warunkach to nawet całkiem trafne określenie.

<sup>14</sup> Nie, nie. Nie chodzi o posadzkę. Kafle to inaczej żęby.

<sup>15</sup> Czyli z mięsem.

<sup>16</sup> A te pniaki to też kafle, tylko te nieco większe. To znaczy kły.



Z nocy pełnej koszmarów budził nas zawsze werbel metalowej bądź drewnianej pałki, tłukącej się o żelazne pręty krat, i ochryply okrzyk przeprowadzającego obchód dozorca:

- Pobudka, kocie ścierwa!

To lub podobne szczeknięcie przez całe lata jeżyło nam skórę i przywoływało do porządku – tak jakby nas kto po karku łomem dźwięknął, a nie głosem. Nastawała po nim chwila ciszy, podczas której przeklinano pod nosem kolejny dzień i złorzeczono strażnikom. Jedni naciągali na siebie derki, by schwycić jeszcze resztki oddalającego się snu, którego zawsze było nam za mało, inni szeptali w skupieniu słowa łowieckiej modlitwy, będącej już tylko mechanicznym rytuałem z dawnych dni, choć – być może – wyrazem tłącej się jeszcze nadziei. Jednak, jak dla mnie, nadzieja zagasła w nich już znacznie wcześniej – wraz z ostatnimi promieniami słońca, jakie przed laty widziały ich oczy.

Podczas apelu, czyli drugiego przejścia straży, wszyscy musieli być już na nogach, inaczej na wyjście dostaliby od dozorca po kremplu. Albo gorzej jeszcze: cała cela byłaby ukarana brakiem śniadania – co kilka razy miało miejsce za mego życia. Pchani widmem głodu pilnowaliśmy się zatem nawzajem – podnosiliśmy wzajemnie zwiędłe kukły swych ciał, by przynajmniej stwarzały pozory żywych. Gdy pojawiali się strażnicy, starszy celi – a u nas był nim wówczas Sharia – miał za zadanie zdać relację – dzień w dzień niemal identyczną:

- Melduję sierżancie: stan liczebny dziewiętnaście, obecnych dziewiętnaście, zdolnych do pracy osiemnaście, wszyscy zdrowi.

Ten jeden niezdolny do pracy to rzecz jasna ja. Odpowiedzią strażnika na meldunek Sharii było zwykle drobne skinienie głowy i odmaszerowanie do celi obok. Tamtego dnia stało się jednak inaczej. Zamiast odejść, wpatrywał się w nas w skupieniu dłuższą chwilę, aż zaczęliśmy się poważnie niepokoić. Jakby znalazł się właśnie na polowaniu, a my jakbyśmy byli jego zwierzyną. Wyobrażenia w takich chwilach podsuwa jedynie obrazy braku śniadania i kar cielesnych, podsycając poczucie winy – pomimo tego, że



to przecież nie my staliśmy za buntem z poprzedniego dnia. Ogarnęła nas trwoga.

Wreszcie wznosił rękę i wskazał Vijani – młodą jeszcze i energiczną tigrankę – hurysę o łagodnie rozłożonych pęgach, grafitowo-błękitnych oczach, uroczo spłaszczonym nosie i niezwykle rzadkiej, acz przepięknej mleczno-siwej sierści – mocno już przyszarzałej i zaniedbanej w tamtych koszmarnych warunkach.

- Ty. Ty po obchodzie pójdziesz z nami – zakomunikował dozorca.

Było coś dziwnego w jego spojrzeniu. Może z tego właśnie powodu Sharia wystąpił wtedy z grupy na pół kroku i tak powiedział:

- Dokąd ją zabieracie, sierżancie? Weźcie mnie w zamian!

Uznałem to wtedy za niezaprzeczalny wzór bohaterstwa. Rozpierała mnie duma, że był on moim *raisem*...

- Nie twój zapchlony interes, Sharia! – odburknął dozorca, sięgając już po rękojeść miecza. – Odstąpże pókim dobry!

Jedyną natomiast odpowiedzią Vijani było przełknięcie śliny i nerwowo ruch ogonem. Tylko z tyłu było widać, jak wyciągnęła na moment palce, choć bez pazurów przecież – rozważając może, czy mimo krat nie rzucić się psu do gardła ze złości. Zdarzało się już wcześniej, że bukaci brali z celi Vijani, ale jeszcze nigdy przed śniadaniem – jeśli już, to po obiedzie, na noc.

Gdy strażnicy odeszli za rozwidlenie, popatrzyliśmy chyłkiem po sobie pełni podejrzeń i obaw; a gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości, skupiliśmy się nieco i prędko radziliśmy, co czynić. Jedni chcieli wykorzystać sytuację do sabotażu Młyna; inni, lękając się o życie Vijani, wyszukiwali jej improwizowane narzędzia, którymi mogłaby się bronić; inni jeszcze wypytawali zaciekle hurysę o to, jakich zbrodni się dopuściła i czemu ukrywała je przed resztą? Ostatecznie ustalono, że gdziekolwiek by jej nie zabierano, zbada okolicę, poszuka słabych punktów straży i rozejrzy się za potencjalnymi drogami ucieczki.

Jeszcze przed śniadaniem dozorca wrócił z dwiema papugami eskorty i klucznikiem pod nasze kraty<sup>17</sup>. Klucznik, otwierając celę, rozejrzał się po jej wnętrzu. Dostrzegłszy mnie, zatrzymał na chwilę wzrok, a w kącikach jego ust można było dostrzec jakby cień zadowolenia. Pod bronią wywołali Vijani z celi, złapali w swe żelazne łapska i powlekli korytarzem na dół, podczas gdy my zza krat opłakiwaliśmy własną bezsilność.

17 Papugami przezywaliśmy strażników pełniących funkcję konwojentów lub ochro-niarzy.

Na śniadanie dostawaliśmy po kromce bomsu i płynną mięsną breję zwaną zupą<sup>18</sup>. Zupę nazywaliśmy nieraz żurem, bo aż trudno było dociec, z czego ją gotowano. W teorii złożona była z wody i zwierzęcych resztek czy mniej smacznych wnętrzności. Mieliśmy na nią specjalne drewniane miski – każdy, ściskając swoją w rękach, ustawiał się w kolejce wewnątrz celi. Na samym początku tłoczyła się dumnie piątka tych, którzy poprzedniego dnia pracowali najwydajniej. Wybierani byli przez dozorców w ciągu dnia podczas pracy lub częściej wieczorem, na chwilę przed zdaniem kilofów i łopat. Otrzymywali takie specjalne żelazne tabliczki z wrytym symbolem ryby, które nazywaliśmy blaszkami. Tym, co je mieli na śniadaniu, nabierano do misek z suteryny<sup>19</sup>. Do ich posiłku dorzucano po rybie. Blaszkę z symbolem ryby wymieniali wtedy na prawdziwą – choć demony raczej wiedzieć, ile kilometrów te ryby podróżowały łodem i w jakich warunkach. Pozostali – ci mniej wydajni, więc bez ryby – musieli się zadowolić rzadszą wachą, a ustawiali się już według stałej hierarchii. Zatem także podczas śniadania trafiałem na koniec, ale przynajmniej otrzymywałem swoją w miarę równą porcję. Praktycznie była to moja jedyna strawa, wówczas mleka od dawna już nie ssałem.

Z tymi blaszkami było w celach sporo zamieszania. Bez ustanku krążyły między huriami, stanowiąc nieformalny środek płatniczy za te czy inne usługi – w końcu były nieraz wszystkim, co mieli na wymianę. A nieraz je sobie podkradali, wyrwali albo nawet darli o nie futra. *Raisowie* w celach zwykle stawiali sobie za punkt honoru zorganizowanie sobie przez noc ryby na śniadanie. Zabierali blaszki niższym w hierarchii – perswazją, siłą, sposobem – acz sytuacje, by ktoś z ogona hierarchii dotrwał z blaszką aż do rana, nie zdarzały się znów tak rzadko.

W zasadzie to dość dziwne, że śniadanie zorganizowali strażnicy zupełnie inaczej niż obiad. Podejrzewaliśmy, że było to jak najbardziej celowe – wyróżnienie najlepiej pracujących miało już na początku dnia jasno pokazać wzorce, które powinniśmy naśladować. Miało zaszczerpić w nas wolę walki, chęć rywalizacji – byśmy w pogoni za nieświeżą rybą zdeptali wła-

---

18 Co to jest boms? To takie gąbczaste i przeważnie twarde pożywienie pozbawione smaku – wyrabiane przez ludzi chyba z kłosów zbóż, a nazywane przez nich chlebem. My czasem nazywaliśmy go brukowcem, bo skórę miał tak czarną i niejadalną, jakby ktoś z upodobaniem szorował nią posadzkę.

19 To znaczy, że cała ta piątka dostawała fasunek z dna kotła.

nych braci. Najgorsze było jednak to, że ta strategia działała pomimo tego, iż byliśmy jej świadomi.

Tamtego dnia nie zdążyliśmy nawet oderwać ust od misek, gdy doszło naszych uszu niemiarowe sapanie łańcuchów i piskliwy zgrzyt dolnej krawaty. Przywarliśmy w napięciu do prętów, ale ledwo było cokolwiek widać. Ci, którzy coś dostrzegli, byli zdania, że zza barczystych papug wyłonił się na chwilę biały, przegowany ogon. Vijani... Komuś wydało się nawet, że coś za sobą wlekła. Na pomysł, że mogło to być ciało Remby Roha, wpadła chyba Ugaidi – hidaya onkiańskiej rasy, wzbudzająca respekt nawet wśród hadhów – porywczą i energiczną organizatorką buntów, ucieczek, głodówek i planów sabotażu Młyna. Niewątpliwie mogłaby nam przewodzić, gdyby nie oczywisty fakt, że była hurianką, a nie hurią.

W sumie to aż dziwne, że nikt nie wpadł na to wcześniej – w końcu ciało Remby pozostało przez noc na dole: nikt nie widział, by ktokolwiek je wynosił, a przecież kwestie zmarłych rozwiązywali dotychczas strażnicy. Tak czy siak jedyne pewne było to, że prowadzili Vijani na górę; reszta to domysły. Toteż niepewność co do dalszych losów tej wdzięcznej hurysy trzymała nas do późnego wieczora.

Zawsze krótko po śniadaniu rozpoczynano wyprowadzać kolejne barty – w takiej samej kolejności, jak powracały pod koniec dnia. Zatem jako pierwsza opróżniana była zawsze nasza cela, następne szły hurie zza ściany. Jako ostatni szli ci z trójki i czwórki – czyli ci, z którymi mieliśmy taki lichego kontakt. Odchodząc w codziennym rytmie, zabierali ze sobą szum rozmów i lament kajdan, wyznaczając jednocześnie granicę między nocą a dniem. Ileż to razy gotów byłem zjeść własne futro, by wyruszyć z nimi...

To, czym zajmowali się w czasie całego dnia, podobne było do odkopywania starożytnej kopalni, z jakiegoś powodu zasypanej ziemią, gruzem i skałą. Praca była forsowna, długa, przymusowa i tym trudniejsza, że zupełnie bezsensowna. Nie wiedzieliśmy po jakiego demona rozgrzebujemy te ruiny; nawet niektórzy bukaci nie widzieli w tym żadnego celu. Większość naszych kuła w skałę – zupełnie jak tigranie podczas budowy swych domostw. Używali do tego kilofów albo żelazek i pyrlików – w zależności od twardości ścian. Pozostali łopatami ładowali urobek do koszy, które zanosili do szybu. Tam na długich linach wciągali go na samą górę, gdzie wyładowywali go funkcyjni pracujący na powierzchni. Bukaci doglądali, by nikt się nie objął i praca szła równo.

Z samego wyglądu Młyn wcale nie przypominał kopalni – raczej jakąś wielką, wielopoziomową i podziemną świątynię o ogromnych halach wypełnionych tysiącami kolumn. Każda z takich kolumn była inna od pozostałych – jedne grubsze, inne węższe; te pięknie zdobione, tamte niemal proste; niektóre tworzyły ciasno skupione grupy czy szeregi, ale nie brakowało też tych rozrzuconych chaotycznie, jak i zupełnie odosobnionych, co stroniły od gwaru. O kolumnach nieraz wam jeszcze opowiem...

Gdy tak odchodzili do tego podziemnego i tajemnego świata, nastawała cisza, jakby całe życie odpływało i nikło za winklem, nie mając zamiaru powracać. Nie była to cisza idealna – w szybie na końcu przeciwnego korytarza słychać było kosze z urobkiem, kursujące w górę i w dół, czasem udawało mi się pochwycić echo kilofa. Towarzyszył mi też szept sączącej się bez ustanku wody, tajemniczo wypływającej ze ściany naprzeciw kraty. Metr poniżej trafiała do kratki ściekowej. Ustawialiśmy na niej miski, by łąpały wodę i nie trzeba było się przyklejać do ściany na dłuższy czas, gdy ktoś chciał się napić. Moim zadaniem za dnia było ustawiać je kolejno, by po powrocie z poziomu każdy mógł od razu ugasić pragnienie. W innych celach pili wodę zgodnie z hierarchią. Kiedyś ci z czwórki wymyślili, żeby ustawiać piramidę z misek w taki sposób, by same się za dnia napełniały. Podobno działało to wysmienicie aż do czasu, gdy coś tam źle ustawili i zalali pół korytarza, toteż bukaci kategorycznie zakazali takich praktyk. Tak... Pragnienie mogliśmy zaspokajać do woli. Przynajmniej tyle. Natomiast kratka ściekowa była jednocześnie gierem, co niegdyś podobno budziło spore obrzydzenie<sup>20</sup>.

W zasadzie, jeśli popatrzeć z pewnej perspektywy, samotne przesiadywanie całymi dniami w ciasnym i niemal zupełnie ciemnym lochu musi być niewyobrażalnie nudne. Perspektywa taka była mi jednak obca. Spędzałem wówczas czas, bawiąc się w poranny apel, w tyrkę, w bunt, w karcer, w *jamie*<sup>21</sup>, w podział dotków<sup>22</sup>. Siedziałem tam w tej celi i malowałem wodą rewiry i terytoria na posadzce, sprowadzałem powodzie, z drewnianych misek

20 Gierem nazywaliśmy toaletę w celi – bardzo prymitywną i bardzo publiczną, ale po tylu latach nikt już nie myślał się tym przejmować. Na samym początku istniało coś na kształt płóciennych parawanów, zmontowanych w dobrej wierze przez któregoś bukata. Zdjęto je wszystkie, gdy nakryto jedną celę na ukrywaniu za taką zasloną zmyślnego podkopu.

21 *Głosa nieczytelna, zalana, niemożliwa do odczytania – przyp. GE.*

22 Tyrka to ogólnie praca, acz zwykle nasi określali tak jedynie drażnienie nowych korytarzy na poziomie. No a dotek to porcja, część lub nawet pojedynczy kęs z obiadowego uboju, czyli w zasadzie była to zabawa w obiad.

budowałem wieże, forty, wodospady, maszyny wojenne (choć najlepiej się nadawały na ziemianki i rycerskie hełmy). Drażyłem sekretny tunel prowadzący na zewnątrz albo stawałem się badaczem ukrytych poziomów, szukającym między płytami podłogi zapomnianych kolumn, ich kamiennych maszkaronów, zdobieni i misternych ornamentów.

Kładłem się na ziemi i wsłuchiwałem się w najcichsze dźwięki albo obserwowałem życie płam, pęknięć i skaz na ceglach czy kamieniach ścian – znałem je wszystkie na pamięć, ale codziennie dostrzegałem w nich coś nowego. Wyobrażałem sobie, że kształty te były huriami z naszej celi, choć nie zawsze chciały mi one na to pozwolić. Jedne to grzywa Sharii albo czujesz futro, inne to sylwetki strażników, zmieniających ciągle swoje uzbrojenie, inne jeszcze wolą być zawalonym filarem, gałęzią drzewa czy mknącym jeleniem. Ale najwięcej zawsze tych, które są tak chimeryczne, że ciągle zmieniają swój kształt, przez co trudno je uchwycić na dłużej. Wymykają się. Niespodziewanie wyrastają im nowe łapy i ogony, części ich ciał przeobrażają się w jakieś zupełnie inne stworzenia albo w całości są pożerane przez smoka, który w pobliżu właśnie przyszedł na świat. Nigdy tak do końca nie byłem pewien, jaki kształt powinny mieć te zwierzęta, bo przecież żadnego nie widziałem na własne oczy. Czasem mi o nich opowiadali – że mają po cztery nogi, tułów, głowę, rogi, futro albo rybnie łuski na całym ciele, a ja wpatrywałem się w ściany celi i wyobrażałem sobie, że widzę na niej wszystkie te niezwykle istoty. Niektóre z nich tak bardzo chciałem zamrozić w swej postaci, że obrysowywałem kontury ich ciał podebraną ukradkiem akwarelą<sup>23</sup>. W każdym razie tak to obok paru pozostawionych niechcący odcisków

23 Tak w Młynie mówiliśmy na barwnik do tatuażu – bo tradycji tej nie zaniedbywa-  
liśmy nawet tam. Do dyspozycji mieliśmy jedynie czerń, za którą służył nam popiół  
z palonych ukradkiem kości z obiadu, co oczywiście było zakazane ze względu na  
zapach. No i na to, że robiliśmy to podczas pracy na poziomie w ogniu pochodni. Igły  
też robiliśmy z kości, a mówiliśmy na nie drzazgi. *Trzeba tu nadmienić, że mianem  
tatuaży, czy raczej wzorów lub samar, określa się u hurii nieco innego niż u nas. Je  
także wykonuje się specjalnym, najczęściej czarnym tuszem, acz nie umieszcza się go  
pod skórą, a w cebulkach włosów, a prócz tego farbuje się sam włos. Tworzy się w ten  
sposób całe wzory, które, współgrając z naturalnymi cętkami czy pręgami, pozostają  
w sierści przez pewien czas, potem blakną i schodzą zupełnie, jeśli procesu się nie po-  
wtórzy. Choć tradycyjne wzory są różne u różnych ras hurijskich, jako że każda z nich  
ma odmienne naturalne ubarwienie, to znaczna część znaków, jak i ogólne zasady  
ich stosowania pozostają uniwersalne. Poza samarami, które nie służą w zasadzie do  
niczego prócz ozdoby, hurie kreślą tatuaże odpowiednie do swej profesji lub pozycji.  
Najważniejszy jest unikalny wzór całego stada, którym tatuują się nawzajem wszyscy*

dłoni powstał z prochów mój bawół, gazela i kilka innych stworzeń. Nikt nie chciał mi powiedzieć, czy dobrze je narysowałem, ale w ten sposób nigdy się już nie poruszyły – zupełnie jakbym je upolował i zagryzł. Przestałem jednak rysować kolejne – te, którym odebrałem życie, przestawały się rozmnażać...

Któregoś dnia, gdy pogrążyłem się w podobnej zabawie, poczułem nagle łaskotanie, może i szczypanie. Poderwałem się jak oparzony i wtedy dostrzegłem Jej przestraszone oczy – parę małych szafirów, opalizujących w nikłym blasku odległej pochodni. Aż miałem wyrzuty sumienia, bo spłoszona umknęła aż do szczeliny koło gieru.

W takiej chwili najlepiej byłoby przekonać ją o dobrych zamiarach, dzieląc się z nią posiłkiem, co zresztą znajdowało potwierdzenie w huryjnych prawach i obyczajach, które znałem rzecz jasna tylko z opowieści. Zacząłem gorączkowo obszukiwać łachmany, które miałem na sobie, ale nie znalazłem w nich dosłownie niczego do zjedzenia – żadnych zapasów na później. Rozejrzałem się po celi, ale nie dostrzegłem w niej ani okruszka – w końcu trudno się dziwić, skoro osiemnaście wiecznie głodnych hurii zrobiło już to samo przede mną.

Gdy powtórnie spojrzałem na szczelinę, Jej już nie było. Widocznie odwróciła się zrezygnowana, widząc, że nic dla niej nie mam, albo myśląc wręcz, że nie chce mieć z nią nic do czynienia. Albo nawet gorzej: że mam ją bomsem, aby schwycić i pożreć, gdy tylko nadarzy się ku temu sposobność... Zresztą tak pewnie by uczyniła zdecydowana większość albo wręcz wszystkie hurie z celi, mając w zasięgu skoku obiekt do zjedzenia – nawet jeśli tak niewielki.

Wówczas obiecałem sobie powstrzymywać swój żołądek i zostawiać choćby pół sajdki<sup>24</sup> każdego dnia. Zresztą bomś i tak nie dawał huriom sił, był nam potrzebny jak psu odzienie – tak zawsze mawiał Haramisha. A Ona być może jeszcze kiedyś zawita do naszej celi, pomyślałem wtedy...




---

*jego członkowie – umieszczając go, zgodnie z tradycją, na plecach. Hurie zazwyczaj nie zmieniają jego kształtu nawet po przejściu władzy przez innego hurię. – przyp. tłum.*

24 Oj... kromki.

Vijani wróciła dopiero w nocy – przywlekała ją para ciurmaków w obstawie klucznika i rakarza<sup>25</sup>. Ten rakarz dał wtedy naszej tigriance dzień pragnijki od arbajtu<sup>26</sup>. Nic dziwnego: Vijani nie mogła stać o własnych siłach, miała niechlujnie opatrzoną nogę, spod zalanych krwią bandaży niemal widać było świeże rany, a jej piękne, białe futro było tak podarte i zabłocone, że w oparciu o sam wygląd ledwo można było ją rozpoznać. Czułem od niej wówczas ten niecodzienny zapach, który czasem tylko towarzyszył strażnikom, a oczy jej błyszczały w taki sposób, jakby przyszła komuś niezłą brode<sup>27</sup>.

Gdy zbrojni odeszli, stłoczyliśmy się konspiracyjnie wokół niej, dopytując o szczegóły. Nim cokolwiek powiedziała, wytargała spod łachów pokazne zawiniątko, położyła przed sobą i rozsupłała. Wtedy rzekła wreszcie:

- Byłam na zewnątrz! A to jest tego dowód. Nie wszystko stracone, ciągle jest tam pięknie i urodzajnie! Jest zwierzyna, drzewa, słońce...

- Dowód? – przerwał jej z rozczarowaniem bodaj Haramisha. – Sądzisz, że jak te psy byśmy ci nie uwierzyli, gdybyś...

Ich słowa przestały jednak mieć dla mnie wtedy znaczenie. To, co ujrzałem na rozwiniętym kawałku brudnej szmaty, było w zasadzie... nieco przyschniętym kawałkiem darni. A ja stałem tam, w gęstym lesie nóg, wpatrzony jak w cud natury. W życiu nie widziałem i nie czułem czegoś równie niesamowitego! Żywa manifestacja marzeń w zasięgu skoku... Niespodziewanie miałem przed sobą najprawdziwszy kawałek wolności – pochodzący ze świata, którego dotąd widziałem jedynie oczyma wyobraźni i szczerze wątpiłem w jego istnienie. Wpatrywałem się niczym w transie w tę *mbarię* splątanych źdźbeł trawy; pomyślałem wtedy, że tak właśnie wygląda step – tylko jest pewnie trochę większy. Wysokie, sterczące jeżodrzewa bujają się na wietrze oblane złotym blaskiem słońca. Skryta w trawiastym cieniu młoda antylopa przeżuwa smakowite, podłużne gałęzie, rwąc je aż przy samej ziemi. Gdzieś obok – jej matka. Ona jeszcze nie wie... Obserwuje. Skupiona.

25 Ciurmak to inne określenie strażnika. Natomiast rakarzem albo łabajem nazwaliśmy lekarza – zawsze był najwyższy jeden, a do tego rzadko pojawiał się na naszą prośbę. Żaden z tych, którzy się przewinęli przez Młyn, nie czuł za wyrażnie swego powołania. Nadawali się raczej na urzędników albo też na kowali – w zależności od tego, którą ich cechę chcielibyśmy rozpatrywać.

26 Czyli dzień zwolnienia od pracy. Dozorcy bardzo rzadko przyznawali komuś taką ulgę w nagrodę – częściej była następstwem jakiś wypadków na poziomie i wydawał ją właśnie rakarz.

27 To jest wykręciła dozorcy jakiś szwindel.

Czeka. Na najmniejszy bodaj ruch... Jak posąg... Teraz! Dźwiga się, dębem staje, piach rwie spod kopyt, targa się bez miary – sus za susem. Skrzypce w pośpiechu pną w górę. Trzech łowców wyskakuje z traw jakby trzy równo wystrzelone pociski, mknące w szalonym, rytmicznym pościgu. Klingą ciał tną powietrze, wrokiem chwytają ofiarę w zabójczym uścisku. Posłańcy Śmierci! Machiny mięśni, napędzane głodem lub sławą! Z każdym skokiem coraz bliżej. Kontrabas w furii, trąby do wtóru! Jedno z widm rzuca się i w locie łapą trąca swą ofiarę. Ta, wytrącona z równowagi, potyka się i upada, ryjąc ziemię z rozpędu. To koniec. To koniec... Gdy oprawca ponownie trąca ją łapą, antylopa obraca głowę i widzi w oddali obok drzewa jak inne widma zagryzają jej...

- Ty słuchasz w ogóle, co się do ciebie mówi? – zapytała, szturchając mnie w ramię, rozeźlona Ugaidi, ta onkianka od buntów i rewolt. – Nie pałętaj się tu pod nogami, pętaku! Czka pod firanki i lipuj<sup>28</sup>!

Pamiętam, że ktoś się wtedy za mną ujął, ale niepotrzebnie – w oka mgnieniu oprzytomniałem i posłusznie umknąłem pod kratę. Podpaść Ugaidi to jeden z gorszych pomysłów, na jakie można było wpaść w celi.

Ciągle mówili z Vijani. Dziwiłem się wtedy, że interesowali się niemal wyłącznie rozmieszczeniem pomieszczeń strażników, długością schodów i liczbą zamykanych na klucz bram, a zupełnie nie przejmowali się ani smakiem powietrza, ani soczystą zielenią drzew, ani nawet magicznie złotym blaskiem słońca.

- Psie gadanie! Swoje wiem! To niemożliwe! – wzburzył się hadhi Haramisha, pardian o wciąż ciemnej mimo wieku sierści i złowrogim usposobieniu: posępny pesymista i mruk o niejasnej nikomu przeszłości, zresztą były *rais* naszej celi. Przewodził naszej *mbarii* od samego początku Młyna, a po latach, choć jeszcze przed moimi narodzinami, rzekł się władzy na rzecz Sharii. Burta darzyła go szacunkiem, choć trudno powiedzieć, by ktokolwiek na poważnie liczył się jeszcze z jego zdaniem – Zmyśliła sobie to wszystko jak pies! – ciągnął dalej Haramisha – Pamiętam bardzo dobrze, że schodziliśmy zaledwie po dwóch ciągach schodów, nie po trzech.

- A juści – rzuciła Ugaidi albo któraś hidaya z tyłu, nie pamiętam. – daleko dęba nie postawimy, jak zaufamy pamięci co poniektórych<sup>29</sup>!

- Wybaczcie, Haramisho – podjął Sharia, starając się może rozładować iskrzące w celi napięcie – lecz i mnie się zdaje, że mądrzej zawierzyć będzie

<sup>28</sup> W wolnym tłumaczeniu: „Uciekaj pod kraty i pilnuj, czy nie nadchodzi dozorca”.

<sup>29</sup> Postawić dęba (albo postójciej: wydebić) to inaczej uciec z Młyna.



aktualnej obserwacji. Przeszło dwadzieścia lat minęło od chwili, w której nas tamtędy prowadzono. Trudno oczekiwać, byśmy dokładnie pamiętali wszystkie te koszmary. Jak dotąd przyjmowaliśmy, że obecnie jesteśmy na drugim poziomie, licząc od powierzchni, podczas gdy pracujemy na szóstym...

Wtedy nasz *rais* podniósł z ziemi mały odłamek cegły, podszedł pod jedną ze ścian i w tej niemal zupełnej ciemności zaczął nanosić na nią schematyczny plan przekroju Młyna. W owym czasie na nowym, szóstym poziomie byliśmy od niedawna – może od kilkunastu dni. Sharia ciągnął dalej:

- Pierwsze schody widzimy nawet zza krat. Zakręcają i dochodzą na jedynekę, tę dość wysoką kondygnację, co ją przed laty murowaliśmy na rusztowaniach. To ta z tymi topornymi filarami o kanciastych kształtach. Znajdujące się tam drugie z kolei schody prowadzą na ostatni, najwyższy poziom, ten z kolumnami... jak to je określiła nasza młoda tigranka? – Rzucił okiem na tę zmaltretowaną i ubłoconą hurysę. – „Kolumnami o fikuśnych kształtach i stropie zniszczonym jak zgryzione do cna żebra”? Chcąc jednak...

- Niedokończonym – wtrąciła Vijani, ściągając na siebie szereg chmurnych spojrzeń innych hurii z celi. – Strop jest niedokończony, a nie zniszczony: pełno jeszcze...

- Nie macie, widać, Shario, ni krztyzny posłuchu w burcie – wciął się w rozmowę inny jeszcze głos – skoro wam drugorzędna hurysa w słowo wchodzi. – To był Janga, cichy i podstępny typ o ciemnej sierści i równie ciemnym charakterze. Rosły i potężny jak na pardiana, choć i tak nieco niższy od Sharii. Podobno też nieco młodszy. Niewiele mówiło się o nim w celi; wiedziałem jedynie tyle, że przed wpędzeniem do Młyna miał pod sobą niemałe terytorium. Wówczas w celi nie odgrywał takiego znaczenia jak w późniejszym czasie, acz nawet wtedy pozycję w hierarchii miał znaczną: był aż trzeci. Drugi był Haramisha, czwarta – Ugaidi.

Na jego bezczelną prowokację nasz *rais* odpowiedział kłami, ogonem i dobitnym warknięciem. To zwykle wystarczało na uwagi Jangi. Po momencie dodał dobitnie, wciąż świdrując pardiana wzrokiem:

- Strop zatem jest zniszczony jak zgryzione do cna żebra. Jednak by znaleźć się na powierzchni gruntu – ciągnął Sharia, zwracając się w stronę nakreślonego na ścianie planu – trzeba przejść na brzeg Młyna i pokonać jeszcze jedno, trzecie schody w górę, tym razem drewniane. Tam dopiero jest „na zewnątrz” – trawa, drzewa i słońce.

Nie trzeba mi było więcej...



- Melduję sierżancie: stan liczebny dziewiętnaście, obecnych dziewiętnaście, zdolnych do pracy siedemnaście, jeden na zwolnieniu.

To zawsze znaczyło, że tego dnia nie będę sam. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, co dokładnie przydarzyło się Vijani, ale zapewne nie bez powodu otrzymała od rakarza jeden wolny dzień. Z racji na jej stan zdrowia sama Ugaidi na tę noc odstąpiła hurysie swą koję<sup>30</sup>. To niemały zaszczyt – szczególnie, że wszystkie cztery sztuki, jakie były w celi, przeznaczone były przecież dla najwyższych postawionych w hierarchii. Reszta kłębiła się w ścisku na zimnej, kamienniej posadzce, przykrytej gdzieś tylko starymi łachami – albo tuląc się do siebie nawzajem, albo za wszelką cenę starając się znaleźć skrawek prywatnej przestrzeni. To z kolei o tyle było trudne, że cela ledwo mieściła nas wszystkich w sobie.

- Chcesz wiedzieć, jak jest na górze? – zagadnęła wreszcie Vijani, gdy naszych wyprowadzono już na poziom, a ja wciąż przyciskałem do futra tą tak zlekceważoną przez innych kępę trawy, prawdziwy dowód istnienia zewnętrznego świata, co go łapczywie zagarnąłem, gdy tylko cela straciła nim zainteresowanie. – W końcu nigdy cię tam nie było, co?

Byłem na górze. Byłem prawie codziennie. Ale nigdy tak naprawdę. Kiwnąłem więc głową, na co Vijani wyraźnie się rozpromieniła – jakby zarażona moim wewnętrznym entuzjazmem. Odstawiła na bok miskę po zupie ze śniadania, ostrożnie podniosła się na koi i, nie zważając nawet na swe wciąż pozlepiane gliną futro, rozpoczęła tę magiczną opowieść:

- Gdy prowadzili mnie wtedy, nie miałam pojęcia, czego ode mnie chcą. Początkowo byłam pewna, że znów zaciągną mnie na górę do kabaryny<sup>31</sup>. Tam tak jak zwykle pewnie by mnie wykorzystali – mówiła dalej, wbijając wzrok w podłogę. – To nawet nie byłoby takie złe, przynajmniej bym się najadła. Od dawna potrafię się już kontrolować. A oni nie są tak straszni, jak ich hekale malują; niektórych to nawet lubię. Taki akt *jamii* to zupełnie inne doznanie niż z hurią. ludzie mają tak niepoważnie gładkie umy... no, zupełnie jak u chekechei, a do tego są tak groteskowo długie...

<sup>30</sup> Kojami nazywaliśmy te prycze zawieszane na łańcuchach.

<sup>31</sup> Czyli do karceru. Najczęściej. Bukaci mieli bowiem w zanadrzu kilka innych strasznych pomieszczeń, które przez naszych zbiorczo nazywane były kabarynami.

tyłe że ich intensywny zapach przyprawia o mdłości. Czasem mam wrażenie, że oni zupełnie nie dbają o higienę. Zresztą na *jamiu* też się nie znają; niektórzy są tak niemrawi i bez życia, jakby to były drewniane kłody, co tak cię jedna za drugą przygniatają całym swym ciężarem, że nie możesz złapać tchu, nie mówiąc już tym bardziej o jakimkolwiek współdziałaniu. Udaję, że mi się to podoba i że sama chcę więcej, bo wtedy są przychylniejsi, ale tak naprawdę to zazwyczaj nie mam z tego żadnej frajdy – no, oprócz tej nadgniłej kiełbasy czy przesuszonego mięsa, którymi mnie wtedy częstują. Zawsze to coś, prawda?

- Ale wtedy – kontynuowała Vijani – gdy zamiast na górę skręciliśmy ku schodom na poziomy, w duchu zaczęłam szykować się na hak, a serce chciało wyskoczyć mi przez krtykę<sup>32</sup>. – Zrobiła wtedy krótką pauzę, aby dodać nieco dramatyzmu. – Tak dociągnęli mnie na szósty, najniższy poziom. Skręciliśmy w korytarz, który drażyła przedwczoraj burta Radży. Zatrzymaliśmy się przed taką wielką kolumną o baśniowych ornamentach i przyporach, zapierających dech w piersiach. Zamarłam rozdygotana z przerażenia. U jej podstawy leżało ciało Remby Roha pogrążone w kałuży gęstej farby<sup>33</sup>.

- Jednakże – mówiła dalej – gdy zbrojni wetknęli mi w ręce jutowy pukiel<sup>34</sup>, a pod nogi rzucili kilka starych szmat, kamień spadł mi z serca. Doszło do mnie wreszcie, po co tam jestem. Rozkazali mi zająć się ciałem tego kwirusa: zawlec je gdzieś na górę i zorganizować mu ten ich cały pochówek. Potem się okazało, że na tym się nie skończyło...

- Wiesz jak zginął? – przerwałam hurysie. – I dlaczego?

- Błędego pojęcia nie mam, dlaczego. Pewnikiem ześwirował, jak ganczają<sup>35</sup>. Ale widziałam... głęboki ślad. Jakby ciachnięty jakimś ostrym narzędziem.

- Iglą<sup>36</sup>?

---

32 Mianem haka określana była w Młynie kara śmierci, niekoniecznie przez powieszenie – łatwiej było ściąć skazańca mieczem niż zorganizować sznury i zapadnie. Rzadko jednak ją stosowano – mimo wszystko te psy widziały w nas raczej niewolników aniżeli więźniów, a nikt przy zdrowych zmysłach nie pozbywa się tak taniej siły roboczej. Jeśli już, to karano winnych, wrzucając ich do karceru – tak jak Arię. No a krtyka to przecież gardło...

33 Chodziło jej o taką czerwoną farbę. Krwiście czerwoną...

34 Pukiel to inaczej worek.

35 Czyli jak to mówią w celi między sobą.

36 Iglą nazywaliśmy najczęściej zwyczajny nóż, acz czasem oznaczała rodzaj ostrego sztyletu przeznaczonego głównie do pchnięć.

Vijani zadumała się i tak mi odrzekła:

- Nie, nie kosa<sup>37</sup>. Ostrze aż przeszło na wylot jakoś tak koło kręgosłupa... Raczej oberwał takim krótkim mieczem, co go te psy noszą zwykle u pasa.

- A ta kolumna? – rzuciłem nieco zniecierpliwiony po chwili ciszy. – Opowiedz o kolumnie!

- Ha. Prawdziwie niezwykła i potężna... W ogóle na szóstce są same baśniowe, cudowne filary. Spodobałyby ci się. W tamtej było coś magicznego i tajemniczego zarazem. Zdobiona niezliczonymi sylwetkami stworzeń, których nawet w snach nie ma. W blasku pochodni sprawiały wrażenie jakby były żywe, a nie z kamienia wykute. Gnane jakimś wewnętrznym wichrem opłatały tę kolumnę pięknie rzeźbione roje duchów i upiórów, nimf wodnych, czartów brodatych, gadów skrzydlatych; stwory w locie przedziergnięte to w ptaka, to w hydrę; inne jeszcze zdawały się przybierać postać robaka albo jednocześnie być i lisem, i lwem. Aż słychać było rzenie niewidzialnych stenów...

Z wielkim trudem się powstrzymywałem, by nie odplynąć w krainę wyobraźni, gdy opowiadała o tym wszystkim.

- Z jakąś nową werwą wzięłam się do tyrki z tym ciałem – mówiła. – Udało mi się wreszcie wepchnąć je do pukla, ale nie miałam pojęcia skąd wezmę siły, by zataczać je na samą górę. Chyba tylko myśl o ponownym wyjrzeniu na powierzchnię podtrzymała mnie na duchu. I... nie zawiodłam się. Jak widać. – Vijani wskazała głową na kępę trawy, którą wciąż ściscałem przy sobie jak największy skarb, potem przebiegła wzrokiem po celi, by zatrzymać się na startych śladach naszkicowanego przez Sharię przekroju Młyna. – Wspinasz się tak po tych wszystkich schodach, przedzierając się przez rzędy charczących twyrasów i wsłuchując się<sup>38</sup>... wsłuchując się w to upiorne tętnienie stalowych butów. A to wcale nie było najgorsze...

- To co było najgorsze? – zapytałem, gdy zamilkła na moment.

- Gdy idziesz dłużej tym ciemnym lasem rzeźbionych filarów, w rozedrganym świetle z przerażeniem obcinasz<sup>39</sup> kolejne kształty demonów, budzących się raptownie do życia. Gnany setką ich śliskich spojrzeń, czując na swym karku chropate łapska tych pokracznych maskaronów, z rozpaczą szukasz wokół jakiegokolwiek ratunku. A jedyne, co odnajdujesz, to te zim-

37 Inne jeszcze określenie noża.

38 Twyrasy to żelazne kraty czy bramy zamykane na klucz przez bukatów.

39 Czyli dostrzegasz.

ne, bukackie blachy, co idą razem z tobą. Jednak w obliczu tej hordy bestii wytarganych z komarunku<sup>40</sup>... w obliczu tej hordy bestii strażnicy zdają się już nie być twoimi oprawcami, a wyłącznymi wręcz obrońcami przed ciemnością.

- Z demonami człapiącymi po twoich śladach – kontynuowała tigranka – docierasz w końcu na najwyższy poziom, ten ponad którym już nic prawie nie ma. Z każdym stopniem czujesz coraz silniej woń traw, kwiatów, ziemi, zwierzyny. Zadzierasz w górę głowę i oslepia cię światło dnia, buchające z dziur i wyrw niedokończonego, ba, ledwo zaczętego stropu. Nie masz pojęcia, jakie to wszystko ogromne... To jakby kamienny las, rozpostarty we wszystkie strony, tyle że jego kolejne warstwy kiełkują z koron drzew, a nie z ziemi. Tu i tam sterczą najeżone maszty rusztowań, niektóre z filarów ledwo co wyrastają z posadzki, inne są wystrzelone w górę pod samo niebo. Co by Sharia nie gańczał, widać, że ciągle dobudowują kolejne poziomy. Mogliby nas bukaci przy takiej budowie zatrudnić, zamiast pod pokładem, to łatwiej by nam było dęba postawić...

- To kto buduje ten najwyższy poziom?

- Pewnie figury, bo któżby inny?

- Muszą mieć stamtąd piękny widok... – odparłem rozmarzony.

- Zapewne, tyle że ten najwyższy poziom zagłębiany jest jakieś dwa metry poniżej rzeczywistego gruntu. To jakby taka zapadnięta w ziemi kotlina porośnięta tym lasem kolumn. Tylko niektóre z nich wybijają się powyżej jej krawędzi. By dostać się na górę, trzeba skorzystać z drewnianych schodów, dolepionych do brzegowej ściany. To tam, na powierzchni (już poza kręgami Młyna) strażnicy kazali mi wykopać grób dla Remby. Potem następne, w sumie cztery czy pięć, by starczyło na zaś. Trzeba przyznać, że bezogoni mają bardzo dziwny zwyczaj zakopywania swoich zmarłych bliskich pod ziemią w głębokich dołach. Im się chyba zdaje, że oddają nam przysługę, że chowają naszych na swoją modłę<sup>41</sup>... Pod koniec kopania ostatniego dołu nagle z hukiem, gruzem i błotem obsunął się na mnie z boku ten przeklęty blok skalny, tak mnie przygniatając, że strażnicy ledwo mnie spod niego wytargali. A uwijali się jakby rzeczywiście byli mymi obrońcami... To

40 Ze snu wytarganych, ze snu.

41 Hurie nie grzebią swoich zmarłych w ziemi, ani nie palą ich na stosach. Zamiast tego smarują ciała zmarłych krwią i składają na specjalnie budowanych kilkumetrowych, drewnianych platformach, pozostawiając je na pastwę drapieżnych ptaków – przyp. tłum.

zabawne, ale poczułam się im potrzebna. Potem opatrzyli mnie jeszcze i na-futrowali uczciwą pajdą giczy z iakka, no i przywlekli tutaj. A do tego sam bratanek Młynarza, Ordin A'Martern, zabronił pozostałym zabierać mnie w tym stanie do karceru, jak to mieli pierwotnie w planach<sup>42</sup>.

- A zwierzyna? – zapytałem prawdziwie zawiedziony brakiem obiecane-go wątku opowieści.

- A rzeczywiście... Widziałam w oddali... słonia. Miał uszy jak wachla-rze i o, takie kły, jak szable ogromne. Aż ziemia się trzęsła, gdy stąpał, o tak – ciągnęła tigranka, dudniąc miską o brzég koi: bam, bam, bam. – Były też... trzy sarny. Pasły się spokojnie na łące, by po chwili dać nura w gęsty las.

- Las? Powiedz, jak wyglądał, Vijani?

- Las jak las. Był... daleko. Choć może nie tak bardzo.

- Ale jak wygląda taki las?

- Wyobraź sobie... trawy, tak, trawy. Takie jak ta tutaj. Szeroki pas ja-snej, soczystej zieleni na dole, zaraz nad nim wąska ciemnozielona smuga, rozświetlona nieco światłem słońca...

- Widziałaś słońce! Prawda, że malowało wszystko na złoto?

- No... tak trochę. Ale wczoraj mocno przycięte było chmurami<sup>43</sup>.

- Chmury? – zagadnąłem zaczarowany. – Widziałaś też chmury!

- Całe tabuny chmur. Cały strop był nimi zavalony.

- Naprawdę wyglądają jak rozrzucony puch pod sufitem?

- Tak... jakby. Polubiłbyś je. Jak byłam jeszcze chekecheą (mniej więcej tak dużą jak ty) lubiłam leżeć w trawie, wpatrywać się w chmury i odgady-wać ich kształty...

- To tak jak z plamami na cegłach?

- Plamy na cegłach? – roześmiała się Vijani. – Nie... Chmury to chmu-ry. I już.

Wtedy wskazałem jej na moją gazelę i bawołu, obrysowanych ziemią na ścianie.

- Aaa... Ja też kiedyś lubiłam rysować. – Nie zrozumiała. A wtedy nie potrafiłem jej tego lepiej wytłumaczyć. Nie dostrzegała ich. Widziała tylko plamy i rysy, a nie drzewa, bizona i hurie, jakie żyły bujnie na ścianach celi. Straciła zmysł ich postrzegania, bo dawno już przestała mu ufać. Wszelkie

42 Nietrudno chyba zgadnąć, że mianem Młynarza ochrzcziliśmy naczelnika Młyna. Naprawdę nazywał się Ordin Ar'Vertei, ale między huriami nikt tak na niego nie mówił. Strażnicy między sobą nazywali go Starym.

43 Przycinać oznacza z kolei zasłaniać. Nie pytajcie, dlaczego.

byty, jakie mimo woli tworzyła jej wyobraźnia, rozum w biegu uznawał za nieprawdziwe.

Proste. A jakże nieskuteczne...

Wszak zabijamy. Jesteśmy drapieżnikami, a i słusznie zwań nas też mordercami. A prócz drzew, zwierząt i huryskich swych braci tępimy także smoki. Nie zdajemy sobie sprawy, że to, co zdaje się nam być martwe, po pewnym czasie ma zwyczaj powstawać z ziemi; to, co u progu dorosłości zwyciężone, bo włożone między bajki, okazuje się być jedynie dobrze ukryte. Powraca niespodziewane i ze zdwojoną siłą nawiedza w koszmarach czy wędrówce po pustych poziomach Młyna wśród nastroszonych ornamentami kolumn jak w wypadku Vijani. Jakby ten wewnętrzny smok nagle okazywał się nie być smokiem zgłodzonym, a smokiem zagłodzonym... Zwabiony lękiem i przerażeniem swego żywiciela w ułamku sekundy budzi się, by palić ogniem wszystko, co spotka na swej drodze...

Nadejdzie dzień, w którym przyjdzie wam zamordować samych siebie. Złóżycie na stosie tych, którymi aktualnie jesteście. Przejrzycie wtedy na jedne z oczu, podczas gdy inne zamkniecie już na zawsze. Stracicie wzrok, a to, co będzie wam dane w zamian, za nic nie odda tego świata, który teraz jeszcze macie przed sobą. Wierzcie lub nie, ale w ceremonii Uhai<sup>44</sup> niemal każdy z nas popełnia to samobójstwo, mordując w sobie własnego, wewnętrznego chekecheę. Ten, kto tego nie czyni, traci rozum i wariuje... albo zostaje poetą...

---

<sup>44</sup> Ceremonia Uhai to inicjacyjny rytuał przejścia z dzieciństwa w okres młodzieńczy, do którego to podchodzą młode, gdy same uznają, że są już gotowe – na ogół po wystąpieniu pierwszej polucji bądź pierwszego krwawienia. Zasadniczo polega na samotnym przetrwaniu określonego czasu (najczęściej 20 godzin, czyli pełnej doby) w obrębie terytorium lub poza nim i pozostanie niepostrzeżonym przez inne hurie ze stada. Jego dokładny przebieg zależy od regionu i wewnętrznych tradycji. Bywa, że młode, które bierze w nim udział, pozostawiane jest w określonym miejscu z dala od rewiru i ma za zadanie odnaleźć drogę powrotną; bywa też, że dodatkowo musi po drodze zdobyć określone (wcześniej przygotowane) trofeum. Ceremonia kończy się rytualnym oznaczeniem zapachem raisa, nadaniem indywidualnego imienia oraz wytatuowaniem na plecach ustalonego wzoru stada przynależnego wszystkim jego członkom. Nieudana próba jest powtarzana co jakiś czas aż do skutku lub aż do śmierci – nierzadko bowiem pozostawione w dziczy młode zagryzane są przez lokalnych drapieżników – przyp. tłum.



- Ależ dajcie mu powietrza! – zirytował się Maarifa, ten z celi obok, gdy na trzecią lub na czwartą dopiero noc przyciągnięto z karceru Arię, tego szalonego pardiana, co rzucił się na bukata w dzień śmierci Remby.

- Nawet mu cętki utruffili – aż jęknęła któraś z hurys zza ściany<sup>45</sup>.

- Połóżcież go na koi! – poruczył któryś. – Ale wara od mojej! – dodał pośpiesznie.

- Kikaj jak mu ogon targasz, kajfusie! – warknął jakże troskliwie Radża<sup>46</sup>. Pomyśleć, że ten rosty tigran ledwo przed kilkoma dniami pierwszy chciał hurowi sprawić wtluki<sup>47</sup>.

Pozostali tylko szeptali między sobą:

- To pastuchy chędożone... Tak boki naszemu oklepać<sup>48</sup>!

Inni odpowiadali coś w stylu:

- A jakże? Choćby tamto będzie się atandzić przez miesiąc<sup>49</sup>.

Aż w końcu, niespodziewanie wszystko to uciął szorstko jakiś nieznamy mi głos:

- Miejsce, hurie! Zróbcie mi miejsce!

Nie uwierzcie, ale te kilka słów w jednej chwili ucięło cały hurgot<sup>50</sup>, jaki panował nad żywymi zwłokami Arii. Jakby oni też słyszeli ten głos po raz pierwszy. Pytając zwróciłem wzrok w stronę Matki, ale sama zdawała się być zaskoczona tym nowym zjawiskiem w burcie Radży. Patrząc tak po sobie, wraz z resztą celi uważniej jeszcze nadstawialiśmy uszu, wyczekując dalszych wydarzeń zza ściany. Później dopiero wytłumaczyli mi, że odezwała się tak Fadhili – młoda jeszcze pardiańska hidaya, która od chwili wtrącenia nas do Młyna nie wyrzekła ani słowa. Aż po tamtą noc... Gdy tak prze-

45 Nie inaczej. Podobno miał tak zabrudzone farbą futro, że nie można było nawet wypatrzeć jego naturalnego ubarwienia.

46 Kikaj, czyli patrz, uważaj. A kajfus to pogardliwe określenie hurii bądź hurianki, którymi wysługiwal się w celi wyżej stojący w hierarchii.

47 To znaczy chciał się na nim wyżyć.

48 Pastuch to inne jeszcze określenie strażnika. Codzienny język Młyna był wyjątkowo bogaty i dosadny pod tym kątem; zresztą ciągle rodził nowe zwroty, gdy stare się już wytarły. A oklepać to inaczej pobić.

49 Mowa o ranach, które długo się nie chciały goić.

50 To jest cały ten gwar.



rwała to swoje wieloletnie milczenie, nikt prócz niej nie ważył się już uchylić ust. Dochodziło nas tylko niemiarowe sapanie poturbowanego hura, tłamszonego przez cierpienie, z rzadka tylko urozmaicone tym nowym, niezwykłym głosem – miejscami miękkim i krągłym, acz w większości najężonym ostrymi i stanowczymi syknięciami.

Jeśli wierzyć opowieściom starego hadha Haramishy – a trzeba wiedzieć, że wśród naszych uchodził on za najzwyczajszego wodolejcę<sup>51</sup> – za młodu Fadhili wraz z zielarką z jej *mbarii* miała ratować od śmierci chekechee przed inwazją wielkiego smoka. To jest Terahandearu. Według innej wersji opowiadanej przez niego historii Fadhili miała być prostą hursyą, przyuczaną bodaj do wikliniarstwa. Gdy pracowała w warsztacie, na jej rodzinny rewir miałby najechać zbrojny oddział lewiatheran<sup>52</sup>, wymordować całą *mbarię* pardianki i pozostawić po sobie zgliszcza. Fadhili miała im umknąć rzeką w jednym ze słomiaków własnej roboty<sup>53</sup>. Innego razu klektał<sup>54</sup>, jakoby jej *mbaria* – ta sama, która w poprzedniej wersji niby zajmowała się najniegodziwszą hodowlą<sup>55</sup> – była tak naprawdę oddziałem wojska, działającego wraz z nią w ruchu oporu. Ceremonię Mahiri przejść miała, zabijając albińskiego żołnierza i żywiąc się jego ciałem oraz krwią w rytuale *Dudii*<sup>56</sup>. Jak większość opowieści Haramishy również i ta miała tyle wariantów

51 Czyli innymi słowy jego opowieści rzadko miały coś wspólnego z rzeczywistością.

52 Świętych rycerzy, brzydzących się fizyczną przemocą.

53 Słomiakami nazywaliśmy w Młynie wszelkiej maści kosze. Zatem przeważnie te, które służyły na poziomie do wynoszenia odkutego gruzu czy ziemi.

54 To jest opowiadał.

55 *Pozyskiwanie pożywienia poprzez hodowlę zwierząt uchodzi wśród hurii za niegodne lub wręcz haniebne, a w najlepszym razie przyczynia się do pogorszenia smaku potraw – przyp. tłum.*

56 *Mabiri to drugi (po ceremonii Uhai) i ostatni hurijski rytuał inicjacyjny na drodze ku dorosłości, udowadniający przydatność hurii bądź hurianki do życia w stadzie. Polega na samodzielnym upolowaniu dużego zwierza (choćby antylopy lub gazel), acz im trudniejsza zdobycz, tym większy awans w hierarchii), przejściu rytuału Dudii (czyli skonsumowaniu surowego ciała i krwi ofiary w celu przejścia jej demona) i podzieleniu się zdobyczą z resztą stada. Udana próba kończy się spółkowaniem z raisem bądź mrongo (hurianką-przewodniczką, niekoniecznie najwyższą w hierarchii). Dopiero po rytuale Mabiri huria bądź hurianka staje się pełnoprawnym członkiem stada i zyskuje właściwe przywileje, status społeczny i pozycję w hierarchii. Oba hurijske rytuały inicjacyjne są skupione przede wszystkim na praktycznej (głównie łowieckiej) stronie przyszłego dorosłego życia, przez co właściwie w ogóle nie sprawdzają tych cnót ducha, które tak pięknie demonstrowane są w naszych ceremoniach przechodzenia w dorosłość. W dodatku oba są praktycznie takie same dla obu płci, a hurie przystępują do nich nie*

tów, ile razy była opowiadana... Z czasem zaczęły mi one przypominać moje plamy na ceglach – one również zmieniały kształty za każdym razem, gdy patrzyło się na nie od nowa.

Tamtego dnia, już po śniadaniu i jakiś czas po zejściu naszych na poziom, usłyszałem ten charakterystyczny, regularny zgrzyt metalu o kamień, zwiastujący schodzącego po stopniach strażnika. Trach – jęknęła główna kratka. Po chwili rozszalała się po ścianach zimnoniebieska luna pochodni. Zdaje się, że napełniałem właśnie miski, toteż wcisnąłem się w kąt obok kratki ściekowej. Serce podeszło mi do krtyki. Aż słyszałem, jak lęk nim targał. Bukaci zwykle nie schodzili za dnia – pewnie dlatego pomyślałem, że to jakaś poczwara ucieka spod mocy którejś kamiennej kolumny; że to jakiś demon człapie paskudny. Krzywymi rogami zahacza o ściany, a zdrewniałym, kolczastym ogonem tłucze o schody jakby wlekl za sobą całą szpulę łańcucha. Właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że to człapanie, jakie słyszałem, wcale nie było tak regularne, jak zdawało się na początku, a stukający nierówno ogon wydał mi się dziwnie znajomy. Sprawiało to wrażenie, jakby ktoś utykał... Aż niemal się uśmiechnąłem do tej wizji rogatej bestii z łańcuchem, gdy doszło do mnie, że zbliżał się na poziom nikt inny jak klucznik – ten sam kulawy strażnik z drewnianą nogą i w dziwnej zbroi, który ledwo kilka dni wcześniej podszedł pod franki i tak osobliwie oznajmił, kim jest, traktując mnie, tigrzańskiego chekecheę, jak równego sobie, a nie jak więźnia czy niewolnika.

Kiedy tak kuśtykał obok kraty, już miałem odwzajemnić mu uśmiech, ale nawet nie obejrzał się w moją stronę. Poszedł dalej i zatrzymał się przy celi obok. Przyszedł po Arię? Chce go wyciągnąć i z powrotem wetknąć do karceru? Sam? Bez papug? A może chce go uwolnić? Słyszę już w głowie jęknienie klucza, przekręcanego w zamku, gdy klucznik wychylił się i zagadnął do mnie:

- Trzyma się jeszcze?

Nie odpowiedziałem.

- Ledwo widać, że dycha – spróbował raz jeszcze, wskazując niedbale celę obok. – Jak tam z nim? Pewnie coś słyszałeś, mały?

---

*po osiągnięciu określonego wieku, jak to dzieje się u nas, a wtedy, gdy sami uznają, że są gotowi na próbę. – przyp. tłum.*

- Jest... nie... nieprzytomny – wydukałem po albińsku. – Ale to wy go ukaraliście! – Nie wiem czemu spośród mnóstwa myśli, kłębiących mi się w głowie, wyrzuciłem z siebie właśnie tę...

Westchnął, lewą ręką chwycił za któryś z prętów, spuścił na moment wzrok i dopiero po chwili odparł ten mój atak:

- Widzisz... Brzydzimy się karą! Karanie ciała jest jednak jedynym sposobem, by uzdrowić duszę. Ciało jest tylko pośrednikiem, narzędziem. Karzemy je, odbieramy mu wolność i nakazujemy pracę, by dotrzeć głębiej. A przynajmniej to mówi się tym, co przychodzi tu służyć. Jestem pewien, że gdybyśmy tylko mogli, nie zadawalibyśmy wam bólu i cierpienia. Bowiem ten, kto by karą dla bólu i cierpienia, sam stałby się godnym ukarania.

Nic wówczas nie zrozumiałem z tego, co powiedział.

- Może dlatego mam wrażenie – ciągnął dalej, gdy już z pewnym trudem, chwyciwszy się mocniej prętów, usiadł pod celą na ziemi i znacznie stłumił głos – wrażenie, że straż splamiła dobre imię swego domu. Ten święty zakon stał się siedliskiem oprawców, co czerpią przyjemność z dzierżenia władzy. Być może ta ziemia – a w palcach przesypywał wówczas pył, pokrywający posadzkę – być może ziemia, po której stąpamy, jest przeklęta? Cóż innego by tłumaczyło to, że ich serca z każdym dniem stają się twardsze, a umysły coraz to bardziej zaślepia mrok...? Nie tegom się spodziewał, zmierzając do waszej huryskiej kopalni. – „Naszej huryskiej kopalni”... tak nikt nie mówił na Młyn... A przynajmniej nikt ze strażników. Bezogoni uznawali te podziemia, zresztą tak jak i krainę, w których się znajdowały, a nawet nasze rdzenne, zamorskie ziemie, za swoje własne. Te ostatnie mają w ich języku wręcz swoją nazwę: mówią na nie Swannah. Podobno już przed wiekami te jak i inne tereny były im zapisane w jakiejś ich świętej księdze, którą czcili i wypełniali co do joty.

Klucznik, przełknąwszy ślinę, snuł dalej swe przedziwne wyznanie:

- Gdybym tylko był na siłach, ruszyłbym na front, by jak wszyscy bronić dobrego imienia Terahandearu. Jednak z tej nogi nie byłoby tam wielkiego pożytku. Cóż więc innego miałem czynić? Wyruszyłem, licząc, że choć tu na coś się przydam... Wiesz, mały, jakaś część mnie wierzy, że tą samą podążyłby drogą mój ojciec, Turam At'Timmerach Żelazna Brama, gdyby stanął przed podobnym wyborem i... gdyby Krucza Armia nie odebrała mu życia. Gdy kiedyś wrócę do domu, to może któreś z drzew bądź któraś ze skał przemówi do mnie tchnięta jego duszą, to zapytam go wtedy o zdanie.

- To one... mówią? – zapytałem zafascynowany samym już tego wyobrażeniem. – Te drzewa i skały? – dorzuciłem zaraz.

- Ależ nie... – roześmiał się po chwili, jakbym go zbudził z zakurzonych wspomnień lub marzeń. – To tylko stare wierzenia; przesady w zasadzie. Powiadają, że dusza prawego człowieka nie ginie, lecz po śmierci zdomawia się w jego ojczystych ziemiach. Z czasem wrasta w korę drzewa bądź w rzeźbę kamienia, by pozostać tam już po kres wieków. Bywa nawet, że silna dusza odciska w tej nowej formie swój dawny kształt, do którego przyzwyczała się za życia. I dlatego, jak powiadają, można czasem dostrzec w korze bądź w kamieniu rysy twarzy swych bliskich. Ci przemówią, jeśli tego zechcą; zaś ich bliscy usłyszą, jeśli będą potrafili jeszcze słuchać.

- A czy... dusze żywych też się mogą tak odcisnąć? – zagadnąłem z niepokojem, myśląc o Sharii i innych huriach, których sylwetki przecież niemal codziennie dostrzegałem w kamiennych ścianach celi.

- Ależ to tylko stare bajki! Nikt w nie już nie wierzy...

„To mogą się odcisnąć, czy nie?”, zapytałem oczyma zniecierpliwiony.

- No cóż. Jeśli już o tym mowa, nigdy o tym nie słyszał, by ktoś ujrzał duszę bliskiego, który by jeszcze żył. To musiałoby przecież znaczyć, że ten bliski tę swą duszę stracił. Słyszałem legendę o człowieku, którego zwali Złodziejem Dusz. W rękach swych posiadał tak niebywałą zdolność posługiwania się dłutem, że z drewna, jak i z kamienia rzeźbił nad wyraz wierne figury. Były one tak doskonałe, że po ich ukończeniu dusze z ciał, będących Złodziejowi wzorcem, traciły rachubę. Zauroczone przechodziły w kamień lub drewno, by zostać tam już na zawsze. Porzucone ciała z czasem przypominały już tylko martwe szkielety drzew, wypalonych piorunem od środka: bez tchnienia, bez serca i bez życia w sobie. Długo ścigano Złodzieja Dusz za jego zbrodnie. A gdy wreszcie go schwytano, odcięto mu dłonie, by nie mógł już rzeźbić. Niektórzy są jednak zdania, że ujęto jedynie jego miernego naśladownika, podczas gdy prawdziwy Złodziej Dusz nigdy nie został odnaleziony...

Te słowa przeraziły mnie wtedy na dobre – bardziej niż kolumnowe bestie i poczwary, dzwoniące łańcuchami. Chyba od wtedy zacząłem myśleć o Młynie jako o przeklętym miejscu, które ze wszystkich wysysa dusze i przechowuje je gdzie popadnie – choćby wykuwając ich oblicza w kamieniach ścian<sup>57</sup>...

---

57 Akurat wykuwać to nie rzeźbić w kamieniu, ale tatuować.

Jakiś tydzień później ponownie się pojawił pod celą. Pamiętam to doskonale, gdyż ofiarował mi wtedy cały kawał dorodnej, suszonej kiełbasy. Dla kogoś, kto przez całe życie żywił się najrzadszą wachą i zapachem nieswieżej wołowiny, było to jak odkrycie do czego służy własny ogon albo jak pierwsza zakazana wycieczka poza rewir *mbarii*. Nigdy wcześniej nie doznałem czegoś równie wspaniałego – takie przysmaki nie zdarzały się przecież nawet w najlepszych raketach<sup>58</sup>. Zaszlepiiony tym aksamitnym, wręcz krzyżującym smakiem, w oka mgnieniu wszamałem całość, nie myśląc nawet, że mógłbym się tym z kimś podzielić<sup>59</sup>. W każdym razie gdy tylko uświadomiłem sobie, że – zgodnie z tradycją – moją pierwszą w życiu zdobycz powinienem był rozdzielić na całą *mbarię* albo wręcz ofiarować *raisowi*, to jest Sharii, zaczęło mnie zżerać poczucie winy.

Matka wywachała od razu tę luksusową kiełbasę, gdy po powrocie burty z poziomu witałem się z nią, garnąc się do jej zmęczonej sierści jak co dzień.  
- Skąd to zrajbowałeś? – zapytała<sup>60</sup>, a z głodu patrzyła na mnie, jakbym to ja był kawałem suszonego mięsa pierwszego gatunku, jakiego od lat nie miała w ustach.

Takie pytanie rzucone w celi nigdy nie pozostawało bez reakcji. Przyciąga hurie jak padlina – sępy. Gdy powiedziałem w końcu, od kogo to otrzymałem i ile tego było, Ugaidi tak się spieniła, że dzwignęła mnie za skórę i tak przydusiła do ściany, że kłami niemal mi oczy wykołała<sup>61</sup>. Wlepiła solidny kwit<sup>62</sup>, wyzwała od tępych futer, udzieliła kazania o huryskich obyczajach, których w tej rzeczywistości i tak nikt już nie przestrzegał, i pod groźbą solidnych wtluków przykazała, bym kitrał<sup>63</sup> gdzieś wszystko, co dostanę od klucznika i potem oddawał to celi – byle tak, aby nie dowiedziały się o tym inne hurie i... inni strażnicy. Nakazała też, bym jakimś sposobem wyciągnął od bukata więcej takiego towaru. Pewnie warczałaby na mnie dłużej, gdyby nie było już słycać kolejnej burty, wracającej z poziomu.

Od tamtego dnia Turam schodził niemal codziennie na obchód. A w zasadzie pod pozorem obchodu przychodził pod celę. Jeśli tylko na poziomie byłem sam, zawsze miał coś dla mnie na ząb, choć doskonale

58 No, o raketach z szamunkiem mówię przecież – tych premiowych porcjach dla najlepszej celi.

59 Wszamać, czyli zjeść tak łączywie, jakby się nie miało nic na kaflach od tygodnia.

60 To tak samo jakby spytała „Gdzie to znalazłeś?”

61 Spieniła się, czyli się zdenerwowała. Mówiąc ogłędnie...

62 To znaczy karę lub – jak w tym wypadku – tylko naganę.

63 Chował.

wiedział, że prawie wszystko zostawiam dla pozostałych – na jego oczach chowałem to w misce z wodą, by nie roznosiło zapachu... Filantropia? Fanaberia? Odkupienie win? Przyjaźń? Długo sam nie wiedziałem. Acz zdaje się, że wszystko miało swój początek w chwili, w której z dziecięcą fascynacją zadałem mu jedno pytanie. Wabiony wyobraźnią, zapytałem, czy to prawda, że, walcząc o ten jego Terahandear, szedł w zbrojnym korowodzie, co okazał się smokiem być kolczastym i jak wąż o łuskach z metalu wśród dzikich krain brodzić?...



Zadziwił się wpięrow i zamyślił; przygryzł wargę, a wzrok odwrócił, spoglądając gdzieś daleko poza celę.

- Dziwne pytanie... Ale szedłem. Zaiste – odrzekł wreszcie, niemal dziwiąc się własnym słowom. – Dawno temu.

- I wtedy straciliście nogę? – zapytałem.

Turam gwałtownie spojrział w moją stronę, przyjrzał mi się dobrze już po raz któryś i bez przekonania począł kiwać głową.

- Wtedy... W walce o moją ojczyznę. Ale zawiodłem. Zawiodłem... Być może jest jeszcze nadzieja. – Ostatnie słowa wyszeptał, tak się we mnie wpatrując, jakby to we mnie nadzieję tę widział. A ja z czasem dostrzegłem nadzieję w nim.

Bowiem gdy niemal każdego dnia podchodził pod celę, zabierał mnie ze sobą poza Młyn – w zupełnie bliskie, jak i w całkiem odległe strony. Pokazywał mi bujne lasy pełne dzikich zwierząt, skaliste góry o ostrych grzbietach, łąki tak zielone i żywe, że aż słychać gwar rozmów prowadzonych przez trawy. Podziwiałem wodę – tę śpiącą w wielkich misach jezior; tę leniwą, co rozpycha się w korytarzach rzek na boki; jak również tę rozwścieczoną i głodną w rwących potokach, co z pasją więźnia drąży skały przez wieki. W gęstym krajobrazie czasem tylko chata pasterska błysnęła; a czasem dochodziliśmy do niewielkich osad pocziwych drwali, górników czy też rolników, co mają w swym zwyczaju kłuć motykami pola<sup>64</sup>. Czasem zdarzało

64 Oj, takie już mają tradycje. Bezogoni, kłując ziemię, ponaglają ją do wydania na świat roślin, które potem ścinają i sami zjadają lub dają do zjedzenia hodowanym przez siebie zwierzętom.

się nawet, że przekraczaliśmy bramy wielkich miast – zamieszkałych przez ogromną liczbę ludzkich *mbarii*, ciasno skupionych w wielopiętrowych, kamiennych domach ustawionych gęsto obok siebie; a mimo wszystko działających niczym niezawodne maszyny, wprawione w ruch ręką zmyślnego olbrzymia.

Pokazał mi niemal cały Terahandear. Zwiedziłem wszystkie jego prowincje, słuchałem o ich prawach, historii, zwyczajach, wierzeniach. Mógłbym o nim opowiadać tygodniami, choć tak naprawdę poznałem go dopiero z ust Turama. O „wielkim smoku” mówili bowiem już wcześniej i nasi – jak choćby Haramisha w swych niespójnych wynurzeniach albo Dhahiri w ramach tego jej programu tajnej edukacji czy choćby Matka w zatartych emocjami wspomnieniach o inwazji. Trudno ich przecież winić za to, jak oceniali swego najeźdźcę. To jest naszego najeźdźcę. Oczywiście jeszcze mieli zalane krwią swych bliskich, a serca – zasypane gruzem codziennej pracy.

W celi nikt nie wierzył w takiego „wielkiego smoka”, o jakim wówczas opowiadał mi Turam. Dla nich to było straszliwe monstrum, wchłaniające w otchłań swej paszczy całe kraje i wysysające życie z ich mieszkańców. Mi jawił się jako boskie stworzenie, które rozpostarło swe skrzydła nad tabunem dolin, a poskręcany kręgosłupem rozerwało ziemię legionem górskich pasm. Drogi niczym tętnice. Zdradzają, że gdzieś tam pod łuskami murów szamota się olbrzymie serce, żywiąc inne organy, zbudowane na kształt miast. Krążą między nimi surowce i ich produkty. Ludzie to cząstki najmniejsze – tak maleńkie, że nie widać ich gołym okiem. A mimo tego każda ma swoją określoną funkcję i bez wyjątku każda jest „wielkiemu smokowi” potrzebna. Nie prowadzą między sobą handlu wymiennego, jak to czynią czasem między sobą huryskie *mbarie*, a najprościej w świecie przekazują produkty swojej pracy tym, którzy ich potrzebują. I tak zwierzyna upolowana przez łowców bądź ten ich chleb sporządzony przez piekarzy, trafia do pracujących pod ziemią górników. Górnicy wydobywaną spod ziemi rudę żelaza przekazują w ręce hutników. Ci z kolei przetapiają ją w takiej tigrzańskiej ziemnej dymarce lub w jeszcze większym, gorącym piecu, by trafiła do kuźni. Tam kowale przeistaczają ją w broń lub zbroję, która trafia dalej w ręce wojowników, broniących granic imperium, bądź w narzędzia, które przekazywane są znowuż rybakom, łowcom czy piekarzom, by mogli zaopatrywać wszystkich pozostałych w pożywienie. Wszystko to tworzy jednolity, spójny organizm – w końcu wszyscy są cząstkami tego samego „wielkiego smoka”, cząstkami jednej ogromnej *mbarii*... Straszliwe mon-

strum i boskie stworzenie... Kto by pomyślał, że można być jednocześnie jednym i drugim?

Raz tylko wspomniał Turam o cząstkach wadliwych, niesprawnych, które pragną dóbr tylko dla siebie, które buntują się przed pracą lub co gorsza przed całym systemem. To nic innego jak choroba – tak mówił, choć bez przekonania. Bywa, że tacy wadliwi ludzie w imię Terahandearu są zabijani przez własnych braci; bywa, że są pozbawiani kończyn, a na czołach wypala się im odpowiednie piętno zdrajcy; w najlepszym wypadku trafiają na front lub banicję.

Był moim przewodnikiem. Przewodnikiem i stróżem zarazem. Choć w zasadzie jawił mi się jako malarz, co słowami jak pędzlem tworzył świat prawdziwszy i wyrazistszy od rzeczywistości. Gdy mówił o łąkach, kręciła mi w nosie woń polnych kwiatów; gdy zabierał na gołe stoki, złoty żar gorącego słońca palił mnie po rękach; gdy pod swą peleryną prowadził w burzę przez bagna, nogi mokre miałem z mułu, a sierść z każdym grzmotem jeżyła mi się na karku. Z lęku chwyciłem się prętów krat, by nie porwały mnie przypadkiem te wyśnione wyobraźnią krainy, nie będąc już do końca pewnym, który z tych światów dzieje się naprawdę.

- Daleko jeszcze? – dopytuje się zmordowanym głosem Vijani, brodząc w wodzie po skoki. Jej umorusane od błota białe futro zalewają gęste strugi deszczu.

- Baczmy na drogę! Nietrudno stracić tu życie! – ostrzega Turam, tym mocniej jeszcze ściskając mnie za rękę. Jego przemoczona, zimna peleryna, pod częścią której brnę przez to bagno, majta mi się po oczach i wcale nie chroni od wody. Milczę jednak.

W ciemnym mroku, łamanym jedynie przez nikły błękit latarni, błyskają gałęzie drzew, zwinięte w węże albo w węzłomoki. Kłębią się przyczajone, zdobycz świdrując ślepiami. Czyhają skupione, by choćby zmokłą łuską prześlizgnąć się po ramieniu; by zdrewniałymi pazurami zaryć nastroszone futro; by wreszcie paszczami mięso rozszarpać, pożreć lub zatruć. Grom za gromem ryczy, a pioruny wśród huku rozrywają niebo, błyskając sylwetkami bestii, co podstępnie wślizgują się do umysłu przez otwarte szeroko oczy. W jednej z takich chwil ognistym światłem lśni jaskrawo skrzydlaty smok w kłębek zwinięty!

Turam jak w ziemię wryty staje i tak mnie do siebie przyciąga, że mi niemal ramię wykręca. Tak za miecz szarpie, że ten aż stałą jęczy. Smok w mroku skryty przez nozdrza sapie; podmucha nas w ziemię wtlacza,



gdy skrzydła prostuje; gałęzie trzaskają, jak szyję wygina; zaraz piekielnym ogniem zionie! Już jego czarny kontur na czarnym niebie widać, gdy piorun kolejny błyska. I nagle smok znika. Ostała się po nim tarcza o drzewo oparta z wytartym wizerunkiem jego skrzydlatym w kłębek zwiniętym.

- Na Święte Prawa! Toż to Krucza Armia! – trwoży się Turam, badając znalezisko w łunie latarni. – Musieli niedawno przekraczać te strony. Jak zdołali dojść tak daleko od frontu? Pozostaje mieć nadzieję, że te przastare moczary zabrały wszystkie ich plugawe kości pod ziemię.

Dysząc jeszcze ciężko przez smoka, staram się panować nad strachem, lecz prócz skłębionych w gałęziach węży wszędzie dostrzegam sterczące włócznie i miecze czatującej w mroku Kruczej Armii. Powoli tracę pewność, czy rytmiczny chlupot za nami to Vijani czy też żywy truposz pozostały z oddziału, depczący nam po śladach. Przerażony i do cna przemoczony ściskam ze wszystkich sił żelazną rękawicę Turama. Tak mocno, że aż metal pęka, a dłoń w uścisku kruszy się w proch! Kamienieję jak sparalizowany, gdy orientuje się, że ściskam właśnie garść kości urwanej ludzkiej ręki! Z uszami po bokach spozieram w górę i...

- „Czego dusza pragnie?“, zagadnął tubalnym głosem, patrząc na mnie z wysoka. Lecz nie zdążyłem nawet się odezwać, a pokiwał głową i zaprosił do środka, za odpowiedź biorąc pewnie trzaskającą piorunami burzę i moją mokrą od deszczu pelerynę. Poleciał mi usadowić się przy kominku, którego boki stanowiły dwa marmurowe, pięknie rzeźbione lwy, stojące na tylnych łapach. „Mój syn je uwielbia“, rzekł, gdym się im przypatrywał. Podeszedł do ognia. Jego zadbane futro zalśniło w magicznym, żółtozłotym blasku. Uchylił pokrywkę i swym długim nosem poniuchał warzącą się pod nią strawę. Stwierdzając, widać, że odpowiednio jest już przyprawiona, nalał jej z dwie chochle do miski, którą podał mi z szacunkiem swą włochatą ręką, po czym naszykował podobną porcję dla siebie.

To Turam to mówił. Siedział na posadzce korytarza oparty o kraty i wpatrzony w mrok opowiadał mi o swojej przeprawie przez bagna. Potrzebowałem sporej chwili, bym wrócił do rzeczywistości, od której po raz kolejny oderwała mnie moja własna wyobraźnia.

- Gdy usiadł wreszcie naprzeciw – ciągnął dalej Turam – zagadnął do mnie: „Pijcie. Spragnieni jesteście i głodni. Ciężka podróż za wami?“. Przemierzałem wówczas amfiońskie wybrzeże, będąc w połowie drogi z Bocci do starego miasta Caccia. Pomyślałem jednak głównie o tej burzowej przeprawie przez zalaną bagnami drogę na Sterburtę od Pesce, jaką przebyłem

z miesiąc wcześniej. Nim w głowie skleciłem z tego jakiegoś zdanie, pociągnął łyk zupy i przyznał zamyślony: „Zaiste to niepokojące widzieć świeże ślady Kruczej Armii na moczarach Grande Flume. Od przeszło trzydziestu lat po ziemi tej nie stąpali nieumarli. Po zakończeniu wojny z Chaosem horda truposzy torowała sobie drogę na Sterburtę przez nasze, amfiońskie ziemie. Przedarła się przez fortyfikacje w Fragilitach i staranowała Resistencję, zalewając całe połacie Płaskowyżu zniszczeniem i zepsuciem. Wielu z naszych poległo, by się przeciwstawić złu i odepchnąć je z powrotem na Bakburtę. A teraz, gdy Terahandear wiedziony przez tego Galathara Ar’Tirei po tylu latach przybywa nam z odsieczą i lokuje swe siły na Płaskowyżu<sup>65</sup>, ty masz czelność umykać w głąb Amfii? Nie tu twoje miejsce, człowiecze! Wrócisz na front wesprzeć swą ojczyznę, tę która ocaliła ci życie i nauczyła Praw! Odbierzesz tym diabelskim hordom to, co bezprawnie wzięły za własne! Znajdziesz sposób”. Tak urwał, a przysięgam, że nie odezwałem się dotąd ani pół słowem. Doznałem olśnienia. Doszło do mnie, że oszukiwałem sam siebie. Jedynie zdawało mi się, że szedłem do Cacci prosić o wsparcie, ale tak naprawdę uciekałem przed Kruczą Armią, której lękałem się okrutnie. Tamtego dnia powziąłem decyzję, by zaciągnąć się do oddziałów Terahandearu i obronić ojczyznę przed złem.

- Nie miałem pojęcia – rozmyślał na głos Turam – skąd ten amfion to wszystko wiedział, choć przecież niczego mu nie powiedziałem? Jak poznał, kim jestem? Jak odgadł trasę mej wędrówki i jak zobaczył tę tarczę Kruczej Armii na bagnach? Wreszcie pojąłem, że czytał w moich myślach! Już miałem się tym faktem oburzyć, gdy doszła mnie zadziwiająca prawda, acz nigdy nie byłem pewien, jaką dokładnie drogą trafiła mi do głowy. W ten przedziwny sposób łatwiej i celniej było mu słuchać swych gości aniżeli za pomocą uszu; łatwiej i celniej było mu także do nich mówić: bez użycia ust i języka. Dopiero wtedy zorientowałem się, że ten amfioński mistyk nie wypowiedział na głos jeszcze ani jednego słowa. Wszystkie, jakie usłyszałem, pojawiały się w moim umyśle zupełnie bez pośrednictwa zmysłów. Nigdy nie sądziłem, że milczenie może okazać się tak... pełne treści. Jedyne, co wypowiedziałem na głos podczas całej wizyty to bodaj „Dziękuję za gościnę”, gdy z rana żegnałem się z nim w drzwiach jego wieży. Odparł na to, również na głos: „Wiem przecież, wiem...”, jakbyśmy znali się od dekad...

*65 Odsiecz Galathara Ar’Tirei to fakt historyczny – wyzwolenie bakburckiej Amfii (w tym Płaskowyżu Amfiońskiego) i odbicie Resistencji miało miejsce w pierwszym roku 17 cyklu. – przyp. GE.*



Jak to mówią, nie godzi się rannego zostawiać na pastwę innych. Wróćmy zatem do tamtego dnia, w którym miałem za ścianą Arię – tego, co się rzucił na strażnika, gdy zabili Rembę Roha. To było jeszcze przed tym, jak Turam przyniósł mi tę luksusową kielbasę. Ten Aria, huria o krwi gorącej jak rozpalony tigrzański piec do metalu, przybył z karceru w tak przerażającym stanie, że nikt nie myślał się na nim wyżywać za bukackie kary. Był tak poturbowany i pokaleczony, a sierść miał tak powydzieraną i pozlepianą własną farbą, że zdawało się, jakby ktoś wyrwał go z paszcz rozwścieczonej sfory psów. To, co tam działo się z nim naprawdę, nie było wcale lepsze. Gdy przywlekł go do celi, naprzemian to tracił, to zyskiwał przytomność – krztusił się krwią i z bólu jęczał w malignie mimo starań Fadhili, jego milczącej siostry. Hurie szybko straciły dla niego cierpliwość – uciszali go zarówno z burty Radży, jak i z naszej. Ktoś chciał go nawet zakneblować. To prawda, trudno było w takich warunkach porządnie się wyspać. Jakbyśmy darzyli litością tylko tych cierpiących, którzy nie wymagają od nas poświęceń. Dopiero po kilku dniach Aria na tyle doszedł do siebie, że odezwał się zza ściany:

- Przekłęte kolumny! Wszędzie ich pełno!

Nie miało to wiele sensu, ale zaciekało mnie na tyle, że porzuciłem zabawę w rzeźbienie gór z derek porzuconych w pośpiechu na posadzce i podszedłem ostrożnie pod firanki.

- Kolumny? – zapytałem nieśmiało.

- Jak króliki się mnożą! – zdawał się mnie nie słyszeć. – Diabelskie, zapatrzone w siebie, egoistyczne pomioty! Myślą, że prawo do tego mają! Myślą, że świat zbawiają, a zatruwają go jedynie maskarami swymi! Ze trzewi swych jedynie diabły szkaradne wypływają! Zaraza!

- To wszystko robią te kolumny? – rzuciłem powoli, nic nie rozumiejąc z tego, co mówił.

- Zaraz! Ktoś ty? Czego chcesz?

Źle. Nie poznał mnie.

- Jestem chekecheą z celi obok – powiedziałem. – Tuż za ścianą.

- Brednie! Nikogo tam nie ma!

- Ale przecież do was mówię, Ario...
- Aria. No tak. Dobre imię. Może być. Pasuje do mnie...
- Ale przecież właśnie tak macie na imię!
- Cicho! Nie powinno cię tam być, chekecheo.
- Ale... Ale przecież jestem tu od zawsze!
- No, może i tak... Prawda, był tam kiedyś jakiś chekechea.
- To właśnie ja!
- Zapomniałem o tobie.

Nie wiercie, jeśli nie chcecie, ale rozpromieniłem się tą rwaną wymianą zdań. Niektórzy wracali z karceru, nie wiedząc, gdzie i kim są. A mi zdało się wówczas – być może nazbyt naiwnie – że jednak poznał mnie po głosie, czyli nie było aż tak źle. Choć to fakt, coś w nim jakby się odmieniło.

- Proszę, powiedzcie mi więcej o tych kolumnach, Ario – poprosiłem najgrzeczniej, jak tylko byłem w stanie.

- Przestańże mi rapcie zapychać, chekecheo<sup>66</sup>!

Po chwili Aria dodał jeszcze tylko:

- Dajże leżeć!

Cóż robić? Zamilkłem. Przelękniony i najeżony jak szczotka uciekłem w góry – to znaczy do rzeźbienia ich materiałowych szczytów i grzbietów, rzecznych koryt i zagłębień na jeziora. To taka zabawa była. Kiedyś nawet wpadłem na genialny pomysł, by tak tworzone rzeki i jeziora zalać prawdziwą wodą. Jednak jak hadhi Haramisha, wróciwszy z poziomu, odkrył dobrze nawodnioną górzystą krainę w swojej własnej koi, szybko oduczył mnie wpadania na genialne pomysły... Tamtego dnia bardziej nasłuchiwałem, czy coś jeszcze powie ten pardian zza ściany – uszami jak pająk siecią rozpostartą chywałem wszelkie dźwięki i szmery z celi obok.

---

66 Rapcie to po prostu uszy. Czasem mówiło się też: słuchy. Słownik Młyna, jeśli nie liczyć określić strażników, był szczególnie obfity w nazwy huryskich części ciała. To zresztą zdaje się być typowe dla języków w ogóle, tylko może zamiast na dwadzieścia jeden sposobów nazywać bukatów, nazywa się tyle razy coś innego. Turam wspominał mi kiedyś o ludach z dalekiej rufy, które mają dwadzieścia jeden określeń na śnieg. Długo musiał tłumaczyć, na co komu nazywać go na dwadzieścia jeden różnych sposobów, no i czym w ogóle jest ten śnieg. I tak uwierzyć musiałem mu na słowo, aż w końcu pewnego dnia zmarznięty i mokry przyniósł go trochę z powierzchni specjalnie dla mnie. Prawdziwy śnieg! Żałuję, że nie mam tu go choć trochę, by wam pokazać, co to takiego. To coś w rodzaju białej, zimnej i mokrej gliny. Byłem nim niezwykłe zafascynowany, choć on mną – chyba mniej, skoro oblał go zimny pot, skurczył się i zmalął tak bardzo, że aż uciekł mi przez palce.

- Diabły szkaradne! – ryknął ni z tego, ni z owego Aria. – I co patrzają wlepiasz, szara mordo<sup>67</sup>? Złazże stamtąd, do pioruna! Nie twoja koliba<sup>68</sup>! – a mówiąc to, dyszał ciężko jakby się z kimś zmagał. – Ciurmaki zakute! Oż, gdybyście mi krzyży nie stukli, capnąłbym tylko, to rozdziargałbym na drobne<sup>69</sup>...

Najprościej w świecie zacząłem się zastanawiać, o kim mówi ten złamany karcerem pardian. Aż po cichu zakradłem się pod kraty, by sprawdzić, czy przed celą obok w istocie nie stoją jacyś bukaci, którym by się odgrażał Aria. Nie stali! Czekając z zapartym tchem na to, co będzie dalej, wpatrywałem się w ściany. Wtedy to do mnie doszło. Te „diabły szkaradne”, te „szara mordy”, o których mówił, że wpatrują się w nas bez ustanku, to pożarte przez Młyn dusze bliskich, z rozpaczny wykuwające w szarym kamieniu swe oblicza. Ktoś wreszcie ujrzał to, co ja!

- Ario? – pytam zaczarowany. – To wy widzicie huryjskie twarze na ścianach? Albo sylwetki bukatów?

- Przystańże mnie dręczyć, chekecheo! Nic tu nie widzę. Ciemno jest. Aż mi sierść dęba staje, gdy tak warczy. Ale po cichu mówię:

- A może widzicie gdzieś na ścianie twarz Remby Roha?

- Tę kufę<sup>70</sup> widzę codziennie. Codziennie od dnia, kiedy mnie przez niego wrzucili do kabaryny...

- Przez niego? Jak to?

- Ano tak właśnie.

- Ale przecież wy też napadliście na bukata, tak jak Remba.

- No tak... Ale nie zrobiłbym tego, gdyby nie te jego farmazony.

- Farmazony?

Wtedy Aria wdycha tylko i mówi jakoś tak:

- Remba był zdania, że jest coś więcej ponad to, co przekazują nam oczy i uszy, choć wydaje nam się, że nic im nie umyka. Twierdził że dostrzegł jakiś wewnętrzny sens w tych kolumnach, że posłyszał w końcu to, co chcą od dawna nam powiedzieć.

- I co mu powiedziały?

67 Tak, tak, to znaczy oczy.

68 Koliba to łóżko (*chodzi najpewniej o huryjski hamak – przyp. tłum.*), wygodne i z miękką pościelą – w odróżnieniu od koi w celach, które to ani wygodą, ani tym bardziej pościelą szczyścić się nie mogły.

69 No... rozdziargać, rozszarpać – jedno i to samo. Czasem tylko znaczyło rozkrajac.

70 To znaczy twarz.

- Nie mam bladego pojęcia. Nie jestem kwirusem! Ale może w istocie coś tam było w tej kolumnie, co ją obaj czyściliśmy. Obu nam rozum odebrało, skorośmy się rzucili w amoku na tych bukatów. Nie wiem, co to było? Jakaś trucizna? Narkotyk? Choroba? Zły demon? Pamiętam tylko, że coś sobie wtedy uświadomiłem, coś zrozumiałem, jakbym przejrzał nagle na oczy, jakbym nagle zobaczył to, co on. Ale co to było? Nie pamiętam.

Ocknąłem się. Zza ściany słycać było tylko jakieś delikatne skrobanie. Aria się nie odzywał. Całą tę rozmowę z nim przeprowadziłem nie otwierając ust – wewnątrz mojej głowy. Za bardzo się bałem tego buntowniczego hura – jak zresztą wielu innych. A mimo to przytuliłem się do firanek, zafascynowany już samą myślą, że mógłby spozrzeć to samo, co i ja dostrzegałem. Dobrą chwilę walczyłem sam ze sobą, czy do niego nie zagadnąć. Umierałem z ciekawości, zastanawiając się, cóż takiego można było zobaczyć w plamach na ceglach w celi Arii. Gazele? Antylopy? Rodzinny rewir sprzed inwazji? Albo po prostu inne hurie – wraz z Rembą, który gdzieś tam musiał być. A może mianem „diabłów szkaradnych” określał strażników? Albo demony? Bestie? Smoki? Gdy wreszcie już się zdecydowałem o to zapytać, zdążyłem wypowiedzieć ledwo połowę jego imienia – tak prędko uciszył mnie, sycząc przez zęby:

- Ciii... Zawrzyj szamot<sup>71</sup>!

Może i trudno się dziwić. Leżał tam doszczętnie potłuczony, to nie miał ochoty na rozmowy. Jednakże czając się jeszcze chwilę pod kratą, pochwyliłem wśród ciężkich wdechów i wydechów Arii znowu jakieś rytmiczne skrobanie z celi obok. Jakby ten buntowniczy pardian rozpoczął właśnie drążenie tunelu, by wydębić z Młyna, choć wcale przy tym się nie spieszył, a w ramach narzędzia używał własnych pazurów, a przynajmniej tego, co z nich zostało. Jego oddech – początkowo ciężki i nieregularny – z czasem stał się płytki i rytmiczny. Jakby niemal zamarł. Skądś wpadło mi do głowy, by to naśladować. Też zamarłem. Nie mam pojęcia na jak długo – jakby czas także wstrzymał oddech.



---

71 Czyli miałem zamilknąć. A szamot to tyle, co pysk.

Z tego transu obudziło mnie nagle ogłuszające łubudu – jakby drążone ściany nie wytrzymały niesionego ciężaru i wszystkie naraz odrętwiały upadły z gruchotem na posadzkę. To Aria! Donośnie bluzgnął najgorszymi wyrazami, a gdy już ochłonął, warknął tylko pod nosem, krztusząc się farbą:

- Na psią mordę! Już bym cię, demonie, przybił, gdyby mnie te ciurmaki niemyte tak pałami w kabarynie nie częstowały<sup>72</sup>!

I wtedy się pojawiła. Tak jak za pierwszym razem – w dziurze przy kratce ściekowej. Z trudem łapała powietrze, a te maleńkie oczy były wyjątkowo rozbiegane i płochliwe – najmniejszy mój ruch jeżył jej sierść na grzbiecie. Oczarowany, nie spuszczać z niej wzroku, sięgnąłem po zostawioną ze śniadania połówkę sajdki. Wszak każdego ranka chowałem w łachmany trochę bomsu, by zjeść go przed wieczorem lub mieć na taką właśnie okazję. Bardzo powoli – tak ostrożnie, jak tylko potrafiłem – przybliżyłem się w jej stronę, ściskając przed sobą ten nędzny kawałek brukowca, mającego zaświadczyc o moich dobrych zamiarach.

Gdy już położył miałem go obok niej na ziemi, poderwała się nagle i wskoczyła w szczelinę przy kracie. Pewnie zrobiłem coś nie tak, pomyślałem w pierwszej chwili. Ale nie! To Aria ją spłoszył zza ściany, gdy zawarczał jakimś przekleństwem, próbując się chyba wdrapać z ziemi z powrotem na koję. W nadziei pozostawiłem bomś przy kratce, jednak w końcu sam musiałem go sfutrować<sup>73</sup>. Połknąłem go na chwilę przed przyjściem naszych z poziomu. Tamtego dnia już się nie pojawiła.

Przydreptała dopiero nazajutrz. A i Aria był już rozmowniejszy. Na tyle, że sam z siebie zaczął opowiadać o rewirze, w jakim się wychował; o swojej pardińskiej *mbarii*. W pewnym momencie dość przypadkowo wyznał, że Fadhili – ta milcząca sanitariuszka, uciekająca rzeką w słomiaku – jest jego rodzoną siostrą! Nastąpiła chwila ciszy. I właśnie w tym samym momencie moja mała bratnia dusza znów wychyliła pyszczek zza szczeliny obok gieru.

- Siostrą? – spytałem, wpatrując się w jej maleńkie, świecące oczy i obszukując łachmany za bomsem ze śniadania.

- Ano siostrą, chekecheo! Nie wiedziałeś? Rapcie te same, zresztą niuchy i głązy też, tak ganczają. Przypatrzcie się dokładnie, to obetniesz<sup>74</sup>.

72 Przybić to chwycić, złapać albo zapędzić w kozi róg.

73 No jak to co? Sfutrować to znaczy zjeść. Po prostu.

74 Żgadza się. Chodziło o nosy i oczy.

- Rzeczywiście! – odmruknąłem z rozdziawioną buzią, przypatrując się dokładnie tym aksamitnym uszom, energicznym nozdrzom i połyskliwie czarnym oczom. – Najprawdziwsza Siostra! – dodałem jak zaczarowany. W końcu zrodził nas i wciąż żywił ten sam Młyn.

- To dobra istota – ciągnął rozmarzony pardian jakby nagle przestał być buntowniczym hurem. – Bardzo pomocna. Jakby mojry nie znała<sup>75</sup>... Bez niej byłbym sam – wyznał. – Nie mam tu nikogo więcej ze starej *mbarii*. A nawet gdy milczy, potrafi wyrazić więcej niż niejedni słowami...

Przytaknąłem cicho, obserwując jak łąpczywie chrupie ofiarowaną Jej uczciwą połówkę sajdkii – wszystko, co mówił wówczas Aria, tak niezwykle do Niej pasowało...

- Co tam futrujesz, chekecheo? – zawarczał nagle zza ściany.

- Eee... Boms... ze śniadania.

- Ha! Fartownik z siebie<sup>76</sup>, fartownik z ciebie że tkwisz tu na górze, podczas gdy my tyramy pod pokładem<sup>77</sup>. Przez pół dnia boms kitrać niewszamany!

- Naprawdę jesteście poetą? – zagadnąłem zaraz, starając się jakoś odciągnąć uwagę pardiana od chrupiącego brukowca.

- Ty też myślisz, że jestem poetą, chekecheo?

- Wszyscy tak mówią, a Haramisha nawet to, że jesteście poetą jak pies!

- Nie lubię poezji. Moją pasją jest piękno.

- A poezja to nie to samo co piękno?

- W żadnym razie! Poezja to nieporadna sztuka przekładania na słowa tego, o czym chce się powiedzieć. To katorga dla umysłu. Język to zbyt prymitywne narzędzie, by w pełni oddać myśl. No i właśnie dlatego poeci wymyślili poezję: chcieli przekazać to, co niewyraźne za pomocą słów. Tyle że każdy może ją rozumieć po swojemu i ma do tego prawo. Wielu uważa, że to właśnie czyni ją piękną, we mnie budzi tylko wstręt. Bo skoro każdy może ją rozumieć po swojemu, to jak tu precyzyjnie przekazać myśl? Nie da się. A przecież do tego celu została stworzona. Ja szukam prawdziwego piękna.

<sup>75</sup> Mojra to ogólne dość określenie strachu, lęku, obawy, niepokoju czy też *chelea* (szczególnego rodzaju huryskiego lęku połączonego z respektem i szacunkiem wobec wyższego w hierarchii hurii – przyp. tłum.).

<sup>76</sup> Prawda?... A wcale się tak nie czułem...

<sup>77</sup> Dosłownie: pod podłogą, acz nasi określali tak dowolny poziom pod mieszkalnym.



- Czyli kolumny? Wczoraj mówiliście o kolumnach.  
 - Wspomniałem coś wczoraj o kolumnach?  
 - Mówiliście, że wszędzie ich pełno; że się mnożą jak króliki.  
 - A bo w istocie jest ich tam ogromna liczba. A wszystkie piękne. Nikt tego nie zauważa. Tak bukaci, jak i my widzimy już tylko kilofy, skały, gruz i transporty, a nikt nie dostrzega jak tam na dole jest pięknie... No, Remba Roho też to zauważał. Wszędzie dostrzegał piękno. Mówił, że piękne może być nawet to, co pospolite i naturalne, a nie tylko to, co rzadkie i wymagające wysiłku. Piękno nie jest bezwzględnie ustalone raz na zawsze. Jest umowne. A skoro tak, mówił, to dlaczego umawiać się na coś, co wymaga czasu, pracy i poświęceń, skoro za piękne możemy uznać nawet to, co jest tu i teraz, a nadmiar czasu przeznaczyć na sjęstę? Nigdy nie udało mi się tej jego nauki w pełni wprowadzić w życie. Nie umiem sobie wmówić, że piękna jest warstwa pyłu na naszych futrach albo żyłki mięsa, jakie bukaci rzucają nam na posadzkę, no albo równo załadowany kosz z urobkiem. To furiactwo. Ale kolumny to co innego. Te rzeczywiście są piękne. Są nawet tu, na pokładzie, tylkośmy pozasłaniali je kiedyś ścianami i kratami, jeszcze cię na świecie nie było... Nie sposób odkopać wszystkich. Na początku to na polecenie Młynarza oczyszczaliśmy każdą z osobna, pilnowaliśmy, by nie uszkodzić tych przymocowanych do nich kamiennych maskaronów i ozdobników. W ogóle Młynarz jest chyba jedynym wrażliwym bezogonem. Ma może jakiegoś czulego na piękno demona za skórą. Zdaje się widzieć w tych kolumnach sztukę i chce ją ocalić. Przynajmniej kiedyś chciał. Teraz to nikomu już na tym nie zależy; przebijamy się tylko tunelami na ślepo, szukając schodów. A jak już znajdziemy, rzucamy wszystkie korytarze i bujamy się głębiej pod ziemię<sup>78</sup>. Niekiedy tyraliśmy przecież we wszystkie strony całe lata na jednym poziomie, odsłaniając olbrzymie połacie tych kolumn, a i tak tyle ich zostało zagrzebanych jeszcze pod gruzem... Na każdym poziomie jest jeszcze mnóstwo skał do wykucia i wyciągnięcia na powierzchnię. A nikt nie wie, ile takich poziomów jest jeszcze pod ziemią i czy ten Młyn ma jakąkolwiek klapę. Tak jak i nikt nie wie, czego tak w zasadzie szukają te zakute mordy tam, na dole<sup>79</sup>.

78 No... Bujać się – to iść, tylko tak trochę od niechcenia.

79 „Czy ma jakąkolwiek klapę” znaczy, czy ma w ogóle jakiś koniec. Wielu z naszych obawiało się, że Młyn ciągnie się pod ziemię w nieskończoność. To by znaczyło, że

- Haramisha mówi, że na dole Młyna śpią poczwary i smoki – wtrąciłem, nie odczekawszy nawet odpowiednio długiej chwili przez ten chrupiący boms – które przychodzą, gdy tylko...

- Haramisha, Haramisha! Toż to zwykle bajki i wymysły! Bzdury wam do rapci wciska ten stary ogór<sup>80</sup>! Że też w każdej burcie znajdują się zawsze jakieś kwirusy – gorączkował się pardian. – U was Haramisha, u nas Remba Roho. Ten to naprawdę wierzył w te swoje farmazony o tym, że kolumny ciągle próbują nam coś powiedzieć tam, na poziomie. Od dłuższego przecież już czasu ociągał się przy każdej kolumnie. Własną szkita piach zniatał, co pozostał na tych maszkaronach. Własną szkita! Uwierzysz<sup>81</sup>? I własną sierścią je jeszcze polerował do czysta – oburzał się Aria. – W sumie to lubiłem patrzeć na jego pracę. Myślałem, że lepiej ode mnie dostrzega piękno tych podziemnych rzeźb. Ale dziś wiem, że to zwykły kwirus był z tego Remby... Radża łoił go za takie ociąganie się, bo zmniejszał tym nasze szanse na rakiety, ale typ był uparty jak pies. Same zaś psy widziały w tym chyba gorliwość i dokładność, bo był blat<sup>82</sup>. Początkowo. Tamtego dnia te ciurmaki uzmysłowiły sobie wreszcie, że przez to wolniej tyramy do przodu i szturchnęły Rembę drewnianą pałką, nakazując mu wrócić do pozostałych. A ten frant<sup>83</sup> ni z tego, ni z owego rzucił się na pastucha... Istne samobójstwo.

- Nawet się nie pożegnałem! – wymsknęło mi się, gdy niedługo po sfurowaniu całego bomsu, umknęła w szczelinę przy kratce.

- A co, chekecheo? Z kwirusem chciałeś się przed hakiem żegnać? – zapytał zdziwiony pardian zza ściany. – Nie warto. Ten skarłały umysł nawet by cię nie zauważył.

A jednak Aria się mylił. Przynajmniej do takich doszedłem wtedy wniosków. Bowiem od tamtej chwili moja mała Siostra pojawiała się

niegdy nie zostalibyśmy z niego uwolnieni. Inni byli zdania, że nie zwróciliby nam wolności nawet gdybyśmy wykopali z Młyna ostatnią grudę ziemi.

80 Na powierzchni to podobno jakieś albińskie warzywo, ale w celi nazywano tak czasem stare hurie. Dość obraźliwie. Stąd stary ogór to podwójnie stary huria, co jednak w wypadku Haramishy było trochę przesadzone.

81 Szkita bądź miotła to inaczej ogon, ale tylko taki, z którym nie trzeba się liczyć (*to znaczy należący do mniej istotnego hurii czy huriarki – przyp. tłum.*). Ogona Sharii czy Ugaidi nikt nawet pod ich nieobecność nie odważyłby się tak nazwać. *Odpowiednim określeniem, zwracającym uwagę na miejsce w hierarchii, zdaje się być raczej „marash” – przyp. tłum.*

82 Był blat, czyli była zgoda, nikt nie miał pretensji.

83 Głupiec, pomylenieć.

w celi każdego dnia. Najczęściej rano, niedługo po wyjściu burt na poziom. Dużo rzadziej pod wieczór, a już nigdy podczas obchodu Turama. Jakby doskonale wiedziała, kto rozstawia pułapki w strażniczych spiżarniach i korytarzach na wyższych piętrach. Kiedyś nawet starałem się przekonać klucznika, by je pozbiarał i schował, lecz był nieugięty. Ale przynajmniej zgodził się przynieść taką pułapkę i pokazać, jak działa. Zostawił mi w celi to zmyślne narzędzie, dzięki czemu mogłem Ją później nauczyć, jak omijać mechanizm i jak uruchamiać go z boku, aby odebrać fasunek. Chyba że trzy razy przytrzasnąłem sobie przy tym palec. Właściwie byłem nieco zawiedziony tym, że nigdy nie przyniosła mi zdobyczej w ten sposób porcji, a przecież wiedziałem, że udaje się Jej ta sztuka. Turam czasem schodził rozeźlony, skarżąc się, że znów ktoś wyżarł ser z pułapek, a nic się nie złapało. Zawsze się wtedy irytował, że wśród tylu hurii uchowały się jeszcze jakieś gryzonie – jakbyśmy mieli mieć coś z tym wspólnego. W każdym razie w życiu by nie pomyślał, że za serowym spiskiem stał ten mały chekechea z pierwszej celi, choć kilka razy omal się mu nie wygadałem. Tak oto Młyn nauczył mnie kłamać...

Mimo wszystko ciężko przeżywałem, gdy w jakiś dzień nie przychodziła w ogóle. Wyobraźnia podsuwała mi wtedy najczarniejsze scenariusze... Raz pojawiła się w nocy. Przy dziewiętnastu huriach! Gdy tylko ją usłyszałem, oderwałem się od Matki, by przemknąć pod gier i choćby we własnej sierści ukryć przed celą jej zapach. Śmiali się, że dorastam, skoro szukam swojego rewiru. A ja właściwie nigdy nie chciałem dorosnąć...



- Stan liczebny dwadzieścia, obecnych dwadzieścia, zdolnych do pracy dziewiętnaście, jeden na zwolnieniu.

- Bzdury mi wciskacie, Radza – odchrząknął dozorca sprzed celi obok.  
- Zdolnych do pracy dwadzieścia! I dobrze ci radzę, by tamto leżące ścierwo wstało do śniadania, bo przestanę być miły!

Mówił rzecz jasna o Arii. Brali go na poziom dużo za wcześnie: w tamtych dniach o własnych siłach nawet się jeszcze nie trzymał na nogach. Gdy wracali wieczorem, niosło go dwóch innych hurii. Czuć było zapach farby. Ale strażnicy już mu nie odpuścili. Aż do końca swych dni w celi za ścianą nie dostał ani jednego dnia pragnijki od arbajtu.

Znów zatem zostałem sam. Choć w zasadzie to nasi tak mówili – ja samotny się przecież nie czułem. W końcu zawsze za dnia odwiedzał mnie Turam; a i na Siostrę, to maleńkie stworzenie, też mogłem liczyć. Któregoś dnia była nawet cała burta hurii, drażąca wraz ze mną tunel w poszukiwaniu schodów na niższy poziom...

- Z bomby, tępe futra<sup>84</sup>! – pieni się Ugaidi, ta groźna onkianka, przed którą cała cela *cheleo*<sup>85</sup> w ognie nosi. – Rakiety to my za nic nie wyrwiemy z taką smugą<sup>86</sup>!

- Łatwo wam powiedzieć – mruczy pod nosem Vijani w gąszczu metalicznego stukotu.

- Szamot ci się, hurysy, nie domyka! – rzuca przez celę Ugaidi.

- Toż skała jakby kto ją żelaznymi zbrojeniami wiązał!

- Dobrze radzę, błotny kocie: zróbże z chlipadła właściwszy użytek<sup>87</sup> – tak drwi onkianka, porzucając na chwilę kilof i wskazując doszczętnie zabrudzoną sierść tigranki.

- O, widzisz, mały? – zaczyna swoje Dhahiri, niemal wtykając mi stery do ucha<sup>88</sup>. – Wszystko siedzi w głowie! O języku prawi. To zacc ważne, by przykładowy zeń użytek czynić. Wszak zarówno o słowa dbać swe trzeba, by przystojne i czcigodne składać, jak również o to, by i sierść przystojna i czcigodna była, by z dumą nosić ją i wzorem być. Popatrz to na tigrankę: już tyle lat ma hurysa, a nie wie! Wszystko siedzi w głowie!

Vijani, słysząc to, zaciska zęby, ale nic nie mówi; z większą jeszcze zaciętością odkuwa skałę. A Dhahiri aż do samej śmierci kleptała takie rzeczy. Była bardzo przekonana co do „misji”, bo tak mówiła o tym swoim programie nauczania. No ale w końcu to ona opowiadała o huryjskich prawach, obyczajach, uczyła o huryjskich krainach, o wielkich huriach, o historii ras, o wojnie z Chaosem, o Prapoczątku... Kto wie, czy zostałyby w nas cokolwiek z hurii, gdyby nie Dhahiri? To cenny skarb tyle mieć wiedzy we własnej celi. Choć prócz tego wszystkiego miała w zwyczaju tłumaczyć zupełne oczywistości. I to po wielokroć, jakby największą jej to sprawiało przyjemność. Nie dało się jej nic powiedzieć; a trzeba wręcz było jej to wybaczyć –

84 Z bomby, czyli szybko.

85 *Ot i właśnie. Cheleo to szczególny lęk i respekt wobec kogoś wyższego hierarchią – przyp. tłum.*

86 Smuga to zła, nieudana praca – zwykle o trudnym odcinku na poziomie.

87 A czym można chlipać? No, językiem przecież.

88 Sterami nazywaliśmy nasze wibrysy (czyli *huryjskie wąsy* – *przyp. tłum.*).

była już w końcu sędziwą arufianką, zresztą hekałą z dawnej *mbarii* Sharii. Zdaje się, że była siostrą jego matki... a może ojca? W każdym razie ciotką samego *raisa*, a ktoś taki ma nie byle jakie przywileje.

I tak przez dziewiętnaście dni niezmordowana orkiestra dziewiętnastu hurii wybija ten monotonny rytm dziewiętnastoma wysłużonymi kilofami. Strzelają iskry, co rusz sypie się piach i zaprawa, po celi tańczą wściekle odłamki cegieł.

Wtem ze ściany budzi się kłęb pyłu, wyrastają mu prężne barki, muskularne cielsko; w swe trzewia łyka coraz więcej powietrza, łapczywie zagarnia coraz więcej celi. Poderwałem się, jakby kto mnie igłą szturchnął; odskoczyłem pod kratę. Patrzałem przerażony na swe dzieło. Monstrum wciąż rośnie, ale po chwili blednie i znika zupełnie. Pozostawiło po sobie jedynie gorzko-kwaśny zapach starej zaprawy.

Patrzę po innych huriach, lecz zdają się zupełnie nie przejmować pyłową bestią. Te same kamienne spojrzenia jak co dzień. Niepewnie wracam do tyrki, ale gdy kolejny twór wyrasta spod cegieł, w skupieniu wstrzymuję oddech i jednym ruchem rozcinam go w pół pazurami. Błyskawicznie umyka z uścisku, ale trafiony wiruje w powietrzu z bólu i niknie wreszcie nieżywy. Tak uśmiercam każdą pyłową poczwarę – do dnia, w którym stwierdziłem, że przecież są one zupełnie nieszkodliwe. Od tamtej chwili pozwalałem im kłębić się wokół mnie zupełnie jakbym był ich *raisem*. W końcu mam władzę nad ich losem! Jako pyłowy *rais* dalej drążę ścianę. Rozkazuje swym monstrom budzić swych braci, śpiących między cegłami, ale okazuje się, że są tam zaklęte jakąś tajemną mocą i wcale nieskore do rozprostowania kości.

Mijają dni; a ja zdobywam kolejne poziomy – to znaczy: wydłubywałem ze ściany kolejne cegły. Musiałem z powrotem maskować je starannie przed przyjściem Turama bądź burty – miałem przecież świadomość, że taki nieformalny tunel mógłby nie przypaść do gustu bukatom bądź Sharii, a od Ugaidi na pewno dostałbym za niego wtluki. Na moje szczęście hurie po całym dniu pracy były zbyt zmęczone, by zauważać takie szczegóły. Do tego z każdym poziomem coraz to bardziej tracę wiarę w mych pyłowych podwładnych. Nie słuchają, uparte, rozkazów.

Jednak któregoś dnia zdarzyło się coś zupełnie niezwykłego. Jak zwykle dłubałem wtedy w ścianie moim kilofem, to znaczy starą, wyszczerbioną metalową łyżką, kiedyś wrzuconą do celi przez dozorcę, żartującego z hurijskiej kultury spożywania posiłków. Wydłubałem już prawie całą zaprawę wokół cegły – słowem widzę już schody! Trzeba to tylko odgruzować.

W uszach radosne pomruki burty, w wyobraźni zatapiającej już kafele w specjalnej, premiowej rakiemie. Już tylko moment i kujemy następny poziom! Podważam więc z boku, koło balustrady. I wtedy z góry rozlega się istny huk! Raba-dam! Jakby jakiś piorun z trzaskiem rozerwał strop, sypiąc zaprawą prosto na mnie! Z góry oderwało się kilka luźnych cegieł, te pociągnęły z gruchotem następne – ledwo zdążyłem przed nimi umknąć na drugi koniec celi. Cała momentalnie wypełniła się gęstą, duszącą mgłą. Największa pyłowa bestia, jaką można było zbudzić. Prawdziwy gigant. Do cna przesłania wszystko i wcale nie zamierza zniknąć jak jego mniejsi bracia. Skulony i najeżony wtuliłem się w najdalszy kąt – między kratę a pierwszą koję po prawej. Zepsułem celę! Pierwszy raz tak naprawdę... Tłumiąc kaszel, myślałem zatrzwożony jedynie o tym, by ten zgiełk nie dosięgł uszu strażników! Ale koncentrowałem się na tym tak intensywnie, że rzeczywiście przywabiłem tym myśleniem te ich złowieszcze kroki. Regularne, dudniące metalem o stopnie. Już wtedy czułem, że los nie miał zamiaru mnie oszczędzać. Doskonale słyszałem przecież, że to nie Turam schodził na pokład...

W wiszącej ciągle mgłę przemknąłem po omacku w drugi róg celi, obok gieru. Rozbiegane światło pochodni luną wpadało przez kraty. Lamentujące skrzypce – drżą nisko, przy ziemi. Pyłowy olbrzym leży pewnie już na korytarzu. Jak smok rozpasły na skarbach. Ogonem pewnie o główną kratę zahacza! Widać go jak nic... Zbrojny już wie. Idzie prosto pod celę. Skrzypce nabierają tempa. Pochodnia błękitnymi kłami wgrzyza się w eteryczne cielsko smoka. Za kratami majaczy ciemny, bezogoni kształt. Przystanął. Przytknął żar ognia do firanki i tylko zaklął pod nosem, jak to bukaci mają w zwyczaju. Odszedł zrezygnowany na górę, ale po kilku chwilach ponownie usłyszałem jego kroki. Towarzyszył im nieregularny drewniany stukot i metaliczne dźwięki, przypominające ciągnięte zwoje łańcucha. Szedł zatem i Turam. Nie miałem pojęcia, co mu powiem, gdy zapyta o to, czemu zepsułem celę? Toteż pewnie dlatego, gdy zagadnął: „żyjesz tam, mały?”, milczałem sparaliżowany.

Klucznik, gdy tylko otworzył bramę, wpadł do środka niczym taran przez sforsowane wrota. Może z przerażenia? Ale to dozorca odnalazł mnie w tej mgłę schowanego przy gierze, wciśniętego niemal zupełnie pod koję. Złapał żelaznym ściskiem za ramię, niemal mi go nie miażdżąc, i zawołał tryumfalnie:

- Żywe! – i zwróciwszy się już do mnie: – Toś sobie piwa nawarzył, sierściuchu jeden! Wyłtopiesz je całe, cokolwiek żeś nie zmajstrował! –Nie

miałem pojęcia, o co chodziło dozorczy. Chętnie bym skosztował jakiegoś alkoholu, ale przecież nie mieliśmy w celi koali. Wśród plam i pęknięć na ścianach nie pojawiał się ani jeden. Ale przecież nawet gdyby był, to na pewno podzieliłbym się jego moczem, no i, co ważniejsze, nie hodowałbym go przecież na piwo. Hurie nie piją takich rzeczy. Lepsze przecież sharabu bądź araka, no albo *chomba*<sup>89</sup> mocnego kileo dla furiatów żądnych wrażeń; jednakże nawet o miejscowy odpowiednik najsłabszej asalii<sup>90</sup> było w Młynie trudno. Dozorcy niechętnie godzili się na lichwę<sup>91</sup>.

Dozorca. No właśnie. Złapał mnie wtedy tą żelazną rękawicą niczym obcęgami i, prawie łamiąc mi kości, wywlekł przestraszonego z celi. Na nic zdał się opór. Zresztą nie miał przecież sensu. Z drugiej strony nieczęsto nadarzała mi się okazja, by wyjść choćby na chwilę z celi. Tkwiłem w niej przecież 20 godzin na dobę, 10 dni w tygodniu i 8 miesięcy tak pierwszego, jak i wtórego roku każdego cyklu. Ledwo kilka razy w ciągu całego życia udało mi się wydostać za firanki. Rozejrzałem się. Gęsta chmura pyłu rozlała się aż do rewiru Radży, a z drugiej strony leniwie kłębiła się nawet za rozwidleniem. Nie było widać, ale może nawet doszła do trzeciej i czwartej celi! Najlepsza pyłowa bestia z mojej *mbarii*! Druga po *raisie*! Byłem z tego taki dumny... I właśnie wtedy mój oprawca, żywo mną gestykułując, zakrzyknął do Turama, zapewne badającego w celi moje wykopy:

89 *Tu chodzi o rodzaj niewielkiego drewnianego naczynia – przyp. tłum.*

90 *To przeróżne gatunki koalego trunku, jakie od niepamiętnych czasów zwykły warzyć hurie. Warto skosztować choćby likieru zwanego araką lub pozyskiwanego ze specjalnych odmian ziół sharabu, choć niektóre hurie wpadają po nim w halucynogenne transy. Asalia ludzako przypomina importowany od leśnych elfów miód pitny, natomiast kileo nie pijeć, choćby wam darmo dawali! Tę przygotowują tylko na specjalne okazje odmianę alkoholu wytwarzają hurie ze zgniełego mięsa waranów lub drobniejszych jaszczurek. Nawet niewielkie ilości kileo mogą doprowadzić do obłądu lub nagłej śmierci... To ciekawe, że hurie – tak bardzo stroniące od wszelkiego rodzaju hodowli zwierząt – robią wyjątek dla koali, choć nie jadają ich mięsa, a wyłącznie pozyskują alkohol. Nie stosują klatek – trzodę trzymają na długich, nasączanych cierpkimi jagodami smyczach przytroczonych do hodowlanego drzewa. Pożywienie wsadowe podają w specjalnych karmnikach, a wynikowy mocz, pozyskiwany z indywidualnie odławianych osobników, zbierają do drewnianych mis i piją czasem nawet jeszcze ciepły. Słaba moc trunków wynika z braku rafinacji – zarówno zamierzone odwadnianie, jak i pojenie koali ich własnym moczem uznają za zbyteczne. – przyp. tłum.*

91 *Lichwą nazywaliśmy przemyt towarów i przedmiotów do Młyna lub na powierzchni. O tyle było to trudne, że hurie w celach niewiele mogły zaoferować strażnikom na wymianę.*

- Wrzucę to do karceru!

To był szok. Aż mi dech odjęło. W najczarniejszych myślach nie zakładałem takiej możliwości. Słowo „karcer” zadziało jak jakiś tajemny klucz. Klucz do samych piekieł... Wypuściło mi wprost do głowy hordy najpoczwarniejszych demonów i bestii. Opowieści o kabarynach, o męskach, narzędziach tortur, nocne krzyki zza ścian, okaleczone i nieprzytomne hurie, poturbowane, skatowane, nie pamiętające własnych imion, nie poznające własnej *mbarii*... Wszystko to w jednej chwili zlało mi się w jeden przeraźliwy koszmar, który właśnie się spełniał.

Dozorca zamknął mnie w jednym z tych małych i zupełnie ciemnych pomieszczeń zaraz za główną kratą, z łoskotem zatrzasnąjąc za sobą ciężkie, dębowe drzwi. Na górze, wysoko nad głową miały okratowany, niewielki lufcik o prętach tak ciasnych, że ledwo przełożyłbym rękę, gdybym mógł tam w ogóle sięgnąć. Drewno zdradzało stare ślady pazurów; czuć w nim też było zakrzepłą hurijską krew. Aż mnie odepchnęło. Po omacku natknąłem się na wielki stół z litego kamienia, co stał na środku karceru. Wystarczyło przybliżyć nos do blatu, aby usłyszeć, jak odrażająco tragiczne opowiada historie – gdzie pasami ofiarę ściągają, gdzie jej krew spływa, gdzie robi pod siebie. Po chwili już zewsząd dobiegały do mnie podobne lamenty. Stół, posadzka, ściany, drzwi – wszystko atakowało mnie zapachami cierpiących na wiele sposobów hurii! Wśród dominującego, świeżego śladu Aarii krzyczały *mbarie* innych, które były tu przed nim. Sharia! Nawet on... Myśli plątały mi się od natłoku tych przerażonych zapachów. Gdzie bym nie spoczął, tam atakował mnie swąd palonej sierści, oderwanych fragmentów mięsa albo wszechobecnej farby. Traciłem rozum. Chyba zacząłem wydzierać się z przerażenia. A może to tylko echo wrzasków hurii, obdzieranych tam ze skóry?

Wtem drzwi otwierają się z hukiem. Wpada do środka któryś z bukatów. W mgnieniu oka umykam w kąt za futryną. Strażnik rozgląda się pośpiesznie, z trudem łapie powietrze. To chyba Ordin – bratanek samego Młynarza. Podparty o kamienny stół na środku karceru przeklina wszelkie hurie Młyna i wysyła je do wszystkich diabłów. Płaszcz w strzępach. Koltczuga porozrywana. Na stalowych płytach zbroi ślady pazurów. Wszędzie świeża farba. Hurijska farba.

- No powyrzynam te futrzaste bydlaki – odgraża się przez zęby Ordin, ściskając kamienny blat – chociażby miało mi to życie całe zabrać!



Nagle odwraca się w moim kierunku. Wstrzymuję oddech i szybko odwracam wzrok, by nie wypatrzył mnie w ciemności. Kątem oka widzę, że zwrócony jest jednak na otwarte drzwi. Zresztą to stamtąd dochodzi ten hałas. Kroki ze stali – ale nierówne. Szczęściu, może nawet siedmiu zbrojnych. Sapia i jęczą ze zmęczenia. Dzwonią rozbiegane łańcuchy. Z czymś się tam zmagają... Niosą tu kogoś z naszych! Gdy papugi docierają wreszcie pod drzwi, uderza mnie ten zapach. Doskonale go przecież znam... Jakim cudem?! Dlaczego właśnie on?!

- Rzucić go tutaj – nakazuje Ordin, wskazując pozostałym kamienny stół.

Ciasny tabun zasapanych bukatów wkracza do lochu, z trudem wlekąc po ziemi potężne ciało nieprzytomnego hurii. Niechże to nie będzie on! Panicznie wyszukuje w ruchliwym gąszczu nóg tej jego wspaniałej grzywy, ale w zamian trafiam na... cętki. To nie Sharia! To Aria! Co on tu znowu robi? Dwójka ciurmaków, która wniosła go do karceru, nonszalancko wrzuca pardiana na stół i przytwierdza skórzanymi pasami do blatu. Solidnie rozcięte ramię – cały kawał futra zafarbowany. Któryś ze zbrojnych bierze wiadro pełne wody i jednym chlustem wrywa hura ze snu. Ten podrywa się gwałtownie i próbuje ująć strażnikom, ale grube ramię okazują się być silniejsze.

- Ja ci dam, bydlaku, rewolty wzbudzać! – warczy groźnie Ordin, targając pardiana za mokre futro. – Popamiętasz sobie tę zbrodnię do końca twych zapchlonych dni! Obiecuje ci to sam Ordin A'Martern!

- Zabieraj łapy, śliski kundlu! – odgraża się Aria, plując strażnikowi w twarz.

Jednym gwałtownym ruchem Ordin, w ramach odpowiedzi, roztrzaskuje drewnianą pałę strażniczą na głowie hura. Ta bezwładnie odskakuje z hukiem aż się kafle z krwią kruszą. Pazury same się wyciągają, gdy to widzę. Oddech w krtyce staje. Ordin odsuwa się od kamiennego blatu, sapie ze złości jak rozwścieczony byk.

- Zająć mi się tym ścierwem! – rozkazuje pozostałym.

Gdy bukaci, niczym sfera wściekłych zwierząt, z zapalczywością okładają Arię kijami i żelaznymi prętami, Ordin, przypatrując się temu z boku, ściąga z głowy hełm. Gdy wyciera go ze śliny pardiana, dostrzega nagle moje wielkie, świecące w błękicie pochodni oczy, skryte wraz z resztą mego ciała w kącie za drzwiami. Rozsierzdzona bestia rusza w moją stronę,

paraliżując mnie doszczętnie wąskimi, rozognionymi ślepiami. Dopada w swe szpony i potrząsa, sycząc przez zęby:

- Mam cię, mały! Twoje oczy poniżej! Twoje oczy poniżej!

Gdy otrzeźwiałem wreszcie i uzmysłowiłem sobie, że wcale nie mówił „twoje oczy poniżej”, ale „to ja, oprzytomnijże”, oraz że potrząsa mną wcale nie Ordin, ale Turam, rzuciłem mu się na szyję. Jeszcze przez dłuższą chwilę zjeżony drżałem ze strachu, choć oprawca dawno już się przeistoczył w obrońcę przed ciemnością, jakby to powiedziała Vijani. Z pewnością się nie spodziewał, że mu nagle przylgnę do kiryсу. Właściwie to wtedy po raz pierwszy czułem tak blisko bicie jego serca – pomimo stalowego pancerza, którego ściskałem ze wszystkich sił. Byłem bezpieczny.

Turam może chciał powiedzieć co innego, ale wyszeptał tylko:

- Wyciągnę cię stąd. No, nie bój się już.

Po dłuższej chwili dodał:

- Nie ma w tym twojej winy. Te spróchniałe mury ledwo się trzymają ze starości... A oni nic nie wiedzą o tunelu. – Aż zamarłem wtedy. – I nie muszą wiedzieć... – dodał z lekkim uśmiechem, akcentując to wyciągnięciem zza pasa, nadjeżdżoną, metalową łyżką. Zgadza się, ujrzałem w niej mój własny kilof...

Wiedział zatem. Pewnie od dawna. Choć nigdy mi nie wyjawiał, która z moich pyłowych bestii podstępnie mnie zdradziła.



Sam Młynarz zainteresował się moim dziełem... Jeszcze tego samego dnia zszedł na pokład w asyście trzech bukatów i klucznika. Wciśnięty w ciasny kąt za drzwiami karceru słyszałem każdy, nawet najdrobniejszy ich ruch. Jęknął mechanizm zamka, zakwiliły zniechęcone twyrasy, grupa zbrojnych wtargnęła nieproszona na jakże niewielki rewir Sharii. Słuchałem, jak rozgarniają leżący na posadzce gruz; słyszałem nawet, jak Turam wydziera ze ściany kolejną cegłę. Zwrócił się wtedy bodaj do Młynarza:

- Nadzorca raczy spojrzeć, te mury sypią się ze starości! Nie tylko przecież w tej celi zaprawę czas wyjadł; trzymać to się czego nie ma. Jakby te cegły wielkie wojny pamiętały jeszcze!

- A juści, Tuflu! – odszczeknął klucznikowi jakiś zwapniały bukat.  
 – Nie taka stara w końcu ta buda, by się sypać miała. A ruszeń toż nijak pamiętać nie może, wszak już po bojach żeśmy ją lepili!<sup>92</sup>

- Aż by to! – rzucił znów kto inny. – Wszędzie pełno tych kłaków!

- A ta woda? – spróbował ponownie Turam. – Cała ściana wilgocią naszła. Czuć w górze jakąś wyrwę w kanałach, powodującą przeciek.

- Czuć to ja czuje co innego – rzucił ten poprzedni – i szczerze się dziwie, jak te szczotki wytrzymują w takim smrodzie całe noce!

- To wy nie wiecie, młody? – odpowiedziało wapno. – Toż to ich perfuma! Tak znaczą swe królestwo! Szczają po wszystkim, co za swoje uznają. Taka natura, więc lepiej się z tym obądz. I zabieraj dupę z tej pryczy, bo przesiąkniesz!

Nieco zaniepokojony próbowałem wtedy wywachać, co bukatom tak śmierdziało w naszej celi, ale spod drzwi karceru nie wyczułem niczego nadzwyczajnego. Nie miałem pojęcia, kim są te bezczelne istoty, co przychodzą i obsikują nam koje. No i dlaczego nigdy ich jeszcze nie widziałem? Dopiero po jakimś czasie Turam uświadomił mi, na kogo strażnicy mówią „szczotki”, no i czym jest ta „perfuma”, która tak strasznie im śmierdzi w naszych celach. Jakoś dotąd nie skojarzyłem, że gdy bukaci podchodzili pod celę, narzekając, że coś im strasznie wonia, to mówili o nas, a nie o sobie. Zdziwiający jak odmiennie postrzega się świat, gdy się nie ma futra, sterów i ogona... Uzniesienie sobie tego przypomina zderzenie w pełnym sprincie ze ścianą, którą przez całe życie uznawało się za podłogę<sup>93</sup>.

92 Ruszeniami zwali bukaci swe zbrojne wyprawy, jakie prowadzili z Chaosem podczas trwania Wielkiej Wojny.

93 *Gruczoty zapachowe, zlokalizowane mniej więcej pod ogonami, wbrew temu, co mogłoby się zdawać, nie służą huriom jedynie do znaczenia terenu. Ślady zapachowe, zwane przez nich nukami bądź nukiami, pozostawiane na kamieniach bądź konarach drzew, mogą informować o niebezpieczeństwie, pożywieniu, nastroju, mogą zapraszać na wspólne łowy, wyzywać do walki, zachęcać do spółkowania lub przekazywać bardziej złożone treści. Stanowią też osobiste podpisy każdego członka stada. Prócz indywidualnego, osobistego zapachu istotne jest również rozmieszczenie śladu, jego kształt, otoczenie, wyzłobienia w korze, a także inne składniki nadające dodatkowych znaczeń – zazwyczaj jest to miąższ leśnych jagód i owoców lub rozziarte wnętrzności upolowanych zwierząt. Bywa, że hurie wyruszają na odległe poszukiwania rzadkich gatunków, gdy pragną zakomunikować coś szczególnego, a i tak trwałość takiego przekazu jest bardzo ograniczona – szczególnie w porze deszczowej. Dla ludzkiego nosa ślady te w zasadniczej większości są zbyt subtelne i złożone, by można było je odróżnić i zrozumieć – przyp. tłum.*

- Wacha czy nie wacha – podjęło znów temat wapno<sup>94</sup> – coś musiało cegły spłoszyć, że tak wszystko ryzło.

- A ta kolumna? – zgadywał Turam. – Może osiada nierównomier-  
nie i...

- E, Tufel, gdzieżby tam? Na szpagata toście się nie nadają. O co in-  
nego mi jeszcze knaja – rozprawiało wapno, chodząc po naszej celi. – Toż  
to jedyny harem, w którym cegłami sypło. A przecż całymi dniami dyma tu  
ten mały kociak. Nie myślę się? Gdzież w ogóle jest ten karypel?

- Melduję kapralu, że wrzuciłem to do karceru – tak powiedział do-  
kładnie ten, co przytargał mnie jak kawał surowego mięsa do tej kabaryny.  
Aż mi się kark sierścią zżeżył.

- Sugerujecie kapralu, że to on mógłby za tym stać? – bronił mnie  
Turam. – Toż to przecież dzieciak! Nie skulby pazurami ot tak z dnia na  
dzień takiego płatu ściany!

A wapno na to:

- Widać, żeście są tu nowi, Tufel. Te szcnotki są bardziej cwane niż się  
wam zdaje... Nie było was tu do hakowania, gdy te poprzeczniaki zmajstro-  
wały podkop za kajzrem. A do takiego juchtu im karypel mikrzejszy, tym  
bardziej się nada...

- Dajcie już pokój! – odezwał się nagle milczący dotąd Młynarz. –  
Mały w tym łap nie maczał. Ani tu śladu po pazurach przecież. – Ode-  
tchnąłem. – Ale wyrwę trzeba załatać. Zorganizujcie z góry czego tam  
trzeba, a jutro weźcie stąd ze dwóch, aby to zamurowali. Szczęście, że mury  
grube, to tylko wierzchnie cegły odpadły. Jak już skończą, to sprowadzicie  
ich do reszty na szóście. A tego małego zostawicie tam, gdzie jest. Przynaj-  
mniej do obiadu. Jeszcze się pyłu nawdycha i kolejny nam padnie... Impo-  
nujące skrzydła swoją drogą... Może warto by je zachować?

Siedząc wtedy w kabarynie, nie miałem błędnego pojęcia, o cóż też  
może Młynarzowi chodzić. A rzeczywiście były imponujące. Imponujące  
choćby względem tego, co dotychczas wyobrażałem sobie pod pojęciem  
skrzydeł. Bo przecież, będąc cały czas pod ziemią, nigdy w życiu nie wi-  
działem żadnych na oczy. Znałem je jedynie z tych cudownych opowieści  
Haramishy o ptakach, które to w jakiś znany tylko sobie sposób unoszą się

<sup>94</sup> Wacha to była... No a zresztą, czy ja wam za każdym razem muszę wszystko tłu-  
maczyć? Miałem was za bystre chekechee. Zróbcie doświadczenie i odczytujcie zna-  
czenie słów z tego tam... kontekstu.

w powietrzu za pomocą dwóch szmat, trzymanyh w rozpostartych szeroko ramionach. Tak przynajmniej sprawę skrzydeł przedstawiała swego czasu Vijani, a nikt z burty nie protestował, więc uznałem to za prawdę. Oczywiście wielokrotnie próbowałem za dnia wzlecieć w powietrze za pomocą znalezionych w celi łachman, derek czy czegośkolwiek, co tylko wpadło mi w ręce. Za każdym razem okazywało się jednak, że palce ciągle pozostawały na posadzce, podczas gdy wyobraźnia dawno już skrobała o wilgotny sufit. Doszedłem w końcu do wniosku, że szmaty, które były w celi, zupełnie nie nadawały się do latania – wszak dawno same by już odfrunęły, gdyby tylko potrafiły.

Sam już nie wiem, jak długą wieczność przesiedziałem w tej kabarynie. W końcu jednak hałasy naszych z dołu, prześlizgujące się pod tymi ciężkimi, dębowymi drzwiami karceru, zdradziły niechybnie, że zbliżała się pora obiadu. A ja, nie zważając na słowa Turama, coraz bardziej lękałem się tego, jak burta zareaguje na fakt, że doszczętnie zagruzowałem celę nieudanym – i co gorsza: nieuzgodnionym – podkopem. Sharia. Oczyma wyobraźni chwytalem, jak to monstrum burzowe, to stworzenie piekielne skrzydlate, jak ten smok ognia pełen błyskawicami spojrzeń sypie i grzmi głęboko, i szpony ciemnymi porywa jak wichry, i iskrami kłów błyska, i drewna miski o kraty werbel ze złością trzaska, ale piorunem we mnie samego uderzyć się boi, choć *raisem* mym się zowie. Lęku pełen, w sierść Matki między trzecią a czwartą *ziwę*<sup>95</sup> wtulony, myślę, że smoka jest potomkiem... nieskrzydlatym...

Masywne wrota karceru ze zgrzytem rozwarły się nagle wprost na mnie – jakbym spadł na nie spod sufitu. Skulony przytuliłem się do ściany w samym kącie za ościeżnicą. Do środka wpadł niczym taran ten sam zwyrodniały bukat, który mnie tam przytargał. Spostrzegłszy mnie zaraz w świetle pochodni, schwycił w żelaznym imadle rękawicy i zmiażdżył pod pachą, bym nawet nie pomyślał o ucieczce. Zły byłem wtedy na Turama, że nie reagował, jak mi żebra łamią i oddech kruszą, choć stał obok i widział to wszystko.

Tak wróciłem do celi. Wbity w matczyne futro – pozlepiane paskudnie i do cna umorusane pyłem i gruzem codziennej pracy – drżąc wciąż na całym ciele, unikałem jak ognia wzroku pozostałych. Pyłowa bestia opuściła już pokład – wszystko było już widać, toteż targany ciekawością

95 *Ziwy* – miesięcki odpowiednik oznaczający gruczoły mlekowe – przyp. GE.

ukradkiem obserwowałem swe dzieło – ogromny płat obnażonej z cegieł ściany i tą niesamowitą kolumnę. Aria mówił przecież, że kolumny są nawet na pokładzie, tylko zasłonięte ścianami, jakie nasi budowali wiele lat przed moim narodzeniem. Oto jedna z takich kolumn odsłoniła przede mną swój ceglany płaszcz. Skórę miała spękaną, chropowatą, a ciało zwichrowane jakby fale wzburzone zakłęto w głąz. Tuż pod samym sufitem, z jej poszarpanej głowicy, wyrastały dwie kamienne sylwetki skrzydlatych stworzeń, złączonych ze sobą w uścisku śmiertelnej walki – w chaotycznym splocie pazurów i paszcz. Choć w skałę zakłęte, zdawały się bez ustanku zmagać ze sobą, gwałtownie targając na boki to łuski, to pióra. Aż krzyk skrzeczący i żar oddechu płomiennego na myśl się ciśnie. Aż niemal podrywa się jeden w ferworze, skrzydła prostuje ogromne, w przestworzach pod sufitem piór swych wolnych broni. W lot za nim bestia ognista, na oślep, kły szczerząc drapieźnie i chciwie... Jak zaczarowany chłonałem wówczas łapczywie ten niesamowity spektakl. Smok usiłujący pożreć orła – tak owe istoty nazwała Dhahiri z naszej celi. Reszta z zaciekawieniem przyglądała się nowemu zjawisku, acz dużo bardziej zafascynowani byli możliwością rozorania ściany do końca – niejeden mówił w celi:

- Taki lot<sup>96</sup> się przecież nie powtórzy, choćbyśmy tu szczełli!

- Głupis jak pies! – odburknął Haramisha. – Za młodyś, by pamiętać, jakie te ściany grube stawialiśmy! Z dziesięć razy takie co najmniej! Nocy i sił braknie, a psy i tak zwęszą z góry szufir<sup>97</sup>.

- Hadhi, cóż nam za fumy klektacie<sup>98</sup>? Jakież tam one grube? – pytali.  
– Zresztą nawet jeśli, to i tak się sypią ze starości! O, proszę!

- Prawda to – dorzucił ktoś jeszcze. – Od jakiegoś już czasu mi tu w chlewie skruszała zaprawą zalatuje<sup>99</sup>.

- I pyłu jakby ostatnio więcej na pokładzie – podchwycił kto inny.

- Teges szages<sup>100</sup>! – mruknął z aprobatą któryś z młodszych hurów. – Choć dziś to aż pasztet się po kaflach ryje<sup>101</sup>.

96 Okazja.

97 Czyli inaczej hałas.

98 Fumy – ot, bzdury i wymysły, czyli to wszystko, z czego Haramisha najbardziej był znany.

99 Tak nasi określali czasem celę – szczególnie, gdy taki w niej był bałagan jak wtedy.

100 No... Tak się mówiło.

101 Czyli piach między zęby wchodzi.

- Od dawna wszak powtarzam – wtrącił zirytowany hadhi Haramisha – że wacha zaprawę futruje<sup>102</sup>. Zaś cegły luzem się bujają jak bezpańskie psy! – dorzucił, moszcząc się na koi. – Popamiętacie! Nie minie tydzień, a całe to skruszałe niebo nam prosto na głowy rypnie<sup>103</sup>!

Ktoś tylko odburknął pod nosem:

- Za tydzień to dawno już dęba za Młynem stawiać będziemy!

Czego należało się spodziewać, strop mimo wszystko nigdy nie zdecydował się spaść, a już od dawna nawet ja nie myślałem, by na poważnie przejmować się takimi uwagami Haramishy. Jego posępne obietnice rzadko się sprawdzały. Z drugiej strony obietnice ucieczki z Młyna jak dotąd nie sprawdzały się w ogóle.

Gdy jedli, rozmyślałem o tych wszystkich zaklętych w cegły i kamienie istotach, które miast spojrzeć z wysoka leżały porozrywane na posadzce. Przyszło mi wtedy do głowy, że zamiast nich na ścianie mogły przecież odsłonić się inne plamy, pęknięcia i skazy, których nigdy dotąd nie widziałem. Tak było w istocie. Rozejrzałem się, by na nie zapolować. Tam kościsty demon, co z ciemności się wyłania, gdzie indziej znów rogi jelenia lub kręte ogony jaszczurów krzepną w nikłym blasku odległej pochodni. Wpatrzony w te chimeryczne żywotwory, dostrzegłem kątem oka, że sam Sharia przygląda mi się zaintrygowany, na wpół o franki oparty. Zaledwie przez moment wzrok skrzyżowaliśmy, a tak się przeląknłem, że pazurami w sierść Matki się wbiłem, aż z bólu syknęła. Po kilku chwilach przestraszony zerknąłem znów w jego stronę, ale gdy zobaczyłem wyraz jego twarzy, byłem już pewien, że wszystkiego się domyślał. Z dziwnym uśmiechem odwrócił głowę i przedarł się do swojej koi. A ja – na śmierć przestraszony – obawiałem się, kiedy to wiszące w powietrzu burzowe monstrum uderzy we mnie wichrem i piorunami...

Strach jedną myśl podsuwał tylko: By zniknął! By zginął, skoro wie! Rozszarpać na strzępy!



102 Wacha to inaczej woda, ale nieraz mówiło się tak na wyjątkowo rzadką żupę.

103 Niebo to rzecz jasna sufit – strop celi lub poziomu.

- A cóż wam da, hurie, że loch wywalimy na główny korytarz? – ni stąd, ni zowąd warknął ostro Haramisha<sup>104</sup>. – Psi urok! Cóż dalej, skoro twyrasów ani górnych, ani dolnych sami nie skluczycie. Chcecie firanki wygiąć? To wpraw kobznicie się na te tutaj w celi, jeśli łaska<sup>105</sup>!

W odpowiedzi na to, acz zupełnie nie zważając na ton prognoz hadha Haramishy, wtrąciła się Ugaidi, do cna ssąc wyrwaną z obiadowego fasunku łopatkę iakka i wpatrując się w rozkruszoną ścianę celi:

- Starczy zadekować się burtą w głównym korytarzu na ranną zmianę ciurmaków<sup>106</sup>. Jak tylko twyrasy rozkluczą – ciągnęła onkianka – skoczmy z za winkła, przydusimy pokutnika<sup>107</sup>, rozbroimy kluczmajstra i nim się góra zorientuje, wszystkie cele wypuścimy na pokład! Lot jak marzenie!

- A czym ty, hidayo, cegły skruszysz? Własnych kafli ci nie szkoda?

A Ugaidi tylko odburknęła przez zęby:

- Zawsze się znajdzie jakiś ogór, co we wszystko stery wetknie, a palcem nie kiwnie, czekając na gotowe!

- Do dwudziestu jeden psów chędożonych! Już ja ci dam drwić sobie ze mnie! – Haramisha aż zerwał się podjudzony z koi i byłby może rzucił się na onkiankę, gdyby nie Janga, ten cichy i podstępny pardian o ciemnej sierści, który doskoczył go, złapał i rzucił prosto w uszy:

- Ciii, francie jeden! Chcesz nam pastuchów na pokład zwabić?

- A niechże by przyszli! – odgrażał się wciąż Haramisha. – Ja się psów bać nie będę! Nie jednego już między pniakami obracał!

Cela, przewróciwszy oczami, aż westchnęła, doskonale wiedząc, że Haramisha wpadł właśnie w trans plecenia swych niestworzonych farmazonów. I właśnie wtedy, gdy już ku temu otwierał usta, usłyszeliśmy:

- Stemp, psia sitwo<sup>108</sup>! – Był to niski, tigrzański pomruk dochodzący z za ściany, a należący do samego Radży, to jest *rais*a celi obok. – Ucisza to trefne próchno i póki tronę nosi, bierzta się do tyrki<sup>109</sup>! Weźcie! – rzekł.

104 Tu akurat chodziło Haramishy o zwykłą dziurę, choć lochami bądź jamami nazywaliśmy zwykle pomieszczenia mieszkalne bukatów na wyższych poziomach. Nieraz opowiadaliśmy o nich mniej lub bardziej pochlebne historie, choć, co jasne, nikt z naszych nie widział wówczas tych lochów na własne oczy.

105 Niejeden już próbował, możecie wierzyć.

106 Zadekować się to solidnie się ukryć, choć na pokładzie nie bardzo było gdzie.

107 Czyli dosłownie: napadnięmy dozorcę.

108 Albo „zeks” – uwaga!

109 Trona to ciemna noc. Innych w Młynie nie było.



– Ledwośmy kilka dni temu przytargali spod pokładu ten kopsunek<sup>110</sup>. – A mówiąc to, stuknęła Radża o posadzkę jakąś metalową rurą w drewno obitą, którą podawał nam przez firanki. Ściana dzieląca nasze dwie cele miała ledwo ponad łokieć grubości, toteż obrót fantów<sup>111</sup> był na porządku dziennym. Chociaż akurat podarunki, czy w ogóle przejawy chęci do współpracy, należały raczej do rzadkości.

Gdy odebraliśmy ten niespodziewany dar od burty zza ściany, wszyscy ścisnęli się ciasno wokół Sharii i Ugaidi, badających przydatność tej metalowej rury do drążenia otworów. Skwitowała fachowym okiem:

– Całkiem łowki jak na mel<sup>112</sup>. Za mikry hak do podpulania – dodała – no ale za to udobny, drewniany przybit<sup>113</sup>.

Ostatnie słowo należało jednak do Sharii – myślał, badał metal, coś liczył w pamięci; spoglądał to na ścianę celi, to na własną burtę aż w końcu mruknął:

– Szaleńczy to plan, Ugaidi. O ile w ogóle uda się wydrzeć z tego muru wystarczającą wyrwę, musimy działać tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Nie później jak jutro każą nam замуrować tę ścianę. Mamy zatem w najlepszym razie zaledwie jedną noc. I to niecałą. To mało. Będzie potem trzeba zostawić w celi kilku z nas przy kracie, by nie wzbudzać podejrzeń. Wszak mogliby stamtąd dostrzec tu pustkę, a i tak będziemy mieć szczęście, jeśli nas nie wywąchają... Bierzmy się do roboty! Czeka na nas poranna kąpiel w złotych promieniach słońca, dzika krew wśród drzew i miękki sen w ich koronach! – To ostatnie powiedział Sharia już z werwą, do wszystkich, acz na próżno próbowałem odnaleźć w jego oczach choćby cień tych iskier, jakie miewała Vijani, gdy to ona mówiła o wolności.

Burcie to wystarczyło, by gdzieś tam, głęboko w nich po raz kolejny nieśmiało zatliła się nadzieja. By gdzieś tam, na horyzoncie wyobraźni za-

110 Czyli coś nielegalnego, za posiadanie czego można było zwiedzić kabarynę, jeśli nie było się dość ostrożnym przy strażnikach.

111 Oj tam, rzeczy przecież; przedmiotów.

112 No, czyli zgrabny; albo zręczny, jeśliby mówić o kimś... A mel to inaczej łom albo w zasadzie cokolwiek metalowego na kształt łomu, co akurat wpadło w ręce, a co wykorzystywali nasi do podważania skał, gdy akurat brakło na poziomie bardziej cywilizowanych narzędzi.

113 Takie to było – ze dwa, trzy łokcie długie. Tu ten hak do podważania, a z drugiej strony podłużny, wygodny uchwyt – cały ze zgrabnie polerowanego drewna. To zadziwiające, co czasem dało się znaleźć pod gruzem na poziomie.

majaczyły bujne lasy i bezkresne stepy rodzinnego terytorium. By raz jeszcze bezczelnie zignorować zdrowy rozsądek i znów naiwnie uwierzyć, że ucieczka z Młyna jest możliwa. Podsyceni rozbudzonymi wspomnieniami rzucili się do napoczętej przeze mnie ściany – tylko przecież czekając na przyzwolenie swego *raisa*.

Tak rozpoczęła się jedna z najbardziej niesamowitych nocy, jakich dostarczyła mi ceka. Pierw zdało mi się, że znowu śnię, ale w końcu doszło do mnie, że tym razem to rzeczywistość wzięła przykład z wyobraźni. Wszystko było tak niezwykle prawdziwe... Aż sam rzuciłem się na ścianę, by pazurami zaprawę jak mięso szarpać i kościste cegły kruszyć. Niedługo trwało nim odepchnęli mnie od tej tyrki, ale to nic. Stałem się częścią niezmordowanej orkiestry dziewiętnastu hurii, drążących najprawdziwszy tunel ku wolności! Choć niema była to orkiestra. Wśród szmerów starannie wysuwanych cegieł i kamieni, wśród tłumionych szeptów i pomruków strzelały iskry, przyskały odłamki, co rusz sypał się piach. Wyśniony niegdyś spektakl właśnie ziszczał się na moich oczach... Nasi, niczym w transie pogrążeni, niestrudzenie parli do przodu. Zaś nowy mel w rękach Ugaidi bez większego oporu gryzł zaprawę stawioną już mocno przez czas. Kolejne pokolenia gorzko-kwaśnych pyłowych bestii. To rodzą się nagle, to, wirując, padają ze zmęczenia na posadzkę. A my – cegła za cegłą i kamień za kamieniem – zdobywamy kolejne poziomy, skradamy się pod osłonę nocy od jednych schodów do następnych – wciąż dalej i dalej. Smyki pną w górę, wspinają się, nabierają tempa – jakby po stopniach szły coraz szybciej, z pasją, zapałem, rytmicznie. Głowy dźwigamy ku wolności: wśród kolumn bujnego lasu blask słońca, bezmiar przestrzeni i chmur po horyzont...

Jedno, tylko jedno poszło nie tak...

Spod nowego mela coś nagle błysnęło jaskrawo i zaraz huknęło z tak wielką siłą, że aż nami poderwało, rapcie z bólu rwały, głązy w torf<sup>14</sup>, dech odjęło, a serce stanęło jak wryte. Strzeliło cegłami, pyłem, gruzem; wszędzie dym i swąd siarki. Wszyscyśmy z przerażenia zamarli w bezruchu – tak my, jak i inne burty – a tępe, dudniące echo długo błędziło jeszcze po korytarzach. Przez dobrą chwilę nie widziałem zupełnie nic, a huk tak szumiął w uszach, że ledwo słyszałem, jak Ugaidi z upiorną fascynacją zakłęta pod nosem:

---

<sup>14</sup> Ciii...

- Niech to psia zeszlojona ćma drewniana<sup>115</sup>! Toż to najprawdziwszy zajgler do dmuchania piorunami! – krzyczała onkianka<sup>116</sup>. – Nie minie godzina a zburzymy tę wupę<sup>117</sup>. Starczy tylko rozkluczyć, jak to trybi!

- Zejddże na ziemię, Ugaidi! – warknął Sharia przez zęby, otrzepując futro z gruzu. – Zaraz będziemy mieć tu górę. Myślisz, że puszczą płazem taki huk? Zostawże ten przekłęty łom! Próba skończona!

- Nie frantuj, Sharia! Gdzieś tu musi być jakiś knopa<sup>118</sup>...

- Nie czas na wygłupy, onkianko! Weźże i gdzieś schowaj to żelastwo!

Brak reakcji. Nic dziwnego, że po chwili rzucił się na nią z rykiem, powalił na ziemię i siłą wyszarpał ten przedziwny przedmiot z rąk Ugaidi. A w nią wtedy jakby zły demon wstąpił – z kłami skoczyła Sharii do krtyki, mimo braku pazurów w sierść się wbiła, grzywę targa i za mel jak za mięso ostatnie ze wszystkich sił ciągnie. Arufian, zupełnie tym zaskoczony, padł na plecy wśród tłoku swej burty, powalony przez jakże drobniejszą od niego, acz do cna rozwścieczoną onkiankę. W ferworze zdzieliła go pięścią i ze dwa czy trzy razy ciachnęła na powrót odebrany melem nim się Sharia opamiętał. Lewą ręką zablokował jej kolejny zamach, całym ciałem obrócił się wraz z nią, przypierając ją do ramy koi aż drewno stęknęło. Przygniecioną przez grzywiastą bestię i przyduszona jej muskularnym ramieniem Ugaidi nie dawała jednak za wygraną. Garścią pełną pyłu i żwiru z posadzki sypnęła Sharii po oczach, a trzymanym wciąż melem wymierzyła jeszcze jedno pchnięcie. Na chwilę zamarłem, myśląc, że ponownie przywoła jaką błyskawicę, odbierając Sharii życie. Nic jednak nie błysnęło. A *rais* miast ginąć, wpadł w zupełną furję. Już bez opamiętania pięściami i pniakami ciałł i szarpał ciało hidayi, wciąż kurczowo trzymającej swą zdobycz. Mimo usilnych prób burty, by oderwać go od onkianki, jeszcze długą chwilę

115 Zakłęta Ugaidi niemalże po albińsku... Naigrywaliśmy się tak czasem z niektórych strażników, którzy ćmą lub larwą zastępowali co drugie słowo, by zwrócić na siebie uwagę. W zwykłych okolicznościach bukaci pogardliwie nazywali tak ludzkie prostytutki. O ile dobrze zrozumiałem Turama, to taki osobliwy ludzki zawód, polegający na zezwalaniu innym na akt *jamii*, w zamian za podarki czy przysługi. W gruncie rzeczy nie odbiega to przecież od zachowań większości hurii i hurianek, za wyjątkiem tego, że ludzkie prostytutki nie stronią od ludzi spoza swojej *mbarii*. W zasadzie trudno zgadnąć, dlaczego ludzie patrzą na takie praktyki krzywym okiem...

116 A „zajgler” mówiliśmy na wszystko co mechaniczne, skomplikowane czy powiedzmy... trudne do objęcia jakąś zgrabną myślą.

117 Tak, to o Młynie.

118 Oj, guzik jakiś; przycisk.

tarmosił nią o pokład niczym gazelę żwawą w szpony chwyconą, futro jej strzępił ze złością, skórę pruć do żywego, a krtykę kaflami kruszył aż ktoś wreszcie krzyknął:

- Zeks! Ciurmaki ciągną!

Zaiste słyhać już było w oddali to złowieszcze metaliczne poruszenie, zwiastujące niechybną lawinę zbiegających po schodach strażników.

Sharia, przerwawszy ten szaleńczy atak, gwałtownie wyrwał mel z rąk na wpół żywej Ugaidi i odepchnął ją w mochę, tłoczącą się pod ścianą<sup>119</sup>. Nasz *rais*, nie odwracając wzroku od hidayi, sapiąc wciąż jeszcze i brocząc na twarzy z dwóch ciętych ran po melu, warknął donośnie do celi obok:

- Radżo!

- Czego tam gardłujesz? – odparł po chwili niski głos zza ściany<sup>120</sup>.

- Weźcie to przekłete żelastwo z powrotem, póki czas jeszcze!

- A jużci! Plomba i tyle<sup>121</sup>!

- Wejdą nam na celę, to z życiem nie ujdziemy!

- Twój rewir, nie moje futra, arufianie!

- A niechże twoja psia obłudna jucha!

- A fe! – szepnęła, nie pojmując chyba wagi sytuacji, do mnie bądź do samej siebie Dhahiri, ta leciwa ciotka Sharii, co nas w celi uczyła martwych huryjskich obyczajów. – To brzydkie słowo! Zapamiętaj sobie: wszystko siedzi w głowie. Lepiej powiedzieć „krew”! – I wtedy jeszcze z sobie tylko właściwą troską pociągnęła nosem i zapytała: – Czy ktoś może jest ranny?

Siedzący obok Haramisha aż prychnął rozbawiony, spoglądając z powątpiewaniem to na Dhahiri, to na Ugaidi, makabrycznie przecież potłuczoną i solidnie zalaną własną farbą. Żal serca ściszał, gdyśmy widzieli wszyscy ten jej rozharatany bok, zmasakrowaną twarz i powydzierane kłaki cętkowanej, dorodnej sierści. A i tak musieli ją trzymać, by się nie wyrwała – tak okrutnie się zawzięła.

- Mówiłem, że się nie uda, że ściany grube jak pies, to wierzyć nie chcieli – skwitował posępnie Haramisha, jak to miał w zwyczaj.

A Sharia? Stojąc wśród sterty cegieł i gruzu, z przeklętym melem w ręku, pośpiesznie zbierał myśli, gdy natrafił wzrokiem na jeszcze jeden problem ze swą burką.

119 Mocha, czyli ogólnie podgrupa naszych; wydzielona część z *mbarii*. Szczególnie zżyta ze sobą mochę zwaliśmy w Młynie ferajną.

120 Gardłować to krzyczyć między celami.

121 Tak ogólnie rzecz biorąc to odmowa współpracy.

- A ciebie kto szarpał? – zapytał z wyrzutem, wpatrując się w Gwayę, najmłodszego hura w naszej celi. Cichego, skrytego i nieśmiałego onkiana jednocześnie najbardziej wzgardzanego przez resztę. Zupełne przeciwieństwo Ugaidi, choć oboje byli przecież tej samej rasy. Więcej onkian w celi nie mieliśmy. Gwaya leżał tam wtedy oparty o koję naprzeciw rozoranej przez nas ściany, zaciskał zęby, dygocząc z bólu i przerażenia. Z jego boku wystawał sporej wielkości odłamek cegły, a krew strugą ciekła mu po sierści. Pewnie byśmy się rzucili mu na ratunek, gdyby nie te metalowe werble strażniczych butów, co dudniły coraz bliżej; gdyby nie sięgały już prawie głównej kraty...

Wszyscy w napięciu i oczekiwaniu wpatrywaliśmy się w Sharię. A on, rzuciwszy okiem po celi, podniósł grzywę bujną, iskrą w oku błysnął, mel ścisnął krzepko i powiedział:

- Prędko! Przenieście go pod tamtą ścianę! A wy weźcie teraz szmaty! Choćby te, spod tej pryczy. Rwijcie je w pasy! Z życiem! Lōzi, weź je i opatruj nimi Gwayę!

- Ależ są pełne pyłu! – oburzyła się Lōzi.

- Róbże, co mówię, hurianko! Niech Vijani ci w tym pomoże! I niech nas bystre demony w swej opiece mają...

Zgniły zapach śmierci zachłannie zerkał nam właśnie do celi, gdy amek głównej bramy zgryztał złowieszczo i złośliwie. Na gest Sharii wszyscy prócz Gwayi i Lōzi zwlekliśmy z ziemi swe złęknione truchła, by murem stanąć przed kratami. Na główny korytarz wtoczyła się sfera zbrojnych, a błękit pochodni roztańczył się po ścianach. Sytuacja była prawdziwie beznadziejna. I to nie tylko dla młodego onkiana z cegłą w brzuchu. Dla całej naszej burty. Doskonale wiedzieliśmy, że za próbę podkopu i uciezki należą się zbiorowe wtłuki, kabaryny, zaostrowany rygor, brak jedzenia, a w najlepszym razie zredukowane racje. Strażnicy skręcili jednak w lewo, w kierunku trzeciej i czwartej celi, jakby specjalnie chcąc przedłużyć naszą agonię oczekiwania. Mieliśmy zatem jeszcze jedną, krótką chwilę. Wtedy ze zgrozą Sharia uprzytomnił sobie:

- Cegły! Rozrzucie je prędko!

Nasi stali jednak w osłupieniu, nie wiedząc już zupełnie, czego od nich chciał i do czego tak w zasadzie dążył. Widząc to, sam rzucił się na pryzmę cegieł, jaką z największą ostrożnością układaliśmy przez pół nocy. Spłoszone gruchnęły tępo i rozbiegły się po posadzce. W ostatniej chwili, nim zgraja zakutych w metal strażników wychyliła się zza winkła, Sharia zdołał przedrzeć się przez mur swych hurii pod same twyrasy.



- Ten huk to u was, bydlaki chędożone!?! – zawarczał rozjuszony dozorca, wymachując pochodnią przy firankach. A żeby jaki zwykły dozorca! Sam Ordin A'Martern, najwścieklejszy i najbardziej zapalczywy oprawca, jakiego kiedykolwiek zrodził Młyn! Wraz z nim pięciu, może sześciu zbrojnych. Drewnianą nogę Turama też było tam słycać.

- Melduję poruczniku – zaczął Sharia – stan liczebny dziewiętnaście, obecnych dziewiętnaście, zdolnych do pracy siedemnaście, jeden ranny, pilnie potrzebujący pomocy medyka. Melduję, że gdyśmy spali, coś niespodziewanie huknęło i posypał się nam na głowy gruz i cegły.

Tylko tyle. Krótko i rzeczowo. Tak było najlepiej. Nie mówić bez potrzeby. A Ordin spod rantu stalowego hełmu zaciekle lustrował naszych w świetle pochodni, aż wreszcie rzucił pełen złości i irytacji:

- Huknęło, tak? I cegły spadły, tak? To niby czemu, Sharia, na kufie świeże sznyty nosisz? Co? Cegłom nagle pazury wyrosły<sup>122</sup>!?

- Cela spanikowała, poruczniku – odpowiedział bez namysłu arufian. – Musiałem ich uspokoić, stąd to zadrapanie. Mamy ciężej rannego. Niechybnie zginie bez waszej pomocy. – Mówił to tak przekonująco i wiarygodnie, że się poważnie zacząłem zastanawiać, czy nie wymyśliłem sobie całej tej historii z melem i błyskawicami... Tym bardziej, że to przekłete narzędzie zupełnie zniknęło mi z oczu.

- To gdzie to ścierwo? – zapytał w końcu Ordin.

Sharia głową skinął naszym, by się nieco rozstąpili. Ordin podszedł jeszcze bliżej krat, a między belki<sup>123</sup> wetknął swą pochodnię, do bólu jaskrawiąc wszystko błękitem. Krótką chwilę przyglądał się tej rozpaczliwej sytuacji. Posadzka bezładnie zasypana tabunem spękanych cegieł, wszędzie pył i gruz. Wśród tego gruzu na wpół przytomny Gwaya. Leżał tam na osobistej pryczy Sharii, po części oparty o ścianę. Kurczowo się trzymał łańcuchów i drewnianej ramy. Dyszał płytko. Cały drżał. Brudna szmata, w jaką był za-

122 Sznyty to blizny przecież, cóż innego? Nielicho Ugaidi rzezała tym melem, aż z daleka było widać. Nie bez powodu nikt pod pióra jej nie wchodził. No, czyli pod pazury. A gdyby nam ich bukaci regularnie nie obcinali, to z twarzy Sharii zostałyby zaorane albińskie pole.

123 No jasne, że nie. Chodziło o pręty krat. Żelazne.

winięty, nasza już farbą, a ta powoli sączyła się znów po sierści. Nad ciałem hura klęczała Lōzi. W skupieniu odprawiała swe czary, próbując zapewne zatamować krew. Aż złote iskry szły spod jej palców. Może i racja, że w zasadzie trudno to nazwać było magią, acz wśród naszych ta arufiańska hidaya jako jedyna parała się tą sztuką. W chwili, gdy Ordin podszedł pod kraty, przerwała i spojrzała w jego stronę, aż oczami na niebiesko zabłysła. Zdawałoby się, że w takim blasku nawet ślepiec by dostrzegł ponad jej głową, ileśmy cegieł wyszarпали ścianie od obiadu. Ordin jednak wrócił wzrokiem do rannego hura i rzucił pozostałym:

- Przytargać mi tu medyka!

- Medyka? O tej porze? Skóry nam zło! – zaskomlał któryś.

- Chcesz Staremu ligać, żeś się do zgonu kolejnego przyczynił, bo dupy ci się po schodach nosić nie chciało<sup>124</sup>? – Ordin aż rękami wymachiwał zirytowany, wywijając pochodnią o włos od naszych futer. – Nie sprowadzisz tu tego próżnego capa, to tamto ścierwo padnie jeszcze tej nocy! Te tępe koty za nic się nie znają na opatrunkach, starczy oko przypalić<sup>125</sup>! No, ruszać na górę, trepie! I znieść mi tu jakieś nosze!

Ciurmak rażony słowem swego zwierzchnika pomknął w główny korytarz. Ordin pozostał przed kratą naszej celi i w milczeniu kręcił głową, spoglądając spode łba to na Sharię, to na Gwayę, to na wciąż jeszcze rozjuszoną Ugaidi. A my, zaintrygowani i złęknieni spoglądaliśmy na niego. Taka troska o hurie w żadnej mierze do niego nie pasowała; byliśmy wręcz pewni, że nie wzięła się znikąd, toteż spodziewaliśmy się najgorszego.

- Odkluczyć mi ten chlew! Ruchy, drewniana nogo! – szczeknął wzburzony, a reszta bukatów jak na niemy rozkaz chwyciła za miecze.

„Zaraz nas wymordują”, pomyślałem. Gdy zakwiliły twyrasy, Ordin huknął na naszych:

- Wytargać mi przed celę tamte upaprane kudły!

Sharia skinął na dwójkę z burty – na Lōzi, wciąż klęczącą przy rannym, i na stojącego obok Zinaę, zdolnego i zdeterminowanego pardiana, co wszystkich urzekał swą urodą. Posłusznie, choć nie bez obawy i niechęci, dźwignęli w dwójkę rozedrgane ciało Gwayi z koi i ostrożnie przenieśli je przed celę – pod same paszcze psów. Gdy wrócili i zatrzaśnięto za nimi bramę, acz jeszcze nim sprowadzono z góry rakarza, Ordin przyklęknął przy

124 Ligać w ustach dozorców oznaczać mogło wyznawać, zdradzać, kłamać, donosić, wydalać, rzygać, wydawać posiłki lub po prostu mówić. Do wyboru, do koloru.

125 To prawda. Nie dożyłby do śniadania. Wystarczyło rzucić okiem...

młodym ciele onkiana. Studiując wytargane z przygodnych szmat bandaże, wzdardliwie kiwał głową i coś tam mruczał pod nosem.

Od rakarza, jeszcze zanim w asyście strażnika stoczył się na pokład, roztaczała się w powietrzu intensywna woń jakichś podłych koalich szczyń najniższej próby. Chwiał się nieco na nogach, acz idący z nim okuty w żelazo ciurmak skutecznie utrzymywał go w pionie. Do roboty zabrał się z nieskrywaną niechęcią – przerażeni obserwowaliśmy, z jak wielką nonszalancją zdejmował z Gwayi bandaże. Wbitą w ciało cegłę oraz zalane krwią futro hura badał z dystansu, by nie poplamić rąk. Rozdrażniony krzywił się i coś niewyraźnie bełkotał przez zęby. W końcu, poganiany przez Ordina, wyarkułowal swą pogardę:

- A weźcie ode mnie ten zapchlony dywan! Nie będę tego zgniętego trupa łąta! Zresztą, jak szajate kocham<sup>126</sup>, spadające odłamki takich sznytów nie czynią. Jak byk widać, że ktoś złośliwie dźgnął w to mięso pękniętą cegłą aż ta wręcz bebechy poprzecinała.

Strażnicy chyłkiem zlustrowali naszych spod swych stalowych czapek, zaś Ordin wpadł w istny szal:

- Oż wy, wyleniałe gawniaki niemyte! Zafajdani, kłamliwi popaprańcy! Więc miałem rację! Te wasze próżne kogucie pojedynki kolejny raz kaleczą mi inwentarz! Idziesz z nami, Sharia! Już ja ci pokażę, sierściuchu niewyżyty, jak się mięso drapie! Brać go!

Sharia schylił tylko głowę, ogon opuścił, zęby zacisnął, ale nie miał w oczach strachu. Raczej ulgę, jeśli już. Może nie dał po sobie poznać przerażenia? Bez oporu pozwolił się pojmać ciurmakom i wyprowadzić z celi. Gdy przez główną kratę prowadzili go na górę, przedarłem się między nogami naszych pod same pręty, zacisnąłem je ze wszystkich sił pazurami i łkając obserwowałem, jak mi *naisa* prowadzą na stracenie. Być może celowo oddawał grzywę pod topór, by wzrok bukatów odwieść od nieudanej próby ucieczki i własnej burcie oszczędzić rzezi... Chciałem krzyknąć, że to ja byłem temu wszystkiemu winny, że to ja rozkopałem ten przeklęty tunel, ale nic prócz rozdzierających goryczą spazmów nie przechodziło mi przez gardło. Patrzałem, jak z rozkazu Ordina na noszach brali również Gwayę – do którejś z kabaryń na pokładzie, aby daleko nie dźwigać. Może i był najniżej w hierarchii, ale mimo wszystko był przecież jednym z nas. W rękach takiego rakarza nie miał szans, cela spisała go na straty. A ja z rozwartymi ustami stałem tam zupełnie bezsilny i zdruzgotany – jakby wszyscy, cała *mbaria*, zginęli nagle,

<sup>126</sup> Miał na myśli swoją matkę.



a ja sam pośród ich truchel błąkam się we mgle i w rozpacz. Jakby wszyscy zginęli z mojego powodu...

Czar prysł. Pozostał szmer dyszących hurii, pusta prycza, na której nikt nie ważył się położyć, i ta ogromna odłupana wyrwa, co poszarpanymi zębami ceglanyimi spozierała na nas łakomie z wysoka. A w górze – smok chwytą w szpony orła i pióra skrzydeł targa w drapieżnej paszczy, gardła już sięga. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek bał się tak bardzo o czyjeś życie, jak wtedy. Ze wszelkich sił odgonić chciałem wyobrażenia, że te zakute w metal bestie nożami mu sierść masakrują, kijami i prętami żelaznymi ciało kaleczą, w szlamie najohydniejszym topią, łańcuchami nogi i ręce rozciągają, skórę ogniem podpalają, linami krtykę duszą, obcęgami pazury ciągną, grzywę strzępią, stery szarpiają, *umy* kruszą, *marash* tną, klingę miecza w sercu topią...

Długo nie mogłem się pozbyć tych przerażających wizji... Tym bardziej, że ledwo tej samej nocy chciałem, by zniknął; chciałem by zginął, bo wiedział o moim podkopie! Gdy to sobie przypominałem, myślałem, że zwariuję. Do samego rana drżałem jeszcze mimo starań Matki, która czule tuliła mnie i lizała, by jakoś uspokoić mą rozszalałą wyobraźnię.

- Czuję, że się boisz, maleńki – powiedziała.

Przytaknąłem. Własne *nuki* zdradzały mnie na kilometr. Wtedy szepnęła mi do ucha coś, co do dziś pamiętam:

- Wiedz jedno: w życiu nie istnieje absolutnie nic, czego należałoby się obawiać.

- Oprócz ludzi, prawda? – zapytałem.

- Nie. Ludzi też nie należy się lękać. Nie są w stanie zrobić ci absolutnie niczego, czego trzeba by się bać.

To mi dało do myślenia na tyle, że już w ogóle nie potrafiłem zasnąć. Byli wśród nas tacy, którzy również nie mogli zmrużyć oka przez to wszystko, co się stało. Choć większość – nie dość, że zmordowana już przecież codzienną pracą na poziomie, to jeszcze wycieńczona do reszty nocną tyrką na pokładzie – padała gdzie bądź i byle jak, usiłując odzyskać choćby godzinę straconego snu.

Ranek nadszedł zdecydowanie za szybko. Funkcję starszego celi wzięła na siebie Ugaidi. Serce się krajało, gdyśmy słyszeli jak mówiła, że została nas tylko siedemnastka, a dwóch było na przetrzymaniu – to jest Sharia i Gwaya. Zawsze na chwilę wstrzymywaliśmy oddech, gdy starszy celi mówił to „na przetrzymaniu”. Tak mówiło się na tych, co poszli do kabaryny i jeszcze nie wrócili. Ale jeśli by nocą zmarli, to właśnie wtedy, podczas porannego ape-

lu, poinformowaliby nas o tym bukaci. Przynajmniej zwykle tak się działo. „Tamtego ścierwa to już do harem u nie rachujcie. Padło, błagając o litość” – tak by powiedzieli. Albo jakoś podobnie. Milczenie strażników pozwalało odetchnąć z ulgą i w strzępach nadziei trwać kolejny dzień.

Tamtego ranka dozorca – zgodnie z poleceniem Młynarza, jakie podsłuchałem spod drzwi karceru poprzedniego dnia – wyznaczył dwóch naszych, by zostali na pokładzie i zamurowali wyłom:

- Siwy wypłosz i wyleniały czarny wystąpić mi z szeregu! – Ręką wskazał na Vijani i hadha Haramişę. Tyle lat nas znali, a nie byli skłonni nauczyć się naszych imion. – Te dwa zostają dziś w celi.

- Panie kapralu, co pan? – zdziwił się któryś z bukatów. – Znowu pan tego szarego kocura bierze?

- Młody, toż to nie kocur, a kocica!

- Kocica! – ledwo słyszalnie westchnęła po naszymu zbulwersowana Vijani. – Trzymajcie mnie!

- On czy ona, co za różnica? Te sierściuchy wszystkie wyglądają podobnie!

- Było iść, Młody, gdyśmy do mańki zapraszali<sup>127</sup>. Własnym kindybałem byś różnicę obciął! – gwałtowna rzeka grubiańskiego śmiechu wykłapała z metalowych puszek ich zbroi i przeszła echem po korytarzu; zaś w celę uderzyła gwałtowna fala irytacji. Przecież takie kwestie są bardziej niż oczywiste nawet z kilometra!

Może i racja, że dla rasy, która zdaje się zupełnie nie mieć węchu, różnice między hurianką a hurią są nazbyt subtelne – szczególnie, że młyńskie kadzienniaki<sup>128</sup> zasłaniały nasze *umy* i *uki*<sup>129</sup>, a w świetle pochodni rysy i barwy naszych twarzy może i w istocie zbyt słabo były widoczne. Być może bezogoni zza Wielkiej Wody nawet między sobą miewają problemy z różnieniem płci – tym bardziej, że zwykli niemal całe ciała skrywać pod kilkoma warstwami ubrań. To prawda, często się zdarza, że właśnie za pomocą ubioru manifestują swoją płć. Aby jakoś się od siebie odróżnić, umówili się, że będą nosić różne typy ubrań. Ich hurianki noszą się zupełnie inaczej aniżeli hurie i w inne ozdoby się stroją, jeśli z zamożnych *mbarii* pochodzą.

127 A to jeszcze inne określenie karceru.

128 Tak się mówiło na łachmany, w które byliśmy wszyscy ubrani.

129 *Umy* i *uki* to mesejskie odpowiedniki buryjskich słów na określenie męskich i żeńskich organów płciowych – przyp. GE.

Bywa też, że o płci świadczy stosowne uczesanie grzywy<sup>130</sup>. To, jak zaznaczają swoją płć, również zależy w dużej mierze od rasy i lokalnych zwyczajów. Co innego uchodzi za właściwe dla albinów, co innego dla erabów. Albini noszą spodnie, albinki – długie suknie lub spódnice, a w takiej Erabii długie suknie noszone są przez obie płcie. A na przykład meseje, jak sami tu widzicie, ani spodni, ani sukni nie noszą wcale.

Poza tym wszystkim ludzkie hidaye oraz hekale w miejscu pierwszej (i zarazem jedynej) pary *ziw* mają coś w rodzaju odstających wymion. W zależności od wieku sterczą bądź zwisają luźno, sprawiając, że całość wygląda – trzeba przyznać – dość komicznie. A mimo to hurie bezogonów zdają się być nimi obsesyjnie zafascynowani – to jest *ziwami*. Ich objętość wprost proporcjonalnie przekładają na urodę. Stosunkowo łatwo jest zobaczyć ich pękaty kształt nawet przez kilka warstw ubrań, co pewnie jest dla nich głównym wyróżnikiem płci, którego – jak widać – brakowało tym ograniczonym i ułomnym w zmysły strażnikom Młyna u naszych hurianek<sup>131</sup>.



- Mówiłem, że trzeba byłoby dorzucić tamtego kota, co zdechł na szóstce miesiąc temu – skomlał któryś z bukatów. – Od razu lepiej by wiązało.

- A gdzieżby tam – odparło to samo wapno, które poprzedniego dnia wraz z Młynarzem badało naszą celę. – Jeszcze by niestrawione kości luzem pływały. Z pół roku musiałyby się gryźć.

130 Nie mówiłem jeszcze o tym któregoś wieczora? Wszystkie ludzkie rasy – od albinów, przez erabów, barbarzyńców, jin-hanów ze Sterburty, ruberów z dziobowej Bąkburty, enuitów z mroźnej Rufy skutej wiecznym lodem, aż po mesejów, z których jednego na własne oczy tu widzicie – wszyscy oni – czy to hurie, czy hurianki, czy nawet chekechee – wszyscy mają gęste grzywy, choć może nie aż tak bujne jak u arufian. Czeszą je na najróżniejsze sposoby, przycinają lub zupełnie golą w zależności od upodobania, obyczajów lub pełnionych funkcji.

131 Hurianki wbrew wszelkim możliwym oczekiwaniom nie zostały przez naturę szczerze obdarzone w *ziwy*. Klatki piersiowe nawet dorosłych *hiday* są pod tym kątem zupełnie płaskie, nabierają odrobinę krągłości kształtów jedynie w okresie karmienia młodych. Na co dzień w zasadzie nie różnią się od męskich torsów – tym bardziej, że obie płcie posiadają aż trzy pary ukrytych między sierścią *ziw* (choć, jak mówią, bywają wyjątki) – przyp. tłum.

- Ale coś dorzucić trzeba, a tu widać góra znów poskapiła, że się lepić nie chce.

- E, za wcześniej jeszcze. Dopiero na jesieni mieli dźwig murem na wcisk obstawiać, to zgryźć się jeszcze nie zdążyło. I tak dobrze, że choć tyle stało. A dorzucą się coś zawsze, inaczej się nie godzi. Mogę iść na zastawkę<sup>132</sup>, że zdołowali jakiego padniętego iakka bądź wołu.

- To zobaczcie, kapralu, jaka oszczędność: miast zdechłego iakka zdołować zdechły dywan, a i grobu nie byłoby potrzeby kopać. A padlinę dać kotom na fasunek, i tak wszamią.

- O, jasne! – burknął po naszymu zbulwersowany Haramisha. – Jeszcze chwila i każecie nam samych siebie żywcem zjadać dla tej waszej psiej oszczędności!

Na to bukat warknęła tylko zza krat:

- Cegły kleić, nie pyskować, chmieju obeszczany! Z kijem na zachętę ożenie, jak się nie podoba!

Ludzie doskonale wiedzieli, że mamy własną mowę, acz nie rozumieli jej, dlatego pod groźbą batów zakazali nam jej używać. W ich obecności mogliśmy mówić albo po albińsku, albo wcale<sup>133</sup>. Ile to razy oberwało się komuś z naszych za westchnięcie bądź odchrząknięcie, bo bezmózgi ciurmak wziął to za konspiracyjny szept. Taki mieli tępy słuch... Z drugiej strony dzięki temu nasi mogli, choć w dość ograniczonym zakresie, rozmawiać podczas pracy na poziomie. Bukaci nie odróżniali huryskich słów od jęknięć przy zamachu kilofem.

Z tego powodu się w ogóle wzięły figury<sup>134</sup>. Na samym początku Młyna wyselekcjonowano z nas tych, co władali albińskim choćby w najmniejszym stopniu. To była ledwo garstka hurii. Mieli tłumaczyć naszym polecenia strażników oraz uczyć nas języka. Kilka dobrych cykli im to zajęło, a gdy wszyscy już zdołali pojąć te kanciaste dźwięki i byli w stanie je wyartykułować, dawno już nie trzymali figur razem z nami w celach. Od początku podejrzewaliśmy, że te psie sługi donoszą strażnikom o wszystkim, co mówimy między sobą, toteż któregoś dnia jedna z burt poturbowała swoją figurę.

132 To jest o zakład.

133 Hmm... Zachodzące słońce, chyląc się, złotem kłęby chmur oblewa. To znaczy: umierające słońce, brocząc ranione, chmur poszarpaną mozaikę złotą krwią plami. Zadowolone? Ten handlowy język ma dziwne i dość... kanciaste brzmienie. Acz jego znajomość potrafi się w świecie przydać – z bazarów trafił do urzędów i na dwory wszystkich niemal narodów i ras.

134 Więżniowie funkcyjni. Też hurie. Wspomniałem chyba kiedyś o nich.

Bez kabaryny się nie obyło, ale przynajmniej odseparowali ich od nas, by nie zdarzył się kolejny „wypadek”. Przydzielili im inne lokum i inne prace. Jednak i bez figur w celach mieliśmy uzasadnioną obawę, że któryś z bukatów zna nasz język, choć nigdy się tym nie zdradził – zresztą nawet Turam nic o tym nie wiedział. A jeszcze bardziej obawialiśmy się tego, że ucho<sup>135</sup> mamy wśród nas samych – w którejś z cel. Podejrzewaliśmy kogoś od Radży, ale i własnej *mbarii* nie można było ufać, chwilami każdy podejrzewał każdego. Musiał być przecież jakiś powód tego, że ciurmaki przychodziły czasem w nocy i zabierały do karceru któregoś z naszych niby zupełnie bez przyczyny. Dziwnym trafem okazywało się zwykle, że ten ktoś kilka dni wcześniej podczas tyrki wygłaszał huryskimi słowy nieprzychylnie sądy pod adresem Młynarza albo zdradzał się z planami ucieczki, buntu lub jakiegoś perfidnego kantu. Po tylu latach doskonale nas wszystkich znali – po barwie sierści czy rysunku cętek, acz oczywiście nie po imionach, których nie byli w stanie nawet powtórzyć. My, pomimo ujednoczonych płytowych zbroi, jakie zawsze mieli na sobie, rozróżnialiśmy ich nawet lepiej – ale nie po twarzach, jakie było widać spod otwartych hełmów, a raczej po głosie i *nukach* – tak intensywnych, jakby z upodobaniem smarowali swe ciała własnymi odchodami. Manifestowali swoją obecność na kilometry, choć zdawali się tym w ogóle nie przejmować. W zasadzie to ludzie zazwyczaj nie odróżniają nawet swoich własnych *nukii* od *nuków*, wcale nie przesadzam! Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak oni z takim podejściem w ogóle polują na zwierzęnę? A może właśnie dlatego wolą ją hodować?

Zaprawa, jaką w drewnianym wiadrze po pomyjach przynieśli nam wtedy bukadzi, też nie pachniała za dobrze. No i rzeczywiście wiązała słabo. To znaczy taka była opinia hadha Haramishy, bo moim zdaniem nadawała się wyśmienie – tyle że do zabawy. Lepka, odrobinę mokra, a plastyczna prawie tak jak miękka glina. Umorusałem w niej futro aż po łokcie nim ciurmaki burknęły na mnie, bym do ciężkiej larwy przestał już pomagać i czekał na którąś koję, bo inaczej stracą cierpliwość. Spod ściany obserwowałem, jak dwójka naszych używa własnych misek – tych samych, z których pili wodę i breję ze śniadania – do nabierania zaprawy. Mozolnie próbowali dopasować do siebie potrzaskane cegły i kamienie. Z góry przynieśli nam może kilkanaście nowych – dalece za mało, by starczyło na całą wyrwę.

Dopiero po jakimś czasie udaje mi się uprosić Vijani, by niepostrzeżenie nałożyła mi trochę tej zaprawy do mojej miski. To niezwykle, jak

135 Czyli paskudnego donosiela.

niewiele potrzeba, by z takiej szarej gliny stworzyć życie... Nim się orientujecie, spod palców rodzą się grudkowate grupy antylop, przemierzających równiny w galopie. Aż drewniany grunt dudni i drży dręczony dziesiątkami kopyt. Zwierzyny bezlik aż po brzeźny horyzont: aż za krawędź lawiną się sypią stada zebra pasiastych, aż rodzina lemurów, mknąc pędem przez trawy, rój ibisów płoszy i do lotu żwawego zrywa, aż piór strzępy tańczą wśród piachu, aż popłoch i wrzawa z zapachem potu i krwi się miesza, aż żaglice w popłochu tłoczonych aretasów setką barw się mienią niczym *neh nehy*<sup>136</sup>. Za tym ogromem zrodzonych naprędce stworzeń – hurii garstka w szaleńczym pędzie. Ale nie, nie gonią wcale tej zwierzyny – wraz z nią w popłochu gnają co tchu! Wtem głowę podnoszą. Już wiem, gdzie lęk ma swe źródło: oto smok kamienny spoziera z wysokiej kolumny i szykuje się na łowy. Łuski do lotu prostuje, szyję pręży i w dół! Sztyletami skrzydeł powietrze tnie na drzazgi, pył spod traw wiruje wzburzony, trąby rykiem grają w ferworze. Okiem demona za ofiarą już łypie, szpony zachłannie ku grzywie wyciąga! Sharia! Mknij co tchu! Z przerażeniem widzę, jak w pędzie się zatrzymuje i w tył odwraca, tnąc pazurami żdźbła traw. Oko w oko, wprost przed smokiem staje, skoki napręża, pazury do rozszarpania gotuje, niemal pniaki w łuskach już topi. Na próżno! Bestia olbrzymia szponami w pół go łapie, o ziemię bez skrupułów targa, całością cielską jak kłodą przygniata. Błyskawiczny zamach smoczej paszczy w jednym, gwałtownym kłapinięciu pozbawia Sharię...

Aż belki zadudniły echem. Taki grom huknął. Ocknąłem się szybko, słyszac jakieś wrzaski:

136 Jak to nie wiecie, co to są *neh nehy*? Jeszcze dwa miesiące temu widziałem jednego dzień drogi na Sterburtę od waszego rewiru, jestem przekonany, że żyje ich tu więcej. Poproszę waszego *raisę*, to może by wam pozwolił pójść z łowcami na tropienie *neh neha*. Wyglądem przypominają małe pantery mgliste, ale gdy wyczują, że się je tropi, a tym bardziej goni (nawet dla zabawy), ich sierść w niezwykły sposób mieni się wszelkimi kolorami tęczy. To trzeba zobaczyć na własne oczy, nim się przestanie być chekecheą! Wówczas w Młynie też nie miałem pojęcia, jak wyglądają *neh-nehy*. Znałem je tylko z opowieści starszych, ale żadnego przecież nie widziałem. W mojej wyobraźni wyglądały jak hurie biegające na czterech. Zresztą wszystkie zwierzęta, jakie pojawiały się w mojej głowie – antylopy, zebry, lemury, aretasy, bawoły, słonie, żyrafy i wszystkie inne łącznie z tymi, które widziałem na ścianach celi – przypominały hurie, moją Siostrę, ryby ze śniadania albo kamiennego orła lub smoka z odsłoniętej kolumny. Żadnych innych kształtów nie znałem – w razie potrzeby modyfikowałem je, odejmując im ogony, dodając skrzydła, mnożąc liczbę nóg albo pokrywając ciała rybimi łuskami. Wyobraźnia nie bierze niczego z powietrza.

- To ten harem. Holujcie<sup>137</sup>, co za szambo!

- Skoczyć po Tufla, poruczniku?

- A po cholere mi ta drewniana noga? Z kilometra widać, że wapna szkoda na taką chałturę! Obiję pysk temu, kto przyklasnął taką porotę i odstawił te ścierwa na poziom<sup>138</sup>! Ile razy mam tłuc tym krzywym kindybalom<sup>139</sup>, ile razy mam im tłuc – ciągnął, gniewnie machając rękami – że jak się daje tym sierściuchom coś do zrobienia, to trzeba bez ustanku obcinać im ręce<sup>140</sup>!?

To był rzecz jasna Ordin. W towarzystwie dwóch innych strażników stał rozwścieczony za firanką i wymachiwał przełożoną przez kraty jaskrawą pochodnią, ożywiając cały rój makabrycznych cieni bezwładnie biegających po błękitnych ścianach. Gdy nagle zwrócił swe stalowe oblicze w moją stronę, przerażony jeszcze bardziej wcisnąłem się w róg koi Haramishy, na której siedziałem pod warstwą starych derek. Wtedy coś cicho zapiszczało, a ja poczułem Ją pod sobą, wtuloną w moje futro. Widać, złękniiona szukała schronienia od rozeźlonego Ordina – zupełnie tak jak ja.

- A ty co ślípiesz, skokobryku jeden? – warknął. – Lepiej się ułybaj, darmożjadzie, że masz przychylność Starego, inaczej dawno już byś gryzł skały razem z resztą<sup>141</sup>!

Odwrociłem wzrok, by go nie prowokować; a on tylko splunął na naszą posadzkę, przeklinając coś tam pod nosem.

Gdy już zabrali sprzed celi swe metalowe cielska, ostrożnie wysunąłem się spod derek, uważając, by znowu przypadkiem Jej nie przygnieść. Nie czułem już było od Niej przerażenia. Dobrą chwilę siedzieliśmy, wspólnie chrupiąc z mojej ręki pokruszoną pajdę bomsu. Wcinała, aż Jej się wąsy trzęsły, a i tak widać było, że bardziej łaknęła towarzystwa aniżeli czegoś na ząb. Dawała mi się nawet gładzić po brzuchu. Razem podziwialiśmy ścianę naprzeciw, świecąca świeżą łątą z cegieł i mokrej zaprawy – ja wtulony w miękką koję Haramishy, Ona – w miękkie futro na moim ramieniu.

137 Patrzcie.

138 Poruta to tak ogólnie o czymś nieudanym, jakimś niepowodzeniu.

139 W zasadzie chodziło o *umy*. Acz to zadziwiające, jak wieloma różnymi słowami potrafili je określać strażnicy, jak również to, jak wiele osób byli w stanie do *um* przyrównać... Co ciekawe, zawsze były to przyrównania niepochebne.

140 No, oczywiście: patrzeć, obserwować.

141 Ułybać się to znaczyło uśmiechać się albo cieszyć.



Miał tę iskrę w oczach już wtedy, gdy wchodził do celi. Janga. Ten masywny pardian o sierści ciemnej jak smoła, co nigdy bez potrzeby ust nie otwierał. A jeśli już się odezwał, to jakby jadowity wąż kąsał. Właśnie wtedy, nim nawet cela zza ściany zdążyła powrócić na pokład, zdarzyło się to wszystko. Wtedy to, gdy za naszą burtą zatrzaśnięto już twyrasy, przemówił tak:

- Hurie i hurianki! Od tej trony<sup>142</sup> biorę tę *mbarię* pod własny *marsh*. Będę wam *raisem*! Pniaki któregoś świerzbią, by iść ze mną na smary<sup>143</sup>?

- Jak to? A Sharia? – spytała któraś hurianka, być może Lōzi.

- Sharia, Sharia... Czyście nie widzieli, jak go rwali? Żywy do nas nie wróci. Nawet jeśli psy przytargają tu jego ciało, duch będzie martwy! – Później zachodziłem w głowę, jak on wtedy mógł być tego pewnym?

- Mylisz się, Jango! Te blaszane ciurmaki nigdy go nie złamią! – To był Zinaa, ten młody, ambitny i może nazbyt naiwny huria. Był pardianem, tak samo jak Janga. Wszyscy nieco zaskoczeni zwróciliśmy głowy w jego kierunku, a on mówił dalej: – Ten rewir należy do Sharii! A jeśli nie możesz znieść, by choćby przez moment nie mieścił w sobie *raisa*, ja wezmę tę *mbarię* pod ogon i zwrócę prawowitemu władcy, gdy tylko powróci!

Janga, uśmiechnąwszy się przebiegle, przyjął rzucone wyzwanie, acz nie wyrzekł ani słowa. Jedyne Ugaidi syknęła przez zęby:

- Ależ z ciebie tępe futro, Zinao!

Kto wie? Może nie mieściło się jej w głowie, by ktoś o tyle w hierarchii niższy od niej samej mógłby stać się nagle *raisem*? Choć to prawda, Zinaa nie nadawał się do tego, by rządzić innymi. Nie każdy się nadaje. Nie miał ani zaprawy w walce, ani pozycji w celi, ani roztropności przynależnej *raisom*. Burtę darzyła go jednak niezwykłą sympatią, na którą zresztą sobie zasłużył. Nieraz stawiał na swoim; jak widać, nie brak też mu było odwagi. Rozpaczliwie wierzyłem w jego zwycięstwo – zapewne dlatego, że Jangi, tego czarnego, upiornego i jadowitego węża, jakiego hodowaliśmy wśród własnych futer, lękałem się bardziej aniżeli najokrutniejszych bukatów Młyna...

<sup>142</sup> Nocy, było już.

<sup>143</sup> Innymi słowy: „by wejść ze mną w szranki”.



Ściśnięci na stojąco pod ścianami tudzież na kojach, zostawiliśmy ledwo skrawek przestrzeni tym dwóm pardianom. Na co dzień ledwo się przecież w tej celi mieściliśmy, tak było ciasno. Niemał nic nie widziałem, gdy Matka przycisnęła mnie silnie do muru i zasłoniła własnym ciałem.

Janga gestem oddał pierwszeństwo w starciu swemu młodszemu rywalowi. Wstrzymałem oddech – to surmy tną złowieszczo; to bębny coraz gorliwsze, jakby batem rażone pędu nabierają i gnają, i tętnią niczym kopyt stadem<sup>144</sup>. Pośród podjudzających szeptów dwa skupione spojrzenia ostre jak brzytwy, mięśnie jak cięciwy napięte, ogony na sztorc, sierść zjeżona, wdech płytkie, gwałtowne, krtyki rżące jak krasnoludzkie maszyny, a serca – bom-bom-bom – jak stąpające po ziemi deinoteria. Moje własne niemał z piersi wyskoczyć mi chciało.

Stało się. Piękne i prężne ciało Zinai poderwało się w powietrze, tylko śmignęły dorodne cętki. W locie błysnęły ostre kły, a szczęki już na kark gotowe były w rozwarciu. Aż metal dźwięknął, gdy w tym pędzie wbił się huria kajdanami wprost na firanki. Tam, gdzie mierzył, nie było już Jangi. Sprawiało to wrażenie, jakby czarny pardian w ostatniej chwili uchylił się w bok i przemknął piorunem za plecy swego rywala.

- Dziurszlaki<sup>145</sup> pyłem ci zaszły, zaperzony klajniaku<sup>146</sup>! Jorgaj się! – wycedził wąż truciznę przez jadowe zęby<sup>147</sup>.

Rozjuszony Zinaa, warcząc głośno i kły szczerząc, obrócił się w stronę Jangi. A w naszą burtę jakby demony wstąpiły. Podjudzali, krzyczeli; *jamię*, *fanty*, *rybę* ze śniadania stawiali to na jeden, to na drugi ogon. A z każdym kolejnym ciosem, skokiem czy zamachem Zinaa w coraz większą wpadał

<sup>144</sup> *Huryjskiej muzyce należałoby poświęcić cały osobny rozdział. Wytwarzają różne instrumenty, niektóre zupełnie mi nieznane, a gra na nich często im towarzyszy w codziennym życiu. Zdaje się wiązać wewnątrznie stado i umacniać wzajemne relacje. Huryjska muzyka trzyma zazwyczaj szybkie, rytmiczne tempo i choć jest dość specyficzna, to całkiem interesująca dla ucha. Młodym, które przyuczają się do gry, zdarza się – tak jak dziś – zrobić niezły akompaniament do tej opowieści. Natomiast huryjski śpiew – czy jak kto woli: huryjski chór – jest znacznie trudniejszy w odbiorze. Ktoś, kto nie zna ich języka, usłyszy z początku przeciągłe mruczenie, które wraz z przybliżeniem uczestników zmienia się płynnie w hulaśliwą wrzawę jęków, pohukiwań i ryków. Można się tego wręcz przestraszyć. Co ciekawe, muzyka i śpiew w ogóle nie łączą się u hurii z tańcem. Z zasady gardzą wszelką poważniejszą aktywnością fizyczną, jeśli tylko nie kończy się posiłkiem bądź przyjemnością – przyp. tłum.*

<sup>145</sup> Albo patrzyły – czyli oczy.

<sup>146</sup> Tak mówiło się o kimś młodym, niedorośłym; nieraz i o mnie.

<sup>147</sup> Jorgaj, czyli orientuj się, czasem: rusz się albo zrozum, zauważ.

złość, w coraz większą irytację, coraz wyraźniej tracił pewność siebie. Wężowy jad już krążył w jego żyłach... Ani razu nawet nie drasnął celu. Z desperacją dążył do zwarcia, a Janga z tak wielką lekkością się uchylał i wymykał przed wszystkimi atakami, jakby w istocie wszedł w ciało smolistego węża o łuskach tak śliskich, że nie sposób było go złapać w pióra. Nikt nie mógł zgadnąć, skąd w nim taki duch mimo tylu lat młyńskiej tyrki, mimo kajdan na nogach i rękach, mimo nędznej, hodowlanej diety. Niewątpliwie przednio się bawił, lawirując między nogami, unikając bezpośredniego starcia i niewybrednym słowem drwiąc z młodego hurii. Jakby złośliwym, rozdwojonym językiem syczał i straszyl<sup>148</sup>, doprowadzając nad przepaść obłądu. A gdy już zapędził nad sam brzeg urwiska, wystarczył jeden, dobrze wymierzony i zadany we właściwą porę cios. Ot, cały Janga. Trzonkiem zmateriaлизованego niewiadomo skąd mela od piorunów dzielił Zinaę po kremplu – tak silnie i gwałtownie, że aż metal stęknął, a huria padł na pokład zupełnie bez sił. Wtedy wąż czarny doskoczył mu do karku, sztyletami pazurów do krwi wbił się w gardło. Nie miałem pojęcia, skąd on miał tak ostre i długie pazury, skoro strażnicy obcinali je wszystkim huriom, nawet figurom? Cicho, ale nie na tyle, byśmy nie słyszeli, warknął pardianowi do ucha:

- Występ skończony, karakanie<sup>149</sup>! Sądziłeś, że to zabawa? – warczał Janga. – Francie! Gdyby nie kraty, wypędziłbym to twoje śliczne futro za wszystkie morza świata! A tak gnicić będziesz przy moim boku, psując zapach mojej *mbari*<sup>150</sup>!

148 *Hurie są szczególnie podatne na wszelkie trucizny, toteż nawet mniejsze węże uznają za bardzo niebezpieczne i nakazuje się wobec nich szczególnie ostrożność – przyp. tłum.*

149 Tam, w Młynie była to pogardliwa nazwa na wszystko, co małe, niskie czy nieistotne.

150 *Przed starciem z innym hurią o władzę rais może oddać swe stanowisko bez walki. W takim przypadku pozostaje w stadzie wśród swoich, tracąc tylko pozycję w hierarchii (często się zdarza, że w ten pokojowy sposób wiekowy rais przekazuje władzę – abdykuje na rzecz swojego następcy, samemu stając się wtedy hadhim). Gdy jednak hurie podejmą walkę, przegrany, o ile przeżyje, jest wypędzany ze stada. Hurie (jak i hurianki) mogą opuścić swoje rodzinne ziemie nie tylko wskutek walki o dominację – bywa, że pragną przygód, wolności, życia na własną rękę, mają zatargi z raisem bądź planują dotrzeć do innego stada czy wręcz założyć własne. Każdy członek huryskiej społeczności ma prawo z niej odejść, kiedy tylko tego zapragnie, acz to zazwyczaj bardzo poważna decyzja, od której czasem nie ma już odwrotu. Od chwili złożenia przed raisem oficjalnej deklaracji i przystąpienia do ceremonialnej kąpieli (poprzez pełne zanurzenie w wodzie, co symbolizuje pozbycie się zapachu stada) traktowany jest jako*

Aż trudno uwierzyć, że dopiero wtedy dała się słyszeć nadciągająca z poziomu burta Radży – w tak krótkim czasie wszystko to się stało. W tak krótkim czasie postawił się i poległ. Pełen trwogi przyglądałem się, jak moja jedyna nadzieja na przetrwanie zbierała z pokładu swoje zdruzgotane zwłoki i, unikając wzroku pozostałych, wtłaczała je w kąt obok gieru. Bałem się o jego los, tak jak i o własny. Siedział tam skulony, sierść miał zmierzwioną, w pyłe wytarzaną, wzrokiem świdrował posadzkę. Pewnie podobnie jak i ja obmyślał, jak dotrzeć do chwili, w której wróci Sharia, a wraz z nim stary porządek. Bo wiedziałem, że wróci, że weźmie w obroty te wężowe łuski i pokaże im, gdzie ich miejsce w celi. Razem byliśmy o tym przekonani. Tyle że Zinaa takie przekonania w jednej chwili przypłacił własną pozycją. Został przestrzelony. Tak się mówiło. Przestrzelony na sam koniec hierarchii. Co prawda z czasem jego pozycja się nieco poprawiła, wszak wciąż go szanowano, to jednak nie miał pod ogonem Jangi łatwego życia. Przez jakiś czas w kolejce po mięso z obiadu był ostatni, to jest za wszystkimi hurami i huriankami, a zaraz przede mną. A tamtego dnia Janga osobiście przypilnował, by nic Zinaa nie zostawiono. Tak, wbrew naszym obawom dostaliśmy wtedy pełnowymiarowy obiad.

Haramisha mówił zawsze: „jako *rais* je pierwsze danie, tak nad *mbarią* swoją stanie”. Czyli niby to, jak nowy *rais* spożywa pierwszy posiłek, zwiastuje, jak swoją *mbarię* traktować będzie przez kolejne lata. To oczywiście bzdura, ale przez te porzekadła Haramishy wielu z naszych uwierzyło, że pod nowym ogonem czeka nas dostatnie i bezpieczne życie. Wpadli w wężowe sidła, słowem: dali się nabrać. Tamtego bowiem dnia Janga szybciej sam odstąpił od fasunku niż Sharia zwykł dopuszczać niższych hierarchią. Doskonale wiedziałem, że ten pardian zgubi nas wszystkich, a jako chekechea byłem pierwszy na liście jego ofiar. Tym bardziej, że mocno przywiązany był do tradycji, czego nieraz dawał dowód. Było dla mnie jasne, że odstępując od mięsa rzuconego przez bukatów, bo ostrzy sobie zęby na mnie. A jeszcze gdy jadł, z taką zapalczywością wgrzyzał się w krwisty iakkowy rozbratel, że aż ciarki chodziły mi po plecach. A gdy spojrział w moją stronę, tak

*obcy. Od tej chwili musi podjąć samotne życie z dala od rodzinnych ziem lub po wyblaknięciu wzorów z sierści znaleźć jakieś inne stado (zazwyczaj tej samej rasy), które zechce go przyjąć w swe rewiry. Symbolem pokojowego włączenia samotnego hurii czy hurianki do stada jest powtórne przejście ceremonii Mahiri wraz z naniesieniem tatuażu danej społeczności. Niemniej jednak dorośli hurie mają prawo, by od razu wyzwać na pojedynkę raisa z obcego stada i przejąć je siłą w bezpośrednim starciu. – przyp. tłum.*

kły wyszczerzył i tak mięso szarpnął, że aż kość trzasnęła, a ja przelęknięty umknąłem za Matkę – jakby to w moje ciało zębami się wbijał. Okrutnie się go bałem. Z przerażenia aż zasikałem matczyne futro. Choć chyba i bez tego doskonale wiedziała, co czułem do Jangi. Nie wiem, co by ze mnie zostało, gdyby kiedyś zabrakło jej w celi, a przecież do rozdarcia węzowych łusek mogłaby nie wystarczyć przewaga w wadze i wielkości, jaką z samej natury miała ta tigranka nad pardianem... Zresztą równie dobrze mogłaby z własnej woli i w myśl huryjskich praw oddać mnie w ręce nowego *raisa*. Tuliłem się do jej sierści, nie będąc nawet pewnym, czy mam w niej jeszcze jakiegokolwiek oparcie.

Po obiedzie Janga oznaczył celę. Ściany, koje, gier i firanki nabrały intensywnego, ostrego, lekko słodkiego zapachu dominacji<sup>151</sup>. Z czasem zaczęły nasiąkać nim nasze futra, choć długo jeszcze czuć na nas było *nukie* Sharii. W końcu przez całe moje dotychczasowe życie dzień w dzień zlizywałem je z własnej sierści.

- Oj, dajcie już spokój z tym kadzeniem! – warknął ktoś zirytowany zza ściany. – Nawet tu nie ma czym oddychać!

- No coś ty? Ten ledwo wyczuwalny gips ci przeszkadza? – naigrywał się Radża<sup>152</sup>. – Niechże się kociak nałybie póki może! Wróci na pokład ta stara, oczajna grzywa<sup>153</sup>, to własnych *nukii* Janga nie odnajdzie!

- Też mają w głowach naszpagacone ci bukiaci – marudził tam znów kto inny zza ściany. – Tak tamtą burtę skasowali<sup>154</sup>, że po odholowaniu jedyne go charakteru nie ma kim sensownym go zastąpić<sup>155</sup>!

Na co Radża warknął rozdrażniony:

151 *Tłumaczenie huryjskich opisów śladów zapachowych czy w ogóle zapachów właściwie mija się z celem. Hurie używają mnóstwa określeń, odpowiadających za konkretne składowe i nuty zapachów, które nie mają u nas swoich odpowiedników. Chociaż część z nich jestem nawet w stanie rozróżnić własnym nosem, to i tak nie potrafię ich nazwać w naszym języku, niestety zbyt ubogim w tym zakresie. Na zapach, który dla nas jest po prostu zapachem smoczlówki, huria wynajdzie piętnaście różnych określeń zależnych od stopnia dojrzałości, odmiany czy regionu, a żadne nawet nie będzie się odwoływać do samej nazwy owocu. To trochę tak jak my nie mówimy o dojrzałej smoczlówce, że jest koloru dojrzałej smoczlówki, a powiemy, że jest karminowa, wiśniowa, rubinowa, karmazynowa lub po prostu czerwona – przyp. tłum.*

152 Gips to inaczej zapach, choć mówienie tak o *nukiach* Jangi było co najmniej prowokujące.

153 To znaczy taka, z którą się równo ogon nosi.

154 Złożyli.

155 Tak się mówiło na najważniejsze hurie, te najwyżej w hierarchii.

- A co, glazurujesz, że byś się na *rais*a nadawał, gdyby mnie ciurmaki na słowo do kabaryny poprosiły, kajfusie jeden<sup>156</sup>?

Wtedy w naszej celi Janga, kątem oka patrząc na Zinaę, rzucił niewinnie, niby mimochodem, niby nie zwracając uwagi na to, co mówią za ścianą:

- Najedli się wszyscy?

Odpowiedział zgodny pomruk.

- Słyszeliście? – podchwycił znów tamten z celi obok. – Ci z jedyńki się najedli! Nawet bez rakiety!

- A co mi do tego, hurio? – burknął Radża. – Ich śmietniki, nie nasze.

- To mi do tego, że nasze są puste! Taki mikry Janga to przynajmniej nie wszamie połowy fasunku, burcie nędzne ochłapy zostawiając!

- Bacz lepiej na słowa arufianie, bo ci grzywa z głowy spadnie!

- Nie ważyłbyś się!

- Byś się lepiej nie przekonał!

- Wszyscyśmy widzieli, co Ordin robi z takimi, co kaleczą swoich!

- To frant jeden! – oburzył się na dobre Radża. – Będzie mnie jeszcze pastuchami straszył! Trzymać mi mocno tego nygusa<sup>157</sup>!

I stało się. Z pomocą kilku innych z celi zakneblował mu usta, by przypadkiem nie ściagnął na pokład strażników, i ostrym nożem szpetnie zgolił grzywę temu arufianowi. Konga miał na imię. Z kilka lat mu odrastała. Straszna sprawa. Tym bardziej przecież, że u arufian ten, kto nie ma grzywy, nie może stać się *raisem*. A bukaci zdali się nawet nie zauważyć takiego okaleczenia. Tak samo jak nigdy nie odnaleźli kosa, którą Radża się wtedy posługiwał. Miał na nią specjalną skrytkę w swojej koi, między deskami. U nas najlepszą bronią był żelazny nóż Haramishy. Trzymał go za luźną cegłą obok gieru i nikomu niższemu od siebie nie pozwalał go oglądać.

Któż zgadnie, jak to się działo, że wpuszczony przez Jangę węzowy jad pulsował w krwiobiegu i rujnował wszystko, co spotkał na swej drodze? Ledwo słowem się odezwał, a cęła za ścianą niemal się nie pozabijała! Cóż to za demon w nim siedział? Mościł się w koi należącej do Sharii i uśmiechał się złośliwie jak to miał w zwyczaju, nasłuchując jak masakrują grzywę Kongi w celi obok. Czasem tylko dodawał w podobnych chwilach:

- Celne słowo głębsze zadaje rany aniżeli najlepsze ostrze.

156 Glazurować to szczegółowo obmyślać jakiś plan – ucieczki z Młyna lub choćby luztu czegoś spod gruzu na poziomie.

157 Jeszcze inne określenie na hurie, którym reszta gardzi.



Chyba sam zagadnąłem Turama o Sharię, gdy któregoś dnia zszedł na pokład, niosąc zdobyty skądś kawał suszonej cielęciny najwyższej jakości. Od jakiegoś już czasu przynosił osobno odkrojony kawałek dla mnie, bo i od dawna dobrze wiedział, dla kogo idzie reszta.

- Nie wiem wiele – zaczął, gdy usiłowałem utopić ten nad wyraz aromatyczny podarunek w drewnianej misce. – Ani w celi funkcyjnych, ani w żadnym karcerze go nie trzymają, tego jestem pewien. O ile te żądne krwi monstra w ludzkich skórkach nie zawlekły go gdzieś i nie zabiły tamtej nocy, to pewnie żyje jeszcze. Bo wolnych grobów ile było, tyle jest, chyba nowego by specjalnie nie kopali... Mogło się zdarzyć, że Stary, to znaczy naczelnik, Ordin Ar'Vertei, zamknął go w prywatnej celi, by osobiście zająć się karniem. Mówią, że tak czasem bywa. Ale kto to wie? Mógł mu wyznaczyć jakąś inną pracę nawet i poza murami tej waszej huryskiej kopalni.

- Czyli wyszedł na powierzchnię?

Strażnik wzruszył stalowymi naramiennikami.

- Może. Tęsknisz za nim, mały, co?

Pokiwałem twierdząco głową, jak to ludzie mają w zwyczaju.

- A jego żona? Jak to znosi? Bo ma w celi jakąś żonę, prawda?

- Żonę?

- No, żonę... – Turam przewrócił oczami i spojrzał na mnie nerwowo, jakby żałując, że w ogóle zaczął ten temat. – Kogoś, kogo kochał, komu słu-  
bował wierność, z kim się... przytulał i... takie tam...

- Ale Sharia jest naszym *raisem*!

- Tak, tak, wiem, mówiłeś... nieraz. Myślałem, że ma tu jakąś swoją...  
drugą połowę...

Ludzie mają dziwny zwyczaj łączenia się w pary, o czym mówił mi nieraz Turam, a i nasi wspominali czasem w ramach młyńskiego humoru. Zupełnie przy tym nie rozumieją zasad działania *mbarii*. Uznają własne prawa, które wbrew ich opinii wcale nie wydają się bardziej cywilizowane od naszych. Podczas specjalnej ceremonii dwoje ludzi (koniecznie odmiennych płci) wspólnie podpisuje specjalny kontrakt własnościowy, w którym ślubują sobie wzajemną przyjaźń, pomoc i dążenie do porozumienia, ale

jednocześnie: że jedno prawnie jest własnością drugiego, że z nikim innym nie będą uprawiać *jamii* jak tylko ze sobą, a czasem nawet: że pozostaną w swoim towarzystwie dopóki ich śmierć nie rozłączy. Zdają się mieć jakąś obsesję na punkcie tak dziwnie pojętej wierności; traktują ją zwykle bardzo honorowo i rygorystycznie. Nie mam pojęcia, jak my moglibyśmy przyrzec, że do końca życia trwać będziemy w jednej *mbarii*, a *jamią* darzyć będziemy wyłącznie jednego, wybranego hurię bądź jedną huriankę. To musiałyby być okropnie nudne! No i co z resztą *mbarii*? Im się *jamia* nie należy? Na mój rozum takie zobowiązanie brzmi nierozważnie i niezwykle egoistycznie. A u ludzi poza takim kontraktem własnościowym to *jamia*, o zgrozo, w ogóle jest niedozwolona, a czasem wręcz nielegalna. Nawet ich chekecheom nie wolno się w nią bawić. Zaś niektórzy bezogoni wręcz za punkt honoru stawiają sobie, by ich hurianki przed podpisaniem kontraktu były zupełnie niedoświadczone w *jamii*.

Zresztą ludzie nieraz zdają się być zupełnie nieświadomi w sprawach *jamii*. Gdy tamtego dnia próbowałem wytłumaczyć Turamowi, na czym polega *jamia*, poczerwieniał na twarzy, zaczął się gorączkowo rozglądać, oblało go zimnym potem, po czym stwierdził – nie wiedzieć czemu – że jestem na to za mały i szybko pokuśtykał na górę. Nie miałem pojęcia, co go ugryzło, a na drugi dzień nie chciał do tego wracać. Sporo spłynęło wody do gieru, nim nasza rozmowa przypadkiem znów trafiła w te same koleiny. Ważąc w ustach każde wypowiedziane słowo, objaśnił mi wtedy, że ludzie zza Wielkiej Wody nieco inaczej podchodzą do *jamii*. Przede wszystkim okrutnie się jej wstydzą. Z tego wstydu nawet nie umieją o niej mówić, bo wszystkie słowa z nią związane, jakie sobie wymyślą, od razu uznają za nieobyczajne. Ze wstydu więc i z braku słów udają przed własnymi chekecheami, że żadnej *jamii* nie ma, aby nie musieć im o niej wspominać! A przecież siłą rzeczy obdarzają je *jamią* choćby po to, by je czasem nakarmić *ziwą*... Zaś swoim hurom i hurysom, które skądś się dowiedzą, że *jamia* jednak istnieje, kategorycznie jej zakazują. Do dziś nie rozumiem, co chcą tym osiągnąć? Zdawałoby się, że taka polityka doprowadzić może tylko do uśmiercenia własnego gatunku poprzez świadome zaniechiwanie reprodukcji. Zdawałoby się, bo wbrew pozorom ludzie skutecznie i bez opamiętania się mnożą nie tylko na Rufie, ale również na Bakburcie i Sterburcie. Tylko czekać aż rozplenią się także na Dziobie oraz w nasze terytoria wejdą...

Być może zakazy i tajemnice to jedyny sposób, by wzbudzić ciekawość, zaangażowanie, pasję, wreszcie by obudzić pierwotne instynkty i targnąć

się na *jamię*, uznawaną przez nich za tak bardzo przecież wstydliwą. Może inaczej nie potrafią? W ogóle wszystko wskazuje na to, że cały proces ich rozmnażania – wraz z łączeniem się w pary – przebiega wbrew pozorom kompletnie instynktownie, czyli zupełnie jak u zwierząt. Tym bardziej, że w odróżnieniu od hurianek ludzkie *hidaye* podobno ani nie potrafią kontrolować swojego cyklu, ani wpływać na płęć i rozwój płodu, ani nawet świadomie decydować o fakcie zajścia w ciążę<sup>158</sup>.

Ludzie wstydzą się tego, że robią to, co robią, i że nie są tym, kim nie są. Wyobraźcie sobie, moje małe *chekechee*, że za najbardziej wstydliwą, nieczystą i wręcz zwierzęcą uznają ludzie sam akt *jamii*. Wierzą, że to szkodzi ich duszy<sup>159</sup>. Wręcz za wzory do naśladowania obrali sobie tych spośród siebie, co od aktów *jamii* wzbraniali się przez całe życie aż wreszcie pomarli, pozostając w stanie nieświadomości. Toteż gdy przychodzi czas, że rozpala ich pożądanie, zamykają się szczelnie w swych domostwach, kryją się przed

---

158 *To wręcz niewiarygodne, acz dłuższa obserwacja pozwala mi sądzić, że to prawda. Hurianki same określają swoją płodność i to w dodatku za pomocą myśli, jeśli wierzyć im na słowo. Hidaye i bekale uczą tej sztuki młode burysy. Te, gdy posiadają już zdolność samokontroli nad własnym ciałem i przejdą odpowiednie rytuały, same stają się hidayami, społecznie uprawnionymi do posiadania potomstwa. Nadmienić trzeba, że bez względu na pozycję w hierarchii każdy dorosły huria żyjący w stadzie ma prawo spółkować z każdą dorosłą hurianką, która się na to zgodzi lub sama wykazuje ku temu chęci. Nie ma jednak prawa mieć z nią młodych, chyba że zezwoli na to rais. Pewnie dlatego też raisowi (i tylko jemu) wolno zagryźć każde młode, którego nie uzna za swoje (dosłownie: za należące do stada). To oczywiście jawny przejaw nie tyle nawet kanibalizmu, co uprawomocnionego barbarzyństwa w najgorszym możliwym wydaniu! Tym bardziej, że tak samo traktowane bywają młode urodzone jako ułomne, kalekie lub martwe (winę za taki rozwój płodu zwykle zrzucają wówczas na złośliwe demony i zalecają hidayi powtórne przejście rytuału Dudii)... Dla pełnego obrazu należy wspomnieć, że każda dorosła hurianka ma obowiązek spółkować ze swym raisem, gdy ten tylko tego zapragnie. Acz nie musi płodzić mu potomstwa, jeśli tego nie chce. Zatem ostatecznie to od dobrej woli hurianek zależą dalsze losy stada. Hurii spoza stada zwykle w ogóle nie dopuszczają one do siebie, choć wzajemne kontakty (w tym również intymne) z obcymi zdarzają się i nie są zabronione. Wszystkie te prawa zdały się obowiązywać zarówno w Młynie, jak i tu, na wolności. Różnie zaś je respektują wolne hurie, żyjące poza stadem lub wręcz poza swą ojczyzną. Traktować je należy dość indywidualnie. Bywa, że wtapiają się w inne kultury, a nawet, że zawierają małżeńskie kontrakty z przedstawicielami innych gatunków, choć zazwyczaj trafiają one do niewoli... – przyp. tłum.*

159 To coś na kształt małego, wewnętrznego demona, ale jednego na zawsze i otrzymanego przez wszystkich w dniu narodzin, a nie poprzez Dudię.



swymi pobratymcami w tym przed własną nawet *mbarią*, a gdy spełnią już swoje cielesne pragnienia, przepełnia ich poczucie winy. Stłamszeni przez obyczaje i przepętnieni wstydem udają więc przed innymi, że z własnymi cielesnymi potrzebami nie mają żadnej styczności. Zresztą wszelką przyjemność oraz wszystko, co zbytnio cielesne i naturalne, z góry oceniają jako złe. Godne pożałowania... Wiadomo, że i my preferujemy ustronniejsze miejsca, ale jak moglibyśmy wstydzić się tak normalnych i pięknych gestów przed własną *mbarią*? A w specyficznych warunkach Młyna to już w ogóle przywykliśmy do aktów *jamii* uprawianych na oczach całej burty. Wszyscy zdążyli się do tego przyzwyczaić – zresztą identycznie jak do gier, który miał w końcu równie publiczny charakter.

Nasze zwyczaje bardzo jednak drażniły strażników, nie rozumieli ich – tak jak i my nie rozumieliśmy czasem ludzkich zachowań. Tyle że ich ignorancja przekładała się na kary cielesne, noce w kabarynie lub brak śniadania – chcieli z nas wyrugować niemoralne maniery, jak to mówili. Na samym początku Młyna przez tę ich moralność porozdzielali nas do cel ze względu na płć. Hurie osobno, hurianki osobno. Możecie to sobie wyobrazić? Nasi się zbuntowali, zaczęli głodować, poskutkowało. Rozdzielili nas wtedy odgórnie na takie *mbarie*, jakie już trwały przez lata aż do samego końca. Acz i tak samej *jamii* woleliśmy unikać przy strażnikach – szczególnie gdy chodziłoby o *jamię* w obrębie tej samej płci lub w większej ferajnie...

- Ale jak to? – zapytał mnie kiedyś Turam. – To znaczy, że oni... tak ze wszystkimi?

Przytaknąłem. Turam, śmiesznie wykrzywiając twarz, kręcił głową z niedowierzaniem:

- Niepojęte... nieprzyzwoite... niemoralne... obrzydliwe! Jak oni mogą ci to robić? I jeszcze każą ci na to patrzeć!?

Nie mogłem zrozumieć, o co mu chodziło.

Relacje ludzi, a już szczególnie albinów, z ich własnymi ciałami trudno zaliczyć do udanych. Ciała te – niezbyt urodziwe, bo przecież niemal w całości pozbawione sierści – w nich samych budzą takie obrzydzenie, że nie są w stanie wytrzymać ich widoku. Dlatego ze wstydu większą ich część gorliwie zakrywają kilkoma warstwami ubrań lub zbroi, by przypadkiem żaden z ludzi nie ujrzał ich nagich. Nie do pomyślenia, prawda?

Co ciekawe, ze swoich ciał wydzielają części godziwe i niegodziwe. Te ostatnie najskrupulatniej ukrywają pod ubraniami. Ich hurianki stronią od publicznego pokazywania swoich *ziw*, ale za najbardziej wstydlive uznają

swoje *umy* i *uki* – pomimo że oprócz grzyw właśnie tam miewają odrobinę szczątkowego futra. Zupełny brak konsekwencji. Turam nie był w stanie mi jasno odpowiedzieć, dlaczego zakrywanie akurat tych części jest dla nich tak bardzo istotne. No ale Turam był nieco inny – pochodził z odległych stron; jako jedyny wśród strażników nosił rogaty hełm i sam nieraz się dziwił zwyczajom pozostałych.

To oczywiste, że ludzie za pomocą ubrań zwykli rekompensować sobie naturalne braki w sierści – szczególnie daleko na Rufie, gdzie jest znacznie zimniej niż tu. Nierzadko wytwarzają je z pięknych futer upolowanych przez siebie zwierząt. Zawsze to jakiś sposób na poprawienie swego mizernego wizerunku. Ubrania ponadto chronią ich delikatną, ławną do rozerwania skórę przed otarciami i ranami. Zdarza się im również przenosić w nich jakieś drobne przedmioty, podobnie jak i nam w naszych *khangach*<sup>160</sup>. Słowem: nam do niczego te wynalazki niepotrzebne. A jednak... Młynarz był swego czasu innego zdania. Jeszcze podczas stawiania pokładu nakazał wszystkim huriom, by zakrywali swoje *umy* i *uki* ubraniami. Absurdalne. Trudno się dziwić, że nasi z początku buntowali się przed takimi zmianami, skoro ubraniami tymi w dużej mierze były poprzecierane, zapocone i na wskroś przesiąknięte ludzkim zapachem wojskowe koszule bukatów. Strażnicy utrzymywali, że w ten sposób zapobiegali szerszeniu zgorzenia, ale to zwykły farmazon<sup>161</sup>! To przecież oczywiste, że takie młyńskie kadzienniaki służyły zaznaczeniu, że jesteśmy własnością ludzi, zamanifestowaniu gwałtem ich pozycji w naszej hierarchii. Nie mieliśmy sił, by się sprzeciwiać. Mogliśmy jedynie podejrzewać, że zrobili to również z czystej, typowej dla siebie zazdrości. W końcu to my mieliśmy dorodną sierść, nie oni; dobrze, że nas nie golili do gołej skóry dla wyrównania szans. Z czasem ludzkie *nuki* wywietrzały, a łachmany przeszły naszymi *nukiami* i przestały być tak irytujące. Bukaci doskonale zdawali sobie z tego sprawę, bo co jakiś czas uparcie próbowali wetknąć nam kolejne ubrania przesiąknięte ich zapachem, utrzymując, że nasze są już potargane. Jakby wcześniej nie były. Swoją drogą odkryliśmy, że kadzienniaki, choć skutecznie przeszkadzały nam w codziennej

160 *Khanga* to rodzaj tradycyjnej buryjskiej szarfy, przerzucanej przez ramię, a traktowanej jako schówek na podręczny ekwipunek (lub młode), różnej dla odmiennych funkcji, jakie *hurie* pełnią w stadzie. To jedyna i zwykle stała część ich ubioru, nie licząc szeregu ozdób, w których mają szczególne upodobanie – przyp. tłum.

161 Co to jest zgorzenie? To coś w rodzaju zbiorowego przebudzenia. W zasadzie nigdy nie pojąłem do końca, o co w tym chodziło, więc nawet nie pytaście.

egzystencji, to nieźle się nadawały do przenoszenia niewielkich porcji powietrza między poziomem a pokładem<sup>162</sup>.

Osobiście zawsze mnie ciekawiło, jak ludzkie hidaye karmią przez taki materiał swoje chekechee, bo przecież nietrudno sobie wyobrazić, ile problemów sprawia im *jamia* czy choćby najzwyczajniejsze oddawanie moczu. Za każdym razem muszą przecież pozbywać się wszystkich lub choć części warstw tej ich bawelny, skór czy stali. A poza tym nawet do *kinesy*<sup>163</sup>, potrzeby najbardziej przecież podstawowej, a mimo tego uznawanej za wybitnie wstydliwą, muszą uprzednio wynaleźć jakieś ustronne, odludne miejsce. Niekiedy budują w tym celu małe, drewniane szałas, które służą jednocześnie za magazyny ich własnych odchodów. Chowają się w nich, by nikt ich nie zobaczył, ale zdają się nie zauważać, że zapach manifestuje ich obecność na dobrych kilka kilometrów! To prawdziwie nie do pojęcia! Jeśli ktokolwiek chciałby polować na ludzi, nie miałby trudnego zadania. Roztaczają wokół siebie trudny do wytrzymania odór w związku z ich zupełnym brakiem poszanowania zasad higieny. Wierście lub nie, ale jak długo żyję, nie widziałem, by którykolwiek z nich się lizał! Doprawdy przedziwny gatunek...

Tak ogólnie mówiąc, ludzie mają szczególny dar do komplikowania sobie życia. Przecież wszyscy wiedzą, że szczęście nie bierze się z komplikacji, a z prostoty. Nigdy nie zdołałem pojąć, dla jakich celów wymyślili te wszystkie okowy i z taką ochotą je noszą, jednocześnie uznając się za wolnych. Z własnych ciał dla samych siebie skonstruowali więzienia dalece okrutniejsze aniżeli wszystkie Młyny świata. Zakuci w kajdany na nogach i rękach, zamknięci za szeregiem krat głęboko pod ziemią i zmuszani dzień w dzień do niewolniczej pracy czuliśmy się nieraz bardziej wyzwolonymi od nich.



162 To przeróżne przedmioty, jakie nasi wynajdywali na dole. To zadziwiające, jakie skarby dało się wygrzebać spod tego gruzu. A niektóre z nich udawało się czasem przemyć w zakamarkach łachman na pokład. Z oczywistego braku zwierzyny taki przemyt czasem zastępował nam w Młynie ceremonię Mahiri.

163 *Kinesa* – miesięski odpowiednik ogółu potrzeb fizjologicznych – przyp. GE.

Matka, nawet nie kamuflując żalu, patrzyła mi głęboko w oczy i dyszała ciężko przez zaciśnięte kafle, gdy Janga gryzł ją w kark podczas inicjalnego aktu *jamii*. I to jeszcze takiego od ogona jak jaka zwierzęca bestia. By nie zwariować, próbowałem sobie wmówić, że wcale nie robi jej krzywdy. Traciłem jednak wiarę, widząc Lōzi, tę arufiankę od magii, opartą o firanki i liżącą swoje sponiewierane *uki*. W powietrzu czuć było huryską krew. Czarny, śliski potwór, upojony swoją władzą, nawet nie próbował być delikatnym i troskliwym dla swych ofiar. Tryumfował gwałtownie, niemal sadystycznie – tyle długich i ciemnych lat z szaleńczą pasją marzył o tej chwili...

Zresztą który *rais*, obejmując władzę w *mbarii*, pyta hurianki, czy mają ochotę na *jamię*? Którego w ogóle obchodzi, co mają wtedy do powiedzenia? Mało którego obchodzi to na co dzień. Zinaę pewnie by obchodziło. Ale poległ. Mógł jedynie się przyglądać. Bowiem to wszystko działo się tej samej nocy, w której doszło między nim a nowym *raisem* do tamtej pamiętej walki.

Swą wężową trucizną Janga infekował po kolei ciała wszystkich *hiday* i hekal z naszej celi. Jedyna Ugaidi sprawiała wrażenie, że czerpała z takiej *jamii* jakąś większą przyjemność. Może chciała mu się tym przypodobać? Wszak nie bez przyczyny za Jangi awansowała w hierarchii na drugi ogon w *mbarii*. To wszak dość wyjątkowe, by do fasunku zaraz po *raisie* startowała hurianka, ale tak to u nas wtedy było. Wiedziała jak się ustawić – nawet stary Haramisha musiał jej ustępować.

W którymś momencie, gdy Janga skończył z jedną z *hiday*, wciąż jeszcze sapiąc, spojrzął zachłannie na Vijani. Tigrianka, czując *cheleo*, zaciśnęła zęby, podkuliła się do ziemi i wbiła wzrok w posadzkę; miała szczęście, że była jeszcze hurysą<sup>164</sup>. Nie miała za to dość rozwagi, by trzymać język za zębami:

164 Spółkowanie z nieletnią hurianką (*hurysą*) w normalnych okolicznościach nie jest uznawane za złe, a jedynie za niestosowne, a konkretniej: niegospodarne. Bowiem ewentualnie poczęte takim sposobem młode pożerane są przez *raisa* zaraz po urodzeniu lub wcześniej ronione, o ile powiodą się hurysie specjalnie w tym celu medytacje. To okrutne, acz jedyne konsekwencje, chyba że *huria*, *hur* lub *hadhi* dopuści się tego czynu wbrew woli hurianki – wtedy zazwyczaj karany jest on wygnaniem ze stada, ale, co zaskakujące, nie za krzywdę, jaką wyrządził przeciw hurysie, a raczej za wejście w kompetencje *raisa*, do czego nie miał prawa. Jeśli bowiem aktu gwałtu na nieletniej dokona sam *rais*, traci na tym co najwyżej tylko jego reputacja – ma wszak prawo do wszystkich swoich hurianek. Niekiedy jednak bywa, że taki czyn staje się zarzewiem wewnętrzznego buntu w stadzie lub próby przejęcia władzy przez innego hurię – przyp. tłum.

- Śmiało, Jango! Nawet bukaci dawno już przed tobą mnie próbowali... i nie rozczarowali się!

Ku zaskoczeniu reszty czarny wąż jednym gwałtownym zamachem ręki przerznął ostrymi pazurami po twarzy Vijani aż głowę jej odrzuciło, jucha poszła, a sierść w powietrze pofrunęła.

- Nie pyskuj *raisowi* swemu! – zagrzmiął. – Psia, sprzedajna larwo, plamisz resztki naszej dumy! Ile wicujesz za to szlojenie w kabarynie? Co<sup>165</sup>?

- To niebywałe! – obruszyła się ta wiekowa arufianka, Dhahiri, własnym ciałem zasłaniając Vijani, która to z kolei przełęczniona i zszokowana skuliła się z bólu na posadzce, twarz kryjąc w dłoniach. – Ciepłe sharabu uderzyło wam do głowy, Jango! Cóż to komu przeszkadza, że tigranka w pełni się *jamii* oddaje? Nauki ma za sobą! A kto to widział, by za to pazurami własną huriankę kaleczyć? Toż mało krzywdy od strażników doznajemy, by trzeba nam było po nich poprawiać jeszcze i hurysie lico oszpecać? Wszystko siedzi w głowie! Za Sharii to by było nie do pomyślenia!

- Prawilnie<sup>166</sup> wątpię, hekalu! – wycedziła Ugaidi nim Janga zdążył otworzyć usta. – Jeszczem nie zapomniła, jakie mi wtłuki na odchodne Sharia sprawił. Obetnij sobie, jakie mam na froncie pamiętki po tym twoim arufianie<sup>167</sup>!

- To niebywałe – podjął do wtóru Janga, świdrując wzrokiem Dhahiri – by ta, która bez ustanku klekta nam o naszych własnych ukazach<sup>168</sup>, pierwsza o nich zapomniła. Aby w pełni oddawać się *jamii*, trzeba okazać się tego godnym. To twoje słowa, arufianko! A jakoś nie pamiętam, by ta tutaj hurysa śmignęła się na szkacinę<sup>169</sup>. Wszak nie bez powodu wciąż nazywamy ją właśnie „hurysą”, a nie „hidayą”! – warczał Janga, sycząc przez zęby. – A te bukackie zakute mordy nie należą ani do jej *mbarii*, ani nawet do jej gatunku. Toteż wbrew temu, co się niektórym wydaje, żaden z nich nie jest jej *raisem*. A mimo tego ta zuchwała tigranka dyga tam<sup>170</sup>, gdy tylko przydarzy się okazja i to głównie po to, by dać się nafutrować jakimś luksusowym

165 Wicować to coś dostać, czasem także: dostać baty, a szlojeniem przezywali bukaci akt *jamii*. Na *jamię* mieli mnóstwo niewybrednych określeń.

166 To jest: naprawdę i szczerze.

167 No jak to gdzie? Na twarzy przecież.

168 Czyli prawach, obyczajach i tradycjach.

169 To znaczyło, że nie podjęła się jeszcze ceremonii Mahiri.

170 Dygać to było biegać.

smarunkiem<sup>171</sup>! Słowa bym jednak nie powiedział, gdyby kiedykolwiek coś stamtąd przyniosła własnej burcie!

W Młynie to było na porządku dziennym, że bukaci co jakiś czas wybierali sobie z którejs celi jedną z hurianek i przymusem zaciągali ją do kabaryny na pokładzie lub do swych lochów na górze, aby tam zaspokoić swoje popędy. W kilku lub nawet kilkunastu naraz. Bez przyzwolenia, bez reguł, bez *jamii*. Gorzej jak zwierzęta. Wbrew powszechnym osądom hurianki – nawet jeśli nie stawiały oporu lub wręcz próbowały się pastuchom przypodobać – nie zawsze dostawały coś na żąb w ramach nagrody. Wracały zamknięte w sobie, milczące, czasem roztrzęsione, czasem potłuczone i posiniaczone. Ale to prawda, że Vijani upodobałi sobie szczególnie. Może przez to jej zjawiskowe futro, wiek albo po prostu chęci do współpracy?

- Ćwierć kielbasy od kindybała – stwierdził fachowo Haramisha. – Tyle w czwórce biorą. Przynajmniej tak gańczają na poziomie. Szparga jak pies, nie ma co<sup>172</sup>!

- Ćwierć kielbasy? – nie dowierzał Janga.

- Ćwierć. I to nieraz tak już zgnieję, że pies by nie tknął. Podobno ciurmaki w ten sposób pozbywają się nieświeżego troidła ze swych spiżarni<sup>173</sup>.

- A cóż miała jeść z jej pozycją w hierarchii, gdy głód żołądek ścisnął? – spróbowała znów Dhahiri. – Sharia nic złego w tym nie...

- Do wszystkich demonów z tą uległą grzywą! – splunął jadem wąż<sup>174</sup>. – Cóż z tego przyszło, że zezwalał na łamanie ukazów? – gorączkował się Janga. – Obetnijcie na siebie i oceńcie, do czego to doprowadziło! Ile w nas zostało z hurii w tym przeklętym podziemiu? Ile w nas jeszcze z hurii, skoro nawet Dhahiri nie widzi niczego złego w takim podejściu? Oto do czego doszło – z politowaniem wskazał na Vijani. – Hurie w Młynie za raketową porcję zgniełego fasunku z hodowlanego uboju gotowe są oddać wszystko. Bez chwili wahania sprzedają swoje ciała, inni bez skrupułów sprzedają swoich braci, a te figury z górnych pokładów to nawet własne *mbarie*! Ile to

171 To tak inaczej o jedzeniu.

172 Czyli ogólnie zysk. Zwykle określaliśmy tak dzienny urobek albo przydział fasunku z obiadu.

173 A to jeszcze inaczej o jedzeniu.

174 Tak, to prawda. To bukaci mieli w zwyczaju zwilżać posadzkę własną śliną dla podkreślenia swojej pogardy. Ludzie mają całe mnóstwo zwyczajów i gestów o określonych znaczeniach, których nie sposób racjonalnie wytłumaczyć. W Młynie mimowolnie nimi nasiąkaliśmy i jakby zarażeni sami ich używaliśmy względem siebie.

już cykli minęło od chwili, gdy z głodu zrzekliśmy się swych demonów<sup>175</sup>, a huryskie tradycje oddaliśmy za bezcen? Gdzie nasza duma, gdzie zasada równego przydziału, gdzie chociażby bezinteresowna *jamia*? Psy dawno już wykrepily nas ze wszystkiego, co nas określało<sup>176</sup>. Osiągnęły swój cel: jesteśmy jak te bezduszne krasnoludzkie maszyny, co bez zająknięcia wykonują polecenia, krztyny życia w sobie nie mając. Oto do czego doszło: staliśmy się ich własnością! – Dla podkreślenia szarpnął rękami własne kadzienniaki, czyli przecież starą bukacką koszulę czy co tam miał na sobie. – A stało się tak, bośmy uprzednio pomarli. Jesteśmy martwi, bo i temu, co nas określało, tradycjom i zwyczajom, pozwoliliśmy w nas obumrzeć. A wnętrza naszych truchel na ludzką modłę zakopanych pod ziemią trawi nasze własne, egoistyczne robactwo!

Nikt z nas nie myślał, że Janga potrafi mówić tak długo. Nawet cela obok zza ściany słuchała w skupieniu jego słów. A nie tylko tym jednym nas zadziwił tamtej nocy.

- Dajcie pokój, Jango! – wypalił nie kto inny, a sam Zinaa. – Trona coraz krótsza przed nami, a niewyspani rakiety nie wyrwiemy!

---

175 Hurie nie wierzą w duchy swych przodków. Zamiast tego utrzymują, że każda żywa istota prowadzi jej własny, nieśmiertelny demon, który nadaje tejże istocie właściwych sobie cech i pcha ją do tych czy innych działań. W rytuale zwanym Dudią hurie zjadają surowe mięso i piją krew samodzielnie upolowanego zwierza, mając nadzieję przyjąć jego demona do własnego ciała. Dlatego też hurie, gdy chcą stać się lepszymi niż są, usiłują polować na najdorodniejsze osobniki – w nie bowiem wcielone są najsilniejsze demony. Ci, którzy pragną być bystrzejsi od wiatru, gnają za najszybszymi gazelami; ci, dla których celem jest siła, mierzą się z najroslejszymi bawołami; zaś ci, którzy polują na najgroźniejsze lwy bądź pantery, raczej nie pragną wytrzebić swoich naturalnych (zwierzęcych) rywali z terytorium, a właśnie przejąć demona, wzmagającego zmysł słuchu bądź powonienia, i stać się dzięki temu doskonalszymi łowcami. To beznadziejna polityka łowiecka, a nie robi spustoszenia w stadach dzikich zwierząt jedynie dlatego, że hurie nieczęsto mają kaprys się doskonalić. Ponadto wierzą, że również na co dzień (poza rytuałem) może się zdarzyć, iż zdezorientowany demon pozostanie w ciele, nawet gdy porządnie wygotować lub wysmażyć mięso. Dlatego hurie w wszelki wypadek stronią od jedzenia osobników chorych, kalekich lub trzymanyh w niewoli, hodowli – w obawie przed tym, że jakiś złośliwy, uległy bądź podupadły demon mógłby przejąć nad nimi władzę. Nic więc dziwnego, że hurie przetrzymywane w Młynie były zdania, iż podawane im surowe, hodowlane mięso coraz bardziej pogrążało ich w niewoli – przyp. tłum.

176 Krepić to kraść, grabić lub bić.

- Psi sługusie pędzlowany<sup>177</sup>! Tak do tyrki ci śpieszno, by panom swoim służyć? Ochłap iakkowego ścierwa, w jakim mógłbyś pniaki zatopić, to jedyne, na czym ci zależy?

- Spójrzcie na własną burtę, Jango! Wykończeni, wychudzeni, bez zapалу i nadziei. To prawda, jesteśmy martwi. Ale martwi z głodu i niewolniczej pracy ponad siły. A nasze tradycje, ukazy i rytuały nie zapełnią nam żołądków, jak i nie ułatwią nam drążenia skał. Tu, w Młynie, tradycje przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- I to mówi huria, który dziś jeszcze mierzył się ze mną o władanie nad tą *mbarią*... Przynosisz nam hańbę! Nie jesteś godzien nawet tego futra, jakie sam nosisz, karakanie! Dlatego zgodnie z tradycją, którą tak gardzisz, od tej chwili nie jesteś już dłużej hurią. Od dziś na powrót stajesz się hurem.

Ośłupieliśmy. Zinaa chyba najbardziej.

- To przecież niemożliwe! – oburzyła się Dhahiri tym razem w obronie Zinai. – Kto jak kto, ale akurat ten huria przeszedł ceremonię Mahiri, wszystko siedzi w głowie, tego nie sposób cofnąć!

- Prawda jak pies! – podchwycił hadhi Haramisha. – Doskonale pamiętam, jak przytargał z poziomu tę misę, co jej używaliśmy do mieszania akwareli, a którą psy nam potem podczas kipsiszu uczepliły<sup>178</sup>.

- Oto właśnie, Haramisho, wszystko, co ten hur uczynił – obwieścił Janga. – Przytargał do celi nic nie znaczący fant z poziomu. Nawet kulawej antylopy nie upolował, krwi jej nie pił, wolny jej demon w niego nie wstąpił, z *mbarią* swą się nie dzielił. Nie kosztowałem uboju, jaki złowił, bo i jedyne, co złowił, to ta żalosna ceramiczna misa, jaką znalazł pod gruzami.

- Ale gdzie tu... – zaczął Zinaa.

- Nie waż się przerywać *raisowi* swemu! – huknął Janga. – Pozbawieni sił i nadziei daliśmy sobie wmówić, że przemycenie byle czego z dołu starczy za całą ceremonię Mahiri. Już zapomnieliśmy, jak to jest gonić ofiarę do upadłego; jak to jest wbić kły w jej ciepłe mięso i pić jej ciepłą, pulsującą krew;

<sup>177</sup> To znaczyło: sprzedajny.

<sup>178</sup> Czyli zabrali podczas rewizji. Przeprowadzali je za dnia, niespodziewanie, gdy wszyscy byli na poziomie. Przetrzęsali w celach koje, wywracali derki, miski, szukali luźnych cegieł. Rewizje nie były zbyt częste, ale zwykle niosły ze sobą krwawe żniwo. Zawsze znaleźli jakieś nielegalne przedmioty – broń, igły do tatuażu, cokolwiek, co miało ostre krawędzie. Obierali sobie na chybił trafił jedną lub kilka ofiar z nieszczęsnej celi i wrzucali do karceru na wtłuki; rzadko się zdarzało, by ktoś brał winę na siebie. Za zwykły luft i inne fanty wprawdzie nie karali, ale i tak zabierali je ze sobą – nawet grzebień do sierści uporczywie wycinane z obiadowych kości.



jak to jest spać w cieniu koron drzew i budzić się przy rozgwieżdżonym niebie. Tego wszystkiego tu nie ma i nigdy nie było, a dość już mam udawania, że jest inaczej. Od dziś pod moim *marashem* nie będzie w tej celi Uhai bez gwiazd nad głową, jak również nie będzie Mahiri bez zwierzyny!

- To niedorzeczne! Gdzie tu kto widział tę kulawą antylopę?! – pode-rwał się zbulwersowany Zinaa. – Wskaż mi w tym jałowym podziemiu jakąś zwierzynę, to upoluję ją i w zębach przyniosę *mbarii* do podziąłu!

- Upoluj zatem psa – bez zastanowienia odparł Janga. – Pełno się tu ich pęta. Zabij jednego, wypij jego krew, posiądź jego demona i podziel się jego mięsem, a tradycji stanie się zadość i odzyskasz miano prawowitego hurii. I dobrze radzę: bacz na słowa. Mówisz do swego *raisa*.

To ucięło wszelkie dyskusje. Zinaa zrezygnowany opadł na derki. Wy-soko mu nowy *rais* poprzeczkę ustawił. W końcu wśród wszystkich zwierząt najniebezpieczniejsi i najbardziej nieobliczalni są ludzie. Paskudna sprawa. Hadhi Haramisha opowiadał o takich zdarzeniach z początków Młyna, ale już od lat nikt z naszych nie był na tyle zuchwały. Bukaci szybko kończyli z tymi, co targnęli się na życie strażnika. Wszyscyśmy o tym wiedzieli. Ten szalenciec Remba Roho nie był jedynym, który się o tym przekonał na własnej skórze. A Zinaa w zasadzie nie był jedynym, który odbył ceremonię Mahiri w młyński sposób, ale za to jedynym, który tak bardzo nowemu *ra-  
isowi* zaszedł za skórę.

Jednak nie on jedyny stał się ofiarą wężowego jadu Jangi. Spójrzcie w górę, moje chekechee. Co widzicie? Niby nic nadzwyczajnego, prawda? Obserwujecie je niemal każdej nocy, kojarzycie ich imiona, uczycie się nazw zbiorów – znacie je tak dobrze jak gałęzie rodzinnego drzewa; towarzyszą wam od zawsze. A wyobraźcie sobie, że ja w waszym wieku, siedząc tam pod ziemią w Młynie, nie widziałem na własne oczy ani jednej gwiazdy. Ani jednej. Nigdy. Żadnej. Znałem je tylko z opowieści – tak samo jak chmury, słońce i oba księżycy. A słyszeliście, jakie prawo ustanowił Janga: bez gwiazd nad głową ceremonia Uhai nie była możliwa. Na zawsze więc pozostać już miałem chekecheą – przynajmniej aż do powrotu Sharii...



Pierwsze gwiazdy wychodzą ze swych zachmurzonych kryjówek, a złote promienie dogorywającego słońca oblizują maszty rusztowań przywartych do kolumn o fikuśnych kształtach. Niedokończony jeszcze strop straszy obnażonymi kikutami niczym przegryzione do cna żebra. Hordy maskaronów w cieniu kryją się przed blaskiem, inne – w skałę już zakłęte – cienie rzucają straszliwe. A im niżej, tym bestie poczwarniejsze, bardziej rogate, zębate i zdeterminowane. Wypatrują mnie, a ja w tym kamiennym lesie, na jednym z konarów skryty wiatru pilnuję i wszelkich dokładam starań, by nikt nas nie wytropił. Nas, bo na moim ramieniu w sierść łapkami wczepiona siedzi Ona. A u dołu innego pnia, przy samych już korzeniach maskara wielka, włochata. Ślini się paskudnie, skrzydła jej dziurawe... Nie, niech to będzie raczej Sharia! Niechaj łśni królewska jego grzywa w złocie zachodu oblana, niech sierść się jego mieni! Po kamiennych maskaronach z kolumny wyrosłych wspinam się wyżej, by widzieć go lepiej. A on na widoku, o tamten kamienny filar oparty dumnie obserwuje podniebny spektakl puchowych chmur, które niczym smoki tańczą na niebie przed gwieździstą nocą.

- Ciii, już spokojnie – szeptam Jej na ucho, gładząc po grzbiecie. – Patrz, jaka tam magia w górze! Ile złota!

- To się godzi? – pyta z dołu ni z tego, ni z owego Sharia, nawet nie odwracając wzroku od zachodu słońca. – Nie jesteś sam...

A więc fiasko. Że też musiałem się odezwać! A tak w ogóle to jak on mógł mnie stamtąd usłyszeć? Prycham rozeźlony, z żalem zeskakuję na ziemię i wynurzam się zza kolumny.

- No, czas już wracać – oświadcza Sharia. – Nie dziś, to następnym razem. Na jednym, nieudanym podejściu świat się jeszcze nie kończy. No, chodź już.

- Shario? – pytam, gdy zmierzamy już obok siebie do schodów na pierwszy poziom.

- Śmiało, mów.

- Wy też powtarzaliście Uhai?

A on w uśmiechu kły szczerzy pocziwie i tak odpowiada:

- Tak... Kilka razy. Stare dzieje. Ale wiedz, że to niepowodzenia są najlepszymi nauczycielami. O ile tylko pozwolimy im dojść do słowa.

- Ale przynajmniej nikt mnie nie widział!

- Nikt? A to drobne stworzenie na twoim ramieniu?

- Ona? – zerkam, czy jest tam jeszcze. – To moja Siostra, Shario.

- Siostra?

- Siostra. Rapcie te same, zresztą niuchy i głazy też. Tak powiedział Aria z drugiej celi. Nie zmyśliłem!

- Aha... Bardzo mała jak na... tigrankę. No i gdzie ma pręgi?

- Schowała dla niepoznaki! – odpowiadam po chwili. – Potrafi wiele sztuczek. Chcecie zobaczyć, Shario?

Za zgodą rozpromieniony demonstruję przed swym *raisem* cały pokaz mysiej magii: jak mi po karku przebiega z jednej ręki na drugą, jak wodzona palcem obiega moją dłoń, jak po zapachu zgaduje pod którą z odwróconych misek zostawiłem trochę okruchów, jak znajduje drogę do szamunku w labiryncie z mis, szmat i starych łachman, jakie jej ustawiam na posadzce naszej celi. Pokazuję nawet jak z boku uruchamia mechanizm serowej pułapki, by podebrać zastawiony w niej dla treningu bombs.

- Prawdziwie niewiarygodne, chekecheo – stwierdza zdumiony arufian, gdy przełożywszy rękę przez kraty pozwala jej chodzić po swojej własnej dłoni. – Niezwykle bystra ta mała... tigranka... Ale skoro rzeczywiście to twoja siostra, to tym bardziej powinniśmy ją wliczać do naszej *mbarii*, nieprawdaż? – Zauroczony aż oczy szeroko otwieram na te słowa. – A przecież z chwili, gdy dostrzeże cię ktokolwiek z *mbarii*, Uhai jest przerywane, mam rację? No widzisz. Zatem gdyby twój trop wywąchała jakaś pierwsza lepsza mysz, to nic by się przecież nie stało... Ale ta mała należy do *mbarii*. Nie możesz razem z nią przystępować do Uhai. To samotna próba...

- Ale jak otworzymy kratę? – zastanawiam się zza prętów, oparty o którąś koję w celi.

Sharia, przed bramą stojąc na korytarzu, to po ścianach się rozgląda, to znów na mnie zerka, wreszcie przybliży się znów do firanek, rękę między prętami znów przekłada i sierść na głowie mi czochra zwyczajem Turama. Z błyskiem w oku mówi ściszym głosem:

- Żadna stal nie może się równać z potęgą wyobraźni!

Wciąż trzymając mi na głowie swą prawą, stalową rękawicę, lewą ręką do łachman swych sięga, szuka czegoś zawzięcie. Wreszcie jakiś fant drobny z kieszeni wyciąga, chwilę waży go w dłoni, po czym z wolna prowadzi do zamka. Kątem ust uśmiecha się do mnie, gdy mechanizm zgrzyta cicho i klika na otwarcie. Sharia klucz z zamka wyciąga i zręcznym ruchem przytracza go sobie do kółka przy pasie Turama. Bujna grzywa – hełm rogaty; kadzienniaki – zbroja lśniąca; komplet kajdan – pęki kluczy. Twyrasy jękkliwie rozdziawiają swe szczęki, Turam wchodzi do środka, szurając o ziemię

łańcuchami i stukając drewnianą nogą. Rozgląda się po celi, podchodzi do mnie, przykuca, za rękę łapie i pyta wzburzony:

- A gdzie reszta? Gdzie nasza *mbaria*? Gdzie się podziała?

- No? Gdzie?! Gdzie nasza wacha, pytam?! – warczał w furii Janga, za futro potrząsając całym moim ciałem przypartym do ściany na lewo od kraty. Pniakami mi przed nosem machał, sterami majtał mi po oczach, ostrymi piórami w boki się wbijał do bólu, ciepłą jego ślinę na sierści czułem. – Żadnego pożytku z tej głupiej szczotki! Nawet wody do misek nie naleję! Gdzieżeś był przez cały dzień, zapchlony karakanie, gdy my aż po same rapcie tyraliśmy na poziomie?!

Cały drżąc i gwałtownie łapiąc powietrze, rzuciłem okiem na celę. Przerażony dostrzegłem rozrzucone na posadzce misy poprzewracane dnem do góry, a część z nich wraz ze szmatami i łachmanami tworzyła labirynt, w którym jeszcze przed chwilą chowałem Siostrze boms dla zabawy. Jeszcze przed chwilą pokazywałem ją Sharii i Turamowi. A to była tylko moja wyobraźnia!

- To taka... gra... – wydukałem, patrząc na te wszystkie miski.

- Śmiesz robić sobie ze mnie żarty, bezczelny szczyłuchu? Masz może świadomość, że to ode mnie zależy, czy doczekasz jutra?! To twoje kruche ciało aż się prosi, by zatopić w nim kafe!

Matka stała gdzieś obok. Obserwowała to w napięciu. Nie miałem pojęcia, czy stanie w mojej obronie, a już widziałem oczami wyobraźni jak ten czarny wąż rzuca mi się do krtani i na śmierć zagryza. Była przerażona, ale milczała, choć zdesperowany czekałem na jej słowa. Usłyszałem za to inny głos:

- Raccie zostawić tego chekecheę, Jango. Może coś dziś dla was złowić? – To była Vijani. Jeszcze nie zagoiły się jej świeże rany na twarzy po pazurach nowego *raisa*, a znów odważyła się wejść mu w słowo. I to w mojej obronie.

- A czymś w ogóle dziś szwyrgnęła ta drewniana noga? – rzucił w celę Janga<sup>179</sup>.

- Mam coś! – zawołała Ugaidi, wychylając się zza tłumu i przetykając ślinę. – Coś jakby suszona kiełbasa wieprzowa. Dość ostra. To jest, sądząc po zapachu.

- Nadużywasz ogona, onkianko! – Janga ze złością pchnął mnie na koję aż w kręgosłup mi się kantem wbiła, obrócił się do reszty i wyrwał z rąk

179 Szwyrgnąć to też rzucić.

Ugaidi mięso, jakie otrzymałem tego dnia od Turama. Jakimś sposobem z czterech dorodnych kiełbas, jakie schowałem jak co dzień w misce z wodą, ostały się ledwo dwie. – Odpulimy to dziś po równo<sup>180</sup> – oświadczył Janga. – A ty, bukacki podlizuchu – warknął w moją stronę – jeśli jeszcze raz odważysz się pogrywać sobie tak jak dziś z tą wachą, żadne podarki od tego pomyłonego pastucha ci nie pomogą! Bo i żadna wieprzowa kiełbasa nie smakuje tak jak młode, huryjskie mięso. I jorgaj się, karakanie, że z własnego doświadczenia wiem, o czym mówię!

Wtedy ku zdziwieniu wszystkich kościanym nożem podzielił zdobycz na szesnaście równych kawałków – tak, by starczyło dla wszystkich, co byli wtedy w celi. Bez wyjątków, bez względu na hierarchię. Równy przydział<sup>181</sup>... Nawet Vijani i Zinaa dostali swoje dole. Nikt się tego po Jandze nie spodziewał. W Młynie nikt się tego nie spodziewał po żadnym z *raisów*. A od tamtego wieczora tak już działo się codziennie, o ile Turam coś mi przyniósł.

A Vijani zabrała mnie wtedy z koi i przytuliła do swej białej sierści, liżąc rany, jakie mi zrobił Janga. Tak w zasadzie wcale nie przyniosłoby mu pożytku, gdyby przegryzł mi tętnicę, ale wtedy tego nie wiedziałem. Wtedy byłem przerażony na śmierć. Tak jak za każdym razem, gdy Turam z jakiegoś powodu nie mógł do mnie zejść lub akurat niczego dla mnie nie miał. W sumie nigdy, przez całe młyńskie życie, nie przestałem się bać Jangi.



Dzisiaj będzie trochę o Gwaii. Pamiętacie go jeszcze? To ten onkian, co oberwał odłamkiem cegły tamtej nocy, gdyśmy melem od piorunów kopali tunel. Przynieśli go z powrotem może po tygodniu – jakoś wieczorem, po obiedzie. Był przytomny. Chyba tylko cudem przeżył interwencję rakarza. Nikt nie dawał temu wydygącowi zbyt dużych szans, więc tym

180 To jest: podzielimy się tym.

181 *Wedle huryjskiego zwyczaju smaczniejsze kęsy mięsa po przyrządzeniu ofiarowane są raisowi. Podobnie się dzieje ze zwierzętami rzadszymi lub egzotycznymi. Rais zazwyczaj konsumuje taki dar w całości, acz w przypiływie dobrej woli może rozdzielić go na całe stado – bez względu na hierarchię, wszystkim po równo (wyluczając młode). Ten tak zwany równy przydział obowiązuje też względem całego mięsa upolowanego podczas ceremonii Mahiri przez hura lub huryse wchodzących w dorosłość – przyp. tłum.*

większy budził podziw, a może raczej zaskoczenie, że wrócił żywy do celi. Zawsze był gdzieś w ogonie hierarchii, to nie przywykł do pochwał i słów uznania. Zresztą i tak chyba do niego nie docierało, gdy burta z tak oczywistą drwiną mianowała go wtedy swoim bohaterem. Żaden z niego bohater. Chudy, stroszony wypłosz bez większej wartości – oto czym był dla nich tak naprawdę. Na co dzień przezywali go tak, jak na naszych z kolei wołali bu-kaci. Był zatem sierściuchem, chmiejem, kotem albo nawet kocim ścierwem. Z większą pogardą to traktowano już tylko figury z górnego pokładu... no i rzecz jasna mnie.

Mimo nacisków celi Gwaya nigdy nawet nie podszedł do próby Mahiri. Za panowania Sharii nie mógł się przemóc, by przemycić z poziomu jakiś luft, a pod nowymi ukazami Jangi to już w ogóle nie miał szans, by z hura stać się prawowitym hurią. Tak jak i ja nie miałem szans, by z chekechei stać się hurem. Ale nie tylko to sprawiało, że byliśmy do siebie podobni.

Gwaya był dość zamknięty w sobie; rzadko mówił z burcią, rzadko ktoś w ogóle dopuszczał go do głosu. A zawsze, nawet gdy już z kimś rozmawiał, patrzył się stale w jakiś jeden punkt, unikając kontaktu wzrokowego – nawet mojego. Prawie nigdy się nie uśmiechał. Pewnie nie chciał nikogo prowokować. Może się bał. Na co dzień siedział gdzieś z boku celi na derkach zupełnie bez ruchu, czasem kiwał się wprzód i w tył albo godzinami rytmicznie wyciągał i chował kikuty uciętych pazurów. Był dziwny. Nawet nie odwzajemniał *jamii*. Haramisha powtarzał, że go jakiś zły demon opętał. Jakby cały czas trwał w jakimś transie – myślami był gdzieś daleko poza kratami i poziomami Młyna. Uciekał do zupełnie innego świata. Już wcześniej to przeczuwałem...

- Tęsknię za domem – wpatrzony w ścianę wyznał otwarcie po śniadaniu, gdy wszystkie burty zabrano już do tyrki i zostaliśmy sami w celi. Dostał kilka dni pragnojki od arbajtu, jak wszyscy, którzy ulegali poważnym wypadkom.

- Domem? – zapytałem. – Twoim rewirem sprzed inwazji?

- Ledwo go już pamiętam, tigrianku. – Chyba tylko on tak tkliwie mnie nazywał. – Gdzieś tu, w samym sercu dżungli mamy piękne, rozłożyste drzewo puchowca. Całe górne piętro zabudowane jest podestami i obwieszone hamakami wszystkich z *mbarii*. Jedyne nasz gorzelnik zwykł sypiać na drzewie hodowlanym. Wszystkie chekechee śmieją się, że woli względy koali niż hurianek. Nigdy nie zaprzeczał. Ale nikt z naszych nie robił mu z tego powodu problemów. Mówi się, że *jamia* poprawia smak

trunków. Nawet nadał tym wszystkim koalam imiona! Znika na całe godziny, gdy szuka jakiegoś specjalnego pożywienia na wsad. Warzenie alkoholu to najradośniejsza z wszelkich sztuk, mawia... A nasza asalia i araka nie mają sobie równych.

- Byłem jeszcze młodszy od ciebie, tigranku – ciągnął Gwaya innym razem – gdy pierwszy raz wspiąłem się na sam szpic rodzinnego drzewa. Ależ stamtąd jest widok! Korony drzew ciągną się po horyzont, a wszystko to stanowi nasze terytorium. Ciągłe tam przesiaduję. Nocą uwielbiam się stamtąd wpatrywać we wzajemną grę Eirini i Polemos. Oba księżycy krążą wokół siebie, mijają się, muskają sterami i raz na jakiś czas łączą w *jamii*, by po chwili znów udawać obojętność – onkian zamyślił się, rzucił mi krótkie spojrzenie, ale natychmiast wbił wzrok w posadzkę. – Teraz bardzo mi brakuje gwiazd. Konstelacje znałem lepiej niż własną *mbarię*. A *mbaria*... Teraz to już nawet nie pamiętam ich *nukii*...

Przez te kilka krótkich dni byłem tam razem z nim. W dżungli. Noce dłużyły się niemiłosiernie, gdy z niecierpliwością czekałem poranka. A gdy bukaci zatrzaszkawali za naszymi twyrasy i zostawaliśmy z Gwayą sami, natychmiast lgnąłem do niego, by z otwartymi szeroko ustami polykać każde jego słowo. Opowiadał mi o swojej *mbarii*, o rewirze, o tropikalnych deszczach, o gwiazdach, o hodowli koali, o zwierzynie, o innych chekecheach. Wystarczyło zamknąć oczy, by pod pazurami poczuć korę starych drzew, by uszy napełnić kakofonią leśnego gwaru, by nozdrzami schwycić huryjskie *nukie* i woń ćwiartowanej przez łowców kapibary, wreszcie by z własnej sierści zlizywać wszechobecną wilgoć. W jednej chwili łowię wzrokiem bajecznego smotyła, uwijającego się wśród kwiatów; w innej – wraz z chekecheami z *mbarii* Gwayi gonimy dla zabawy małego kazuara, czerwonym błotem malujemy sobie wzory na sierści, gramy w „głupiego kotilota”, w „liany” lub w „kulę”<sup>182</sup>, a jednego razu księżycową nocą wybieramy się poza granice rewiru na potajemne polowanie na kinkażu<sup>183</sup>. A wszystko tak jasne i kolorowe!

182 Nie znacie, bo to onkiańskie gry. Jutro za dnia wam je pokażę, jeśli chcecie.

183 *Huryjskie młode traktowane są nie na równi – jak nasze dzieci, a wyraźnie z góry – jako najniższy, wręcz nieistotny składnik stada zupełnie pomijany w hierarchii. Oczekuje się od nich postuszeństwa i podporządkowania, acz jednocześnie daje się im wiele swobody i wolności wyboru – czasem dorosłe hurie zdają się w ogóle nie zwracać uwagi na ich poczynania. Grupa huryjskich młodych obu płci tworzy wewnątrz stada wyodrębnioną, silnie zżyłą społeczność, mającą własną hierarchię i rządzącą się własnymi prawami wzorowanymi na relacjach starszych. Ich zabawy często odzwierciedla-*

Uznanie naszych dla Gwayi szybko się skończyło. Nigdy zresztą nie było szczerze. Mieli mu za złe te wolne dni, jakie dostał. Turam zawsze schodził na pokład za dnia, ale gdy miałem w celi towarzystwo, nie przynosił mi niczego specjalnego na kafele, czym podzieliłbym się z burta. Taką miał zasadę. Doskonale wiedzieli, że tak to działało. Na trzeci dzień doszło nawet do tego, że siłą chcieli wypchnąć Gwayę na poziom. Był jeden lub dwa dni przed terminem wyznaczonym przez rakarza, a Ugaidi podczas porannego apelu zakomunikowała samemu Ordinowi:

- Stan liczebny dziewiętnaście, obecnych osiemnaście, jeden na przetrzymaniu, zdolnych do pracy siedemnaście. Wszyscy w dobrej kondycji.

- Siedemnaście? W dobrej kondycji? – dziwił się Ordin. – To co z tym, co cegłą oberwał? Wydobrział już?

Ugaidi w albińskim zwyczaju kiwnęła głową na potwierdzenie.

Ordin przez krótką chwilę zbierał myśli, przypatrując się onkiance, po czym – nie spojrzawszy nawet na Gwayę, siłą postawionego na nogi i przytrzymywanego, by nie stracił równowagi – odparł zdecydowanie:

- Nie, nie, nie... Dajmy mu jeszcze ze dwa dni, niech wigor w pełni odzyska. Sznyty miał głębokie. Jeszcze by nam kitę odwalił przy kilofie.

Ugaidi – bez wątpienia zaskoczona taką reakcją – nie powtórzyła już tej próby, a Gwaya pozostał w celi te dwa dni. Chciała go ordynarnie sprzedać za dwie porcje raketowego mięsa, jakie bym pewnie dostał od Turama. Też miała tupet... Dawało to do myślenia: doszło wszak do tego, że ten najostrzejszy z oprawców Młyna bronił nas przed nami samymi. Co on w tym hurze widział swoją drogą? No bo ja przez te kilka dni zdążyłem bardzo go polubić. To jest Gwayę, nie Ordina.

- Na szóstce takich więcej, jak dotąd trzy *mbarie* i pięć<sup>184</sup> – zaczął bodaj tamtego dnia po śniadaniu, gdy naszych wzięto już na pokład. Na czas pra-

---

*ją dorosłe życie stada w dosłownie wszystkich jego aspektach (nawet tych intymnych) i, co mocno zaskakujące, bez żadnych zahamowań – przyp. tłum.*

184 Czyli chodziło najprawdopodobniej o 59 (przy stadzie liczącym 18 osobników – bez młodych). Hurie nie zapisują liczb, ale potrafią liczyć. Na liczby od 1 do 21 mają osobne nazwy, większe określają jako sumę dwóch liczb, zaś jeszcze większe – jako jakąś wielokrotność aktualnej liczebności własnego stada (bez młodych) powiększoną (lub pomniejszoną) o jakąś tam liczbę (od 1 do 21). Czyli na przykład, gdybyśmy byli w stadzie składającym się z 25 osobników, to określenie „trzy *mbarie* i siedem” oznacza liczbę 82 (25+25+25+7). System taki niewątpliwie sprawia wiele trudności – te same liczby co chwilę trzeba przecież nazywać inaczej, gdyż wielkość huryskich stad nieustannie się zmienia. Same hurie nie widzą w tym jednak problemu, bo i nieczęsto liczą coś bardzo



gnojki od arbajtu nikt nie odstąpił Gwayi swojej koi, ale nawet gdy byliśmy sami, żadnej z nich nie chciał brać samowolnie, aby nikogo nie prowokować swoimi *nukiami*. Ja, najmniej istotny chekechea, zajmowałem za dnia to jedną, to drugą koję, podczas gdy on twardo grzał sobą derki na posadzce bez względu na okoliczności. Wpatrywał się w głowicę tej nowej kolumny, tej z której wyrastał orzeł walczący ze smokiem, co się odsoniła, gdy kopałem tunel. – Ale tamten niemal żywy – kontynuował Gwaya.

- To ty je... liczysz? – zapytałem, zaintrygowany.

- Trzy *mbarie* i pięć – odparł, nie odwróciwszy wzroku.

- To prawda, ten tutaj jest jak zaczarowany...

- Jak zaczarowany. Za mały, ale pióra jak prawdziwe. Kamienne, ale prawdziwe. Było tam więcej zanim kazali zamurować wszystko ścianami. Cała chmara kamiennych orłów. Takich samych jak na szóstce. Nie liczyłem ich. Nie liczyłem ich, a teraz wszystkie zamurowane. Gdy przybyli albin, byłem ledwo chekecheą, co czasem ssał jeszcze *ziwy*. Zakuli nas w łańcuchy, stłoczyli na pływającą wyspę<sup>185</sup>, zamknęli w ładowniach jak hodowlane bydło i wywieźli za Wielką Wodę. A tam hadhi Haramisha opowiada wam tę historię o tym, jak wtargnęli tu siłą i zabrali ze sobą tych, których nie wymordowali w walce. Opowiada ją na okrągło aż do znudzenia, choć za każdym razem ma inny przebieg. Sami już nie wiecie, czy pamiętacie własne wspomnienia czy którąś z jego wersji. A wszystkie są zmyślane!

To prawda. Haramisha, ten pardiański wodolejca, z uwielbieniem wracał do tych burzliwych czasów. Bardzo się irytował, gdy ktoś próbował mu udowodnić, że poprzednim razem ta sama opowieść miała innych bohaterów, że inaczej się nazywali, co innego z nimi robiono, albo kogo innego spotkali po drodze.

---

*mnogiego. Największą liczbą, jaką są w stanie precyzyjnie wyrazić, to „21 mbarii i 21” (co zwykle wynosi nie więcej niż 350, a nawet w największym arufiańskim stadzie, liczącym powiedzmy 30 osobników, oznacza ledwo 651). Powyżej tej liczby huria powie „mbaria mbarii i mbaria”, co oznacza „niepoliczalnie dużo”. – przyp. tłum.*

185 Chodziło mu o jednego z tych gigantycznych żółwi. Rzeczywiście wyglądają jak pływające wyspy, ale tak naprawdę są olbrzymimi zwierzętami – większymi od największych żaglowców budowanych ludzką ręką. Na ich skorupach budują całe miasta. Nieraz będę o nich jeszcze mówić. *Jeśli wierzyć kronikom, mógł to być nawet Ti'Raim, który w swej żółwiej młodości, za czasów wojen imperium Terahandearu z Kruczą Armią, był wykorzystywany do transportu wojska i zaopatrzenia (zob. Wiek postmagnibeliczny..., s. 61), a obecnie, mimo sędziwego, przeszło 150-letniego stażu, wciąż pływa na handlowo-pasażerskim kursie z Graphenburga do sterburckiej Erabii. – przyp. GE.*

- Gwayo – zagadnąłem – a opowiedz mi, proszę, o tych kolumnach na szóstce!

- O kolumnach na szóstce. A co tu mówić? Nie ma sensu liczyć tamtych kolumn. Jest ich tam pełno. Są trochę jak drzewa w dżungli.

- Jak drzewa w dżungli? Vijani mówiła, że są jak las.

- Vijani mówiła. Ja wolę dżunglę.

- A orły? I smoki?

- Smoki. Nigdy nie widziałem smoka. Ale za to widuję orły. Z korony rodzinnego drzewa obserwuję jak majestatycznie demonstrują swą nieskrępowaną wolność, krążąc pośród chmur.

- Ależ nie! Chodziło mi o kolumny, te na szóstce.

- Aha – speszony wbił wzrok w posadzkę. – Na szóstce.

- Mówiłeś, że jest tam więcej takich orłów i smoków.

- Trzy *mbarie* i pięć... Nieźle namieszane miał w głowie ten, co poprzyłepiał tam te wszystkie maskarony! Zdrowy umysł by tego nie wymyślił.

- To znaczy?

- Jak ty w tamtej celi wytrzymujesz sam przez całe dni?

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Czasem nie mogłem go zrozumieć. Zapytałem go o tę jego dziurę w brzuchu, co mu ją wyrwała cegła wystrzelona spod mela od piorunów. Tak mi odrzekł:

- Nie mamy nikogo, kto by znał się na magii, tak jak wy macie *Lōzi*. My w naszej *mbarii* mamy zielarza, który na każde zmartwienie umie znaleźć jakieś lekarstwo. Całą gałąź zajmują rozwieszane pęki jego suszonych liści, rzadkich pędów i korzeni, z których warzy swoje mikstury. Nie da się z nim skutecznie porozumieć za pomocą *nukii*, bo wszystko przesiąknięte jest tymi egzotycznymi zapachami składników wszelkiej maści. Czasem posyła łowców po jakieś konkretne zwierzę, po rośliny wybiera się osobiście, choć w towarzystwie takiej młodej hurysy, którą przyucza do swego fachu.

Doszedłem do wniosku, że z Gwayą nie można było porozmawiać o niczym innym jak o jego dżungli. Ale w zasadzie to miła odmiana. Z większością naszych nie można było porozmawiać o niczym innym jak o Młynie, o ile w ogóle zechcieli dla mnie strzepić sobie chlipadło. Żałowałem, że tak szybko zabrali Gwayę na powrót do tyrki; potem już nie mówił ze mną tak wiele. Jeszcze nieraz ludziłem się wrażeniem, że ma w sobie wolnego ducha, który jakimś cudem przetrwał w nim wszystkie te lata młyńskiej udreki. Rodzinna dżungla, w którą wierzył i do której uciekał w wyobraźni, stała się lekarstwem na rzeczywistość i jednocześnie zbroją, chroniącą go przed naszą

burtą, a tej najwidoczniej nie uznawał za swoją własną. Zazdrościłem mu tej dżungli – nawet gdy już miałem świadomość, że zbroja wrosła mu tak dalece w ciało, że nie potrafiłby już jej z siebie zdjąć, a lekarstwo okazało się trucizną, powodującą wprawdzie ślepotę, a następnie śmierć. Choć w Młynie i tak każdy z nas od dawna był już martwy... na swój sposób.



Minęło kilka tygodni pod pardiańskim *marashem*, nim Turam któregoś dnia podczas obchodu obwieścił mi nowinę:

- Mały, mam dobre wieści! Sharia. Żyje; sam widziałem, jak rozmawiał z naczelnikiem! Tej nocy, może nawet przed obiadem, wraca do waszej celi!

Oczy mi zabłyśły. Dramat dobiegł końca! Wszystko nareszcie wracało do dawnego porządku! Nasz prawdziwy *rais*! Przed oczami mam tę jego wspaniałą grzywę. Dumnie głowę niesie; wzrokiem przegania maskary z kolumn. Tryumfalnie zstępuje po schodach jak jaka niebiańska, świetlista istota. Po jego bokach – dwójka wątłych strażników błękitem pochodni obwieszcza jego powrót do *mbarii*. Janga pięści zaciska, oczy mruży, sierść stroszy, ale w obliczu tak dorodnego i potężnego przeciwnika pada na ziemię, demonstrując uległość.

- Hurie i hurianki! – obwieszcza Sharia. – Od tej nocy biorę tę *mbarię* pod własny *marash*. Na powrót będę wam *raisem*!

Tak to sobie wyobrażałem. Sharia. Nigdy w życiu nie byłem tak podtekstowany. Skacząc z radości po kojach, myślałem, że rozniosę celę – taka rozpięta mnie energia.

Było to tuż przed obiadem. Rzeczywiście, gdy go wtedy prowadzili, Janga pięści zacisnął, oczy przymrużył, sierść nastroszył. Przecież nawet z powierzchni było pewnie czuć, co się w burcie dzieje i pod czym ognem stoi. Intensywne *nukie* Jangi dawno już zdążyły weźreć się nam w futra i wszystkie sprząły w celi.

Sam zaś Sharia wbrew obawom naszych wyglądał dobrze, nie był ranny. Acz ku zaskoczeniu wszystkich, przekraczając twyrasy, nie przychnął nawet na powitanie, grzywę skłonił, ogon opuścił, wzrok wbił w posadzkę, przeszedł obok zdezorientowanego Jangi, delikatnie otarł się sterami o jego głowę i, nawet słowa nie wypowiadając, legł na derkach wśród swoich. Nie

stanął do walki; oddał własną cełę, jakby mu na nas nie zależało. My, może i zaskoczeni taką postawą, ale i tak przecież uradowani jego powrotem, lizaliśmy go po sierści, kościanym grzebieniem czesaliśmy mu grzywę, masowaliśmy spracowane kręgi. On pozostawał obojętny; nie zwracał uwagi ani na nas, ani na naszą *jamię*; słowa nie wyrzekł; nikt i nic już go nie cieszyło. Czuć było od niego ten sam niecodzienny zapach, który niegdyś przyniosła na sierści Vijani – był zatem na powierzchni! Obiadowego fasunku nie zjadł dużo, a zdecydował się do niego podejść dopiero po Haramishy – taką z własnej woli obrał pozycję w hierarchii. Janga początkowo chciał oddać mu drugi ogon, ale Sharia go nie przyjął. Zaraz za Jangą pozostała zatem Ugaidi, ta, nie spoglądając nawet na swego dawnego *raisa*, wybrała na trzeci ogon hadhi Haramishę. Dopiero Haramisha wskazał znów na Sharię, a ten na to przystał. Janga, Ugaidi, Haramisha, Sharia, potem reszta – taki nastął porządek. Sharia zachował więc prawo do koi w celi – które mu przysługiwało jako czwartemu – acz ktoś mu odjął mowę i odebrał dumę. Wraz zresztą z życiem. Bo żywy do nas nie wrócił. Psy przytargały nam jego ciało, ale duch był martwy! Janga miał rację. Dokładnie to przewidział tamtego dnia, gdy obejmował nad nami władzę, ale chyba sam nie przypuszczał, że jego słowa okażą się prorocze aż w takim stopniu. Czarny wąż w zdumieniu obserwował to wszystko z koi – tej samej przecież, na której zwykł leżeć niegdyś Sharia.

Złamali go. Pewnie siłą zmusili, by rzekł się pozycji *raisa*, myśleliśmy. Pewnie w ich mniemaniu powodowało to straty w inwentarzu. Tylko Ordin mógł wpaść na takie rozwiązanie.

Pierwszej nocy po powrocie Sharia nawet nie zmrużył oka. Czuwał. Czuwał i wpatrywał się w młodą Vijani. Tylko w nią. Widziałem to, bo też nie mogłem zasnąć. Rozmyślałem, co teraz z nami będzie? Nie tak miało być! Wpatrzony w ścianę dostrzegłem, jak z rys i pęknięć wyłania się grzywiasta, arufiańska głowa. Młyn trawi swe ofiary, a na murach cel wypluwa martwe ich powłoki... Nasze nadzieje na powrót starego ładu w jednej chwili legły w gruzach.

Nie wszyscy jednak rozpaczały z takiego obrotu spraw. Spod gieru obserwowałem mochę<sup>186</sup>, która smacznie spała skupiona niemal piętrowo wokół koi swego nowego *raisa*, na wskroś przesiąknięta jego *nukiami*. Wężowa trucizna toczyła naszą cełę. Omamił ich naiwną wizją powrotu do huryj-skich ukazów i zasadą równego przydziału z udziałem mięsa, jakie dostawa-

186 Było już. Inaczej grupa naszych.

łem od Turama. Sam więc przykładałem do tego ogon! Nawet moja własna Matka zdawała się widzieć w tym pardianie szansę na lepsze jutro...

A Sharia... Długo nie mogłem uwierzyć, że rzeczywiście było mu wszystko jedno. Ale tak naprawdę to większości z naszych było już wszystko jedno, pod jakim są *marashem*. Po tylu latach niewolniczej pracy pod ziemią, w tych żelaznych kajdanach, co wycierały sierść do żywego, o skołtunionych futrach zapuszczonych pyłem, upodleni i zagłodzeni myśleli już tylko o własnych żołądkach. Nawet nie miało już znaczenia, czym je zapełnią, tak samo jak nie miało już znaczenia, kogo będą mieli za *raisa*.

Poza mną najbardziej zrozpaczony takim obrotem spraw był Zinaa. Wiązał z powrotem Sharii spore nadzieje – liczył, że przywróci mu on pozycję hurii. Wszak stał się na powrót hurem tamtej nocy, gdy przegrał walkę z Jangą. Cóż za upokorzenie... Został przestrzelony na sam ogon hierarchii. A Sharia jednym słowem mógłby to odwołać, gdyby z powrotem stał się wówczas naszym *raisem*.

Zinaa nie był jednak typem, który się łatwo poddawał. Miał we krwi skłonność do udowadniania wszystkim swojej wartości. Miał ikrę, mówili. Nie widząc już innych rozwiązań, zaczął obmyślać plan. Plan tego, jak pozabawić życia kogoś ze strażników i samemu przy tym nie zginąć. Zabić psa, wypić jego krew, posiąść jego demona, a mięsem podzielić się z *mbarią*, by na powrót stać się prawowitym hurem. Tego przecież zażądał od niego Janga. Wielu z nas przerażała zuchwałość Zinaa, ale w zasadzie chyba tylko on był z naszej burty na tyle ambitny, by podołać takiemu szaleństwu.

- To musiałyby wyglądać na wypadek na poziomie – mówił otwarcie, nie zwracając nawet uwagi na potencjalne ucho, jakie mogliśmy przecież mieć w sąsiedniej lub i we własnej celi. – Być może wystarczyłoby skruszyć podstawę kogoś maszkarona. Na szóstce jest naboja takich, co ledwo się trzymają kolumny.

A Ugaidi rzuciła tylko to swoje:

- Ależ z ciebie tępe futro! Chcesz podczas tyрки czknąć w bok, z kilofem się wdrapać na filar i pyrznąć<sup>187</sup> któreś z tych straszyleń, a bukat miałby nie zlustrować szufiru?!

- Dużo tam wyucha<sup>188</sup>, skoro dynię ma w szłom zakutą<sup>189</sup>!

- A jużci! Cała burta za to beknie!

187 Popchnąć, przesunąć.

188 Tak jest. Usłysz.

189 Szłom to był hełm.

- Będzie to wyglądało na wypadek! Takie rzeczy się zdarzają!

- I ciurmaki w lot w to uwierzą! A jak nie trafisz? A jak nie wyrwiesz chwasta<sup>190</sup>? Zejdiesz i dokończysz? – wyliczała dalej onkianka. – Zrzucisz jeszcze jednego maszkaroną? Co za tępe pardiańskie futro! Skończcie wreszcie tak glazurować!

Zinaa się jednak nie zrażał. Takie i podobne rozmowy prowadził co jakiś czas to z Ugaidi, to z Haramishą, to z innymi z *mbarii*, acz nigdy z Sharią bądź Jangą. A ten czarny, śliski wąż pewnie sobie wieszował, że udało mu się wykrzesać z Zinai prawdziwego, huryskiego ducha, jakiego nikt od dawna w Młynie nie widział na oczy. Coś w tym jednak było. Nie byłem pewien, czy Zinna jedynie grał przed *raisem* skruszonego hura, co zrozumiał swój błąd i pragnie zadośćuczynić swe winy, czy też naprawdę chciał zaprzeczyć temu wszystkiemu, co wtedy, tamtej nocy mówił o naszych tradycjach i ukazach – że nie zapełnią nam żołądków i że w Młynie przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Sporo w tym przecież było prawdy. Czy to na pokaz, czy też na serio, starał się być godniejszy od samego Jangi. Najwyraźniej było to widać w *jamii*.

W Młynie nie mieliśmy takiej *jamii*, jaką znać z własnej *mbarii*. Tam była ledwo nieudolną karykaturą tego, co powinna sobą przedstawiać. Zamiast rozwiązywać konflikty – stwarzała je. Nikt nie podejmował jej dla czystej przyjemności – nikomu nie starczało na to sił; za każdym razem próbowano za jej pomocą zyskać coś na kafele. Nasze hurianki nagminnie wymieniały ją na rybę ze śniadania lub jakiś smaczniejszy dotek. Czasem brały pod uwagę ciekawsze okazy z luftu, wykucie wzoru w sierści, a nawet porządne przeczesanie futra. Poza tym młyńska *jamia* pozbawiona była wszelkiej finezji, w większości przypadków stała się skrajnie mechaniczna, powtarzalna, płytka, a czasem wręcz obrzydliwie jednostronna.

Zinaa był od tego wyjątkiem – szczególnie w tamtym czasie, gdy za wszelką cenę pragnął udowodnić reszcie, że należy mu się miejsce w hierarchii. Zawsze miał szczególny dar do *jamii*. Jeszcze za czasów Sharii hurianki z własnej inicjatywy chętnie oddawały mu swoje porcje mięsa, by zajął się ich *ukami*, a i hurie nie gardziły *jamią* z jego udziałem. Z wrodzonym wdziękiem i wyczuciem potrafił zaprowadzić na sam szczyt cielesnej rozkoszy. Zawsze go za to podziwiano. Coś musiało być w jego *nukiach*, co zniewalało wszystkie hurianki i sprawiało, że ich *uki* stawały się wilgotne. To jednak, co działo się z Zinaą za panowania Jangi, było ponad wszelką miarę niezwykle

<sup>190</sup> Wyrwać chwasta, czyli zamordować strażnika.

jak na warunki Młyna. Nawet zdegradowany do hura wzbudzał zachwyty i uwielbienie hurianek. W całym Młynie nie było nikogo, kto tak niezwykle robiłby pożytek z własnego chlipadła i z własnych *um*. A wszystko to czynił w zgodzie z dobrym huryskim obyczajem, zatem zupełnie bezinteresownie. Janga wprowadził do celi zasadę równego przydziału, Zinna – jakby w ramach odpowiedzi – bezinteresowną *jamię*. Niczego nie żądał w zamian, ale nawet i nie przyjmował tego, co składano mu w podzięce. Nie chciał ani dotków, ani fantów. Tak się zawziął. Głód za uznaniem dosięgnął go dalece bardziej aniżeli głód za mięsem. Nikt nie miał pojęcia, skąd w nim był taki demon, acz – co zaskakujące – takie samo przecież pytanie zadawaliśmy sobie wobec Jangi, gdy jak wąż śliski unikał ciosów podczas tamtej pamiętnej walki o władzę nad naszą burtą. Nic dziwnego, że Zinna odzyskał część swojej dawnej pozycji – był przestrzelony na sam ogon hierarchii, a wspiał się ponad wszystkie hury i hurysy – najwyżej jak tylko mógł, samemu będąc przecież jedynie hurem<sup>191</sup>. Nawet jeśli nie było to po myśli nowego *raisa*.



Zapatrzony w Zinaę i te jego plany napaści na któregoś bukata ja też zacząłem planować, choć ja nikomu z celi o tym nie mówiłem. Rozmawiałem o tym wyłącznie z Siostrą – wszak w tych sprawach niejednego mogłem się od niej nauczyć. Omawiałem z nią każdy pomysł, nawet ten najbardziej szalony i absurdalny.

Podobnie jak Zinaa straciłem już wiarę w to, że Sharia kiedykolwiek jeszcze stanie na czele naszej *mbarii*. Choć nie miałem jeszcze mokrej *jamii*, nie chciałem już dłużej być chekecheą. Za bardzo się bałem, że Janga któregoś dnia rzeczywiście mnie zagryzie, nie zważając na premiowe mięso od Turama, jakie by wtedy stracił. Na demony! Miałem wtedy może już z siedem lat! Byłem gotów podejść do ceremonii Uhai, choćby nie wiem co! Zapatrzony w Zinaę, pracowałem zatem nad planem. Mają być gwiazdy nad głową, to będą, myślałem. Może wspinaczka szybem windy? Albo

<sup>191</sup> *Hury i hurysy* (czyli „młodzież”) od chwili przejścia ceremonii *Ubai* wliczane są do hierarchii stada, ale przed osiągnięciem pełnej dojrzałości (w ceremonii *Mahiri*) rzadko udaje im się osiągnąć lepszą pozycję niż pełnoprawni członkowie stada – czyli *hurie* i *bidaye* („dorośli”) oraz *hadbowie* i *bekale* („starszyzna”) – przyp. tłum.

udawanie zmarłego w jutowym puklu? Jeszcze jeden podkop? Sabotaż zamka? Kradzież kluczy? Może wymkniecie się podczas wpuszczania lub wypuszczania burt?... Za pomocą misek napełnianych wodą liczyłem czas – od wypuszczenia burt do obchodu Turama. Gdy przychodził, ukradkiem podpytywałem go o różne szczegóły – układ korytarzy, pomieszczeń, klucze, zwyczaje strażników, zmiany warty. Liczyłem bukatów, prowadzących naszą celę i burtę Radży. Dniami i nocami nie mogłem myśleć o niczym innym jak o gwiazdach nad głową, którym przyglądałem się z czubka jednej z niedokończonych kolumn na najwyższym poziomie; o księżycach Eirini i Polemos, jak igrają ze sobą na niebie; o słońcu, jak wschodzi, zachodzi i maluje wszystko na złoto; o chmurach, które same nie wiedzą, kim są, i trzeba odgadnąć je po kształcie; o lesie, co buja się na wietrze jak kępa zeschłej trawy; o widoku zwierzyny, co stąpa jakby miską walić o brzeg koi; o orłach, majestatycznie demonstrujących z góry swą nieskrępowaną wolność...

Z premedytacją wypytywałem Turama o kolumny, nie chcąc się zdradzić. Pytałem o te na trójce, czyli zaraz pod pokładem, a czasem też o te na czwórce i piątce. Dopytywałem o detale, o maskarony, o ornamenty, o zdobienia, o rozmieszczenie schodów; o to ile czego jest, na jakiej wysokości jest przytwierdzone i jak wygląda; zresztą akurat zafascynowania kolumnami nie musiałem przed nim udawać. Turam coraz bardziej zdawał się być znużony i zakłopotany moimi pytaniami, zwyczajnie zaczynało mu brakować słów. Dobrze! Czasem próbował nawet zmieniać temat. Raz tylko któregoś dnia, gdy opowiadał, stwierdziłem rozmarzony:

- Jaka to szkoda, że nie mogę tego wszystkiego zobaczyć...

Zrobiłem niewinną minę. Turam zamyślił się. Patrzał mi w szeroko otwarte oczy. Przygryzł wargę. Rozmyślał. Plan działał!

- A może... – odezwał się niepewnie – a może mógłbym cię tam na chwilę zabrać.

- Naprawdę moglibyście? – Byłem oszołomiony tym, z jaką łatwością mi się powiodło.

- Tak, myślę, że tak... Musiałbyś mi tylko obiecać, że nigdzie nie uciekniesz. To bardzo ważne.

- Obiecuję – zełgałem i pokiwałem głową.

- Zuch chłopak. – Turam uśmiechnął się szeroko i, jak to miał w zwyczaju, rękę przełożył przez kraty i wyczochnął mi sierść na głowie. Oczywiście w ten szpetny sposób wcierał we mnie swoje *nukie*. Miał wyjątkowo irytujące upodobanie w zostawianiu własnego zapachu na mojej głowie, no



ale trudno; jakże mógłbym mieć mu to za złe po tym, ile dla mnie robił? – Jutro – ciągnął dalej. – Wezmę jutro na obchód klucze na poziomy. Nikt nie zauważy ich braku.

„No, niech będzie jutro”, pomyślałem.

Nikomu nie powiedziałem. Tylko Siostrze. Radośnie pałaszowała okruchy bomsu, gdy gładziłem ją po sierści i mówiłem na ucho:

- Nie martw się, maleńka. Jak wszystko dobrze pójdzie, nie będzie mnie tu jutro. On się niczego nie domyśla! Ale nie mogę zabrać cię ze sobą, to samotna próba... A ty przecież jesteś wolna, to i tak znasz już to wszystko.

Następnego dnia po śniadaniu zostawiłem sobie osobny kawałek bomsu, zawinałem w lachmany i schowałem głęboko w kadzienniaki, tak na wszelki wypadek. Gdy tylko burty wyszły na poziom, bezzwłocznie napełniłem miski sączącą się ze ściany wodą. Kto wie, pomyślałem sobie, jakby się udało, to jako hur może wreszcie mógłbym z nimi schodzić za dnia do tyrki? Ciekawe jakie imię mi wymyśli Janga? Szkoda, że nie Sharia. Ale tamtego dnia było mi już wszystko jedno. Ze dwa razy wylizałem się od głowy do czubka ogona, nerwowo obserwowałem kratę, nasłuchiwałem szmerów, czekałem. Zwolniłem oddech, a czas i tak dłużył się niemiłosiernie. Kłębiły się wokół mnie całe stada rozbieganych myśli, fantazji i lęków.

Wreszcie doszedł do mnie ten nierówny drewniany stukot i brzęk pęku kluczy, a błękitna luna pochodni zaczęła wdzierać się w korytarze w towarzystwie intensywnego zapachu pasty do polerowania stali. Sierść zjeżyła mi się na karku. Błysnęły lustrem blachy pancerza, zza głównej kraty wyłoniła się znajoma twarz, chrząknęły klucze, a postać w rogatym hełmie dokuśtykała do twyrasów celi. Turam.

- To jak, mały? Gotowy? Nie sprawisz mi kłopotów?

- Nie sprawię – pokręciłem głową na potwierdzenie.

- Tylko bądź cicho! – polecił, otwierając zamek. – Stanąłbym przed sądem, gdyby tylko się dowiedzieli. No, otwarte już, wychodźże!

W sumie nic dziwnego, że byłem nieco onieśmielony. Pierwszy raz w życiu z własnej inicjatywy i w tajemnicy przed innymi opuszczałem rewir mojej *mbarii*. Nogi mi się gięły, ciałem targały dreszcze, a serce wyskoczyło chciało przez krtykę. Złapałem się mocno za rękę Turama, próbując zapanować nad oddechem. Po *nukach* czuć było, że on też się bał. W takt wybijany jego drewnianą nogą ruszyliśmy przed siebie, by zaraz – niczym po śladach codziennie idących tamtędy burt – skręcić w prawo, w kilkunastometrowy odcinek głównego korytarza zakończony dolnymi twyrasami, prowadzący-

mi na poziom trzeci. Jęknął kolejny zamek, zakwiliły zawiasy. Zza kraty jak skrawym błękitem pochodni spozierał na mnie świat, który przez całe życie znałem jedynie z opowieści, choć był przecież ledwo za ścianą celi. Byłem oszołomiony. Pierwszy raz w życiu schodziłem na niższy poziom. Zresztą wszystko tamtego dnia było „pierwszy raz w życiu”.

W dół prowadziły proste, strome schody. Kamienne stopnie, dudniąc echem pod krokami Turama, obwieszczały, że zstępujemy w ogromną, niemal otwartą przestrzeń. Światło pochodni ginęło w mroku, poza kolumnami nie napotykało na żaden mur, co dawało wrażenie zupełnego bezkresu. W rzeczywistości każdy poziom – tak trójka, jak i pozostałe – miał kształt olbrzymiego koła, ograniczonego odległą kamienną ścianą na całej swej wysokości. A poziom trzeci zdawał się być tylko odrobinę wyższy od naszego pokładu, miał może ze dwa metry. Najważniejsze były jednak kolumny. Były wszędzie, pięły się pod sam sufit, a wykręconymi przyporami spletały się ze sobą jak gałęzie sędziwych drzew. W istocie był to ogromny las, choć w całości kamienny i niezbyt wysoki. Był to jednak pierwszy las, jaki widziałem na własne oczy. Ogromna liczba wszelkiej maści bestii, przyrośniętych do filarów, kłębiła się wśród ornamentów: to rajskie ptaki, uskrzydłone postacie, demony, ćmy, motyle. Były też smoki i orły. Niektóre, pewnie od zbyt śmiałego zamachu kilofem, urąbane miały kawałki skrzydeł bądź pazurów. Prócz nich całe tłumy wykutych z kamienia bezogonów wyrastały z surowo rzeźbionych trzonów kolumn. Turam pokazywał mi takich, co mieli koźle nogi zamiast ludzkich, albo innych, którym doprawiono baranie rogi; niektórzy z nich mieli ostre i kanciaste kształty tak ciała jak i ubioru; a kilku to nawet piło kamienną ciecz z kamiennych kielichów! Jedną z sylwetek uchwyciono w momencie, gdy zrzucała z siebie kamienny płaszcz, a były nawet i takie, co zdjęły z siebie wszystkie ubrania i bezwstydnie pogrzyżyły się w *jamii*. Aż mi to wszystko dech zapierało, a Turam szarpał mnie za rękę, bym się tak nie ociągał, choć przecież sam zafascynowany ciągnąłem go od kolumny do kolumny i zadreślałem najróżniejszymi pytaniami.

Zeszliśmy jeszcze na czwórkę. Schody na ten poziom były w zupełnie innym miejscu aniżeli te, którymi zeszliśmy na trójkę; w odróżnieniu od tamtych były misternie zdobione i choć równie stromo schodziły w mrok, to łagodnie okręcały się wokół masywnej kolumny. Czwórka była imponująco wyższa, miała ze trzy metry jak nic. Była też zupełnie inna. Zamiast skrzydlatych bestii i hybrydycznych zwierząt miała bezlik rzeźbionych linii, które wiły się, zakręcały po łagodnych łukach i przeplatały się ze sobą ni-

czym niezliczone stada węży. Inne zaś przypominały mi szkielety wielkich stworzeń oblane miękką zaprawą do klejenia muru.

- To coś trochę jak rośliny – wysilał się Turam.

- Jak trawa? – dopytywałem, bo przecież jedyną rośliną, jaką widziałem na oczy, była sucha kępa trawy, którą niegdyś Vijani przytargała z powierzchni.

- Trawa, kwiaty, liście, łodygi, gałęzie... Jakby je obrastały...

- Jakby płynęły wrzucone do gieru. O tu, tamtędy i w dół – trochę mnie roznosiło... – A może ktoś te wszystkie łodygi i gałęzie wrzucił do wielkiej miski z wodą i zamieszał! Zobaczymy więcej smoków?

- Smoki? Tu nie ma smoków. Kilka było na trójce, widziałeś je.

- Gwaja mówił, że są tu smoki. Orły i smoki.

- To jeden z twoich, tak? Pewnie myślał o szóstce, tam na dole jest cała masa takich poczwarnych, skrzydlatych maszkaronów. Ale nie zejdziemy tam dzisiaj, ktoś mógłby nas zobaczyć.

- Powiemy im, że jesteśmy na obchodzie!

- Żeby to było takie proste, mały.

- To chodźmy chociaż na piątkę! – ciągnąłem Turama za rękę.

- Wykluczone. Już stąd kilofy słyszać! Pora wracać.

To prawda. Było już wyraźnie słyszać naszych, pracujących na poziomie. Byliśmy tak blisko... Słyszałem nawet pojedyncze rozkazy bukatów, nie tylko kilofy. Kilofy to nieraz nawet w celi dało się usłyszeć. Musiałem przejść do działania.

Puściłem żelazną rękawicę Turama, którą dotąd ścisnąłem bez ustanku, drugą ręką szybko sięgnąłem do kadzienniaków po żelazny nóż, jaki podebrałem z tajemnego schowka Haramishy, a wcześniej umyślnie ostrzyłem przez kilka dni. Jednym sprawnym i silnym cięciem oderwałem obręcz z kluczami Młyna, co ją Turam miał przytroczoną do pasa, i rzuciłem się do biegu. On, zupełnie tym zaskoczony, próbował mnie nawet złapać, ale zdołałem mu się wysliznąć. Zaklął siarczyście i tylko raz zakrzyknął za mną, bym się zatrzymał.



Pędziłem na czterech w najczarniejszy mrok, kurczowo ściskając w zębach pęk kluczy i nie oglądając się za siebie. Serce waliło mi jak bęben. Do wtóru smyki śpieszne: rwany takt za mną pędził, dźwięki skoczne za susy brały, szaleńczy rytm szarpał za futro. Ale nie, nie biegłem na piątkę, prulem w górę! Desperacki drewniany stukot ruszył za mną w pogoń dopiero, gdy byłem już na schodach. Turam z tą jego nogą nie miał żadnych szans, by mnie dogonić. Zostawiłem go w tyle. Gnałem w zupełną ciemność, a między kamiennym lasem kolumn prowadziła mnie bezbłędnie ścieżka zapachu codziennej marszruty czterech huryjskich burt: mieszanka naszych i strażniczych *nuków*, świeżo naniesionego pyłu, śladów łoju, sady, potu, krwi, moczu, alkoholu. Lawirowałem między kolumnami z niuchem nisko przy posadzce, aż mi o nią te klucze dzwoniły, co je na kafle wziętem. Skrzypce zwolniły nieco. Z chaosu dźwięków nieśmiało rodziła się melodia. To wolność była! Schodami z poziomu trzeciego wpadłem jak burza na dwójkę, to jest na pokład z naszymi celami. Zniknęło echo. Przede mną w oddali mieniła się znajoma luna odległej pochodni, malując błękitem obrysy ścian i dolnych twyrasów, które zamknięte stanęły mi na drodze. Wymacałem pasujący do nich klucz. Zamek szczęknął, zaskrzypiały zawiasy. Nie wierzyłem, że to działa się naprawdę. Ziszczały mi się najśmielsze marzenia!

Ruszyłem wprost przed siebie. Przeszedłem przez rozwidlenie, zostałem z sobą korytarz do cel, z lewej i prawej minąłem drzwi do kabaryn – w tej z lewej mnie zamknęli tamtego dnia, gdy drażyłem tunel i zwałem na siebie kawał ściany. Stałem przed górnymi twyrasami, to jest główną kratą – tą, którą widać było zza naszych firanek. Z pękiem kluczy w ręce nie stanowiła żadnej przeszkody. Doskonale przecież wiedziałem, który do czego służył. Pewnie Turam pluł sobie wtedy w brodę, że tak dokładnie mi wszystko wyjaśnił. W ostatniej chwili przypomniałem sobie, by tę kratę zamknąć za sobą na klucz. Miało to mi dać więcej czasu tam na gorze. Taki zresztą był plan. Ziszczał się co do joty.

Zwolniłem tempo. Szerokie, kamienne schody zakręcały dwa razy w prawo, prowadząc mnie na poziom pierwszy. Z każdym stopniem robiło się coraz jaśniej, coraz bardziej dało się słyszeć głosy ciurmaków, coraz bardziej dawały się we znaki ich *nuki*, które wdzierały mi się w niuchy wraz z oparami podrzędnego alkoholu, zapachem surowego mięsa z rzeźni oraz aromatem wędzonych kiełbas i sera z którejsz z bukackich spiżarni. Jedyńka była poziomem mieszkalnym strażników – mieli tam te swoje lochy z sze-

regami drewnianych łóżek, dodatkowe kabaryny, dźwięki<sup>192</sup>; były też magazyny, warsztaty, smarownie<sup>193</sup>, a w jednym z pomieszczeń trzymali pod kluczem huryskie figury. Byłem tam pierwszy raz w życiu, a rozkład pomieszczeń znałem jedynie z opowieści Turama. Wszystko to nasi stawiali przed laty, na samym początku Młyna. Jednak gdy podpytywałem ich o to, nie chcieli mówić, nie pamiętali lub wymyślali niestworzone historie, które wykluczały się nawzajem.

Główny korytarz był wąski i wysoki na cztery metry z okładem, muryrowany pod samo niebo. Intensywnie rozświetlały go gęsto rozwieszone pochodnie. Przyłgnięty do posadzki, skradałem się najciszej jak tylko potrafiłem. Przemknąłem w prawo, do bocznego, ciemniejszego i ślepego korytarza, zmierzając do celi Turama. Wyszukałem właściwy klucz, ale gdy już zabierałem się do otwierania, okazało się, że drzwi wcale nie były zamknięte – były wręcz uchylone, a z wnętrza wydobywała się smuga niemrawego światła. Pewnie Turam był na tyle podekscytowany tym naszym wspólnym, tajnym wyjściem na poziomy, że po prostu zapomniał, pomyślałem. Ostrożnie pchnąłem drzwi, by wślizgnąć się do środka.

Stanąłem jak wryty. Wewnątrz pomieszczenia w świetle latarni postawionej na blacie stołu dostrzegłem jakiś ludzki kształt. Tyle że był jakiś... mały. Miał bujną, kędzierzawą grzywę, którą widać było doskonale, bo nie założył na głowę hełmu; zresztą w ogóle nie założył na siebie zbroi, a jedynie materiałową koszulę i spodnie; do tego pachniał jakoś zupełnie inaczej niż pozostali. Pierwszy raz w życiu widziałem takie zjawisko. W momencie, gdy otworzyłem drzwi, balansował właśnie na stołku, postawionym przy drewnianym regale, próbując dosięgnąć jakiś przedmiot z samej góry. Musiał mnie jednak usłyszeć, bo obejrzał się w moją stronę, przeraził i runął na ziemię z okropnym łubudu, zrzucając z półek cały majdan najróżniejszych, brzęczących fantów.

Przestraszony chciałem uciec jak najdalej, jednak inny miałem plan. Chyba tylko dzięki temu miałem odwagę, by zostać, szybko ogarnąć wzrokiem wszystkie ściany, susem skoczyć do takiej drewnianej listwy z zawieszonymi pękami kluczy, capnąć ten właściwy i czmychnąć przez drzwi nim spod sterty zrzuconych na siebie szpargałów wydobył się ten mały bezogon.

192 Tak w Młynie mówiliśmy na specjalne sale tortur. To dlatego, że skazany, który tam szedł, wydierał się wniebogłosy i wydobywał z siebie najprzeróżniejsze dźwięki, które aż słyszeć było w naszych celach poziom niżej.

193 A to takie pomieszczenia, w których strażnicy zbiorczo jedli posiłki.

Wpadłem z powrotem na ten boczny, ciemny korytarz, a z niego wychyliłem się na główny – ten rozświetlony pochodniami. Z jego końca doszły mych uszu stalowe kroki nadciągającego bukata. Na psa urok!

Na końcu głównego korytarza było coś w rodzaju otwartego holu wejściowego do Młyna. Była tam krata prowadząca do schodów na powierzchnię, której strzegło kilku strażników. Widać, rumor z celi Turama zwiabił jednego z nich. Ledwo się obejrzałem, by sprawdzić własne plecy, a ten zakuty ciurmak wychynął zza winkla i już się toczył z tego holu wejściowego głównym korytarzem prosto na mnie. Byłem w potrzasku: z jednej strony – rosły bukat, z drugiej – ten mały. Musiałem się jakoś ratować. Umknąłem z powrotem w ten boczny korytarz i dałem nura między dwie beczki, co tam akurat stały pod ścianą. Sądząc po zapachu, magazynowali w nich zepsutą kapustę, ogórki albo jakieś inne zgniłe warzywa. Wpasowałem się na wcisk; usiłowałem zwolnić oddech; nasłuchiwałem.

Nie ruszając się z miejsca, zerknąłem jeszcze tylko w kierunku celi Turama i wtedy znów go ujrzałem. Odruchowo spuściłem wzrok, by mnie nie spostrzegł, ale przecież i tak już mnie zobaczył, a wręcz mi się... przyglądał. Stał ledwo widoczny w szczelinie uchylonych drzwi i mi się przyglądał! Odgadł moją kryjówkę, ale z jakiegoś powodu nie opuszczał własnej. Może on też się ukrywał przed strażnikami? Dopiero wtedy to do mnie doszło: a może to ludzki chekechea? W końcu nigdy w życiu żadnego nie widziałem, to skąd miałem wiedzieć, jak taki wygląda?! Nie mogłem oderwać wzroku od białek jego oczu, a on wciąż uparcie wpatrywał się we mnie<sup>194</sup>. Mały bezogon schował się do środka dopiero, gdy dudniące metalicznym echem kroki ucichły na skrzyżowaniu. To ten zakuty ciurmak – przystanął, by ze ściany zerwać wiszącą pochodnię i z rozbujanym, jaskrawym światłem nieśpiesznie ruszyć w ciemny korytarz. Wstrzymałem oddech. Minął mnie o grubość ogona. Po cichu umknąłem zaraz za jego plecami.

Nie mam pojęcia, skąd wzięło się we mnie pragnienie, by pomóc temu ludzkiemu chekechei. Może mimo braku futra wydał mi się podobny? Albo pomyślałem sobie, że on też podchodzi właśnie do Uhai, a nadciągający strażnik z jego *mbarii* miał zaraz zdemaskować jego kryjówkę? Dziś już nie pamiętam, może targnęło mną coś jeszcze. W każdym razie wpadłem na główny korytarz i jakimś blaszanym rondlem – pierwszym, co wpadło mi

---

<sup>194</sup> Bezogoni mają wyjątkowo niewielkie rogówki, spora część ich oczu jest zupełnie biała. Co ciekawe, znacznie słabiej w ich oczach odbija się światło pochodni.

w ręce – trzasnąłem z całej siły o ziemię w kierunku schodów na dwójkę – tylko po to, by narobić rabanu.

- Tylko sobie tam blach nie obij! – zakrzyknął jakiś strażnik z końca korytarza wśród rechotu swych kompanów, gdy żelastwo jeszcze przez kilka chwil tłukło się z echem wprawo w posadzkę, potem o kamienne schody. Ja w tym czasie skryłem się we wnęce drzwi do jakiegoś magazynu. Pociągnąłem niuchem i wtedy do mnie doszło, że całe futro mam uwalone zapachem tej zgniłej kapusty i ogórków! Czuć mnie pewnie było na kilometr! Miałem tylko nadzieję, że bezogoni rzeczywiście nie mają węchu...

Gdy ciurmak energicznie wparował na główny korytarz i wabiony hałasem zbiegał po schodach na nasz pokład, ja, tłumiąc w kadziennicach dzwonięcie dwóch pęków kluczy, wychyliłem się z kryjówki, pobiegłem w odwrotnym kierunku (czyli do tego holu wejściowego na końcu głównego korytarza) i przemknąłem obok strażników, którzy skupieni przy małym stoliku żywo zajęci byli grą w karty<sup>195</sup>. Schowałem się za jakąś wielką skrzynią z żelaznymi okuciami – jakbym ją skądś znał... Naszykowałem klucz. Teraz czekać. Taki był plan. Byłem już tak blisko! Czulem już to powietrze z zewnątrz, które czasem przynosili na sobie bukaci.

Z korytarza szybkie, ciężkie kroki. Metal o kamień.

- Alarm! Mamy tu intruza! – wrzasnął zdyszany strażnik wracający z dołu. Turam najwidoczniej zdołał już dokuścić do górnych twyrasów na pokładzie. Były zamknięte, ale natknął się, widać, na tego ciurmaka.

Zatem stało się. Strażnicy porzucili karty i zerwali się na równe nogi; złorzecząc i wyzywając od larw i ciem, zakładali pośpiesznie hełmy, co je zdjęli z głów do gry; nerwowo rozpięzchli się po poziomie, nawołując z wsząd swych pobratymców.

Nie miałem zbyt wiele czasu. Jak tylko w holu zrobiło się luźniej, wyskoczyłem zza skrzyni i czym prędzej podbiegłem do kraty. Gdy włożyłem klucz do zamka, po drugiej stronie firanek dostrzegłem dwie papugi i całą mochę figur, ciągnących ze sobą po schodach żywego iakka. Schodzili z powierzchni. Jakimś cudem wśród tego zgiełku i zamieszania nie usłyszałem ani nie wyczułem ich wcześniej. Z powrotem zaszyłem się w kąt za skrzynią, licząc na to, że mnie nie spostrzegli.

---

195 To taka albińska gra na kilka osób. Polega na układaniu równo przyciętych kawałków tektury o różnych wzorach i kolorach w różne stosy wedle przyjętych wcześniej zasad. Ludzie wszelkich stanów bardzo się tym pasjonują.

- Ileż można tu sterczeć? – warknęła jedna z papug kilka chwil po tym, gdy dotarli do krat i czekali na wejście. – Bydle nam się rwie do uboju, a ani jednego na posterunku nie ma!

- Dajże spokój, młyn tu mamy! Jakiś poprzeczniak zwiął z poziomu i na dokładkę zamknął drewnianą nogę na dwójce! – relacjonował bukat z holu, otwierając twyrasy i niemal dusząc się ze śmiechu.

- Złapałście go?

- Gdzieżby? Dekuje tu gdzieś jeszcze<sup>196</sup>.

- Tu? Na jedyne? Skóry z was Ordin zedrze, gdy się dowie!

- A weźże! Lepiej na własne szczotki filuj<sup>197</sup>!

Nagle, gdy wchodzili, będący z przodu huria zatrzymał całą kolumnę figur wraz z dwiema papugami i podirytowanym samcem iakka, niemal teatralnie pociągnął niuchem i rzucił:

- Czujecie to? Jakby tu załatywało jakimś dołorobem<sup>198</sup>!

Zamarłem z przerażenia. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że po posadzce w kierunku powierzchni ciągnął jakiś drobny powiew powietrza. Wywiewał z małej kraty w podłodze, czegoś na kształt gieru. Chowając się za tą skrzynią, nie wziąłem tego pod uwagę! W ogóle nie wziąłem pod uwagę faktu, że z góry schodzą czasem jakieś hurie, a tyle myślałem nad tym planem!

- Na mój nos to ktoś z jedyнки – rzuciła któraś z figur, a strażnicy sięgnęli po miecze.

Tamten pierwszy huria wiedziony moimi własnymi *nukiami* ruszył prosto na mnie. Z całych sił rozpaczliwie wciskałem się między ścianę a drewnianą skrzynię.

- Ależ tu bije kiszoną kapustą! – wycedził z niesmakiem.

Tak! No właśnie! Ten straszny gips z tamtych beczek, co wżarł mi się w futro, teraz mógł mnie ocalić! Wybawienie! Już to widzę, jak odwraca się na pięcie i wraz z całą mochą figur idą w kierunku rzeźni; jak otwieram bramę; jak schodami wspinam się na powierzchnię; jak ciepłe promienie słońca liżą mnie po sierści; jak...

- Toż to ten mały skokobryk z jedyнки!

Poczułem silne szarpnięcie za ramię i czyjeś pióra wbijające mi się w ciało.

196 Czyli się chowa.

197 Patrz albo pilnuj.

198 Tak pogardliwie figury przeżywały naszych.



- Chciałeś uciec w beczce po kapuście czy co?  
No i cały plan wziął w łeb.



- Udawał nieżywego, to musiałem sprawdzić – tłumaczył się Turam przed samym naczelnikiem, to jest Młynarzem, w jego prywatnej komnacie.

- Iakkowa dupa, a nie klucznik! – gardłował Ordin, żywo gestykulując stalową rękawicą. – Mikremu kociakowi dać się nabrać!

Turam czerwienił się coraz bardziej, zaciskając zęby i nerwowo spoglądając na boki. Ordina zaś właśnie obudzili ze snu po nocnej warcie i nie zdążył jeszcze przywdziać całego rynsztunku. Miał na sobie jedynie miękki kaftan, spodnie i nagolenniki, a jeden ze strażników pomagał mu założyć resztę żelastwa.

- Mój drogi – zaczął Młynarz. – Byłbyś wyrozumiały. Wiesz przecież, że nasz klucznik nie ma jeszcze dość doświadczenia z huriami.

- No jasne, że nie ma, wuju! Cóż tu po stopniu, tu nie front! Nie rozumiem, jaki był sens tak z miejsca powierzać tej drewnianej nodze wszystkie klucze do tego burdelu<sup>199</sup>?

- Byś się opamiętał!

A Ordin, nie zwracając uwagi na Młynarza, zwrócił się do Turama:

- A swoją drogą, do zesłonej larwy, jakim żeś prawem w ogóle miał klucze do celi podczas obchodu? Co?

- Zrzędzenie bogów! – tłumaczył się Turam. – Wziąłem przez przypadek, musiałem źle je rano odwiesić. Zorientowałem się na dole, toż nie było sensu wracać.

- Przypadek! Jakże można przez pomyłkę wziąć dwa pęki kluczy zamiast jednego? I to akurat tego dnia, gdy tamten karypel udawał zwłoki!

- Sugerujecie coś, poruczniku?

- Coś tu cuchnie, Tuflu. Od samego początku te całe obchody zalaływały jakąś zdechłą rybą<sup>200</sup>. Po kiego czorta sprawdzać poziomy za dnia – awanturował się Ordin – skoro wszystkie sierściuchy i tak są na dole? Wszystkie prócz tego jednego. – Wskazał palcem na mnie. Stałem z boku

<sup>199</sup> Tak strażnicy pogardliwie nazywali Młyn.

<sup>200</sup> Nie, nie. Ryba to było kłamstwo albo oszustwo. Farmazon innymi słowy.

tęgo zamieszania, a jeden z bukatów miażdżył mi ramię, bym się nie wyrwał.  
– Jak to w ogóle możliwe, że ten karakan nie ma jeszcze kajdan, a za dnia w celi próżnuje?

- Mały jest, oto dlaczego – skwitował Młynarz.

- Jakoś przed laty nikomu nie przeszkadzało, gdy małe szczotki tyrały na dole równo z resztą!

- Śmiesz podważać moje słowo, młody człowieku? Nie pójdzie do kucia skał choćby dlatego, że ja tak mówię!

- Znam inne twoje słowa, wuju: każdemu hurii należy się woda, mięso za pracę, kara za przewiny, drewniana miska, drelichy i para kajdan! – Tę pracę i parę kajdan podkreślił dobitnie. – Ja tego nie wymyśliłem!

- Jeśli już musisz, to załóż mu te kajdany. Byle nie za ciasno, toż to jeszcze dzieciak!

Ordin roześmiał się ironicznie:

- To jakaś paranoja! Jeszcze trochę, a zabronisz nam zabierać szczotki do karceru, by przypadkiem im krzywdy pałkami nie zrobić! A swoją drogą za taki jucht z próbą ucieczki mały powinien dostać solidne omłoty<sup>201</sup>.

- Kategorycznie zabraniam! – warknął rozjuszony naczelnik, aż się podrywając zza ciężkiego biurka zawałonego mnóstwem brzęczących szpargałów. – Przysłałem na kajdany, jak się tak rwiesz do tego, ale osobiście tyłek ci przetrzepię, jeśli który mu krzywdę zrobi!

Ordin parsknął tylko z pogardą i bez słowa dał znak do wyjścia papudze, co mnie trzymała. Zachodziłem w głowę, dlaczego Młynarz z takim uporem bronił mnie przed swym krwiożerczym bratankiem? Miałem zamiar wypytać o to Turama następnym razem. Nie miałem wówczas pojęcia, że nie będę już miał do tego okazji...

Zabrali mnie do kuźni. W małym pomieszczeniu przy olbrzymim miechu i gorącym palenisku, rozświetlającym wszystko jaskrawym błękitem, czaił się istny ogniowy demon. To był jeden z bukatów, ale zamiast zbroi nosił ciężki fartuch zrobiony z jakiejś okrutnie grubej skóry – powycierany i poprzypalany rozgrzanym metalem – oraz także same rękawice. Twarz miał brudną, pokancerowaną, a spod siwej, acz dość bujnej jeszcze grzywy i gęstej brody wylańało się kilka głębokich blizn. Gdy weszliśmy, na kowadle dwakroć większym od mojej głowy objął boki rozgrzanego do czerwoności ostrza kilofa, aż iskry skakały i rozbiegały się w popłochu po kamiennej posadzce.

<sup>201</sup> To było lanie wykonywane drewnianymi pałami przez wielu bukatów na raz.

- Obrączki dla małego<sup>202</sup> – szczerknął ten, co mnie prowadził, oddając w ręce kowala. – Tylko, larwa, porządnie zanituj, niełichy z niego poprzeczniak!

Ogniowy brodaty demon z niechęcią porzucił swe zajęcie, beznamietnie zmierzył mnie od palców do głów, mocno chwycił za ramię, zmierzył je fachowym okiem i mruknął:

- Oj, luźne stylisko. Nie mam takich mikrych.

- Co? Jakim, larwa, cudem? Były przecież!

- A były, ale poszły w diabły! Lata temu, jeszcze jak był tu Yorik, wszyskieśmy przetopili.

- Larwa, bez bimbania<sup>203</sup>! Żelaza, widzę, nie brak, to nowe wykuj!

- W tym rzecz! Wszystkie sztaby idą na kilofy. Złóżcie zamówienie u Favrisa, dajcie mu jaką flaszkę, to w tydzień z dostawą dojdzie.

- Niech to ćma chropata! – wtrącił Ordin, rzucając demonowi mordcze spojrzenie, acz ten ani nawet nie drgnął, a czarci ogień w nim nie zgasł. – Kolejna iakkowa dupa zamiast fachowca! Na za dużo wam Stary pozwala! Przekuć mi to żelastwo na nowe kajdany! Na już potrzebne!

- Nie pieńcie się tak, poruczniku – odparł spokojnie kowal, a do tego uśmiechnął się, demonstrując braki w uzębieniu. – Z rozkazu gospodarza kuję<sup>204</sup> i też na już potrzebne! Coraz miększe skały na szóstce, to kilofów o takich płaskich krańcach potrzeba, ile wlezie. O, takich jak ten.

- Też mi pomysły! To wziąć duże kajdany i na małe przekuć!

- Za ciężkie będą, toż to mikry kociak ledwo.

- Tym nawet lepiej. Tylko zabrać mi się za to w pierwszej kolejności! Na siebie Starego wezmę, gdyby się o to rzucał.

- Hmm. No to blat<sup>205</sup>. Na jutro będą.

- Jutro! – syknął Ordin. – Dzisiaj do drugiej zmiany się wyrobisz, to na dołowanie draniary zaproszę<sup>206</sup>.

- A luźne stylisko z tymi waszymi derbami<sup>207</sup>! To odrażające! Że też wam fujary stają przy tych kocicach! Lepiej ludzką czajkę by porucznik wynalazł!

202 Czyli kajdany.

203 Bimbać to żartować.

204 Inaczej o naczelniku.

205 To znaczy, że się zgodził.

206 Tak strażnicy nazywali zbiorowe akty *jamii* dokonywane na naszych huriankach zaciąganych do tych ich lochów.

207 To o tym samym tylko innymi słowami.

- Masz tupet! Dzierlatki się zachciewa zgrzybiałemu dezerterowi!

- Toż to już zamierzchłe dzieje! – obruszył się demon. – Dwadzieścia i jeszcze trzy lata mijają odkąd jałem hakować w tej kuźni<sup>208</sup>. Jestem tu niemal od samego początku, a od zajścia z Yorikiem cała robota na mojej głowie! Od przeszło dwóch cykli dopraszam się o jakiego stałego pomocnika, choćby i kota. Podesłij kogo, to żywo się pośpieszę.

- Śmiesz mi jeszcze warunki stawiać? Nie będzie ta szcztotka w kajdany zakuta do drugiej zmiany, to do kabaryny zaproszę i osobiście się postaram, by nie miało ci już co stawać zarówno przy koticach, jak i przy ludzkich larwach, o ile w twoim podeszłym wieku to ci się jeszcze w ogóle zdarza. A teraz zabierać mi się do roboty! No i nie zgubić mi tego małego! Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż bieganie za skokobrykiem. Spuść go tylko z oczu, to powycieram tobą karcer!

- Lepiej go, larwa, do czegoś przywiąż – rzuciła tylko na odchodne moja papuga – bo wiesz, larwa...

- Wiem – odparł niewzruszenie kowal. – Nieżył z niego poprzeczniak. A natychmiast po tym, gdy zatrzasnęli za sobą drzwi, zagadnął:

- Pracowałeś kiedyś w kuźni?

Pokręciłem głową.

- Ale garniesz się do tego, by spróbować swoich sił.

Nic nie odpowiedziałem.

- To wskakuj na miech i żwawo go rozbujaj!

Zaintrygowany wdrapałem się na drewnianą konstrukcję miecha i zapierając się całym sobą parłem w dół. Ku memu zaskoczeniu całe stado ogników roztańczyło się w palenisku, rozrzucając iskry na prawo i lewo, a rozżarzone węgle aż zabłyśły jaskrawo. Zafascynowany na polecenia kowala to podnosiłem miech, to go opuszczałem, czując jakbym był płucami wielkiego ognistego smoka, co płomieniami oddycha ciężko, podsycając swój wewnętrzny żar.

- Brawo – słyszałem tylko – tak trzymaj, prędko się uczysz.

- Jesteś dezerterem? – spytałem, gdy na chwilę zwolnił mnie od miecha, by na kowadło nadać kształt moim nowym kajdanom.

- Oj tam, luźne stylisko, zaraz dezerterem. Tu prawie każdy ma coś za uszami. Dezerterzy, włamywacze, stenokradcy, fałszerze, gwałciciele, ułomni, kaleki... Młyn to zbieranina wyrzutków, siłą zaciągniętych tu do wojskowej

<sup>208</sup> Hakować to pracować bardzo ciężko.

służby niczym do paki. A choć w niejednym cejnie zęby gryzłem, to żadne nie może sobie nawet stanąć obok tej tu zgniłej wupy<sup>209</sup>!

Wtedy powiedział:

- Jestem Bradach. A ty jakie nosisz imię?

- Nie mam imienia. Jestem chekecheą. – Tęgo „chekecheę” to wtrąciłem po hurysku.

- Że co, proszę? – zapytał aż przerywając kucie.

- Jestem chekecheą.

- Dobra. I tak tego nie powtórzę. Prędszej połamię sobie język. Powiedzmy, że będę cię nazywać Orm. Mój siostrzeniec nosił takie imię, dopóki Krucza Armia go nie stratowała. Zresztą wraz z moją siostrą i jej mężem.

Nie mogłem zgadnąć, o co mu chodziło. Nadał mi imię, jakby był moim własnym *raisem* i jakbym właśnie przeszedł próbę Uhai, która przecieź właśnie mi się nie powiodła. Pod sierścią czułem jednak, że nadchodzi nowe. Jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało, wówczas cieszyłem się na myśl o tych kajdanach. Wszyscy nasi takie nosili na nogach i rękach. To w końcu naturalne, że chciałem być jak oni – choć doskonale wiedziałem, że pod *marshem* Jangi ten kawałek żelaza i tak nie zastąpi mi gwiazd nad głową, tak potrzebnych do ceremonii Uhai.

- A Turam? – zapytałem, zatrzymując się na miechu.

- Co z nim? Nie przestawaj tam; góra, dół!

- On też jest dezserterem, włamywaczem i stenokradem?

- A gdzie tam! On nie. To rotmistrz z regimentu Tussandera. Tyle że mu kulasa oderwało na froncie, to go tu, na tyły wysłali. Jest tak trochę z uma szedłszy<sup>210</sup>. No i trochę brak mu ogłady – ciągnął demon – jak na kogoś jego rangi, ale to swój chłop. Też jest barbarzyńcą, tak jako i ja. A ledwo nas garstka służy tu, w tym podziemiu. Na takie ciepłe i bezpieczne stolki tak daleko od Kruczej Armii to albinosi. Nas to najchętniej w pierwszej linii widzą. Popamiętasz jeszcze moje słowa: jeszcze im wydrzemy z pysków nasze ziemie, gdy już to wszystko się przewali!

- Gdy to wszystko się przewali?

- No, wojna na Bakburcie przecieź; zobaczysz, Orm, gdy zepchniemy Kruczą Armię na Piekielne Ziemie albo jeszcze dalej, to odbierzemy albinom to, co nasze. Centaury ze Sterburty już dwa razy próbowały postawić się imperium, ale oba zbrojne powstania upadły. Brakło im sił, determinacji

209 Mówił o więzieniach. Bezogoni budują ich wiele i osadzają w nich złoczyńców.

210 Że niby postradał rozum, zwariował albo po prostu był dziwny.

i dobrego planu. Przeszło dwa cykle temu skrzyknęły się centauryjskie klany i utworzyły podziemie. Zwali je Ungulantą. Mieli przywrócić Sterburcie wolność. A tu, luźne stylisko, gdy tylko albińscy wywłachali, nastali na nich armię i pod pozorem mobilizacji przeciw Legionowi Hundun wybili wszystkich centauryjskich partyzantów<sup>211</sup>.

- Legion Hundun? – zagadnąłem zaintrygowany.

- Tak – Bradach machnął ręką – jin-hani tak nazywają resztki oddziałów Chaosu, które plądrowały ich ziemie po wielkiej wojnie. To coś jak Krucza Armia, tylko nie na Bakburcie, a na Sterburcie, tam, gdzie żyją jin-hani, centaury i wysokie elfy. Tyle że Hundun nie stanowił wówczas żadnego zagrożenia, zresztą obecnie też nie stanowi. Wysokie elfy już lata temu go rozgromiły i trzymają w ryzach; nikomu nie dadzą sobie odebrać granic. Toteż nadszedł czas na nas, barbarzyńców z Bakburty. Za długo kłęczymy w tych... albińskich kajdanach! Ileż ja sam tu tkwię?! Dwadzieścia lat i jeszcze trzy! Ileż można? Przecież pamiętam jeszcze, jak twoi pobratymcy budowali te ściany tutaj. Nie było kuźni, korytarzy, waszych cel na dole też nie było, same kolumny. A na samej górze to jeszcze nawet kolumn nie było, ledwo jakieś zaczątki. A teraz to niektóre nawet na dwóch chłopca wysokie albo i lepiej!

- I funkcjni muszą je budować na rusztowaniach? – zapytałem.

- A gdzieżby! Twoi krewni ich przecież nie budują, większość robi przy rozładunku urobku. A jest ich tak mało, że nie chcą mi żadnego oddać do kuźni!

- To kto buduje te kolumny?

- No, w tym rzecz. Budują się same.

- Jak to same?

- Same. Nikt im nie pomaga, a z roku na rok są coraz wyższe.

- To one tak... rosną? Jak drzewa?

- Coś tak jakby. Nie wiem, nie znam się na tym. Pewnie jakaś magia czy inszy diabeł. Dobrze, że nie każą mi tych drzew ścinać, bo bym wszystkie narzędzia stępił na tej litej skale – zażartował demon, szczerząc do mnie resztki

---

<sup>211</sup> *Wszystko są to fakty historyczne. Powstania centauryjskie miały miejsce w roku wtórym piątego oraz w roku wtórym 15 cyklu. Ungulanta, tajna organizacja centauryjska, powstała w roku wtórym 17 cyklu, zaś w 18 cyklu Imperium Terahandearu ogłosiło trwający do cyklu 19 centauryjski stan nadzwyczajny w obawie przed najazdem Hundunu (zob. Wiek postmagnibelliczny..., s. 248). Zdania historyków co do jego zasadności są do dziś podzielone – przyp. GE.*

zębów. – Do tego jeszcze ta posadzka. Jak mnie tu przywieźli przed laty, to na najwyższym poziomie była niemal równo z gruntem. A teraz jest ze dwa metry pod ziemią. Jakby całe to zgniłe cejno stopniowo się zapadało. Co jakiś czas, tak raz na dwa lata, muszę dorabiać kolejne stopnie, byśmy mogli wychodzić na poziom gruntu. Solidne, dębowe, bo prowadzą po nich iakki do rzeźni.

Tak. Dało mi to wówczas wiele do myślenia, choć nie byłem pewien, czy ten ogniowy demon sobie ze mnie po prostu nie żartuje.

Skończył swoje dzieło tuż przed drugą zmianą. Aż się bałem, że mi sierść przypalała te kajdany, gdy je na mnie nitował – takie były jeszcze ciepłe. Moje nogi i ręce okazały się nagle niewyobrażalnie ciężkie. To było dla mnie wielkie zaskoczenie... Najdrobniejszy ruch stał się torturą, z każdym krokiem podnosiłem nogi z ziemi, jakbym je musiał wyrwać z gęstego bagna, a obręcze coraz bardziej wznęwały się w ciało. Łańcuch zaś był tak przesadnie gruby, że chyba nie rozerwałoby go nawet deinoterium! Okrutnie krępował mi wszelkie ruchy, a do tego dzwonił o posadzkę, nieznośnie manifestując swoją obecność.

- Przykro mi, Orm – rzucił tylko, gdy spojrzałem na niego z wyrzutem. – Taki już los hurii. Ale może się z gospodarzem ustawię. Przydałby mi się tu taki pomocnik jak ty<sup>212</sup>...



- Toś zakapior, zakapior jak pies! – Tak mnie podsumował hadhi Haramisha, gdy doszedłem do miejsca, w którym uwięziłem Turama na przykładzie za głównymi twyrasami za pomocą jego własnych kluczy. Opowiedziałem im całą historię mojej ucieczki, nawet to, jak młyński kowal nazwał mnie imieniem swego siostrzeńca. Nie wspomniałem jedynie o tym ludzkim chekechei, którego spotkałem w celi Turama. *Mbaria* słuchała moich słów jak zaczarowana, nie chcieli tylko uwierzyć we fragment o rosnących kolumnach i zapadającym się Młynie.

Moje nowe kajdany na nogach i rękach aż prowokowały do pytań. Mierzyli je, wączali, wazyli w rękach. Za panowania Sharii po takich przygodach byłbym już hurem; pod *marashem* Jangi liczyć na to nie mogłem.

212 Ustawić się, czyli się umówić, znaczyło to też: zmienić porządek w hierarchii.

Nadal byłem chekecheę, a burta, jak na chekecheę, poświęciła mi nad wyraz dużo czasu i uwagi. Choć w zasadzie im i tak było wszystko jedno... Może z wyjątkiem Haramishy – ten wiekowy pardian sprawiał wrażenie, jakby... był ze mnie dumny. On jeden! Wbrew temu, że sierść miał tak samo czarną jak Janga, był w tamtym czasie jedną z niewielu jasnych gwiazd na tym ciemnym, nocnym niebie. Nawet nie miał mi za złe, że chapnąłem mu<sup>213</sup> ten jego żelazny nóż, co mi posłużył do odcięcia kluczy. Odebrali go mi jeszcze przed tym, gdy mnie postawili przed Młynarzem. A Haramisha zamiast się wściec, że stracił najlepszą broń, jaką mieliśmy w celi, to wręcz się cieszył, że jego własny fant przyczynił się do przyszcicia bukatom takiej brody. Nawet mnie bronił przed Ugaidi, gdy miała do mnie pretensje, że nie dostaję niczego od Turama.

No właśnie. Na próżno już oczekiwałem stukotu drewnianej nogi. Kto inny otwierał twyrasy, kto inny dzwonił pękiem kluczy. Nikt nie schodził już na obchód. Pierwszego dnia pomyślałem, że Turam się na mnie obraził, ale że mu przejdzie; drugiego – tęskno spoglądałem na główną kratę; trzeciego – byłem gotów z rozpaczą zjeść własne futro, byle tylko przyniosł mi coś do jedzenia. Dopiero wtedy poznałem, co to prawdziwy głód. Ścisnął mi żołądek jak bukackie maszyny do tortur. Pozostała mi luźna breja ze śniadania i sajodka bomstu, którą coraz trudniej przychodziło mi dzielić się z Siostrą. Żaliłem się jej, ale cóż mogła mi pomóc?

Kiedyś próbowałem sobie wyobrazić i uwierzyć w to, że wcale nie jestem głodny. Nie szło mi to za dobrze. Powtarzałem sobie w myślach: nie czuję głodu, nie czuję głodu... Zamiast tego coraz bardziej doświadczałem, jak żołądek targał całym moim ciałem, a każdy ze zmysłów na swój sposób próbował mi wmówić, że jedzenie mam na wyciągnięcie ręki. Przemóżny głód niewolił mnie tym bardziej, im bardziej myślałem o jedzeniu. Próbowaliśmy pić wodę, udając, że to zupa; że bukat nabiera ją specjalnie dla mnie i to prosto z suteryny. Albo że Haramisha dzieli się ze mną własną porcją:

- Weź, wziąłem dla ciebie! Zjedz prędko - szepce mi do ucha, by się Jandze nie narażać.

Nie poddawałem się. Ale nic to nie dawało. Wszyscy byliśmy niewolnikami głodu. Co by nie mówić o łańcuchach, kratkach i bukackich mieczach, to jednak głód niewolił nas najbardziej.

Wraz z głodem przyszedł wówczas strach. Turam się nie pojawiał, to nie przynosił mi żadnego fasunku. Janga szczyrzył na mnie kaffe i obliżywał

<sup>213</sup> No, ukradłem przecież.



się na mój widok, a ze względu na ten równy przydział, jaki niegdyś wprowadził, z całą cełą miałem na pieńku. Z łatwością przyzwyczaili się do tych luksusowych wędlin, a gdy im je nagle zabrano, byli pewni, że to moja wina. No i mieli przecież rację. Czasem miałem wrażenie, że jedynie przez wzgląd na Haramishę i jego wysoką pozycję w hierarchii trzymali mnie jeszcze przy życiu.

Do tego wszystkiego doszedł jeszcze incydent z Zinaą. To zresztą musiało się tak skończyć. Kilka dni po moim powrocie, tuż przed obiadem, przyszli po niego z góry. Próbował się wyrwać, więc jeden ciurmak podciął mu nogi; drugi – dzielił go metalową pałką pod żebra, aż go w pół zgięło, po czym na przemian okładali go stalowymi buciarami. Wszystko to działo się na korytarzu, przed firankami naszej celi. Bukaci skrzeczeli tylko:

- Już my cię, zapchlona szcztoko, fikania kantem oduczymy! Kłusownik się znalazł<sup>214</sup>!

Potem kazali pardianowi zebrać się do pionu i zaciągnęli go na dźwięki. I bez tego, co mówili, nietrudno było zgadnąć, dlaczego go zabrali. Jakies sprzedajne ucho z którejś celi wreszcie doniosło strażnikom o tych jego zuchwałych planach. Pytanie tylko: kto go wsypał? Bo słyszeli go wszyscy.

- Głupi był jak pies, że się z tym nie krył! – powtarzał Haramisha.

- Ależ z tego Zina i tepe futro! – dopowiadała Ugaidi.

- Może i za nim nie przepadam, ale bądź co bądź jest jednym z nas! – Tak z kolei powiedział Janga, ale nie wierzyłem w ani jedno z jego śliskich słów! Wbrew temu, co mówił, osobiście właśnie jego podejrzewałem! Wszystko układało mi się w sensowną całość. Janga był enigmatyczny i mało mówny; nadstawał jedynie uszu, a zawsze tylko czyhał z boku, by wbić komuś nóż w plecy. Sprowokowany przez Zinaę wyszedł jednak z ukrycia. Podczas tej ich pamiętnej walki o panowanie nad naszą burtą był w takiej formie, że na pewno karmił swego węzowego demona jakimś luksusowym smarunkiem od bukatów. To było widać! Tak samo jak było widać te jego długie i ostre pazury, którymi się werżnął w kark Zina i w twarz Vijani. I we mnie, gdy zapomniałem któregoś dnia napełnić misek wodą. Janga musiał mieć ze strażnikami dobre układy, skoro mu nie obcinali pazurów.

214 Fikania kantem, czyli oszukiwania strażników i łamanie ich przyzwoleń. A kłusownikiem nazywali bukaci każdego hurię, co się zamierzał na ludzi. W sumie to zabawne, bo my dokładnie tak samo mówiliśmy na takiego bukata, który się uwziął na któregoś z naszych i z premedytacją się na nim wyżywał.

Po tamtych szybkim i próżnym zwycięstwie najchętniej wypędziłby Zinaę z *mbarii*, ale nie mógł się go przecież pozbyć z celi – musiał tolerować jego obecność. Zdegradował go do pozycji hura i umieścił w ogonie hierarchii, a ten wydzwignął się dzięki tej bezinteresownej *jamii* do tego stopnia, że hurianki zaczęły go ubóstwiać. Niektóre oddałyby za Zinaę własne futro, a śmiem wątpić, czy któraś byłaby w stanie tak się poświęcić dla Jangi. Powiedzieć, że nasz *ruis* nie przepadał za Zinaą, to wykazać się niebywałą oszczędnością słów. Nienawidził go i gardził nim na każdym kroku ich przymuszonej współzystencji.

Kilka dni to trwało, nim zwrócili nam Zinaę. A przynajmniej to, co z niego zostało. Papugi przeciągnęły go tam i z powrotem przez cały korytarz na pokaz przed wszystkimi celami.

- A teraz słuchać, zapchłone ścierwa! – wykrzykiwał sam Ordin, a ściany dudniły złowieszczym echem, nikt nie ośmielił się nawet pisnąć. – Kaźdego, kto choćby podniesie rękę na jednego z nas, taki sam los spotka! Taki sam! Bądźcie tego pewni! Przypatrzeć się dobrze, koty!

Dopiero gdy podeszli pod nasze firanki, zobaczyliśmy, o co mu chodziło. Ogarnęła nas trwoga. Zinaa... Na demony! Ciało pokaleczone; wszędzie pełno blizn, rozharatanej torturami skóry; sierść porwana w strzępy i zalana gęstą farbą. To jednak nic... Najgorsze było to... że odcięli mu... ogon! Odcięli mu ogon! W jego miejscu sterczał prowizorycznie zabandażowany kikut. Jeden z bukatów demonstracyjnie niósł ten ogon jak jakieś trofeum nad swoją głową, aby wszyscy widzieli. Nie mam pojęcia, jak nieludzkim trzeba być, by targnąć się na coś takiego! Jak świat długi i szeroki nie znajdziecie na nim gorszych potworów od ludzi. Byliśmy zdruzgotani i przerażeni. Taki zresztą był tego cel – miało to być przestrogą dla pozostałych. Bezogoni doskonale wiedzieli, jak bardzo cenimy sobie nasze ogony. Aż dziwne, że wszystkim nam ich nie poodcinał już przed laty, by nas upokorzyć... A jeszcze gdy wchodzili z Zinaą do celi, jeden z ciurmaków oznajmił ku uciesze innych strażników:

- Cieszta się, to tylko kita. Na początku to żeśmy chcieli go psuła pozbawić<sup>215</sup>, ale ma tak małego, że sami rozumiecie, nikt by nie zauważył braku!

Co za banda barbarzyńców!

Gdy wieczorem Zinaa doszedł do siebie, oznajmił wszystkim:

---

<sup>215</sup> Czyli *um*.

- Ktoś z naszych mnie zdradził. Ktoś z was. Ucho mamy we własnej celi!

- Do psa podobne! – stęknął Haramisha. – Cóż to za brednie?

- Tak między sobą ganczali, gdy przyznałem się do moich planów, jak mi na dźwiękach skórę darli. Myśleli, że straciłem przytomność i wieszali sobie, że to chlejus<sup>216</sup> z jedyńki się o mnie rozpru<sup>217</sup>.

- Ale kto? Klektały psy, kto ligal? – dopytywał Haramisha.

- Gdybym wiedział, hadhi, sam bym chlejusza wzięła na pniaki!

Zrobiło się nerwowo... i jeszcze ciaśniej niż zwykle. Aż mi ciarki po plecach chodzą, gdy teraz to wspominam. Wszyscy patrzeli na siebie spode łba, w każdym widząc potencjalne ucho. Niespokojne, płytkie oddechy, rytmicznie chodzące ogony, gardłowe pomruki, rozbiegane spojrzenia. Przelew krwi wisiał w powietrzu. A potem ku memu przerażeniu wzrok całej *mbarii* padł prosto na mnie, gdy ktoś z naszych powiedział:

- A może to chekechea?

- No jasne! – podchwyciła Ugaidi. – Jakże mogliśmy nie wpaść na to wcześniej? Ten pętał żeni naszych w zamian za raketowy ubój od kluczmajstra<sup>218</sup>! – Warknęła jeszcze: – Doigrałeś się, szczyłuchu jeden!

W tym momencie Janga, ten śliski wąż i nasz *rais* w jednej skórce, zbliżył się do mnie, a sterami niemal czochrał mi po sierści. Chłonąc moje *nuki* i patrzając mi prosto w oczy, powiedział do pozostałych:

- Wszyscyśmy na tym korzystali. Wszyscy zatem ponosimy winę.

Zgłupiałem. Ten czarny jak smoła pardian zdawał się mnie bronić!

- Bzdura! – aż ryknęła zdrowo rozwścieczona Ugaidi. – Równy przydział to co innego! Ten pętał szamie całe tabuny raketowych porcji prosto z bukackiej spizarni!

- A gdzież to są, onkianko, te psie rakiety? – bronił mnie hadhi Haramisha. – Będzie z tydzień, jak przestali mu je dawać!

- A wiadomo to? Wiadomo tyle, że z *mbarią* się nie dzieli! Stawiam rybę, że sam wszystko futruje! To się widzi! Któż z naszych ma tak dorodną sierść? – Na potwierdzenie szarpała mnie za rękę, wznając mi kajdany w skórę. – Nawet kości nie znać! Pomyślcie: co taki mikry pętał ma na lichwę, że wicuje takie koryto<sup>219</sup>? To nędzny psi sługus jak ci z góry!

216 Donosiciel.

217 Rozpruć się przed bukatami to wydać im naszych.

218 Że niby ich klucznikowi sprzedałem.

219 Zwykle mówiło się tak o codziennej porcji należącego mięsa.

- Cela nie darzy cię zaufaniem, mały tigranie – powiedział Janga i przerznął mi chlipadłem po twarzy. – Ja też nie. Wiesz, co teraz nastąpi. Dowiemy się, jak smakuje ten pierwszorzędnie karmiony psi duet<sup>220</sup>.

- Ale... ale to nie ja! – zaskomlałem tylko.

- Nie? No to zdradź mi, proszę, któż z mojej burty bardziej od ciebie przyjaźni się z psami?

A ja, głupi, odpowiedziałem im:

- Vijani! Mówiła mi, że niektórych to nawet lubi; że są jej obrońcami przed ciemnością!

- No proszę! – Cela wbiła wzrok w tigrankę, a Janga z fascynacją dolewał oliwy do ognia: – Zatem to dlatego, Vijani, co rusz szłois się po tych bukackich kabarynach. Podobają ci się bezogoni, co? Ale rozejrzyj się! Na twoje nieszczęście żadnego tu nie ma. Któż więc cię obroni... przed ciemnością?

A Vijani, patrząc mi w oczy, szepnęła tylko:

- Jak mogłeś, mały?

Wyraz jej twarzy na zawsze wrył mi się w pamięć. Gorycz, smutek, żal, rozczarowanie i rodzące się, nieopisane *cheleo*. Właśnie. Jak mogłem? Nigdy sobie tego nie wybaczyłem. Jeśli ktokolwiek z naszych mógłby być moim prawdziwym duetem, byłaby nim Vijani. Jakże więc mogłem?

Uwzięli się na nią. Za Jangą poszli następni. Obskoczyli ją jak sępy. Jak tłuszcza; jak rój much nad ścierwem. Zadawali pytania i oskarżali o wszystkie możliwe zbrodnie i zdrady. Nabuzowane, iskrzące napięciem, jakie zebrało się w celi, znalazło sobie w niej ujście. Musieli się na kimś wyżyć. Jak najgorsze bestie. Kopali ją, dusili, torturowali, rozrywali, wrywali stery... A ja miałem przed oczami tylko ten jej wyraz twarzy, a w uszach odbijało się echem pytanie: jak mogłem? Nie przyznała się do bycia uchem, ale i tak nie umiała się przed nimi bronić, czasem nawet nie zaprzeczała; a ja nie zrobiłem nic, choć ona tak często nadstawiała za mnie karku. Nie zrobiłem nic nawet wtedy, gdy zakneblowali ją, siłą przygnietli do ziemi, a zwykłym, kościanym nożem odcięli jej piękny, biały, tigrzański... ogon... Zdawało mi się, że śnię jakiś koszmar. Moja własna Matka trzymała Vijani za nogę, by się nie wrywała. Reszta, stłoczona wokół ciała hurianki, pastwiła się nad swą ofiarą niczym zgraja bukatów w kabarynie. Odpłacili się tak za to, co bezogoni zrobili Zinai.

---

220 Duet to inaczej przyjaciel. Szalenie trudno było o kogoś takiego w Młynie.

Nie wszyscy brali w tym udział – Gwaya skulony gdzieś w rogu żył własnym światem; Lōzi jedynie przeklinała pod nosem, widząc ranę, jaką zaraz przyjdzie jej opatrywać; zaś Sharia beznamietnie przypatrywał się tej scenie i, niekiedy zerkając tylko to na mnie, to na Zinaę, nie zrobił absolutnie nic – zupełnie tak jak ja. Nieprzytomny padłem na posadzkę, a może zacząłem się wydzierać i ktoś mnie ogłuszył. Nie pamiętam.

Czymże jest huria bez ogona? Jest jak góra bez wierzchołka. Jak drzewo bez korony. Jak rewir bez *raisa*. A oni go jej odcięli... Hurie. Jej własna *mbaria*. Nienawidziłem ich za to. Nienawidziłem ich wszystkich włącznie z sobą samym. Któż okazał się bardziej okrutny? Nasi oprawcy dla nas, czy my dla samych siebie? Młyn wszystkich nas przemienił w bestie, a rządy Jangi zbierały swe krwawe żniwo. I to z mojej winy.

Vijani przestała się odzywać. Była roztrzęsiona i zdruzgotana. Stała się obiektem kpin, żartów, prymitywnych złośliwości i fizycznej przemocy. Odsuwano ją nawet od *jamii*. Brzydzili się nią. Gdyby tylko mogli, wypędziliby ją z rewiru. Spadła w hierarchii na sam koniec – nawet Gwaya, ten pomyłony onkian, co oberwał odłamkiem cegły, był od niej wyżej. Chudła w oczach; zresztą głodowała z własnej woli. Nie stawała nawet w kolejce po zupę i boms na śniadanie. Wszystko straciło dla niej sens, choć egzystencja w Młynie nigdy go wiele nie miała.

Ktoregoś wieczora, nie dalej jak tydzień po powrocie Zinaï, wywołali Vijani z celi i zabrali do któregoś z lochów na górze. Myśleliśmy sobie wówczas „chcą ją tam wykorzystać, tak jak zwykle”, byli też tacy, co obawiali się, że znów kogoś wyda. A Vijani po tamtej nocy nie wróciła już do naszej burty. Podczas porannego apelu Ugaidi zameldowała:

- Stan liczebny dziewiętnaście, obecnych osiemnaście, jedna na przetrzymaniu, zdolnych...

- Nie, nie – przerwał jej bukat – nie na przetrzymaniu.

Zamarłem z przerażenia; miałem już w głowie same czarne myśli.

- Tamtą szarą kocicę – kontynuował – cośmy ją wzięli wczoraj, tośmy przeniesli do funkcyjnych. Tam zostanie. Teraz jest was w haremie osiemnastka.

Po tym stwierdzeniu już nikt z naszych nie miał wątpliwości, że to właśnie Vijani była uchem. Któż inny jak nie psia wtyka mógłby liczyć na przeniesienie na górę do funkcyjnych (czyli po naszymu: do figur) ot tak, na zawołanie? Zresztą jako ucho była już u nas spalona. Osobiście nie mam

pojęcia, czego się Vijani dopuściła, gdy ją wtedy wzięli do tego lochu, ale nie do końca wierzyłem, że mogłaby nas tak po prostu zdradzić. Nadal podejrzewałem Jangę. Nigdy nie przepadała za tą śmiałą hurysą o białej sierści, toteż miał w tym interes, by się jej pozbyć ze swego rewiru.



Zinaa nigdy nie dawał za wygraną. Nawet bez ogona nie przestał myśleć o odzyskaniu swej dawnej pozycji, choć nie był już tak skory do zwierzeń. Być może dlatego targnął się wtedy na to wszystko...

Któregoś razu podczas wieczornego mycia ten piękny pardian przysłuchiwał mi się tak uważnie, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Ni z tego, ni z owego zbliżył się, obwąchał mnie od czubka głowy do ogona, po czym zupełnie niespodziewanie warknął na mnie z wyrzutem:

- Ty kindorzony karakanie!

Zdębiałem aż mi się sierść zjeżyła. Zinaa nic już więcej nie powiedział, tylko żywo dotknięty i równocześnie jakby czymś natchniony odszedł w kącie na swoje derki. Obwąchałem zaniepokojony własne futro i kadzienniaki, ale dalej nie miałem pojęcia, o co mu chodziło. Dowiedziałem się dopiero za dwa dni. Wtedy to, w środku nocy Zinaa obudził nas wszystkich swą tryumfalną przemową:

- Jango, *raisie* mój! Zbudźcie się! Oto jest moja upolowana właśnie zdobycz! – A w uścisku dłoni wzięił nikogo innego jak... moją własną Siostrę! – Oto odbiorę jej życie i dokonam Dudii na oczach swej *mbarii*!

Totalnie przerażony i zrozpaczony poderwałem się w jednej chwili z ziemi i skoczyłem na Zinaę, krzycząc w niebogłosy! Przywarłem mu pazurami do ramienia i ze wszystkich sił próbowałem wyswobodzić Ją z potrzasku! Desperacko ciągnąłem za jego zaciśnięte palce, spod których wychylał się ten Jej aksamitny pyszczek!

- Ależ odknaj mi się, karakanie<sup>221</sup>! – słyszałem z góry, a na barku czułem uścisk Zina'i. Zaskoczony tym, co zrobiłem, szarpał mnie za skórę, próbując odciągnąć od swej zdobyczy.

Wtedy warknął do niego wyrwany ze snu Janga:

<sup>221</sup> Inaczej: „zabieraj się stąd”.

- To żalosne, bezogonie niekumaty<sup>222</sup>! Mówiłem przecież, byś się zraził<sup>223</sup> z demonem godnym hurii. Cóżes tam upolował? Jaszczurkę? Szczura? Obetnijże, kajfusie! Bzdurnego gryzonia byle chekechea potrafi przybić. Byś się wstydził takim łupem *raisa* swego budzić!

W tym momencie mi się udało – Zinaa puścił Ją wreszcie, a ja wytrzymałem Ją z uścisku jego ręki. Zaraz ktoś chciał mi Ją wyrwać, kto inny stanął wtedy w mojej obronie. Dałem nura w kąt, by swoim ciałem zasłonić Ją przed burtą. Na śmierć przelekniony, czy się na mnie nie rzucą, desperacko gładziłem Ją po delikatnej sierści i tuliłem do siebie; nie ruszała się. Zacząłem lizać Jej futro, chcąc wyrwać Ją z szoku, jakiego musiała pewnie doznać; poczułem krew zmieszaną z moczem. Podniosłem głowę, rozpaczliwie szukając pomocy; zobaczyłem rząd hurii, łakomie spoglądających w moją stronę i śliniących się na samą myśl o dzikim mięsie. Wśród tych, którzy z powrotem opadli na posadzkę, nie chcąc trwonić reszty nocy, odnalazłem Lōzi. Jakimś cudem przecisnąłem się do niej i za sierść wyszamotałem z pólśnu:

- Głupi chekechea – odezwała się. – Czego chcesz?

- Nie żyje? – zapytałem cicho, pokazując jej ten drobny kłębek sierści o rozwartym pyszczku i bezwładnie zwisającym ogonie.

Musiałem wyglądać dość dramatycznie, skoro wzięła mnie na poważnie: westchnąwszy ciężko i przewróciwszy oczami, z czułością odebrała Ją z mojej dłoni, delikatnie przystawiła sobie do ucha i orzekła:

- Martwa na śmierć.

Wpadłem w rozpacz.

- I czego skomlesz? Co ci się nie podoba?

- Bo ja nie chcę, by umarła!

- Przecież już nie żyje. Co niby chcesz, bym z nią zrobiła? Mam ci ją ożywić, czy co?

Rozpromieniony przytaknąłem bez słowa.

- Chybaś zgubił dynię<sup>224</sup>! To prawidłnie arcytrudna sztuka! Poza tym nie mam zamiaru przywracać tej mikrej myszy do życia tylko po to, byś mógł dla zabawy zabić ją jeszcze raz.

- Ale ja nie chcę, by umarła jeszcze raz!

- To po co ci ona żywa?

- To moja Siostra – wyszeptałem cicho, ale bardzo poważnie.

222 No nierozumny. Kumać to rozumieć, umieć coś. Albo widzieć.

223 Zmierzył.

224 To jest głowę.

- Na psa urok, kolejny kwirus na pokładzie. Idźże spać!

- Lōzi, spróbujcie chociaż, proszę! Obiecuję oddawać wam całą zupę ze śniadania aż do końca dni w Młynie!

- A co byś jadł, gdybyś oddawał mi całą zupę ze śniadania? Na samym bomsie padłbyś z głodu, bukaci zabraliby cię w jutowym puklu, zakopali martwego pod ziemią i skończyłaby się moja premiowa breja. Nie opłaca mi się.

- A jakbym dodatkowo przyrzekł, że o nic już was nie będę prosił aż do końca dni w... co najmniej przez miesiąc? – dodałem prędko, gdy Lōzi, przewróciwszy głowę, spojrzała na mnie groźnie.

- No dobrze już, mogę na to przystać. Inaczej całą tronę byś mi skomlał do rapci. Spróbuję, ale niczego nie obiecuję. Nie jest dobrze cokolwiek obiecywać. Bądź dobrej wiary. Tylko zachowaj tę breję ze śniadania, będzie ci potrzebna.

Arufianka ostrożnie ułożyła Jej wiotkie ciało na swojej dłoni, drugą przykryła Je od góry. Oczy w skupieniu zamknęła, a zęby zacisnęła aż się kły pokazały. Ze dwie lub trzy złote iskierki strzeliły spod zaciśniętych palców. Aż rozwarłem szamot: w jednej chwili poruszył się Jej zwisający luźno ogon, a drobne Jej łapki drgnęły zbudzone. Oniemiałem uradowany i oczarowany. Wtedy Lōzi rozwarła swoje dłonie, pokiwała głową i, wpatrując się w swoje dzieło, oświadczyła:

- Niestety. Nic z tego. Doznała być może zbyt dużych obrażeń. Nie jestem w stanie jej pomóc.

- Ale przecież... przecież ożyła! – rzuciłem zdezorientowany.

- Tylko na krótką chwilę. Teraz znów jest martwa, a jej demon zapewne opuścił już ciało. Ale nie bronię ci próbować samemu ją wskrzesić. Jeśli jakimś cudem mieszkałby w tobie jakiś zdolny demon, a ty miałbyś wiarę choćby tak małą jak okruh brukowca, zdołałbyś go przekonać do wszystkiego. Mógłby rozkazać tym żelaznym belkom, by rozstąpiły się, a usłużyłyby go. Równie dobrze mógłby rozkazać tej martwej istocie, by ożyła, a stanęła na własne nogi... A teraz idź prędko ją gdzieś zjeść, zanim inni ci ją odbiorą.

Ponownie padłem w rozpacz. Wśród własnej *mbarii* czułem się jak owca w stadzie wilków; tak samotny i tak osaczony jak nigdy dotąd. Uciekłem w zimny kąt między gierem a jedną z koi i przesiedziałem tam skulony całą noc, nie zmrzywszy nawet oka. Przez cały czas trzymałem ją zagrzebaną we własnym futrze, przelęknięty, czy mi jej ktoś z rąk nie wyrwie.



Gdy po śniadaniu wszystkie cele poszły już na poziom, ułożyłem jej martwe ciało na brzegu dawnej koi Sharii. Z łachman wyciągnąłem kilka okruchów brukowca zostawionego ze śniadania i położyłem przed jej rozwartym pyszczkiem. Równie bezskutecznie próbowałem ją napoić palcem zanurzonym w misce z wodą. Przez pół nocy wmawiałem sobie, że to postawi ją na nogi. Nie postawiło. Bezsilny czule głaskałem sierść na jej grzbiecie. Miała tak przerażająco zimne ciało... Gdybym tylko wiedział, gdzie znaleźć tę wiarę wielkości okrucha brukowca, myślałem zrozpaczony, wspominając słowa Lōzi.

Wtedy naprawdę poczułem się sam.

Dziś wiem, że to była moja wina. Przyzwyczailem ją do kontaktu z mną. Zaufała huriom. Za bardzo. Ale tamtego dnia – gdy ja byłem w celi, a wszyscy nasi podczas tyрки na poziomie – pomyślałem raczej o Zinał. W końcu to jego sprawka! To on ją zabił! Niechby sam zginął za to! Niechby jakaś wielka łapa chwyciła go i odebrała mu oddech! Niechby...

- Mamy jednego! – woła ktoś z naszych.

- Widzę rękę!

- Rzuci tu dwójkę!

- Więcej koszy!

Posadzka gęsta od gruzu, wszędzie wilgotny zapach starości, powietrze pełne pyłowych bestii, na sierści jakiś złoty pył...

- Rozstąpcie się, ścierwa! – szczeka dozorca i przeciska się między rzędem hurii, uparcie krzątających się wśród zwalów ziemi i gruzu. – Odwalić mi na bok te hałdy!

- To na nic! – oświadcza Lōzi. – Nie czuć tętna!

- Do larwy! A czyj to?

- Nasz! Z jedyńki. Po cętkach poznają: to Zinaa!

Trach! Z powrotem byłem w celi. Obudził mnie łoskot głównej kraty i pośpieszny, metalowy tupot szeregu strażniczych butów. Tyłu zbrojnych? Bunt pod pokładem?

- Ale tąpnięto! – usłyszałem między przekleństwami.



- To nie takie proste – odpowiedziała mi Lōzi.

- Czyli nie próbowaliście?

- Głupi chekechea. Oczywiście, że próbowałam go przywrócić do życia, podobnie jak tę twoją mysz, ale okazało się to niemożliwe. Ciało miał zmiażdżone z tak wielką siłą, że aż rozerwało mu żołądek i trzewia rozlały się po wszystkim wokół. Jedna miazga. Jakby zacisnęła się na nim paszcza smoka, a nie gruz i kamienie drążonego przez nas chodnika. Nie mam pojęcia, jakim cudem reszta naszych wyszła z tego bez szwanku.

- Może to... magia? – zapytałem.

- Też mi coś! Nie ma już magii. Nie istnieje. Kiedyś może była, dawno temu, przed wojną z Chaosem. Wielcy czarnoksiężnicy za Wielką Wodą nasyłali na siebie armie demonów i nieumarłych. A potem cała magia zniknęła i już nie powróciła.

- Zniknęła? Ale jak to możliwe?

- Byś sobie wreszcie przygryzł to chlipadło! – warknęła na mnie, szczerząc kły. – Męcz Dhahiri głupimi pytaniami!

- Ale, Lōzi... skoro nie ma magii, to jak to się dzieje, że czarujecie?

Arufianka milczała chwilę, ale w końcu tak odpowiedziała:

- Wszystko to czyni mój demon. Bez niego jestem tu nikim. Ja jedynie skupiam się na efekcie, wyobrażam sobie, że się ziszcza, gorąco w to wierzę i nawet na chwilę nie dopuszczam myśli, że może stać się inaczej. Tak aby mój demon nie miał wątpliwości, o co mi chodzi. Ale i tak jedyne, na co go stać, to nędzne cyrkowe sztuczki, które psu na budę się zdają. Żadne czary nie są możliwe bez demonów, to ich działka. Tyle że to sztuka znaleźć takiego, który pamiętałby dawną magię.

- Gdzie takiego znajdę? – zapytałem.

- Na pewno nie tu. Najlepiej byłoby wyruszyć do onkiańskiej dżungli i wytropić śmiertelnie niebezpieczną salamandrę (czyli takiego wielkiego węża rażącego żywym ogniem) lub upolować uhuru (to taki drapieżny stwór wyglądający jak coś pomiędzy dużym szczurem a kotem. Nie poluje za pomocą węchu, słuchu ani wzroku, a dzięki zmysłom, którymi widzi magię). Jeszcze większe demony kryją się na pustyni. Wchodzą w ciała niektórych wielbłądów i rujną wszystko na swej drodze za pomocą swych czarów i uroków. To sile.

- A smoki?

- O, tak... Smoki... Te są starsze od wszystkiego, co żywe; pamiętają zarówno wojnę z Chaosem, jak i prastare dzieje, które były przed nią. Kto by

zjadł smoka i wypił jego krew w rytuale Dudii, mógłby pozyskać demona o niewyobrażalnej mocy. Bardziej jednak możliwe, że taki demon bez reszty by przejął władzę nad swym nowym ciałem. A nawet mógłby je rozerwać na strzępy, gdyby się okazało dla niego za małe. Tyle że już znaleźć smoka jest niełatwo, a co dopiero jeszcze go zabić.

- To szkoda, że strażnicy nie dają nam tu węży, szczurów ani wielbłądów...

- Ależ to zupełnie celowe, chekecheo! Jakby karmili nas silnymi i wolnymi demonami, zaraz byśmy stąd uciekli. Dlatego jedyne, czym nas tu rząca, to hodowlane iakki najgorszego sortu.

- To skąd wzięliście waszego demona, Lōzi?

- Stare dzieje. Miałam niewiele więcej lat od ciebie, gdy w ramach ceremonii Mahiri z łuku ustrzeliłam mantę w locie. Są dość płochliwe, acz niezbyt zwinne. Ich demony nie potrafią zbyt wiele, ale karmią się magią, sprawiając, że taka manta unosi się w powietrzu. Przed inwazją byłam o wiele za młoda, by wyruszyć do dżungli po coś lepszego. A to i tak sztuka w tych paskudnych warunkach utrzymać w sobie nawet tak małego demona jak mój.

- To znaczy, że można go do tego zmusić?

- Nie, nie można. Ale można umiejętnie z nim rozmawiać. Kto znajdzie wspólny język z własnym demonem, ten bierze życie we własne ręce. Jeśli nauczysz się z nim rozmawiać, będzie dla ciebie jak prawdziwy duet bez względu na to, co by potrafił!

- Niesamowite! Nauczycie mnie tego, Lōzi?

- No i złamałeś swoje przyrzeczenie. Ledwo wczoraj obiecałeś. Pamiętasz? – westchnęła zrezygnowana. – Głupi chekechea. Mówiłam, by niczego nie obiecywać. Zresztą nie mam zamiaru cię niczego uczyć. Dajże mi wreszcie święty spokój!

- Ale Lōzi, proszę! – zaskomlałem tylko, ale ta arufiańska hidaya była nieugięta. Fakt, obiecałem.

- Zapach śmierci wdarł się już nawet w twoje futro, maleńki – powiedziała do mnie Matka, gdy wróciłem do niej i wtuliłem się w jej szorstką od pyłu sierść. Musiała wyczuć moją Siostrę, choć tak skrzętnie ukryłem jej martwe ciało między fałdami moich kadzienniaków.

Atmosferę w celi można było kroić nożem. Cała burta oplakiwała Zi-naę, który tak tragicznie stracił życie podczas tyрки na pokładzie. Zamyślane hurianki apatycznie oddawały się myciu lub w milczeniu tuliły się do siebie, pomrukując jedynie dla dodania sobie otuchy. Sama Ugaidi pogrążona była

w zadumie, nie mówiła za wiele i ani razu nie rzuciła nawet tego swojego „ależ z niego było tępe futro”. To prawda. Był żywą legendą Młyna; hurianki ze wszystkich innych cel nam go zazdrościły. W żadnej nie było hurii, który by miał taki talent do *jamii* jak Zinaa. Coś w nas wszystkich wtedy umarło... Burta doszła do przekonania, że to był nieszczęśliwy wypadek, choć niektórzy winili też strażników, że tak kazali naszym gnać do przodu i dążyć coraz węższe i coraz bardziej pionowe korytarze, aż w końcu zdarzyła się tragedia. Janga zaś leżał na swojej koi, a na jego twarzy dało się dostrzec cień zadowolenia. Ktoś mógłby pomyśleć, że to on przyczynił się do tego zawału na poziomie, ale ja przecież dobrze wiedziałem, kto był tego sprawcą. To ja sam za tym stałem. Ja sam. Wyobraziłem sobie, że jakaś wielka łapa chwyta Zinaę i odbiera mu oddech. Wyobraziłem sobie, że się to ziszcza, gorąco w to wierzyłem i nawet na chwilę nie dopuściłem myśli, że mogłoby zdarzyć się inaczej. I stało się.

To wszystko była moja wina. Najpierw Sharia, potem Turam, Vijani, moja własna Siostra, a teraz jeszcze Zinaa!

Byłem przerażony po czubek ogona. Musiał we mnie mieszkać jakiś potężny demon, pamiętający pradawną magię. Może wszedł we mnie razem z tymi luksusowymi kiełbasami, które dostawałem od Turama? Któż raczy wiedzieć, z jakiego były mięsa? Gdybym tylko umiał z tym demonem porozmawiać...

Wpadłem wtedy na isticie szatański pomysł. Z samego rana, gdy cele zeszyły już na pokład, ułożyłem ciało Siostry na brzegu jednej z koi – tak samo jak poprzedniego dnia.

Wyobraziłem sobie, że wcale nie umarła, a jedynie zasnęła na dłuższą chwilę. Wyobraziłem sobie i uwierzyłem w to. Uwierzyłem, że przecież wystarczy ją obudzić. Nachyliłem się nad jej uchem i szepnąłem:

- Siostro moja, tobie mówię, wstań!

I stało się! Z fascynacją wpatrywałem się, jak podnosi pyszczek i wstaje o własnych siłach: jak grzbiet napręża, z sierści złoty pył strzępuje, rozgląda się po celi i czmycha do swej nory. Zniknęła. Ale sam widziałem! To się naprawdę stało! Wstała, choć zasnęła; ożyła, choć sama Lōzi orzekła, że demon opuścił już Jej ciało. Coś niesamowitego! Przez dłuższą chwilę tkwiłem tam jak zaczarowany z otwartymi ustami ze zdumienia. Tamtego dnia już się nie pojawiła, choć nie spuszczałem gieru z oczu, a w kadzienniakach ścisiałem przygotowany dla Niej boms.

Zamiast Niej zawitał do celi inny gość. To było wieczorem tego samego dnia. My byliśmy już zamknięci, a burtę Radży prowadzono właśnie korytarzem przed naszymi twyrasami, jak co dzień. Gdy wchodzili do swojej celi, usłyszeliśmy głos dozorca:

- Ty nie. Ty zostajesz z nami.

Podnieśliśmy głowy. Okazało się, że chodziło o Arię, tego pardiańskiego poetę i szaleńca, co go niegdyś wzięli do karceru na wtluki, bo rzucił się na bukata, po tym, jak któryś ciurmak zabił Rembę Roha. Strażnicy przytrzymali go na korytarzu, zatrzasnęli kratę za jego *mbarią*, a dozorca, ściskając go za rękę, zwrócił się wówczas do naszej celi:

- Ten tu od dziś idzie do was...

- Do psa podobne! – jęknął po naszymu hadhi Haramisha.

- Was tu za mało, a tamtych za dużo, a nowych kotów nie będzie; przynajmniej na razie – tłumaczył ciurmak, gdy inny strażnik otwierał naszą celę i wprowadzał do niej pardiana. – To teraz jest was w haremie znów osiemnaście.

- Tyle że jeden nie jest nasz – mruczał Haramisha pod nosem.

- Najgorszego kwirusa nam do burty koptować! – burczała Ugaidi.

Po odejściu Vijani i śmierci Zina! rzeczywiście byliśmy najmniejszą burtą w całym Młynie. Ale Haramisha miał rację – tylko bezogoni mogli wpaść na pomysł, by kogoś z naszych tak ni z tego, ni z owego przerwucić z jednej celi do drugiej. Aria próbował protestować, w sumie niezbyt agresywnie, ale od razu oberwał metalową pałką w brzuch, to się opamiętał. Gdy poszli, wciąż stał tam zdezorientowany i sfrustrowany pod nie swoimi frankami w nie swoim rewirze i wśród nie swojej *mbarii*, a my skonsternowani wpatrywaliśmy się w to nowe zjawisko.

- Niech to psia larwa z tymi ludźmi! – bluzgnął niski głos Radży z celi obok. Potem przez ścianę zwrócił się do naszego *raisa*: – Tamten hur należy do moich, pardianie! Nie pozbędę się własnej *mbarii* tak łatwo jak ty!

- Ależ droga wolna, Radžo – odpowiedział spokojnie Janga, zbliżając się do Arii i nie spuszczać z niego wzroku. – Starczy, że przenikniesz przez te kraty i go sobie weźmiesz.

- Bardzo ułybne<sup>225</sup>, śliski węzu. To tak być powinno!

- Nie powinno. Ale któż by dyskutował z bukatami?

225 Oj, no, śmieszne.

- Więc słyszysz im<sup>226</sup>? Dałeś się złamać, tak? – drążył Radza. – Wiedziałem, żeś zwykle geto<sup>227</sup>!

Ale Janga zignorował tę obraźliwą uwagę. Zbliżył się do Aarii na odległość sterów i powiedział mu:

- Teraz jesteś pod moim *marashem*. Zważ, że robię dla ciebie wyjątek, że wpuszczam cię na mój rewir bez właściwych rytuałów<sup>228</sup>. U Radży byłeś hurem i pozostaniesz nim również u mnie. Jeśli jednak chciałbyś coś tu znać i stać się hurią, ostrzegam, że nie wystarczy ci wrócić na pokład z fantem wygrzebanym spod gruzu. Bez zwierzyny nie przejdiesz Mahiri. Jak wszystkim wiadomo, był tu taki, co polował na psy. Skończył w jutowym puklu. Życzę ci więcej szczęścia. A teraz, hurze, niech się dopełni! – Wtedy rozkazał reszcie: – Należcie wody do wszystkich misek!

Oczyszczająca kąpiel siłą rzeczy była jedynie symboliczna. W Młynie trudno było o rzekę lub jezioro. Potem Janga obficie oznaczył nowego członka naszej *mbarii* swoimi *nukiami*. Aarii ewidentnie nie było to w smak, ale zacisnęła zęby i jakoś to przecierpiał. Z czasem przywykł do nas, a my – do niego; jego sierść nasiąkła naszym zapachem, a wzory z burty Radży wyblakły na tyle, że mogliśmy wykuć mu nasze własne.

Tak... Jak się potem okazało, była to dla mnie szalenie ważna zmiana. Ale wtedy znacznie ważniejsze było coś innego...

Dzień po tym jak przybył do nas Aria – jakoś tak w okolicach południowej drzemki – poczułem, jak ktoś drażni mnie po wibrysach, aby wyrwać mnie ze snu. To była Ona. Moja Siostra! Naprawdę żywa! W mgnieniu oka wszamała cały boms, jaki dla Niej zostawiłem ze śniadania. Potem przytuliła się do mnie całą Sobą, a ja delikatnie głąskałem Ją po sierści. Stała się taka ciepła... i taka prawdziwa...

To było coś niesamowitego... Tak niesamowitego, że sam już nie byłem pewien, czy to wszystko działo się naprawdę, czy jedynie pałaszowałem wytwory mojej własnej wyobraźni. Ale przecież tam była, nie przyśniłem Jej sobie – pod palcami czułem Jej delikatną sierść; chłonałem Jej *nukie*; w bładoniebieskiej łunie widziałem kontury Jej drobnego ciała; a nawet słyszałem

226 Słuszać to być komuś posłusznym, czyli się go słuchać.

227 Tak się mówiło zbiorczo o dołach hierarchii w *mbarii* – o tych, co służyli wszystkim innym.

228 *Obcy, który pragnie przyłączyć się do stada, musi przejść przez ceremonię Mahiri, nawet jeśli kiedyś już ją przeżył, wchodząc w dorosłość. Poprzez rytuał udowadnia stado swoją przydatność, bez niego stado go nie przyjmie – przyp. tłum.*

Jej miarowy oddech! Jeśli miałyby być jedynie fantazją mojego umysłu, to równie dobrze mógłby nią być Turam, moja własna *mbaria* albo i cały ten Młyn. Ona była prawdziwa – pojawiała się każdego kolejnego dnia, dając mi dowód na to, że żyje i ma się dobrze.

Gdzie jednak kończyło się to, co sobie wyobrażałem, a gdzie zaczynała się rzeczywistość? I czy naprawdę trzeba koniecznie oddzielać jedno od drugiego? Przecież zaledwie wyobraziłem sobie, że śpi, a jednak ożyła. Może rzeczywistość składa się jedynie z tego, co każdy sobie wyobraza na jej temat? A jeśli wyobraźnia wpływa na to, co postrzegamy jako rzeczywistość, to co jeszcze mogłoby stać się prawdziwe, skoro Ona się stała?



- Dalej tam, Orm! Góra i dół – woła Bradach.

Pracuję teraz w kuźni przy miechu – tak jak wtedy, gdy próbowałem uciec na powierzchnię podczas mojego podejścia do Uhai. Kowal obiecał przecież pomówić o mnie z Młynarzem, dotrzymał słowa. Zwykle pilnuję paleniska, ale czasem coś trzymam, podaję. Jest co robić. Zdarza się, że kujemy nową partię kilofów jak wtedy, za pierwszym razem, ale częściej polerujemy strażnikom zbroje, naprawiamy je, wymieniamy paski, sprzączki, kolcze kółka, ostrzemy bukackie miecze. Czasem się zastanawiam, czy nie mam w rękach tego, który przebił niegdyś Rembę Roha z celi obok? Z tego powodu wącham wnikliwie wszystkie główne, aż się na mnie Bradach dziwnie patrzy. Swoją drogą nie widzę już w nim tego ogniowego demona, jakiego dostrzegłem tamtego dnia – to dobry kompan, choć przecież bezogon. Ma ze mną więcej wspólnego niżby można przypuszczać – w pewnym sensie też jest więźniem Młyna, tyle że on nazywa to służbą. Uczy mnie korzystać z albińskich narzędzi, a z rzadka pozwala mi nawet rozkuć trochę żelaza. Tyle że za mało mam do tego siły. Bywa, że dzieli się ze mną własnym fasunkiem, abym tej siły nieco nabrał. Daleko temu do luksusowych wędlin, które przynosił mi niegdyś Turam, ale przecież dobre i to. Swoją drogą nigdzie nie widzę Turama. Bradach jest zdania, że przenieśli go do pilnowania figur na powierzchni. Z figurami spotykam się rzadko, cały dzień przesiaduję w kuźni. Zdarza się, że napotykam Vijani, ale po tym, co wtedy zaszło, wolę jej

unikają. Czasem na elementach tej czy innej bukackiej zbroi natrafiam na jej *nukie*, choć i tak mocno już przesiąknięte zapachem obcej burty.

Z naszej celi zabierają mnie na samym końcu, gdy wszyscy są już na dole; nie zdążam nawet napełnić wodą wszystkich misek. Wracam przed samym obiadem, gdy wszystkie *mbarie* są już w celach. Nie licząc figur, jako jedyny z naszych mam tyrkę na górnym pokładzie. Czasem, gdy Bradach nie patrzy, zabieram w kadzienniaki jakieś skrawki lub odpadki. Nie jest to takie trudne, bo w odróżnieniu od hurii pracujących na poziomie, nie kontrolują mnie pod koniec tyрки. To Ugaidi mnie do tego zmusza, któż by inny? Obmyśla plany postawienia dęba za pomocą żelaznych noży, które ukradkiem mam wykuwać. Żeby to jeszcze było takie proste! Nie ma pojęcia o kowalstwie, a we wszystko wtyka stery! No ale przynajmniej dzięki temu Janga patrzy na mnie przychylniejszym okiem. Bo przecież nikt o zdrowych zmysłach nie wierzył już w to, że ucieczka z Młyna jest w ogóle możliwa. Niemordowany demon był w Ugaidi, że mimo tylu lat w niewoli miała w sobie jeszcze taką wolę walki.

- Żyjesz tam, chekecheo? – zagadnął Aria, ten pardiański poeta i dziwak z celi obok, którego przenieśli do nas.

- E... Jestem! – odpowiedziałem.

- Zasnąłeś?

- Może trochę.

- W środku własnego zdania?

Tak... Podobno mi się to zdarzało. Szczególnie w tamtym czasie niewiele mi było trzeba, by się rozmarzyć i stracić kontakt z rzeczywistością. A rzeczywistość przerażała mnie wówczas do tego stopnia, że wolałem już śnić na jawie. Uciekałem od nieustannego głodu, od warczących spojrzeń Jangi i Ugaidi, od biernego Sharii, od kajdan na nogach i rękach, od oszukanego przeze mnie Turama, zdradzonej przeze mnie Vijani i zamordowanego przeze mnie Zinai. Śniłem niemal bez przerwy. Przypominać musiałem Gwayę, tego onkiana, co myślni był już tylko w tej swojej dzungli – nawet wówczas, gdy oberwał odłamkiem cegły prosto w brzuch... Nie mam pojęcia, jakim cudem ja tam wtedy nie zwariowałem?

Tamtego dnia Aria został na pokładzie, w celi, bo dostał dzień pragnojki od arbajtu. Dali mu go w nagrodę, a to nieliczne wyróżnienie. Pamiętam to doskonale, bo cała nasza burta otrzymała olbrzymią rakiety z szamunkiem, a sami bukaci chwalili Arię za to, czego dokonał. Poprzedniego dnia odkrył schody na kolejny poziom. Mimo słabej pozycji w hierarchii, jaką



wówczas miał, ubłagał naszych oraz ciurmaków, by objął przodek i wskazał kierunek. Zaczęli drążyć, a zejście na ósemkę znaleźli jeszcze tego samego dnia, dokładnie tam, gdzie się go spodziewał! Tak... mieliśmy już wtedy osiem poziomów w głąb ziemi. Któżby na początku odgadł, że tyle tego będzie, a przecież miało być jeszcze więcej. I ciągle nie było widać końca...

W każdym razie gdy Aria był wtedy w celi, opowiedziałem mu o mojej przyjaźni z Turamem, o Siostrze, o mojej próbie Uhai – jak zszedłem z klucznikiem na niższe poziomy, jak ukradłem mu klucze i zamknąłem go na pokładzie; o tym jak mnie złapali i zakuli w kajdany... Pierwszy raz ktoś z takim zainteresowaniem słuchał tego, co miałem do powiedzenia.

- Miałeś mi pokazać twoje zwierzęta – powiedział.

- No tak... Chodź, zobacz. Ten tu to bawół, tutaj jest gazela, a tam są dwie jaszczurki. Kiedyś lubiły zamieniać się w słonia, ale je obrysowałem, to przestały. – Pokazałem Arii wszystkie moje zdobycze, jakie już od dłuższego czasu mieszkaly na ścianie celi. Aria wpatrywał się z zaciekawieniem to na mnie, to na moje dzieła.

- To znaczy, że one tu żyją?

- Te akurat nie za bardzo, bo są obrysowane. Ale żyją wszystkie inne!

- Wszystkie inne? – Rozejrzył się po ścianach celi.

- Tak. Wszystkie dookoła.

- Ach, już rozumiem, chekecheo... To znaczy, że na przykład tutaj jest jakaś skrzydlata bestia? – Aria wskazał na ciemniejszą plamę na cegłach.

- Tak, to smok!

- A tutaj wyrasta paszcza krokodyla! O, a tam jest jego ogon!

- Rzeczywiście! – Byłem oczarowany. Aria to widział! On naprawdę widział to, co ja! A nawet więcej niż ja! W lot zrozumiał to, czego niegdyś nie potrafiłem wytłumaczyć Vijani.

- Moja teoria się sprawdza – powiedział wtedy.

- Teoria?

- Tak. Chodziła mi po głowie już wtedy, gdy drążyliśmy siódmkę. Najpierw wpadłem na pomysł ze schodami. Każde kolejne są mniej więcej po drugiej stronie Młyna względem poprzednich. Gdy schody na szóstkę są przy ścianie zewnętrznej, to schody na siódmkę też będą przy ścianie zewnętrznej, ale po przeciwległej stronie Młyna. Są symetryczne jak jedna ręka względem drugiej. Tak z grubsza. To pierwsza zasada. Druga dotyczy ornamentów: im bliżej schodów na kolejny poziom, tym bardziej wszystkie zdobienia na kolumnach są takie, jakie będą na tym kolejnym poziomie.

W tej celi nikt tego nie chce dostrzec, zresztą i moi, to znaczy moja dawna burta zza ściany, pewnie też by tego nie widzieli. Traktują mnie jak furiata, gdy próbuję im coś tłumaczyć, ale to nieistotne. I tak wiem, że mam rację. Przez całą piątkę przewijają się proste, symetryczne linie i koła, ale blisko schodów na szóstkę wszystko zaczyna tracić ten porządek. Linie zaczynają falować i przybierać fantazyjne kształty, które właśnie na szóstce będą dominować. Tak jest za każdym razem. Trzecia zasada też dotyczy ornamentów, ale chodzi o ich naprzemiennosc: co drugi poziom jest w pewnym sensie do siebie podobny. To znaczy, że uporządkowane linie i koła, które dominowały na piątce, przypominają symetrycznie zdobienia roślinne na siódmce oraz toporne, ostre kształty z trójki.

- Byłem na trójce, nawet na czwórce – przerwałem Arii.

- Tak, pamiętam. Wszystkie burty nie mogły wyjść z podziwu. Targnęłaś się na coś niemożliwego i niemalże ci się udało. Na mnie zrobiłaś duże wrażenie.

- Czyli na piątce jest tak jak na trójce?

- Właśnie! Natomiast kolumny z czwórki podobne są do tych z szóstki, a nawet tych z ósemki, co je ledwo wczoraj zaczęliśmy odkopywać. Proste, prawda? Trzeba tylko było na to wpaść! Jak na razie wszystkie te trzy zasady działają bezbłędnie stąd aż na sam dół Młyna, choć bukatom wolę tego nie zdradzać. Przestałbym być im potrzebny.

- Chciałbym to kiedyś zobaczyć.

- Ależ to nic prostszego! Wystarczy, że zamkniesz oczy. Wyobraź sobie: schodzisz po solidnych, równych stopniach. Są zimne jakby z metalu kute. Zewsząd czuć stary oleisty zapach. Z każdej niemal kolumny wyrastają skamieniałe obręcze zębate połączone w ciągi i skupiska. Obok nich koła, kotły, pierścienie, walce, zmontowane ze sobą niezwykłą płataniną rur w maszynię monstrialnej wielkości...

Aria zdawał się mówić moim własnym, wewnętrznym językiem. Nie potrzebowałem więcej. Byłem tam. Widziałem to parowe monstrum. Te mechaniczne bestie. Tryby zamiast stawów; metal w miejsce skóry; olej płynnie w rurach niczym krew. Zrosnięte w jeden, wspólny organizm zawieszony pod sufitem. Zdaje się jakby tylko na chwilę przystanął w bezruchu; jakby ożywić się miały zaraz ze zgrzytem, jękiem i świstem pary... Obserwują. Może śpią. Nie czas ich jeszcze...

Otworzyłem oczy. Cela znów tam była.

- Ario? – zagadnąłem.

- Słucham, chekecheo.  
 - A może te wszystkie kolumny żyją?  
 - Tak właśnie mi się wydaje.  
 - Mi też. Choć przecież są z kamienia!  
 - Każda kolumna jest inna – odparł po krótkiej chwili. – Każda bowiem podlega nurtowi swego poziomu, ale każda w mniejszym lub większym stopniu odstępuje od niego, ujawniając własny styl. Manifestuje go w swych ornamentach, fakturze, przekroju, przyporach, wijących się pod sklepieniem. Jakim cudem? Otóż każda kolumna miała niegdyś demona, który nią targał (takiego samego, jakiego zdobywają w Mahiri hurie i hurianki). Jestem tego pewien. Każda niegdyś żyła, choć dla każdej z nich ciałem był ten zimny kamień. Każda chciała być wielka: znakomitsza i piękniejsza od pozostałych; każda chciała zrodzić zdobienia, jakich świat nie widział, pokazać swą potęgę, wytrwałość i talent. Każda piąć się chciała w górę, przypory jak gałęzie rozpostrzeć jak najdalej, być podparciem dla kolejnych kolumn, co wzrosną z niej na wyższych poziomach. Gdy sił braknie, a błękitne niebo zakryte zostanie kamiennym sklepieniem, gałęzie w korzenie się obróćą, z których na nowym, wyższym poziomie wykiekują nowe kolumny, wspierając się na barkach swych rodziców. A ci, od światła odcięci do cna skamieniają w bezruchu. Czasem słyhać nawet, jak szeptają coś przez sen. Młyn żyje. Dla mnie to więcej niż pewne.

- A co zjada Młyn? Skoro żyje, to pewnie coś je?

- Nie mam pojęcia.

- Myślę, że to my jesteśmy jego pożywieniem. Młyn nas zjada. Widzę czasem na ścianach twarze hurii z mojej *mbarii*. Albo z innych. A nawet bukatów.

- A wiesz, mały? Nigdy na to tak nie patrzałem.

Od tamtego dnia Aria stał się moim przyjacielem. Rozumiał mnie jak nikt inny w całym Młynie – jakby był częścią mnie. Dzielił ze mną swoje pasje, a ja zwierzałem mu się z wszelkich, najgłębszych nawet lęków i tajemnic – z tego, że kiedyś, bawiąc się w tunel, rozwaliłem ścianę celi; że na górnym pokładzie spotkałem ludzkiego chekecheę; że wskrzesiłem do życia Siostrę; a nawet to, jak zdradziłem Vijani, oskarżając ją i wydając na pastwę burty, oraz to, jak w złości sprowadziłem śmierć na Zinaę. Niczego przed Arią nie ukrywałem. Niczego. A on mi wierzył. Nawet moja Siostra się go nie bała. Wychodziła ze szczeliny obok gieru nawet wtedy, gdy był w celi, jakby nie pamiętając tego, że kiedyś się na Nią rzucił, dawno temu, jak był

jeszcze w burcie Radży za ścianą – wtedy, gdy go tak bukaci skatowali. Pokazałem Arii kilka Jej sztuczek, a on czerpał z tego przyjemność nie mniejszą niż ja. Niezaprzeczalnie stał się w Młynie moim duetem, a codzienna udręka dzięki niemu nabierała jakichś barw. Więcej nawet: stał się moim łącznikiem z rzeczywistością. Gdy otrzymywał w ramach nagrody za odkrycia na poziomie dzień pragnojki od arbajtu, czas biegł niemiłosiernie szybko i zawsze było go za mało, by się wszystkim podzielić pod nieobecność burty. Wieczorami, a nieraz i w nocy, też zdarzało nam się debatować na te czy inne tematy, ale to nie to samo.

Aria dzięki swym odkryciom zyskał posłuch i pozycję w *mbarii*, a z jego zdaniem liczył się nawet Ordin A'Martern – sam bratanek Młynarza. Stał się kimś ważnym. Podobno bukaci w ramach nagrody chcieli go przenieść do figur, ale zdołał ich uprosić, by mógł zostać na naszym pokładzie. Dostawał kolejne wolne dni, a nasza burta – kolejne premiowe rakiety z szamunkiem. Nawet Janga, nasz *ruis*, któregoś dnia ugiął się i uznał go za hurię, choć zarzekał się przecież, że będzie to możliwe dopiero po tradycyjnej ceremonii Mahiri. Tym bardziej więc niesamowite, że Aria tak żywo interesował się mną, zwykłym tigriańskim chekecheą.



Któregoś dnia obudziło mnie delikatne światło sączące się zza krat i gryzący zapach małej, oliwnej lampy, z jakiegoś powodu skręconej tak bardzo, że knot ledwo się żarzył. Niosący ją bezogon szedł niemalże na oślep – powoli sunął po korytarzu z wyciągniętymi przed siebie rękami, kurczowo trzymając się ścian. Dla mnie światła było dość, by od razu poznać, kogo przyniosło na pokład. Zresztą po samym zapachu mogłem być tego pewnym. Był to ten ludzki, bujnogrzywy chekechea, na którego natknąłem się w celi Turama – tamtego dnia, gdy podchodziłem do Uhai. Wstałem z ziemi, zbliżyłem się do krat i zagadnąłem:

- Cześć!

Zaskoczyłem go tym nieco, ale podszedł do krat, podsunął lampę do firanek, nawet zwiększył na chwilę płomień, by lepiej mi się przyjrzeć. Miałem na sierści jego oddech, chłonałem jego *nukie*, zaś po *nukach* czuło było wyraźnie, że się bał, acz rozpromienił się i powiedział:

- To tu cię trzymają... Dzięki za wtedy.
- Wtedy?
- Wtedy, gdy chciałeś stąd uciec w siną dal.
- Nie chciałem stąd uciekać w siną dal.
- Jak to? To co ty tam robiłeś?
- Chciałem tylko zobaczyć słońce i gwiazdy. Potem bym wrócił.
- Nie widziałeś nigdy słońca ani gwiazd? – Bezogon podrapał się po nosie.
- Nigdy. Muszę je zobaczyć, by stać się hurem.
- Hurem?
- Tak. To taki test. Próba.
- Czyli ci się nie udało... Tak czy siak dzięki, że narobiłeś wtedy rabanu, żeby odciągnąć strażnika, co już szedł na mnie. Nie powinno mnie być tam, gdzie mnie znalazłeś. Ten tępy barbarzyńca złośliwie chował klucz do spiżarni na najwyższą półkę...
- Turam?
- No, jakoś tak mu było. Na szczęście go przenieśli. Tak czy siak, dzięki.
- Przenieśli go? Dokąd? Gdzie teraz jest?
- Nie mam pojęcia. Gdzieś tam się kręci na górze.
- To znaczy, że może przenieśli go do funkcyjnych! – krzyknąłem, ciesząc się, że w ogóle żyje.
- Ciii... Przecież mówię, że nie wiem. Mój dziadek jest zdania, że nie warto nadmiernie interesować się dzikusami. Nawet jeśli mają wysoki stopień. Nie mam pojęcia, po co go dziadek uczynił w ogóle tym klucznikiem?
- To znaczy, że jesteś... wnukiem Młynarza?
- Młynarza? Zabawne. Mój dziadek jest tu naczelnikiem! No, tak w zasadzie mój prawdziwy dziadek zginął na wojnie, na Bakburcie, a naczelnik jest raczej moim wujem, bo to wuj mojego taty. Ale pozwolił mi, bym go nazywał moim dziadkiem. A wy tu, na dole nazywacie go Młynarzem?
- Przytaknąłem.
- Ciekawe, czy się zezłości, gdy mu o tym powiem? Może zarządziłby chłostę, gdyby o tym usłyszał!
- Nie mów mu tego!
- Powiem. Chyba że coś mi obiecasz.
- Obiecuję – wypaliłem od razu.
- Nawet jeszcze nie wiesz, co! Obiecuj, że nikomu nie powiesz, że tu byłem. Nikt ma się o mnie nie dowiedzieć. Tata złołby mi skórę.

- Nikt się nie dowie! Nikomu nie powiem!

Pokiwał głową, uśmiechnął się i stwierdził:

- Śmiesznie mówisz.

- A ty śmiesznie pachniesz!

- Co? – zapytał zaskoczony, sprawdzając podeszwy swoich butów w świetle latarni. – Normalnie pachnę!

- Wcale nie. Pachniesz inaczej niż strażnicy i zupełnie inaczej niż hurie.

- To prawda, jego *nukie* były zupełnie inne od wszystkiego, co znałem do tamtej pory. Nie miałem wówczas żadnego obeznania w *nukiach* obcych gatunków, bo i jakież można mieć, jeśli przez całe życie tkwi się w zamknięciu pod ziemią, a jedyne, co można wąchać obcego, to szereg intensywnie spoconych zbrojnych nie dbających o higienę i nie rozróżniających własnych *nukii* od *nuków*?

Wtedy z kolei on mnie zaskoczył. Zapytał mnie:

- Mogę cię... pogłaskać? Nie ugryziesz mnie?

Psia jucha z tymi ludźmi! Odruchowo zjeżyłem się i cofnąłem na samą myśl, ale w końcu mu pozwoliłem. Niech tam... Nie wiem, czemu niektórzy bezgoni tak bardzo garną się do czochrania nas po głowach? Przełożył wpiersz jedną, a potem drugą rękę przez kraty i zanurzył się w mojej sierści, pozostawiając mi na głowie i karku mnóstwo tych swoich dziwacznych *nukii*, których potem trudno było się pozbyć. Sprawiał wrażenie, jakby miał z tego sporo frajdy – tym bardziej, że powiedział wtedy:

- Ale ty jesteś fajny! Wtedy, na górze, gdy cię zobaczyłem po raz pierwszy, pomyślałem, że jesteś wytworem mojej wyobraźni.

No coś podobnego! Mówię wam: bezogonom bardzo brakuje sierści i na każdym kroku nam jej zazdroszczą!

W którymś momencie obwieścił:

- Nazywam się Ordin.

- Ordin? – Aż mi ciarki przeszły po plecach aż do końca ogona, ale niepotrzebnie.

- Ordin, ale nie Ordin A'Martern, bo to mój tata. Ja jestem Ordin A'Nachtigall, ale tata i wszyscy tutaj mówią na mnie Frei. Ty też możesz mi tak mówić.

- Ordin A'Nachtigall Frei?

Zdziwiło mnie to wówczas, że miał już imię, nawet kilka imion, a przecież było oczywiste, że był dopiero checkecheą, tak jak ja. Potem się dowie-

działem, że bezogoni tak to już mają, że nadają imiona swoim checkecheom na prawo i lewo, nim te zdążą udowodnić, że są tego w ogóle warte.

- A ty masz jakieś imię? – zapytał.

- Nie. Ale Bradach mówi na mnie Orm.

- Bradach? Ten dzikus z kuźni?

- Nie jest wcale taki dziki! Popatrz, jakie mi wykuł kajdany!

Obejrzał je fachowym okiem, zważył w rękę i tak podsumował:

- Rany! Ciężkie jak sto kazarów! Jak stado mambuli! Zakuł cię w kajdany, a ty go za to jeszcze chwalisz? To przecież bez sensu! – Może i miał rację. – Ten Bradach to dzikus, łotr i dezterter. W dodatku leniwy. Znam go. Ciągłe przychodzi do dziadka i nęka go o to, by mu kogoś wynalazł do pomocy. Wtedy, dzień po tym, jak byłeś u nas na górze, też przyszedł. Wiesz czego chciał? Nie zgadniesz!

- Czego?

- Ciebie. Chciał cię zaciągnąć do pracy w tej jego kuźni. Przyszedł i powiedział, że właśnie ty jesteś mu potrzebny. Tyle że dziadkowi się to nie spodobało i się nie zgodził.

- Szkoda – rzuciłem zasmucony. Podobało mi się tam<sup>229</sup>...

- To jeszcze nie koniec – ciągnął Frei. – Mój tata był przy tym wszystkim i wbrew dziadkowi od razu stwierdził, że to świetny pomysł. „Wilk syty i owca cała”, mówił. Prawie się o to pokłócili, jak zwykle zresztą, bo oni ciągle się o coś kłóć. Tata przytaczał dziadkowi jego własny regulamin, a dziadek ciągle swoje, że to byłoby złe dla ciebie i dla tych wszystkich innych kotów, co z nimi tu mieszkasz. Stańło na tym, że mój tata miał pomówić z tym kotem, co wami rządzi, i uzyskać jego zgodę.

- Czyli z Jangą... – dopowiedziałem z niesmakiem.

- Nie, jakoś inaczej go nazwał... To był taki duży kot z gęstą, rudą grzywą.

- Sharia?

- O, możliwe. Wiem jak wyglądał, bo byłem przy tej rozmowie.

- Byłeś przy tym? Jakim cudem? Co mówili?

Frei popatrzył na mnie, podrapał się po nosie, pomyślał i rzekł:

---

229 Tak, tak, pamiętam Mówilem, że pracuję w kuźni u Bradacha, że karmi mnie swoim prowiantem, że pomagam mu przy miechu i kowadle, a nawet że włączam bu-kackie zbroje i broń. Mówilem, że zabierają mnie tam zaraz po śniadaniu, a wracam przed obiadem. Tyle że wszystko to działo się w wyobraźni, wewnątrz mojej własnej głowy. Zazwyczaj byłem tego świadom. Nie pierwszy i nie ostatni raz miałem światu za złe, że nie chciał dościsnąć moich marzeń..

- Nie powiem, chyba że mi znów coś obiecasz.

- Co tym razem?

- Obiecaj, że nikomu tego nie powiesz ani nawet nie dasz po sobie poznać, że wiesz. Wszyscy by na tym stracili, gdyby ktoś z twoich się dowiedział.

Przyrzekłem mu także i to, choć Lōzi w mojej głowie ciągle powtarzała mi, by niczego nie obiecywać. A ten mały bezogon zaczął tak:

- Byłem tam, bo mnie tata ze sobą zabrał. Najpierw mi opowiedział o tym, jakie wtedy zrobiłeś zamieszanie na naszym poziomie, i o tym, jak następnego dnia ten dzikus Bradach przyszedł do dziadka w twojej sprawie. Potem zaproponował mi, bym zobaczył, jak się kotom obcina pazury. Ty pewnie wiesz, jak to wygląda?

- Nie. – Pokręciłem przecząco głową. – Jeszcze nigdy mnie tam nie wzięli.

- No tak, tata mi mówił, że ty w ogóle nie pracujesz i nigdzie stąd nie wychodzisz... Co kilka dni robią rutynowy przegląd podczas pracy, sprawdzają każdego z waszych po kolei. Podchodzą do ciebie, każą ci wyciągnąć pazury. Jak nie współpracujesz, robią to siłą. Jeśli uznają, że masz za długie, to wraz z innymi, co się kwalifikują, biorą cię na trójkę, czyli poziom niżej niż ten tu. Tam jest takie małe, szczelnie zamykane pomieszczenie, co w nim trzymają kilofy, łopaty i inne narzędzia. Codziennie rano strażnicy wydają je stamtąd kotom i wieczorem je odbierają i liczą, czy żadnego nie brakuje. Musi się zgadzać co do jednego. A dodatkowo obcina się tam kotom pazury. Przytrzymują cię i ostrymi obcęgami obcinają tyle, ile tam trzeba.

- No i tamtego dnia – opowiadał dalej Frei – tata, inni strażnicy i ja zeszlśmy na siódemkę. Zabraliśmy kilka kotów na górę, w tym także tego z grzywą, co jest waszym wodzem.

- Sharię.

- Właśnie.

- Nie jest już naszym wodzem.

Bezogon wzruszył ramionami:

- Jego strata. Zabraliśmy wtedy na trójkę jego i tych pozostałych.

W ogóle się nie rzucił, gdy strażnicy obcinali mu pazury. „Jest sprawa, Sharia”, powiedział mu mój tata. „Obiecałem Staremu”, to znaczy: dziadkowi, „że spytam cię o zdanie, choć to kuriozalne samo w sobie, bym cię o cokolwiek pytał. Bierzymy tego małego skokobryka z waszej celi”, to znaczy ciebie – Frei wskazał na mnie palcem – „i dajemy go do pracy w kuźni, na



noc będzie wracał. Będzie biał, nie myślę się<sup>230</sup>?” No i wtedy ten wasz wódz podniósł głowę, oczy tak jakoś zmrużył i aż mi ciary po plecach przeszły, gdy przemówił: „Po moim trupie, poruczniku!”

- Tak powiedział? – dopytywałem.

- Co do słowa! Tata mu na to, jak on śmiał tak się w ogóle odezwać, a on jeszcze więcej mówił: „Wiem coś, czego nie wiecie, poruczniku. Mam tajemnicę wartą wymiany.”

- Sharia chciał mu wyjawić jakąś naszą... tajemnicę? Chcesz mi powiedzieć, że jest... uchem?

- I to najlepszym ze wszystkich jakie mamy, z tego, co mi tata mówił. Ale to nie wszystko. Powiedział wtedy jeszcze tak: „Przysięgam jednak, że jeśli zaprzęgniecie małego do pracy, zamilknę po grób i zaprzestaną jakiegokolwiek przyszłej współpracy. Jego życie cenniejsze jest nad życie każdego z mej celi, jak również moje własne”.

- Tak powiedział?

- Dokładnie tak. Tata zgodził się na ten warunek i kazał mu wyjawić tę jego tajemnicę. Wtedy ten wasz wódz dokładnie opisał kota, który planował zamordować jednego z naszych strażników.

- Zinaa. To on wyspał Zinaę! Nasz własny *rais* nas zdradził!

- Chronił was! – rzucił Frei. – Pomyśl, co by się stało, gdyby ten cały Zinaa rzeczywiście na kogoś się rzucił. Za karę cała twoja celi nie dostałaby obiadu co najmniej przez tydzień, a jego pewnie by stracili!

- To zamiast go stracić obcięli mu ogon!

- Chyba lepiej stracić ogon niż życie?

- Nic nie rozumiesz, bezogonie! Na demony!

Frei aż się mnie przeląkł, zrobił krok w tył i wyjąkał:

- Tylko pamiętaj, co mi obiecałeś. Nikomu tego nie powiesz, ani nie dasz po sobie poznać, że wiesz. Nikt by na tym nie zyskał. Nikt.

Byłem zdruzgotany. Jakby ktoś wbił mi nóż w plecy! Chciałem gryźć, drapać i szarpać wszystko ze wściekłości! Przecież gdybym nie próbował uciec, nie złapałoby mnie, nie trafiłbym do kuźni, Bradach by mnie nie przyuważył, Sharia nie musiałby zdradzać Zinai, by mnie nie zabrali do tyrki, bukaci nie obcięliby Zinai ogona, Janga nie szukałby w celi ucha, a ja nie wydałbym Vijani, by się przed nim bronić, i nasi w odwecie nie obcięliby jej ogona; nie musiałaby opuszczać naszej celi by się chować między figurami. To wszystko była moja wina!

<sup>230</sup> Było, zgoda.

- Po coś tu w ogóle przyszedł, bezogonie? – zakrzyknąłem.

- Cicho! Obiecałeś! – odpowiedział tylko i umknął w stronę głównej kraty. Prędko zamknął ją za sobą i bezszelestnie rozplynał się w powietrzu niczym zjawą.



Zastanawiałem się potem tamtego dnia, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę? Czy sobie tego wszystkiego nie wyśniłem? Historia z Sharią jako uchem zdawała mi się wówczas zupełnie niewiarygodna. Wziąłbym ją za wytwór mojej bujnej wyobraźni, gdyby nie fakt, że powietrze na wylot nasiąknięte było swądem palonej oliwy, a w sierści wciąż miałem zapach tego albińskiego chekechei. Tak się wżarł, że aby się go pozbyć, musiałem kilka razy myć głowę wodą z nad gieru, a potem starannie nanosić własne *nukie*. Cela od razu by go wywąchała, a w końcu nikt nie miał się dowiedzieć. Przecież obiecałem...

Znacznie trudniej było mi dotrzymać drugiej obietnicy. Nie mam pojęcia, dlaczego tak usilnie chciałem jej w ogóle dotrzymać? Gdy burta przystaszczyła z poziomu swoje ciała i wypełniła nimi celę, Sharia apatycznie ułożył się w swojej koi i zamarł w oczekiwaniu na obiad. Jak gdyby nigdy nic. Miałby powiedzieć o mnie bukatom, że moje życie cenniejsze jest nad życie każdego z tej celi – nawet jego własne? To jakaś bzdura! Wbrew wszelkiej hierarchii? Jakim cudem? Przecież byłem tylko chekecheą. Frei musiał coś źle zrozumieć, albo w ogóle sobie to wszystko wymyślił. Dlaczego Sharia miałby nie chcieć, bym pracował w kuźni? Miałby zdradzić własną *mbarię* i poświęcić Zinaę tylko po to, by mnie tam nie zabrali? To niedorzeczne! Tym bardziej, że ja przecież tak bardzo chciałem tam pójść! Podobało mi się tam! Bradach był zupełnie w porządku. Tyle że Sharia pewnie o tym nie wiedział. Tak bardzo chciałem mu o tym powiedzieć, ale przecież... obiecałem...

Nigdy, do końca dni w Młynie, nie złamałem tej obietnicy. No, powiedziałem jedynie Siostrze i, rzecz jasna, Arii, ale obiecali mi, każde z osobna, że nikomu nie powiedzą. I nie powiedzieli – przez te wszystkie dni milczeli jak głazy. Wiem to. Zresztą to było co innego. Traktowałem ich przecież jakbym był ich częścią albo jakby oni byli częścią mnie. Aria stał się moimi

oczami, uszami, wibrysami, nosem. Karmiłem się jego słowami, za którymi czułem głód większy niż za mięsem. Tak było! W tamtym czasie wieczorami wtulałem się w jego futro, a on – niemal codziennie – mówił mi o pracy na poziomie, o kolumnach, ornamentach, znaleziskach, wypadkach. Jakże on pięknie opowiadał! Czułem, jakbym tam był wraz z nim, ramię w ramię; jakbym oddychał tym samym, gęstym od pyłu powietrzem; jakby mi sierść kleiła się od tabunów stęchłego piachu. Aż w uszach kajdany dzwonią z każdym ruchem, lina trzeszczy pod naporem mięśni, kosz za koszem idzie w górę; piach sypie się po oczach; ciemność rozrzedzają kopzące pochodnie; wszędzie duszno, gorąco i wilgotno...

Aria stał się moim oknem na świat. Na ten rzeczywisty świat. Sporo z tego, co wydarzyło się wówczas w Młynie, znam właśnie z przekazu Arii. Poza nim świat zewnętrzny niemalże już dla mnie nie istniał.

Pewnie dlatego nawet nie przejmowałem się już tym, że wciąż i wciąż byłem zaledwie chekecheą, choć przecież mijały dni, miesiące, lata i cykle. Janga nigdy nie zmienił co do mnie swego zdania. Jednakże chekecheą byłem tylko w tym rzeczywistym świecie – wystarczyło bym zamknął oczy, a w jednej chwili szara cela zmienia się w jaskinię, gier – w podziemny strumień, derki na posadzce – w bujną, soczystą trawę, mieniącą się rosą, a rzędy kolumn – w zielony las skąpany w słońcu; na każde drzewo mogę się wspiąć, w każdym zaroślach mogę się skryć, a każde zwierzę – dogonić bez trudu. Ceremonię Uhai przechodzę bez problemu na każdy możliwy sposób, a czasem podchodzę nawet i do Mahiri, czając się na któregoś ze strażników, pijąc jego krew i dzieląc się jego mięsem z *mbarią*. Zajadam najsmakowitsze kąski, delektuję się koalim nektarem, oddaję się *jamii*, drzemię w hamaku wśród przyrośniętych do pni maskaronów, a nawet staję do pojedynku i przejmuję władzę w celi. Już nikt nie szczerzy na mnie kłów. Wystarczyło tylko, bym zamknął oczy...

Ten rzeczywisty świat trwał wówczas jakby obok mnie. Coraz rzadziej czułem się jego częścią; coraz trudniej było mi się w nim odnaleźć. To tak, jakbym stał nad brzegiem szerokiej rzeki i przyglądał się czasem temu, co działo się po drugiej stronie. Świat po mojej stronie zawsze był ciekawszy. No i zawsze był mój. To, co było na drugim brzegu, nie mogło się tak łatwo przedostać – broniła mnie szeroka rzeka. A tą szeroką rzeką był Aria. To za nim się kryłem przed własną *mbarią*. Nigdy nie zaszedł w hierarchii wyżej niż Janga czy Ugaidi, ale to wystarczyło, bym przeżył ich agresję, gdy było trzeba.

Coraz rzadziej dosięgał mnie ten świat z drugiego brzegu – ta agresywna codzienność, co wyrывała mnie z marzeń. Dosłownie i w przenośni. Głód, brud, pył, przemoc, *jamia*, śniadanie, obiad, światło pochodni, czyjeś pazury, przydepięty ogon, krzyki bukatów, pałka po prętach krat... Burty wciąż odkopywały coraz to nowe kolumny; czasem odkryły kolejny poziom. Życie Młyna trwało w swym transie jak zawsze.

W którymś roku Aria opowiedział mi, jak do szybu windy wpadł z powierzchni rozjuszony iakk. Urwał się figurom czy coś. W locie wziął ze sobą wciągany na górę kosz z urobkiem i rozpląszczył się na piątce, przyniatając dwóch pardian z trzeciej celi, których tamtego dnia przydzielono do lin. Trafili zaraz pod instrumenty i aparaty rakarza, ale jeden nie przeżył tej interwencji i umarł tego samego dnia, a drugi długo dochodził do siebie w swojej celi – spadające bydlę połamało mu żebra i ręce. Cudem uszedł z życiem. Górę najwidoczniej dotknęło to zdarzenie, bo po jakimś czasie przybył do Młyna krasnoludzki inżynier, by przebudować całą tę windę. Dobudował kolejny szyb, idący z piątki na niższe poziomy, i usprawnił wentylację. Nikt z naszych się tego nie spodziewał, ale nagle warunki pracy tam, na dole, znacznie się polepszyły – wreszcie było czym oddychać, jak mówili. Praca zaczęła iść szybciej i sprawniej – tym bardziej, że kolejne poziomy zasypane były coraz łatwiejszym materiałem do usunięcia – o ile na trójce i czwórce między kolumnami była lita skała, to na piątce i szóstce stopniowo zamieniła się w luźny gruz, jeszcze niżej był już tylko żwir, a potem to nawet piach. Zupełnie odwrotnie niż by to wynikało z górniczej sztuki.

Tyle że poziomy stawały się coraz wyższe. Na naszym pokładzie z ledwością mogli się wyprostować niektórzy co wyżsi z bezogonów, podobnie było na trójce. Stropy na czwórce i piątce sięgały już trzech metrów, na szóstce – czterech, a na siódemce – aż ośmiu. Ośmiometrowe kolumny gęsto zdobione na całej swej wysokości – jak mówili, to było coś niesamowitego. Tak było do czasu, gdy odkryto ósemkę i odkopano ją do poziomu posadzki. Ta była już gigantyczna, według pomiarów bukatów była wysoka na 16 metrów – to jak z ziemi do czubka tamtego drzewa! Światło pochodni z ledwością rozjaśniało mającące gdzieś tam w górze sklepienie. Dziewiątka była nieco niższa – miała 12 metrów.

Za to dziesiątka zaskoczyła wszystkich – w ogóle nie miała końca. To znaczy tak bardzo długo sądzono. To była wielka piaszczysta wydma, kilofów nawet nie brali już z magazynu, w ruch szły wyłącznie łopaty. Ze względu na sypkość materiału kopać musieli dość płasko, niemal odkryw-

kowo. Wykopywali ogromne ilości piachu, nieprzerwanie kursowały kosze z urobkiem, zresztą specjalnie dla dziesiątki wykuto nowy szyb, kolumny rosły, strop znikał w mroku, schody wiły się od jednej kolumny do drugiej, a posadzki wciąż nie było. Byliśmy tacy mali względem tego...

Gdy powszechnie nasi sądzili, że tak dziesiątka, jak i cały Młyn już nigdy się nie skończą, Aria odkrył, że zewnętrzne ściany z każdym metrem w głąb są coraz bliżej siebie. Nikt ze strażników tego wcześniej nie zauważył. Dość dobrze było to widać właśnie ze względu na to, że kopali tak płasko – stopniowo odsłaniali wszystkie zewnętrzne ściany Młyna, cały mur okalający ten kamienny las kolumn. Aria podejrzewał, że wcześniejsze poziomy też stawały się coraz węższe wraz z głębokością, więc wrócono burty na dziesiątkę i wyżej, by to zweryfikować. Okazało się, że miał rację! Po kilku tygodniach, a może i miesiącach drążenia, zmierzono wreszcie, że rzeczywiście poziomy były tym węższe, im głębiej schodziło się pod ziemię. Odkryto nawet, że zewnętrzne ściany nie były wcale pionowe, a nieznacznie pochylały się pod takim samym kątem na wszystkich poziomach. Młyn okazał się zatem nie walcem, jak wszyscy dotąd sądzili, a stożkiem – wielkim, odwróconym do góry nogami stożkiem<sup>231</sup>.

Jak mówili bukaci między sobą, Młynarz tak się tym odkryciem zafascynował, że zamknął się w swojej jamie na górze i nie wychodził stamtąd kilka godzin. A gdy już wyszedł, oświadczył, że hurie musiałyby pokonać jeszcze kilkanaście razy taką drogę w dół, co do tamtej pory z samej powierzchni – tyle musielibyśmy wykopać, aby dotrzeć do wierzchołka tego odwróconego stożka. Byliśmy zatem ledwo na początku drogi, tyle że dalej miało niby pójść szybciej – do wydobycia był już tylko piach, a i przecież poziomy były coraz węższe.

Jakoś w tamtym czasie umarła Dhahiri – ta wiekowa arufianka z dawnej *mbarii* Sharii. Zapylenie piachem. Przez wiele dni przed śmiercią kaszlała sucho, nie mogła złapać tchu, potem pluła krwią. A jeszcze wcześniej oczy zaszyły jej mgłą, była niemal ślepa. Nie doczekała do końca. Powiedziała tylko to swoje „wszystko siedzi w głowie” i oddała ducha. Złe demony zawsze chętnie polują na starszyznę; przez te ostatnie lata zmarło jeszcze kilka hadhów i hekal z trójki i czwórki, ale nie pamiętam ich imion. Nas w pierwszej celi została siedemnastka.

<sup>231</sup> Czyli miał taki kształt jak chociażby... korzeń drzewa. Przy powierzchni jest najgrubszy, a im głębiej pod ziemię, tym staje się cieńszy. Z Młynem było tak samo.

Gdy wreszcie dotarli do dna na dziesiątce – a stało się to może z rok po odkryciu, że Młyn miał kształt stożka – mogłem mieć z dziewięć lub dziesięć lat. Nie odkryli wówczas wierzchołka, a kolejną posadzkę; ściany zewnętrzne, jak mówili, rzeczywiście były zdecydowanie bliżej siebie niż na wyższych poziomach, ale do wierzchołka było jeszcze daleko. Nasi wybrali z dziesiątki cały piach, jaki tam był; odkopali wszystkie kolumny, co do jednej. Wysokość tego poziomu była gigantyczna. Nic, co odkopano do tamtej pory, nie robiło takiego wrażenia. Bukaci potrzebowali kilku lin, by to jakoś zmierzyć. Dwie *mbarie* i piętnaście metrów. Takie to było olbrzymie. Coś niesamowitego. Tyle co najwyższe drzewa, może i więcej. Problem w tym, że nigdzie na tej dziesiątce nie było schodów na dół.

Zaczęto podważać płyty posadzki, próbując się przez nią przebić, była jednak nad wyraz gruba i twarda. Sprawdzano też ściany zewnętrzne, ale nawet Aria nie mógł wpaść na właściwy trop. Ostatecznie bez większych nadziei wrócono burty na poziom dziewiąty, potem również ósmy – by odszukały przejście, które być może wcześniej przeoczyły.

Z biegiem czasu wszystkie te zdarzenia rzeczywistego świata miały dla mnie coraz mniejsze znaczenie. W miarę jak burty szły w głąb Młyna, ja coraz bardziej pograżałem się w świecie mojej wyobraźni. Z czasem nie byłem już w stanie odróżnić jawy od snu; jedno zlewało się z drugim i nie miałem już żadnej pewności, który z tych dwóch światów był prawdziwy – ten, w którym żyłem, czy ten, o którym opowiadał mi Aria. Wówczas gorąco wierzyłem, że prawdziwe były oba; dziś powiedziałbym raczej, że prawdziwy nie był żaden z nich...



- Czas wracać, schodzimy już – nagli Chuma Ugaidi, obserwując teren i licząc coś jeszcze w pamięci.

- Tak tu pięknie zielono, hidayo – odpowiada Chuma Vijani, siedząc wśród traw i bawiąc się własnym, śnieżnobiałym ogonem, zupełnie zahipnotyzowana odległym pasem zieleni.

- Zapamiętajmy ten zapach – mówi dudniącym głosem Chuma Sharia, a grzywa jego mieni się w złotych promieniach słońca i faluje na lekkim wietrze. – Te *nukie* to wolność.

- Tak. Warto było, ale czas już na nas – ucina onkianka. – Zaraz rozpocznie się apel.

Trzy huryjskie sylwetki zbliżają się do krawędzi Młyna. Wspinają się na drewnianą konstrukcję dźwigu, jakim zwykle transportowany jest z dołu urobek. Po górnych belkach, zawieszonych między jedną z kolumn a krawędzią Młyna, docierają pod wielkie koło, przez które przerzucona jest lina. Chwytają oba jej kawałki przez kilka warstw starych kadzienniaków – tak dla ochrony rąk – i z gracją ześlizgują się w głąb szybu. Werble w rytm. I w dół! Metr za metrem. Światło słońca zostaje w górze. Tu tylko słaba poświata błękitnej pochodni. Mijają jedynekę (to jest poziom bukatów) i zatrzymują się na naszym pokładzie, na końcu bocznego korytarza, tuż przy kracie, przez którą ciurmaki zwykły ładować mięso na obiadowy wózek.

- Na psa urok – warczy Chuma Ugaidi, stojąc na skrawku posadzki nad urwiskiem szybu i ciągnąc za żelazne pręty. – Zamknięte! Jak teraz wejdziemy?

Chuma Sharia z błyskiem w oku mówi ściszym głosem:

- Onkianko, żadna stal nie może się równać z potęgą wyobraźni!

Wtedy arufian chwyta jedną ręką za kratę, zapiera się drugą i jednym mocnym szarpnięciem rozrywa stalowy mechanizm zamka. Brzdęk i drzwi stoją otworem. Gotowe.

Otworzyłem oczy. Byli tam.

- To przecież wy! – szepnąłem sam do siebie, z uśmiechem wpatrując się w śpiącego Sharię, wciśniętego między łańcuch a ramę własnej koi, i Ugaidi, oblepioną huriami i huriankami z ferajny Jangi.

Byli tam...

- Pobudka, ścierwa! Do pionu! – Ten okrzyk i łomot pałki tłukącej się o pręty naszej celi skutecznie wyrwał wszystkich ze snu. Jak co dzień.

- Sfelaj, psie<sup>232</sup>! – odgraża się Chuma Ugaidi. – Dałbyś pogarowa<sup>233</sup>!

- Stan liczebny siedemnaście, obecnych siedemnaście, zdolnych do pracy szesnaście, wszyscy zdrowi – wyrecytowała Ugaidi na apelu.

- Do tego jeden zdolny i zdrowy, co przeszło od trzech lat garnie się do pracy w kuźni – dopowiada Chuma Ugaidi.

Dozorca zignorował jednak tę uwagę. Kiwnął tylko głową i poszedł dalej, pod celę Rady. Za chwilę miało być śniadanie. Ktoś szturchnął mnie w ramię:

<sup>232</sup> To znaczy: odejść.

<sup>233</sup> Tak jest, pospać.

- Masz, tobie bardziej się przyda.

Odwracam się i co widzę przed sobą? To Chuma Vijani, we własnej osobie! Nachyliła się nade mną i wręcza mi blaszkę, żelazną tabliczkę z symbolem ryby.

- No, bierz – mówi.

Niesamowite! Nigdy w Młynie coś takiego mnie nie spotkało! Ścisłam mocno ten niecodzienny prezent i wraz ze swoją drewnianą miską dumnie podchodzę pod franki – jako jeden z pięciorga wyróżnionych. Bukat nabiera mi zupę prosto z suteryny, a do tego dorzuca najprawdziwszą rybę. Czysta rozkosz! Kruche, delikatne ścinki najlepszej cielęciny pływające w tłustym wywarze na kościach oblepionych świeżym, pachnącym mięsem. Krtań napełnia mi się istnym nektarem bogów. A ryba! Już sama skóra smakuje tak wybornie, że aż tracę grunt pod nogami, padam na derki; a w głowie mi się kręci.

Trask! Szczękniętł mechanizm zamka. Zgrzytnęły zawiasy kraty. Już czas. Cała burta, szurając łańcuchami, wysypała się z celi na korytarz.

- Pilnuj mego rewiru pod moją nieobecność, mały – rzuca mi na odchodne Chuma Sharia.

Ruszyliśmy. Skręciliśmy w prawo, w główny korytarz. Jak co dzień; jak mantra. Dolna krata. Strome schody. Bezkrzes trójki. Echo. Światło ginące w mroku. Narzędziownia. Kilka kilofów, reszta – szpadle i łopaty. A my jak w transie wyuczoną ścieżką schodziliśmy głębiej, poziom za poziomem. Nogi już same nas prowadziły. Ósemka. Tamtego dnia odkopywaliśmy ósemkę. Najwyższy poziom nie licząc ostatniego, dziesiątego. Większość kolumn w całości – od posadzki aż po sklepienie – pokryta była ornamentami. 16 metrów zdobień z góry na dół. A były one tak bogate, tak misterne, tak szczegółowe, że zapierały dech w piersiach nawet najsurowszych bukatów. Na żadnym z poziomów nie było takiego przepychu i nadmiaru jak tam.

Ósemka była zasypana gruzem zmieszonym z ziemią, ale praca na niej była trudna i niebezpieczna ze względu na jej wysokość. Najgorzej zawsze było na początku, zaraz po odkryciu poziomu – kopaliśmy wtedy korytarze o maksymalnie stromych ścianach, by jak najszybciej odnaleźć schody. Nieraz dochodziło do zawałów. A zawał szesnastometrowego słupa ziemi i gruzu do błahostek nie należy. Tak zginął Zinaa. I kilku innych. W tamtych jednak dniach było znacznie bezpieczniej, bo usuwaliśmy całą ziemię z poziomu. Kopaliśmy płasko od góry na dół, tworząc pochyłe, ukośne



chodniki. W jednym miejscu przy szybie windy zostawiliśmy stromą skarpe, aby zrzucić z niej urobek na posadzkę. Inni z naszych zbierali ten gruz do koszów – zawsze można było ich potem poznać po gwałtownych napadach kaszlu i futrach tak zapyłonych, że z trudem można było odgadnąć ich kolor. Na twarzach nosili podczas pracy mokre szmaty, ale niewiele to dawało. Pełne kosze wciągali windą na piątkę – tam była stacja przeładunkowa, z której inne, wyznaczone na dany dzień hurie wciągały je już na samą górę, na powierzchnię. W miejscu załadunku dyżurował zawsze specjalny bukat, co był wybrany do prowadzenia rachunków. Przeżywalismy go szpagatem. Miał za zadanie notować każdy kosz urobku na konto właściwej celi oraz pilnować, by były załadowane do pełna. Potem zliczał wszystko i określał, która burta pracowała najwydajniej.

- Wy, tam na górze, nie ociążać się! – ryknął bukat z samego dołu.

- Z bomby, tępe futra! – pieni się do wtóru Chuma Ugaidi. – Rakiety to my za nic nie wyrwiemy z taką smugą!

- Jej się chyba zdaje, że jest psem! – mruknął pod nosem Aria, tkwiąc pod samym sklepieniem i wybierając ziemię obok jednej z kolumn. Całą sierść umorusaną miał w ziemi aż mu ledwo było cętki widać. – Za pięknie tu, by się śpieszyć!

- Siedemnaście *mbarii* i cztery – powiedział tuż obok niego Gwaya, ten hur, co dostał niegdyś cegłą w brzuch. – Siedemnaście *mbarii* i pięć – dodał po chwili. Nie liczył jednak łopat gruzu ładowanych do kosza, choć tym właśnie zajmowały się jego ręce. Liczył skrzydlatych bezogonów. To znaczy akurat w tamtym czasie, a łatwo było stracić rozeznanie. Liczył tak długo, aż mu się liczby nie skończyły, potem wybierał inny obiekt kolumnowych maszkaronów i zaczynał od nowa. Na ósemce miał prawdziwą kłęskę urodzaju. Kiedyś liczył smoki, pamiętacie?

- Śpisz?

Zerwałem się na równe nogi. Znów byłem w celi. Zza krat dobiegało do mnie ledwie żarzące się światło oliwnej lampy. Pociągnąłem nosem. Tak, to był Frei – ten ludzki chekechea o bujnej grzywie. Trochę zmienił się z wyglądu, ale *nukie* pozostały te same. Aż trudno uwierzyć, że w rzeczywistym świecie minęły trzy, może cztery lata od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni. To było wtedy, gdy mi powiedział, że Sharia był uchem.

- Czego chcesz? – zapytałem, może nazbyt ostro.

- Spokojnie, jestem po twojej stronie.

- Po mojej stronie?

- Tak, po twojej. – Kiwnął głową na potwierdzenie. – Pamiętasz, jaką mi dałeś obietnicę, jak byłem tu ostatnio? Nawet dwie. Nie złamałeś żadnej z nich. Coś bym o tym wiedział. Dlatego myślę, że mogę ci zaufać i... pomóc.

- Chcesz mi pomóc?

- Tak, w tej twojej próbie. Chciałeś zobaczyć słońce i gwiazdy.

W oczach zabłysła mi nadzieja. A Frei mówił dalej:

- W najbliższy hamis, to jest za cztery dni, przyjeżdża do Borwoldu sam książę Herrhausen, najwyższy naczelnik Banku Albińskiego. Wszystkie siły zbrojne z okolicy są powołane do zapewnienia mu bezpiecznego pobytu. Borwold jest niedaleko stąd, więc tutejsi strażnicy zostaną oddelegowani do służby przy ochronie księcia. Zostanie tylko garstka niezbędna do utrzymania podstawowego wydobywania. Będziesz miał szansę się przemknąć! Przyjdę tu tak jak dziś, będę miał klucze od twojej celi. Wiem, gdzie je trzymają i kiedy ich nikt nie pilnuje. Tyko nie da rady przemycić cię przez główną bramę wejściową. Zamiast tego uciekłyś szybem windy. Zdobędę klucz do tamtej kraty. – Frei wskazał ręką boczny korytarz. – Wystarczy, że wskoczysz do kosza z gruzem i niepostrzeżenie wyskoczysz na powierzchnię. Co ty na to?

- Informacja na wagę złota, pętaku! – woła Chuma Ugaidi ze swej koi w celi. Zaskoczony odwracam się w jej stronę. – Toż to wymarzona okazja na postawienie dęba! Wręcz idealna! No, na cóż czekasz? Zgódź się na propozycję tego tępego bezogona!

- Czemu chcesz mi pomóc? – zapytałem Freia.

- Bo cię lubię. To jak, umowa stoi?

Nie widział ani nie słyszał onkianki, siedzącej wewnątrz celi. Wysunął otwartą dłoń w moim kierunku. Uścisnąłem ją przez kratę i pokiwałem głową. To albiński gest na zgodę.

- Cztery dni. Czekaj na mnie. Bywaj, Orm. – uśmiechnął się do mnie, odszedł, zamknął za sobą główną kratę i bezgłośnie zniknął na schodach, tak samo jak ostatnim razem.

- Brawo, chekecheo, kolejna szansa na Uhai – podsumowuje Chuma Sharia.

- Ależ gdzie tam? – warczy Chuma Ugaidi. – Przecież mówię, że trzeba stąd wydebić! Zryw! Bunt! Wszystkie burty! Lot, jaki nigdy się już nie powtórzy! Przecież garstkę ciurmaków bez wsparcia z góry to ubijemy choćby i samymi kilofami i łopatami! Mamy przewagę!

- Zobaczcie na to! – To mówi Chuma Vijani. Siedzi skulona na posadzce przy gierze i trzyma w rękach... moją własną Siostrę! Nic a nic się nie boi, choć hurysa głaszcze ją po sierści od głowy do ogona.

- Toż to zwykła mysz – ocenia chłodno onkianka.

- Nie taka znów zwykła – dopowiada Chuma Sharia. – Widziałem ją już kiedyś. Zna wiele sztuczek.

- Jej istnienie to moja tajemnica – mówię.

Pokazuję im, co potrafi. Mysia magia robi na nich wrażenie, szczególnie na Chumie Vijani. Dają tigriance trochę bomsu, by mogła Ją nim nakarmić. Pokazuję im też moje obrysowane ziemią zwierzęta na ścianie. Rozumieją mnie i widzą to, co ja. Nareszcie!

Po jakimś czasie dobiegła nas kakofonia szuranych łańcuchów. To wracała z dołu burta Jangi, moja *mbaria*. Dzień się kończył. Zbliżała się pora obiadu. Spoglądam na trójkę hurii w mojej celi.

- To wy tam idziecie – mówię im. – Jesteście tam.



- Skąd ty to wiesz, Ugaidi? – dopytywał ktoś z celi.

- Zawrzyj szamot! – odpowiedziała. – Po prostu wiem. I już.

Sam byłem trochę tym zaskoczony. Wyobraziłem sobie, że to przecież naturalne, by Ugaidi pamiętała dokładnie to samo, co Chuma Ugaidi – wizerunek, jaki na podobieństwo tej onkianki powstał w mojej głowie. I stało się.

- Uderzamy za cztery dni – kontynuowała. – Najlepiej jakoś w połowie pierwszej zmiany warty. Będą wtedy najbardziej zmęczeni, a druga warta będzie jeszcze smacznie garować w swoich jamach.

- Mamy lecieć w kit na tę jej trefną szpulę<sup>234</sup>? – burknął zza ściany Radża. – To nieumność<sup>235</sup>! Uroiła sobie to wszystko i śle nas na rzeź!

- Ależ z ciebie tępe futro, Radžo!

- Ja jej wierzę i wy też powinniście – dopowiedział Janga. Patrzył na hidayę w zamyśleniu. Nie przerywał, gdy mówiła, nie protestował. Na-

234 Czyli uwierzyć w jej wątpliwą relację.

235 Głupota.

prawdę jej wierzył. W końcu była drugim ogonem w *mbarii*. – My uderzymy. Jeśli chcecie tu zostać i zgnić w kajdanach, droga wolna.

- A co z trójką i czwórką? – pytał ktoś od nas. – Z nimi też trzeba się ustawić.

- Tak, ale nie będziemy przecież yczeć do nich przez korytarz – odparła Ugaidi<sup>236</sup>. – Podrzucimy im gryps jak za dawnych lat.

- A jeśli mają tam ucho? – zagadnął hadhi Haramisha. – Wszystko się rypnie jak pies, mówię wam.

- Jakie ucho, hadhi? Już ci to z kojbra wypadło<sup>237</sup>? Już tu nie ma Vijani, ciurmaki sprzątnęły ją stąd na górę kilka lat temu!

- O, wypraszam sobie! – wtrąca Chuma Vijani spod ściany z gierem. – Ciągłe tu jestem i wszystko słyszę!

- A jeśli jest tu gdzieś jeszcze jakieś ucho – kontynuowała Ugaidi, nie zwracając uwagi na hurysę – to sama wyrwę mu chlipało, gdy je dorwę!

Kątem oka spojrziałem na Sharię. Ani powieką nie mrugnął niewzruszony.

- A figury? W późniejszym etapie mogłyby nam się przydać – zaproponowała bodaj Lōzi.

- Mam gdzieś tę mochę służalczych psów! – warknął Janga. – Najchętniej ubiłbym ich wszystkich za jednym zamachem wraz z bukatami!

Wieczorem nasza cela pochłonięta była preparowaniem grypsu. Podobno w dawniejszych czasach była to powszednia praktyka komunikacji, później nikt nie miał już na to sił. Dla mnie był to rzadki widok. Janga wydarł kawałek ze starej derki i oznaczył jego brzeg swoimi *nukiami*. Potem nasi spierali się między sobą o to, jaka powinna być treść przekazu. Ostatecznie, ze względu na brak istotnych składników zapachowych, postawiliśmy na ogólność i prostotę. Z tego też powodu powstały dwa grypsy – osobno dla trójki i osobno dla czwórki. Oba pachniały podobnie: „Za trzy dni wielki bunt”.

Grypsy podrzuciła sama Ugaidi następnego dnia, podczas tyrki na poziomie. Sprawnie, zręcznie, bez problemów. Gorsze było co innego. W którymś momencie podczas drugiej zmiany bukatów zszedł z papugami Ordin A'Martern. Nasi aż się wzdrygnęli z przerażenia. Bratanek

<sup>236</sup> Yczeć to szaleńczo drzeć się bez opamiętania, zwykle na dźwiękach.

<sup>237</sup> Czyli z głowy.

Młynarza budził niepokój samą już swoją obecnością, a co dopiero, gdy w planach mieliśmy ucieczkę z Młyna.

- Grupami w szeregu na baczność, koty! – zakrzyknął. – Wity naprzód! – Tego nam jeszcze było trzeba. To oznaczało kontrolę pazurów.

Ordin wybrał ze wszystkich burt kilkanaście hurii i hurianek. Był wśród nich Sharia. Pod bukacką eskortą ruszył wraz z resztą ku schodom na górę. Aria z przerażenia nie mógł oderwać od niego wzroku. Jako jedyny oprócz mnie znał przecież tajemnicę naszego dawnego *rais*a. Sharia był uchem! Zdradził Zinaę i demony raczą wiedzieć, kogo jeszcze!

Byliśmy skończeni!

- Jak tam, Sharia? – pyta Ordin w tym specjalnym pomieszczeniu na trójce wśród dźwięków obcinanych obcęgami piór. – Spokój w haremie?

A Chuma Sharia odpowiada:

- Bez zmian. Wszystko w porządku.

- Na pewno? Nikt niczego nie planuje?

- Na bank, poruczniku. Jestem pewien.

- Dobrze. Pokażę ci coś. – Ordin sięga po coś z półki z narzędziami i z lekkim obrzydzeniem podaje to arufianowi. Przedmiot okazuje się być... naszym własnym grypsem zapisanym na kawałku wydartym ze starej derki! – Znalazłem ten kawałek cuchnącej szmaty u szczotki, której przed chwilą cięliśmy tu pazury. Czymś ci to pachnie?

Chuma Sharia doskonale wie, czym to pachnie, ale... nawet wąs mu nie drgnie. Jedynie udaje, że wnikliwie wącha *nukie* – tak naprawdę nosem oraz nadgarstkami niepostrzeżenie rozciera znaki, doszczętnie zacierając ich sens.

- Huryjskim moczem, oczywiście – odpowiada wreszcie.

- Zatem ten zapach nie niesie ze sobą jakiegoś ukrytego przesłania?

- Nic z tych rzeczy, poruczniku. Jedyne ukryte przesłanie jest takie, że huria, który nasikał na tę szmatę, ma problemy z nerkami i zdecydowanie za mało pije wody.

- No trudno. Przezorności nigdy za wiele. – Ordin uśmiecha się kąciakiem ust. – Idź. Jesteś wolny. Dobrze wiedzieć, że wszystko jest pod kontrolą.

Bunt rozpoczął się dokładnie wtedy, na kiedy zaplanowała go Ugaidi – w połowie pierwszej zmiany w czwarty dzień po wizycie Freia. Bębny. Dyskretnie, powoli nabierają tempa. Gdy tamtego dnia wychodzili rano

z celi, wszystko było dopięte na ostatni guzik. Noże naostrzone, umysły zwarte, wszystkie cztery burty w gotowości. Każdy z naszych miał swoje zadanie; każda kolumna, każda skarpa ziemi i każdy bukat – wszystko było uwzględnione w planie Ugaidi. Nie mogło się nie udać.

Równow w połowie pierwszej zmiany warty rozpoczęła Ugaidi:

- Teraz, hurie! – zakrzyknęła po naszymu.

I ruszyliśmy. Jak lawina. Jak szarańcza. Zewsząd. Kilofy, łopaty, noże, pazury, kły. Ze wszystkich sił! W bębny bić! W trąby dąć! Wszystko w szal! Drzeć! Gryźć! Szarpać! Ciąć! Na wszystkie demony!

Pierwszego powaliliśmy nim zdążył sięgnąć po miecz. Gruchnęły blachy. Zgraja hurii w momencie była już na nim. Aż go widać spod nas nie było. Ci za hełm targali, inni paski zbroi cięli, blachy rwali, łopatami boki tłukli, skórę piórami orali, mięso na kafle brali. Wszędzie krew. Nożem pies błysnął i któregoś drasnąc zdążył jeszcze, nim Ugaidi kilofem zmiażdżyła mu głowę z taką siłą ogromną, że aż posadzka popękała.

Padali kolejni strażnicy. Totalnie zaskoczeni i przerażeni. Takiego zrywu Młyn nie pamiętał i nigdy się taki już nie powtórzył. Efekt zaskoczenia minął, ale i tak tryumfowaliśmy. Nasi obrywali co prawda, lecz masą parliśmy naprzód, a bukaci ginęli jeden po drugim. Martwym wrywaliśmy miecze, noże, pałki i rzucaliśmy się na kolejnych. Mieliśmy przewagę. Niektórzy z odsłoniętych części ciała rwali bezogonom ich mięso i jedli je pośpiesznie, nie czekając nawet na ich śmierć. Jakże demony nasze w siłę w nas rosły, jakże jaśniała nadzieja na zwycięstwo i upragnioną ucieczkę. Żądza mordu tętniła w sercach; *nuki* ludzkiego strachu wypełniały płuca; a bukacka krew głęboką czerwienią farbowała futra. Czuliśmy się jak na najprawdziwszym polowaniu, zresztą czymże innym to było?

- Alarm! Bunt! – darli się bukaci, wzywając swych pobratymców. Nadaremnie! Nikt przecież nie mógł im już pomóc! Byli sami!

Garstka psów, jaka została przy życiu, jakimś cudem przedarła się do schodów. Ostrzami i pochodniami utorowali sobie przejście przez tych, co mieli pilnować drogi ucieczki. Ruszyliśmy za nimi, ale było zbyt wąsko, by ich tam okrążyć. Nasi w ciągłym szale szturmowali, próbując ich zrzucić, oni stopień po stopniu wycofywali się coraz wyżej. Reszta naszych obrzucała ich gruzem i kamieniami tak długo, jak się dało.

Dotarliśmy na siódemkę. Bukaci uciekali w popłochu w korytarzach drążonych między kolumnami. Jednego czy dwóch udało się tam dorwać

w biegu i zmasakrować. Reszta, oganiając się pochodniami, dotarła do schodów na szóstkę. Było ich wtedy już ledwo kilku.

Trzask! Nagły hałas wyrwał mnie ze świata wyobraźni. To była główna krata przy schodach – ta, którą ledwo widać, jak się dobrze wychylić przez pręty dzielące celę od korytarza. Zawiasy pośpiesznie zaskrzypiały i zamilkły. Brzmią posępne bębny. Bom-bom; powolny rytm, leniwie tętniący pod skórą. Do korytarza wlała się błękitna luna pochodni, złowieszczy stukot stalowych butów i krzyki popędzających się nawzajem bezogonów. Poderwałem się gwałtownie, aby doskoczyć pod same firanki i cokolwiek zobaczyć.

To zbrojni! Przelewali się przez główną bramę i biegli w kierunku schodów na niższe poziomy. No tak, zapomniałem o nich – musiała być przecież jeszcze druga zmiana. Ale to tyle, pomyślałem, wszystkich pozostałych powołano do pilnowania tego księcia w Borwoldzie. Pośpiesznie liczyłem bukatów, ale na dwudziestym pierwszym straciłem rachubę. Było ich więcej i więcej. Niemożliwe! Skąd oni się tam wzięli? To dawno już nie była druga zmiana! Jeden za drugim, bez przerwy wbiegali kolejni – z obnażonymi mieczami, zakuci od stóp do głów w stal. Zbyt wielu! Było ich zbyt wielu!

Na demony! Pomyliłem dni? A może to Frei pomylił dni? Albo książę się rozmyślił i nie przyjechał? Albo Ordin, znalazłszy nasz gryps, wzmógł czujność mimo zapewnień Sharii? A może Sharia jednak nas wydał? Przecież tak naprawdę nie było mnie przy jego rozmowie z Ordinem! Tylko ją sobie wyobraziłem! Albo ktoś z trójki lub czwórki okazał się być uchem? Albo Vijani – przecież Chuma Vijani słyszała nasze plany jak i to, co wówczas mówił pod celą Frei. A może Frei wszystko to sobie wymyślił? A może to ja wymyśliłem sobie Freia i cała ta historia o albińskim księciu to był jedynie wytwór mojej wyobraźni?



To działo się na szóstce. Bębny. Goniliśmy tych kilku niedobitków, gdy z góry zaczęła wbiegać cała atanda<sup>238</sup>. Wszyscy uzbrojeni po zęby. Mu-

<sup>238</sup> Oddział zbrojnych.

sieli usłyszeć szufir i bukackie jęki. Nie tak miało być! Mieliśmy ich zaskoczyć na jedyne i poderżnąć im gardła podczas snu! I na pewno nie miało ich być aż tylu! Był ich cały legion! Skąd sięagle tylu wzięło?

Zatrzymaliśmy się w zwartym szeregu w poprzek szerokiego korytarza. Bukaci ustawili się jakieś pięćdziesiąt metrów od nas w zwartym szpalerze, blokując drogę do schodów na piątkę. Bom-bom. Naramiennik przy naramienniku, hełm przy hełmie, miecz przy mieczu, kusza przy kuszy. A po drugiej stronie – bom-bom – kilofy, łopaty, pałki, kilka wytarganych bukatom mieczy trzymanyh przez bandę spracowanych i wychudłych niewolników, których jedyną zbroją były żelazne kajdany na nogach i rękach. Wówczas to oni mieli przewagę. Bom-bom.

Stali tam tak. I my staliśmy. W napięciu wpatrywaliśmy się w siebie. A z góry, z kolumn przypatrywała się nam niezliczona rzesza kamiennych bestii, skrzydlatych aniołów, diabłów, upiorów, demonów, pegazów, smoków, syren... Na szóstce najpiękniejsze były stworzenia. Obserwowały nas. A my – zęby zaciśnięte, ogony nerwowe, oddechy płytkie, wzrok skupiony na stalowej ścianie przed nami. Czekaliśmy.

- Niech to larwa! – jęknęła Ugaidi.
- Do psa podobne! – dopowiedział Haramisha.
- Dwie *mbarie* i sześć – rzucił Gwaya.
- Na demony! Oni nas zmasakrują! – szepnęła Lōzi.
- Poddajcie się teraz, koty – szczeknął dozorca z drugiego końca korytarza. – Rzućcie broń i nie róbcie głupot!
- Chodźciez tu na kafle, psie pyski – krzyknął zaczepnie Radża, ale nawet w jego głosie słyhać było lęk. Drżeliśmy, myśląc, czy by się nie wycofać w głąb Młyna, na niższe poziomy.

I wtedy niespodziewanie przemówił Sharia:

- Jeżeli mam zginąć w tym podziemiu, zginąć chcę jako huria z podniesionym ogonem, a nie jako niewolnicze ścierwo, jakie wyhodowali sobie bukaci na iakkowym mięsie. Czeka na nas poranna kąpiel w złotych promieniach słońca, dzika krew wśród drzew i miękki sen w ich koronach! Naprzód, hurie!

Podziałało. Nie wiem jakim cudem, ale podziałało! Zakrzyknęliśmy wielkim chórem i cwałem ruszyliśmy przed siebie, wszystkie burty. Zbrojni odpowiedzieli błyskawicznie salwą ze swych kusz, potem z okrzykiem na ustach ruszyli na nas.



To była rzeź. Istna rzeź! Nasi padali jak muchy. Ci, którzy od razu nie oberwali bełtem, wpadli w kolczasty gąszcz mieczy, z łatwością przesywających nasze kadzienniaki i drących nasze ciała na strzępy. Zewsząd tryskała huryska krew. Któryś ze zbrojnych stracił równowagę i runął na posadzkę, przygniatając mnie zupełnie. Zaraz rzuciła się na niego sfora naszych; myślałem, że mi kości połamią. Niejeden bezogon zginął w tamtej bitwie, ale widok strat po naszej stronie był porażający. Gdy próbowałem wydostać się spod dogorywającego cielska, na własne oczy widziałem jak kolejni, których znałem z naszej lub z pozostałych burt, ginęli pod naporem śmiertelnych ciosów. Widziałem... jak bukackie ostrze przeszło Gwayę tak głęboko, że aż wybiło mu się na wylot przez plecy; widziałem... głowę Lōzi, gdy odcięta od ciała wirowała w powietrzu i przefrunęła mi przed oczami, a potem jak toczyła się po posadzce; widziałem... jak któryś z bukatów wbił miecz w moją Matkę, gdy ta klęczała na posadzce, a bełt strażniczkiej kuszy wystawał jej z gardła. Kolejni i kolejni dogorywali, leżąc na trupach tych, co już umarli.

Nie! Nie! Nie! To nie mogło tak się skończyć!

Leżałem tam zupełnie sparaliżowany, nie wierząc temu, co widziałem, a wir szaleńczej walki działo się wokół mnie, jakby mnie ignorując. Zdruzgotany spojrzałem w górę. I wtedy je dostrzegłem. Nie były wytworem mojej wyobraźni. A jeśli nawet, to wyszły z niej i stały się prawdziwe. Wszystkie one były tak bardzo prawdziwe...

Kamienne maszkarony przytwierdzone do kolumn zaczęły nagle ożywać. Odrywały się ze skały, przeciągały, rozpościerały skrzydła i nagle z wrzaskiem tak wielkim, jakby sama otchłań ryczała, dawały nura prosto w dół. Wszelkiej maści bestie i poczwary spadały zewsząd w nasz korytarz i jak wściekła szarańcza rzucały się na bukatów. Twardymi pazurami przebijaly ich pancerze, zębatymi paszczami szarpały za kończyny, szponami oręły wytrącały, ciężkimi ogonami z nóg zwalaly. Były po naszej stronie! Role ponownie się odwróciły! Znowu staliśmy się łowcami, a oni – naszą zwierzyną. Trąby, grać! Skrzypki, do wtóru! Niechaj grzmia radośnie! Nasi – to jest ci, co przeżyli – z zapartym tchem obserwowali, jak armia kamiennych maszkaronów roznosi w puch bukacką atandę. Zbrojni z początku stawiali opór, ale po chwili zaczęli się w popłochu wycofywać na schody. „Żadna stal nie może się równać z potęgą wyobraźni!” – zagrzmiało echo i rozeszło się między kolumnami.

Parliśmy naprzód. Bukaci z coraz większym przerażeniem uciekali w górę Młyna, próbując nie dać się okrążyć przez rozwścieczony kamienny legion. Nie istniała taka siła, która byłaby w stanie ten żywioł zatrzymać. Na kolejnych poziomach dołączały nowe zastępy stworzeń. Na piątce były to ogromne mechaniczne bestie pachnące metalem i olejem, wirowały w nich najróżniejsze koła zębate i przekładnie, a z ich ciał buchała gorąca para. Na czwórce ożyły te wijące się ornamenty i niczym krwiozercze łodygi lub gałęzie chwytaly bukatów za ręce i nogi. Na trójce powiłał zbrojnych cały zastęp kanciastych sylwetek bezogonów o pięściach jak młoty. Trójka była tak niska, że parowe monstra z piątki kroczyć musiały schylone, a i tak iskry o sklepienie krzeszały. Wszystko się trzęsło, myśleliśmy, że cała ta wupa zaraz runie. Niewielu bukatów przemknęło przez te wszystkie poziomy. Garszka, która ostała się przy życiu, dotarła do schodów na dwójkę. Wbiegli na nasz mieszkalny pokład, ale zatrzymali się – najwyraźniej trafili na dolną kratę i nie mogli jej w pośpiechu otworzyć. Pierwsza linia kamiennych bestii rozerwała ich wszystkich na strzępy, a żelazne pręty wywała z wielkim hukiem.

Wówczas już bez żadnego oporu biegliśmy naprzód przed siebie głównym korytarzem, a kamienna armia bestii dotrzymywała nam kroku. Na rozwidleniu, przed główną kratą przy schodach na górę zatrzymało nas czyjeś wołanie z lewej:

- Zatrzymajcie to albo kociak zginie!

Otworzyłem oczy. Byłem z powrotem w celi. Obudził mnie czyjś okrzyk. Spojrzałem za pręty krat. To był Ordin. Ordin A'Martern, bratanka Młynarza. Przez kratę mierzył do mnie z kuszy.

- Ani drgnij, skokobryku – szcęknał ciszej w moją stronę, wzroku nie spuszczaając z rozwidlenia.

- Ależ strzelaj śmiało! Toż to tylko chekechea! – krzyknęła echem z głównego korytarza Ugaidi.

„Może i chekechea, ale to dzięki mnie żyjesz”, pomyślałem wtedy. „Moje życie cenniejsze jest nad życie każdego z twej celi, onkianko, nawet twoje własne”, dopowiedziałem w myślach, cytując słowa dawnego *raisa*. Wreszcie pojąłem, o co mu wtedy chodziło! Wtedy, gdy zdradził Zinaę, by mnie bronić od pracy w kuźni. Nie wiem, skąd on wiedział, że miałem w sobie demona o tak wielkiej mocy, ale nawet Ordin w to uwierzył, skoro

próbował cokolwiek wskórać, grożąc im moją śmiercią. A miałem niegdyś tyle wątpliwości, że Frei wszystko to sobie wymyślił...

I właśnie wtedy go zobaczyłem – pomiędzy nogami kamiennych bestii, co stały w korytarzu przed główną kratą. Tuż za jej prętami, pod ścianą kulił się przerażony Frei, ściskając w rękę pęk kluczy. No tak! Przybył mnie uwolnić, bym mógł zobaczyć słońce i gwiazdy. Taki był jego plan...

Tymczasem Ordin wciąż mierzył do mnie z kuszy, a kamienna armia wciąż stała z huriami w głównym korytarzu. „No, dalej!”, pomyślałem tylko. Nasi nie zdążyli nawet mrugnąć okiem. Dwa małe, kamienne, skrzydlate smoki wystrzeliły z miejsca i w jednej chwili błyskawicznym susem dopadły Ordinowi do gardła.

Usłyszałem tylko klang zwalnianej ciężkiwi i świst rozpędzonego bełtu.

Potem widziałem jak te kamienne smoki rozerwały na strzępy stalowe płyty zbroi Ordina, jak pożarły jego ciało. Potem widziałem jak Frei doskoczył do głównej kraty, blokującej naszym drogę na wyższe poziomy. Słyszałem jakieś głosy z oddali:

- Tępy karakanie! Co ty wyprawiasz?! Frei, ty zdrajco! – To pewnie bukaci z wyższych partii schodów krzyczeli tak na swego pobratymca.

Potem widziałem... gdy krata stała już otworem i nasi biegli na górę... widziałem jak któryś z hurii zatrzymał się nad Freiem, jak... zamachnął się kilofem i wbił go w ciało tego bezbronnego chekechei, po czym wyrwał z jego ręki... pęk kluczy... Frei był przecież po naszej stronie! Był po mojej stronie... Gdy patrzyłem, jak umierał... któryś z parowych golemów zachwiał się i... runął całym swym skalistym cielskiem na główną kratę... Aż iskrami sypało, gdy z ogromnym zgrzytem... gwałt sobą żelazne pręty, wyrrywając niektóre ze ścian... Kamienny golem z łoskotem padł na ziemię... i rozplynał się w powietrzu... Pozostał po nim zastęp pyłowych bestii, jakie swym złotem zalały cały korytarz...

Potem spojrzałem w dół... Klęczałem... Ręce i dłonie oblepione miałem jakimś złotym pyłem... Sierść – zalaną krwią, a z klatki piersiowej... wystawał mi bełt strażniczej kuszy... Z trudem podniosłem głowę. Za kratą celi stali... Chuma Sharia... Chuma Vijani... Chuma Ugaidi... Wpatrywali się we mnie... A ja... w nich... Powoli rozplýwali się w powietrzu... Pozostawiali po sobie... chmury złotego pyłu... Nie mogłem... złapać tchu... wszystko ogarniała... wszechobecna... ciemność... Ostatkiem sił prze-



**CZĘŚĆ  
DRUGA**





zedłem przez główną kratę, pogiętą i wyrwaną niemal z posad, i ruszyłem w górę, w kierunku ciepłego, żółtego światła. Biło ono z pochodni na schodach. Z trudem brnąłem przed siebie, myśląc o tym, ilu z naszych zostawiliśmy martwych za sobą. Wszystkie te ożywione kamienne stworzenia, jakie nam towarzyszyły, nagle rozplynęły się w powietrzu, pozostawiając po sobie pył i piach. Zostaliśmy sami. Była nas ledwo garstka – niewiele ponad dwadzieścia jeden hurii<sup>1</sup>.

Wpadliśmy na jedynekę. Strażnicy najwyraźniej uciekli z Młyna, zresztą niewielu ich mogło pozostać żywych. Zdecydowana większość zbiegła przecież w pełnym rynsztunku tłumić nasz bunt. Rozdzieliliśmy się na kilka grup, szukając niedobitków. Ci, co byli z Radżą, moim dawnym *raisem*, poszli znaleźć i zamordować Młynarza. Inni splądrowali spiżarnię pełną luksusowego mięsiwa, starczyło tego dla wszystkich. Ja wraz z kilkoma huriami z trójki i czwórki odnaleźliśmy kuźnię.

- Luźne stylisko! Cóż to ma znaczyć? – rzucił zaskoczony kowal, gdy wtargnęliśmy do środka. To był Bradach. Chekechea wiele mi o nim opowiadał. Brodaty barbarzyńca o twarzy pokrytej bliznami porzucił wykuvanie rozgrzanego do czerwoności miecza i zgodził się współpracować. – Jestem z wami, hurie – mówił nawet.

Pozbyliśmy się kajdan. Po tylu latach niewoli jakaż to była ulga!

Z pomocą kowala i jego narzędzi sforsowaliśmy bramę wejściową na końcu głównego korytarza. Łuna dziennego światła biła od strony schodów, w nozdrzach wirowała feeria niespotykanych *nukii*. Po kamiennych stopniach wyszliśmy na otwartą przestrzeń najwyższego poziomu. Łapczywie wciągając świeże, chłodne powietrze, szliśmy przez kamienny las kolumn. Przez wielkie połacie niedokończonego, lub nawet niezaczętego jeszcze, stropu przebijiała się jasność dnia. Zewsząd sterczały rusztowania, a wiele z filarów było ledwo zaczętych – zupełnie tak, jak w opowieści Vijani.

1 Ciii... wszystko się wyjaśni w swoim czasie.

Dotarliśmy do drewnianych schodów, przylepionych do zewnętrznej ściany Młyna – tych, o których Chekechei opowiadał z kolei Bradach. Delektowałem się każdym krokiem. Nadeszło to, co przez tak wiele lat zdawało się niemożliwe. Byliśmy wolni!



Byłem rozczarowany. Nie tego się wtedy spodziewałem. Ten kolorowy świat, jaki nas mamił przez te wszystkie lata i ze wszystkich sił zachęcał do ucieczki, okazał się naiwną uludą. Ciepłe promienie słońca miały nas oblewać magicznym światłem, złotem malować miały te kolumnowe konary, gałęzie i rusztowania poprzyklejane w górze niczym gniazda wielkich ptaków. Szarość przeistaczać miały w pomarańcz, by tą z kolei przemieniać w czerwień. Zaś niezliczona horda kamiennych demonów i bestii ostrymi konturami wycinać miała w kamieniu coraz dłuższe czarne mozaiki cieni. Stąpać mieliśmy po miękkiej sierści zielonej trawy. Chekechea wierzył, że tak to właśnie będzie wyglądać, gdy już wyjdziemy; zresztą sam kładłem mu do głowy te farmazony, próbując przy okazji oszukać samego siebie. Zamiast po trawie stąpaliśmy po hałdach młyńskiego żwiru i gruzu; zamiast kolorowych promieni słońca było chłodno, szaro, ponuro i mokro.

Chociaż...

Niebo zasłaniały ciemne i gęste chmury, ale nas tak bardzo oslepiła ich blask, że aż mrużyliśmy oczy. Powietrze było tak świeże i tak rześkie, że wręcz się nim krztusiliśmy – tak bardzo byliśmy do niego nieprzywykli. Na sierści poczułem podmuch wiatru. Choć zimny był i wilgotny, miał w sobie coś... kojącego. Szum odległego lasu zdawał się być jakąś... muzyką, o której istnieniu zdążyłem dawno już zapomnieć. Napierający zewsząd bezkres nieograniczony z żadnej strony paraliżował, ale... jednocześnie odurzał jak najlepsze kileo.

I wtedy zaczęło padać. Woda spadająca z chmur. Istny cud natury, pomyślałem sobie. Zacząłem ją pić prosto z nieba; zlizywałem z własnego nosa, była jak boski nektar! Strugami spływała mi po sierści – spływała i zabierała ze sobą młyńskie *nukie*. Jakże symboliczne.

Przedziwne było to pierwsze doświadczenie wolności. Infantylnie rozczarowanie zderzyło się z nieoczekiwaną rozkoszą.



To, co robili inni, pamiętam jak przez mgłę. Gdy wyszliśmy na powierzchnię, nie było tam już nikogo. Bukaci, którzy przeżyli szturm i zdołali się wycofać na górę, uciekli. Nawet figury porzuciły swe zajęcia i też gdzieś umknęły, korzystając z okazji. Janga gdzieś się stracił, ale nikt nie widział, by umierał. Sharii też nie było. Większość tych, co pozostali z celi numer jeden, skupiła się wokół Ugaidi i Haramishy. Wraz z kilkoma huriami i huriankami z trójki i czwórki nie chcieli zostawać ani chwili dłużej. Mimo deszczu ruszyli pośpiesznie przed siebie, pragnąc odnaleźć utraconą ojczyznę. Reszta, skupiona wokół Radży, zdecydowała się wrócić do Młyna, by zabrać to, co mogło się nam jeszcze przydać.

Z jakiegoś powodu zostałem z nimi, acz tak w zasadzie to zastanawiałem się, co ja tam jeszcze robię pod ziemią? Gdy zesliśmy na szóstkę, niemal nie zemdlałem, gdy zobaczyłem te wszystkie ciała. Ledwo trzymałem się na nogach, gdy słyszałem, jak szlachtują kolejnych z naszych, by skrócić im cierpienia.

- Przecież tak nie można! – wołał któryś. – Chcecie ich wszystkich tu zostawić na pewną śmierć?

- Oczewidno, że nie!<sup>2</sup> – zagrzmiął swym tubalnym głosem Radża, po czym wbił bukacki miecz w serce hidayi dogorywającej na ziemi w kałuży własnej krwi. – Dobijcie wszystkich ciurmaków i tych z naszych, co nie pójdą o własnych siłach. Niechże tu nie skomla!

Wszechobecny zapach krwi drażnił zmysły aż do bólu, zresztą w śliskiej mieszance huryskiej i bukackiej farby brodziliśmy nawet i po skoki. Burta obdzierała martwych bukatów z tych kawałków zbroi i broni, które mogły okazać się przydatne. Większość stalowych płyt była pogięta i podziurawiona przez te kamienne bestie, co nam wówczas pomogły. Spojrzałem w górę. Maszkarony przytwierdzone do filarów spoglądały na nas w bezruchu jak gdyby nigdy nic. Stałem tam oparty o ścianę, nie mogąc już patrzeć na to, co robili pozostali, ani tego słuchać. Być może to dlatego zagadnąłem wtedy do Radży:

- A martwi? Powinniśmy przenieść ich na powierzchnię i zorganizować ceremonię Maiti.

- Prawilna nieumność! – odparł, wyszarpując z bukata zdalny jeszcze naramiennik. – Nie ma na to czasu! Pastuchy, co nam wydebily, wezwą pomoc. Może dziś, może jutro będzie tu pełna szajba<sup>3</sup>.

2 Czyli: oczywiście, że nie.

3 To jest pełno wojska.

- Zatem ciała wszystkich tych hurii i hurianek mają tu zgnić, a ich demony mają się błąkać po tych lochach po kres dni?

- Ależ z ciebie jest frant! Wygraliśmy starcie, ale jeśli zaczniemy się zajmować umarłymi, wnet podzielimy ich los. Przestańże tam robić za szpagata, pardianie, i śmigaj skoro do roboty!

- Śpieszno ci, by mordować bezogonów! Pragniesz zemsty!

- Ano śpieszno! Śpieszno nam wybić tyłu, ile zginęło tu naszych, a jak sił starczy, to nawet i więcej! Trzeba wytrzebić ten ograniczony gatunek! Wybierzemy czułe punkty i tak w nie dźwiękniemy, że aż echo zahula. Jeśli trafimy w naprawdę czułe punkty i nie opuści nas fart, to lawiną rozsypią się te ich wsie, miasta i narody. Tylko tak ocalimy nasze ziemie za Wielką Wodą przed tą rozprzestrzeniającą się zarazą. Świat będzie piękniejszym miejscem, gdy wszystkich tych ludzi pogrzebie już ziemia!

Wtedy coś mnie tknęło i tak się mu postawiłem:

- Skąd ta pewność, że my jesteśmy lepsi od nich?

Radza zdziwił się tym zupełnie i spojrział na mnie wnikliwie:

- Udam, że nie słyszałem tej zdrażliwej obelgi – warknął. – Miej się na baczności i lepiej nie wchodź mi pod pióra!

Zagadnęła mnie jeszcze Fadhili, moja milcząca siostra:

- Gdzie pójdziesz? – pytała. – Nie ma już domu. Bezogoni wycięli nasze lasy i wypalili nasze rewiry. Nie pamiętasz? Chcesz przeprowadzić się przez Wielką Wodę i tam wrócić? Przestańże żyć marzeniami, Ario.

Posępnie jej odparłem:

- Jakbym przestał żyć marzeniami, przestałbym żyć w ogóle.

Wtedy ostatni raz widziałem moją siostrę. Nigdy już jej później nie spotkałem. Nie poszedłem z nimi. Gdy odeszli, zostałem w Młynie sam.

Może tak było lepiej?

Zrobiło się tak cicho i pusto. Kolumny echem odbijały moje kroki, skwierczała tłąca się jeszcze pochodnia, gdzieś w oddali dudniła kąpiąca woda. Podszedłem pod celę numer jeden. Ciało tigriańskiego Chekechei leżało za jej kratami w kałuży krwi. Głęboko wbity bełt wystawał z klatki piersiowej. Rozejrzałem się. Nieopodal znalazłem rozszarpane szczątki bezogona – kończyny miał oderwane od ciała, twarz zupełnie zmasakrowaną, ale po *nukiach* można było wyczuć, że był to Ordin A'Martern. Wszyscy od dawna życzyli mu takiego końca i cóż... ziściło się. Pęk kluczy, którym otworzyłem kratę z jedyńki, znalazłem na poziomie bukatów – porzucony

przy głównej kracie na zewnątrz. Wyciągnąłem ten sterzący belt, po czym przykleknąłem obok martwego ciała Chekechei, by szepnąć mu na ucho:

- Bracie mój, tobie mówię, wstań!

Nie podziałało, oczywiście, ale warto było spróbować, pomyślałem... Zaniósłem jego ciało na górę, na najwyższy poziom. Wówczas już nie padało. Za pomocą liny, jaką znalazłem w lochach na jedynce, wciągnąłem je na którąś z wyższych kolumn, jakie tam były, i przytroczyłem do rusztowania na jej szczycie. Było to może dwa i pół, może trzy metry nad posadzką, a jakiś metr nad poziomem gruntu. Dość improwizowana wyszła z tego ceremonia Maiti, ale nie miałem wtedy środków, by zorganizować to należycie<sup>4</sup>. Wziąłem ze sobą ciepłą derkę i trochę prowiantu, po czym wspiąłem się na inną kolumnę – tak by nie tracić z oczu ciała Chekechei. Ptaki zleciały się może po godzinie, może po dwóch. Był już ciemny wieczór.

W zasadzie do dziś nie jestem pewien, dlaczego to wszystko wówczas uczyniłem – przecież to był tylko chekechea. Ale zżyłem się z nim. Był w Młynie moim najlepszym duetem. I jedynym...

W nocy się rozpogodziło. Ciemne chmury, co zasłaniały niebo, przewiał wiatr, odsłaniając gwiazdy. Jaki to był cudowny widok! Byłem nim oszołomiony. Mam wrażenie, że nigdy już później nie widziałem tak bardzo rozświetconego nieba. Ten mały Chekechea może nie do końca tak sobie wyobrażał swoje Uhai. Ale właśnie się spełniało... na swój sposób. Miały być gwiazdy nad głową, no to były. To chyba wtedy wpadł mi do głowy kaprys, by przejść tę próbę zamiast niego – tak, jak tam byłem.

Jakaż szkoda, że nie mogłem zobaczyć własnymi oczami tego świata, o którym tak bardzo marzył. Z tęsknoty za wolnością zaczął żyć we własnym świecie, w naiwnym świecie własnej wyobraźni. Z czasem przestał już odróżniać jawę od snu.

Urodził się w celi Młyna. Jakież to było nierozważne, by w tamtych warunkach decydować się na chekecheę, ale może czegoś tam nie wiem. Bli-

<sup>4</sup> *Huryjski rytuał pogrzebowy nakazuje oddanie ciała zmarłego drapieżnym ptakom latającym na pożarcie poprzez pozostawienie go na ceremonialnym stosie lub drewnianej konstrukcji. Według huryjskich wierzeń, ptaki poprzez konsumpcję przejmują demona, który w tym ciele zamieszkuje. Gdy wleczą w powietrze pod samo niebo, demon, będąc samemu nieśmiertelnym, ulatuje wyżej, ponad nasz świat. W ten sposób domyka swoją ziemską wędrówkę – od sfer najniższych, podziemnych aż do sfer niebiańskich. Hurie nie wierzą w odradzający się cykl życia. Są zdania, że demony jedynie tymczasowo zamieszkują ich ciała – pochodzą z głębin ziemi i, wzrastając na sile, starają się wędrować tylko w jednym kierunku – wwyż, ku niebu – przyp. tłum.*

żej poznaliśmy się przez ścianę, gdy jeszcze byłem w dwójce, w *mbarii* Radży – to było po tym, gdy rzuciłem się na strażnika w dzień śmierci Remby Roho, a bukaci zamknęli mnie w kabarynie i stłukli tak mocno, że ledwo to przeżyłem. Kiedy w celi dochodziłem do siebie, zagadnął do mnie zza ściany. Wówczas był mi obojętny – wręcz trochę mnie irytował. Zmieniło się to dopiero wtedy, gdy dla kaprysu przenieśli mnie do jedyńki, pod Jangę. Jakimś cudem znaleźliśmy z tym Chekecheą wspólny język. Co mnie zaskoczyło, zdawał się dostrzegać to, czego nie zauważali inni. Zaufałem mu i opowiedziałem o swoich spostrzeżeniach na temat Młyna, on – zwierzył mi się ze swych lęków i marzeń.

Od samego początku zostawiany był sam w celi na całe dni, gdy my wszyscy szliśmy do tyrki pod pokład. Z tej samotności wymyślił sobie, że odwiedza go nowy klucznik Młyna, Turam, przezywany przez pozostałych Tuflem albo drewnianą nogą. Fakt, pojawił się taki mniej więcej wtedy, gdy wetknięto mnie do karceru. Codziennie otwierał i zamykał kraty, ale szczerze wątpię, by każdego dnia schodził i przynosił małemu luksusową żywność. Po co jakikolwiek strażnik miałby to robić? Prawda, czasem było czuć pod jedyńką mglistą sugestię zapachu wybornej kielbasy, gdyśmy z tyrki wracali do celi, ale przecież zmysły z wycieńczenia i nam płatały figle.

Z samotności wymyślił też sobie, że odwiedzała go mysz, że ją dokarmił bomsem i oswoił. Ubzdurał sobie, że to jego siostra. Nigdy jej nie widziałem, ani nie czułem jej zapachu. Którejś nocy rzeczywiście trafił do jedyńki jakiś zabłąkany gryzoń, ale to Zinaa go upolował, zabił i zjadł. Mały uroił sobie, że to była właśnie ta jego siostra oraz że ją wskrzesił siłą własnych myśli. Siłą własnych myśli miał też spowodować zawał za poziomie i zabić w odwecie Zinaę. Ten zdolny i urodziwy pardian rzeczywiście zginął przywalony gruzem i kamieniami, a Chekechea obwiniał się o jego śmierć.

No ale ta jego próba Uhai z udziałem klucznika zamkniętego na pokładzie jego własnymi kluczami była jak najbardziej prawdziwa, było o niej głośno; tak samo jak prawdziwe były jego nowe kajdany na nogach i rękach. Wątpiłem tylko w tego ludzkiego chekecheę, którego miałby spotkać tam na górze, i który potem miałby pojawiać się pod celą – raczej go sobie wymyślił. Co miałby robić ludzki chekechea wśród gromady wojskowych z dala od swej matki? Podczas szturmów nie czułem nigdzie jego *nukii* ani nie znalazłem jego ciała. A jeśli już mowa o tej naszej ucieczce z Młyna, to cała ta historia o albińskim księciu i zmniejszeniu straży była wytworem jego chorej wyobraźni. Byłem tego pewien. Tylko nie wiedziałem, jakim sposo-

bem skłonił Ugaidi, by w to uwierzyła i uznała za pewnik. Tak samo do dziś nie mam pojęcia, skąd się wzięła ta armia kamiennych bestii, tam w dole. Widzieli je wszyscy, bez nich strażnicy wybiliby nas co do jednego. Ten mały Chekechea miałby obudzić je do życia za pomocą jakiejś wrodzonej magii? To przecież niedorzeczne.

Przykryty derką przed chłodem podziwiałem z wysokiej kolumny ten kamienny las. Ten Młyn... Spędziłem w nim ogromną część mojego życia. Odniosłem wrażenie, że spośród wszystkich hurii i wszystkich bezogonów najlepiej zdołałem go pojąć. Choć po dziś dzień pozostał dla mnie tajemnicą bez odpowiedzi. Skąd się tam wziął, czym był, kto go zbudował i po co? A raczej: jaka siła tchnęła w niego życie i nakazała pięć się w górę?

To przedziwne miejsce pożarło łapczywie jakąś część mnie i już nigdy mi jej nie zwróciło. Część mnie pozostała tam już na zawsze. Raz uwięzieni pozostajemy więźniami do końca swych dni. Może dlatego tak trudno było mi się wówczas rozstać z Młynem...



Obudził mnie oślepiający blask. Zdawał się palić moje oczy. Czuję ból. Myślałem, że umarłem. A to słońce było. Piękna, złota słoneczna tarcza, wychylająca się zza horyzontu. Jeszcze przez kilka tygodni moje oczy cierpiały z tego powodu – tak bardzo odzwyczajone od dziennego światła.

Zostałem tam na dłużej, na tej kolumnie. Podziwiałem błękit nieba, różnorodność chmur, majaczące w oddali góry, szybujące w powietrzu ptaki; napawałem się ciepłem słonecznych promieni, błogim lenistwem i brakiem strażników. Jakie to było szczęście wreszcie ich nie widzieć ani nie słyszeć. Oto wolność była!

Wyruszyłem dopiero pod wieczór. Prócz derki, jaką miałem ze sobą, niczego z Młyna nie wziąłem. Szedłem na Południe, a w tamtej części świata oznaczało to kurs na Dziób, może odrobinę na dziobową Sterburtę. Wschodzący księżyc Polemos swą krwistoczerwoną poświatą wskazywał mi kierunek, podczas gdy większy, zimnoszary Eirini, chyląc się już ku zachodowi, wciąż jeszcze intensywnie rozjaśniał moją drogę. Nie byłem pewien, dokąd właściwie zmierzam. Fadhili miała rację – na naszych dawnych terytoriach za Wielką wodą najprawdopodobniej nie było już czego szukać. Wiem tyl-

ko jedno: tamtej nocy rozpocząłem podróż, która nigdy się nie skończyła; trwa po dziś dzień i trwać będzie. Tak być musi.

Na dziobową Sterburtę od Młyna szedł jakiś ubity trakt, widać było na nim ślady wozów i żelaznych butów. Pamiętacie, co mówił Radża? Po jednym lub dwóch dniach od naszej ucieczki miała się tam zjawić kohorta zbrojnych. Nie miałem pojęcia, czy w ogóle wysłano jakiegokolwiek wojsko na tłumienie naszego buntu, ale wolałem go nie spotkać, więc na wszelki wypadek wszedłem w gęsty las. Tak zresztą łatwiej było upolować coś na ząb.

Pamiętam jak dziś smak drobnego królika, którego upolowałem tamtej nocy gołymi rękami i zjadłem zupełnie na surowo. Cudowne, dzikie, ciepłe jeszcze mięso. Dopiero wtedy stałem się w pełni wolnym hurią. Czułem jak nowy demon wypełnił moje ciało. Namęczyłem się, by go schwycić, jakbym nigdy w życiu nie podchodził zwierzyny! Gdy polowałem poprzednim razem, byłem ledwo chekecheą...

Jak to dobrze było zamienić kamienne drzewa na te prawdziwe! Zapach świeżej żywicy orzeźwiał mnie i pchał dalej przed siebie. Dniem i nocą szedłem niez mordowanie przez ten las. Przedzierałem się przez wysokie trawy, gęste zarośla, zapuszczone zagajniki, pnie powalone przez wichury, obrosnięte mchem i pnączami. Spałem niewiele, acz dogodnych gałęzi wśród koron drzew było pod dostatkiem. Po drodze, bez żadnej broni upolowałem jeszcze bażanta i jakiegoś porzuconego warchlaka; znajdowałem tropy lisa, wilka, jelenia i prawdopodobnie forrestera, do dziś nie jestem pewien. Ileż w tym lesie było życia, ileż zapachów, barw, dźwięków. Byłem nimi oszołomiony! Doświadczałem ich przecież po raz pierwszy w życiu. Było pięknie!

Dlaczego tam nie zostałem? Nie wiem. Coś pchało mnie naprzód. I wcale nie był to strach przed ludźmi.

Rankiem drugiego dnia mojej wędrówki dotarłem na skraj lasu. Teren przez całą noc, falując to w górę, to w dół, powoli wznosił się wyżej i wyżej – ewidentnie wspinałem się na jakieś wzniesienie. Drzewa ustąpiły miejsca niższemu krzakom i zaroślom, odsłaniając szerokie zbocze, częściowo tylko porośnięte niską roślinnością. Wdrapałem się na grzbiet, a gdy rozejrzałem się tam, na górze, aż usiadłem z wrażenia.

Na dziobowej Sterburcie słońce ledwo co wyszło znad horyzontu zasłonięte jeszcze mlekiem poranka. Poniżej rozpościerała się równinna kraina – zza wschodzących mgieł wyłaniały się przytłumione barwy zielono-pomarańczowego futra lasów i nie mniej kolorowe skrawki gołej ziemi lub szorst-

kiej sierści pól, na których bezogoni zwykli uprawiać swoje zielsko. W promieniach słońca mieniła się odległa rzeka, przebiegająca slalomem przez to widowisko. Przedemną, w kierunku Dziobu, zbocze schodziło w głęboką dolinę jeszcze jednej rzeki, płynącej kręto z Bakburty na Sterburtę. Na Sterburcie wpływała do jakiegoś ludzkiego miasta, w oddali mającego zarysem swych murów. Zarówno rzekę, jak i miasto bezogoni nazywali Alm, później się o tym dowiedziałem. Po drugiej stronie doliny teren wspiął się na zalesione zbocze grzbietu, który zasłaniał mi dalszy widok na Dziób. Na Bakburcie grzbiet ten wchodził w wyższe wierchy, o złotych w porannym słońcu, skalistych szczytach. Gdy odwróciłem się za siebie, w kierunku Rufy, zobaczyłem piękną, olbrzymią kotlinę okoloną w oddali wysokim pasem zaśnieżonych gdzieniedzie gór, a wypełnioną gęstym lasem, niknącym w bajecznych mgłach. Gdzieś w tej puszczy, myślałem, musiał być Młyn. Nie było go jednak widać.

Zboczem ruszyłem w dół doliny. Wzdłuż rzeki biegła wąska ścieżka. Być może było to nieco ryzykowne, wszak wciąż kryłem się przed albińskim wojskiem, ale poszedłem tą ścieżką w dół rzeki po odkrytym terenie, nie mając nawet pojęcia, dokąd mnie ona doprowadzi. Chyba próbowałem za wszelką cenę odsunąć moment, w którym musiałbym zanurzyć się w tej lodowatej wodzie, by iść dalej na Dziób.

Opląciło się. Minęło może pół godziny, może mniej, gdy dostrzegłem zawieszony nad rzeką drewniany most. Wybawienie! Mostem poprowadzono szeroką drogę, idącą mniej więcej z Rufy na dziobową Sterburtę. Do drogi tej nieco powyżej brzegu dobijała ta ścieżka, którą szedłem.

Już wcześniej nieraz zastanawiałem się, co zrobić, gdy kogoś spotkam? Będę kogoś udawać? A może lepiej mówić prawdę? W ogóle jak długo miałem się tak ukrywać? Nieraz żałowałem, że nie poszedłem z Radzą. Nie miałem wówczas bladego pojęcia o albińskim świecie – wiedziałem jedynie to, co usłyszałem od Chekechei, co jemu z kolei opowiedział klucznik Turam. Na ile było to wiarygodne, na ile zmyślone – mogłem jedynie zgadywać.

Wówczas, gdy podchodziłem bliżej, w oddali, po drugiej stronie rzeki dostrzegłem pod słońce jakiś kształt. Nie było się gdzie schować, same trawy i mokry żwir. Dość nieroztropnie zdecydowałem, że wyjdę kształtowi na spotkanie, przystanąłem przed mostem, na poboczu. Ślady wryte w ziemi obręczami kół, głębokie odciski kopyt i butów oraz wszelkiej maści, mieszające się ze sobą świeże *nukie* i *nuki* obwieszczały, że trakt ten był mocno uczęszczany.

Kształt okazał się być zwykłym wozem ciągniętym przez dwa iakki. Opatulony w pelerynę woźnica obserwował mnie bacznie spod ronda swego kapelusza, gdy mnie mijał. Wiózł całą masę drewnianych skrzynek, beczek, jutowych worków, jakiś kufer. Gdy to wszystko przemknęło obok mojego nosa, cały bukiet krzyczących zapachów obwieścił mi zawartość: ogrom solonych ryb, sporo alkoholu, trochę suszonego mięsa, wędlin, sera, oliwy. To mogło być zaopatrzenie Młyna, pomyślałem. Gdy wóz przejechał, woźnica wstał jeszcze z kozła, obejrzał się na mnie z obrzydzeniem i pogonił iakki – pilnował pewnie, bym mu się nie dosiadł albo czego nie zwinął. Miałem na to ogromną ochotę, nie powiem, ale powstrzymałem się. Burta Radzy połknęłaby pewnie taki smaczny kąsek w całości – wraz z iakkami i bezogonem w ramach deseru.

Wtedy spojrzałem na siebie. Moje postrzępione, brudne, oblepione pyłem i najgorszymi *nukami* kadzienniaki nie mogły wzbudzać przychylnych reakcji. Przez tyle lat w Młynie tak bardzo mi przeszkadzały, a po wyjściu na wolność zapomniałem, iż mam je na sobie – jakbym do nich przyrósł. Na kilometr przecież manifestowały swym zapachem, że zbiegłem z jakiegoś więzienia. Jak mogłem wcześniej tego nie poczuć?

Podszedłem nad brzeg i tam zerwałem z siebie te cuchnące szmaty. Z ulgą obserwowałem, jak płyną z prądem w dół rzeki. Dalej jednak czułem wszędzie ich odór, który tak nagle zaczął mi przeszkadzać. W amoku pozbyłem się więc i derki, również przesiąkniętej młyńskim zapachem, którą okrywałem się przez ostatnie noce. Nieznośny smród trwał nadal. A to sierść moja była! Tak dalece wżarł się w nią Młyn, że miałem ochotę wyskoczyć z własnej skóry! Nie mogłem wytrzymać z samym sobą już ani chwili dłużej! Na samą myśl o wylizaniu z tych *nuków* całego futra zbierało mi się na wymioty. Rozwiązanie było jedno.

Spiąłem się w sobie i jednym susem wskoczyłem do tej lodowatej wody. Zanurzyłem się od wibrysów po czubek ogona. Nie była to jakaś rwąca rzeka, ale prąd i tak mnie porwał i wytarł o kamienne dno. Myślałem, że tam utonę! Wyszedłem z wody na drugim brzegu. Cóż. Jak się okazało, most w ogóle nie był potrzebny. Młyński zapach przepadł. Znów odniosłem to wrażenie, że dopiero wówczas stałem się naprawdę wolny.

Wówczas nie miałem przy sobie absolutnie niczego. Nie istniało już nic, co by łączyło mnie z poprzednim życiem. Mogłem zacząć nowe! Każdy fragment mojego ciała jęczał z bólu i chłodu, ale czyż tego samego nie doświadczają chekechee w chwili swych narodzin? Ruszyłem prosto na Dziób,



wspiałem się na jakiś pagórek, z którego dobrze widać było most oraz drogę, przycupnąłem pod jakimś samotnym drzewem i oddałem się myciu. To był pierwszy raz od wielu lat, gdy nie musiałem się z tym śpieszyć. Powoli i z namaszczeniem zastępowałem rzeczny zapach moimi *nukiami*. Nareszcie zaczynałem pachnieć tak jak trzeba.

Ciepły, jesienny dzień sęczył się leniwie. Obserwowałem sunące po drodze wozy, ludzi maszerujących samotnie, w grupach bądź ciągnących za sobą iakki, highcattle lub mambulle. Te ostatnie to różne gatunki bydła, jakie bezogoni hodują w swych zagrodach dla mięsa, mleka, skór i futra. W którymś momencie dnia, jakoś niedługo po południu, zza wzgórza wyszła kolumna zbrojnych. Przyczałem się aż w trawach, choć i tak byli o wiele za daleko, by mnie dostrzec. Szli na Rufę w trzech grupach – w każdej po kilkanaście ciężkozbrojnych żołnierzy piechoty. Czyżby to było to wojsko, o którym mówił Radza – to, które miało spacyfikować nasz bunt w Młynie? Za daleko byłem, by słyszeć, co mówili między sobą.

Pod wieczór tamtego dnia, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, zbudził się we mnie głód. Oprócz tego zrobiło się chłodno i wilgotno – aż przez chwilę żałowałem, że tak pochopnie pozbyłem się tej ciepłej derki. Ruszyłem przed siebie na dziobową Bakkburkę.



Wszedłem w las, ale nie udało mi się niczego upolować. Znajdowałem tylko tropy i to niezbyt świeże. Rzuciłem się w pościg za jakimś lisem – tropiłem go chyba z pół godziny i nic z tego nie było. Chłonałem jego *nukie*, ale nie dopadłem go. Umknął mi i schował się w głębokiej norze – on i ta jego ruda szkita. Do tego zaczął siąpić deszcz. Była późna noc, gdy wyszedłem z lasu na otwarty teren. Natrafiłem na drogę, być może tą samą, którą obserwowałem poprzedniego dnia – wyczułem w ziemi drobną sugestię podrdzewiałej stali i przepoconych wojskowych kaftanów. Takie *nuki* po tylu latach w Młynie były trudne do pomylenia z czymkolwiek innym nawet wtedy, gdy padało. Poczulem wówczas coś jeszcze: wapno. Dobrze pamiętam, jak pachniało – gdy stawialiśmy górne pokłady Młyna, byliśmy umorusani w murarskiej zaprawie po łokcie. Podążyłem za tropem.

Niedaleko od drogi stało samotnie wśród pól wiejskie obejście – kilka zbudowanych obok siebie ceglanych budynków krytych strzechą. Zakradłem się do tego z nich, z wnętrza którego ulatniały się zwierzęce *nukie*. Ktoś zostawił otwarte drzwi, wdarłem się więc do środka. Zamknięta ścianami przestrzeń przypominała mi młyńską celę, choć przecież pomieszczenie to było znacznie przestronniejsze – ze trzy albo cztery razy większe; sporo też wyższe. No ale pod dachem przynajmniej nie padało; całą sierść miałem doszczętnie przemoczoną! Nim moje oczy się przyzwyczyły do ciemności, słuch schwycił kilka iakków, dyszących niespokojnie ze swych boków; zaś węch natrafił na kilka klatek z zajęcami. Wymacałem, że zamknięte były na najzwyczajszy, drewniany skobel. Nic prostszego: otwarłem, pochwyciłem jakąś niezbyt okazałą, wystraszoną kulkę sierści, skręciłem jej kark i zjadłem na surowo na jakiejś stercie siana w rogu pomieszczenia. Marne, chude, hodowlane mięso. Potem miałem tylko nadzieję, że przez to nie przypałał się do mnie jakiś tchórzliwy demon, bo wówczas z głodu nie zwracałem na to większej uwagi. Połknąłem na deser jeszcze jednego zajaca, umyłem się szybko i pomimo wciąż żywo zaniepokojonych iakków i tego ostrego siana, z którego uczyniłem sobie posłanie, zmógł mnie głęboki sen.

Obudziły mnie ostre promienie wschodzącego słońca. Wpadały do wnętrza przez szparę uchylonych drzwi. W słupie jaskrawego światła stała jakaś niewysoka postać, a kontur jej sylwetki i bujnej, długiej grzywy jaśniał w tym blasku na złoto. Po chwili dostrzegłem, że wpatruje się we mnie i to... z przerażeniem. Ostrożnie podniosłem głowę i rzuciłem po albińsku:

- Cześć, człowieku!

Bezogon wrzasnął ciekawym głosem i co sił w nogach umknął na zewnątrz. Pewnie go wystraszyłem, zresztą czułem to po *nukach*. Zaś po *nukach* czuć było, że to raczej... ona, a nie on. Najwyraźniej natknęła się na mnie jakaś albińska chekechea. Przypominać to pewnie musiało pierwsze spotkanie z Freiem, o którym mi opowiadał w Młynie nasz mały tigran.

Zdążyłem tylko wstać i zejść na ziemię ze sterty siana, a z wielkim hukiem wpadła do pomieszczenia jakaś ogromna albińska hidaya, oslepiając mnie światłem dnia. Była potężnej budowy, nogi miała jak pnie drzew, w grubych rękach ścisnęła siekiere, a jej oczy przepęniała żądza mordu. Pomyślałem, że to pewnie matka tej chekechei, która to swoją drogą chowała się wówczas za spódnicą swej rodzicielki.

- Czego tu szukasz? – wypaliła hidaya w moją stronę głosem, który mógłby burzyć mury.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Z wrażenia zapomniałem, co ja tam w ogóle robiłem. Przyszło mi do głowy tylko to:

- Szukam... smoków.

- Szukasz... smoków? W naszej oborze? I pewnie sprawdzałeś, czy ich nie trzymamy razem z naszymi zajęcami? – spytała podirytowana albinka, wskazując dwie otwarte przeze mnie klatki.

- Mamusiu! – zapiszczała chekechea. – On przecież je pożarł! Ten potwór pożarł pana Dum i pana Dei!

- To nie potwór, Wildo, to huria. Taki duży kot – wyjaśniła hidaya, nie spuszczać ze mnie wzroku. Następnie zwróciła się już do mnie, zaciskając dłonie na siekierze: – To prawda? Zjadłeś nasze zajęce?

- Byłem głodny, ale... – próbowałem jakoś ratować moją sytuację – ale nie były zbyt smaczne, jeśli was to pocieszy. Zresztą jeden został.

- To pan Moggel! – pisnęła z wyrzutem w głosie Wilda.

- Tylko spokojnie, nikt nie ma złych zamiarów – artykułowała hidaya, gestykulując siekierą. – Nikt tu nikogo nie będzie zjadać. Czego ty chcesz? Jesteś głodny?

Pokiwałem po albińsku głową.

- Dobrze więc – powiedziała. – Przejdziemy teraz do kuchni. Tylko bez gwałtownych ruchów!

Tak trafiłem do drugiego budynku. Był trochę większy, w ścianach miał okna, wokół rosły kolorowe kwiaty. Drzwi, przez które mnie prowadziła, były niższe i węższe od tych z obory. Ewidentnie nie wprowadzali tamtędy iakków. Tuż za progiem uderzyła mnie chmura różnorodnych zapachów – zioła mieszały się ze zgnilizną, alkohol z rozkładem, wędliny ze zwierzęcymi odchodami, a wszystko to przesiąknięte było ludzkimi *nukiami* i *nukami*. Kuchnia okazała się być niewielką izbą przesyconą wilgocią, spalenizną i zapachem dorodnego grzyba, ale ze względu na duże, otwarte palenisko na jednej ze ścian było tam znacznie cieplej. Hidaya odprawiła swoją córkę, zaś mnie posadziła za drewnianym stołem i postawiła przede mną miskę jasnej, ciepłej breji.

5 *Przebywając tak długi czas wśród hurii, nauczyłem się odróżniać od siebie poszczególne składniki zapachów, dostrzegać subtelne różnice między nimi i poprawnie je nazywać w hurijskim narzeczu. Naszemu językowi wciąż brak określeń, by precyzyjnie przełożyć wszystkie te nazwy, ale zdecydowałem się próbować oddawać choćby tylko w przybliżeniu ich znaczenie – choćby schematyczne i nieporadnie. Węch jest dla hurii tym, czym dla nas są nasze oczy. Zbyt późno uzmysłowilem sobie, jakże uboga staje się ta opowieść, gdy pomijam w niej wszystkie te zapachy, o których mowa – przyp. tłum.*

Było w niej sporo iakkowego mleka, trochę tłuszczu, drobne, chrupiące kawałki smażonego mięsa, a całe dno miski wypełniały jakieś miękkie, napęczniałe nasiona. W zasadzie nic specjalnego, ale wówczas, po młyńskim wikcie, zdawało mi się, że jem jak król! Błyskawicznie wszamałem całą porcję, a gdy domagałem się kolejnej, hidaya sprawiała wrażenie uradowanej. Skończyło się na trzech – ostatnią wlała mi prosto z kociołka, jaki podgrzewał się nad ogniem.

- No, dość już zjadłeś. Nie mam więcej – rzuciła, gdym skończył. – Jesteś zatem łowcą smoków?

- Między innymi – odparłem, samemu nie wiedząc, czy w to brnąć.

- Dobrze ci z oczu patrzy. Ale gdzie twój miecz? I tarcza? I stalowa zbroja? I rączy kazar? Taki z ciebie łowca smoków jaki ze mnie erabski kalif! Jesteś zwykłym złodziejem, prawda?

- W żadnym razie! Albińskie wojsko pochwyciło mnie i wtrąciło do więzienia. Przeszło dwadzieścia jeden lat temu. Ledwo co zdołałem stamtąd uciec.

- Zabiłeś jakiegoś człowieka?

- Nie.

- To pod jakim zarzutem cię uwięzili?

- Chyba wystarczyło jedynie to, że mam sierść i ogon.

Albinka pokiwała tylko głową i skwitowała:

- Taki już los hurii... Potrzebujesz zatem schronienia. Przynajmniej do czasu aż przestaną cię szukać. Masz jakieś piętno?

- Piętno?

- Znak wypalony w skórze rozżarzoną metalą. Zaznacza się w ten sposób iakki i inne zwierzęta, aby było wiadomo, do kogo należą. Mogliby cię po tym poznać. Masz coś takiego?

- Nie mam. Nie jestem iakkiem!

- Wierz mi, że dla wielu ludzi nie ma żadnej różnicy. Własność to własność. Za takiego iakka albo huryjskiego niewolnika można dostać na targu mnóstwo pieniędzy. A znakowanego piętnem sprzedać już trudniej.

- Sprzedajecie nas na targach? Jak... przedmioty? Jak... towar? – robiło mi się niedobrze, bynajmniej nie z powodu albińskich praktyk handlowych, to musiało być coś w tej zupie, którą mi podała.

- Skądś się urwał, że się temu dziwisz?

Wtedy poderwał mnie na krzesła szcęk otwieranych drzwi z holu. Ktoś wszedł z zewnątrz, tupiąc głośno butami. Wśród świeżego zapachu

błota, trawy i żywicy dominował swąd nieświeżych, przechodzonych *nuków*, któremu nieśmiało towarzyszyła też sugestia męskich *nukii*.

- W samą porę, Carstenie! – zakrzyknęła albinka.

- Nic dziś nie mam – odparł mężczyzna przez ścianę. Sądząc po *nukach* zdejmował właśnie buty. – Wojsko wszystko płoszy – dodał.

- A ja owszem! Mam! Chodź prędko, to zobaczysz!

Zaczęło mi się kręcić w głowie. Wszystko było jasne. Ta sprytna hidaya zatrula czymś zupę i podała mi ją do wszamania, by mnie obezwładnić, zawieźć na targ i sprzedać z zyskiem. Brzuch przewracał mi się do góry dnem. Gdy mężczyzna wszedł do kuchni, jakaś wewnętrzna siła targnęła mną i wyrzuciła ze mnie całą zawartość mojego żołądka, która z impetem rozbryzgała się na posadzce. Poczulem nawet pewną ulgę.

- Istotnie spektakularne – podsumował Carsten, patrząc to na podłogę, to na resztki jedzenia, które odbiły się rykoszetem i trafiły w jego spodnie. – Znalazłaś kogoś, komu nie brak odwagi, by tak wylewnie skrytykować twoją owsiankę.

Był to wątłej postury albin, twarz zarastała mu siwiejąca gdzieniedzie szczecina, grzywę miał krótką i przerzedzoną, policzki zapadnięte, a oczy tak głęboko osadzone, aż można było odnieść wrażenie, że ktoś wetknął mu je siłą w głab czaszki. Patrzeliśmy tak na siebie przez chwilę. Dzieliły nas jakieś dwa metry i ten wielki kleks nadtrawionej owsianki na posadzce.

- Jesteś uciekinierem z tej kopalni na Rufie? – zapytał wprost.

Pokiwałem głową.

- Zostanie u nas – stwierdziła twardo hidaya. – Potrzebuje schronienia. Szuka go wojsko.

- Dobrze, Ricardo – zgodził się Carsten. Zdecydowanie to nie on był *raisem* w tej *mbarii*, a ona. – Ale nie tylko jego szukają. Wczoraj szli zbrojni z Warenfortu, by odszukać i pojmać kilkadziesiąciu huryjskich niewolników, co uciekli stamtąd przed kilkoma dniami i rozpierzchli się po okolicy. Te hurie wyrznęły w pień niemal całą załogę strażników!

- Ten nikogo nie zabił. Znajdziemy mu jakiś kąt. I to tutaj, w domu, nie w oborze. To łowca smoków!

Mężczyzna nie myślał nawet się spierać, zagadnął tylko do mnie:

- Jak do ciebie mówić, hurio?

- Aria – odparłem. – Tak mam na imię.

I tak mnie przygarnęli do swego domu. Wcale nie wywieźli na targ, by mnie tam sprzedać. Jeszcze tego samego dnia zorganizowali mi miejsce do

spania w niewielkiej komórcie za kuchnią – to znaczy jak już posprzątałem po sobie posadzkę. Pachniało tam zbutwiałym drewnem, zgniłymi owocami i odchodami korników. Nie było okien. Światło wpadało przez szczeliny w deskach, zaś jedna ze ścian była w całości z kamienna – był to bowiem tył kuchennego paleniska. Wymarzone miejsce na własną koję! Wtulony w kamieniu i stary siennik upajałem się bajecznym ciepłem, mruczając z rozkoszy. Myślałem sobie, że musieli mnie uznać za kogoś okrutnie ważnego, skoro oddali mi do dyspozycji swoje najlepsze pomieszczenie...



Byli dla mnie nad wyraz życzliwi, acz chyba z tydzień trwało, nim zrozumieli, że huriom nie służy owies i inne zboża. Z trudem przełknęli fakt, że trawię tylko mięso, jaja kobudów i iakkowe mleko. By mi dogodzić, podawali mi nawet wędzoną wołowinę i wieprzowinę – pachniały wymienciem, ich smak był istic genialny, lepszy nawet od tych luksusowych kiełbas z młyńskiej spizarni bukatów, którymi najedliśmy się podczas ucieczki. Tęskniłem jednak za dzikim mięsem. Nie byli w stanie tego zrozumieć.

Na moje szczęście Carsten był myśliwym i czasem przynosił jakieś zwierzę, pachnące jeszcze wolnością. Jego łowiectwo ograniczało się do zastawiania w lesie sidła na drobne ptactwo oraz żelaznych, sprężynowych potrzasków na dziki, wilki i jelenie. Już trzeciego poranka zgodził się, bym z nim poszedł. Niczego wówczas nie przynieśliśmy, ale od tamtego dnia wspólne polowania stały się naszą małą tradycją. Pokazał mi jak strzelać z łuku, choć z racji wieku samemu nie miał do tego już oczu ani zręczności. Ja uczyłem go o zwierzęcych *nukach* i *nukiach*, o tropach, o śladach, o podchodzeniu, o własnym zapachu i kamuflażu. Nic ponad zupełne podstawy, które nawet dla was, chekechee, są zupełnie oczywiste, a o których on, albiński łowca, nie miał zielonego pojęcia.

Prace, które wykonywałem wraz z Ricardą, były znacznie mniej atrakcyjne. Szykowaliśmy paszę dla zwierząt, karmiliśmy je, doglądaliśmy, podbieraliśmy jaja kobudom. To prawda – była to zwykła, beznadziejna i dołująca hodowla, ale wówczas, świeżo po przeżyciach w Młynie, tak na to nie patrzałem. Zajęcy okazało się być więcej niż początkowo myślałem – klatki z samiczkami trzymali w drugiej części obory, a ja uśmierciłem dwóch

z trzech rozplodowych samców. Wilda ciągle była na mnie za to obrażona. Wszystkie zające były pod jej opieką. Rozpoznawała je po umaszczeniu sierści, dla każdego miała inne imię. Szczątki pana Dum i pana Dei, których pożarłem, zagrzebała w ziemi pod drzewem koło domu, urządzając im coś na kształt albińskiego pogrzebu.

Wilda wyprowadzała też iakki na pastwisko i doglądała ich tam. Ja w tym czasie miałem sprzątać ich boksy. Iakkowe *nuki* paskudnie wżerały mi się w futro, potem musiałem porządnie się wylizywać. Gdy któregoś dnia pod wieczór wprowadzaliśmy je z powrotem, zauważyłem w boku jednego z iaków jakąś zmianę w sierści. Był to symbol koła i kilku kresiek. Zaraz sprawdziłem pozostałe zwierzęta – miały identyczne znamiona w tych samych miejscach.

- To przecież nasz znak – odburknęła Wilda, gdy ją o to zapytałem. – Wypalamy je w skórze zwierząt rozżarzoną do czerwoności metalą, aż syczy i dymi! Tobie też powinniśmy taki wypalić! – dorzuciła, zaciskając ze złości zęby. – Jesteś przecież nasz!

- Nie jestem wcale wasz! Wybij to sobie z tej tępej głowy! – syknąłem. – I lepiej dobrze obejrzyj swoje własne ciało! – dodałem.

W odpowiedzi wybałuszyła oczy, pokazała język i cała zła wybiegła z obory. Do dziś trudno mi zrozumieć wszystkie te ludzkie gesty.

Spojrzałem na iakka. Czyli tak wyglądało to piętno, o które pytała mnie niegdyś Ricarda. Ta hidaya wcale nie była tak wspaniałomyślna dla swego bydła, jak mi się wcześniej wydawało. Własność to własność. O nie! Nie pozwoliłbym dać sobie zrobić czegoś takiego! To przecież coś jak tatuaż – tyle że taki, co zostaje już na całe życie! Niedorzeczne ograniczenie własnej wolności!<sup>6</sup>

Innego dnia miałem za zadanie przyrzędzenie paszy dla świń (świnie trzymali w małej przybudówce, do której wchodziło się przez oborę). Miałem mieszać w kociołku gotujące się warzywa. Zleciła mi to Ricarda, sama zajęła się czymś w domu. W pewnym momencie, gdy tak mieszałem tę gęstą breję, poczułem w powietrzu jakieś nieznane mi ludzkie *nukie*. W domu był ktoś jeszcze. Wyszedłem z kuchni, by się rozejrzeć. Nos doprowadził mnie po schodach na poddasze domu, nie było mnie tam wcześniej. Na gó-

<sup>6</sup> Huryjskie tatuaże manifestują przynależność do stada lub pełnioną funkcję. Ani jedno, ani drugie nie jest określone raz na zawsze, toteż i tatuaże nie mogą być wieczne. Hurie, o czym pisałem już wcześniej, barwią włosy, a nie skórę. Z czasem naniesiony wzór blednie i znika zupełnie, umożliwiając zmianę stada lub funkcji – przyp. tłum.

rze były dwie pary drzwi. Z jedyńych, które były otwarte, dobiegały jakieś pomruki i szurania. Podszedłem ostrożnie. Wewnątrz pomieszczenia była Ricarda, nachylała się nad łóżkiem, w którym był... jakiś chekechea. Miał dziwny, jakby nieobecny wyraz twarzy.

- Co tu robisz, Ario? – zagadnęła do mnie zaskoczona hidaya, gdy zorientowała się, że się przyglądam jej i temu chekechei.

Nic nie odpowiedziałem, ale zrozumiała, o co chciałem zapytać.

- To Ignatz, mój syn – wyjaśniła.

- Jest chory? – zapytałem.

- Chory. Nieuleczalnie. Nigdy nie wstanie z łóżka. Kiedyśmy mu urządzali rytuał stania, by mu imię nadać, to musiały go chłopy trzymać w pionie. Nigdy się nie usamodzielnili. Nie będzie nawet mówić.

- Nie możecie z tym nic zrobić?

- Nic. Medycy byli bezradni. Musimy się nim opiekować.

- Nie możecie go po prostu zjeść?

- Co?

- Zjeść. Pozbyć się. Zostawić na skraju lasu. Cokolwiek.

Albinka zdumiała się tak bardzo, że aż zaniemówiła. Dopiero po chwili zagrzmiała tym swoim potężnym głosem:

- To... nieludzkie! Skąd ci to przyszło do głowy?

- U nas tak się robi. To nic strasznego.

- Nic strasznego? To przerażające!

- Nie rozumiem.

- Chcesz mi powiedzieć, że u hurii chore i kalekie dzieci się zjada lub zostawia w lesie?

- Tak.

- To barbarzyństwo! Ludzie nie zabijają swoich dzieci!

- W tym tkwi problem. Ludzie wolą zabijać się nawzajem, gdy dorosną. To dopiero marnotrawstwo! Gdzie tu sens?

- Wojny i zabójstwa to co innego. – Ricarda próbowała zebrać myśli i jakoś mnie przekonać do swojego światopoglądu. – A skąd wiemy, czy nie stanie się cud i taki mój Ignatz nie wstanie kiedyś z łóżka i nie wyrośnie na geniusza, który ulepszy ten świat?

---

7 *Zaiste, to istne barbarzyństwo! Co zaskakujące, wszystkie te młode, które co noc się tu temu przysłuchują, pozostają zupełnie niewzruszone; żadne nie protestuje – przyp. tłum.*



- To próżne gdybanie! – odparłem niewzruszony. – A skąd wiecie, czy nie byłoby geniuszem to dziecko, na które się nie zdecydowaliście, bo ciężarem jest wam już to jedno? Zdrowe ma większe szanse stać się kimś wielkim niż chore, a poza tym nie trzeba się przy nim tyle narobić!

- Przecież dzieci to dar od bogów! Jak moglibyśmy go odrzucić?

- Dar od bogów? – zapytałem zdziwiony, spoglądając to na Ignatza, to na Ricardę. – To macie chyba jakichś złośliwych bogów... Naprawdę nie wiesz, skąd się biorą dzieci, czy tylko udajesz?

Ricarda była tym zupełnie zażenowana. Otwierała i zamykała usta, nie wiedząc, co powiedzieć. Z lekkim obrzydzeniem patrzyła na mnie i kręciła głową. Wtem zaniepokojona pociągnęła nosem:

- Warzywa! – zakrzyknęła. – Miałeś ich pilnować!

Zadziwiające, że pierwsza poczuła zapach spalenizny. Zbiegliśmy do kuchni. Połowa paszy dla świń była tak przypalona, że trzeba było ją wyrzucić na kompost. Nie wróciliśmy już nigdy do tematu Ignatza, a mnie nie przestało dziwić, że Ricarda całymi godzinami się nim opiekowała – karmiła go, myła, przebierała, zmieniała mu pościel, opowiadała mu jakieś historie... Ludzie poświęcają swoim chekecheom tak wiele czasu, że nie starcza im go dla siebie! Nie mają ani chwili nawet na sjęstę! Niekiedy to nie mogłem zgadnąć, po co oni w ogóle żyją?

Jeszcze innego dnia, może jakiś tydzień po moim przybyciu, gdy wszyscy wspólnie jedliśmy obiad przy kuchennym stole, rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Ricarda poderwała się, by otworzyć. Do domu wtargnęli zbrojni.

- W imieniu Imperium Terahandearu – dudnił jeden z nich – prosimy o uzupełnienie prowiantem naszych zapasów. Wędliny, mięsiva, chleb, ziemniaki, pasza dla stenów, co tam macie.

Podenerwowana Ricarda wbiegła do kuchni, by pośpiesznie zebrać ze spiżarni jakieś jedzenie; zbrojny wszedł za nią i stanął w drzwiach, kiwając nam głową na powitanie. Nagle ryknął w naszą stronę:

- Stać! A ten kot, to co? – wskazał na mnie, sięgając już po broń.

- Mamy go od początku lata, to nasz niewolnik – odparła Ricarda bez najmniejszego nawet zająknięcia.

„Co? Mam być niewolnikiem?”, pomyślałem sobie. Jak to? To po to odzyskałem przed chwilą wolność, by znów służyć bezogonom? To jakieś kpiny! Ale przecież, tak w zasadzie, już nim się stałem. Dobrze chociaż, że nie miałem na sobie kajdan...

- Niewolnik? – zdziwił się żołdak. – I je z wami przy jednym stole? Tak zupełnie nagi? A gdzie ma obrożę?

- Zdjeliśmy mu, bo go w szyję obcierała – zełgała kobieta, oddając w żelazne łańskie całe naręcze aromatycznych wieprzowych kiełbas.

- To niedorzeczne! Niewolnik musi mieć obrożę. Inaczej jak byśmy poznali z daleka, że jest czyjaś własnością? I ubierzcie go w coś, dzieci patrz! – Pokręcił głową zniesmaczony. – Strzeżcie się! Niedaleko stąd, na Rufie, grasuje banda uzbrojonych kotów. Uciekli z pobliskiej kopalni i plądrują samotne farmy, mordują ludzi i chowają się po lasach. Są skrajnie niebezpieczni. Na drodze z Borwoldu napadli na wóz samego księcia Herrhausena, najwyższego naczelnika Banku Albińskiego. Zaszlachtowali go i wybili całą jego obstawę<sup>8</sup>. To okrutny cios dla imperium. Okrążymy ich i wybijemy w pień. Tu, w Hof bel Mond, powinniście być bezpieczni. Chociaż akurat wasza chata jest tak na uboczu wsi, że radziłbym mieć psa.

Aż zamarłem, gdy usłyszałem te wieści. To przecież była burta Radzy! Na pewno! A ten książę to przecież ten sam, o którym słyszałem od Chekechei – jego wymyślony przyjaciel, Frei, mówił mu, że ten cały Herrhausen miał gościć w Borwoldzie. Przecież z tego w ogóle się wziął pomysł na naszą ucieczkę z Młyna! Czyżby więc Chekechea sobie tego nie wymyślił? A może ten jego Frei też był prawdziwy? Byłem tym oszołomiony.

Wojsko przemaszerowało, a ja tym bardziej potrzebowałem schronienia. Wbrew poleceniu żołnierza nie zmusili mnie wcale, bym się w coś ubierał (choć próbowali mnie do tego przekonać), nie założyli mi żadnej obroży na szyję, nie przestaliśmy jeść przy jednym stole, a gdy mieli dla mnie jakieś zadanie, zawsze o to prosili, nigdy nie nakazywali. Byłem gościem, a nie niewolnikiem. Dobrze mi tam się żyło u tych bezogonów. To była poczciwa albińska rodzina. Sprawili, że zmieniłem zdanie i polubiłem ten... ludzki gatunek.

Z czasem nawet Wilda zrewidowała poglądy na mój temat. Na którymś polowaniu wraz z Carstenem tropiliśmy właśnie sarnę, gdy z zarośli wyszedł młody, nieporadny jeszcze wombat i zaczął nieświadomy niczego spacerować po miękkim mchu. Jego sierść lśniła cudownie w promieniach słońca, przebijających się przez las. Od razu wiedziałem, co robić. Podkra-

---

<sup>8</sup> *Zabójstwo księcia Herrhausena zdarzyło się naprawdę – 34 dnia Krionii 22 cyklu – zob. Paul Bruckenbaum: Historia Ekonomii. Teriegard, nakładem Banku Albińskiego, rok pierwszy go cyklu, s. 61. – przyp. GE.*

dłem się na czterech najbliższej jak się dało. Carsten obserwował to z tyłu, a ja ostrożnie stąpałem pod wiatr, by wnet skoczyć i schwycić tę futrzastą kulkę – bez pazurów, na tyle delikatnie, by nie pogruchotać jej kości; ale i na tyle mocno, by się nie wymknęła.

Wildzie tak bardzo się spodobał ten wombat, że aż przytuliła się do mojej sierści i powiedziała zupełnie bez typowej dla siebie złośliwości:

- Dziękuję ci, Ario! Bo wiesz? Ja to zawsze marzyłam, by mieć wombata! Teraz to jestem jak szlachcianka z Alm! Albo z Borwoldu... A tu, w Hof bel Mond, żadna takiego nie ma, nawet córka hrabiny! – Wyszczrzyła zębą w zawiadającym uśmiechu, nieustannie głaszcząc futrzaną kulkę po grzbiecie. A potem dodała: – Już się na ciebie nie gniewam. Wiem, jak nazwę tego wombata. Nazwę go Pan Hasen!

- Wildo, ależ... to nie jest on! To jest ona. Samce tak nie pachną!

- Umiesz rozpoznawać płęć po zapachu?

- Nie tylko płęć.

- Tak? A co jeszcze?

Wzruszyłem ramionami i wymieniłem, co mi przyszło do głowy:

- Gatunek, dojrzałość, choroby, dietę, zawartość kieszeni, nastrój, strach, gniew, ochotę na pieszczoty...

- A marzenia też?

- Nie, marzenia nie pachną, Wildo.

- Szkoda... Wiesz co? Powiem ci. Bo ja to marzę o tym, byś znalazł dla niej braciszka, samej będzie jej tu smutno.

Spełniłem jej prośbę. Poszedłem następnego dnia w to samo miejsce i upolowałem jej jeszcze jedno wombacie szczenię – tym razem małego samca. Po *nukiach* byłem pewien, że pochodziły z tego samego miotu. Byli rodzeństwem. Wilda opiekowała się tą parą – z wielkim zapałem karmiła je, doglądała, nadała im imiona. Przywłaszczyła sobie te dwa małe demony...



Mieszkałem tak w tej ciepłej komórce za kuchennym paleniskiem jakieś dwa miesiące, może dwa i pół. Pomagałem przy hodowli zwierząt, przy wrywaniu z ziemi warzyw, przy bieleniu ścian wapnem, łataniu dziur w dachu. Nie mam pojęcia, jak oni tam sobie radzili wcześniej beze mnie,

szczególnie że Ricarda większość czasu i energii poświęcała na opiekę nad Ignatzem, tym chorym chekecheą, co leżał w łóżku na piętrze. Niemniej jednak najwięcej frajdy sprawiały mi te wspólne polowania z Carstenem, acz z dnia na dzień robiło się coraz zimniej, a on coraz bardziej narzekał na bóle w kościach. Ostatecznie sam zacząłem chodzić do lasu. Nadeszły słoty, chłodny wiatr, a kiedyś to nawet zaczął z nieba spadać biały pył, jaki ludzie zwali śniegiem. Pierwszy raz widziałem go na oczy. Chekechea mi o nim opowiadał, a jemu z kolei opowiadał Turam, klucznik Młyna. Szkoda, że tutaj, na sawannach nie pada śnieg. Miałybyście z niego mnóstwo frajdy, moje chekechee.

Miałem tam wiele przygód, wiele też było nieporozumień. Jak choćby to, gdy Ricarda zbesztala mnie najpierw za drapanie wejściowych drzwi do domu, a potem za znaczenie ich *nukiami*. Wykrzyzczała, bym znalazł sobie inne miejsce na toaletę i kategorycznie zabroniła mi sikać na drzwi. Może-cie to sobie wyobrazić? Nie miała bladego pojęcia, że znaczę wspólny rewir! Wówczas nie miała również pojęcia, że zacząłem od kuchni i kilku par cuchnących butów, które od samego początku irytowały mnie swoim zapachem... Życie w domu bezogonów to trwanie w mieszaninie kłębiących się ludzkich *nuków*, których oni nawet nie zauważają. Nietrudno stracić cierpliwość...

Któregoś dnia znalazłem w potrzasku dorodnego wilka. Potężnej budowy samiec zażarcie walczył z żelastwem, które go uwięziło. Krwawą plamę wydeptał w białym śniegu. Gdym się tam zjawił, próbował odgryźć sobie nogę, by uwolnić się z pułapki; wściekle rzucał się na mnie, jak próbowałem podejść. Dobiłem go z łuku. Niezwłocznie wgrzyłem się w jego szyję, wypilem jego krew i skosztowałem jego mięsa. Cóż to był za smak! Tym sposobem, przez rytuał Dudii, zamieszkał we mnie najdzikszy wilczy demon, jakiego pamiętam. Odmienił mnie diametralnie...

Albińską rodzinę, w której żyłem, nagle zacząłem postrzegać jako wrogów. Albo wręcz jako... pożywienie. Nagle jakby przestali być moją *mbarią* – a niegdyś byli nią przecież. Walczyłem sam ze sobą, wykonując prace, które mi zlecali; wbijałem pazury w drewniane drzwi boksów, gdy wyprowadzałem z nich iakki; ogon chodził mi jak huśtawka, gdy obserwowałem Wildę, bawiącą się niewinnie z dwoma wombatami. Dom nagle stał się ciasny, a ja czułem się wolny dopiero na zewnątrz, chłonąc bezkres przestrzeni i zapach zimnego powietrza. To nie mogło trwać wiecznie...

Któregoś dnia moi gospodarze uradzili ze sobą, iż najwyższy czas wybrać się do miasta. Potrzebne były ciepłe koce, ubrania, nowe obcęgi, pilnik, wnyki, maść na ból pleców, erabskie perfumy, no i koniecznie nowy kociołek, bo stary się przepalił i nie było już w czym gotować ziemniaków dla świń, i jeszcze, jeśli się uda, to również jin-hański balgan lub ewentualnie jakiś inny importowany alkohol<sup>9</sup>. Miałem jechać wraz z Carstenem. Może ucieknę po drodze, myślałem. Lecz z drugiej strony ciekaw byłem tego albińskiego miasta, nigdy w żadnym nie byłem.

Bym się za bardzo nie rzucał w oczy, zapięli mi na szyi skórzany pasek, mający udawać niewolniczą obrozę, oraz ubrali mnie w jakąś jutową koszulę i także spodnie. Ciasny materiał krępował ruchy, ciągnął za sierść i irytował mnie okrutnie samą swoją obecnością, choć przecież był dużo wygodniejszy od młyńskich kadzienniaków i o niebo lepiej od nich pachniał.

Próbowałem jakoś uspokoić demona, który się we mnie burzył:

- Jedziemy ją przekazać komuś, kto jej potrzebuje? – spytałem, jakże naiwnie, gdy ładowaliśmy na sanie dorodną świnię wybraną z hodowli.

- Przekazać? – zdziwił się Carsten. – Jak to przekazać?

- No... oddać komuś, kto jej potrzebuje, a my dostaniemy od kogoś innego te koce, narzędzia, nowy kociołek i tak dalej, bo tego z kolei potrzebujemy my.

- Ty chyba nie masz zielonego pojęcia o handlu! – odparł, przesywając mnie badawczym spojrzeniem. – Tak to u nas nie działa. Kto ci nawkładał do głowy takich głupot?

Już chciałem powiedzieć, że Chekechea, ale ugryzłem się w język.

- No może... – odparłem zamiast tego. – Ale wtedy, gdy przyszło wojsko po prowiant, przekazaliście im całe naręcze kielbas, bo byli w potrzebie.

- Przekazaliśmy, bo mieli ostre miecze i było ich więcej. Jak masz ostry miecz i przewagę liczebną, to grzeczna prośba działa równie dobrze jak groźba.

- A Terahandear? Działali w imieniu tego waszego państwa.

- Cóż to za różnica jak się nazywa złodziej, który mnie okrada? Moje państwo kończy się tam, dokąd dojdę z siłdami i potraskami. Resztą nie przątam sobie głowy. Bierzemy tę świnię, by ją sprzedać, Ario. Wymienimy ją na złoto, czyli pieniądze, za które kupimy to, czego potrzebujemy. Tak to działa.

<sup>9</sup> Co to jest jin-hański balgan? To dość mocny trunek, jaki uzyskują bezogoni ze Sterburty, karmiąc koale grzybami.

- Złoto... – odparłem zadumany, myśląc o tym wszystkim, o czym kiedyś opowiadał mi Chekechea. Toż to zwykle bajki były! To Turam nawładzał mu do głowy tych głupot. Przecież nie mógł nie wiedzieć, jak wyglądają podstawy ekonomii jego własnego kraju! Był barbarzyńcą co prawda, ale przecież nawet barbarzyńcy używają między sobą pieniędzy. Czemu więc zmyślał?

Swoją drogą wykazałem się nie lada naiwnością, bezkrytycznie wierząc Chekechei, że ten ograniczony gatunek bezogonów byłby w stanie zorganizować taką współpracę – że mógłby działać jak jeden spójny organizm. Łowca miał przekazywać mięso górnikowi, górnik rudę żelaza oddawać miał w ręce hutnika, hutnik żelazo wręczać miał kowalowi, zaś kowal miał z tego wykuć broń i przekazać ją łowcy. I tak w kółko, w każdej dziedzinie. Ależ bzdura! Prócz amfionów nie znam gatunku, który mógłby temu podołać, a dziś wiem doskonale, że nawet oni mają w swoim kraju złote pieniądze...

Wyruszyliśmy z samego rana, jeszcze przed świtem. Było jasno, bo wszystko wokół pokrywała uczciwa warstwa śniegu. Z tego też powodu zaprzęgliśmy iakki w sanie, a nie w wóz. Zawinęliśmy świnię w derkę, sami przykryliśmy się kocami, mieliśmy też suszone mięso oraz paszę. Droga miała być długa, żmudna i zimna. Gdy Carsten zęgnął się ze swoją *mbarią*, ja – targany przez wilczego demona – miałem nadzieję, że nigdy już nie zobaczę tej potężnej hidayi i jej rozbrykanej córki...

Pogoda dopisywała. Niebo było czyste. Świeciło słońce. Odbijając się od śniegu, było tak jasno, że musiałem zasłaniać oczy kapturem. Sanie sunęły ślamazarnie, ale przynajmniej do przodu – często było trzeba schodzić i je pchać, gdy ugrzęzły w śniegu. Niestrudzenie parliśmy naprzód. Do czasu jednak. Jakoś późnym popołudniem błękit zasunął na siebie kołdrę ciemnych chmur – tak gęstych, że słońce nie mogło się przez nie przebić, a do tego zerwał się wiatr. Zimny wiatr prosto z Rufy. Rozszalała się śnieżycy. Droga zniknęła nam z oczu, wszystko było szarobiałe, nawet zapachy skryły się pod warstwą śniegu. Zeszliśmy, by iakkom było lżej. Nie wiem, jakim cudem Carsten wiedział dokąd iść.

- Jeszcze kawałek! – wołał. – Dwa sznury, może cztery<sup>10</sup>.

Nogi grzęzły mi w tym mokrym puchu po pas; nie wiedziałem już, czy to ja pomagam pchać sanie, czy to one ciągną mnie za sobą, orając moim ciałem tę białą ziemię. Nie czułem jednak zmęczenia – mój wilczy

<sup>10</sup> Czyli 90-180 metrów – przyp. GE.

demon był w swoim żywiole. Wreszcie, po chwili, z zamieci wyłoniły się ściany jakiegoś budynku. Zatrzymaliśmy iakki, rozprzęgliśmy je, ustawiliśmy pod ścianą, odwiązaliśmy świnie, opróżniliśmy sanie, postawiliśmy je pionowo i oparliśmy je o iakki – tak, by tworzyły dla nich osłonę od śniegu; otuliliśmy je również derkami, by tam nie zamarzły. My zaś – to jest ja, Carsten i świnia – mieliśmy schować się w środku.

Budynek był niewielki, stary, cały z kamienia, jedynie drzwi były dębowe – niewspółmiernie ciężkie i masywne. Gdy z niemałym trudem je otworzyliśmy, stanąłem w progu jak porażony piorunem. Uderzył mnie zapach śmierci tak skondensowany, że aż oczy zaczęły mi łzawić. Zgnilizna, rozkład, zepsucie, pleśń, wilgoć, zbutwiałe drewno. Stamtąd, gdzie stałem, wyczuć się dało kilka martwych ciał bezogonów obu płci, które leżały tam kilkanaście do kilkudziesięciu lat. Czuć było całe pokolenia drobnego robactwa, które wzrastało i umierało, żywiąc się ich martwym mięsem i pozostawiając wszędzie pokłady swych odchodów. Powietrze było od tego tak gęste, tak przesycone, że dziwiłem się, jak ktokolwiek żywy mógłby z własnej woli wciągać je sobie do płuc.

- No chodź, nie bój się – ponaglał Carsten. – To tylko krypta. Hrabina nie miałaby nic przeciwko temu, jestem pewien. Chodźże, bo zimno wpada do środka!

A ja nie bałem się tego, co wpadało do środka – raczej tego, co wychodziło na zewnątrz.

- Zostanę na dworze – wydukałem z trudem.

- Aleś ty uparty! Ale jak tam sobie chcesz, Ario. Zobaczysz, zrobi ci się zimno, to przyjdiesz – burknął Carsten, wciągnął do środka świnie i zatrzaskał za sobą drzwi.

Na samą myśl, że moje futro mogłoby przesiąknąć takim swądem i że potem musiałbym go z siebie zlizać, zbierało mi się na wymioty. Tamtego dnia straciłem wszelki szacunek do albińskiego obrządku pogrzebowego, choć i tak nie miałem go przecież wiele. Zostałem na dworze, tuląc się do dwóch iakków i dzieląc się z nimi własnym ciepłem. Pocieszałem się myślą, że na pewno też były szczęśliwe, nie musząc spędzać nocy wewnątrz tego cuchnącego grobowca.



Alm. Tak się nazywało to miasto. Zarysy jego murów widziałem już tamtego dnia, gdy ściągnąłem z siebie młyńskie kadzienniaki i wykapałem się w rzece. Tamta rzeka, swoją drogą, przepływała przez to miasto i pewnie dlatego też nazywała się Alm.

Dotarliśmy tam następnego dnia późnym popołudniem. Przez tę śnieżycę spóźniliśmy się na targ i większość handlarzy wyruszyła już w drogę powrotną. Nie stać nas było, by czekać do kolejnego dnia targowego – już samo zostawienie iakków z saniami w stajni przed miejskimi murami kosztowało majątek. Musieliśmy skorzystać z usług lokalnego kupca, przez to nie dostaliśmy za świnie zbyt dobrej ceny. To znaczy tak twierdził Carsten – moim zdaniem dostaliśmy rewelacyjną cenę jak za zwierzę, które tak bardzo przesiąknięte było stęchlizną i zapachem rozkładających się zwłok, jakby przez tydzień tarzało się w zbiorowej mogile! Zresztą Carsten nie pachniał wcale lepiej. Całą drogę między kryptą a Alm szedłem przed iakkami, aby nie czuć tego swądu. Udawałem, że idąc z przodu, chcę odciążyć sanie, acz i tak nieraz jeszcze utknęły w świeżym śniegu. Który z huryskich rzeźników przyjąłby świnie zalatującą zepsutym mięsem od człowieka cuchnącego jak stare zwłoki? Myślałem, że ten handlarz wyprosi nas ze swego składu albo wręcz wezwie strażę, by nas pojmały i zamknęły w lochach za zanieczyszczenie powietrza, a on, ku memu zaskoczeniu, odezwał się tak:

- Oj, gospodarzu, nie boicie się to chodzić tak z kotem po mieście?

- A czemuż to niby? – spytał Carsten, zerkając w moją stronę.

- Toż to nie wiecie? Koty to podstępne bestie. Nigdy nie wiadomo, której nocy wbiją nóż w plecy swemu właścicielowi. Ogriny, owszem, słowa złego nie powiem, sam mam jednego na własność, jedzą takie mniej i naturę spokojniejszą mają, ale hurie... – Handlarz zrobił kwaśną minę i z dezaprobatą pokręcił głową.

Wilczy demon gotował się we mnie i szarpał; resztki zdrowego rozsądku ostatkiem sił trzymały go za futro.

- Ten człowieka nie skrzywdzi – bronił mnie naiwnie Carsten.

- Toż to, gospodarzu, pewnie nie słyszeliście o zbiegłej hordzie huryskich niewolników, co z zimną krwią zamordowała księcia Herrhausena? Utknęli wojsku w Wendeleny, dzień drogi na Rufę od Alm. Zaszyli się w lasach tamtych gór, a teraz, przeszło tydzień temu, uderzyli w Thurimdorf. Piękne miasto, byłem nieraz. A te koty podłożyły ogień pod pałacem, gorzelnią, biblioteką, spichlerzami, składami oliwy – gniewnie wyliczał kupiec, spoglądając bez ustanku w moją stronę, jakbym to ja był temu wszystkiemu



winien. – Istne piekło na ziemi! Połowę miasta puścili z dymem! Ofiar nikt doliczyć się nie może, a czarny słup stąd było widać, choć to przecież dwa dni drogi będą.

Radza, pomyślałem. To stare, szczwane futro realizuje swój plan! Fascynujące i przerażające zarazem...

Miasto pozostawiło we mnie mieszane uczucia, choć być może to przez tego wilczego demona, który wówczas we mnie siedział. Mrowie ludzi, przewalających się z jednej ulicy na drugą irytowało mnie i paraliżowało jednocześnie. Zewsząd napierały na mnie ludzkie *nukie*, przebijające się spod ciężkich *nuków* najróżniejszego sortu. Być może mógłbym z czasem przyzwyczać się do takiego natłoku, ale tamtego dnia był to dla mnie szok. Bezustannie musiałem się powstrzymywać, by na kogoś nie skoczyć i się nie wgrzyźć mu w kark. Myślałem już tylko o tym, by się porządnie umyć.

Natomiast same budynki zrobiły na mnie dobre wrażenie. Ich majestatyczna wielkość, równość układu, kolory ścian, błyszczące kafle, rzędy okien, wypukłe zdobienia, szyldy, freski, rzeźby, gargulce... Nie było to może aż tak spektakularne jak niektóre poziomy Młyna, ale i tak zdołało zachwycić moją artystyczną duszę. Budynek ratusza spodobał mi się chyba najbardziej – ale to nic dziwnego. Obradowali w nim ludzie najwyżsi w hierarchii miasta wraz z kimś w rodzaju ich *raisa*, toteż nic dziwnego, że ozdobili budynek najlepiej jak potrafili.

Swoją drogą nie umiałem sobie wyobrazić, jak taki *rais* był w stanie zapanować nad swoją własną *mbarią*. Bezogoni mają wybitnie skomplikowany system hierarchii. Tworzą bardzo małe *mbarie*, składające się z albina, albinki, ich potomstwa i czasem innych krewnych. Kilka takich *mbarii* przylegających do siebie terytoriami tworzy wieś. Taka wieś ma osobnego *raisa* i wszyscy są mu podlegli. Jeśli tych *mbarii* jest bardzo dużo, ich terytoria, a nawet i rewiry wielokrotnie zachodzą na siebie, a cały ich obszar ogrodzony jest jednym, wspólnym murem, to taką wieś nazywają miastem. Miasta są tak gęsto zaludnione, że poszczególne bezogony nawet nie znają nawzajem swoich imion! A to jeszcze nie koniec. Większy obszar, na którym jest wiele miast i wsi, nazywają prowincją – ta też ma swojego *raisa*, który stoi w hierarchii wyżej od wszystkich bezogonów z tego obszaru w tym też *raisów* poszczególnych miast i wsi. Zaś kilka albo kilkanaście prowincji tworzy królestwo, które prowadzi jeden, jedyny, najwyższy *rais*. Nazywają go królem albo cesarzem – stoi ponad wszystkimi bezogonami, choć prawie żadnego nie widział na oczy.

Nie wszystkie budynki w Alm ujęły mnie swoim pięknem. Poszczególne dzielnice mocno różniły się między sobą – te bliżej zewnętrznych murów zdawały się być tak zrujnowane, jakby zaraz miały się rozpaść pod ciężarem mojego spojrzenia.

Ze względu na ceny noclegów podróż powrotną rozpoczęliśmy jeszcze tego samego dnia, pod wieczór. Nie udało mi się namówić Carstena, by zliżał z siebie ten paskudny zapach. Nie mogłem w ogóle zrozumieć, o co mi chodziło.

- Czego chcesz? – zapytał mnie, gdyśmy późną nocą grzali się przy niewielkim ognisku, opatuleni derkami, zającami pieczone dzikie zające, jakie upolowałem po drodze. – Przecież kąpię się regularnie!

Przyznałem, że ani razu tego nie widziałem.

- To oczywiście, że tego nie widziałeś – odpowiedział. – Przecież jesteś u nas dopiero od jesieni!

Na szczęście pogoda nam sprzyjała – nazajutrz śnieg był bardziej ubity, dzięki czemu sanie się w nim nie zapadały, zresztą bez świni były znacznie lżejsze. Dzięki temu mogłem zapuszczać się w las, by pod pozorem łowów nie musieć wahać tej sunącej na płozach krypty. Taki podział ról bardzo mi odpowiadał – mogłem wreszcie puścić wolno tego rozjuszonego wilczego demona. Był w swoim żywiole. Nic w sumie nie upolowałem, ale czasem po prostu trzeba się wyszaleć na świeżym powietrzu w pogoni za dziką zwierzyzną – inaczej życie traci swój smak... Już same zimne, zaśnieżone pola i dzikie leśne ostępy karmiły mnie wolnością i bezkresem.

Carsten, chcąc zdążyć na wieczór do domu, intensywniej poganiał iaki, a nawet zrezygnował z przerwy na obiad, więc i tak niczego byśmy nie zjedli. Gdy byliśmy już na naszym codziennym terytorium, umówiłem się z Carstenem, że sprawdzę po drodze sidła i wnyki. Mieliśmy się spotkać już w domu. Stało się jednak zupełnie co innego.

Pierwszy był zapach. I wcale nie chodziło o delikatny zapach młodziutkiej, zmarzniętej na kość łani, którą znalazłem zakleszczoną w żelaznych zębach potrzasku, a do której zaczął się już dobierać jakiś dziki pies. To był inny zapach. To były huryjskie *nukie*. Znałem je. Bardzo dobrze je znałem. Niewątpliwie była to hurianka, a ściślej: hidaya. Byłem tak zaskoczony, że nie mogłem sobie przypomnieć, która ze znanych mi hurianek tak pachniała. Potem poczułem też ludzką krew. Pewnie dlatego porzuciłem tę łanię i wśród śniegu i kęp suchych traw z łukiem w gotowości i nosem tuż przy ziemi zakradałem się do zabudowań. Wyjrzałem zza stodoły. Na środku po-

dwórka stały sanie ciągle zaprzęgnięte w iakki. Jeden z nich lizał coś leżącego na ziemi. Tym czymś był... Carsten! Bełt sterczał z jego piersi. Krew zabarwiła śnieg na czerwono. Nie ruszał się. A iakk beznamiętnie lizał go po nodze.

- No, jesteś wreszcie! – zawołał jakiś znajomy głos. Obejrzałem się w stronę obory. W drzwiach stała tigranka o śnieżnobiałej sierści. Nie miała ogona. No oczywiście! To przecież ona tak pachniała!

- Vijani! – zakrzyknąłem.

- Czarna Rozpacz, Kruczy Upiór, Biała Śmierć, Leśna Zmora – wyliczała, ruszywszy w moją stronę. – Vijani też mi pasuje. Dawno nikt mnie tak nie nazywał. – Było coś majestatycznego w jej krokach, coś magnetycznego w jej *nukiach*, coś odurzającego w jej głosie; jej sierść falowała przy każdym ruchu, mieniła się w zachodzącym słońcu jak nigdy. Jedyne pręga świeżej, jeszcze mokrej krwi na torsie i ramieniu burzyła czarno-biały porządek pręg. Dawno nie widziałem hurianki tak pewnej siebie i tak wyzwolonej w każdym calu. Przez ramię przerzuconą miała tradycyjną, szeroką *khange*, wyciętą z jakiejś ładnej skóry. Na plecach dźwigała kuszę, taką samą jakich używali bukaci z Młyna, ale zdawało mi się, że już samym spojrzeniem potrafiłaby przesyć ciało aż do kości.

- Zabiłaś Carstena! – rzuciłem z pretensją albo z fascynacją, nie pamiętam.

- Był twoim panem, co? Po *nukiach*, jakie tu wszędzie rozsiewasz, doszłam do wniosku, że trzymali cię tu w niewoli. A po twoim stroju widzę teraz, że się nie myliłam.

- To... tylko przebranie! – odparłem, szamocząc jutową koszulę, w jakiej wciąż tkwiłem. – Ale jego traktowałem niemal jak przyjaciela!

- Przyjaźniłam się niegdyś z pewnym chekecheą. Czas dowiódł mi, że przyjaźń z kimś o tyle niższym od siebie powinna być tak długa, jak długi jest mój własny ogon!

- Vijani... wybac... Tamtej nocy w Młynie...

- Dajże spokój! Co było, to było. Minęło. Tamten świat rządził się prawami, które nam narzucono i zmusił nas, byśmy byli kimś innym niż jesteśmy naprawdę. W tym świecie, tu i teraz, to my ustalamy prawa, które tym światem rządzą. A ty nie jesteś tamtym Chekecheą. Jesteś dojrzałym hurią, jak widzę... i jak czuję. Jak mam do ciebie mówić?

- Aria – odparłem.

- Aria – powtórzyła. – No tak. Dobre imię. Może być. Pasuje do ciebie...

Wtedy otarła się o mój bok na powitanie. A potem delikatnie przeciągnęła wibrysami po moim policzku i rzekła:

- Zostań moim *raisem*, Ario.

- Mam już swoją *mbarię*, tigriancko.

- Jak to? – zdziwiła się Vijani. – W ogóle ich nie czuć po tobie. Gdzie się chowacie?

- Tu, w tym domu – wskazałem budynek ręką.

- Byłam tam, nie ma tam innych huryjskich *nukii* poza twoimi!

- Nie ma, bo moją *mbarię* są ludzie, którzy tam żyją.

- Ludzie?... Chybaś zgubił dynię! Bezogonów wzięłeś za własną *mbarię*? To przecież... obrzydliwe!

Nic nie odpowiedziałem. Patrzałem tylko na tę tigriankę. Ona przecież też nie miała ogona.

- Muszę cię zmartwić – oświadczyła z pogardą. – Twój przyjaciele nie żyją. Wszyscy zginęli z mojej ręki.

- Wszyscy? Jak to wszyscy!?

- Wszyscy. Najpierw gruba albinka w kuchni. Miała tyle ciała, że belt, który się w nią wbił, nie zrobił na niej większego wrażenia. Musiałam jej poderznąć gardło, by skończyła. Za to jej chekechea zagrzebany pod kołdrą na poddaszu zginął od razu, zresztą już wcześniej wyglądał na martwego. A teraz ten albin tutaj. Wszyscy.

Tak, zgadza się... Wilda. Nie wspomniała o Wildzie!

- Jak mogłaś, Vijani? – szepnąłem tylko, próbując zebrać myśli.

- Toż to nic trudnego. To przecież tylko zwierzyna... Powiedz, czy przez te wszystkie lata w Młynie nie przyszła ci do głowy nieposkromiona ochota na to, by jakiemuś człowiekowi odebrać życie? Mną targała każdego dnia! Szczególnie wtedy, gdy mnie brali na gorę na te ich derby.

- Polujesz na strażników.

- Poluję na ludzi. Bukatów niewiele już zostało przy życiu.

- I ty ich zjadasz?

- W żadnym razie! – warknęła groźnie Vijani. – Pod żadnym pozorem nie jedz mięsa bezogonów! Te ludzkie demony są jeszcze gorsze od hodowlanych.

- To po co na nich polujesz?

- By wyzwolić świat z tego plugawego, ograniczonego i bezrozumnego robactwa. Wszyscy bezogoni na to zasługują!

Cóż to za polowanie, jeśli nie jemy zwierzyny, którą upolujemy, prawda? Przecież to czyste marnotrawstwo. Dziś na pewno bym się jej sprzeciwił, ale wtedy... wtedy ten mój wilczy demon tak bardzo był zafascynowany słowami i poczynaniami Vijani, że i ja nie mogłem oderwać od niej swego wzroku. Inaczej nie potrafię wytłumaczyć tego wszystkiego, co działo się potem. Byłem zupełnie oczarowany tą tigrzańską hidayą. Pewnie dlatego powiedziałem:

- Dobrze więc, ruszajmy stąd. Nic mnie już tu nie trzyma.

- Nie tak szybko, mój *raisie*. Mam tu jeszcze coś do zrobienia.

Podeszła do martwego ciała Carstena, zdarła z niego zakrwawione spodnie i jakimś krótkim nożem odcięła jego *umy*. Wzięła je, spakowała do jutowego worka i zniosła do obory. Stamtąd weszła do przybudówki i wysypała na ziemię pod nogi świń, któreśmy tam trzymali. Nie wzgardziły takim przysmakiem. Byłem tak zaskoczony zachowaniem Vijani, że nie wyrzekłem ani słowa. Musiała to robić już wcześniej, byłem pewien.

- Też bym coś zjadła – stwierdziła, gdy obserwowaliśmy, jak stara locha zajadała się rzuconymi jej *umami*. – Musimy na coś zapolować. – Nie byłem do końca pewien, o co jej chodziło. Uchyliła bramkę boksu dla świń i puściła je wolno. Potem otworzyła wszystkie klatki z zającami oraz tą z wombatami, które upolowałem niegdyś Wildzie. Tak jedne, jak i drugie ani nie myślały, by z ciepłej obory wychodzić na śnieg.

- Chyba mam coś odpowiedniego, moja hidayo – powiedziałem, myśląc o tej zmarzniętej, dzikiej łani, którą znalazłem w potrzasku i porzuciłem gdzieś nieopodal zabudowań.

Jednak gdy wychodziliśmy z obory, usłyszałem jakiś szmer w stercie siana – tej samej, na której spałem pierwszej nocy, gdy przybyłem do gospodarstwa. Podeszedłem bliżej i doszedł mnie jakiś cienki szept:

- Ario, to ja! Wilda! Ocal mnie, proszę!

Rzeczywiście, wszędzie czułem jej *nukie*. Musiała się tam schować przed Vijani. Nie miałem pojęcia, ile widziała, ale na pewno za dużo. Jakież resztki zdrowego rozsądku błagały mnie, bym rzeczywiście ją ocalił... Ocalić ją? Ocalić ludzką rasę? A po co? – pytał wewnątrz mnie mój własny demon. – Nie jest jakoś szczególnie udana...

Wyciągnąłem z siana tę ludzką chekecheę. Cała drżała.

- Nic się nie bój – szepnąłem, gdy garnęła się do mnie, po czym własnymi pazurami poderżnąłem jej gardło. Wciąż ją obejmowałem, gdy rzecka ciepłej krwi trysnęła gwałtownie i zalała tę jutową koszulę i spodnie,

które wciąż miałem na sobie. Tak to się zaczęło. Dziś wcale nie jestem z tego dumny.



*Niedobrze mi się robi, gdy słyszę takie rzeczy. Mam szczerą ochotę spakować się i uciec stąd z samego rana. Nie mam pojęcia, co ja tu jeszcze robię wśród tych morderców?! Najbardziej szokujące jest jednak to, że te wszystkie młode, które tego słuchają, nie widzą w tym niczego niestosownego. W ogóle nie przechodzi mi przez myśl, jak można dopuszczać je do takich historii.<sup>11</sup>*



- Brawo, mój *raisie!* – odezwała się Vijani; pogarda, jaką miała wcześniej w głosie, zniknęła zupełnie. – Musiałam przeoczyć jej *nukie*, tyle tu śladów. Ale chyba nie każesz mi jej jeść? Nie jem mięsa bezogonów.

- W żadnym razie, Vijani – zapewniłem, stojąc nad ciałem Wildy i myśląc o tym, że gdyby tak bardzo nie zaufała huriom, to wciąż by żyła. – Mam w zanadru coś odpowiedniejszego – powiedziałem.

- Taki lód? Kiedyś ty to złowił? – warknęła Vijani, gdy pokazałem jej moją zmarzniętą łanię. W czasie, gdy po nią szedłem, hidaya zdążyła rozpręgnąć iakki z sań; gdy wróciłem przeciągała właśnie ciało Carstena przez próg do domu. Zostawiło po sobie wielką krwawą smugę, ciągnącą się po śniegu przez podwórko. – Zresztą nieważne. Grunt, że dzięki –przyznała, przyjmując moją zdobycz. – Mamy tu przecież ogień.

Gdy zająłem się kuchennym paleniskiem i zacząłem już nad płomieniami rozmrażać mięso, usłyszałem dobiegający z zewnątrz krzyk:

- Niech to ciężka larwa! Co za gips!

<sup>11</sup> Są to luźne uwagi tłumacza dopisane po jakimś czasie na marginesie tekstu. Od tego miejsca pojawiają się regularnie, choć zazwyczaj nie mają związku z tekstem głównym – przyp. GE.

Rzuciłem lanię i w trzech susach wyskoczyłem na podwórko. Vijani rozeźlona i przerażona chwiała się, stojąc na rozprzężonych saniach. W jednej wyciągniętej ręce trzymała flakonik erabskich perfum, co go kupiliśmy w Alm; drugą rozpaczliwie machała przed twarzą.

- Co to jest, do demona? – rzuciła w moją stronę.

- To erabskie *nukie* – odparłem, parszając ze śmiechu.

- Chcesz powiedzieć, że erabowie tak pachną?

- To niewykłuczone – przyznałem, gdy ten ponad wszelką miarę duszący zapach słodkich kwiatów dotarł do moich nozdrzy. – Żadnego jeszcze nie wąchałem.

- Ale po co komu taki odór zamknięty w butelce? – jęknęła Vijani. Ostrożnie odstawiła flakonik, zeskoczyła z sań i próbowała wytrzeć śniegiem swoją aromatyczną rękę.

- Ricarda go używała, ta gruba albinka, której odebrałaś życie.

- Niech zgadnę: odstraszała nim dzikie zwierzęta?

- Niezupełnie – zastanowiłem się chwilę. – Miała zwyczaj w niektóre dni spryskiwać nim swoje ciało. Była przekonana, że to poprawiało jej zapach.

- To miało poprawić jej *nukie*? – tigranka popatrzała na mnie znieśmaczona. – Chyba była chora na głowę! – skwitowała i tym intensywniej wcierała śnieg we własną sierść.

Dołożyliśmy dREW do ognia. Czekaając, aż się upiecze nasz obiad, przeszliśmy do mojej komórki – było tam znacznie cieplej i przytulniej, no i nie spoglądało tam na nas martwe ciało Ricardy. Vijani zerwała ze mnie te niewolnicze, zakrwawione łachmany i w półmroku, oświeceni smugami światła, przebijającego się przez szpary w deskach, obdarowaliśmy się nawzajem aktem *jamii*. Najpiękniejszym, jakiego do tamtej pory doświadczyłem. Poza Młynem *jamia* zdawała się mieć tak niesamowity smak! To znaczy chyba tylko ja tak to odebrałem. Viajni, gdy tak tam leżeliśmy po wszystkim, grzejąc się o tę ciepłą ścianę i liżąc się wzajemnie, powiedziała mi:

- Nie jesteś Zinaą, przyznam. Ale i tak było pięknie, mój *raisie*.

Tak. Byliśmy absolutnie wolni! Byliśmy *mbarią*.

A ja stałem się *raisem*. Nawet o tym nie marzyłem...

Pod wieczór oblaliśmy wszystko oliwą, co ją z Carstenem przywieźliśmy z Alm, wychyliliśmy solidny łyk importowanego jin-hańskiego balganu i podpaliliśmy całe to gospodarstwo. Odeszliśmy, zostawiając za sobą słup dymu i łunę, malującą chmury na złoto. Magiczny widok...

Podążaliśmy na rufową Bakburtę. To był bezpieczny kierunek. Na Sterburcie był już przecież Radża. Pałac Thurimdorf, musiał ściągnąć na siebie i swoją burtę całe wojsko z okolicy, a skoro tak, to na Bakburtcie powinno być tego wojska mniej. Radża szedł na Thurimheim, stolicę albińskiego świata, ale znacznie później się o tym dowiedzieliśmy.

Zabrnęliśmy w śniegu na sam grzbiet jakiegoś pasma, rzuconego w kierunku Sterburty, by zejść w dolinę zamrożonej rzeki Alm – tej samej, w której brałem niegdyś kąpiel, by się pozbyć zapachu Młyna. Jakże tam było wtedy pięknie! Czapy śniegu, ciężące na gałęziach, mieniły się w świetle gwiazd; w ogóle przez tę wszechobecną biel było tam tak jasno jak w dzień. W swym górnym biegu rzeka wiała się wśród lasu niczym rzucona bezwładnie liana. A jeszcze bardziej niesamowita była tafla lodu, która ją skuła. Wierście lub nie, ale w tamtych stronach zimą woda staje się tak twarda, że można po niej chodzić, choć trzeba pomagać sobie pazurami, by się nie poślizgnąć<sup>12</sup>.

Przekraczaliśmy rzekę bardzo wczesnym rankiem. Na jej drugim brzegu natrafiliśmy na wydeptaną w śniegu ścieżkę. Sądząc po śladach i zostawionych w śniegu *nukiach*, jakiś bezogon szedł tamtędy na Bakburtę nie wcześniej jak poprzedniego dnia przed nami. Był to mężczyzna, młody raczej, silny, acz zmęczony brnięciem w górę rzeki przez ten śnieg; stopy zdawał się mieć obwiązane grubymi szmatami i zdecydowanie za rzadko prał swoje spodnie. Śnieg pełen był jego *nuków*. Co ciekawsze, w jakimś niezbyt szczelnym worku niósł swoją zdobycz – bez wątpienia były to ryby, nawet w miarę świeże. Nie zastanawiając się długo, podążyliśmy za nim...

Z biegiem wędrówki pojawiały się nowe zapachy. Intensywna plama oliwy zdradzała, że w drodze zaskoczyć go musiała noc, a z zimna aż drżały mu ręce. Zaś opary alkoholu, jakie unosiły się nieopodal z małego korka od amfory, sugerowały, że próbował dodać sobie otuchy i jakoś się rozgrzać. To było jakieś podłe, lokalne wino – koale szczyny najgorszego sortu, jakie nieraz zalatywały nam od bukatów w Młynie.

Było chyba wczesne popołudnie, gdy ścieżka przekroczyła przez Alm i szła wzdłuż jakiegoś niewielkiego dopływu, tworzącego wśród skał piękne rzeźby zamrożonych wodospadów. Gdzieś tam było nawet widać sączącą się pod lodem wodę. Chwilę potem na niebie dostrzegliśmy nieśmiałą smużkę dymu, a zza drzew wyłoniła się niewielka polana. W jej środku, przy samym brzegu rzeki stała niepozorna, drewniana chata. Pachniało bezogo-

12 Nie, wcale was nie nabieram. Tam się tak naprawdę dzieje z wodą.



nami, to prawda. Jednak znacznie bardziej zalatywało mieszanką przeróżnych ziół i roślin – ich aromat był tak intensywny, że aż trudno było się skupić na albińskich *nukiach*. Słysząc też było jakieś hałasy – tłuczona ceramika, pękające drewno, krzyki, wyzwiska. Oraz szczeł napinanej kuszy...

Spojrzałem w bok.

- Naprawdę chcemy się w to mieszać, Vijani? – zapytałem po cichu.

- Ależ oczywiście, Ario! Nie odbieraj mi tej frajdy!

Poderwała się, jakby ją kto z procy wystrzelił! W dwóch, trzech sekundach była przy drzwiach. Ruszyłem za nią z łukiem w pogotowiu. Nasłuchiwała w skupieniu. Gdy nadszedł ten właściwy moment, w jednej chwili z hukiem wtargnęła do środka, wystrzeliła niemal bez celowania, a z *khang-i* wyciągnęła swój nóż.

Gdy przekroczyłem próg, jakiś bezogon padał właśnie na klepisko. Bełt wystawał mu z szyi, krew wypływała mu z ust, w oczach domino wało zdziwienie. Uderzyła mnie gęsta chmura ziołowych zapachów – tak silnych, że aż zakręciło mi się w głowie. Cały sufit zajmowały rozwieszone pęki suszonych liści, wiązki pędów i korzeni. Wszędzie poniżej, mimo półmroku, dostrzec można było zniszczenie – połamane meble, potraskane naczynia, rozrzucone szpargały, jedzenie, ubrania. W głębi, gdzieś wśród tego kataklizmu, stała jeszcze jedna albińska postać – drobniejsza od tamtego mężczyzny.

- Winszuję! – parsknęła skrzeczącym głosem. – Gdybyś ty tego nie zrobiła, to ja bym musiała. Biała Śmierć przyszła po swe żniwo, nie mył się?

To była jakaś stara, albińska hekała. Zdaje się, że Vijani była zaskoczona tym jej powitaniem. Ciekawość wzięła górę nad żądzą mordy...

- Planowałaś go zabić? – zapytała tigranka, rozglądając się wokół. – Nie jesteś już aby za stara na profesję zabójcy?

- Ależ nie jestem zabójczynią! – obruszyła się albinka, robiąc kilka odważnych kroków w naszą stronę, jednocześnie wychodząc z ciemności i ukazując nam poszarpaną zmarszczkami twarz. Była tak przesiąknięta tymi ziołami, że aż nie czuć było w powietrzu jej *nukii*. – Nikogo nie zabiłam. To znaczy... nie w sensie dosłownym. To prawda, oprócz przyrządzania lekarstw warzę też trucizny, ale nie moja w tym rzecz, do czego ludzie je wykorzystują. Jestem zielarką. Nic na to nie poradzę, że większość widzi we mnie wiedźmę. A ty jesteś Biała Śmierć. Słyszałam o tobie. Mordujesz mężczyzn.

- Nie tylko mężczyzn – wtrąciłem.

- A kimże jest twój towarzysz?

- To mój *rais*, rzeżucho – odparła jej Vijani<sup>13</sup>. – Ktoś wyżej ode mnie.

Wówczas słabo jeszcze się znałem na ludzkiej mimice, a byłem tak odurzony zapachami, że w ogóle nie czułem *nuków* tej albinki. Ale miałem wrażenie, że się przeraziła słowami Vijani. Postrach, jaki zdawał się terroryzować okolicę, ta Biała Śmierć, okazał się mieć zwierzchnika wyższego od siebie w hierarchii. I to ja byłem tym zwierzchnikiem...

- Miło mi – zełgała zielarka. – Rozgośćcie się.

- Kim był ten człowiek? – zapytała Vijani, wskazując na bezogona z wystającym z szyi bełtem.

- A... to nic takiego. To tylko... klient. Żądał zbyt wiele, a nie przyniósł tego, o co prosiłam. Stąd ta... sprzeczka.

- Raczej jatka... Miał ze sobą ryby.

- To prawda. Są tutaj. Ich łuski są tak marne, że na nic mi się nie zdadzą, ale mięso będzie pewnie smaczne. Usmażę, jeśli chcecie.

- Nie trzeba, rzeżucho – urwała tigrianka. – Zjemy na zimno.

- To trucizna? – zapytałem, wbijając zęby w surowe, pośpiesznie wypatroszone mięso i przyglądając się półce z niezliczoną masą szklanych buteleczek, wypełnionych ciemnymi cieczami.

- Zgadł pan, panie *rais* – odrzekła albinka, zerkając to na mnie, to na leżące przy drzwiach ciało mężczyzny. – Te akurat przyrządzam z wywaru z igieł cisu i tartych liści pokrzyku, co tu rośnie powszechnie w tych stronach, warzonych na wolnym ogniu razem ze smalcem lub kozim mlekiem. Ludzie biorą ją na szczyry. Najmocniejsze jednak są te całkiem z prawej. Jednocześnie najdroższe. Suszone kwiaty konwalii, liście bluszczu i owoce kruszyny albo wyciąg z czerwonego muchomora, w zależności od urodzaju. Zabójcze dla ludzi, choć poprawia pamięć i koncentrację, ale to tylko w niewielkich dawkach.

- A w większych już nie?

- Cóż... W większej dawce efekt utrzymuje się aż do śmierci, tyle że śmierć następuje nad wyraz prędko. Starczy kilkanaście kropli, a nawet rośły mężczyzna padnie w kilka minut. To znaczy mówię to jako przestrożę, a nie instruktaż, ma się rozumieć.

- A masz jakieś odtrutki, albinko?

- Znacznie łatwiej zatruć niż uleczyć to, co zatrute. Mam tu gdzieś wywar z płatków nasturcji i suszonych liści jesionu, acz na mocniejsze trucizny i tak jest on bezsilny. – Mówiąc to, kobieta przeszukiwała szpargały

<sup>13</sup> Tak bukaci mówili czasem na swoje hekale.

na podłodze. Gdy znalazła jakąś małą buteleczkę, wręczyła mi ją, mówiąc: – Proszę, weźcie to, na zdrowie.

- Czemu nie dasz nam mocniejszej odtrutki, skoro ta na niewiele się zda?

- Bo nie mam, panie *rais*. Przyniesie mi pan świeżą krew mangusty albo serce smoka, to sporządzę miksturę, co zwalczy każdą truciznę.

- Zabierajmy się stąd – warknęła do mnie po hurysku Vijani. – Zaraz przesiąknijemy na wylot tym zielskiem!

Odmruknąłem na zgodę. Sięgnąłem jeszcze po jedną z buteleczek, tych z mocniejszą trucizną.

- To nam się może przydać, albinko – rzuciłem, idąc już do wyjścia.

- Jak to? – oburzyła się kobieta. – Chcecie mnie tak zostawić tu z tym martwym ciałem?

- W żadnym razie – odparła Vijani. – Pomożemy ci. – Wtedy obdarła martwego bezogona ze spodni i nożem odcięła jego *umy*, jak to miała w zwyczaju. Zaskwierczało, gdy wrzuciła je w żar murowanego pieca, co stał pośrodku izby. – Z resztą trupa zrób, co tylko zechcesz, rzeżucho!

Albinka, żywo dotknięta tym widokiem, krzyknęła tylko:

- Ależ dlaczego odcięłaś mu męskość?!

Vijani obróciła się w drzwiach, spojrzała z pogardą na zielarkę i rzuciła tylko:

- W waszym języku nazywacie to męskością? Wam, ludziom, prawdziwie nie brak poczucia humoru!



*Rozmawiałem z tutejszym raisem. Przekonał mnie, bym pozostał przynajmniej jeszcze kilka dni – zaprosił mnie na łowy, jakie mają się odbyć podczas najbliższej koniunkcji Eirini i Polemos. Całe stado ma w nich brać udział. Do raisa nie docierają jednak moje obawy. Tak jak nie widzi niczego niestosownego w opowiadaniu młodemu o mordowaniu ludzi. Radzi, bym dla rozluźnienia umysłu zaprosił którąś z hurianek do spółkowania. To jakaś niedorzeczność!*



- Przestań się tak wiercić! – warknąłem do Vijani.

Już przeszło godzinę nanosiłem tatuaż na jej sierść. Mi brakowało wprawy, jej – cierpliwości. Narzędzia, jakie miałem wówczas pod ręką, były tylko odrobinę mniej prymitywne od tych, jakie sporządzaliśmy sobie w celi. Za igłę służyło mi żelazne szydło, używane bodaj do napraw skórzanych kurtek albo spodni. Wzór był mojego pomysłu, a to nie tak łatwo wymyślić taki, który dobrze leży zarówno na tigrzańskich pręgach, jak i parciańskich cętkach. W ramach czarnego barwnika mieliśmy popiół z kości, ale nie wołowych, jak to bywało w Młynie, a ludzkich. Ludzkich kości mieliśmy pod dostatkiem. Zarznęliśmy jakiegoś mężczyznę, co mieszkał w niewielkiej jaskini dwie noce drogi na Bakburtę od chaty tamtej zielarki. Po *nukach* czuć go było z kilku kilometrów. Żył w tak prymitywnych warunkach i był tak zaniedbany, jakby już przed wieloma laty postradał zmysły. Czuć było, że polował na ludzi i żywił się ich mięsem, a gdy przeszukiwaliśmy jego norę, znaleźliśmy tam całe mnóstwo bezogonich szczątków, głównie starych kości. Te kości nas zainspirowały. Pomyśleliśmy, że przecież brakuje nam jeszcze wzorów naszej *mbarii*. W mojej sierści było jeszcze widać ślady znaku celi numer jeden, jaki nanieśli mi za czasów Jangi. Natomiast Vijani miała już tak czyste futro, jakby nigdy nie nosiła tatuaży.

- To nic takiego, tak już mam – odparła, gdy ją o to spytałem.

- Ale jak to możliwe? – drażyłem temat. – Aż tyle znów czasu nie minęło od szturm, by doszczętnie wyblakła ci cała akwarela<sup>14</sup>! Figury nie przyjęły cię wtedy do burty czy co?

- Przyjęły, przyjęły. Jakże mogliby się sprzeciwić bukatom? Ale nie chcę do tego wracać, *raisie*. Było, minęło.

- Burta Jangi do samego końca miała cię za zdrażczynię.

- Burta Jangi? Czyli ty także?

- Nie, ja nie.

- Nie? A dlaczego akurat ty nie?

- Bo ja wiem, kto był zdrajcą.

Vijani rzuciła mi przenikliwe spojrzenie. A ja powiedziałem jej:

<sup>14</sup> Czyli farba.

- Nigdy nie uwierzyłem, że mogłabyś nas zdradzić. Posądzałem Jangę, ale i ja się myliłem. Uchem był Sharia.

- Sharia? Jakim cudem?! Kto tak twierdził?

- Chekechea.

- Chyba sobie żartujesz! A skąd on niby wiedział?

- Powiedz, widziałaś kiedyś tam, na górze syna Ordina?

- Syna Ordina? Małego albińskiego chekecheę o bujnej, skołtunionej grzywie, który wtryniał się zawsze tam gdzie nie trzeba? Tak, nieraz płątał mi się pod nogami.

- Kiedyś myślałem, że Chekechea sobie go wymyślił... Ale, jak sama mówisz, ten mały albin był prawdziwy. Słyszał, jak Sharia wydał bukatom Zinaę. A potem, gdy cię już nie było, opowiedział o tym Chekechei.

- Jeden chekechea opowiedział drugiemu chekechei. Na demony! Frant z ciebie, jeśli dałeś wiarę takim bajkom!

- Tamten mały mówił też o przyjeździe tego całego księcia Herrhausen. Wiem skądinąd, że to prawda.

- Powiedziałaś burcie o Sharii?

- A komu by to co pomogło, Vijani? Ogoną by ci to nie zwróciło.

- I tak nikt by ci w to nie uwierzył. Ja nie wierzę.

- To w końcu czym się zajmowałaś u figur?

- Głównie rozładunkiem, jak większość. Odbieraliśmy pełne kosze i opróżnialiśmy je z urobku na hałdy. W błocie, w deszczu, w śniegu... Jedy-na zaleta, że widziałam prawdziwe drzewa, oddychałam świeżym wiatrem, a czasem czułam w sierści ciepłe promienie słońca.

- To skoro byłaś jedną z nich, to czemu cię nie wytatuowali?

- Nie zdążyli. Nim poprzedni wzór zdążył zejść z mojej sierści, nie było mnie już w Młynie.

- Jak to? Chcesz powiedzieć, że... uciekłaś? Jakim cudem?

- Rrrau, uważaj z tą igłą! – warknęła na mnie Vijani. Zamyśliła się.

- Na pokładzie nikt nie wiedział – rzekłem po dłuższej chwili. – Bukaci ani słowem się nie zdradzili.

- Nic dziwnego – odparła tigrianka. – Młynarz pewnie surowo zabronił. Jakby się to między burtami rozniosło, doszłoby do buntu. Do tamtej pory nikt przecież nie wydebił z Młyna.

- To jak tobie się to udało?

- Kończysz już z tym wzorem?

- Prawie. Mów, jak uciekłaś.

- Może... może innym razem.

- Twój *rais* cię o to prosi.

Vijani westchnęła, a w jej *nukach* czuć było zdenerwowanie. Wreszcie zaczęła:

- Był tam taki strażnik, albin, mówili na niego Erastis, ale musiał być z jakiegoś wysokiego rodu, bo przedstawiał się jako Erastis An'Haar. W hierarchii bukatów był podporucznikiem, zarządzał częścią papug, odpowiadał przed Ordinem za wejściową bramę i figury na powierzchni. Mnie upodobał sobie szczególnie, jeszcze przed tym, jak trafiłam na górę. Zawsze, gdy brali mnie na noc do tych swoich lochów, on był wśród nich. A potem, gdy nie miałam już ogona, zdarzało mu się wywołać mnie z celi figur albo nawet z tyрки w ciągu dnia i prowadzić do swojego prywatnego lochu. Zawsze wtedy był tylko on sam, lubił mieć mnie tylko dla siebie. Nigdy nie zrobił mi krzywdy, szanował mnie, no i zawsze dobrze karmił, gdy było już po wszystkim. Nie protestowałam, bo i po co? Szczególnie, że *jamia* z nim sprawiała mi nawet trochę... uciechy.

- Kilka miesięcy po tym, jak trafiłam do figur – ciągnęła nieprzerwanie Vijani, choć skończyłam już z jej tatuażem – Erastis umówił się z Młynarzem, że mnie wypożyczy na przepustkę. Poza Młyn. Na kilka dni. Wywiózł mnie w eleganckim powozie w kierunku Ruffy. Pierwszy raz od inwazji byłam tak daleko na wolności. Las był przepiękny, pachniał bajecznie, brzmiał jak muzyka. Gdyby nie łańcuchy, mogłabym pomyśleć, że całe to młyńskie życie to był jakiś koszmar, z którego właśnie się obudziłam... Dojechaliśmy do sporej rezydencji, zbudowanej nad potokiem wśród drzew. Kolumny, bielone ściany, płaski dach. Były tam powozownie, stajnie, osobne budynki dla służby, zadbane ogrody; z kuchni dobiegały rozkoszne zapachy sosów i pieczeni. W głównym, najwyższym i największym budynku dostałam własny pokój! Było w nim wielkie, miękkie łóżko z pościelą i poduszkami, a także kilka innych drewnianych, misternie rzeźbionych mebli, służących do przechowywania strojów, naczyń lub ksiąg oprawnych w skórę. Wszystko to oświetlało duże okno z widokiem na ogród. Wszędzie pełno było zdobień i ornamentów, o wiele piękniejszych niż te w czeluściach Młyna. Nawet ściany pokryto kolorowym, wzorzystym papierem... W całej tej posiadłości więcej było służby aniżeli straży. Nie mogłam tego nie wykorzystać. Drugiej albo trzeciej nocy, gdy Erastis przyszedł do mnie, poderznęłam mu gardło nożem podebrany ukradkiem z kuchni. Przy okazji zabiłam też jego ojca,

który wrócił właśnie z polowania czy czegoś tam i widział to wszystko. Par-szywy, głupi typ, swoją drogą.

- Zatem tak odzyskałaś wolność – skwitowałem. – Jak pozbyłaś się kajdan?

- Erastis mnie z nich rozkuł zaraz po przyjeździe. Wolał mnie... naturalną, bez niczego. Jego strata.

- Od niego zaczęłaś obcinać bezogonom ich *umy*?

- Ich męskość, co? – zażartowała tigrianka. – Tak, od niego. W ogóle wtedy, tamtego dnia, wszystko to się zaczęło. Wzięłam jego kuszę i ruszyłam przed siebie, zabijając każdego albina, który stanął na mojej drodze. Trochę się błąkałam to tu, to tam. Któregoś dnia, czając się w jakiejś wsi, podsłuchałam rozmowę dwóch albińskich hiday. Mówiły, że po okolicy grasuje jakiś potwór i poluje na ludzi. Mówiły na niego Leśna Zmora. Gdy powiedziały, że potwór ten zostawił ciało mężczyzny pozbawione przyrodzenia, skojarzyłam, że mówili przecież o mnie. Chociaż wcale nie zjadłam jego *um*, jak twierdziły. W miastach Meer i Yven na Bakburcie nazwali mnie Czarną Rozpaczą; gdy polowałam na żołnierzy wokół twierdzy Bakfort, nadali mi miano Kruczego Upiora; zaś tu, w tych stronach, jestem Białą Śmiercią. Jeśli wierzyć opisom, mam trzy metry wzrostu, szpony wielkości mieczy, diabelskie rogi, pojawiając się znikąd i znikam bez śladu. Wyobraź sobie, że według niektórych relacji mam nawet długi, ostro zakończony, trujący ogon! Dla mnie to budujące!

- Czyli ty w ogóle nic nie wiesz o tym, jak postawiliśmy dęba?

- Niewiele. Dowiedziałam się od bezogonów, których miałam zamiar zamordować. Zeznali, że zgraja kotów zmasakrowała strażników, uciekła z kopalni i panoszy się po okolicy, dokonując mordów i rozbojów. Byli przekonani, że jestem jedną z was oraz że zachowam ich przy życiu, jeśli mi wszystko powiedzą...

- I puściłaś ich wolno?

- A jakaż to różnica? Nie, nie puściłam ich. Zaszlachtowałam jak wszystkich pozostałych... Ale przed tym, jak ich spotkałam, miałam dziwne sny. Śnił mi się Młyn. I Chekechea. Śniło mi się, że dałam mu blaszkę z rybą; nie mam pojęcia skąd ja miałabym ją mieć? A on w podzięcie pokazał mi potem swoją tresowaną mysz.

- Siostrę? – zapytałam.

- Skąd wiedziałaś? Dokładnie tak ją nazwał w tym moim śnie! – zdziwiła się hidaya. – Dał mi trochę bomsu, bym mogła ją nakarmić. Robiła

różne sztuczki. Miała takie aksamitne futerko... A innego dnia śniło mi się, że wszystkie burty stały na szóstce w gotowości naprzeciw całej gromady bukatów uzbrojonych po zęby. Wtedy te kamienne maskarony, co tam były przyćepione do tych kolumn, ożyły nagle i startły wszystkich strażników w proch, torując naszym drogę... Kiedyś mi musisz opowiedzieć, Ario, jak naprawdę wyglądała ta wasza ucieczka.

- Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział. – Byłem zupełnie zaskoczony. Nie miałem pojęcia, co jej rzec. Jakim cudem Vijani przyśniła sobie to, co się tam zdarzyło, nie będąc tego świadkiem? A może to ja przyśniłem sobie ten sam sen, co Vijani? Jeśli tak, to sam już nie wiedziałem, jak było naprawdę! Ożywające kamienne bestie? Któż wierzy w takie brednie?!



*Poznałem dzisiaj pewną huriankę. Ma na imię Mtiriri. To znaczy, oczywiście, znałem ją już wcześniej, jak wszystkich ze stada, ale teraz poznałem ją... znacznie bliżej. Ma tak puszystą, miłą w dotyku sierść... Podeszła dzisiaj do mojego hamaka, delikatnie przeciągnęła wibrykami po moim policzku i, patrząc mi ciągle w oczy... zaczęła mnie...*



Gdy błakaliśmy się tak po albińskich ziemiach, podziwiałem wiosnę, nadającą wszystkiemu tak niecodzienny zapach i tak radosną barwę. Wyszędłem z Młyna przecież późną jesienią, więc dopiero wówczas, z Vijani zobaczyłem wszystkie te krainy w tych soczysto zielonych szatach. To było coś pięknego!

Czas szybko mijał, a rozjuszone demony wciąż pchały nas przed siebie. Krwawe polowanie trwało bez ustanku i bez wytchnienia. Mordowaliśmy ludzi wszelkich stanów, nie zważając na pozycję, wiek, majątek, jak i to, co mieli nam do powiedzenia. Ich śmierć dostarczała nam rozrywki i satysfakcji. Dzierżyliśmy władzę nad ludzkim życiem i od tej władzy się



uzależniliśmy. Góry, lasy, łąki, doliny; miasta, wsie, przydrożne gospody, farmy, garnizony, świątynie, burdele – wszystko należało do nas. Bez żadnych ograniczeń. Wszędzie żyli bezogoni, których życie zależało wyłącznie od naszego kaprysu. Zadurzeni w sobie, w szalonym transie gnaliśmy przed siebie przez nasze włości. Dopiero wtedy poznałem, co to prawdziwa wolność. A przynajmniej tak mi się wówczas wydawało. Jedliśmy, co tylko wpadło nam w ręce z albińskich spiżarni. Vijani brała czasem jakieś błyskotki dla zabawy, ale złoto zostawialiśmy za sobą – nie było nam do niczego potrzebne. Gdy nie polowaliśmy, uprawialiśmy *jamię* – na całość, do upadłego, bez opamiętania i bez kontroli. Doskonale się uzupełnialiśmy. Nawzajem podsycaliśmy ten płomień, spopielający każdego, kto tylko stanął nam na drodze. Nigdy moje życie nie było tak intensywne jak wówczas. Niegdyś nie uwierzyłbym, że złamani przez Młyn bylibyśmy w ogóle do tego wszystkiego zdolni.

To prawda, nieraz zmuszeni byliśmy uciekać i chować się przed wojskiem lub wieśniakami uzbrojonymi w widły i pochodnie. Pewnego razu z ledwością uszliśmy z życiem straży miejskiej. To było na kolejną wiosnę – już ponad rok trwała ta nasza wspólna krucjata przeciw bezogonom. Byliśmy wówczas w Farenfurcie – ładnym, zadbanym mieście daleko na dziobową Bakturtę od Młyna. Jako nieliczne nie odurzało zaraz po przekroczeniu murów uryną, odchodami i resztą albińskich *nuków*. Nie było tam nawet tych obfitych we wszelkie informacje rynsztoków, płynących zwykle środkiem ulic i obwieszczających o stanie zdrowia i majątności dzielnicy. Gdzie nie spojrzeć ogrody, trawniki, żywopłoty, drzewa, kwiaty w donicach. Woda tryskała w górę z kamiennych rzeźb; istny cud natury! Znaleźliśmy tam przytulną kryjówkę na opuszczonym strychu starej, ceglanej kamienicy. Nocami wyruszaliśmy na łowy, włamując się do mieszkań, mordując całe rodziny śpiących w nich albinów i wyzerając ich luksusowe mięso. Za dnia oddawaliśmy się sjeście bądź *jami*.

Nasza radosna beztraska trwała ledwo kilka dni. Tyle czasu potrzebowała wówczas tamtejsza straż, by znaleźć sprawców tych krwawych rozbójów. Aby nas wytropić, zatrudnili jakiegoś ogrińskiego myśliwego; mieli nawet tresowanego wilka! Z hukiem wparowali na strych, wyrывая nas ze snu. Vijani poderwała się momentalnie i jednym susem skoczyła przez okno, rozbijając w pył drewnianą ramę i okiennicę. Nie zdążyła nawet zabrać ze sobą swojej kuszy! Nie myśląc długo, chwyciłem tylko za łuk i rzuciłem się za nią, nim tamci mnie dosięgli. W locie dostrzegłem strażników,

czekających już na nas na dole. To była zasadzka! Wskoczyliśmy wprost w ich żelazne łańcuchy. Pojmali nas i zawlekli do aresztu, przeciskając się przez rozjuszoną cizbę gapiów, obrzucających nas wyzwiskami, kamieniami i zgniłymi owocami. Straży ledwo udało się wybronić nas od publicznego linczu. Mieliśmy mieć prawdziwy, sprawiedliwy proces sądowy i to już następnego dnia. Tak zarządził lokalny sędzia i kategorycznie zabronił stracić nas od razu. Podobno był amfionem<sup>15</sup>.

Nie doczekaliśmy wówczas tego sprawiedliwego procesu. Zamknęli nas w podziemiu w osobnych celach. Była już noc. Ja, pełen czarnych myśli, rozpaczałem nad naszym losem; zaś Vijani, w ogóle się nim nie przejmując, miała ochotę jedynie na *jamię*. Do tego stopnia, że wdzięczyła się do jakiegoś bukata, co nas tam pilnował. Była wręcz nieznośnie nachalna – na moich oczach pozwoliła mu się dotykać przez pręty krat po własnych *ukach*, a potem skłoniła go, by wkradł się do jej celi, zapewniając, że ma na niego ochotę. Po nukach czuć było, że wcale nie udawała ani pożądania, ani też przyjemności. Akt *jamii*, jaki dokonał się na moich oczach, był na swój sposób piękny, pełen pasji i obustronnego zaangażowania, jednak byłem nim niemal zażenowany. Do momentu aż w świetle pochodni błysnęło ostrze noża, które Vijani wbiła strażnikowi prosto w szyję. To był jego własny nóż, co go nosił przy pasie. Dał się podejść w tak banalny sposób... To zaskakujące, jak bardzo mężczyźni albinów tracą rozum, gdy zwyższą w powietrzu szansę na akt *jamii*. Odepchnięty zsunął się na posadzkę, a gdy skończył, tigranka odcięła jego *umy* i rzuciła nimi w kąt. Wzięła również klucze.

Takim sposobem wyszliśmy z cel. A gdybym się wówczas nie uparł, by odzyskać mój łuk, może udałoby się nam umknąć z tego aresztu zupełnie niepostrzeżenie. Nadłożyliśmy jednak drogi i zauważyli nas, gdy już wychodziliśmy przez kuchnię. Rzucili się w pogoń. W tych ich stalowych zbrojach nie byli w stanie nas dogonić, tyle że puścili za nami jeszcze tego wilka! Wściekle umięśniona bestia na czterech łapach! Nie wiem, skąd oni go wzięli? Bydlę było tak przerośnięte, jakby futrowali go najlepszym mięsem! Cwałując na zabój, wbiegliśmy do jakiejś podrzędnej dzielnicy. Niemal nas już miał, ale skoczyliśmy na jakieś schody, z nich na balkon, stamtąd

<sup>15</sup> To taki gatunek jakby pomiędzy ludźmi a huriami. Tak jak i my całe ciało pokryte mają sierścią i chodzą na dwóch nogach, ale ubierają się w suknie oraz w togi i mieszkają w miastach jak ludzie. Jedynie twarze mają podobne pyskom dzikich psów. Na całym świecie słyną ze swej praworządności – ponad wszystko ukochali prawo. Przyjdzie czas, że jeszcze opowiem wam o amfionach...

wąskim gzymsem wdrapaliśmy się na dach. Zjadłże bydlę zostało na bruku, choć nie traciło zapału. Zadyśzeni i źli, mknąc po dachówkach, dotarliśmy do miejskich murów. Wskoczyliśmy na nie i przebiegliśmy kawałek, by dostać się nad rzekę. Zeskoczyliśmy prosto w jej lodowaty nurt, chcąc zatrzeć nasz trop. Nim nastał ranek, byliśmy daleko poza Farenfurtem. Zmęczeni, zziębnięci, przemoczeni i wyprani z własnych *nukii*, ale przecież wolni. Od tamtego czasu musieliśmy być ostrożniejsi. Ciągłe mieliśmy wrażenie, że ten wilk wciąż nas jeszcze goni. Poza tym ciągnęły się za nami listy gończe. Nie mało oferowano za nasze głowy.

Zwykle jednak to bezogoni uciekali przed nami. Budziliśmy postrach, a widmo dwóch trzymetrowych, rogatych upiorów o półmetrowych szponach rosło w ich sercach. Szczególnie, że w tamtym czasie Vijani posługiwała się parą stalowych pazurów – nieco egzotyczną bronią zapinaną na przedramiona, zbudowaną z trzech ostrzy o długości krótkich mieczy. Jak mówiła, chciała doścignąć legendę, jaka szła przed nami. W istocie uzbrojona w takie pazury wyglądała zabójczo. Miały tak zmyślną konstrukcję, że założone nie przeszkadzały nawet w operowaniu kuszą. Kuszę zdobyła wcześniej od pewnego nieostrożnego wojaka z któregoś fortu, nie pamiętam już którego. Ja wolałem zostać przy moim łuku, toteż dobrałem sobie dwa lekko zakrzywione sztylety – idealne do walki w bliskim starciu. Wybór był zaskakująco duży jak na podmiejskiego kowala, do którego zawitaliśmy w środku nocy. Normalni ludzie śpią o takiej porze, a on, pochłonięty kuciem, nawet nie usłyszał, jak weszliśmy. Chwilę obserwowaliśmy go, czając się za skrzyniami. Piękny to był widok, jak całe stada roztańczonych ogników błyskały jaskrawo i rozbiegały się na prawo i lewo w takt uderzeń młota. Kowal desperacko próbował się bronić rozżarzoną do czerwoności głownią miecza, ale leżąc na ziemi przebity beltem i strzałą nie miał już żadnych szans.

Latem tamtego roku nasze krwiożercze demony pognały nas na daleką dziobową Bakturkę, do portu w Marlinhaven. Patrzyliśmy stamtąd na Wielką Wodę, myśląc sobie, że gdzieś tam za horyzontem jest nasz dom. A przynajmniej kiedyś był. Szliśmy stamtąd wzdłuż wybrzeża w kierunku Ruffy, mijając rybackie wioski. Tak dotarliśmy do Hawkshaven. Nie przekroczyliśmy granic Terahdearu, acz miasto to zamieszkałe było głównie przez barbarzyńców, albinów było tam niewiele. Pierwszej nocy czyhaliśmy na jakąś nieostrożną duszę pod jedną z portowych tawern. Obwąchwaliśmy ścianę, przy której bywalcy tego przybytku oddawali moc. Była

to istna galeria *nukii*, zdominowana co prawda koalim trunkiem, ale pełna barwnych historii. Starzy, młodzi, tłuści, chuderlawi, chorzy, napaleni, zrozpaczeni; miłośnicy ryb, pasjonaci jajecznicy z jaj kobuda oraz tacy, co żywili się wyłącznie alkoholem. Do wyboru, do koloru! Wszystko na wygodnej do wążania wysokości, nie trzeba się nawet za bardzo schylać. A mówi się, że bezogoni nie zostawiają śladów zapachowych! W pewnym momencie natrafiłem na świeże *nukie*, które zupełnie mnie zmroziły. Znaliliśmy ten zapach. Znaliliśmy go bardzo dobrze.

- Nie może być! – rzekła zdumiona Vijani.

Zaczailiśmy się przed wejściem i czekaliśmy. Trwało to kilka godzin, ale wreszcie, jakoś w środku nocy, wyszedł. Był przygarbiony i schorowany. Każdy krok stawiał z trudem, podpierał się zresztą laską. Przesiąknięty był koalim moczem gorszej próby, ale się nie zataczał. Nie był wcale pijany. Nie miał na sobie zbroi ani nawet swego rogatego hełmu. Miał za to drewnianą nogę, którą stukał o bruk. No i zapach, którego nigdy nie zapomnę. Turam. Klucznik Młyna. Zaczęliśmy go śledzić.

Mieszkał w dzielnicy biedoty; zresztą w Hawkshaven obejmowała ona wówczas większą część miasta. Zajmował niewielką piwnicę – przez zabite deskami otwory na wysokości bruku widać było, jak zszedł do niej ze świecą. Kiedy ją zgasił, ruszyliśmy.



*Wraz z całym stadem wziąłem dziś udział we wspólnych łowach. Rozkazali mi trzymać się z tyłu, ale nie przeszkodziło mi to w obserwowaniu ich technik. Zadziwiająco, jakże potrafią współpracować na odległość, jak zaganiają zwierzynę, jak przewidują jej ruchy, jak wykorzystują teren, by ułatwić sobie zadanie. Każdy ma w tym swoją rolę. Jakże oni są skuteczni i sprawni! Zaś upieczone, wspólnie złowione mięso smakuje wybornie.*



- Ani drgnij! – warknęła Vijani, napierając strzemiemieniem kuszy.  
 - Czego chcecie? Nic nie mam! Jestem nikim!  
 - Mylisz się – zaprotestowałem. – Ty jesteś Turam An’Akkarath, klucz-  
 nik Młyna, syn Turama At’Timmerach, zwanego Żelazną Bramą! – wyre-  
 cytowałem z pamięci.

Przywiędły bezogon łypał na nas tępo, jakbyśmy pomylili go z kimś  
 innym. Wreszcie odchrząknął i odparł posępnie tym swym niskim głosem:

- I tak, i nie.

- Ależ tak, wszędzie poznam twój zapach!

- Nie wiem, czego ode mnie chcecie – wycedził przez zęby – ale raczcie  
 wpięć zabrać ze mnie to żelastwo, nim wystrzeli w którymś kierunku!

Nie czuć było po nim lęku. Jego *nuki* pachniały starym, zniechęcającym  
 bezogonem; zdradzały słabość do koalego moczu i wieloletnią niechęć  
 do higieny. Niewiele ponadto. Skinąłem na Vijani, by dała sobie spokój z tą  
 kuszą. Dopiero wtedy powiedział:

- Nie wiem, jak mnie tu znaleźliście, ale teraz to i tak już bez znacze-  
 nia... Jesteście huriami i uciekliście podczas buntu, nie myślę się?

- I tak, i nie – rzuciłem, gdy ze względu na mrok nie zauważył ruchu  
 mojej głowy. Musiał nas ledwo dostrzegać w tych ciemnościach, jakie tam  
 panowały. My widzieliśmy go całkiem znośnie. Wyteżył wzrok.

- Ale huriami to jesteście. Tyle widzę. Która cela?

- Pierwsza – odparłem, choć przecież na początku byłem w dwójce,  
 u Radzy, zaś Vijani pod koniec przeszła na górę do figur.

Pokiwał głową, po czym zaczął:

- Byłem klucznikiem w tej waszej huryjskiej kopalni, to prawda; i praw-  
 da też, że nosiłem to przydługie imię. Ale z kopalni uciekłem, a imienia od  
 dawna już nie używam... Zresztą jedynie udawałem, że należało do mnie.

- Jak to... udawałeś?

- Naprawdę mam na imię Sjarm, ale znałem prawdziwego Turama.  
 Był rotmistrzem z regimentu Tussandera, pod którym i ja służyłem jako naj-  
 zwykleszy żołnierz piechoty. Nie trzymałem jednak strony albinów z Tera-  
 handearu, ani nawet sprzymierzonych z nimi barbarzyńców, choć przecież  
 sam jestem barbarzyńcą. Moją ojczyzną zawsze była Amfia.

- Amfia?

- Tak. To ona uratowała mi życie i nauczyła Praw. Byłem jeszcze szcze-  
 niakiem, gdy podczas wielkiej wojny z Chaosem moja rodzina umknęła do  
 Pesce, rybackiej wioski w bakburkiej Amfii. Amfioni dali nam schronienie,

otoczyli nas opieką, szacunkiem i godnością. Tam wszystkie istoty rozumne, bez względu na gatunek, są wolne i równe wobec prawa. Nawet wy byście byli. Albin zabrali was z waszej dżungli, zakuli w kajdany i zmusili do nie-ludzkiej pracy w kopalni. Gdybyście trafili na amfiońską ziemię, wolność otrzymalibyście z urzędu; niewolnictwo od lat jest tam zakazane.

- Bez bimbania... Sjarm! – przerwała mu Vijani. – Chcesz nam kit wciśnąć, że te psy przyjęłyby nas z otwartymi ramionami?

- Nas tak przyjęli, hurianko, choć wielka wojna trwała jeszcze. Wraz z innymi uchodźcami jako wolni ludzie pracowaliśmy ramię w ramię z amfionami w rolnictwie, rybołówstwie, kowalstwie czy innym rzemiośle. Trwaliśmy tak przez lata aż do czasu, gdy przymaszerowały wojska Terahandearu, burząc cały ten porządek. Imperium napadło na Amfię, łamiąc wszelkie możliwe traktaty pokojowe, i zawłaszczyło sobie część jej ziem pod pretekstem walki z Kruczą Armią. Palili amfiońskie wioski, rabowali, gwałcili, zabijali. Pesce niemal zrównali z ziemią. Cóż miałem zrobić? Uciekłem przed tym pogromem na bagna, by nie poszli moim tropem. Gdy tak szedłem na Sterburtę, bogowie zesłali mi pewnego milczącego amfiońskiego mędrca. Nie uwierzycie, ale porozumiewał się ze mną za pomocą myśli...

- Tak, kiedyś to już słyszałem – mruknąłem cicho pod nosem.

- To ten mędrzec mnie zachęcił, bym wrócił na Bakburtę i wstąpił w szeregi Terahandearu – ciągnął barbarzyńca. – Miałem znaleźć sposób, by rozbić najeźdźcę od środka i zwrócić Amfi zagrabione jej ziemie. I nie chodziło wcale o Kruczą Armię, a o Terahandear. Zawróciłem więc i się zaciągnąłem. Rzucili mnie od razu na sam front. Wielu tam służyło barbarzyńców przekonanych, że walczą o swój własny kraj. Nawet amfiońskich wieśniaków mordowali w dobrej wierze. Szybko zrozumiałem, że jako zwykły żołnierz piechoty niczego tam nie osiągnę...

- No ale w Młynie nie byłeś szeregowcem – zauważyłem. – Wysoko się wspiąłeś w tej ich hierarchii. Ile czasu ci to zajęło?

- Może z dziesięć minut.

- Dziesięć minut? Jakim cudem? Zgładziłeś smoka, czy co?

- Nadarzyła mi się pewna... okazja... To zdarzyło się na Piekielnych Ziemiach, jakieś kilkanaście kilometrów za linią frontu. Niebo zasłaniały gęste, burzowe chmury, czarny piach sypał się pod podszwami, a my szliśmy całym regimentem na jedną z tych opuszczonych strażnic. Mieliliśmy ją odbić. Ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy, oręż przy orężu. Parliśmy naprzód jak jaki stalowy wąż o łuskach z metalu, wierząc, że nic nas

nie powstrzyma. Wpadliśmy w zasadzkę Kruczej Armii. Zza wzgórz wyrósł cały las włóczni, stanęliśmy jak wryci. A potem cały legion tych umarłaków i kościotrupów ruszył na nas niczym błotna lawina. Było ich zbyt wielu, rozgromili nas do cna; zmasakrowali cały nasz regiment... Ocknąłem się pod stertą ciał, wygrzebałem się stamtąd. Była noc. Ze zdziwieniem odkryłem, że prócz sińców i zadrapań nie jestem szczególnie ranny. Nie mam pojęcia, który z bogów zechciał zachować mnie przy życiu, amfioni przecież żadnego nie wyznają – wierzą jedynie w prawo. Niemniej jednak jakimś cudem przeżyłem. Wśród martwych ciał natrafiłem na Turama, naszego rotmistrza, żył jeszcze. Wytargałem go stamtąd, krwawił obficie z nogi. Lewą łydkę zmiażdżyło mu coś ciężkiego i tępego. Wyglądało to paskudnie, ale zatamowałem, jak tam umiałem, i pomyślałem, że miał szanse. Wziąłem go na barana i ruszyłem do obozu. Chciałem uratować choćby jednego z tego pogromu. „Dziękuję ci”, wystękał wtedy i dodał: „Przypomnij mi proszę twe imię”. „Jestem Sjarm”, odpowiedziałem. A on powiedział to, co pamiętam do dziś: „Może ją ocala, tę nogę. Jeśli nie, to ześlą mnie w głąb Imperium, na cóż tam się przydam?”. To podsunęło mi iście szatański pomysł... Był tam po drodze zagajnik wielkich grzybów, rozjaśniających noc zimną, niemrawą poświatą. Na Piekielnych Ziemiach sporo takich rośnie. Zatrzymaliśmy się tam na chwilę odpoczynku. Ułożyłem ciało rotmistrza pod jednym z tych ogromnych kapeluszy i samemu też usiadłem, by zebrać siły. Powiedziałem do Turama: „Mam coś, co uśmierzy twoje cierpienie”. Odmówił, mówiąc, że wytrzyma, w końcu był barbarzyńcą. Typ był twardy jak baluchterium, ani na chwilę nie stracił przytomności. Nie spodziewał się, że wezmę żołnierski koc i z zimną krwią go nim uduszę. Rzucił się dłużej, ale w końcu wyzionął ducha.

- Jak to? – rzuciłem zaskoczony. – Przecież był twoim rodakiem! Barbarzyńcą tak jak ty!

- Mówiłem już. Moją ojczyzną zawsze była i po dziś dzień jest Amfia, zaś moimi rodakami są amfioni, których ci barbarzyńcy szlachtowali z albińskiego polecenia... Tak. Zamordowałem go. Potem zdarłem z niego hełm, zbroję, resztę rynsztunku i ubrania. Założyłem to wszystko na siebie, ubierając martwe ciało Turama w moje stare szmaty. Teraz to ja byłem Turamem An'Akkarath, synem Turama At'Timmerach, zwanego Żelazną Bramą.

- Czyli udawałeś, że byłeś kimś innym. Jakże reszta mogła tego nie zauważyć? Nie poznali cię po *nukiach*?

- Po czym znowu?

- Po zapachu – wtrąciła Vijani.

- Nie, gdzieżby tam? W koszarach wszyscy pachną podobnie. Poznać by mnie mogli barbarzyńcy z regimentu, ale wszyscy zginęli przecież w tej bitwie z Kruczą Armią. Przynajmniej tak mi się wówczas zdawało. Zaś albinom to nawet z twarzy barbarzyńcy się mylili. Tyle że musiałem mieć pewność. Zmasakrowałem Turama tak, by nikt go nie poznał, wziąłem na barana jego martwe ciało i ruszyłem do obozu.

- Targałeś tego trupa? Po co? – dziwiła się hurianka.

- By móc powiedzieć strażnikom, że nosię jedynego ocalałego z pogromu i udać zdziwienie, że wyzionął ducha na moich barkach. Inaczej gotowi byłiby wziąć mnie za dezertera i skazać na szubienicę. Mój plan nie był jednak idealny. Gdy zdawałem raport jednemu z albińskich dowódców w jego namiocie, ten w którejś chwili stwierdził: „Zaraz, przecież znam Turama. Hełm i zbroja się zgadzają, ale nos i oczy już nie! Nie wiem, skądę się wziął, ale rotmistrzem to ty nie jesteś!”. Musiałem działać szybko. W chwili, gdy albin nabierał powietrza, by zawołać strażę, rzuciłem w niego nożem, którego trzymałem w pogotowiu, doskoczyłem i poderżnąłem mu gardło. Szczęśliwie byliśmy w tym namiocie sami. Nie myśląc ani chwili, wbiłem sobie ten nóż głęboko w nogę i przeorałem nim własne mięso aż do kości, niemalże tracąc przytomność. Resztkami sił zakrzyknąłem na strażę, a gdy przybiegli, ryknąłem tylko: „Zdrajca! W brązowej pelerynie! Tam uciek!” . Ledwo zdążyłem pokazać ręką ścianę namiotu i zapadłem w ciemność.

- Czyli to sam obciąłeś sobie nogę!

- Nie, tylko zraniłem ją głęboko, mówię przecież.

- No ale gdyby nie ta rana, miałbyś obie nogi.

- Gdyby nie ta rana, byłbym martwy. Musiałem jak najszybciej znaleźć się daleko od ludzi, którzy znali prawdziwego Turama i mogliby odkryć mój fortel. A pamiętacie, co mówił, gdym go niósł? Bał się, że przez kalectwo zabiorą go w głąb Terahandearu. Taki właśnie miałem plan! I rychło się ziścił. Gdym się obudził w szpitalu polowym obozu, to nogi już nie było. Wdarło się jakieś zakażenie czy co i te cholerne albińskie konowały musiały mi ją amputować. Ale dzięki temu odesłali mnie z dala od frontu. Najpierw trafiłem do obozu w Muto, to kawał drogi na rufową Bakburtę stąd. Wówczas to była mała wioska wśród gór i lasów na głównym trakcie do albińskiej części Imperium. Gdy wydobrałem i nauczyłem się chodzić od nowa, wysłali mnie na Sterburtę, do Warenfortu. Albini stwierdzili jednak, że nie



przyda im się taki kuternoga w żałodze i skierowali mnie do tej waszej huryskiej kopalni, którą mieli na swoim terenie. Resztę w zasadzie już wiecie...

- To zdaje się, że nie udało ci się rozbić najeźdźcy od środka – wycedziła przez zęby Vijani. – Ten cały Terahandear wciąż się trzyma!

- Jak to? To wy nic nie wiecie? – Sjarm zmarszczył brwi i próbował w ciemności wyczytać coś z naszych twarzy. – Imperium Terahandearu upadło! Przecież to wasi pobratymcy się do tego przyczynili tym swoim zamachem!



*Młode ze stada pokazywały mi dzisiaj kilka pardiańskich gier. Odwdzięczyłem się im, ucząc ich naszej chezy. Za piłkę posłużył wypchany i zszyty pęcherz antylopy. Boiskiem była cała sawanna. Młode były co prawda chętne do gry, ale traktowały ją wyłącznie jako zabawę. Mimo moich usilnych prób nie udało mi się w nich zaszczepić sportowego ducha. Jeszcze gorzej było ze starszymi. Próbowiałem ich przekonać do udziału, ale oni nie uprawiają nawet ćwiczeń fizycznych, a wszelką aktywność, która nie dąży do napętnienia żołądka lub choćby pośrednio do jakiejś cielesnej przyjemności, uznają za zbędną. Od wszelkich zabaw i sportu wolą drzemkę. Ludzie sieją pola i hodują zwierzęta, aby mieć więcej wolnego czasu. Wolny czas przeznaczają na rozwój kultury – na obrzędy, sztukę, naukę, rozrywkę, rzemiosło, sport. Hurie nie sieją i nie hodują, a polują, zaś praktycznie cały wolny czas, jakim dysponują, przeznaczają na sjętę. Uważają ją za najwyższą formę aktywności.*



- Że jak? Co to znowu za kit, bezogonie? – rzuciła Vijani.

- Część z waszych po ucieczce z tej huryjskiej kopalni ruszyła na Sterburtę, a potem na Dziób – przyznał Sjarm. – Palili albińskie wioski, mordowali ludzi i umykali wojsku, które deptało im po piętach.

- Radza – stwierdziłem cicho.

- Zabili najwyższego naczelnika Banku Albińskiego, narobili szkód w Borwoldzie, niemal spalili Thurimdorf, zrujnowali Vixenhelm – wyliczał na palcach barbarzyńca – a potem... potem ruszyli na Thurimheim, samą stolicę Imperium. To się zdarzyło ledwo kilka miesięcy temu.

- I co? Gadaj, co było dalej, bezogonie! – warczała Vijani.

- Zabili go? – wyrwałem się. – Zabili cesarza?

- Niestety nie – odparł z grobową miną. – Wasi krewni zaplanowali napasć na konwój karocy, ale cesarska gwardia wystarczyła, by odeprzeć ich atak. Niemalże bezstratnie. Tych z hurii, którzy to przeżyli, stracono publicznie jeszcze tego samego dnia<sup>16</sup>.

Aż zamarłem, gdy pomyślałem o Fadhili, mojej siostrze. Była przecież z nimi.

- Ale nie trapiecie się, nie wszystko stracone – kontynuował Sjarm, choć ledwo do mnie docierało to, co do nas mówił. – Zaraz po tej napasći cesarz w obawie o własne życie uszedł ze stolicy do swego letniego pałacu w Thurimdorfie. Do obrony zabrał ze sobą część imperialnej armii...

- Po co wy nas tu w ogóle przywlekliście? – zapytałem z goryczą.

Sjarm zamilkł, zaczął błędzić wzrokiem po pokoju.

- Po co w ogóle był ten cały Młyn? – warczałem. – Kto na tym cokolwiek zyskał? Czego wy, ludzie, od nas chcieliście? Po co wam była ta cała inwazja na nasze ziemie? Czemu nie zostawiliście nas w spokoju?

- Potrzebne były ręce do pracy, hurio – odparł twardo Sjarm. – Terahandear w obawie przed Kruczą Armią budował ogromny mur wzdłuż Wielkiego Uskoku, dzieląc przy okazji na pół barbarzyńską ojczyznę. Do jego wzniesienia potrzebowali huryjskich niewolników. Popłynęli więc i wzięli, co chcieli.

- Mielіśmy budować wam jakiś mur? To jakim cudem trafiliśmy do tego Młyna?

<sup>16</sup> Historia wspomina o tym nieudanym zamachu – niektórzy z historyków nazywają go wręcz kocią rewolucją i upatrują w nim jedną z przyczyn upadku Imperium. Był to 37 dzień Dahabii 22 cyklu, roku wtórego – zob. *Wiek postmagnibelliczny...*, s. 325 – przyp. GE.

- Z albińskiej zachłanności, nic ponadto. Wzięli was tak wielu, że nie zmieściliście się naraz na skorupę gigantycznego żółwia<sup>17</sup>. Musieli kilka razy obracać nim tam i z powrotem – ciągnął Sjarm – by wszystkich przeprowadzić przez morze. Trwało to tygodniami. Część ginęła po drodze z głodu i wycieńczenia. Tych, co nie poszli na mur, rozsiali po całym Imperium. W tym także do tej kopalni. Tyle że to albini byli. To albini wtargnęli w wasze ziemie i zrobili z was niewolników! Barbarzyńców w to nie mieszaj, hurio.

- Bzdura! W szeregach Terahandearu służą też barbarzyńcy!

- Służyli, ale nie dowodzili. Który barbarzyńca podzieliłby swój kraj na pół i jedną połowę bez walki oddał najeźdźcy, a na drugiej postawił mur, by się za nim schować jak ostatni tchórz? Albinów wińcie za tę, jak to mówicie, inwazję. To przez nich tu jesteście. To albińskie tchórzostwo was tu sprowadziło, tak jak albińskie tchórzostwo doprowadziło to imperium do upadku. Przestałem już wierzyć, że doczekam takich czasów...

- No właśnie – wtrąciła Vijani. – Co z tym upadkiem?

- To stało się po tym nieudanym huryjskim zamachu. Cesarz, ten albiński tchórz, tak bardzo bał się kolejnej napaści na własne życie, że wraz z częścią armii umknął na Rufe, do Thurimdorfu. Tam się zabarykadował w swym letnim pałacu. Tymczasem w opuszczonej stolicy znalazł się człowiek, który zapragnął wziąć sprawy we własne ręce, niejaki Jan Weneren czy jak mu tam było<sup>18</sup>. Ruszył zbrojnie na miasto, przejął nad nim władzę i ogłosił się pierwszym cesarzem Imperium Albińskiego. A stary cesarz, ten szalony staruch, przebywając wciąż w Thurimdorfie, ogłosił się bóstwem w ziemskiej postaci. Ten głupi ogór zupełnie postradał rozum, ale ci tępi albini mu uwierzyli i pozwolili mu objąć władaniem tamtejsze ziemie<sup>19</sup>... Obie strony się zbroją, szykuje się albińska wojna domowa, a my, barbarzyńcy,

17 To przeraźliwie ogromne bestie, ale traktować je trzeba raczej jak pływające wyspy niż jak zwierzęta. Są łagodne i strasznie powolne. Żyją tak długo, że powszechnie uznaje się je za nieśmiertelne. Na skorupach mają zbudowane całe osiedla domów, magazynów i pomieszczeń załogi. Na większości rosną nawet drzewa! Te wodne miasta kursują tylko między większymi portami, potrzebują bowiem specjalnej zatoki, by bezpiecznie przybić do brzegu.

18 *Właściwie: Jan Weidegen, czyli Jan I – przyp. GE.*

19 *Tak też podają źródła historyczne. Imperium Albińskie powstało w miejsce Imperium Terahandearu, a Jan I był jego pierwszym cesarzem. Na obszarze Thurimdorfu i okolicznych miast powstał w tym czasie Terahandear, państwo wyznaniowe skupione wokół Emeryka IV, do dziś uznawanego przez tamtejszych kronikarzy za boskie wcielenie – przyp. GE.*

tylko na tym skorzystamy. Trzy lata temu od Imperium odłączyła się Krionia, albinie już wtedy nie mieli sił, by wysłać za morze zbrojną interwencję. A teraz w ślady kryptonitów pójda tak barbarzyńcy, jak i amfioni, centaury, orki, może nawet niziolki. Odzyskamy wolność, wystarczy po nią sięgnąć!

- Jasne, a hurie bez względu na te rozszady pozostaną niewolnikami! – podsumowała Vijani. – Skąd ty to wszystko wiesz, barbarzyńco?

Sjarm nie odpowiedział. Dopiero gdy tigrianka szarpnęła go za koszulę i warknęła mu prosto w twarz, szczerząc zęby, dał za wygraną:

- Od Bractwa Czerwonych Kordów.

- A co to za jedni?

- To obrońcy ojcowskiej ziemi. Chcemy obalić cesarstwo. Ledwo wróciliśmy z tajnego zebrania.

- Tak? I co jeszcze wiesz? – nalegała, wbijając mu w twarz wibrysy.

- W najbliższy eser rusza... powstanie – wystękał. – Jesteśmy po tej samej stronie, hurie!

- Jasne! Jak łowca i ofiara, głupi ciurmaku – rzuciła z pogardą Vijani, wypuszczając barbarzyńcę z uścisku.

- Zaraz, zaraz... Siedzimy tu tak po ciemku, ledwo widzę wasze twarze. Pozwólcie mi choć zapalić świecę.

Czemu miałbym się nie zgodzić? Kiwnąłem mu głową. Po chwili pomieszczenie rozświetliło się ciepłym, jaskrawym i rażącym w oczy blaskiem, a po ceglanych ścianach zaczęły tańczyć cienie.

- Tak myślałem – oświadczył z fascynacją w głosie Sjarm, wpatrując się w Vijani. – Pamiętam cię!

- A my pamiętamy ciebie, cóż z tego? – burknęła.

- Przecież to ty zbiegłaś z tego podziemia! To za tobą posłał nadzorca zastęp strażników, by cię dogonić i zabić. Cały był błąd z przerażenia i złości, gdy mu doniesiono o twój ucieczce. A tobie jednej się to udało. Niezły wywinęłaś albinom numer! Podziwiałem cię, hurianko, wiesz? Dobrze znam tę historię. Osobiście przesłuchiwałem służącą, kiedyśmy badali, jak doszło do tej rzezi. Jeden ze strażników, niejaki Erastis, szlachetnie urodzony albiński waśniak, w biały dzień wywiózł cię w karocy na wolność do swego rodzinnego pałacu. Tam oddał ci najlepszy pokój, służbie nakazał spełniać twe zachcianki, karmił cię najdroższym jadem i kindorzył od rana do nocy aż się ściany trzęsły. Tak zeznała. Zeznała nawet, że już pierwszego dnia rozkuł cię z kajdan, byłaś więc wolna. Nikt cię nie pilnował! Mogłaś uciec! Nikt by nie zginał.

- Nic nie wiesz, głupi ciurmaku! – warknęła Vijani.  
 - Wiem wszystko, hurianko. Na czwarty dzień wrócił z polowania ojciec Erastisa. Gdy dowiedział się od służby, co dzieje się w jego własnym pałacu, sięgnął po rapier ze ściany i wtargnął do sypialni. Gdy was tam zobaczył, zaszlachtował własnego syna, nie mogąc znieść myśli, że łączy was...  
 - Dobra, dość tych bzdur! – ucięła Vijani i, nim zdążyłem zareagować, chwyciła napiętą kuszę i błyskawicznie wystrzeliła bełt prosto w czoło klucznika.

Krew z wielką siłą rozbryzgnęła się po naszych futrach i całym pomieszczeniu.

- Do ciężkiej larwy, co ty wyprawiasz?! – krzyknąłem zaskoczony, gdy ciało Sjarma osunęło się na klepisko. – Ten był mój!

- Nie mogłam już znieść tej koziej glazury<sup>20</sup>!

- Że co!?! Miałem tyle pytań... Wszystkoś zepsuła!

- Toż to kłamca i oszust! – burknęła Vijani. – Zmyśliłby wszystko, by tylko ratować skórę!

- Przecież on jeden był po naszej stronie!

- Chyba pomyliły ci się strony, *raisie*!

- Doprawdy? On jeden przynosił nam jedzenie, choć wszyscy bukali nim pomiatali. A teraz nawet nie wiem, jaki miał ku temu powód!

- A co za różnica, jaki miał powód?

Byłem totalnie skołowany. Po chwili wyskoczyłem z pytaniem:

- Powiedz, Vijani, co tak naprawdę się wydarzyło w tym pałacu?

- A cóż się miało wydarzać? Wszystko ci powiedziałam!

- Powiedziałaś, że zabiłaś tego albina i jego ojca. Według klucznika to ojciec zabił syna, gdy go zobaczył wraz z tobą. Czym mu zawinił?

Tigrianka przewróciła oczami.

- To brednie wymyślane przez krnąbrną pokojówkę! – warknęła. – A ty dajesz temu wiarę?

- Nie wiem już, komu wierzyć, Vijani!

- Tak samo jak nie wiesz, kto jest twoją własną *mbarią*! Nie tak dawno za swoją *mbarię* uznałeś rodzinę albińskich wieśniaków!

Nic nie odpowiedziałem. Coś się we mnie złamało. Byłem zdezorientowany. Zatrzymałem wzrok na dogorywającym Sjarmie, z którego uchodziły resztki życia. Targnął mną jakiś impuls. Rzuciłem się do jego ciała, rozerwałem pazurami i zatopiłem zęby w ciepłym mięsie.

20 Czyli głupiego gadania.

- To obrzydliwe! – krzyknęła Vijani. Zaskoczyło, wręcz zbulwersowało ją to, czego się dopuściłem, ale nie zwracałem na to wówczas uwagi. Łapczywie smakowałem barbarzyńskie ciało i krew. Ludzkie demony miałyby być gorsze od hodowlanych? No to zobaczymy, myślałem.

Vijani coś wtedy jeszcze powiedziała, ale nie dosłyszałem, co. Musiało to być coś ważnego, bo gdy skończyłem z tym mięsem, jej już nie było. W pierwszej chwili, cały zalany jeszcze krwią, zacząłem ją tropić po jej *nu-kiach* w tym miejskim gąszczu, ale doszedłem do wniosku, że nie miało to sensu. Incydent z Turamem czy też Sjarmem tak bardzo nas z Vijani poróżnił, że oboje nie widzieliśmy sensu w dalszej wspólnej wędrówce. Każde z nas poszło w swoją stronę. Zresztą tak skrajnie małe *mbarie* – a zwłaszcza dwuosobowe – są z góry skazane na niepowodzenie. Wcześniej lub później po prostu się nudzą.

Nieraz wracałem myślami do tamtego dnia. Długo nie mogłem pojąć, za co ojciec Erastisa zabił własnego, dorosłego syna? Co takiego mogło go łączyć z Vijani, co zasługiwałoby na śmierć? Ale nie myślałem po ludzku, a po hurysku. Myśląc po ludzku, to już sama *jamia* poza tym ich kontraktem własnościowym to dla wielu powód do wstydu i plama na rodowym honorze, zaś *jamia* z huryskim niewolnikiem bądź niewolnicą to karygodna hańba niemożliwa do zmazania. Oto jak bardzo nami gardzą... Nim to sobie uświadomiłem, zdążyły mi już wyblaknąć tatuaże, jakie nanosiliśmy sobie z Vijani. Doszło do mnie wtedy, że ona ewidentnie wstydziła się tego, co zaszło w tym pałacu. A przecież hurie nie wstydzą się *jamii*! Może więc wstydziła się tego, że uznała albińskiego szlachcica, a zarazem młyńskiego oprawcę i strażnika, za własną *mbarię*? To tłumaczyłoby, dlaczego tak gorączkowo zareagowała na to, gdy niegdyś Ricardę i Carstena nazwałem swoją *mbarią*. Może po prostu chciała mnie chronić przed ludźmi? A może nawet podpisała z tym albinem taki ludzki kontrakt własnościowy? Dla hurii to byłoby nie do pomyślenia, ale... kto wie? Może właśnie to ją łączyło z tym Erastisem i właśnie za to jego ojciec odebrał mu życie? A Vijani miałyby mordować wszystkich napotkanych mężczyzn w ramach zemsty? Do dziś tego nie wiem.



*Mtiriri zabrała mnie poza rewir. Pokazała mi równiny i zakola rzeki, którą zwą pięknie*

*Huisha (co przetłóżyć można na: „Wzbudzająca życie” – przyp. GE.). Obserwowaliśmy pasące się zwierzęta. Namawia mnie, bym odbył rytuał Mahiri – zupełnie jakbym był hurią, a nie mesejem... Ledwo zdążyłem wrócić na Opowieść.*



Zamieszki w Hawkshaven rozpoczęły się rzeczywiście po kilku dniach, tak jak zeznał Sjarm. Być może w istocie był to eser, wówczas nie znałem się za bardzo na tych ich dniach tygodnia. Zaszylem się wówczas w przestronnej piwnicy jakiejś bogatej, albińskiej kamienicy. Było tam dość ciemno i chłodno, a z kolei na strychu panował niewyobrażalny żar – był koniec lata. Zostałem więc w piwnicy. Cała wypełniona była głębokim aromatem słodkich koalic trunków, jakie tam trzymali w wielkiej liczbie amfor. Przywłaszczylem sobie jedną lub dwie, stąd wiem, że smak również miały wysokiej próby. Było to słodkie wino, ale niezbyt mocne jak na ludzkie standardy... Albini trzymali tam też delikatesową, wędzoną polędwicę, rozpylającą się na podniebieniu. Była idealna! Można się było od niej uzależnić! Musiałem się tylko ukrywać przed służbą, która schodziła tam co jakiś czas. Dobrze, że nie byli huriami, wywęchaliby mnie od razu. Rozkoszując się tymi albińskimi smakołykami, rozmyślałem o tym wszystkim, co powiedział nam Sjarm, czyli Turam, jak i o wszystkich innych ludziach, którzy mieli nieszczęście stanąć na naszej drodze... Nie byłem w stanie ich zliczyć, tak ich było wielu.

Wczesnie rano któregoś z tamtych dni obudził mnie gryzący zapach zanadto przypalonego mięsa. Gdy otworzyłem oczy, wszystko tonęło w szaro-pomarańczowej mgle, a czarna chmura pełzała po sklepieniu. Brnąc przez pył, jaki wypełniał powietrze, wszedłem na schody, prowadzące na powierzchnię. Od zamkniętych drzwi prowadzących do głównego hollu lał się piekący żar, szparami przedostawał się dym, jaśniała z nich pomarańczowa, wręcz złota luna. Słyszać było trzeszczące drewno. Na górze szalał pożar. Niepewnie sięgnąłem po klamkę. Była tak gorąca, że skoczyłem oparzony, niemal spadając z tych schodów. Jedyna droga ucieczki, jaką tam miałem, była odcięta.

Na czterech przeszedłem pod przeciwległą ścianę piwnicy, a wręcz się pod nią położyłem, próbując nie wdychać tego gryzącego powietrza. Uciekłem z Młyna, by splonąć żywcem w jakiejś albińskiej kamienicy! Na demony! Nasłuchiwałem tylko, jak tam na górze trzeszczy drewno, jak łamią się stropowe belki, jak z łoskotem lecą na siebie kolejne piętra. Wszystko drgało, spadała na mnie zaprawa; bałem się, że ceglaste sklepienie w końcu nie wytrzyma i runie mi na głowę!

Wśród trzaskającego ognia usłyszałem przytłumiony huk gromu. Wybawienie! Szła burza! Choć nie byłem pewien, czy nie była aby wytworem mojej wyobraźni? Pomyślałem, że tak bardzo zatrąłem się tym szorstkim dymem, że ta burza to musiały być jakieś halucynacje. Natchnięty resztką świadomości, wygrzebałem z *khangi* dwie buteleczki, jakie niegdyś dostałem od tamtej zielarki, co częstowała nas rybami. Otworzyłem i powąchałem obie, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć, czym miała pachnieć odtrutka. Druga z nich była przecież silną trucizną! Nie wypilem w końcu żadnej z nich.

W którejś chwili z ogromnym hukiem puściły drzwi i do piwnicy wlała się cała lawina żaru i palącego się drewna. Całe schody stanęły w żywym ogniu, a płomienie powoli zajmowały regały z amforami pełnymi wina! Nie miałem pojęcia, czy wino się pali? I bez tego byłem już w śmiertelnej pułapce! Początkowo jeszcze bardziej wtuliłem się w kamienną ścianę, ale po krótkiej chwili zdecydowałem się zaryzykować. Nie myślałem zresztą zbyt trzeźwo. Miałem wrażenie, jakby jakiś demon chciał mi rozerwać głowę! Krztusząc się pyłem i dymem, doczołgałem się bliżej ognia, ściągnąłem jedną z amfor i z impetem, tak silnie, jak tylko mogłem, cisnąłem nią w żar. Roztrzaskała się wśród syku i pary. Zdawało mi się, że część płomieni ustąpiła. Rzuciłem więc w ogień jeszcze kilka bądź kilkanaście takich amfor, aż zupełnie ugasilem tę piwnicę. Spojrzałem tylko w górę, w stronę drzwi na główny holl i nic więcej już stamtąd nie pamiętam.

Obudziłem się na dworze, leżąc na ziemi. Czułem twarde kostki bruku pod sierścią. Słońce zasnutę było ciemną mgłą. Było mi zimno. Byłem cały mokry. Nade mną stał jakiś rosły bezogon o tępych wyrazie twarzy. W rękach trzymał puste drewniane wiadro ociekające wodą.

- Żywy! – zawołał tryumfalnie do pozostałych, nie odrywając ode mnie wzroku.

- To albiński, burżujski sługus! Dobijta go czym prędzej! – polecił któryś.

- Nie potośmy go ratowali, by teraz ubijać! Każda para rąk się nada.



- Wino żeśmy ratowali, nie jego!  
 - Gadaj – zagadnął rosły i tępy, schylając się nade mną. – Gadaj, komu służysz?

Chciałem odpowiedzieć dyplomatycznie, że im, ale żadne słowo nie chciało mi przejść przez gardło. Złośliwy demon wciąż pastwił się nad moją głową.

- Kot-niemowa – oświadczył fachowo kolejny ze stojących nade mną barbarzyńców. – Może w ogóle nie umie po naszymu?

- Toć mówię, by go dobić!

- Spokój! – ryknął ten, co wcześniej mnie bronił. – Zanieście go do portu, tam gadać wiele nie potrzeba.

Rosły i tępy kiwnął głową, podniósł mnie z ziemi i zarzucił sobie na ramiona, jakbym ważył tyle, co samo moje futro.

- Spróbuj mnie choć zadrapać, to kark przetrzęcę! – burknął tylko.

Dopiero z wysokości dostrzegłem leżące wokół martwe ciała albinów oraz niemal doszczętnie spaloną kamienicę, w której niedawno się chowałem. Zostało po niej kilka okopconych ścian, z których wciąż sączył się jeszcze czarny dym.

Gdy mnie tak niósł przez tę bogatą dzielnicę Hawkshaven, rzuciły mi się w oczy kolejne pogorzeliska i kolejne albińskie ciała – leżące gdzie popadnie bądź powieszzone na prowizorycznych szubienicach. Wszędzie czuć było krew i spaleniznę. Wciąż płonęło wiele domów, z innych słychać było trzaski, krzyki i lamenty. Po ulicach chodziły zbrojne bandy, demolując wszystko, co spotkały na swej drodze. Skala zniszczeń była ogromna. Zatem to było to barbarzyńskie powstanie, które miało ruszyć, pomyślałem. W porównaniu z nim rozboje, jakich się dopuszczaliśmy razem z Vijani, były nieistotną błahostką.

- Weźcie go! To co prawda albiński dywan, ale może się tu wam przyda – huknął ten, co mnie niósł, gdyśmy dotarli do miejskiego portu. Słony i zgniły zapach był tam tak dominujący, że można było na chwilę zapomnieć o ludzkich *nukach*.

Chudy, zwapniały barbarzyńca o kilkunastu zaroście i mocno przerzedzonej grzywie obdarzył mnie zmęczonym spojrzeniem.

- Na Havldora! Skądęście go wytrzaśli? – zapytał, uporczywie żując coś w ustach.

- Gdyby nie Bjorg, byłby już skwarką. Nakarmicie go czymś i rumem napoicie, to wydobrzeje – poradził rosły i tępy, odkładając mnie na ziemię

i opierając o jakąś beczkę, bym się nie wyrócił. O własnych siłach z ledwością utrzymywałem ciężar własnej głowy.

Dopiero wówczas zlokalizowałem źródło zapachu nadpalonej sierści, jaki towarzyszył mi w drodze do portu. Spojrzałem na własne ciało i z przerażeniem odkryłem w jak opłakanym stanie było moje własne futro! W wielu miejscach było okrutnie wypalone, w innych – nieznośnie posklejane, a całość przykrywała taka warstwa pyłu i sadzy, że ledwo było przez nią widać cętki, nie mówiąc o tatuażach!

Chudy mężczyzna przyszedł do mnie po kilku chwilach, wręczył blaszaną miskę wypełnioną pachnącym bigosem i oświadczył:

- Masz, ino zapamiętaj sobie raz na zawsze, nowy! Należysz do Lindisfarneńskiej Gildii Handlowej. Jestem Yrian, zarządca, a ty jesteś pod moją opieką. Czegoś ci trza, dzieje ci się jaka krzywda lub czegoś nie wiesz, szukasz mnie i mi mówisz. Jestem zwykle gdzieś w magazynie, o tam. – Niedbale wskazał ręką spory budynek, wokół którego, wśród wielkich ilości skrzyń, kufrów i beczek uwijało się mrowie ludzi. – Pracujesz od świtu do zmierzchu, chyba że wyskoczy jaka nagła fucha. Kimasz z innymi w magazynie. Nie wiem, do czego żeś jest przyzwyczajony, ale micha jest rano i wieczorem. Przylapię na kradzieży, dostaniesz dwadzieścia kijów. Abo więcej. Będziesz się ociagać, wychłostam. Spróbujesz uciec, zakuję w kajdany. Chyba tyle. A, jeszcze ino jedno. Jak odkryję, żeś naszczał na towar, obetniemy ci jajca. Zrozumiano?

Kiwnąłem głową. O zgrozo!

- Dobra. Mam coś jeszcze dla ciebie. – Podszedł bliżej i zapiął mi na szyi skórzaną obrozę. Były na niej jakieś huryskie *nukie*. – No, to teraz ino jedz i się wyśpij. Jutro zaczynasz.

Zasnąłem nad miską. Zbudziłem się, gdy ktoś krzyknął:

- Trzymajcie go! – To znów był ten Yrian, zarządca magazynu. Trzymał w rękach pręt zakończony kawałkiem rozżarzonego do czerwoności metalu. Dwóch potężnych barbarzyńców chwyciło mnie z obu stron. Wtedy zwrócił się do mnie. – Jeszcze jedna rzecz, nowy. Nie masz jeszcze naszego piętna, jest tu obowiązkowe.

Wtedy zbliżył się z tym dymiącym prętem. Przerażony poznałem, co to było – Ricarda opowiadała mi o tych znakach, które bezogoni wypalają w skórze swoich zwierząt, by wiedzieć, czyją są własnością. Próbowałem się wyrwać, ale nie miałem na to sił, zresztą tych dwóch trzymało mnie jak w imadle. Zaszczało i zapachniało palonym futrem. Poczulem tak potwor-

ny ból w prawym ramieniu, że wyskoczyłbym z własnego ciała, gdybym tylko potrafił. Do dziś dreszcze mnie przechodzą na samo wspomnienie.

Poszli. Byłem zdruzgotany. Vijani chyba by mnie wyśmiała, gdyby mnie wtedy zobaczyła. Gdy podróżowaliśmy razem, byłem wyzwolonym hurią, a nagle na powrót stałem się niewolnikiem. I to przecież na własne życzenie! Nikt mi nie kazał w pośpiesznym rytuale Dudii wymieniać krwiożerczego i nienasyconego wilczego demona na tego, którego miał w sobie Turam. Może rzeczywiście te ludzkie są gorsze nawet od hodowlanych? Do dziś nie mam pojęcia, co mną wówczas targnęło. Niemniej jednak od tamtego dnia nie zabiłem już ani jednego albina. Nawet nie miałem takiej potrzeby. Rozmyślałem o tym w tej ciemnej piwnicy, jeszcze przed pożarem, i doszedłem wówczas do wniosku, że dokonałem słusznego wyboru. Zabijanie ludzi było wątpliwą rozrywką; nie rozwiązywało żadnych problemów; niczemu nie służyło. Jednak tamtego dnia w porcie, oparty o tę beczkę i upodlony barbarzyńskim piętnem, straciłem tę pewność<sup>21</sup>.

Zacząłem poważniej myśleć nad demonami. Pamiętacie, co kiedyś Lōzi mówiła Chekechei? Opowiadała mu o salamandrach, uhuru, siłach. Tak, mówiła też o smokach, w których mieszkają demony tak wielkie i wszechmocne, że mogłyby rozerwać ciało hurii samą swoją obecnością. To wtedy pojawiło się we mnie pragnienie, by takiego przejąć. Z takim demonem żadne kajdany ani piętna nie odebrałyby mi wolności. Ricardzie, gdy mnie znalazła w swojej oborze, powiedziałem przecież, że jestem łowcą smoków! Tak... tylko gdzie je znaleźć?



*Czy naprawdę trzeba się urodzić hurią, by nim być? Jakąż przeszkodą jest brak sierści bądź ogona? Najtrudniejsze do pokonania przeszkody znajdują się w naszych własnych głowach. I to my sami je wznosimy. Wyszedłem poza rewir i wspiąłem się na jedno z tych sawannowych drzew. Obserwowałem zwierzynę. Staram się to robić tak jak oni. Ile jeszcze mi brakuje?*

<sup>21</sup> Tak, zgadza się, to ono. Takie wypalone piętno zostaje już na całe życie, choć nie jestem już przecież własnością tej Lindisfarneńskiej Gildii Handlowej.



- To ten nowy – obwieścił ktoś po albińsku z dziwnym akcentem.

- Ale brudny – stwierdził inny głos.

- Przyniosę wiadro wody, to się umyje.

- Nie! – krzyknąłem jak oparzony. Już sama myśl o wiadrze wody na dobre wyrwała mnie ze snu. Znowu obudziłem się nie tam, gdzie zasnąłem. Nie miałem pojęcia, jak się tam dostałem i jak długo spałem. Pachniało tam przyprawami, łojem, oliwą, solonym mięsem, rybami, ale głównie huryjskimi *nukiami* i *nukami*. Byłem w jakiejś dużej hali, co zresztą słychać było po echu. Panujący tam półmrok rozświetlał żółty blask licznych lamp oliwnych. Nad moją głową stała grupa hurii i hurianek, przyglądając mi się z zaciekawieniem. Wszyscy mieli założone obroże, a na ramionach wypalone piętna własnościowe.

- Jestem Aria – powiedziałem.

Nie zrozumieli. Spróbowałem jeszcze raz, bez efektu. Czyżbym ciągle nie potrafił mówić?

- Chyba próbuje nam coś powiedzieć – stwierdziła po albińsku któraś z hurianek.

Wtedy i ja rzekłem w ludzkiej mowie:

- Mam na imię Aria.

Dopiero wówczas zrozumieli. Pierwszy raz w życiu widziałem hurie, które nie umiały mówić po huryjsku. Coś niebywałego!

- A ja jestem Mleczne Uszy – oświadczył rozpromieniony pardian, chyba najstarszy z nich wszystkich. – Po mojej prawej jest Szlam, nasz jedyny tigrian; ten mały i wiecznie rozczochrany to Dziki, za nim stoi Huba; ta o sierści czarnej jak smoła to Wrona; zaś tę oto arufiankę, najmłodszą spośród nas, nazywamy Erabką, bo służyła erabskim panom, aż zdecydowali się ją sprzedać. Do Gildii trafiła ledwo pół roku temu i jeszcze nie mówi płynnie po albińsku. Brakuje tylko naszych ogrinów: Rylca, Przerazy i Kikomory. Ten pierwszy to nasz kucharz. Czujesz aromat gotowanego mięsa? To nasza kolacja. Przekonasz się, że smakuje nawet lepiej niż pachnie! Zaś Przeraza i Kikimora są siostrami, mają tu najdłuższy staż. Nie ma ich jeszcze, bo rozładowują transport z Havn, niebawem do nas dołączą. Nie musisz się

ich bać, tylko pod żadnym warunkiem nie zajmuj ich łóżek, to tamte dwa na dole. A ty śpisz o tam, na górze. – Wskazał dwupiętrowe łóżko w rogu magazynu.

- Nie macie huryskich imion? – zagadnąłem.

- A czymś się różnią od tych naszych? – zapytali.

Ostatecznie nie potrafili poprawnie wymówić mojego imienia, więc przez to, jak wyglądałem tego pierwszego dnia, zaczęli wołać na mnie „Skwarka” – tak samo, jak mnie nazwał ten rosty i tępy barbarzyńca, co mnie na ramieniu przyniósł do portu. Ktoś z nich musiał to usłyszeć.

Wszyscy oprócz tigriana i tej młodej arufianki z Erabii byli pardianami tak jak ja – być może dlatego okazali mi tyle życzliwości. Stanowili wyjątkowo dziwną *mbarię*. Ten, co im dowodził, Mleczne Uszy, nie zachowywał się jak *rais* – pozwalał sobie wchodzić w słowo, podważać własne zdanie, ważne decyzje podejmował wspólnie z innymi. Sprawiali wrażenie, jakby w ogóle nie ustalili sobie żadnej hierarchii. Zwyczajnie też mieli dziwne. Używali wody do czyszczenia sierści, a mycie za pomocą własnych *nukii* uznawali za wstydlivy nawyk! Ich ogony zwisały bezwładnie, niemal niczego nie komunikując – jakby ktoś je im przyprowadził wyłącznie dla ozdoby. Nie uprawiali *jamii*, nawet nie prychnęli na powitanie jak hurie. Ich relacje między sobą zdawały się być suche, martwe i jakieś takie... ludzkie.

Wszyscy oni urodzili się w niewoli. Byli potomkami hurii i hurianek przywiezionych przed wielu laty do Terahandearu – podczas wojny z Chaosem lub jeszcze wcześniej. Skąd mieli znać nasze zwyczaje i nasz język? Nikt ich tego nie nauczył. Kopiowali zachowania bezogonów, bo nie mieli żadnych innych wzorców!

Mleczne Uszy jeszcze pierwszego dnia przekazał mi jakiś kawałek szmaty i polecił, bym czym prędzej zawiązał go sobie na biodrach. Wszyscy w tej *mbarii* byli ubrani w takie przepaski i ewidentnie wstydzi się swoich *um* i *uk*. Patrzyli na mnie z obrzydzeniem, gdy zlizywałem z sierści pył i sadzę. Dziwili się, gdy nie chciałem spać na sienniku przesiąkniętym jakimiś dziwnymi *nukami* oraz odorem zgniłych wodorostów i położyłem się na gołych deskach, które swoją drogą nie pachniały wiele lepiej. Gdy oznaczyłem je swoim zapachem, przerażeni i zbulwersowani niemal mnie zlinczowali. Już pierwszej nocy wiedziałem, że nie wytrzymam zbyt długo w ich towarzystwie. Nie wyobrażałem sobie, bym mógł się do tego wszystkiego przyzwyczaić. I jeszcze to jedzenie...

Przyniósł je w kociołku ten ogrin, którego nazywali Rylcem. Wszyscy nakładali je sobie do blaszanych misek. Rozwodzili się nad głębokim zapachem, kruchością wołowego mięsa i pieścącym podniebieniem sosem, w którym to wszystko pływało. A ja, gdy wziąłem to do ust, miałem wrażenie, że trafiłem na pokrojoną w kostkę podeszwę czyjegoś buta. Tak tykowanej potrawy zupełnie pozbawionej smaku nie jadłem od czasów Młyna! Pomyślałem wówczas, że skoro jestem tam nowy, to pewnie robią sobie ze mnie głupie żarty, ale w następnych dniach okazało się, że oni tak jedli codziennie, zaś ich zachwyty wcale nie były udawane. Im to naprawdę smakowało! Mi, po tych wszystkich smakołykach z albińskich spiżarni, z trudem przechodziło to przez usta. Nie wiem, kto dał Rylcowi dostęp do składu z żywnością i polecił mu gotować dla nas posiłki, ale cechować się musiał wrodzoną złośliwością.

Przyglądałem się mu tego pierwszego dnia, żując tę rozgotowaną podeszwę. Nigdy wcześniej nie widziałem z bliska żadnego ogrina! To gatunek sporych jaszczurek, chodzących na dwóch nogach w wyprostowanej postawie. Mają zwinne ogony, a całe ich ciało pokrywają łuski, najczęściej brudnozielone. Ich *nukie* pachną sfermentowanymi wodorostami i zjełczalymi jajami kobuda<sup>22</sup>. Nie rodzą się tak jak my, a wykluwają z jaj – jak gady lub ptaki. Podobnie jak gady mają zwyczaj nagminnego wysuwania języka. Jak sami mówią, badają w ten sposób zapachy. Ich zachowanie silnie zależy od temperatury. W ciepłe dni są zadziwiająco zwinni, wytrzymali i robotni – szczególnie w słońcu, na otwartej przestrzeni. Jednak gdy przychodzą mrozy, zwijają się w kłębek w najcieplejszym kącie i stenami nie można ich zmusić, by choćby czubek nosa wysunęły na zewnątrz. Do każdej, nawet najprostszej roboty zabierają się wówczas tak ślamazarnie, jakby mieli na nią wieczność. Większość ogrinów prowadzi spokojne życie, uprawiając ziemię w swej ojczyźnie – krainie żyznych i ciepłych równin na Sterburtę od Amfii. Ci odważni i nieroztropni, którzy zdecydują się wyruszyć w świat, zazwyczaj kończą jako niewolnicy.

Nasz ogriniński kucharz miał charakterystyczne, ostre wypustki kości na głowie. To z ich powodu nazwali go Rylcem. Jedno wiedziałem na pewno: na gotowaniu to się on nie znał. Przeraza i Kikimora wróciły ze swej służby nim skończyliśmy jeść. Dostały swoje porcje. Były w dość zaawansowanym wieku, skórę miały obwisłą, łuski wyblakłe i wytarte, oczy pierwszej zasły bielmem, druga miała poważne braki w uzębieniu. Ich wygląd i wciąż agre-

<sup>22</sup> *Wybaczenie, proszę, ułomność mego tłumaczenia – przyp. tłum.*

sywny charakter tłumaczył, dlaczego reszta przezwalała je nazwami dwóch dzikich, krwiożerczych bestii. Zbyttnio im to nie przeszkadzało, acz miały swoje prawdziwe imiona w ogrińskiej mowie. Dziwiłem się, czemu tylko one przymuszane były do tak długiej pracy?

- Yrian darzy je największym zaufaniem – wyjaśnił mi następnego dnia Mleczne Uszy – a obecnie mamy sporo tajnych transportów broni z samego Walgind, największego barbarzyńskiego miasta na Bakkburtę stąd. Im nas mniej do takiej roboty, tym lepiej. Już od kilku miesięcy szykowali się do tego powstania, co się tu rozpętało przedwczorajszej nocy. Wolę nie wtykać w to wibryś, jeśli nie muszę.

Nasza codzienna praca polegała na rozładunku i załadunku statków i wozów, a czasem również gigantycznych żółwi. Przetaczaliśmy beczki, dźwigaliśmy skrzynie, kufry, kosze, worki, amfory. Niektóre towary intensywniej wbijały się w sierść swym zapachem aniżeli młyński gruz!

Początkowo chciałem stamtąd jak najszybciej uciec – tak od bezogonów, jak i od tych dziwnych hurii i ogrinów. Jednakże z dnia na dzień coraz lepiej poznawałem tę moją nową *mbarię*.

Szlam, ten tigrian, okazał się być specjalistą w warzeniu alchemicznych mikstur. Po samym zapachu pomógł mi rozróżnić truciznę od odtrutki – te dwie buteleczki, które dostałem niegdyś od zielarki. Chowałem je w wewnętrznej kieszeni mojej *khangi*, a były tak małe i niepozorne, że pewnie dzięki temu nie znaleźli ich barbarzyńcy, gdy mnie przyjmowali do tego magazynu. Zresztą podobno odbierali tylko broń.

Któręś wieczora Szlam poczęstował mnie swoim prywatnym wynalazkiem. Przyrządził go z jadu ag, takich ropuch, które ukradkiem hodował gdzieś w okolicach starego pomostu portowego, oraz z wywaru z podkradanego barbarzyńcom chmielu. Mieszał jedno z drugim, gotował, potem suszył i proszkował. Kiedyś podobno zamiast chmielu użył cykuty, ale tak się tym struł, że ledwo go wyratowali. Kazał mi wciągnąć ten proszek przez nos. Zakręciło mi się w głowie i porzygałem się od tego, a doznania były porównywalne do solidnego łyku kileo<sup>23</sup>.

- Na Havldora! Ale cię czepło, stary! – rzucił Szlam.

- Kim jest ten Havldor? – zapytałem, gdy już przepuściłem przez gardło całą zawartość mojego żołądka.

23 No... podrośnięcie, zrobicie się starsze, poczęstujną was, to się dowiecie. Póki co mogłoby was to zabić.

- To bóg morza. Wszystkie barbarzyńckie marynarze wnoszą doń modły i składają mu ofiary.

- Wy, hurie, też?

- Toć jasne, stary! Trza trzymać sztamę z większymi od siebie. Do kogoś pódziesz, gdy ci źle, a zarządca po trapie cię spuści? Idziesz wtedy do Guldrid, bogini złota, handlu i niewolników, do Thorbjorna, władcy burz i piorunów, albo do...

- Wierzycie w barbarzyńskich bogów? – przerwałem mu. – Nie znacie demonów?

- Demonów? A coć to za diabły?

Znów mnie sobą zadziwili. Nie znali ani demonów, ani żadnych huryjnych rytuałów. Ale przecież skąd mieliby znać? Nikt ich tego nie nauczył, nikt im o nich nie powiedział.

Jednej nocy nie mogłem zasnąć i chciałem rozprostować kości. Wstałem więc bezszelestnie z łóżka – tak, by nikogo nie obudzić. Gdy tak spacerowałem po ciemnym magazynie, natknąłem się na zapach Huby i Dzikiego. Byli za którąś stertą skrzyń. Nie mieli na sobie ubrań. Obejmowali się, pieścili, lizali po sierści. Zresztą już po samych *nukiach* czuć było, że pograżyli się we wzajemnej *jami*. Nie chciałem im przeszkadzać, ale nim się wycofałem, zauważyli mnie. Huba na śmierć przerażona, porwała z ziemi jakąś szmatę i przykrywając nią swoje *uki*, umknęła pędem niczym zwierzy-  
na spłoszona przez łowcę. Dziki westchnął, wstał, podszedł do mnie taki nieubrany i wyszeptał przez zaciśnięte zęby:

- Nikomu o tym ani słowa, Skwarka!

- W porządku – odparłem. – Ale... nie robiliście niczego złego!

- Doprawdy?

- To było... piękne.

Dziki przyglądał mi się badawczo, dopiero po chwili powiedział:

- Zabawny z ciebie kociak. Ale wypłoszyłeś mi *hidayę*. Zrób to jeszcze raz, a spuszczę ci manto. Dobierz się do niej, to wypatroszę.

Nie chciałem wchodzić między niego a Hubę – usiłowałem respektować prawa, jakimi rządziła się ta *mbaria*, nawet jeśli były tak bardzo niehuryskie... Mimo tego, co tamtej nocy powiedział Dziki, darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem. Był wręcz zafascynowany opowieściami o wolnych huriach – o naszych prawach, zwyczajach, wierzeniach, języku. Nawet nauczyłem go kilku słów... Huba zaś do końca unikała mojego spojrzenia, a sądząc po *nukach*, nawet się mnie trochę bała.



Wrona, ta czarna pardianka, była tak skryta i nieśmiała, że niemal się nie odzywała. Nie zdążyłem jej bliżej poznać. Zaprzyjaźniłem się za to z tą młodą arufianką. Miała swoje prawdziwe imię, które jej nadali erabscy panowie, ale nie chciała go używać. Nie brzmiało nawet źle: „Acharis” albo jakoś tak. Z początku trudno mi było się z nią porozumieć, ale doszedłem do wprawy. Któregoś dnia Yrian nakazał nam wspólnie przetrzucać skrzynki z owocami czy jakim innym zielskiem. Podczas roboty zdołała mi opowiedzieć nieco o sobie – trochę po albińsku, trochę na migi. Urodziła się w bakburckiej Erabii, na jakiejś plantacji bądź hodowli. Nie pamiętała swojej matki. Gdy była małą chekecheą, została oddana w ręce wędrownych handlarzy niewolników. Ci po kilku latach odsprzedali ją w Ar Rassa, dużym mieście słynącym z produkcji dywanów. Została osobistą służką jakiegoś średnio zamożnego kupca – ściełła jego pościel, prała jego ubrania, podawała jedzenie, nalewała koalic trunksów, czesała mu grzywę lub spełniała inne jego zachcianki. Wszystko to skończyło się po jakichś ośmiu latach, gdy Krionia ogłosiła niepodległość względem Terahandearu. Pech chciał, że w wyniku zamieszek, jakie tam wybuchły, cały transport bawełny i oliwy znalazł się w samym sercu rewolucji. Erabski handlarz stracił swój statek, towar i niemal całą załogę. Nie pozbiierał się po tej stracie. Popadł w dług. Ostatecznie, by utrzymać swoją własną rodzinę, sprzedał część posiadłości, jak również swoją arufiańską hurysę. W ten sposób Acharis znów stała się żywym towarem – handlarze niewolników wozili ją od portu do portu, próbując wytargować dobrą cenę, aż w końcu zrezygnowani sprzedali barbarzyńcom w Hawkshaven.

- Skwarka, ty przedtem być więzien?... Pomagać?... Albin, prawda? – zapytała mnie łamanym albińskim.

- Nie służyłem im – skłamałem.

- Nie?

- Ja ich... – Zamarłem w pół słowa. Nie wiem dziś, czemu nie chciałem jej wyjawić, że mordowałem albinów? Jakbym sam przed sobą się tego wstydział. Zamiast tego wypaliłem: – Ja jestem łowcą smoków!

- Łow...cą smo...ków?

- Tak. Szukam smoków. Widziałas jakieś smoki tam, w Erabii? To takie duże skrzydlate gady ziejące ogniem. – Zamachałem rękami dla zobrazowania skrzydeł jak kiedyś Vijani przed Chekecheą.

- Tak... podobnie... Niewiele.

- Naprawdę? Jakie były?

- Ja widzieć odbicia... Obrazki... Malunek. Na papier. W książkach. Ale to tylko... bajki... Zmysły... Niewiary... Dla dzieci.



*Upolować, zabić, wypić ciepłą krew, zaś surowe mięso podzielić między stadem. Jakże tego dokonać, używając plujki z zatrutymi igłami? Muszę wymyślić coś innego.*



W magazynie Lindisfarneńskiej Gildii Handlowej służyłem zaledwie pół roku. Ten sam los, który pozbawił mnie wolności, miał kaprys, by mi tę wolność nagle zwrócić, choć niespecjalnie o nią zabiegałem – nawet nie próbowałem stamtąd uciec. Zresztą podobnie jak pozostali. Nawet kiedyś zapytałem Mleczne Uszy, czy nie myślał, by się stamtąd wyrwać?

- Ale po co? – odparł mi. – Mamy tu wszystko, czego trzeba: ciepły kąt, dach nad głową, smaczną strawę. Nie traktują nas źle, nie kaleczą, batem nie okładają, nie wykorzystują, robota znośna. Po co się stąd ruszać? Niewieleś widział, jeśli na poważnie myślisz o ucieczce. Nie wie, że ma dobrze ten, kto nie zaznał nigdy prawdziwej krzywdy.

Nie mówiłem im o Młynie. Za to każdego dnia tęskniłem za wolnością. Brakowało mi tylko odwagi, by po nią sięgnąć. Wreszcie sama wpadła mi w ręce. Był środek zimy. Toczyliśmy po śniegu jakieś beczki, gdy usłyszałem donośny, dźwięczny głos:

- To ten?

- Tak, to ten – odparł Yrian, zarządca magazynu. Słychać było, że żuł w ustach tytoń. – Nazywamy go tu Skwarką. Cudem przeżył pożar.

Podniosłem głowę. Przyglądał mi się potężny, umięśniony barbarzyńca – skąpo ubrany jak na ludzkie standardy, porę roku i sypiący z nieba śnieg. Spod rozwichrzonej, futrzanej kamizeli wyrastały muskularne, gołe ramiona, na których opierał się czarny wodospad długiej, gęstej i dobrze utrzymanej grzywy. Jego ogolona, szczerze uśmiechnięta twarz epatowała dumą i pewnością siebie. Patrzał na mnie tak, jakbyśmy właśnie uzgodnili

wspólny plan zamordowania albińskiego cesarza. A do tego uściślał moją rękę.

- Witaj, hurio! – zadudnił. – Jestem Ivarr z Pil i potrzebuję twojej pomocy. Straciłem kogoś, kto znał waszą, hurijską mowę, a słyszałem że znakomicie władasz tym językiem. Jeśli chcesz, pójdz ze mną, a zrzucisz niewolnicze kajdany.

- Przecież nie mam kajdan! – zaprotestowałem, pokazując ręce.

- Tak się mówi. Chcesz odzyskać wolność, hurio?

- To znaczy, że mam jakiś... wybór? – rzuciłem przekornie.

- Zawsze jest jakiś wybór. Możesz tu pozostać i dalej pchać beczki, możesz ruszyć ze mną i wsiąść na mój statek. To jak? Gotowy na wspólne łowy?

To ostatnie, krótkie zdanie powiedział po hurijsku – sepleniąc i ze złym akcentem, ale jednak. Pierwszy raz widziałem człowieka, który próbował powiedzieć coś po naszymu. Ale i bez tego byłem oczarowany. Już w samym jego głosie i spojrzeniu było coś magicznego, co sprawiło, że zaufałem mu w jednej chwili, choć znałem go ledwo od minuty. Ścisnąłem w dłoni szansę na zupełną odmianę mojego życia. Zgodziłem się bez wahania.

- Prowadź, mój *raisie* – rzekłem po naszymu.

Zdażyłem się nawet pożegnać z moją przyrodnią *mbarią*. Niektórzy życzyli mi, by mnie Havldor miał w swej opiece, zaś Acharis szepnęła mi na ucho:

- Powodzenia w szukaniu smoków!

Reszta nie wierzyła w to, że zwrócą mi wolność. Raczej współczuli, że zabierają mnie w nieznanne. Acz w istocie nie miałem pojęcia, dokąd mnie ciągnął ten dumny barbarzyńca.

- Jedziemy do ojczyzny – odpowiedział, gdym go o to zapytał, jak już byliśmy na pokładzie. Uśmiechnął się i pokiwał głową.

Pomyślałem, że zobaczę Pil – leśną wyspę, z której pochodził. Kilka dni rejsu na dziobową Bakturę. Podobno jest tam pięknie, a przynajmniej tak twierdzili między sobą marynarze.

Statek Ivarra okazał się nie być największym z tych, jakie przybijały do naszego portu. Nie był to wcale ulubiony przez barbarzyńców wojskowy drakkar, a jedynie średniej klasy handlowa knara o smukłym, acz ładownym kadłubie i pojedynczym maszcie, na którym montowano niezbyt imponujący, prostokątny żagiel. W porównaniu do albińskich i erabskich wielopokładowych wielomasztowców barbarzyńska knara przypominała raczej łupinę orzecha niż statek. Niemożliwa liczba podobnych do niej łodzi przewinęła

się przez Hawkshaven – ich pokłady znałem jak własną *khangę*. Ta miała z kilkanaście metrów długości, i najwyżej cztery szerokości. Wioseł były ledwie trzy pary na rufie, acz używane były głównie do manewrów w porcie. Myślałem, że mnie do nich zaprzęgna, ale Ivarr stwierdził obruszony, że jestem przecież gościem. Obsługiwała je reszta załogi – zaledwie szóstka dobrze zbudowanych barbarzyńców. Jeden z nich szczególnie przykuł moją uwagę – miał pięknie rzeźbiony drewniany łuk. Jego ornamenty wyglądały jak misternie wiązane liny, pomiędzy którymi wiło się zwinne ciało węża.

Gdy cała szóstka równym chórem ryknęła do pracy przy wiosłach swą rytmiczną pieśń, aż mi sierść się zjeżyła, a w kościach zadudniło echo. Dobrze, że nie wypływalismy na ryby – wypłoszyli wszystkie w promieniu kilku kilometrów!

Cała załoga wpatrzona była w swego kapitana niczym w najlepszego *raisa* – zupełnie zresztą jak ja. Mimo tego bardzo szybko pożałowałem tej nazbyt pochopnej decyzji, by wyruszyć wraz z nim. Jak tylko wypłynęliśmy na otwarte morze, fale tak zaczęły nami targać, że traciłem rozeznanie, gdzie się podział mój własny żołądek! Jego zawartość wyrzuciłem z siebie przewieszony przez burtę nim zniknęło nam z horyzontu Hawkshaven. Nie byłem w stanie nawet obserwować tego, jak zima skuła zatokę lodem. Świat wirował. Złośliwy demon chciał rozerwać moją głowę. Pewnie też nie lubił pływać. Ja uzmysłowiłem to sobie dopiero tamtego dnia. Zresztą hurie w ogóle nie są stworzone do morskiej żeglugi.

Było okrutnie zimno. Koc, jaki dostałem od Ivarra, na niewiele się zdał. Zewsząd wiał przeszywający wicher – tak wilgotny, że lód oblepiał mi sierść. Stała się jak ciężka zbroja, przez którą ledwo mogłem się poruszać. Do tego nieustannie sypał gęsty śnieg, a dziób co chwilę rozbijał wzburzone fale, obsypując pokład na wpół zamrożonymi kroplami lodu. Tylko szaleńcy wyprawiają się w morze w takich warunkach! Szaleńcy albo barbarzyńcy... Sprawnie uwijali się wśród lin, walcząc z wiatrem i falami. Krzyczeli, by mnie pocieszyć:

- Spokojnie, hurio! To przecież nie sztorm!

Najgorszy był ten pierwszy dzień. Każdy następny był cieplejszy. Niemniej jednak podróż ciągnęła się znacznie dłużej niż się tego spodziewałem. Gdy pytałem o to Ivarra, przyznawał, że prądy morskie ściągnęły nas z kursu i mamy odrobinę opóźnienia. Nie miałem pojęcia o żeglowaniu. Zastanawiałem się tylko, po co mieliśmy tak dużo pożywienia, skoro płynęliśmy jedynie na Pil – dwanaście beczek solonych ryb było daleko przesadzonym

zapasem na tak niewielką załogę. Prócz tego mieliśmy jeszcze kilkanaście ciężkich skrzyń ładunku, nie widziałem ich zawartości, ale pachniały metalem, pastą polerską do zbroi i dziegiem impregnującym drewno. Natomiast pokład pachniał huryjskimi *nukiami* i *nukami*.

- Tak, Ario, wozimy tu huryjskich niewolników. Wyczuwasz tu ich zapach, zgadłem? – zagadnął Ivarr.

Skinąłem głową i zapytałem:

- Jaka w zasadzie ma być w tym moja rola?

- Będziesz tłumaczem. Wiele hurii i hurianek nie zna jeszcze albińskiej mowy. Zbyt słabo mówię w twoim języku, bym mógł poradzić sobie bez twojej pomocy.

- I wtedy oddasz mi wolność? Gdy już ci pomogę?

- Nie, przyjacielu. Wolność zwrócę ci już teraz. – Tak powiedział i sięgnął do jednej ze skrzyń. Wygrzebał z niej niewielki skórzany futerał i podał mi. – Weź. To dokument oświadczający, że jesteś wolny pomimo piętna Lindisfarneńskiej Gildii Handlowej, jakie nosisz na ramieniu. Podpisane przez kogo trzeba i z pieczęcią. Nie zgub tego.

W futerale był złożony kawałek papieru zapisany drobno tymi ich czarnymi robaczkami. Nic z nich nie rozumiałem. Zresztą sami zobaczcie, zachowałem do dziś ten dokument, choć niemal się rozlatuje ze starości! Tak wygląda pismo barbarzyńców<sup>24</sup>. A to jest barbarzyńska pieczęć. A przynajmniej to, co z niej zostało. Jak jeszcze była cała, miała ten sam symbol, który mam na ramieniu. Poskładałem to wówczas z powrotem, o tak, i schowałem do *khang*i. Zapytałem go:

- Nie boisz się, że teraz ci ucieknę, skoro jestem wolny?

- W żadnym razie – odparł ze spokojem. – Wierzę, że pomożesz mi wyłącznie dlatego, że cię o to proszę. Zresztą hurie nie lubią pływać.

To fakt. Byliśmy na środku morza, gdy to mówił. Niemniej jednak i tak nie zamierzałem go opuszczać. Spytałem o to z czystej ciekawości. Ivarr nie przestawał mnie zaskakiwać; wciąż byłem nim oczarowany. Może w istocie była to jakaś magia, skoro chciałem z nim zostać pomimo tego, że właśnie okazał się być handlarzem huryjskich niewolników, a ja miałem przyłożyć do tego swój ogon?

24 Nie. Nigdy nie nauczyłem się ani czytać, ani pisać tych ich symboli. Mesejskie znaki, jak same kiedyś zauważyliście, są przynajmniej trochę podobne do rzeczy, które przedstawiają. A te barbarzyńskie to, jak tu widzicie, jedynie kreski. Albińskie pismo też jest w całości zmyślone i nieprawdziwe.

Straciłem rachubę czasu, ale nim przybiliśmy do właściwego lądu minął przynajmniej tydzień – to jest przynajmniej dziesięć dni, a przecież na Pil powinniśmy płynąć najwyżej cztery. Przy dobrych wiatrach nawet dwa. Było też zadziwiająco ciepło. W Hawkshaven panowała sroga zima, a tam letni żar łał się z nieba. Powietrze było tak wilgotne, jakbyśmy zanurzyli się w gęstej zupie. Nieprzyzwyczajony z trudem łapałem oddech. Cały horyzont aż kapał soczystą zielenią, a niebo aż przytłaczało ciemnym granatem. Choć w porcie stały barbarzyńskie łodzie, choć w oddali widać było barbarzyńską osadę, choć nie miałem wówczas większego pojęcia o geografii, to coś mi się w tym wszystkim nie zgadzało.

- Gdzie jesteśmy? – zapytałem, gdyśmy zeszli na ląd. – To jest Pil?

- To nie Pil. To bakburckie wybrzeże Swannah – obwieścił dumnie Ivarr. – Na Sterburtę stąd rozciągają się olbrzymie sawanny, wiele dni drogi dalej za nimi jest gęsta dżungla. To huryjskie krainy, przyjacielu.

- Jak to? Mówiłeś, że płyniemy do ojczyzny!

- Owszem. Nie spytałeś, do czyjej.

- Więc to po to ta broń? Chcecie najechać na huryjskie rewiry i pojąć w niewolę tych, którzy nie zginą w walce?

- Nic z tych rzeczy, Ario. Po cóż byłby nam wtedy tłumacz? Te skrzyńce są na handel.

- Broń i broje?

- Nie inaczej.

- To... kto to wszystko kupi? – Nic już z tego nie rozumiałem. Zresztą wciąż byłem zaskoczony. Nie przyszło mi do głowy w ciągu tych wszystkich dni, że przepławiamy się przez Wielką Wodę!

- Broń i broje kupią *raisowie* pardiańskich *mbarii*, Ario.

- Jak to? W zamian za co? – pytałem naiwnie.

- W zamian za swych pobratymców, których oddadzą do niewoli.



*Jestem na to za stary! Nie dogonię ani antylopy, ani nawet gazeli. A nawet jeśli, nie mam szans w starciu. Żaden ze mnie wojownik! Prędzej zginę pod ich kopytami niż którejkolwiek odbiorę życie.*



Burza najróżniejszych myśli szalała w mojej głowie. Była też druga burza, ale ona rozpętała się na stepie, przez który brnęliśmy w potokach wody lejącej się z nieba w monstrialnych ilościach. W jednym momencie całe futro miałem przemoczone. Ale i tak bardziej zajmowała mnie ta pierwsza burza. Nie dałbym im rady. Nie z tym demonem, zresztą. Nawet nie miałem swoich sztyletów, a tym bardziej łuku. Jeden wątły huria na siedmiu muskularnych barbarzyńców... Szły z nami jeszcze dwa, wypożyczone w porcie steny<sup>25</sup> – objuczylimy je częścią tych skrzyń z bronią, resztę nieśli na plecach marynarze.

- Nie, Ario, nie było mnie przy tym, ale szczerze wątpię, by to miało miejsce – dudnił dumnym głosem Ivarr, przekrzykując ulewę. – Zbrojna inwazja byłaby zupełnie nieopłacalna. Przez wiele lat służyłem w szeregach Terahandearu i brałem udział w niejednej wyprawie po niewolników. Zawsze odbywało się to pokojowo na zasadach zwykłego handlu.

- Nie mogę w to uwierzyć – powtarzałem tylko, drąc się na całe gardło, aby mnie usłyszał.

- Słuchaj. Całą hurijską krainę dałoby się podbić w kilkunastu ludzi. Jeśli byliby doświadczeni i dobrze uzbrojeni, daliby radę. Hurie się nie jednoczą. Nie wierzą we wspólną ojczyznę, jak i we wspólnego wroga. Nie stanowią jednego narodu. Zaatakowani bronią jedynie własnej *mbarii*. Pozostałe nie kiwną nawet palcem, by stanąć do walki za swych krewniaków. Nawet my w siódmkę moglibyśmy wymordować wszystkie hurijskie *mbarie* jedną po drugiej, może nawet bez strat własnych. Tylko po co? Przybyliśmy po niewolników, a nie po martwe ciała.

- Czyli nie było żadnej inwazji?

- Nigdy o takiej nie słyszałem. Nie miałyby wiele sensu.

Świat stanął na głowie. Czyżby wszystko to, co powiadały hekałe i hadhowie z Haramishą na czele, było zmyślane? Miałyby to być jedynie

<sup>25</sup> Nie widzieliście stena? Cały świat ich używa jako siły pociągowej, jucznej, a nawet jako wierzchowców. To spore jaszczury o wielkiej głowie niemal wrośniętej do tułowia, chodzące na dwóch mocnych, tylnych łapach. Przednie są wątłe i krótkie i na niewiele się zdają. Steny to z natury łagodne gadziny, choć paszczę i zęby mają zacne. Szybko się męczą i łatwo je zajechać, ale przynajmniej nie jedzą wiele.

bajki, ukrywające bolesną prawdę? Czyżby w istocie wszystkie hurie, jakie trafiły do Młyna, były sprzedane w ręce bezogonów przez własne *mbarie*? Nie mogąc przyjąć losu, jaki im zgotowali ich *raisowie*, wymyślili sobie historię o inwazji i powtarzali ją przez lata – aż w końcu w nią uwierzyli, a z nimi ich chekechee. Za wszelką cenę pragnęli utrzymać przy życiu szacunek do hurijskich praw i ukazów – bez niego przestaliby być huriami! Mówił o tym Janga, gdy objął władzę nad pierwszą celą. Bez hurijskich praw i ukazów staliby się martwi. A żal, jaki czuli do swych własnych *mbarii*, przelali na strażników, którzy wcale nie byli mordercami, a jedynie ubranymi w zbroje handlarzami. Gwaya, ten pomyłony onkian, mówił przecież, że wszystkie te opowieści były wyssane z palca, ale nikt mu nie wierzył.

Ta absurdalna, upiorna wizja stała się nagle tak niepokojąco prawdopodobna, że zacząłem się zastanawiać, co jeszcze zostało zmyślone i które prawdy o hurijskim świecie były jedynie jego iluzją? Nawet wówczas nie pomyślałem, że właśnie wkroczyłem do tego utraconego raju, o którym każdy w Młynie marzył we śnie i na jawie.

- Stać! Coście za jedni? – Ostre hurijskie słowa obudziły mnie z zadumy. Deszcz chwilowo przestał lać się z nieba. Jakiś młody, pardiański hur mierzył w nas włócznią; wilgoć błyszczała w słońcu na jej stalowym grocie. Kilku kolejnych niespodziewanie wyrosło z ziemi i otoczyło nas ze wszystkich stron. Nie usłyszałem ich, ani nie wyczułem.

- No, powiedz, kim jesteście i z czym przychodzimy – ponaglił mnie Ivarr. Przelknąłem ślinę i drżącym głosem wydusiłem z siebie:

- Oto Ivarr z Pil i jego ludzie. Jesteśmy handlarzami. Mamy na sprzedaż broń i zbroję.

Pardian omiół wzrokiem skrzynie i ładunek na stenach. Tak nas podsumował:

- Barbarzyńscy handlarze i włochaty przewodnik? W samą porę.

Szliśmy przez ich rodzinny rewir. Na mijanych drzewach wyczuwałem świeże *nukie*, w powietrzu unosiła się woń oprawianej zwierzyny, zewsząd słyhać było hurijską mowę. Może i nie do końca tak sobie wyobrażałem powrót do ojczyzny, ale wszystkie te dźwięki i zapachy wzruszyły mnie do głębi. Byłem wśród swoich! Tyle lat to trwało!

Ziemia zadudniła, gdy ich *rais* zeskoczył z gałęzi rodzinnego drzewa. Stanął przed nami pardian w sile wieku, pachnący intensywną, piżmową dominacją. Jego dorodną sierść zdobiła gęsta sieć czarnych i czerwonych tatuaży. W rękach ścisnął dwa krótkie miecze, a ubrany był w stalowy kirys



i także naudowniki. Pierwszy raz w życiu widziałem, by huria miał na sobie płytową zbroję! Po tym, jak odbijała światło, poznałem, że była barbarzyńskiej roboty; zresztą zdradzały to też typowe motywy ładnie rzeźbione na jej powierzchni. Barbarzyńska stał różni się nieco od albińskiej, jest sporo cięższa, a poza tym uchodzi za twardszą i wytrzymalszą. Wiele się takiej n oglądałem w Hawkshaven.

Za *raisem* stanęło kilka hurii i hurianek. Sądząc po postawie i ogonach, mieli w hierarchii wysokie pozycje. Obwieszeni biżuterią, poubierani w skórzane zbroje i wyposażeni w barbarzyńskie ostrza spoglądali na nas równie chciwie jak przewodzący im huria. W kilka chwil otoczyła nas cała *mbaria* żywo zainteresowana niecodziennym zjawiskiem.

- Pokażcie, co tam macie, handlarze – polecił *rais*.

Przetłumaczyłem. Ivarr i jego ludzie zabrali się za otwieranie skrzyń i prezentowanie ich zawartości. W jednej były same krótkie miecze: kindżały, nieco dłuższe gladiusy i noże do rzucania. W innej – stalowe grotty do strzał. W kilku kolejnych – płytowy kirys, naudowniki, naramienniki i kilka otwartych hełmów, do tego dwie czy trzy skórzane zbroje – wszystko przepięknie dopasowane do hurijskich kształtów, bogato rzeźbione, błyszczące. Jeszcze w innych skrzyniach były drobne narzędzia, piły, siekiery, dłuta, młotki, gwoździe, kilofy, naczynia, żelazny kociołek, ciepłe koce. W osobnej skrzyneczce była biżuteria – złote i srebrne kolczyki, naszyjniki, bransolety i pierścienie... Od tej olbrzymiej ilości wszelakich dóbr bolała mnie już głowa. Szczególnie, że o każdej rzeczy Ivarr mógłby opowiadać godzinami, a ja musiałem to tłumaczyć, a czasem nawet pokazywać, do czego co służy.

- Mamy szóstkę – rzekł *rais*.

- Szóstkę czego? – zapytałem.

- Jesteś tu nowy, co? – popatrzał na mnie z politowaniem. – Szóstkę chekechei, oczywiście. Odkarmione i odchowane. Tłumacze!

Oczywiście, byłem świadomy tego, co się szykuje i do jakiej transakcji to wszystko zmierza. Tyle że nie byłem w stanie dopuścić do siebie myśli, że oni rzeczywiście wymienią na ten oręż swoje własne chekechee! Ivarr dobrze się targował. Miał w tym sporą wprawę. Ten bezduszny pardiański *rais* – prawie żadnej. Ostatecznie za jedno chekechee sprzedawaliśmy jednego gladiusa, względnie dwie garście stalowych grotów. Makabryczna cena... Poza szóstką najmłodszych sprzedali nam jeszcze hura, hurysę, a nawet dorodnego, dorosłego hurię – musiał coś przeszkrobać wobec *raisa*, ale przecież nie ma na świecie takiej zbrodni, za którą adekwatną karą byłoby dożywotnie

zesłanie do barbarzyńskiej niewoli! Zaś jedyną winą chekechei było to, że były chekecheami... Za hurą i hurysę dostali kilka gladiusów i kindżałów; za hurię – skórzaną zbroję i trochę biżuterii. Myślałem, że mi serce pęknie! Nie wiedziałem już, kto był gorszy – handlarz niewolników czy ten, co sprzedawał mu własnych braci niczym najgorsze młyńskie ucho...

- Po co wam ta cała broń i zbroje? – zapytałem *raisa*, gdy barbarzyńcy zajęci byli zakuwaniem w kajdany naszych niewolników.

- Skąd tyś się urwał, hurio? – odpowiedział. – To złoty interes! Na Sterburę stąd jest arufiańska *mbaria*. Od lat wchodzą nam w nasze terytoria i podbierają zwierzynę. Czym my, pardianie mamy z nimi rywalizować? Pazurami? Ta stal wytrzyma długie lata, a chekechee urodzą się nowe.

Patrzałem na te wszystkie hurie uzbrojone po zęby. Każdy miecz, każdy hełm, każda zbroja, każdy naszyjnik to sprzedany barbarzyńcom brat, siostra, syn, córka... Ile oni już oddali huryskich istot, skoro tyle mieli na sobie rynsztunku? Niższe hierarchią *hidaye* opuszczały wzrok, gdy się im przypatrywałem. Rodziły towar na wymianę, a nie chekechee. A jakby która podniosła ogon, poszłaby pewnie wraz z pozostałymi w kajdany.

Ruszyliśmy przed siebie – w inny rewir innej huryskiej *mbarii*. Prócz pardian odwiedziliśmy też *tigrian* – jedynych hurii, którzy sami wytapiają i wykuwają broń oraz narzędzia z brązu. Powstaje z miedzi, co ją wydobywają w swoich kopalniach. Jednak nawet oni kupowali barbarzyńską stal.

Do portu wróciliśmy po dwóch tygodniach z całym zastępem niewolników powiązanych ze sobą łańcuchami. Było ich prawie dwie *mbarie*<sup>26</sup>. Głównie chekechee. Ledwo ich wszystkich pomieściliśmy na pokładzie tej niewielkiej knary.

- Dobra robota, przyjacielu – chwalił mnie *Ivarr*. A ja nie mogłem znieść myśli, że przyczyniłem się do tego stanu rzeczy. Musiałem coś z tym zrobić! Przecież miałem w sobie demona *Turama*! Gdyśmy już płynęli, sięgnąłem do *khangi* i wydobyłem z niej niewielką buteleczkę. Pachniała konwalią, bluszczem i owocami kruszyny.



*Podejrzliwie się na mnie patrzyli, gdy rozpocząłem budowę. Wielu z nich nie kryje wątpliwości. A przecież to najlepsze rozwiązanie*

<sup>26</sup> Czyli, jak rozumiem, prawie czterdziestu czterech – przyp. tłum.

– przynajmniej dla mnie. Sznuruowa pułapka z gęstej siatki wytrzyma nawet dorodną antylopę. Kto nie ma kłów, pazurów, zwinności ani siły, niechaj użyje głowy! Głowę ma każdy!



Efekt był oszałamiający. Rosli mężczyźni padali jak muchy. Zdziwiałem, ile potrafi zdziałać maleńka buteleczka dobrej trucizny. Wlałem ją całą do antalka barbarzyńskiego bimbru, z którego popijali sobie podczas rejsu. Najbardziej żał mi było Ivarra – był przecież jedynym bezogonem, który próbował nauczyć się naszej mowy. Długo jeszcze miałem wyrzuty sumienia, że tak szpetnie go zdradziłem. W sumie nie wiem, skąd takie myśli mi się wzięły, jestem przecież hurią!

Próbowali się bronić, ale trucizna paraliżowała ich ciała. Dławili się własną krwią, potem nie mogli złapać tchu, aż im kolory z twarzy odpływały. Ich skóra robiła się niemal fioletowa, a żyły wychodziły na wierzch. Nie wiem, jakie były kolejne stadia, bo poderżnąłem im gardła. Na oczach wszystkich tych chekechei, hurów i hurys. Stałem wówczas na rufie i ryknąłem do nich:

- Od tej chwili będę waszym *raisem*! *Mbarie*, do których należeliście, zdradziły was, sprzedając za błyskotki jak towar. Nie macie co tam wracać. Popłyniemy do kraju, w którym nie ma niewolnictwa, a wszystkie istoty są wolne! Zabieram was do Amfii! Wyrzucicie za burtę te martwe ciała, jak już weźmiecie z nich to, co uznacie za przydatne! I rozkujmy te łańcuchy!

Bali się mnie. Ale też słuchali. I podziwiali. Nawet hury i hurysy cieszyły się jak chekechee z tych kilku mieczy i kilku kawałków lekkiej, skórzanego zbroi, jaką zdarli z tych barbarzyńców. Ja wziąłem sobie ten piękny łuk, zdobiony rzeźbioną sylwetką węża. Jedzenia było dość, kierunek czytałem z gwiazd na nocnym niebie. W praktyce okazało się jednak, że nie mam pojęcia o żeglowaniu. To, co podpatrzyłem od Ivarra i jego ludzi, okazało się zupełnie niewystarczające do sterowania knarą. Szczególnie, gdy na trzeci dzień rozszalał się sztorm.

Zwinęliśmy żagiel, ale i tak olbrzymie fale niemal nas wywracały. Woda zewsząd wlewała się do środka, a my nie nadążaliśmy jej wybierać,

zresztą nie za bardzo mieliśmy czym. Pioruny waliły, burty trzeszczały, wicher szumiał, nieprzypięte beczki szalały po pokładzie, a kolejne chekechee wypadały za burtę. Nawet nie było słyhać, jak piszcza, taki był szum... Miałem je zawieźć do lepszego świata, a sprowadziłem na nie nieszczęście! Jak mogłem być tak pewny siebie? Za kogo się uważałem, twierdząc, że zapewnię tej *mbarii* lepszą przyszłość niż handlarze niewolników? Przecież gdyby był tam Ivarr, zapanowałby nad tą łodzią i wszyscy by przeżyli! Może ten cały Havldor, barbarzyński bóg morza, mścił się za zaszlachtowanie swoich żeglarzy i zamierzał nas utopić w gardle swej otchłani? Byłem tak bardzo bezsilny... Że też nie miałem wówczas w sobie któregoś ze smoczyc demonów! Cóż to za problem dla smoka uspokoić morze i wiatr?

Sztorm trwał nieznośnie długo. Nic nie było już widać, gdy nocą uderzyliśmy w skały. Gruchnęło, trzasnęło i rzuciło nas w powietrze. Dno rozbiło się w drzazgi. Do cna wycieńczeni i przemoczeni nawzajem łowiliśmy z wody swoje futra, a rozszalałe fale nieustannie próbowały zmyć nas ze śliskiego gruntu. Nurkowaliśmy, próbując uratować tych, co szli już na dno. Większość nie przeżyła tego sztormu. Ocalała ledwo szesnastka – chekechee, hury, hurysy, jeden huria i ja. Jako odpowiedzialny za to wszystko *rais* byłem tym zdruzgotany. Nie doświadczyłem w życiu bardziej traumatycznego zdarzenia. Po tylu latach wciąż śnią mi się jeszcze po nocach te tonące chekechee, których nie byliśmy już w stanie uratować.

- Daj spokój, *raisie!* To przecież tylko chekechee! – krzyczał ten huria, gdy nie dawałem za wygraną. Najstarszy z całej *mbarii*, drugi ogon zaraz po mnie. Miał na imię Nauma, dobrze go pamiętam.

Wciąż padało. Gdyśmy podchodzili na czworakach tą stromą i śliską od wody skarpią, odkryliśmy ślady cywilizacji. Natrafiliśmy na jakiś drewniany podest zbudowany na słupach wzdłuż zbocza. Byliśmy tak wycieńczeni, że już samo wdrapanie się na niego i wtarabianie wszystkich chekechei kosztowało nas mnóstwo wysiłku. Zataczając się, szliśmy nim przez jakąś chwilę – równomiernie zakręcał w prawo, a co chwilę mijaliśmy schody lub drabiny na wyższe poziomy drewnianych podestów. To pewnie jakaś albińska wyspa albo półwysep, myślałem wtedy. Do jedzenia mieliśmy wprawdzie małą beczkę przesolonych morskich sill, którą udało się uratować z wraku, ale barbarzyński bóg wody zdawał się łatwo nie poddawać i uparcie próbował nas utopić w tym ulewnym deszczu. Przemoczone futra ciążyły na nas jakby były z żelaza. Potrzebowaliśmy schronienia.

Gdy weszliśmy wyżej, pierwsze drzwi, jakie napotkaliśmy, intensywnie pachniały zepsutą kapustą. Nie wiem, czemu bezogoni z takim upodobaniem trzymają to zielsko tak długo w tych beczkach? Chekechea opowiadał kiedyś o tym zapachu. Pamiętacie? Ukrył się za taką cuchnącą beczką przed bukatem, gdy podchodził do próby Uhai – wtedy, gdy ukradł Turamowi klucze i zamknął go na pokładzie...

Wtargnęliśmy siłą do tego magazynu, ale okazał się zupełnie pusty. Nawet nie pachniał kapustą, a jedynie sugestią sera, mleka i alkoholu. Poza tym pleśnią i wodorostami. Zresztą wszystko zalatywało tam wodorostami. Aż do chwili, gdy na wpół martwi rozsiedliśmy się na ziemi i otworzyliśmy tę naszą beczkę z sillami. Zabójczo intensywny i odurzająco słony zapach ryb eksplodował, oślepiając w jednej chwili nasz węch aż do bólu.

- Niech to larwa! – wymsknęło mi się.

- Co to jest, na demony!?! – komentowali inni.

Trwało chwilę nim ochłonęliśmy. Wydzieliłem wówczas równy przydział – każdy dostał jedną sztukę silli. Nie było to zbyt dużo jak na obiad, ale i tak nie dało się ich więcej zjeść naraz. Były tak słone, że z ledwością mogliśmy wyczuć ich prawdziwy smak. Chekechee też otrzymały po rybie. Cała *mbaria* patrzyła się na mnie ze zdziwieniem, pytając wzrokiem, co to za porządki? A ja wzrokiem odpowiadałem, że moje.

Gdyśmy tak leżeli posileni i wtuleni w siebie, rozmyślając o tych, których zabrało morze, doszło do nas, że to dziwne kołysanie, jakie nieustannie towarzyszyło nam przez całą drogę od wraku, wcale nie było związane z wiatrem i deszczem. Trwało nadal. Wszyscy je odczuwali. Cała ziemia bujała się w rytmicznym, powolnym tempie! Robiło się od tego niedobrze.

Musiałem to zbadać. Wziąłem ze sobą jedną z hurys i Naumę, tego najstarszego hurię. Ostrożnie wyszliśmy na zewnątrz i zabarykadowaliśmy drzwi, aby nie było widać, żeśmy się tam włamali.

Nie padało już. Jasna łuna nad horyzontem zdradzała, że niebawem wstanie słońce. Podeszedłem do barierki drewnianego podestu i rozejrzałem się po okolicy. Światła było dość, by się zorientować, że wcale nie byliśmy na wyspie. Wylądowaliśmy na płynącym gigantycznym żółwiu! A dokładnie na rufowej części jego sterburty. Skarpa jego skorupy obrosnięta była gęsto pomieszczeniami załogi i budynkami magazynów, kajut sypialnych, tawern, składów handlowych, zbrojowni, świątyń, kuźni czy warsztatów. Wszystkie miały płaskie dachy z tarasami na górze, a łączyły je drewniane podesty, wąskie uliczki i niezliczona ilość schodów oraz dra-

bin. Z oddali słychać było, jak całe to pływające miasto leniwie budziło się do życia. Obserwowałem, jak z powierzchni wody powolnie wynurzała się ogromna płetwa i niespiesznie, jakby od niechcenia mieliła morską masę. Nasz statek musiał się rozbić właśnie o nią, acz nie było po nim nawet śladu.

Hurie, których wziąłem ze sobą, były znacznie bardziej zaskoczone odkryciem, gdzie jesteśmy. Nigdy nie widziały na oczy gigantycznego żółwia, ani nawet nie wiedziały, że takie istnieją. Mi zdarzyło się takiego rozładowywać, gdym służył w Hawkshaven, ale nie był to ten sam.

Zwiedziliśmy najbliższy teren. Nieopodal naszego magazynu znaleźliśmy rzeźnię, zapraszającą nas swymi aromatami. Z biegiem czasu między budynkami zaczęli pojawiać się ludzie – głównie albin i erabowie. Ci drudzy nosili zwiewne suknie, śmiesznie nadmuchane spodnie i turbany na głowach. Tak też ubrani byli miejscy strażnicy. Próbowiałem pokazać moim huriom, jak się ukrywać w tym miejskim gąszczu, mówiłem, czego unikać, a na co nikt nie zwróci nawet uwagi. Nie czuli się zbyt pewnie w mieście. Trudno się dziwić. Pierwszy raz widzieli tyłu ludzi na oczy. Pewnie i ja kulilibym własny ogon, gdybym tyle świata nie zwiedził z Vijani...

Wróciliśmy do magazynu. Tamtego dnia kończyliśmy jeszcze beczułkę przesolonych sill, ale nocą zakradliśmy się do tej pobliskiej rzeźni. Włamałiśmy się od góry przez klapę w dachu, forsując zardzewiałą kłódkę jakimś żelaznym prętem, znalezionym w magazynie. Mięso, jakie tam znaleźliśmy, było co prawda hodowlane, ale przynajmniej świeże i nie tak tragicznie słone jak te ryby. Gdzieś musiała być tam zatem prawdziwa hodowla bydła – na gigantycznym żółwiu można było zmieścić wszystko... Gdy któreś nocy spacerowaliśmy z huriami po skorupie, natknęliśmy się na taką oborę pełną trzody, bydła i kobudów. Były też gorzelnie z piętrowo ustawionymi rzędami klatek na koale, a nawet hodowle wombatów, sprzedawanych pewnie pysznym bogaczom jako żywe zabawki.

Dotarliśmy nawet na sam dziób tej pływającej wyspy. Olbrzymi żółwi łeb częściowo zanurzony pod wodą rozbijał sobą fale niczym niewzruszona, czarna skała. Ruchomy, linowy pomost łączył skorupę z głową, a na jej czubku zbudowano osobny, samotny budynek o rozłożystych podporach, zwany sterownią. Stamtąd sternik za pomocą magii rozkazuje żółwiowi, dokąd ma płynąć – tak przynajmniej mówił mi niegdyś Mleczne Uszy. A jeszcze któreś nocy opowiadał o żółwiu, który miał na swej skorupie miasto podwodnych upiórów. Potrafił się zanurzyć, płynąć pod wodą i wynurzyć

niespodziewanie, rujnując całe floty wojskowych okrętów. Handlowe żółwie dokarmiane są podobno specjalną mieszanką ziół i minerałów, która do tego stopnia upośledza ich płuca, że zupełnie tracą zdolność nurkowania. Nurkowanie nie jest szczególnie pożądane u zwierząt, które dźwigają na swych skorupach całe ludzkie miasta...

- Co przeszkrobałeś, że twój *rais* oddał cię do niewoli? – zapytałem Namumę, mój drugi ogon, gdyśmy się przypatrywali tej wielkiej głowie.

- Bał się.

- Bał się ciebie? Nie wyglądał na strachliwego.

- Bał się, że podburzę przeciw niemu *mbarię*. Próbowałem ich skłonić, byśmy poszukali innego terytorium i innych rewirów. Z dała od tamtych arufianów, z którymi wciąż wchodziliśmy sobie w drogę.

- Tylko tyle? To jeszcze nie powód, by kogoś oddać do niewoli!

- Też tak myślę. Ale za mniejsze winy szli u nas na handel.

Unikaliśmy ludzi. Nie chciałem, by zwęszyli naszą kryjówkę. Jednak któregoś dnia, gdy byliśmy w środku, poderwało nas na równe nogi walenie do drzwi. Usłyszeliśmy albińską mowę:

- Zamknięte? Właściwie co tam jest, kapralu?

- Toż to detal jest – odparł inny głos z dziwnym akcentem. – Jeden z mniejszych magazynów Ligi Kupców Alharradzkich. Tu masz symbol gildii. O tu.

- Handlują mięsem?

- Toż nasz naród handluje wszystkim, co przynosi zysk! Ale na szlaku do Amfii wieziemy zwykle sery. No i galag.

- Galag?

- Toż taki kumys z mleka iakka. Smakuje wybornie, więc żałuj, żeś nie kosztował.

- Słyszałem o nim. Słyszałem, że zalatuje zjełczałymi jajami. Prawdziwy kumys jest z mleka centaurów!

- Toż go żłop, ignorancie! Wolny rynek! By zyskać kumys, centaurzyce poją koale swoim własnym mlekiem! A ich mocz zbierają do bukłaków zrobionych z wilczych jelit! Dla mnie to dość obrzydliwe.

- Wolę amfiońskie rosarium. Podobno to taka ambrozja, że urywa podniebienie! Kupię rodzinie całą skrzynkę, gdy tylko tam dopłyniemy.

- Toż cię nie stać, szeregowy! Choćbys własną matkę utargował w rozliczeniu!

- Widzi kapral? Ktoś się tu włamał. Kłódka wyłamana, a deski aż w drzazgi poszły. Pomógłby mi kapral to pchnąć... Na raz!

Łupnęło.

- Z tym narzutem nie da rady; toż widać, że od środka zamknięte.

- Musimy poszukać kogoś z tej ligi, pewnie to wyjaśnią. Te huryjskie złodzieje nie mogły uciec za daleko z tym mięsem. Gdzieś tu muszą mieć swoje leże!

Wcale nie było zamknięte. Cała nasza *mbaria* napierała na drzwi, by tamci ich nie otworzyli. Przestało być bezpiecznie. Byliśmy poszukiwani. Dobrze choć tyle, że plynęliśmy w odpowiednim kierunku. Do Amfii!



*Fiasko! Za słaba lina i za słaba gałąź drzewa. Muszę poszukać innego miejsca i poprawić mocowanie. Dobrze, że mam tyle prób, ile zechcę.*



Odczekałem chwilę, nasłuchując w skupieniu jak dudnienie żelaznych butów o drewniany pokład cichło w oddali. Mnóstwo myśli gwałtownie biegło po mojej głowie we wszystkie strony. Musieliśmy znaleźć nową kryjówkę. Musieliśmy do niej przemknąć za dnia pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi. I z tymi wszystkimi chekecheami. Musieliśmy coś jeść. Musieliśmy nie dać się złapać, choć nas szukali. Jak daleko jeszcze do tej Amfii? Ile to jeszcze może trwać?

Musieliśmy zaryzykować. Czas uciekał, a strażnicy mogli się pojawić w każdej chwili. Ostrożnie uchyliłem drzwi i poczekałem aż zrobi się pusto. Reszta miała czekać na mój znak. Nie rozumieli ludzkiej mowy, to nie wiedzieli, co się działo. Mieliśmy się tymczasowo schować w pobliskiej oborze z iakkami, miała dogodne wejście przez dach. Nie dotarliśmy tam. Zrobiłem ledwo dwa kroki od drzwi magazynu.

- Stać w imieniu erabskiego prawa handlowego! – ryknął ten sam albiński głos, którego słyszałem przez drzwi. Jego właściciel opierał o mój tors ostrze halabardy. Wyrósł nie wiadomo skąd! Tak jak i inni zbrojni, co celo-



wali we mnie z napiętych kusz. Niemal wszyscy byli erabami. – Dałeś się oszukać, włamywaczu – kontynuował strażnik. – Toż wcaleśmy nie odeszli, tylkośmy czekali, aż wystawisz stamtąd swój stragan! A drzwi cuchną hurią aż z metra czuć! Sądziłeś, że nie mamy węchu? Koniec z gratisowym mięsem! Zamykam ten kram!

Inny ze strażników zakrzyknął coś po erabsku. Nie rozumiałem ani słowa. Zerknąłem przez ramię. Znaleźli ich! Znaleźli moją *mbarię*! Siłą wyciągali kolejnych na zewnątrz. Szykowali już liny, by ich związać. Wyprowadzani, nie rozumiejąc, co się z nimi dzieje, wpatrywali się we mnie w oczekiwaniu. Musiałem coś zrobić! Gdybym był sam, umknąłbym spod tej halabardy, licząc na to, że zdołam się uchylić przed bełtami kusz. Gdyby mi nie zależało na mojej *mbarii*, krzyknąłbym im po hurijsku, by uciekali, by się rozproszyli. Większości by się udało. Ale zależało mi. Nie chciałem już stracić żadnego ani żadnej z nich. Nawet chekechei! Być może to ostatecznie mnie zgubiło...

- Jesteśmy wolnymi huriami! – zakrzyknąłem po albińsku. – Zmierzamy do Amfii. A ten dokument to potwierdza! – wyciągnąłem z *khangi* papier, jaki dostałem od Ivarra. Chyba tylko dzięki skórzanemu futerałowi nie przemókł zupełnie podczas sztormu. – Te podpisy, znaki i pieczęcie Lindisfarneńskiej Gildii Handlowej zaświadczenia, że mówię prawdę!

Kapral żywo się zdziwił. Musiałem sprawić wrażenie pewnego siebie, choć przecież nawet nie wiedziałem, co w tych papierach dokładnie było napisane. Skinął na mnie, bym mu je podał.

- Złoty mocny! – jęknął, gdy tylko na nie zerknął. – Toż to przecież te barbarzyńskie hieroglify! – Nerwowo obrócił papier ze wszystkich stron, jakby od tego te kanciaste kreski mogły się zamienić w coś przystępniejszego. – Że też te niecywilizowane dzikusy nie mogą rachować po ludzku!

- Płyniemy do Ostii. Tam mamy podjąć pracę w placówce Gildii – łąłem jak najęty, a serce waliło mi w piersi. Każde słowo mogło nas zgubić. Dobrze, że nie zapomniałem jeszcze nazw wszystkich tych amfiońskich portów, z których do Hawkshaven przyływały czasem żółwie.

- Toż idźcie na handel? Te dzieciaki też? – wskazał ręką chekechee.

- Idziemy do pracy, nie na handel!

- Naprawdę? Do czego one tam potrzebne?

Przełknąłem ślinę. Ogon chodził mi jak nakręcony.

- Do czyszczenia małych beczek są niezastąpione – wypaliłem.

- No, niech tam, nie moja prowizja... Ale gadaj, gdzie wasza eskorta? Barbarzyńcy nie puściliby luzem tyłu swoich niewolników!

- Jesteśmy wolnymi huriami! – powtórzyłem uparcie. – Barbarzyńców, którzy nam towarzyszyli, zabrała woda, jak i zresztą wielu z hurii; zaś statek, którym płynęliśmy, rozbił się o waszego żółwia podczas sztormu kilka dni temu. – Wreszcie powiedziałem coś zgodnego z prawdą...

Arab wyszczerzył zęby, jakby zwęszył dobry interes.

- Zatem jesteście zgrają huryjskich domokrażców, włamujecie się do magazynu i podkradacie mięso z rzeźni, a jedyne, co potwierdza waszą rzecką wolność, to te bazgroły i kilka brzydkich pieczęci?

- Nie jesteśmy niewolnikami! Gildia w Ostii zapewne pokryje straty i zrewanżuje się wam za bezpieczne dostarczenie na miejsce.

- Toż nie płyniemy do Ostii, hurio. Płyniemy do Cacci. Nie wiem, czy te dzikusy mają tam jakąś swoją placówkę. Osobiście myślę, że na targu niewolników dostalibyśmy za was znacznie lepszą cenę! Ale to już nie moja decyzja, a kapitana. Aresztować ich wszystkich – zakrzyknął. – I zabrać mu ten łuk – dodał, wskazując na mnie. Gdy nas wzięli, burknął tylko pod nosem: – Wolne hurie! Toż to jakieś wynaturzenie!

Psia jucha! Nie uwierzyli mi! Gdybym potrafił przemawiać jak Sharia, to pewnie odstąpiliby nam swoje najlepsze apartamenty i dali dostęp do własnych spiżarni! A tak trafiliśmy do miejskiego aresztu. Okratowane, piwniczne pomieszczenie przypominało kształtem i wielkością młyńską celę, może nawet było od niej mniejsze. Za to pod sufitem znajdowały się małe okienka przez które wpadało do środka światło i uliczny gwar. Płyną wodę dostawaliśmy w amforach, a potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy w osobnym pokoiku. Panował w nim silny, cytrynowy odór, który z ledwością pozwalał na to, by się skupić. Wyposażony był w wiadro na nieczystości i miskę z wodą o bliżej nieokreślonym przeznaczeniu – być może erabowie zwykli pić podczas *kinesy*? Albo po? Za każdym razem wołaliśmy strażnika, by przyszedł i zaprowadził tam potrzebujących. Istny cyrk! Warunki ogólnie może były i lepsze niż w Młynie, ale moje hurie i tak przecież nie zdawały sobie z tego sprawy. Nauma zerkał na mnie z ukosa, reszta wbijała wzrok w posadzkę, tuląc się do siebie i mrużąc dla dodania otuchy. Chekechee dopytywały, dokąd nas zabrali i dlaczego? Oraz kiedy będą mogły pójść w rewir się pobawić?

Wezwano mnie na rozmowę z kapitanem straży. Jeszcze raz przedstawiłem swoją zmyśloną wersję wydarzeń, jeszcze raz upierałem się, że jesteśmy wolnymi huriami, zmierzającymi do pracy w Amfii.

- Nie odczytam tego pisma – przyznał siwiejący erab, rzucając dokument na blat stołu. – Wątpię, byśmy znaleźli na tej skorupie jednego piśmiennego barbarzyńcę. Ta garstka ichnich marynarzy, co się tu zaciągnęła w ciągu tych lat, nawet podpisać się nie potrafi inaczej jak krzyżykami. Zaś magom, tej kaście zadufanych obłąkańców, którzy z ledwością orientują się we własnych brodach, nie zamierzam zaprzętać tym głów. Za dwa dni będziemy w Cacci. W amfiońskim biurze celnym na pewno ktoś nam to odszyfruje. – Wtedy zwrócił się do mnie: – Ale to ty jesteś tym politowania godnym kocim włamywaczem! Wdarłeś się przez dach do rzeźni Terefinilisa i podkradłeś iakkowe gicze oraz gotowe, cięte steki! Pozostawiłeś po sobie kłaki własnej sierści, kotku!

Trochę mnie wmurowało, ale po chwili przyznałem zmieszany:

- Prawda, to ja za tym stoję. Byliśmy głodni. Ale jestem hurią, a nie kotem! – warknąłem.

- To bez znaczenia. Przed innym sądem będziesz się tłumaczył. Zabierzcie go do aresztu!

Do Amfii przybiliśmy zgodnie z planem. Przeszło kołysać, a przez okienko w celi dobiegły naszych uszu okrzyki kupców, turkot wozów, huk rozmów i nawoływań. Powietrze aż wrzało od natłoku dokonywanych transakcji. Obserwowałem to już w Hawkshaven: jedno miasto przyrastalo do drugiego niczym huba do drzewa. Zlewały się niczym dwa rwące nurty różnobarwnych rzek. Każda z żółwich zatok w miastach portowych wyposażona jest w specjalne podesty, łączące stały ląd ze skorupą, a na niektóre poziomy można nawet wjechać wozem. Tym różniły się gigantyczne żółwie od statków – po przybiciu do brzegu stawały się częścią miasta o nieograniczonym dostępie. Jakże łatwo byłoby nam umknąć niepostrzeżenie, gdybyśmy tylko nie tkwili w tym areszcie!

Wreszcie jakoś późnym popołudniem przyszli strażnicy, powiązali nas z powrotem linami i wyprowadzili na ląd. Był tam wówczas środek zimy. Cała moja *mbaria* zadziwiona była tą zimną, mokrą i białą gliną, zalegającą na brzegach ulic i dachach domów, zwaną śniegiem. Wówczas pierwszy raz widzieli go na oczy i czuli pod opuszkami palców. Przez sierść przedzierał się mróz, czuliśmy głód i zmęczenie, ale przecież byliśmy w Amfii! Nareszcie!

Nigdy w życiu nie widziałem tyłu amfionów naraz. Ich twarze w istocie przypominają pyski dzikich psów. Długie nosy i uszy słusznie sugerują, że mają świetny węch i słuch. Obdarzeni są też długim futrem, które pokrywa całe ich ciała, acz zwykli je w dużej mierze zasłaniać zwiewnymi szatami

barwionymi na różne kolory. Jedynie strażnicy robili wyjątek i zwyczajowo odsłaniali swoje torsy, resztę ciała chowając pod płytami zbroi. Amfiońskie *nukie* są bardzo trudne do wychwycenia, zaś *nuków* nie czuć w ogóle. Jest to efektem dość specyficznego podejścia do higieny. Kilka razy dziennie przemycją wodą swoje ciała, zaś przynajmniej raz na tydzień biorą gorącą kąpiel. Zbyt intensywny zapach własny jest w Amfii karany mandatami! No po prostu jakiś inny świat!

Amfiońska służba celna miała ustawione swoje rogatki na każdej drodze zaraz po zejściu z drewnianych podestów zółwia. Odczekaliśmy aż kilku celników zliczy, zmierzy i zważy towar z dwóch wozów, które stały w kolejce przed nami. Wyniki swej pracy wpisywali do wielkiej księgi z rachunkami, po czym pobierali stosowną opłatę celną za wwóz zagranicznych towarów. Gdy przyszła nasza kolej, kapitan straży, który nas eskortował, tak nas przedstawił:

- To huryjscy pracownicy, zmierzający do Ostii. Mają pracować w siedzibie jednej z tych barbarzyńskich gildii handlowych. Przynajmniej tak twierdzi ten w środku. – Wkazał ręką na mnie. – Ten dokument ma to potwierdzić, ale lepiej rzućcie na to okiem – polecił, wręczając celnikowi mój skórzany futerał, jaki otrzymałem od Ivarra.

Amfion wnikliwie przestudiował barbarzyńskie znaki, zerkając co chwilę to na mnie, to na resztę *mbarii*. Wreszcie zwrócił się do mnie tak jak chyba jeszcze nikt przedtem:

- Twierdzi pan, że macie państwo wszyscy pracować w Lindisfarneńskiej Gildii Handlowej w Ostii i że ten dokument to potwierdza?

- Nie – odparłem. – Nie twierdzą tak.

- I słusznie. Ten dokument mówi jedynie tyle, że jest pan wolnym hurią mimo piętna na ramieniu. W Amfii to zupełnie zbędne oświadczenie. Tu nie ma niewolnictwa. Nic jednak nie mówi o pana krewnych.

- Jak to? – oburzył się kapitan straży. – To w końcu komu się urwaliście?

- Barbarzyńcy kupili nas z naszych rodzinnych ziem – odparłem. – Byłem ich tłumaczem, za co zwrócili mi wolność. Nasz statek podczas sztormu rozbił się o tego zółwia. Przeżyła ledwo garstka.

- Inną dotąd słyszałem od ciebie historię, kocie! – podsumował kapitan. – W takim razie zabieram was wszystkich do Erabii!

- Proszę się wstrzymać, panie kapitanie – wtrącił celnik. – Jesteśmy na amfiońskiej ziemi i obowiązuje tu amfiońskie prawo. Tu wszystkie istoty są

wolne i mogą o sobie decydować, a każda próba ich zniewolenia jest przestępstwem ściganym z urzędu.

- To jakiś absurd! – warknął erab, zerkając za siebie na drewniany postument żółwia, odległy niewiele ponad dwadzieścia metrów od nas. – Przecież ten huria włamał się do magazynu i ukradł około dwóch beczek iakkowego mięsa pierwszej jakości! Miał ze sobą tę oto broń – dodał, pokazując celnikowi mój węzowy łuk.

- To prawda, proszę pana? – zwrócił się do mnie amfion.

- Prawda, to moja własność, i prawda, włamałem się, by zdobyć jedzenie dla swoich. Umieraliśmy z głodu.

Celnik pokiwał głową i zapytał:

- Mają państwo jakieś pieniądze, złoto lub kosztowności?

- Nie – odparłem.

- Są państwo umówieni z jakimś pracodawcą?

- Nie.

- Ktokolwiek czeka na państwa, by się państwem zaopiekować?

- Również nie.

- To co państwo zamierzają tu robić? Ziemi u nas nie brak, ale jak zamierzacie się państwo na niej utrzymać?

- Liczyliśmy, że wasz wolny kraj przygarnie nas i otoczy opieką przed handlarzami niewolników.

- Skarbu Amfii nie stać na działania charytatywne, a żebractwo, złodziejstwo, rozbójnictwo i prostytutka są tu ścigane i karane. Mają państwo dwie opcje: wyruszą państwo na Sterburtę do naszego kamieniołomu i podejmą tam pracę zarobkową albo wrócą państwo na tego gigantycznego żółwia i odpłyną do Erabii wraz z panem kapitanem.

Nie zastanawiałem się długo.

- Wolimy zostać i pracować w kamieniołomie – oświadczyłem.

- To pana wybór – odparł chłodno celnik. – Proszę jednak nie decydować za pana krewnych. Tylko pan mówi po albińsku?

- Tak.

- Proszę więc wytłumaczyć sytuację i zapytać krewnych o ich zdanie. Są wolni, mają prawo o sobie decydować.

To mnie zaskoczyło. Każdego *raisa* by zaskoczyło. Wytłumaczyłem im pokrótce, na czym stoimy i że domagają się, by każdy z nas dokonał wyboru między krótkim pobytym w amfiońskim kamieniołomie, a spędzeniem reszty życia w erabskiej niewoli. Moja *mbaria* patrzyła na mnie z niedowie-

rzaniem – szczególnie wtedy, gdy z nakazu celnika każdego i każdą chekechę pytałem o to, czy chce wrócić na zółwia do aresztu czy zostać z nami. Oczywiście wszyscy mieli dość oleju w głowach i zgodzili się zostać w Amfii. Nie kryli jednak rozczarowania. Inaczej miało być...

- Dobrze więc – podsumował celnik. – Zorganizujemy państwu transport. Wóz pojawi się w ciągu pół godziny. – Wtedy wymienił w swoim języku kilka zdań z innym amfionem, który to niezwłocznie ruszył w kierunku miasta. Rozkazał też rozwiązać nas z lin, jakimi byliśmy powiązani. – Pana natomiast – zwrócił się do mnie – za włamanie, kradzież mięsa i oszustwo wobec funkcjonariusza erabskiej straży miejskiej skazuję na pół roku pozbawienia wolności i prac przymusowych w kamieniołomie w Cacci. Wyrok wykonany zostanie w trybie natychmiastowym.

Aż mi mowę odjęło. Skuli mnie w kajdany na oczach całej *mbarii*. Z ledwością byłem w stanie im potem wytłumaczyć, co tam w ogóle zaszło. Wszystko to nie trwało nawet pół godziny. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałem się, że ta rozmowa to była amfiońska rozprawa sądowa – zebranie świadków, dowodów, przesłuchanie i prawomocny wyrok. Wszystkiego dokonał celnik straży miejskiej, a straż w Amfii jest podległa sądom i ma niemal takie prawa jak sędziowie. Ci zaś to sam szczyt amfiońskiej hierarchii. W sumie nie wiem, jak sądy działają w innych krajach, ale mówili mi, że gdzie indziej takie rozprawy potrafią się ciągnąć miesiącami, jeśli nie dłużej. Wobec tego amfiońskie sądy w istocie działają błyskawicznie. Jakie to szczęście, że nie wiedzieli o tych wszystkich zbrodniach, których się dopuściłem wraz z Vijani...

Chwilę potem nadjechał duży wóz zaprzężony w dwa mambulle, zapakowali nas na niego i ruszyliśmy wszyscy w kierunku Sterburty. A ja znów w kajdanach!



*Coś niebywałego! Jestem hurią! Tym razem się udało! Antylopa, jaka mi się trafiła, może nie była zbyt dorodna, ale przecież się liczy. Nie było mi łatwo się przemóc, by wypić jej krew. Acz jeszcze trudniejsza była publiczna jamia, jakiej się oddałem wraz z Mtiriri (była moją mrongo). To zupełnie nienaturalne, by to robić*

*na oczach całej mbarii! Wszyscy się temu przypatrywali! Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał tego powtarzać. Niemniej jak o tym teraz myślę, było to coś niesamowitego. Na moim ciele jest tatuaż naszej mbarii, który mi przypomina, kim teraz jestem. Coś niebywałego!*



Gdy przejeżdżaliśmy przez miasto, podziwiałem amfiońską architekturę. Domy – podobnie jak w erabskim budownictwie – mają tam płaskie dachy i malowane są najczęściej na biało. Urzędy, świątynie, sądy, biblioteki i inne ważne budynki wzniesione są z marmuru i otoczone palisadami kolumn. Sprawiają wrażenie tak ciężkich i masywnych, jakby miały wytrzymać wieczność. Ulice utrzymane są w chorobliwie nieskazitelnej czystości, niemal wyjałowione z zapachów. Nie zalega na nich śnieg, a przez ich środki nie płyną rzeki moczu, pomyj i fekaliów jak w większości miast, w których byłem. W ogóle nie ma tam dzielnic biedoty, aż nie do pomyslenia!

Do kamieniołomu dotarliśmy pod wieczór. Zrobiło się tak zimno, że aż amfioński woźnica rozdał nam ciepłe koce, a sam otulił się szczelnie jednym z nich. Ze szczytów gór spoglądały na nas śnieżne czapy, a w lasach było mnóstwo tego białego, plastycznego puchu. Jechaliśmy w kierunku zachodzącego słońca. Ubierało biel w złote szaty; tak samo czyniło też z chmurami. Wreszcie między uginającymi się od ciężaru śniegu konarami drzew ukazała się nam olbrzymia połać otwartego terenu – całe zbocze góry огоłocone z ziemi aż do gołej skały, która w tym świetle zdawała się być krwistoczerwona. Urwiska gigantycznych zębów równo odkutego marmuru wyglądały jak skalne osiedle olbrzymów. Na dwójce moich tigrzańskich chekechei robiły spore wrażenie, na mnie zresztą też...

Moją mbarię zakwaterowali do płaskich baraków. Wielogatunkowa społeczność, w którą się wtopili, składała się głównie z amfionów i amfionek, którzy stracili swe majątki, posady, rodziny. W innym kraju, w innym mieście trafiliby pewnie do dzielnicy biedoty. W Amfii ci, którzy nie mieli środków do życia ani nie potrafili znaleźć dla siebie żadnej pracy, kierowani byli poza miasto, do obozów pracy takich jak tamten kamieniołom. Prócz

amfionów było tam też trochę ogrinów i barbarzyńców, a nawet kilku hurii i hurianek. Zaopiekowali się moją *mbarią* i objaśnili im co, gdzie i jak.

Nie było mnie przy tym, gdyż w odróżnieniu od reszty dostałem się między innych skazańców. Zamykani byliśmy we wspólnych więziennych celach w osobnym baraku i pilnowani przez szereg dobrze uzbrojonych strażników. Był tam niemal pełny przegląd cywilizowanych gatunków z całego świata – pracowały tam hurie, barbarzyńcy, ogrini, albin, erabowie, enuici, orki, krasnoludy. Byli nawet krionici i mroczne elfy – jednych i drugich widziałem pierwszy raz w życiu. Amfionów i amfionek za to było stosunkowo niewiele – płynnie mówili po albińsku, ale nieczęsto się odzywali. W ciszy przeżywali to wielkie upokorzenie, jakim dla amfiona jest pozbawienie wolności i zesłanie do prac przymusowych. Wszyscy więźniowie mieli takie same kajdany jak ja. Na każdym zapisana była data początku i końca odbywanej kary oraz numer paragrafu amfiońskiej konstytucji, z którego zostali skazani. Z czasem po tym numerze nauczyłem się odróżniać zabójców od rozbójników, a oszustów podatkowych od żebraków. Ja byłem oznaczony jako włamywacz i złodziej.

Przykuto mnie łańcuchem do wielogatunkowej grupy kilkunastu rabusiów, kieszonkowców i stenokradów. Nie mogliśmy od siebie odejść dalej niż na długość łańcucha – byliśmy na siebie skazani w dzień i w noc; podczas pracy, snu, posiłków i toalety.

Nie sądziłem, że to w ogóle możliwe, ale praca była tam cięższa nawet od tej w Młynie. Szczególnie pod koniec, w lato, gdy żar lał się z nieba jak żelazo roztopione w kuźni. Wolni pracowali w cieniach magazynów lub pod dachami warsztatów, mieli przerwy, a jeśli tylko chcieli, to nawet całe wolne dni. Skazańców nikt nie oszczędzał. Gdy tam byłem, kilku zginęło z wycieńczenia. Był też jeden śmiertelny wypadek na wysokości – któryś z więźniów osunął się z urwiska. Nie spadł z całej wysokości klifu, zawisł na łańcuchu przytrzymywany przez pozostałych, ale trafił głową w skałę i rozbił sobie czaszkę. Trup na miejscu. Zadziwiająco, że w tak bardzo cywilizowanej Amfii tak znikomym szacunkiem darzono życie skazańców... Na wysokości, przy odcinaniu marmuru ze zbocza, pracowali jednak zwykle zabójcy i gwałciciele. My, złodzieje, zazwyczaj te bloki odbieraliśmy z dźwigów, równaliśmy, oczyszczaliśmy albo polerowaliśmy. Czasem ciąłszy je na mniejsze bryły, czasem ładowaliśmy je na wozy, a czasem porządkowaliśmy magazyn z gruzu. Nadzorowali nas strażnicy, inżynierowie oraz zleceniodawcy. Nasz marmur szedł do wielu amfiońskich miast,



a część eksportowano nawet do Arabii oraz do Imperium Albińskiego, czyli dawnego Terahandearu.

Gorsza od przymusowej pracy była chyba tylko przymusowa kąpiel. Codziennie po skończonej pracy grupy skazańców wchodziły kolejno do wspólnej łaźni, gdzie musiały się rozebrać ze wszelkich ubrań i stanąć pod ścianą, z której nagle spływał istny wodospad zimnej wody. Należało się pozbyć tak wiele *nukii* oraz *nuków*, jak to tylko było możliwe. Pomoc w tym miało wcieranie w ciała olejistej mazi, która pachniała spalenizną, zwierzęcym tłuszczem i amfiońskim moczem. Coś niewiarygodnego! Strażnicy potrafili cofnąć cały łańcuch z powrotem do kąpeli, gdy wyczuli, że się ktoś do niej należycie nie przyłożył. Wolni też byli zobowiązani do codziennego pozbywania się własnego zapachu, ale mieli do tego celu szereg osobnych, jednoosobowych pomieszczeń i nikt ich potem wnikliwie nie wąchał.

Z moimi huriami widywałem się rzadko. Nie mogłem do nich pójść, nie było nam wolno opuszczać miejsca pracy ani spoczynku, przykuty byłem zresztą łańcuchem do moich współwięźniów. Za to oni mogli przyjść do mnie, byli przecież wolni. Współczuli mi, ale również winili za taki rozwój wypadków. Opowiadałem im przecież o cudownej krainie, w której wszyscy są wolni, a trafiliśmy do kamieniołomu, w którym pracować musieli niemal jak niewolnicy. Niemal, bo pracę mieli lżejszą, zresztą amfioni im za nią płacili. Nauma z hurysami i hurami dostawali po dziesięć złotych monet na głowę za każdy przepracowany dzień. Z ledwością wystarczało, by kupili sobie za to w kuchni mięso najpodlejszego gatunku, usmażyli je i nakarmili nim siebie oraz chekechee, które w żaden sposób nie dokładały się do pracy. Regulamin tego zabraniał. Ja też ich nie wspomagałem – byłem przecież skazańcem. Mnie nie płacili za pracę.

Minęły dwa miesiące. Była wiosna, dni były cieplejsze, drzewa zrobiły się już zielone, wszędzie czuć było zapach odradzającego się życia. Któregoś popołudnia, zaraz po obiedzie przyszedł do mnie Nauma. Już wcześniej objął funkcję *raisa* w tej mojej *mbarii* – nie mogłem przecież przewodzić jej na odległość. A wtedy, tamtego dnia, przyszedł i powiedział tak:

- Zebraliśmy już dość, Ario.
- Dość czego? – zapytałem.
- Dość pieniędzy na wyjazd.
- Wyjazd? Jaki wyjazd?
- Mamy statek. Amfiońscy rybacy zabiorą nas do ojczyzny.
- Chcecie stąd wyjechać? Ale jak to?

- Jesteśmy wolni, Ario. Tu nie czeka nas nic godnego uwagi. A tam, gdziekolwiek byśmy nie osiedli, będzie nam lepiej niż tu.

- To kiedy to będzie?

- Stąd wychodzimy jutro. Pojutrze wypłyniemy na Wielką wodę.

- Ale co ze mną, Naumo? Nie mogę płynąć z wami! Przecież jesteśmy jedną *mbarią*!

- Dziwny z siebie huria! Współpracujesz z handlarzami niewolników, potem ich mordujesz; płaczesz nad każdym chekecheą, każdemu dajesz równy przydział i każdego pytasz o zdanie, nie umiając samemu podjąć decyzji, choć jesteś *raisem*; uczysz, jak oszukiwać strażników, a dajesz im się podejść i przyznajesz im się do zbrodni, których nie popełniłeś. Mówisz, że jesteśmy jedną *mbarią*, choć widzimy się raz na dwa tygodnie, a teraz skomlesz, że zostaniesz sam? Co z siebie za huria? Nawet nie zaszczyciłeś aktem *jamii* naszych hurianek w dzień, gdy objąłeś nad nami władzę! Nie będziemy na ciebie czekać dwóch miesięcy. Poradzisz sobie bez nas. I my bez ciebie również.

To był cios w plecy. Byłem w szoku. Siedzący obok mnie mroczny elf, mój współwięzień, przysłuchując się rozmowie, dobrze odgadł moją sytuację, choć ani słowa nie rozumiał po huryjsku:

- Wyrolowali cię, brachu, mam rację? – zagadnął.

To prawda. Czulem się zdradzony. Przecież to dla nich włamywałem się i kradłem. Marzenie o własnej *mbarii* przysło. Za bardzo mi na nich zależało. Być może to prawda, że nie każdy nadaje się na *raisa*.

Znów więc zostałem sam.

Znów czulem się tak bezsilny.

Ludzkie demony w istocie są gorsze od hodowlanych...

Dwa miesiące, jakie mi pozostały do końca wyroku, minęły mi na rozmyślaniach o Młynie, o mojej siostrze Fadhili, o rodzinie albińskich wieśniaków, którzy przygarnęli mnie pod swój dach, o Vijani, o barbarzyńskiej gildii handlowej i jej niewolnikach, o huriach zbrojących się przeciwko huriom i sprzedającym do niewoli własne chekechee, wreszcie o mojej *mbarii*, która wyruszyła w nieznane, licząc naiwnie na to, że nikt jej nie oszuka. Zastanawiałem się, jakie mieli szanse, by znów nie wylądować w kajdanach? Myślałem o wolności, którą po raz kolejny mi odebrano, i o tym, dlaczego świat z takim uporem widzi w nas niewolników? Marzyłem o demonach, wyobrażając sobie, że stoję w szranki z najprawdziwszym smokiem, przebijam go ostrzem miecza i pijam jego ciepłą krew. Zaczęło mi się to śnić po nocach, a czasem nawet na jawie. Musiałem tym przy-

pominać Chekecheę, choć nie posuwałem się w tym tak daleko. On tak mocno wierzył w swoje wyobrażenia, że nie potrafił ich już odróżnić od rzeczywistości. Ja jedynie marzyłem o tym, by się ziszczyły. Bywało, że mu zazdrościłem.

Nie poznałem dobrze nawet tych więźniów, którzy przykuci byli do tego samego łańcucha. Oprócz mrocznego elfa był tam jeszcze posepny krio-nita o ostrych kościstych naroślach na głowie, barbarzyńca, kilku albinów, ogrinów, amfion, a nawet huria – tigran w sile wieku. Tak jak ci z Hawkshaven, nie umiał ani słowa po huryjku. Pewnie też urodził się w niewoli i nigdy nie był za Wielką Wodą. Trzem z tych złodziei skończyły się wyroki jeszcze przed moim wyjściem, a jednego z nich może z dwa tygodnie po wypuszczeniu przyprowadzili z powrotem i ponownie zakuli w kajdany. Na wolności wrócił do swego fachu, ale podczas drugiej czy trzeciej roboty znów dał się złapać amfiońskiej straży. To był jeden z albinów.

- Kraść to trza umieć – podsumował go ten mroczny elf z mojego łańcucha. – Z roboty możesz tu wyżyć, ale musisz być naprawdę dobrym. Jak dopiero zaczynasz, wpadniesz. Żaden amfion ci nie pomoże, żaden nie przymknie oka, za to każdy rozpruje cię strażnikom. I trafiasz tu, do kamieniołomu.

- A co jeśli bym nie był zdolny do pracy? Jeśli nie miałbym rąk, wzroku, rozumu? Co wtedy?

- Chcesz się zakotwiczyć? – Elf zmierzył mnie wzrokiem. – Brachu, nie warto, zapomnij. Niezdolni do pracy trafiają do kinców, to jest do amfiońskich więzień.

- Tam się nie pracuje, prawda?

- Żywy stamtąd nie wrócisz! Giną tam z głodu, brudu, chorób, ciemności lub sami odbierają sobie życie. Ale nawet amfiońscy obywatele tam trafiają. Jeśli taki zachoruje nagle albo stanie się kaleką, jeśli straci pracę, włości, oszczędności, rodzinę, przyjaciół; jeśli nikt nie da mu nowego zajęcia, a przytułki przy świątyniach nie będą miały na niego miejsca, to zacznie taki żebrać. Pierwszy lepszy amfion odda go straży, a ta niezdolnego do pracy wtrąci do kince. Nie przeżyje tygodnia.

- Dlaczego?

- Nie wytrzyma. Panują tam zupełne ciemności. Każdy ma osobną celę i nigdy, do końca wyroku z niej nie wychodzi. Nikt z nikim nie rozmawia, nic nie robi, tylko trwa we własnym smrodzie i we własnych odchodach.

Wegetuje. Dostaje tylko głodowe porcje i wodę. Albo nie. Najtwardszych ogarniało szaleństwo.

- Skądś jakbym to znał... A ty skąd wiesz, jak tam jest?
- Wyszedłem stamtąd. Odkiwałem wyrok i wyszedłem.
- Mówiłeś że nikt stamtąd nie wraca.

- Mówiłem, że ty nie wrócisz, brachu. Ja czułem się tam niemal jak w domu. Mroczne elfy lubią ciemność, zaś wy, hurie, stworzeni jesteście do życia pod gołym niebem przez dzień i noc. Ciężko zachorujecie, gdyby wam zabrać słońce i gwiazdy...

Czasem jeszcze rozmawiałem z tym mrocznym elfem, ale nie opowiedziałem mu o Młynie. Nauczył mnie podstaw amfiońskiej mowy i amfiońskiej konstytucji. To taki bardzo szczegółowy zbiór ukazów, który obowiązuje w całej Amfii. Każdy obywatel zna go na pamięć, uczą ich tego w szkołach, gdy są jeszcze chekecheami. To właśnie w tym dokumencie zapisali, że każda istota rozumna jest wolna, a niewolnictwo – zakazane. W Amfii konstytucja jest największą świętością. Prawo jest tam jak religia, a niemal każdy obywatel to gorliwy wyznawca. Ci nieliczni amfiońscy wykolejeńcy, którzy praworządności nie wypili z mlekiem matki, wcześniej lub później zasilają więzienia i obozy pracy takie jak tamten kamieniołom. W miejsce zamilowania do prawa wpaja im się wówczas lęk przed karą.

Oprócz konstytucji mają amfioni całe mnóstwo praw szczegółowych, rozporządzeń, ustaw i regulaminów. Do dziś nie mam pojęcia, jak oni się w tym rozeznają. Wśród tych wszystkich ukazów jest wiele przedziwnych i zaskakujących – jak choćby ten, by zbyt intensywnie nie pachnieć własnym zapachem<sup>27</sup> lub ten, by zawsze nosić na sobie przynajmniej przepaskę biodrową. Albo że w lasach nie można spać, gdzie popadnie<sup>28</sup>. Albo że kategorycznie zakazane jest targowanie cen<sup>29</sup>. Jest nawet przepis, by więzień opuszczający miejsce prac przymusowych miał przy sobie jakieś pieniądze. Z tego właśnie powodu, gdy skończył się mój wyrok, zostałem w tym kamieniołomie jeszcze tydzień – jako wolny huria bez kajdan i przy lżejszej pracy. W te

<sup>27</sup> Zaskakujące, ale do dziś w amfiońskim prawie zachował się taki zapis, choć dotyczy on tylko miast. Zob.: *Kodeks prawa publicznego po albińsku. Stan na 34 dzień Alingabei. Resistenza, Naczelna Oficyna Sądowa, s. 19 – przyp. GE.*

<sup>28</sup> W Amfii zakazane jest obozowanie bez zgody właściciela gruntu. Zob.: *Kodeks prawa publicznego...*, s. 24 – przyp. GE.

<sup>29</sup> Zob.: *Co powinieneś wiedzieć, wybierając się do Amfii? Edycja jednotomowa, poprawiona, skrócona i uproszczona. Resistenza, Wydawnictwo Popularyzatorów Prawa, rok pierwszy 89 cyklu, s. 12, 67, 290-292 – przyp. GE.*

dziesięć dni zarobiłem tyle złotych monet, że nie byłem w stanie ich policzyć, choć część z nich przeznaczać musiałem codziennie na obiady. Wypolerowane błyszcząły w świetle, a były tak cienkie, że dało się je zgiąć w palcach na pół. Działy trochę jak te blaszki z rybą, które dostawialiśmy w Młynie. Minęło jeszcze trochę czasu nim pojąłem, do czego służą te całe pieniądze.



*Żałuję, że nie mam ogona. W codziennej komunikacji jest tyle treści, których nie mogę wyrazić z powodu jego braku. Tym bardziej teraz, gdy jestem już hurią.*



Był koniec lata, gdy opuszczałem teren kamieniołomu. Miałem przy sobie małą sakiewkę złotych monet, starą skórzaną *khangę*, trochę prowiantu, bukłak z wodą, drewniany łuk o węzowym ornamentem, ten barbarzyński dokument, świadczący o mojej wolności, a w głowie tylko jeden cel: pojąć smoczego demona. Za wszelką cenę. Choćby miało mi ciało rozerwać, jak to Lōzi straszyla Chekecheę. Potrzebowałem wiedzy, jak smoki znaleźć i jak je zabić. Erabka, ta arufianka z Hawkshaven, mówiła mi o smokach, jakie widziała w książkach dla erabskich chekechei. Marny był to punkt zaczeplenia, ale lepsze nie miałem.

Pomaszerowałem drogą do Cacci, tego pobliskiego miasta, do którego przybiliśmy na gigantycznym żółwiu przeszło cztery miesiące wcześniej<sup>30</sup>. Latem zdawało się tam być jeszcze czystiej niż zimą. Bruki wyszlizgane przez czas aż się mieniły w blasku słońca. Wszędzie pełno było intrygujących fontann i dostępnych dla wszystkich ujęć pitnej wody. Gromadziły się przy nich grupy amfionów i amfionek, debatujących na jakieś ważne tematy, oraz ich chekechei, żywo i radośnie dokazujących wokół. Wszystkie fontanny zasilane były akweduktem – czymś w rodzaju sztucznej rzeki, mającej postać długiego kamiennego mostu pociągniętego aż z gór. Widziałem ten

<sup>30</sup> Tak, tak, dobrze, moje chekechee, cztery miesiące to znaczy pół roku. A ile ma cały rok? Zgadza się. Cały rok ma osiem miesięcy. Zaś pełny cykl ma dwa lata, czyli ile miesięcy?... Sze-sna-ście. Tak jest.

cud techniki z drogi, dziwić się, co to takiego? Podobno tylko w Amfii doprowadza się wodę do miast w taki sposób.

Usłyszałem, że mają w Cacci specjalne miejsce, w którym trzymają wszystkie książki. Zwało się biblioteką. Był to średniej wielkości budynek z marmuru ozdobiony na froncie rzędem kolumn. Wszedłem do środka. Nikt mnie nie zatrzymywał, choć amfioni zerkali na mnie z ukosa, myśląc może, że mi się chyba zgubił. Gdy z przedsiönka wszedłem do głównej sali, aż mi się nogi ugięły. Uderzył mnie wszechobecny, gryzący w nozdrza swąd staro-  
rego kurzu i pleśni. Widziałem już w życiu kilka książek – głównie albińskich – ale tam, w tej bibliotece, były nimi zapełnione ściany i regały od podłogi aż po sam strop! W połowie wysokości zbudowano podest z balustradą okalający całe pomieszczenie, aby łatwiej było po wszystko sięgnąć. Nigdy w życiu nie widziałem tylu książek leżących jedne na drugich. To był jakiś obłęd!

Niepewnie podszedłem do jednego z regałów, wziąłem z półki pierwsze z góry tomiszczce i zacząłem wertować strony w poszukiwaniu smoków. Prócz mętnych linijek zupełnie niezrozumiałego amfiońskiego tekstu nie było tam ani jednej ilustracji, nie licząc czegoś w rodzaju handlowej wagi na pierwszej stronie. Już po pierwszej książce myślałem, że mi ręce odpadną – takie to było ciężkie i niewygodne do trzymania. Dlatego kolejne dwie, które wziąłem, zaniósłem na jeden z pulpitów ustawionych w środku pomieszczenia, idąc zresztą w ślad tych czytelników, którzy właśnie tak przeglądali zabrane z półek tomy. W tamtych dwóch również nie znalazłem niczego godnego uwagi, a linijki pisma zlewały mi się przed oczami w jadowite węże, przyprawiając o ból głowy. Rozejrzałem się wokół po regałach i z przerażeniem uzmysłowiłem sobie, że życia mi nie starczy na sprawdzenie tego wszystkiego w takim tempie. Gdy zrezygnowany odkładałem książki na półkę, zagadnął do mnie jakiś amfion. Dzierzył pod pachą kilka książek, dało się od niego wyczuć zapach kurzu, farby drukarskiej i trutki na gryzonię. Uśmiechał się do mnie życzliwie, ale ni w ząb nie zrozumiałem, co powiedział. Rozłożyłem ręce na znak, że nie znam jego języka, a on zmarszczył czoło, przyjrzał się badawczo najpierw mnie, potem książkom, które odłożyłem, a potem znów mnie. Wreszcie ściszoneg głosem rzekł po albińsku:

- Zainteresowany jest pan prawem spadkowym? Znam specjalistę, który mógłby panu pomóc.

- Prawo spadkowe? Nie, w żadnym razie! Szukam smoków!

- Smoków? Jest pan pewien?

- Zdecydowanie!

- Proszę za mną – polecił amfion. Zaprowadził mnie do bocznego regału, wokół którego tłoczyło się kilku amfiońskich czytelników, wnikliwie studiujących zebrane tam dzieła. Zaintrygowany, czym tak się fascynują, zapyałem mojego przewodnika:

- O czym są te wszystkie książki w tym regale?

- To katalog. Wszystkie te książki są o innych książkach.

To musiał być jakiś bibliotekarski żart. Po co komu książki o książkach? Amfion ściągnął z półki jeden z tomów i zaczął w nim szperać.

- O, mam! – stwierdził po chwili, trzymając palcem znaleziony fragment tekstu. – „Wentyle, syfony i smoki. Komentarz do prawa budowlanego na temat pomp wodnych i instalacji ssących”. To niezbyt dokładne tłumaczenie tytułu, ale być może tego pan poszukuje?

- Nie...? – odparłem zmieszany.

- To może – sięgnął palcem w inne miejsce – „Walka ze smokiem”...

- To jest to! – krzyknąłem.

- Ależ proszę zachować ciszę, jest pan w bibliotece! Jest jeszcze podtytuł: „zaszłości albińskie w amfiońskim prawie publicznym po okresie okupacji terahdearyjskiej”. Świeża pozycja, ledwo z tego roku.

- Prawo publiczne? Jednak chyba nie – odparłem zrezygowany. – Chodzi mi o żywe smoki. Latające. Duże i ziejące ogniem. Takie jak w erabskich bajkach dla dzieci.

- Trzeba było tak od razu! Zatem nie prawo, a baśnie i legendy! Te znajdują się w drugiej części biblioteki, o tam.

- Ach, dziękuję.

- Jako bibliotekarz obawiam się jednak, że nie może tam pan wejść.

- A to dlaczego?

- Nie ma pan honorowego obywatelstwa, prawda?

- A co to takiego?

- No właśnie. Z części ogólnej publicznej biblioteki korzystać mogą wyłącznie amfiońscy obywatele. Wolny dostęp obowiązuje jedynie wobec wydawnictw na temat prawa. Tak mówi nasza konstytucja.

- Jestem wolnym hurią, a nie amfiońskim obywatelem. Nie możecie zrobić jakiegoś wyjątku?

- W żadnym razie, proszę pana – wyartykułował szorstko amfion, nie kryjąc oburzenia. – Jeśli chce pan obejrzeć jakąś książkę, może ją pan po prostu kupić.

- Sprzedajecie książki? Mam pieniądze.

- Ależ nie sprzedajemy tu książek! Tu jest publiczna biblioteka! Proszę poszukać w księgarni, antykwariacie lub choćby na targu.

- Dziękuję więc. Tak zrobię.

Co za typ! Z ulgą uwolniłem się od tego irytującego amfiońskiego bibliotekarza, wychodząc czym prędzej z tej przytłaczającej i źle wentylowanej pieczary. Zachłannie łąpałem świeże powietrze, jakbym był na skraju uduszenia. Spytałem pierwszego lepszego przechodnia o ten cały księgarni-antykwariat. Okazało się, że są w Cacci aż trzy.

- Sprzedajecie tu książki? – spytałem na wszelki wypadek, gdy wszedłem do najbliższego z nich; chciałem mieć pewność, choć być może wszystkie te książki, które tam zgromadzono, sugerowały to same z siebie. Było ich tam tak dużo, że zajmowały każdą wolną przestrzeń: nie było widać ścian, blatów, regałów, nawet posadzkę w większości pokrywały sterty książek. Od drzwi wejściowych prowadził wąski korytarz, którym dało się przemieszczać, o ile było się wystarczająco zręcznym i szczupłym. Sprawiało to wrażenie, jakby ktoś miał ambicję upchnąć w swej księgarni przynajmniej tyle samo książek, co w tamtej bibliotece, nie zważając w ogóle na fakt, że dysponuje ledwo wycinkiem potrzebnej do tego przestrzeni!

- Ależ oczywiście, że sprzedajemy tu książki – odparł nieco zmieszany amfioński księgarz. Długie, siwe futro wokół nosa i oczy zasłte mgłą zdradzały zaawansowany wiek. Czuć to też było w *nukiach*. Za zwałami tomów widziałem ledwo fragment jego głowy. Był tam ktoś jeszcze; zza regałów dochodził do mnie szelest papieru i delikatna sugestia jakichś innych amfiońskich *nukii*. Pewnie klient, pomyślałem. – A także skupujemy książki – ciągnął sprzedawca – kolekcjonujemy je, podziwiamy i czytamy, oczywiście. Książki to całe życie. Przynajmniej moje. Są jak rodzina.

- Moja jest teraz w Swannah – mruknąłem. – W naszej ojczyźnie.

- W czym mogę panu pomóc?

- Szukam smoków – rzuciłem od razu. – Takich dużych, skrzydlatych i zięjących ogniem – dodałem szybko.

- Jest więc pan koneserem dzikich bestii. Mam coś specjalnie dla pana!

Jak to dobrze trafić na kogoś kompetentnego, pomyślałem. Amfion wynurzył się zza kontuaru, sięgnął do regału, bez wahania wyciągnął z niego tom spośród tak samo wyglądających innych tomów i położył go przede mną, posługując się stertą książek jako blatem.



- Proszę – rzekł. – „Bestiarium ziem bakburckich”. Po albińsku i z pięknymi miedziorytami. Jeszcze przedwojenne. Jest tu cały rozdział o smokach. Proszę otworzyć.

Książka zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Pełna była przeróżnych stworzeń, bestii, zwierząt, niezwykłych istot, których nigdy przedtem nie widziałem. Ani nigdy potem. Każde przedstawione było na sporej ilustracji, rejestrującej najdrobniejsze szczegóły. Do dziś pamiętam niektóre z nich. Były też i smoki. Kilka rodzajów. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem, czego ja tak w ogóle szukam!

- Tego właśnie potrzebuję! – stwierdziłem. – Biorę! Ile to kosztuje?

Amfion wymienił jakąś kwotę, ale nie byłem w stanie go zrozumieć. Dałem mu więc całą moją sakiewkę pełną złotych monet. Otworzył, zerknął do środka, zgrabnym ruchem przesypał na małą wagę, jaka stała na kontuarze, i pokręcił głową:

- Niestety. To za mało. Potrzebuje pan jeszcze dziesięć razy tyle.

„Jak to?” pomyślałem. Miałem tyle pieniędzy, że nie byłem w stanie ich policzyć, a nie stać mnie było na jedną książkę?

- Ale... – zacząłem, gdy przesypał monety z powrotem do sakiewki – proszę spojrzeć na ten wytarty grzbiet i naderwane strony, może moglibyście zrobić... – w ostatniej chwili ugryzłem się w język, przypominawszy sobie o amfiońskim zakazie targowania cen. Gdybym skończył zdanie, mógłbym z powrotem wylądować w łańcuchach! – Może moglibyście... mi sprzedać tylko jeden rozdział?

- Niestety, to niemożliwe. Nie mogę wyrwać stron i sprzedać ich panu osobno. Zniszczyłbym książkę. To by była zbrodnia!

Podziękowałem i wyszedłem. Zrezygnowany usiadłem przy fontannie, napiłem się z niej wody. Co miałem dalej robić? Obserwowałem toczące się przed moimi oczami amfiońskie życie miasta i zastanawiałem się, jak długo trzeba pracować za pieniądze, aby mieć ich dziesięć razy więcej niż miałem? A przecież nawet nie umiałem czytać po albińsku! Same ilustracje nie wyjaśniają, jak smoka odszukać i zabić.



*Wibrysów też mi brakuje. Próbuję obracać to w żart, ale czasem dochodzi do nieporozumień. Jak w normalny sposób przywitać się z huriami*

*i huriankami własnej mbarii, nie mając wibrysów? Przecież nie przez podanie ręki!*



- Przepraszam, czy mogę się do pana dosiąść?

Podniosłem głowę. Stał nade mną jakiś amfiński obywatel, pod pachą trzymał książkę, ale po *nukiach* poznałem zaraz, że był to ten klient księgarni-antykwiariatu, którego słyszałem i czułem zza regału.

- Proszę, siadajcie – odrzekłem.

- Moje imię to Leander. Proszę mi wybaczyć wścibskość, ale przypadkiem słyszałem pana rozmowę w antykwaracie.

- Wiem.

- Tak? Usłyszałem, że pochodzi pan ze Swannah?

- Urodziłem się tam. Moi najbliżsi krewni sprzedali mnie do albińskiej niewoli. A ja niemal przez całe życie myślałem, że wzięto mnie siłą podczas zbrojnej inwazji Imperium Terahandearu.

- I tam nauczył się pan języka albińskiego, czy tak?

- Tak. Za używanie naszej mowy karali nas pałkami i batami.

- W istocie oburzające... Czyli jednocześnie zna pan huryjskie obyczaje i doskonale mówi pan po albińsku?

Przytaknąłem głową.

- Właśnie szukam kogoś takiego jak pan! Czy chciałby pan dla mnie pracować?

Przyjrzałem mu się. Był rośli i masywny, co potęgowała jeszcze niemal arufiańska, kędzierzawa grzywa. Choć miał ją zmierzwioną i skołtunioną, a togę – zmiętą i przybrudzoną (przynajmniej jak na amfińskie standardy), to nie sprawiał złego wrażenia. W oczach miał te same iskry, co nieraz Uga-idi, gdy szykowała w głowie plan ucieczki z Młyna.

- Zarobię więcej niż w kamieniołomie? – zapytałem.

- W kamieniołomie? A ile pan tam zarabiał?

- Dziesięć małych złotych monet za dzień.

- Małych? To znaczy jakich?

Otworzyłem sakiewkę i pokazałem zawartość.

- Chce mi pan powiedzieć – rzekł, obracając pieniąż w palcach – że w kamieniołomie zarabiał pan dziesięć takich monet? Niebywałe!

- Prawda. To sporo pieniędzy. Ale jeśli mam pracować gdzie indziej, muszę dostawać więcej.

Amfion jeszcze bardziej zdziwił się tym, co powiedziałem.

- Proszę pana, to nie jest wcale dużo pieniędzy za dzień ciężkiej pracy w kamieniołomie! To rozbój i wyzysk, tyle powiem! Nie wiedziałem, że płacą tam tak mało. U mnie dostanie pan dwadzieścia! A zapewniam, że będzie to lepsze zajęcie.

- Potrzebuję uzbierać na pewną książkę...

- Domyślam się, którą. Niech się pan jednak nie przejmuje książkami. Będzie ich pan miał pod dostatkiem.

- To w zasadzie co miałbym robić? Kopalnia? Kuźnia? Magazyn?

- Będzie mi pan opowiadał o swojej ojczyźnie. I tyle.

- Opowiadać o ojczyźnie? I za to dostanę dwadzieścia małych złotych monet dziennie?

Obawiałem się, że to jakiś oszust, no ale przecież był amfionem. Amfioni z natury są prawi i uczciwi. Niemniej jednak nikt przy zdrowych zmysłach nie oferowałby takich pieniędzy za taką pracę, a przynajmniej tak wówczas pomyślałem. Mimo tego zgodziłem się. Handlowym zwyczajem uścisnęliśmy sobie po albińsku dłonie.

- Jak się do pana zwracać? – zapytał jeszcze.

- Jestem Aria – odparłem.

Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Rozpoczęliśmy wspólną wędrówkę. Wyruszyliśmy z Cacci i szliśmy na dziobową Bakturę amfiońskim gościńcem, starannie wyłożonym równo ciosanymi kamieniami. Ich płaska i twarda powierzchnia szybko dała mi się we znaki, nabawiłem się odcisków i z trudem szedłem nawet po poboczu. Amfioni noszą na nogach sandały związane rzemieniami, to iść im łatwiej po takiej drodze.

Jeszcze podczas marszu rozpocząłem tę moją śmieszłą pracę. Leander miał niezliczoną ilość pytań o nasze zwyczaje, tradycje, historię, ukazy. Jego wiedza na nasz temat była wyjątkowo ograniczona. Znał co prawda kilka faktów – jak chociażby to, że jemy tylko mięso, mleko, jaja i zwierzęcy tłuszcz, albo to, że dzielimy się na pardian, onkian, arufian i tigran – ale objaśnić mu musiałem takie oczywistości jak hierarchia, *mbaria*, *rais*, rewir albo terytorium. Wyjaśniałem mu, do czego służy *khanga*, na czym polega ceremonia Uhai i Mahiri, a także jaka jest różnica między *nukiami*

a *nukami*. Wszystko notował na papierze i z wiecznie niezaspokojoną pasją odkrywcy nieznanych lądów prosił o więcej i więcej. Czasem jego wyobrażenia na temat hurii były tak opaczne, że zastanawiałem się, skąd się w ogóle wzięły? Gdyśmy w trakcie tej podróży zatrzymali się na noc w przydrożnym zajezdzie, zapytał podczas kolacji znad miski jajecznicy:

- Powiedz, Ario, czy to prawda, że hurie mają po dziewięć żyć?

- Dziewięć żyć? – Aż się niemal zadławiłem strawą. – Jak to? Po śmierci mielibyśmy żyć od nowa jeszcze osiem razy?

- Może, myślałem, że ty mi powiesz.

- Nic mi o tym nie wiadomo. To jakieś brednie. Choć pewnie byłoby to wygodne... Skąd taki pomysł?

- Tak się o was mówi, acz w sumie nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że przeżywacie skoki z dużych wysokości?

- Duże wysokości są dla nas równie zabójcze, jak i dla was, Leandrze.

Może i jesteśmy zwinniejsi, ale umieramy tak samo.

- I grzebiecie zmarłych w ziemi? Przypadkiem potem nie powstają?

- W żadnym razie! Tylko w Młynie tak było, pod albińskim rozkazem, żeśmy kopali dla umarłych groby. Hurie budują specjalną drewnianą wieżę, zwaną *mnara*, układają na niej ciało zmarłego, smarują je jego krwią i oczekują, aż drapieżne ptactwo wywyższy jego demona pod samo niebo.

- Wywyższy jego demona? To rodzaj waszej religii?

- Tak jakby. Prawie każda żywa istota mieści w sobie niewidzialnego demona, który go popycha do tych czy innych działań.

- Naprawdę? To znaczy, że ja też mam w sobie demona?

- Bardzo możliwe. Nie każdy jest tego świadomy. Nie można ich zobaczyć albo wywąchać, ale siedzą w nas. Można wyczuć ich wpływ, a niektórzy są w stanie z nimi nawet porozmawiać. Wędrują wraz z ciałami żywych istot aż do ich śmierci albo aż ich nie przegoni inny demon. Zmierzają zawsze w górę. Zaczynają od głębokich podziemi lub oceanicznego mułu, by stopniowo przechodzić w coraz to wyższe gatunki i ostatecznie, choćby na skrzydłach drapieżnych ptaków, szybujących pośród chmur, wspiąć się na najwyższą warstwę nieba. Tam opuszczają materialne ciało i dalej pną się już same, zmierzając ku gwiazdom. Dlatego zakopywanie zmarłych w ziemnych grobach to najgorsze, co można demonom zrobić. Całą wędrowkę muszą rozpoczynać od początku.

- Mogą sobie tak dowolnie przechodzić z ciała na ciało?

- Nie. Mamy na to osobny rytuał zwany Dudią. Polega na spożyciu mięsa i wypiciu krwi konającej istoty. Wtedy jej demon nie ma wyboru i w desperacji wraz z ciałem i krwią ucieka do nowego żywiciela.

- Czyli tak zdobywacie kolejne demony. Ile ich już masz, Ario?

- To nie tak. W ciele nie zmieści się więcej niż jeden demon. Podczas Dudii ten stary ulega rozproszoniu. Zaczyna się błąkać po okolicy, osiada na trawie, by przejść go roślinożercy, albo wstępuje w martwe zwłoki, czekając na padlinożerców.

- To powód, dla którego nie jecie padliny?

- Głównym powodem jest smak i zapach. Ale racja, nie jemy jej. Stronimy też od mięsa zwierząt hodowlanych. Zwierzę, które daje się hodować, nie może mieć godnego uwagi demona. A nie chcemy być słabi i ulegli – przyznałem, wpatrując się w swoją miskę zjedzonej jajecznicy z jaj hodowlanych kobudów... Znow zamarzyłem o smokach...

Kolejnego dnia naszego marszu wchodziliśmy akurat w niewielki las, gdy musiałem za potrzebą zejść z kamiennego traktu. Według amfiońskiego obyczaju, o ile to tylko możliwe, należy się w takiej sytuacji ukryć, by nie być widocznym z drogi. Mniejsza o te dyrdymały. Będąc między drzewami, natrafiłem na świeże ptasie *nukie*. Dałem się im prowadzić. To była samica bażanta. Podkradłem się do niej, przyczałem chwilę, napiąłem łuk, strzeliłem i już była moja. Wśród traw miała gniazdo, w nim dwa jaja, które zjadłem ze smakiem. Żeby nie opóźnić wędrówki, skubaniem mięsa z piór zająłem się od razu, w ruchu, wracając na trakt. Gdy Leander zobaczył mnie z ciałem tego ptaka, jak rozrzucam na prawo i lewo jego pierze i puch, chwycił się z przerażenia za głowę, a ja niczego nieświadomy rzuciłem do niego:

- Patrz, co znalazłem, będzie na kolację!

- Coś ty najlepszego zrobił?! – wrzasnął amfion.

- Upolowałem bażanta. To smaczne mięso.

- Nie masz do tego prawa, Ario! A teraz jeszcze zaśmiecasz publiczną drogę! Przestań w tej chwili! Ten las należy do Skarbu Amfi, polowaka tu mogą wyłącznie amfiońscy obywatele<sup>31</sup>. Z obywatelskiego obowiązku jestem zmuszony obciążyć cię grzywną na rzecz Skarbu Amfi za złamanie siedemnastego paragrafu amfiońskiej konstytucji i pouczyć, że jeśli nie posprzątasz stąd tych piór, zostaniesz obciążony kolejnym mandatem za zaśmiecanie amfiońskiej przestrzeni publicznej!

<sup>31</sup> *Wszelka zwierzyzna łowna należy w Amfi do właściciela ziemi lub do wszystkich obywateli, jeśli dany skrawek ziemi jest własnością publiczną. Obywatelami stają się*

- Że co?

- Takie jest prawo, Ario. Wszyscy mu podlegamy.

- Niech to larwa! Skąd miałem to wiedzieć?

Miałem wielką ochotę dać temu zarozumiałemu psu w zęby i pewnie z innym demonem bym tak właśnie zrobił. Gdyby była ze mną Vijani, pewnie byśmy go zamordowali bez krztyny skrupułów. A tak, zamiast tego – może w obawie przed karą, jaka czeka rozbójników – oddałem mu sakiewkę, z której zabrał mi dwa razy tyle, ile dostałem od niego w ramach dziennej wypłaty. Cóż to za furiacki kraj, ta Amfia! Kilka godzin biłem się z myślami, czy od tego wszystkiego nie uciec. Cóż ze mnie za huria, że tego nie zrobiłem?



*Obserwowałem dziś zwierzynę z gałęzi jednego z drzew na sawannie. Kiedy robiłem to ostatnio, nie miałem w sobie jeszcze demona tej antylopy. Zastanawiam się, jak wpłynie na moje życie? A może już to robi? I czy naprawdę tam gdzieś jest?*



Pod wieczór doszliśmy do wsi Vento. Leander uzgadniał z wieśniakami sprawę jakiegoś zamówienia na mąkę i jaja, ale niczego nie kupował. Rozumiałem z tego pojedyncze słowa – ledwo przecież przed czterema miesiącami zacząłem uczyć się amfiońskiego. Mimo tego wszyscy mieszkańcy, jakich spotkaliśmy w Vento, kłaniali mi się w pas i uśmiechali życzliwie, aż zacząłem się czuć nieswojo.

Za wsią, na skraju pól uprawnych, nad rzeką, wśród dorodnego i zadbanego ogrodu, wyrastała z ziemi kamienna wieża.

- To tu – oznajmił dumnie Leander. – Jak ci się podoba?

- Tu mieszkasz?

Przytaknął.

---

*z zasady wyłącznie amfioni płci męskiej urodzeni w amfiońskiej ojczyźnie. Zob.: Co powinienes wiedzieć..., s. 4-9, 397 – przyp. GE.*

- Musi tam być pełno schodów – podsumowałem z niechęcią, mierząc budynek wzrokiem od parteru po sam dach. – To zapewne męczące.

- Może i tak, ale widok z samej góry cię zachwyci.

- Miałem nadzieję, że mieszkasz na parterze.

- Ależ mieszkam w całej wieży. Mój dziad rozpoczął jej budowę, a ojciec ją wykończył. Od pokoleń ziemia ta należy do mojej rodziny, czego nie odmieniła nawet wojna z Chaosem. Wchodzi w nią również Vento, ta przyległa wieś, przez którą przechodziliśmy.

- To dlatego wszyscy tam się nam kłaniali?

- Tak, jest moja.

- Sądziłem, że w Amfii nie ma poddaństwa.

- Oczywiście, że nie ma, Ario. Wszyscy ci wieśniacy to moi pracownicy. Zatrudniam ich, płacę im godne wynagrodzenie, określam, co hodują i co uprawiają oraz sprzedaję plony ich pracy. Ścisłej mówiąc, zajmuje się tym mój zarządca, ale ziemia należy do mnie. A wszystko, co wyrośnie na tej ziemi, jest moją własnością. Tak mówi nasza konstytucja.

- Jeśli jesteś moznym właścicielem, to czemu szliśmy na piechotę taki kawał z Cacci? Moźni właściciele mają powozy, karety lub choćby kazary.

- Ileż bym mniej wiedział o huriach, gdybyśmy tu przygnali w kilka godzin na kazarze? Nie lubię pośpiechu. Zresztą nie każdy właściciel amfiońskiej ziemi obnosi się swoim bogactwem. Wobec prawa i tak jesteśmy równi.

Przywitał nas ogriński sługa. Zapewne wynajęty i dobrze opłacany, ale nigdy nie przyszło mi do głowy spytać, ile zarabiał. Weszliśmy do środka. Leander zaprosił mnie do dużego pomieszczenia. Przepelnione było zapachem palonego drewna, przypraw i świeżej wołowiny. Moją uwagę przykuł niezwykle kominek wmurowany w jedną ze ścian. Jego boki stanowiły dwa marmurowe lwy, stojące na tylnych łapach. Przednimi podpierały kamienną półkę nad kominkiem, jaką miały nad głowami. Choć usmolone były od sadzy, to mieniły się w blasku rozpalonego ognia, a złoto tańczyło na ich torsach. Byłem nimi zafascynowany.

- Uwielbiam te lwy – zagadnął Leander, podając mi na porcelanowym talerzu odcięty kawałek piezonego mięsa wraz ze srebrnymi sztuczkami, z którymi nie za bardzo wiedziałem, co mam niby zrobić?

Chwilę tak trwaliśmy w milczeniu. On delektując się małymi kąskami mięsa odkrajanego nożem i nabijanego na widelec, ja – wgrzyzając się w ciepły tłuszcz, który ciekł mi po sierści rąk. Pogrzeżyłem się w zadumie. Coś mi to przypominało. Te lwy... Ten kominek... Ta wieża...

Wreszcie doznałem olśnienia. Odłożyłem talerz, spojrzałem na Leandra i zapytałem:

- Znasz się na telepatii?

- Cóż za pytanie! – odparł zaskoczony. – Nie, nie mam talentu do sztuki psionicznej. Dlaczego o to pytasz?

- Ach, szkoda. Znałem barbarzyńcę, który opowiadał o podobnym kominku. Gościł go amfioński mag, który z nim rozmawiał, nawet nie otwierając ust.

Amfion zaśmiał się:

- Nie mam talentu do sztuki psionicznej, ale mój ojciec miał. Pewnie o niego ci chodzi. Sześć lat już mija odkąd go pochowałem. Władał za życia tak wielką mocą, że potrafił czytać innym w myślach, nawet nie patrząc im w oczy! A to przecież było zaraz po wielkiej wojnie. Trwał największy kryzys magiczny, jaki się kiedykolwiek zdarzył.

- Kryzys magiczny? Co to takiego?

- Powiedz, znasz się na magii, Ario?

- Nie, w żadnej mierze.

- To możemy jedynie teoretyzować. Kryzys magiczny trwał przez całą wojnę z Chaosem i utrzymywał się wiele lat po jej zakończeniu, stopniowo słabnąc. Teraz, z każdym rokiem pole magiczne rośnie w siłę, ale magowie są zdania, że ciągle jeszcze nie osiąga takich rozmiarów i poziomów, jakie miało niegdyś. Albo po prostu nie ma już dziś takich magów... W skrócie kryzys uniemożliwiał, a przynajmniej utrudniał rzucanie czarów.

Tak, pomyślałem. O tym samym Lōzi mówiła niegdyś Chekechei – że magia zniknęła i już nie powróciła.

- Równocześnie kapłani stracili kontakt ze swymi bogami – ciągnął Leander – jakby wszyscy zasnęli lub odeszli zupełnie. Jednego dnia odpowiadają na modły jakby nigdy nic, a nazajutrz nie ma ani jednego! Cicho i głucho! O ile mi wiadomo, tylko amfiońscy kapłani przyznali to publicznie. Albińskie, erabskie, barbarzyńskie i inne jeszcze świątynie na naszych ziemiach utrzymywały, że były w ciągłym kontakcie ze swymi bogami. Amfioński sąd orzekł jednak, że wszyscy ich kapłani kłamali. Był głośny proces w tej sprawie, jeszcze przed końcem wojny. Wielu szarlatanów zesłano do prac przymusowych, niektórych wygnano z Amfii. Całe postępowanie sądowe trwało aż trzy tygodnie, rekord na skalę kraju. Nawet wydano kilka książek, opisujących szczegółowo jego przebieg. Wielu dyplomatów od tamtego czasu zarzuca Amfii brak tolerancji, ale to oczywista bzdura. To był pełnoprawny



proces, nie mogło być mowy o pomyłce... Nie chciałbym cię jednak tym z nudzić, nie znam się ani na magii, ani na religii. Jestem tylko historykiem.

- Nie wierzysz w żadnych bogów?

- Ależ bogowie istnieją, to pewne. Wraz z powrotem magii powrócili również oni. Już przed laty amfiońscy kapłani wydali w tej sprawie oświadczenia. Ale nie zaprzętałem sobie głowy bogami. Jestem amfiońskim obywatelem. Wierzę w prawo.

Gdyśmy zjedli, Leander wziął lichtarz uzbrojony w szereg świec i zabrał mnie na wyższe piętro, na którym urządzono całkiem sporą, wysoką na jakieś cztery metry bibliotekę. Nie była ani tak monumentalna jak ta wielka i marmurowa w Cacci, ani też tak zapchana po brzegi jak tamten antykwariat, w którym zgromadzono tyle zbiorów, że zasłaniały wszystkie ściany i posadzkę. W wieży Leandra, co zdradzał już sam zapach, książki kolekcjonowano od pokoleń. Zasłużone oprawy, spozierające z półek, ułożone były pod sam sufit w trudnym do odgadnięcia porządku – w każdym razie nie pasowały do siebie ani kolorem, ani rozmiarami.

Moją uwagę bardziej niż tomy na półkach przykuł obiekt postawiony na środku pomieszczenia. Była to sporych rozmiarów kula gęsto pokryta drobnymi rysunkami i napisami. Zamontowano ją na zdobionym, drewnianym stelażu i wsparto na solidnym postumencie.

- To model świata – wyjaśnił Leander. – Nazywamy to globusem.

- Myślałem, że świat jest trochę większy.

- To jedynie jego model. Coś w rodzaju mapy.

- Imponująca ta mapa. Nigdy żadnej jeszcze nie widziałem.

- Nie widziałeś jeszcze żadnej mapy?

- Nie... i nie mam pojęcia, do czego może to służyć.

- Mapa to rysunek terenu, tylko bardzo pomniejszony. – Leander sięgnął po jakiś rulon z jednej z półek i rozwinął go przede mną. Był cały pokryty jakimiś rysunkami, symbolami i napisami. Nawet ładnie to wyglądało. – Spójrz. To jest mapa moich rodzinnych posiadłości. Mają w rzeczywistości przeszło dwadzieścia jeden kilometrów szerokości, a tu zmieściły się na jednym arkuszu. Tu jest Vento, ta wieś, przez którą przejeżdżaliśmy, a tu narysowana jest wieża, w której właśnie stoisz.

- Ale jak to? Jak ja się tam zmieściłem?

- Otóż to! Wszystko zostało tu pomniejszone. Tak właśnie działają mapy. A globus to mapa całego świata. Jeśli bardzo pomniejszyć świat, to tak właśnie by wyglądał.

- To jakaś magia?
- Nic z tych rzeczy! To nauka!
- Aha... Czyli świat jest... wielką kulą?

- Dokładnie tak. Jest kulą opasaną wysokim pasmem gór pośrodku, niczym pierścieniem, o tu – wskazywał z pasją, demonstrując, że cała kula potrafiła obracać się wokół własnej osi. – Na górze jest świat cywilizowany, na dole – Chaos. W czasie wielkiej wojny ten Chaos przedarł się do nas, na górę. Patrz, tu jest Amfia. A tu są twoje rdzenne ziemie.

- A to jest Wielka Woda? – zapytałem, wskazując równo zakolorowany obszar pomiędzy jednym a drugim.

- Nazywamy to Oceanem Bakburckim.
- Przeszło tydzień przez niego płynęliśmy...

Leander tylko pokiwał głową.

- Nigdy nie wyobrażałem sobie świata jako kuli – wyznałem.

- Pewnie byłeś przekonany, że świat jest płaski, co? Jest wiele legend i przesądów na temat jego kształtu. Dawni erabscy naukowcy zauważyli w swych obserwacjach nocnego nieba, że gwiazdy bardzo powoli się przesuwają w jednym kierunku, jakby cała ziemia dryfowała jednostajnie wśród nich. Jak wszyscy erabowie, trudnili się również żeglugą, więc wyobrazili sobie, że świat jest olbrzymim statkiem. Stąd po dziś dzień posługujemy się tradycyjnymi kierunkami – Dziób, Rufa, Sterburta i Bakburta. Z kolei na przykład pewne dzikie plemiona z krain centralnych upierają się, że świat niesiony jest na skorupie gigantycznego żółwia, mknącego wśród gwiazd. Zaskakujące, jak zawiłymi drogami wędruje wyobraźnia... Jak zwykle najtrudniej jest wpaść na najprostsze rozwiązania. A najprostszym rozwiązaniem jest to, że świat jest kulą. Okrąża go nasze słońce, o tu. Gdy jest na górze, mamy tu dzień, zaś gdy chowa się za horyzont, nastaje noc, ale dla Chaosu pod spodem wstaje właśnie dzień. Słońce powoli obraca się wokół naszej osi, o, w taki właśnie sposób, dzięki czemu zmieniają się pory roku. Proste. Kulistość świata jest dowiedziona naukowo. Zresztą kula to bryła idealna, najlepsza ze wszystkich możliwych.

- Świat nie za bardzo jest idealny – wtrąciłem, zupełnie nie rozumiejąc zasad działania tych pierścieni, symboli i znaków, jakie umieszczono na tym całym globusie, a jakie próbował mi objaśnić Leander.

Westchnął tylko, pokiwał głową i powiedział:

- No tak... oczywiście. Mam tu coś, co cię zainteresuje.

Leander podszedł do jednego z regałów, wyciągnął ciężki tom i położył przede mną na wygodnym, drewnianym pulpicie.

- Ten egzemplarz jest w mojej rodzinie już od dawna – powiedział. – Czuj się tu jak u siebie w domu. Muszę zająć się kilkoma sprawami, ale wrócić niebawem, jeszcze przed nocą.

Przyjrzałem się księdze. Okładkę miała inną, ale po otwarciu aż jęknąłem z wrażenia. To było „Bestiarium ziem bakburckich” – takie samo, jakie widziałem w tamtym antykwariacie, a nawet w lepszym jeszcze stanie! Coś niebywałego! Przejrzałem jeszcze raz wszystkie te niezwykle grafiki aż dotarłem do rozdziału o smokach. Kilka dobrych chwil wpatrywałem się w nie jak zaczarowany, badając każdy szczegół. Wpadłem na pomysł, by zabrać sobie cały ten rozdział. Przecież niewygodnie byłoby w moich przyszłych podróżach taszczyć taki ciężki tom, skoro potrzebowałem z niego jedynie fragmentu. Chwyciłem cały plik stron zaraz przy grzbiecie, naprężyłem mięśnie i...

- Ani się waż! – syknął ostro jakiś wysoki głos.

Rozejrzałem się, ale nikt za mną nie stał. Nikogo nie czułem, ani nie słyszałem. „Czyżby to był mój demon?”, pomyślałem.

- Tu jestem, chuliganie! – odezwał się znów. Dochodził z jednej z wysokich półek pod samym sufitem. – Chciałeś zniszczyć tę książkę!

- Wcale nie! Miałem zamiar jedynie wziąć sobie fragment.

- Chciałeś go wyrwać! To barbarzyństwo! Karalne! Czego tu szukasz, hurio?

Wzrokiem wciąż przetrząsałem mrok za moim rozmówcą.

- Szukam... szukam smoków – odparłem.

- Smoków? Po co ich szukasz? – W głosie słyhać było zaskoczenie.

- Nigdy żadnego nie widziałem na oczy.

- To jeszcze nie powód. Wielu nie widziało w całym życiu żadnego smoka i wołą, by tak zostało; zaś ci, co widzieli, nie mieli wiele czasu, by nacieszyć się widokiem.

- Mimo to chciałbym kiedyś jednego zobaczyć.

Wtedy coś zatrzepotało w górze, zaszumiało, przeleciało mi nad głową i usiadło wprost przede mną, w blasku lichtarza, na drewnianym stelażu globusa. Machnęło ogonem, rozpostarło skrzydła i rzekło:

- No i jak?

A ja powiedziałem wtedy:

- Nie wiesz może... gdzie znaleźć te smoki?

Stworzenie zasyczało rozeźlone, gniewnie szczerząc do mnie zęby i silnie wbijając pazury w drewniane zdobienia, a do mnie doszło wówczas, jak

głupie zadałem właśnie pytanie. Siedział przede mną niewielki uskrzydłony jaszczur o ciele pokrytym zielonymi łuskami, kościstych wyrostkach na kręgosłupie i spiczasto zakończonym ogonie. Jego *nukie* były ledwo wyczuwalne, zaś z samego wyglądu zaskakująco dobrze przypominał grafikę w otwartym na pulpicie „Bestiarium”.

- Ależ... – wyjąkałem – ależ ty jesteś... smokiem!

- Żadnym tam smokiem! Sądziłam, że hurie lepiej wyczuwają pleć po zapachu. Jestem smoczycą! Z gatunku smoków książkowych. *Draco librus*, jeśli byś pytał. Trzy strony dalej.

Nerwowo zerkając na tę niezwykle istotę, w obawie, by nie zniknęła mi z oczu, posłusznie przerzuciłem trzy strony. Ilustracja, która tam była, przedstawiała skrzydlatego smoka, siedzącego na jakiejś wielkiej otwartej księdze i czytającego ją jednocześnie. Wszystko się zgadzało: taki sam ogon, tak samo rozpostarte skrzydła, takie same łuski i zębata paszcza. Nawet poza się zgadzała. Ba, nawet ustawione na regałach tomy, jakie narysowano w tle, trochę przypominały bibliotekę, w której byliśmy.

- To... ty? Tu, na tym obrazku? – zagadnąłem.

- Głupi huria! Jasne, że to nie ja! To jakiś inny smok książkowy. Ja tylko tak samo usiadłam.

- Aha. Znasz tę książkę na pamięć?

- Tę i wszystkie inne, które przeczytałam. Strona po stronie. Ilustracja po ilustracji. Słowo po słowie.

- Skoro tak, to zapewne wiesz wszystko o smokach!

- Wiem o nich jedynie tyle, ile o nich napisano. Czyli dalece za mało, by dobrze je poznać, a jednocześnie znacznie więcej niż zdołałbyś pojąć.

- Wszystkie smoki są takie... – zawiesiłem głos, przyglądając się ilustracji na poprzedniej stronie „Bestiarium”. – Sądziłem, że smoki są...

- Większe, co? Lubicie wyolbrzymiać to, czego się boicie. Choć to prawda, inne gatunki smoków są większe od książkowych, ale nie wszystkie pozwoliłyby sobie na tak długą pogawędkę ze swym posiłkiem.

- Posiłkiem? Zjadasz hurie? – zażartowałem.

- A fe! Gdzieżby? Zjadam książki!

- Jak to... książki? Tak po prostu je... jesz?

- Nie tak po prostu! Nie jesteśmy barbarzyńcami! Przede wszystkim je czytamy! Tyle że zwykliśmy czytać przy jedzeniu. Jemy natomiast zazwyczaj to, co właśnie przeczytaliśmy. A im ciekawsze, tym smaczniejsze. To marnotrawstwo zjeść książkę bez czytania.

- Zaraz, to mi nie wolno wyrwać sobie jednego rozdziału, a tobie wolno jeść całe książki?

- Ależ nie mogę jeść wszystkiego. Amfion by na to nie pozwolił. Bez pytania mogę zjadać wszystkie dublety.

- Dublety?

- Takie książki, co się powtarzają. Mogę też jeść wszystko z górnych półek, co nie dotyczy historii ani prawa. Nic nie szkodzi, i tak nie trawię prawa. Mam po nim rozstrój żołądka.

- Coś podobnego! Hurie mówią, że jesteś tym, co zjesz.

- Tak mówią hurie? Że jesteś tym, co zjesz? To ja ci powiem, że jesteś tym, czym myślisz, że jesteś.

- Ja jestem Aria. A ty, tak właściwie, jak masz na imię?

- Nic ci po moim imieniu, hurio, i tak go nie powtórzysz. Ale jeśli chcesz, możesz nazywać mnie Drago. Albo Ejderha. Lub Tanin, Long, Lohikaarm, Joka, a nawet Orm.

- Orm? – zapytałem zdziwiony. Tak przecież Bradach, ten kowal z Młyna, nazwał niegdyś Chekecheę.

- Tak barbarzyńcy mówią na węże i na smoki.

- Coś podobnego! To może nazwę cię... Mlei?

- Jak tam sobie chcesz, jest mi wszystko jedno.<sup>32</sup>



*Nie mam pojęcia, co na to wszystko powiedzieliby Przodkowie, ale dziś, po wielokrotnych próbach Mtiriri udało się przekonać mnie, bym spróbował jamii z innymi huriankami. To była Juvi, a potem przyłączyła się jeszcze Sibiri, szamanka. Chyba od dłuższego czasu miały ochotę mnie spróbować, a ja uparcie ignorowałem ich zachęty...*



<sup>32</sup> – przyp. tłum.

- Nie chciałem was urazić – wymamrotałem.
- Wiem – huknął Leander, dygocząc wciąż jeszcze ze złości.

- Potrzebujecie pomocy.  
 - Spokojnie, Ario. To tylko zadrapanie. – Rękę miał całą we krwi. Pomagając sobie zębami, urwał kawałek koszuli, jaką miał na sobie, i próbował użyć go jako bandaża. Zupełnie mu to nie szło, ale zgodził się wreszcie, bym go w tym wyręczył.

- Nie wiedziałem, że miałaś żonę. I córkę. Nie mówiłbym tego wszystkiego, gdybym...

- Wiem, Ario, domyślał się.

- To się nie zdarza u hurii – podjąłem, gdym skończył z jego ręką. – Nie mamy czegoś takiego jak żałoba. Nie jest nam potrzebna.

- Jak to? Nie opłakujecie swoich zmarłych?

- Opłakujemy. Kilka godzin, dni, może tydzień. Ale żeby trzy lata?

- Nie rozumiem. Nie czujecie smutku? Żalu? Samotności?

- W dużej *mbarii* nie ma samotności. Nawet gdy ktoś zginie, wszyscy inni pozostają i wspierają się nawzajem. Żal znika w grupie.

- Nie wierzę w to! Rodzice zawsze czują żal po stracie swych dzieci!

- To nie jest prawda, że nie czujemy smutku – wyznałem, wspominając te pardiańskie i tigrzańskie hidaye, które oddawały swe chekechee do niewoli, oraz ten tragiczny sztorm na barbarzyńskiej knarze. – Ale smutek przemija, a życie toczy się dalej. Chekechee giną, ale rodzą się nowe. Nie możemy się zatrzymywać, bo sami stracimy życie.

Leander sięgnął po notes oraz pióro, ale trzymał je w dłoniach, wpatrując się w nie jedynie i niczego nie zapisując – jakby zamarł.

- Co wy, hurie, możecie wiedzieć o dzieciach? – rzucił wreszcie. – Przecież wy je zabijacie! Zabijacie własne dzieci!

- To prawo *raisów* – odparłem. – I tylko ich.

- To okrutne i oburzające prawo! Amfioni nigdy by na to nie zezwolili!

- Ale was tam nie ma. Chcecie nas podbić?

Leander spojrział na mnie dziwnie.

- Nic mi o tym nie wiadomo... Byłeś kiedyś... *raisem*? Miałeś kiedyś jakies dzieci pod swoją opieką?

- Tak. Może przez tydzień.

- I zabiłeś któreś z nich?

- Nie. Ale wiele chekechei mi zginęło podczas sztormu.

Nic mi nie odpowiedział. Posmutniał tylko i się zamyślił.

- Ludzie też za bardzo przejmują się dziećmi – podsumowałem.
- Jak to za bardzo?
- Za bardzo. Zabierają im wolność. Ciągłe ich pilnują i skaczą wokół nich. Ciągłe czegoś im zakazują i nakazują. Ciągłe się nimi opiekują i od wszystkiego chronią. Zabraniają im się nawet bawić w to, co chcą. Huryskie chekechee są wolne.
- Przecież opiekujemy się dziećmi dla ich własnego dobra! Świat pełen jest zagrożeń. Musimy je chronić przed niebezpieczeństwami!
- Nie przekonuje mnie to.
- Jak to? Bez naszej troski ktoś ich skrzywdzi! Albo sami sprowadzą na siebie nieszczęście! Wejdą gdzieś i złamią sobie nogę. Albo zjedzą coś niedobrego i się tym strują. Wsadzą rękę do paleniska, w zabawie wybiją sobie oko albo zęby. Wolisz, by działa się im krzywda?
- Wolę, by były wolne. Nawet kosztem zdrowia. Albo życia.
- Niedorzeczne! Mówisz tak, bo sam wychowałeś się w niewoli.
- Mówię tak, bo jestem hurią. Huria znaczy „wolny”.
- Ale zabijanie dzieci jest wbrew ich wolności!
- Chronić ich od śmierci też jest wbrew ich wolności.
- To są przecież dwie różne rzeczy, Ario! Wolność jednej jednostki kończy się tam, gdzie zaczyna się krzywda drugiej. A wy własne dzieci karacie śmiercią, choć nie popełniły żadnej zbrodni!
- Wolność *raisa* jest dalece ważniejsza aniżeli wolność chekechei. Obdarzając prawem najniższych w hierarchii, odebralibyśmy prawa temu, kto jest w niej najwyżej.
- Przecież chodzi o ich życie!
- I co z tego? Ktoś o niższej hierarchii nie może mieć większych praw od tego, kto jest ponad nim. A prócz *raisa* jest przecież i hurianka, od której zależy, czy chekechea w ogóle przyjdzie na świat. Jakże ona miałaby mieć mniejsze prawa od tego, którego dopiero nosi w swoim łonie?
- Nie, nie, nie... – Leander pokręcił głową, uśmiechając się rozpaczliwie. – Widzę, że nie dojdziemy do porozumienia. Dla nas, amfionów, wolność również jest bardzo ważna, ale zdecydowanie inaczej ją pojmujemy. Może gdybym znał się na telepatii tak jak mój ojciec, umiałbym pojąć twój punkt widzenia. A póki co, im więcej o was wiem, tym trudniej mi sobie wyobrazić, bym mógł żyć w waszej społeczności...

Zazwyczaj nasze rozmowy nie przebiegały tak gwałtownie, jak tamtego dnia. Jeśli o coś darliśmy z sobą koty, to chyba głównie o kąpiel. Już na

drugi dzień po przybyciu Leander nakazał mi zanurzyć się w naszykowanej specjalnie dla mnie balii pełnej ciepłej wody. Zagroził, że jeśli dalej będę miał taki zapach, jaki wówczas miałem, to z obywatelskiego obowiązku będzie mnie musiał oddać straży i zapłacić mandat. Żeby tego było mało, nakazał mi również wcierać we własne futro kostkę mydła. Cóż to był za obrzydliwy wynalazek! Na kilometry walił rumiankiem i całą łąką kwiatowych nektarów! Aż mi ciarki przechodzą, na myśl, że miałbym tak cały cuchnąć! Już wołałem tamtą lepką maź, zalatującą amfiońskim moczem, którą dawali nas w kamieniołomie. Obrząził się, gdy mu o tym powiedziałem. Temat kąpieli wracał jeszcze wiele razy, ale wówczas stanęło na tym, że miałem dwa razy na tydzień zmywać swoje *nukie*, ale wyłącznie samą wodą, bez żadnych mydeł czy innych mazi. Dopiero po miesiącu albo dwóch wynegocjowałem kąpiel tylko raz na tydzień, ale musiałem mocno ograniczyć korzystanie z własnych *nukii*. O to też były boje. Istna paranoja! Nie wiem, co to za demon, że amfioni mają taką obsesję na punkcie braku własnego zapachu.

Na co dzień spotykaliśmy się z Leandrem w bibliotece. Całymi dniami odpowiadałem mu na najróżniejsze pytania, a on wciąż wszystkim się dziwił. Opowiadałem mu też moją historię – tę którą teraz i wam opowiadam – o tym, jak wzięli nas do Młyna i co było dalej. W obawie przed amfiońskim prawem pominąłem tylko ten fragment, w którym wraz z Vijani mordowaliśmy ludzi. Miast tego zełgałem, że któregoś dnia zdecydowałem się opuścić ciepłą chatę w Hof bel Mond, w której Carlsten, Ricarda i Wilda przygarnęli mnie do swojej małej *mbarii*, i że błąkałem się po albińskim świecie tak długo, aż dotarłem do Hawkshaven. Gdybym powiedział Leandrowi prawdę, to bez względu na przyjaźń, jaka nas łączyła, gotów byłby oddać mnie pod sąd! Sąd wtrąciłby mnie do więzienia albo bez zbędnych ceregieli skazał na śmierć.

Każdego wieczora moja sakiewka przybierała na wadze. Z czasem zacząłem się nawet orientować w tych ich pieniądzech. Okazało się, że oprócz małych monet są jeszcze inne – większe i cięższe. Duża była tyle warta, co dziesięć małych i tyle też ważyła. Za każdy dzień pracy dostawałem takie dwie. A oprócz nich były jeszcze wielkie i grube – każda wielka i gruba była warta i ważyła tyle co dziesięć dużych. Wszystkie – od tych najmniejszych do największych – miały na sobie wybity wizerunek amfiońskiego króla<sup>33</sup>. Na całym świecie używa się podobnych monet – mają wybite na sobie różne

33 Nie, nie mam żadnej przy sobie, by wam pokazać. W pewnym momencie pieniądze przestały mi być potrzebne...



znaki i różne wizerunki, ale w gruncie rzeczy wszystkie są z takiego samego złota i jeśli ważą tyle samo, to tyle samo są warte. Amfiońskimi monetami można więc bez większych przeszkód płacić powiedzmy w Erabii i na odwrót.

Mlei, smocza opiekunka biblioteki, przysłuchiwała się wszystkim tym moim opowieściom, a czasem i ona zadawała mi jakieś pytania. Leander mówił na nią Drago. Żyli ze sobą w bardzo przyjacielskich stosunkach, choć przecież zjadała mu jego książki! Zdawało się jednak, że do większości nie był specjalnie przywiązany. Gdy wyjeżdżał, zawsze przywoził jej coś specjalnego na ząb.

- Wiesz może po co mu ta cała wiedza o huriach? – zapytałem Mlei któregoś dnia, gdy Leander wybrał się dokądś w interesach i miałem w związku z tym mnóstwo wolnego czasu.

- To ty tego nie wiesz? – rzuciła zdziwiona.

- Nie.

- Amfion pisze książkę. O waszej kulturze, zwyczajach i historii.

- Pisz o tym książkę? Po co?

- Nie wiem. Może ma taką fanaberię? Stać go.

- Kto chciałby czytać książkę o huriach<sup>34</sup>?

- Ja bym chciała! Już czuję jej smak na podniebieniu...

- Nie chciałybyś poznać hurii na żywo? Niewiele można się o nas dowiedzieć z samego słuchania lub czytania.

- Nieprawda!

- Ty w ogóle wylatujesz stąd czasem na zewnątrz?

- Jak to... na zewnątrz?

- Poza bibliotekę.

- Chyba sobie żartujesz, hurio! Po co miałabym to robić? Tu jest mój dom. A na zewnątrz jest niebezpiecznie, zimno i mokro! Wiesz na jak wiele sposobów można stracić życie pod gołym niebem?

- Nie mam pojęcia.

<sup>34</sup> *Zadałem listownie pytanie do Królewskiej Biblioteki Amfiońskiej w Resistenzie o to, czy mają w swych zbiorach książkę niejakiego Leandra o hurijskiej kulturze. Okazało się, że żaden Leander takiej książki nie napisał. Pozwala to więc myśleć, że albo nigdy nie wydał swego dzieła, albo w ogóle nie istniał. Acz, co ciekawe, amfioński bibliotekarz odnalazł niejakiego Leandra Venturiana wśród redaktorów „Amphionis historiae”, jednego z pierwszych dzieł encyklopedycznych. Poza wieloma artykułami historycznymi zredagował on hasło „buria”. Jego tłumaczenie na albiński przytaczamy w całości – zob. dodatek 1. – przyp. GE.*

- A ja mam. Czytałam o tym.

- Aby stracić życie, najpierw trzeba zacząć żyć.

- O czym ty mówisz? Książki to całe życie!

- Gdzieś to już słyszałem... Czyli ty w ogóle się stąd nie ruszasz?

- Nie.

- Nigdy więc nie widziałas wschodu słońca. Ani burzy z piorunami.

Ani tęczy po ulewnym deszczu.

- Głupi z ciebie huria! Jasne, że widziałam to wszystko. Z najwyższego okna biblioteki jest rewelacyjny widok...

Poczułem się zupełnie bezradny.

- Jak ty się tu w ogóle dostałaś? – zapytałem.

- To oczywiste. Pochodzę z gwiazd. Wszystkie smoki stamtąd pochodzą... A tak naprawdę zrodziły mnie książki.

- Zrodziły cię książki? To jakieś farmazony!

- Niezupełnie. To przez nasz cykl rozwojowy. Smoki książkowe składają jaja w opuszczonych księgozbiorach lub zapomnianych skrzydłach bibliotek, by zapewnić zapasy pożywienia swemu potomstwu. Poza tym nie opiekują się swymi dziećmi.

- Ciekawe... Opowiedz mi więcej o smokach, Mlei.

- Po co ty ich w ogóle szukasz?

- Smoki władają wielką mocą. Najpotężniejszą magią, jaka istnieje. Zieją ogniem i latają, a na swoje rozkazy mają wodę i powietrze.

- Tak, tak, wszystko pięknie. Nie bardzo jednak rozumiem, co zamierzasz zrobić, jak już któregoś spotkasz?

- Zabiję go, wypiję jego krew, posilę się jego mięsem i przejmę jego demona.

Zaniemówiła na moje słowa. Dopiero po chwili zaczęła mówić, wolno dobierając słowa:

- Nie wiem, czegoś ty się nawąchał, hurio, ale masz równo nasrane w głowie! Czym ty chcesz zabić smoka? Pazurami?

- Tego właśnie jeszcze nie wiem. Może magią?

- Chyba sobie żartujesz! Nie masz o niej pojęcia!

- Wyobrazałem sobie...

- Słuchaj... Magia to potężny oręż. Ale są potężniejsze.

- Tak? Na przykład jakie?

- Na przykład wiara.

- Wiara?! Smoki wierzą w jakiś bogów?

- My, smoki książkowe, wierzymy w słowa. Słowa mają moc.  
 - Słowa, czyli... zaklęcia?  
 - Wszystkie słowa są zaklęciami. Wbrew temu, co się sądzi, słowa wcale nie opisują rzeczywistości. One ją tworzą. Kiedy mówisz, że wierzysz, budujesz w sobie wiarę. Kiedy mówisz, że kochasz, budujesz w sobie miłość. Kiedy zaś mówisz, że nienawidzisz, zabijasz. Każda wypowiedziana obawa i nadzieja działają jak zaklęcia. Słowa mają moc.

Spojrzałem jej głęboko w oczy, a potem podszedłem do regału, wyciągnąłem znane mi tomiszcze i z głuchym hukiem umieściłem je na drewnianym pulpicie. „Bestiarium ziem bakburckich”, moja ulubiona książka.

- Tu jest pełno słów – powiedziałem, a następnie otworzyłem rozdział ze smokami. – Z góry na dół same słowa. Powiedz mi, co tu jest napisane?

- To wcale nie jest najlepsza książka o smokach, hurio.

- Pokaż mi więc! Powiedz, którą wyciągnąć?

- Nie ma jej tu. To znaczy była, ale ją zjadłam.

- Co?! Jak to? Jak mogłaś, Mlei?

- Amfion nie miał nic przeciwko. A ciebie tu jeszcze nie było.

- To co ja teraz zrobię? – rzuciłem załamany.

- Zawsze możesz sobie odpuścić, dłużej byś pożył.

Gdy to powiedziała, przyszedł mi do głowy szatański plan:

- Już wiem, Mlei – rzekłem, świdrując ją wzrokiem. – Przecież znasz na pamięć wszystkie książki, które zjadłaś! Strona po stronie. Słowo po słowie.

- Oj tam, przechwalałam się tylko.

- Wcale nie! Pamiętasz je wszystkie tak dokładnie, jak amfioni tę swoją konstytucję! Wyrusz ze mną, by szukać smoków!

- To jakiś absurd! Może i pamiętam wszystkie książki, ale nigdzie się stąd nie ruszam!

- Nigdy nie byłaś na zewnątrz. Pokażę ci świat, o którym dotąd tylko czytałaś!

- Wybij sobie to z głowy! Nie mam najmniejszego zamiaru prosić się o śmierć, szukając z tobą smoków. Zresztą cuchniesz kotem!

- A czym mam pachnieć? Przecież jestem huria! Gdyby nie te wodne kąpiele, na które się upiera Leander, moje *nukie* byłyby wyrazistsze.

- Jeszcze by tego brakowało!

- Mlei, potrzebuję cię!

Wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Mlei w gwałtownym ruchu rozprostowała skrzydła, wykrzywiła głowę, a oczy jej przybrały barwę purpu-

ry. Przemówiła jakimś innym głosem, który zdawał się dochodzić z moich własnych kości:

„Niech nam futro nie rozkazuje, co mamy robić i dokąd lecieć!”

Trwało to ledwo chwilę. Nagle oprzytomniała, bez słowa wyjaśnienia wzleciała w powietrze i umknęła na najwyższą półkę biblioteki.



*Trudno mi powstrzymać się od zazdrości, gdy widzę Mtiriri z innym hurią lub, co gorsza, z dwoma huriami naraz. Jak ona może robić to na moich oczach, wcale się przede mną nie kryjąc? Jak może sama tego chcieć i czerpać z tego tyle przyjemności? To obrzydliwe! Nie powinienem tak myśleć, samemu będąc już hurią. Mtiriri wcale nie jest moja, ale to silniejsze ode mnie. Marzę o tym, że uciekamy razem gdzieś daleko stąd. Tylko ona i ja... Aż trudno mi uwierzyć, że oni wcale nie znają pojęcia zdrady.*



Nie zliczę już dziś, ile dni próbowałem, ale minąć musiał z tydzień, jeśli nie dwa, nim udało mi się uprosić Mlei, by opowiedziała mi o smoczych rasach. Słuchałem jej wówczas jak zaczarowany...

Najmniejsze, najsłabsze i najmłodsze ze wszystkich są smoki zielone. Choć najmniejsze wśród smoków, to i tak roślejsze i mocniejsze od dorosłego hurii. Erabowie nazywają je szmaragdowymi, zaś elfy i inne jeszcze ludy – po prostu leśnymi. W istocie – żyją w lasach wszelkich rodzajów, nawet takich, jak te wasze. Ukrywają się wśród liści, wiją się po konarach, zawisają na gałęziach, czekają w przyczajeniu na swą ofiarę. Bodaj jako jedyne ze smoków mogłyby się żywić wyłącznie roślinami, ale zazwyczaj wolą bardziej urozmaiconą dietę. Nie potrafią latać, nawet nie mają skrzydeł, z wyglądu przypominają raczej węże. Zresztą tak samo jak węże mają silnie trujący jad,

a do tego plują paskudnym kwasem, żrącym korę, liście, ciało, a nawet metal. Mlei opowiadała mi o rycerzach, którzy, aby ocalić swe ciała, pośpiesznie zdzierali z siebie trawione kwasem zbroje i niemal nago wracali pokonani do swych domów. Dzikie osobniki są nieobliczalne i podobno powodują choroby drzew i zwierząt. Bywają jednak osławiane przez leśnych elfów do ochrony ich rewirów przed intruzami.

Drugą rasą, która ponoć daje się oswoić, są smoki szare albo inaczej mroczne. Upodobały je sobie z kolei mroczne elfy, które podczas swych wędrówek po najgłębszych jaskiniach pod wysokimi górami natknęły się na drapieżne, ziejące ogniem bestie o twardych i błyszczących łuskach. Mają tak śmiesznie małe skrzydła... Aż trudno uwierzyć, że w razie potrzeby potrafią się na nich wzbić w powietrze. Niekiedy, gdy są jeszcze młode, poddają się tresurze utalentowanym elfickim psionikom. Dorosłe sięją spustoszenie – palą wioski, miasta i całe armie – choć przez większość czasu kryją się w głębokich jamach, w których gromadzą wszelkiej maści skarby, srebro, złoto i kamienie szlachetne. Najchętniej oddają się wówczas sjeście, leżąc na całym tym dobytku. Przynajmniej one jedne znają się na rzeczy. Według legend niegdyś, u początku czasu, gdy rodził się świat, smoki te spiętrzyły z ziemi wszelkie górskie pasma i od tamtej pory obwołane zostały władcami lądów.

Jeszcze potężniejsze i bardziej agresywne są czerwone – czyli ogniowe albo wulkaniczne. Te są z kolei władcami ognia. Z ognia się rodzą i ogniem się żywią. Nieustannie rozwścieczone i wygłodniałe, obracają w popiół wszystko, co stanie im na drodze. Bodaj samą swoją obecnością powodują pożary, zaś ich gorący oddech z równą łatwością topi skały, jak i rycerskie zbroje. W odróżnieniu od poprzednich, latają zwinnie na olbrzymich skrzydłach, a powstrzymać je może jedynie ściana ulewnego deszczu albo piaskowa burza. A przynajmniej tak mi mówiła Mlei. Osłabione i przygaszone odzyskują siły wewnątrz czynnych wulkanów, kąpiąc się w płynnej lawie, choć mówiła też, że według niektórych ksiązek mieszkają na tarczy słońca. Wcale niewykłuczone. Po śmierci ich ciała zapalają się od środka i ulatują na wietrze jak popiół. Albo jak pyłowe bestie Chekechei.

Najbardziej niewiarygodne są niebieskie smoki. Ich ciała w całości stanowi woda lub para wodna. Ich forma podlega ciągłym, dynamicznym zmianom – nieustannie przemieniają swój kształt – jak chmury albo jak tamte plamy na ceglach. Nie mają łusek, pazurów ani zębów; zaś mimo braku skrzydeł z gracją delfina wzbijają w powietrze żywe wodospady swoich ciał. Z głębin pną się pod samo niebo, by po chwili zanurkować znów

w czeluściach mórz, by zaraz na powrót wybić się ponad ich powierzchnię... Podobno napełniają w ten sposób burzowe chmury, by sprowadzić je na ziemię pod postacią deszczu. Nieraz widzieliście tęczę, prawda? Wierzcie lub nie, ale to był smok, co wraz z ulewą spłynął na ziemię, pozostawiając na niebie taki kolorowy ślad. Dlatego też nazywa się je również smokami tęczowymi. Według Mlei pilnują w przyrodzie równowagi, ale rozwścieczone potrafią być nieobliczalne i niszczycielskie. Na swe rozkazy oprócz chmur mają jeszcze wiatr i pioruny. Może kiedyś widzieliście, moje chekechee, taką straszną burzę, co wicher szalał, drzewa łamał, a błyskawice jedna za drugą wędrowały po niebie z jednych chmur do drugich. To były niebieskie smoki, rywalizujące ze sobą o terytorium. Walczą, choć nie mogą uczynić sobie krzywdy – nie strasne im uderzenia piorunów. Nie skrzywdzi ich ani siła umysłu, ani żadna broń – nawet zasypane ziemią lub spalone najgorętszym ogniem odrodzą się w końcu. Nie sposób zabić wody, a one są przecież wodą; są w zasadzie nieśmiertelne.

Najstarsze i najpotężniejsze ze wszystkich to smoki czarne. Ich łuski – ciemniejsze od spalonego drewna i czarniejsze niż bezgwiezdna noc – nawet w jasny dzień nie odbijają ani krztyny światła. Z upiornej, skrzydlatej sylwetki wyłaniają się jedynie dymiące czerwienią ślepią i rozżarzona paszcza, niczym rozdarty wulkan, z której wystają szeregi ostrych zębów wielkich jak miecze. Czarne smoki budzą taką grozę, że nawet najodważniejsi truchleją przed nimi. One się wprost żywią łękiem swych ofiar – kto się ich boi, ten je karmi; przerażenie, jakie wzbudzają na swój widok, z każdą chwilą je wzmacnia coraz bardziej. Nawet najzdolniejsi magowie widzą w nich jedynie odbicie swoich własnych koszmarów. Czarnego smoka pokonać może wyłącznie ten, kto nie zna strachu, a do tego ma dość sprytu i siły, by uchylić się przed ognistą paszczą i przebić przez te twarde jak metal łuski.

- To ty należysz do której z tych ras? – zapytałem.

- Jest jeszcze jeden rodzaj smoków – odparła Mlei.

- Książkowe?

- Nie. Białe, zwane też złotymi. A smoki książkowe są dalekimi krewnymi białych smoków.

- Przecież jesteś zielona.

- Białe są najrzadsze. Młodsze mienią się złotem, ale z upływem lat ich niemożliwie twarde łuski bledną coraz bardziej aż stają się śnieżnobiałe. Mają przepiękne skrzydła.

- Czyli latają.

- Tak, latają, ale nie zieją ogniem. Są za to zupełnie niewrażliwe tak na ogień, jak i na wszystkie inne żywioły. Erabski uczonec, Ophion Serafeim, w swoim „Skrzydlatym imperium” napisał, że wręcz odbijają wszelką magię. Nie rywalizują o terytoria, są raczej strażnikami innych smoków. Zaszły gdzieś w niedostępnych górach obserwują świat i pilnują równowagi sił. Są najprzebieglejsze i zarazem najinteligentniejsze ze wszystkich. Mają olbrzymią wiedzę, acz niechętnie się nią dzielą. Niedługo, przed wiekami, nauczyły inne smoki korzystać z astralnych bram.

- A co to takiego?

- To olbrzymie portale zbudowane w wysokich górach. Na powierzchni jest ich ledwo kilkanaście. Pozwalają przemieszczać się po całym świecie, a nawet przeskakiwać na jego spodnią stronę. Całe wieki przed wojną z Chaosem białe smoki przeprowadziły pozostałe rasy na spodnią stronę świata, znajdując im tam dom.

- Hę?

Mlei wzbila się w powietrze, wylądowała na globusie, wbijając się pazurami w jego drewnianą konstrukcję.

- O, tutaj, hurio, spodnia strona świata – demonstrowała, posługując się własnym skrzydłem jak wskaźnikiem.

- Czyli to tam mieszkają smoki...

- Większość.

- I to... działa? Te wszystkie... portale?

- Nie mam pojęcia. Ale tak twierdził Hrabanus z Ostii, ten od „Mitologii tajemnej”. Piętnasta strona siódmego rozdziału, tego o podróżach w czasie i przestrzeni. Nawet był tam ładny drzeworyt takiej bramy.

- Niech zgadnę: zjadłaś tę książkę.

- A cóż innego miałabym z nią zrobić? Amfion jej nie potrzebował, a ja byłam głodna. Była na grubym, czerpanym papierze. Aksamitna konsystencja. A okładka aż chrupała w zębach... Ale to było lata temu!

- Wiesz chociaż jak ich użyć? Albo gdzie znaleźć te bramy?

- Są w górach. Wysokich i niedostępnych. Tak jak białe smoki. A instrukcja jest mętna i wieloznaczna. Aby uruchomić taki portal, trzeba zamknąć w myśli cel swojej podróży, umieścić ją za portalem, zaś żywioły przenieść w dół brzucha i całą mocą przeć naprzód, naprężając jednocześnie skrzydła na kształt litery „V”.

- Nie każdy ma skrzydła, Mlei.

- Fakt.

- To logiczne. Trzeba być smokiem... A ty jesteś. Zabierz mnie tam!

- Że co?

- Zabierz mnie do takiej bramy. Muszę przepawić się do domu smoków.

- Na spodnią stronę świata? To szaleństwo! Nie umiem obsługiwać tych portali!

- Właśnie przytoczyłaś mi instrukcję.

- Chyba jeż ci na ogon skoczył! Nawet gdyby udało ci się znaleźć astralną bramę oraz przez nią przejść, trafiłbyś do świata spalonego do gołej ziemi, zepsutego zarazami i ogarniętego przez Chaos! Mieszkają tam demony, cerbery, gorgony, czarne unikorny, czarne pegazy i cała masa piekielnych stworzeń, które nawet nie mają w literaturze swoich nazw! Szybka śmierć to najlepsze, co mógłbyś tam znaleźć!

- Zabierz mnie tam, Mlei.

- To istne samobójstwo, hurio!

- I tak wyruszę. Nie cofnę się. Z tobą miałbym większe szanse.

Wtedy znów się to stało. Gwałtownie skrzydła rozpostarła i głowę odchyliła, jakby coś nią targało, a oczy niemal czerwienią zaświeciły. Gdzieś wewnątrz mnie zabrzmiał ten sam głos, co poprzednio:

„Niech się futro tak nie rządzi! Bez nas i tak nie odnajdzie żadnej bramy! Powiedz mu to!”

- Zaraz – rzuciłem. – Co tu jest grane?

„To tępe, stroszone futro i tak nic nie pojmie!”

- Kim ty jesteś?

„Patrz! Teraz zapomniało futro, z kim rozmawia!”

- Co zrobiłeś z Mlei? Gadaj!

„Zignoruj to! Skrzydła do lotu i uciekaj na górę! Już!”

- Mlei, zostań! A ty gdzie się chowasz? Słyszysz cię!

Nastała krótka chwila ciszy. Nie ustępowałem:

- Gadaj, kim jesteś?

„Jesteśmy trojdenem.”

- Trojdenem? A co to takiego?

„Podróżujemy, poszukując wiedzy. To nasza misja.”

- Podróżujesz i szukasz wiedzy? Czyli zupełnie tak jak ja. Tylko gdzie ty w zasadzie jesteś? – zapytałem, rozglądając się po bibliotece. – Nie czuję cię ani nie widzę.



„Tu jesteśmy. Zespoliciliśmy nasze ciało z ciałem tego smoka książkowego, którego futro nazywa Mlei.”

Zaintrygowany podszedłem bliżej. Przyjrzałem się dokładniej. To, co niegdyś wzięłem za fałdę skóry i łusek na jej smoczym grzbiecie między kręgosłupem a skrzydłami, było w rzeczywistości niepozornym trojdenśkim ciałem, przypominającym z wyglądu niewielką ośmiornicę o wrosniętych między łuski ramionach czy też przysawkach. Nie miało ust, nosa ani uszu, ale pośrodku tego głowotułowia umieszczone było pojedyncze oko – na co dzień zakamuflowane przymkniętą powieką, a wówczas, w tamtej krótkiej chwili – było otwarte i spoglądało na mnie podirytowane<sup>35</sup>. Zapytałem, jakże błyskotliwie:

- Jesteś... pasożytem?

„Wypraszamy sobie taką bezczelną impertyncję! To zespolenie ma obopólne korzyści.”

- Przecież ty przejmujesz nad nią kontrolę!

„Zupełna bzdura! My tylko podpowiadamy. Zapewniamy, że i nasz żywiciel ma z nas spore korzyści. Dzielimy się tym, co zapamiętujemy. A zapamiętujemy wszystko.”

- Czyli to dzięki tobie pamięta te wszystkie książki?

„W większości. Tworzymy jeden, spójny organizm.”

- Ale teraz wygląda, jakby cierpiała.

„Ach, to tylko... efekty uboczne...”

Mlei obudziła się. Rozejrzała się zmieszana, być może nie do końca świadoma tego, co przed chwilą zaszło, odskoczyła od drewnianej ramy globusa i bez słowa pomknęła w górę biblioteki.



*Zaprosili mnie dzisiaj do wspólnego gotowania.  
Chcąc zrobić na nich wrażenie, wyruszyłem  
poza rewir, by zebrać jakieś zioła. Z przydat-*

<sup>35</sup> Jeśli wierzyć podaniom i legendom, populacja tych przedziwnych przywr, żerujących na wszelkich gatunkach, rozsiana jest po całym świecie. Powiada się, że czerpią doświadczenia swego żywiciela, a gdy zbiorą ich dość, rozkazują mu udać się w tajemne miejsce spotkań – jakby wielkiego mrowiska, w którym magazynują wszelką zebraną wiedzę. Żywiciele nic nie pamiętają z takiej wędrówki, toteż nikt nie wie, gdzie to miejsce się znajduje. Zob. np. V. Baharian: *Morskie opowieści*. Wydanie 2. Marlinhaven, Oficyna Portowa, rok wtóry 88 cyklu, s. 235 – przyp. GE.

*nych znalazłem jedynie jakąś dziką odmianę lawendy, na szczęście zostało mi jeszcze trochę suszonego pieprzu. Rozstartem go i doprawiłem nim mięsny wywar. Wreszcie zaczął smakować tak jak powinien! To, co mi dotychczas podawali, było mdłe i bez wyrazu. Jednak gdy podałem strawę mbarii do zjedzenia, krzywili się już na sam zapach, a gdy spróbowali, skomleli i pluli, twierdząc, że zepsułem ich mięso! Porażka! Chyba już nie zaryzykują, bym im coś jeszcze ugotował. Najwyraźniej nasze gusta diametralnie się różnią.*



Mieszkałem w tej wieży pod Vento sześć miesięcy, czyli niemalże cały rok. Aż dziw, że tyle tam wytrzymałem, zważając na te obowiązkowe kąpiele, do których nigdy nie przywykłem. Niewątpliwie żyłem się z nimi – to znaczy głównie z Leandrem i z Mlei.

Ten ogriński sługa, pełniący rolę kucharza i kamerdynera, również był w porządku. Rad był z tego, że jeszcze jeden nie-amfion zamieszkuje wieżę oprócz niego. Czasem, wieczorami, opowiadał mi o swych rodzinnych stronach – wielkich równinach zamienionych w ogromne sady owocowe i pola uprawne, poprzecinane gęstą siecią kanałów irygacyjnych. Cała Ogrinia jeszcze przed wojną z Chaosem stała się podległa Amfii. Amfioni wprowadzili tam swój porządek, prawo i zwyczaje. I to na drodze dyplomacji – zaanektowali całą krainę bez przelewu krwi. Ten ogriński sługa planował tam wrócić; wrócić i za zarobione u Leandra pieniądze otworzyć zajazd lub chociaż portową tawernę. W wolnych chwilach objaśniał mi amfiońskie prawo; raz żalił mi się nawet, że wcale nie jest tak równe, na jakie wygląda. Żaden ogrin nie rodzi się obywatelem. Nie może być właścicielem ziemi, nie ma dostępu do szkół, uniwersytetów ani publicznych bibliotek, nie może stać się sędzią, nie może też wstąpić do straży, a co najwyżej do oddziałów ogrińskiej milicji. Konstytucja chroni godność, wła-

sność i zdrowie, ale tylko obywateli i ich rodzin. Zaś by stać się honorowym obywatelem, trzeba być co najmniej bohaterem wojennym.

- Wolność to tylko pozory – mówił, gdyśmy byli sami.

Jeśli zaś chodzi o wiekowego już amfiońskiego ogrodnika, to zupełnie nie rozumiałem jego pracy, polegającej głównie na wykopywaniu, sadzeniu, przycinaniu i podlewaniu tego czy innego zielska, ale przyznam, że efekty jego działań potrafiły zrobić na mnie wrażenie. Znał się na swej robocie, choć nie przepadał za nią. Z doświadczenia i z zamiłowania był żeglarzem. Całą swoją młodość przeżył na morzach i oceanach. Godzinami potrafił opowiadać o łodziach, statkach, gigantycznych żółwiach i odległych lądach, choć zdrowie i wiek nie pozwalały mu już czerpać radości ze swej pasji. Żałował nawet, że nie zginął niegdyś wśród morskich fal podczas któregoś ze sztormów, które przeżył. Nie rozumiałem tego pragnienia. Opowiedziałem mu o tej strasznej burzy, jakiej doświadczyłem na knarze i o moich chekecheach, które mi wówczas zabrało morze. Kiwał tylko głową i wypytywał o szczegóły ożegłowania, położenia steru i kąty natarcia na falę. Tłumaczył mi, jak należy sterować statkiem podczas burzy, ale niewiele z tego rozumiałem. Rozmawiałem z nim też o lokalnych trunkach – w jednym z budynków gospodarczych hodował koale. Karmił je jakąś specjalną odmianą kwiatów, by produkowały sławne na cały świat amfiońskie rosarium – bardzo aromatyczne, ale trochę za mocne jak na huryjską głowę.

Z czasem i Mlei obdarzyła mnie odrobiną zaufania – na tyle, że z własnej inicjatywy chciała mnie nauczyć czytać po albińsku. Próbowałem – i to kilka razy – ale było to ponad moje siły. Nie byłem w stanie pojąć tych czarnych, śmiesznych robaczków. Mlei nie poddawała się jednak i próbowała nauczyć mnie liczb. Znam co prawda wszystkie dwadzieścia jeden liczb, ale to, co wówczas próbowała mi przekazać, to była jakaś czarna magia. Zapisują je podobnie jak słowa i choć jest ich mniej niż dwadzieścia jeden, to jest ich znacznie więcej... To się po prostu nie mieści w głowie. Uwierzycie, że mają na to osobną dziedzinę wiedzy? Specjalista od liczb to osobny zawód, a w Erabii są nawet osobne szkoły, w których uczą wyłącznie zapisywania liczb! Zarówno amfioni, jak i wszyscy bezogoni uwielbiają utrudniać sobie życie!

Gdy kiedyś przy śniadaniu powiedziałem Leandrowi o moich zamiarach – o tym, że wyruszę polować na smoki – posmutniał bardzo i nie odrywając wzroku od marmurowych lwów kominka rzekł:

- Nie skończyliśmy jeszcze. Mam jeszcze mnóstwo pytań.

„Na demony”, pomyślałem, „ten amfion nigdy nie przestanie pytać i nigdy nie stwierdzi, że skończył.”

- To co chcesz jeszcze wiedzieć? – zapytałem tylko.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o twoim dzieciństwie, Ario.

- Naprawdę? Nigdy?

- Sporo mówiłeś mi o dzieciństwie tego Chekechei z celi obok, ale nigdy o własnym. Jaka była twoja pierwsza *mbaria*?

- Moja pierwsza *mbaria*?

- Ta, w której się wychowałeś na ojczystej ziemi, jeszcze na wolności. Ta, która cię sprzedała handlarzom niewolników. Jacy oni byli?

- Ja... nie pamiętam.

- Jak można nie pamiętać czegoś takiego? Nie pamiętasz swojej matki? Ojca? Czy tam... *raisa*? Zupełnie nic?

- Nie, niestety. Nie pamiętam ich twarzy, nie pamiętam nawet ich *nukii*. Zamiast wspomnień mam jedynie kilkanaście różnych wersji, które opowiadał nam Haramisha na temat zbrojnej inwazji Terahandearu. Ale wszystkie je sobie wymyślił.

- Haramisha? Ten stary huria z celi numer jeden?

- Tak, ten.

- Powiedz, Ario, dlaczego, gdy wspominasz o Młynie, mówisz niemal wyłącznie o celi numer jeden? Przecież większość życia spędziłeś w burcie Radży, celi numer dwa. Do jedyńki trafiłeś dopiero pod koniec.

- Do czego ty właściwie dążysz, Leandrze? – warknąłem.

- Wyłącznie do prawdy, Ario. Nic ponadto.

Zrobiło się dziwnie. Jakby przestał nagle wierzyć w to, co mówiłem. Zresztą wówczas również i ja sam zwątpiłem we własne wspomnienia – zupełnie jakbym też je sobie wymyślił, tak jak Haramisha...

Innego dnia, gdy szykowałem się już do drogi, przyszedł do mnie z jakimś długim przedmiotem zawiniętym w starą, poplamioną szmatę. Wręczył mi go i nakazał odpakować. W środku był przepiękny miecz, którego wypolerowane ostrze zabłysło jasnym, niemal niebieskim światłem, gdy wyrwałem go z pochwy.

- Przyda ci się – zapewnił Leander. – Należał do mojego dziadka. Służył w Wojnie z Chaosem. To kryształowa klinga. Krionicka robota wysokiej próby. Lekka, wyważona i ostrzejsza od stali, poza tym nie rdzewieje. Umiesz się chyba posługiwać mieczem?

- Nauczę się – odparłem, z powrotem chowając ostrze.

- Zdecydowanie nie brak ci odwagi... Obyś zdołał nim przebić tę smoczą łuskę. I niech cię broni przed wszelką nieprawością w tej samotnej podróży.

- Nie idę sam.

- Jak to?

- Zabieram ze sobą Mlei.

- Mlei? Moją Drago? Ależ jakim prawem?

- Nie mówiła ci? Sama tego chce. Jest przecież wolna.

- No, to oczywiście, że jest wolna. Ale w życiu bym nie pomyślał, że ma takie pragnienia! Nigdy nie udało mi się jej wyciągnąć z biblioteki choćby na cal! Nie wylatywała nawet do ogrodu... Gdzie ja teraz znajdę dobrego bibliotekarza?

- Bez niej nie odszukam smoków.

- Jak ci się udało ją przekonać, Ario?

No właśnie. Jak mi się udało przekonać Mlei?

Do dziś się dziwię, że ten podstępny plan, który zrodził się w mojej głowie, w ogóle zadziałał. Był to isticie szatański plan. Któryś już z kolei, tak właściwie.

Kolejny raz doprowadziłem Mlei w stan skrajnej irytacji. Nie lubiłem tego robić, ale nie było innego wyjścia. Nie pamiętam już, jakiego tematu wówczas użyłem jako zapalnika, ale to nieistotne. Skurcz targnął jej ciałem, skrzydła rozpostarła gwałtownie, oczy purpurą zaszyły, a trzecia powieka uchyliła się, ukazując rozdrażnione spojrzenie trojdena.

„Nie rób tak!”, szorstki głos zawibrował w moich własnych kościach. „Głupie futro! Robi to specjalnie!”

- Muszę z tobą pomówić, trojdenie.

„Futro nie ma nam niczego mądrego do powiedzenia!”

- Otóż mam. Poszukujesz wiedzy, mam rację?

„To nasza misja. Czego futro chce? I niech się streszcza, nie mamy całego dnia!”

- Wiedza to twoja misja. A po co czerpać ją z książek, skoro można czerpać ją z samego źródła?

„Nie ma czegoś takiego jak źródło wiedzy.”

- Chodzi mi o smoki. Białe smoki. Ich wiedza jest olbrzymia. Niemal nieograniczona. Znacznie przekracza tę, którą można znaleźć w tej bibliotece. Białe smoki znają sens istnienia świata, jego formę i zasady działania. Tego nie da się wyczytać z książek.

„To futro nie ma bladego pojęcia, o czym mówi!”

- Nie mam, to prawda. Ale wyruszam tropić białego smoka. Gdy już go odnajdę, zabiję go, o ile zdołam, i przejmę jego demona wraz z całą jego wiedzą. Przysięgam, że w pełni podzielę się nią z tobą, jeśli pomożesz mi w tym zadaniu. Przekonaj Mlei, o to tylko cię proszę.

Niczego nie obiecuj, powtarzała swą mantrę Lōzi wewnątrz swojej własnej głowy. Zaś trojden nic nie odpowiedział, popadł w zadumę. Ostatecznie jednak się zgodził. Stwierdził, że chętnie to zobaczy. Staął po mojej stronie. A wraz z nim – Mlei.

Czy ją oszukałem? Zniewoliłem? Zmusiłem? A może raczej to ten trojden nią manipulował, bo sam nie chciał się ruszyć z biblioteki? Przecież to nienaturalne, by nie korzystać z wolności, gdy jest się wolnym. Mieć skrzydła zdolne do lotu i na własne życzenie tkwić w otwartej klatce? Nie przekonuje mnie to.



*Byłem dziś z kilkoma hurami i hurysami na polowaniu. Sami mnie zaprosili, a potem narzekali, że ich spowalnim. To dziwne uczucie być od nich wyższym w hierarchii... Wiele w nich młodzieńczego wigoru i niepokromionej fantazji. Przeprawiliśmy się przez Huishę, poza nasze terytorium. Nie upolowaliśmy zbyt wiele – ledwo dwie czaple i wychudłą kapibarę – ale z pagórka, na który się wdrapaliśmy, zobaczyłem przepiękną dolinę meandrującej rzeki. Jakże piękne mogłoby tam być terytorium – moje i Mitiriri...*



Znów jakąś część mnie zostawiałem za sobą, idąc naprzód w nieznaną. Który to już raz? Młyn. Chata Ricardy i Carstena. Piwnica Turama. Magazyn w Hawkshaven. Amfioński kamieniołom. Wieża Leandra. Ile mnie

jeszcze zostało we mnie, rozmyślałem? Każde z tych miejsc coś mi odbierało bezpowrotnie.

Był quatron, czwarty dzień Enkei dwudziestego pierwszego i jeszcze trzeciego cyklu<sup>36</sup>. Zalegający śnieg dawno już zdążył się rozpuścić, choć białe czapy groźnie spoglądały jeszcze z górskich szczytów na Dziobie. Noce były już cieplejsze, acz Mlei i tak całymi dniami opatulała się niewielką derką w obawie przed zimnem. Siedziała na moich plecach w podróżnym plecaku. Dostałem go od tego ogrińskiego kamerdynera; uparł się, bym przytroczył do niego ciepły koc – miał się przydać na zimne noce. Jakbym nie miał własnego futra! Zaś w ramach prowiantu niosłem w nim trochę suszonego mięsa i kilka książek dla Mlei. Tylko głowa jej wystawała z tego plecaka, acz w cieplejsze dni wychodziła, by podróżować na moim ramieniu. Była oczarowana światem zewnętrznym. Przypominała pewnie mnie, gdy wyszedł na powierzchnię z młyńskich podziemi. Wszystkiego się bała, ale jednocześnie na każde swoje pytanie zaraz znajdowała jakąś sensowną odpowiedź. To znaczy trojden znajdował, a jego obecność i rolę wyjaśniliśmy sobie z Mlei zaraz na początku tej wędrówki:

- Mlei, wiem o twoim przyjacielu, którego trzymasz między skrzydłami – zagadnąłem, długą chwilę dobierając przedtem właściwe słowa.
- Wiem, że wiesz, hurio – odparła. – Trojden mówił mi o tym.
- A... to miło z jego strony.
- Teraz nie muszę się go przed tobą wstydzić.

Dobrze, że niektóre problemy rozwiązują się same. Niemniej spodziewałem się, że będę jej tłumaczył, czym są lasy, góry, pola, drogi, wsie, miasta. Niepotrzebnie. Wszystko to wiedziała, nim zdążyłem z myśli złożyć zdanie.

---

<sup>36</sup> Będąc w wieży Leandra nauczyłem się kalendarza, którego używają wszystkie ludy na całym świecie. Zgodnie z nim quatron to czwarty dzień tygodnia. Każdy z dziesięciu dni ma swoją nazwę. Kolejno są to: kwanza, toinen, san, quatron, hamis, thoris, sjunden, elften, pellow i ostatni: eser. Zaś Enkea to nazwa miesiąca, który w Amfii przypada na drugą połowę wiosny. Cały cykl podzielony jest na dwa lata, a każdy rok z kolei na osiem miesięcy i są to... zaraz, jak to było... w roku pierwszym: Delfia, Daimia, Krionia, Jihanya, Welfia, Drakea, Barria i Albia; zaś w roku wtórym: Enkea, Barbea, Amfia, Cyklopea, Orkia, Dahabia, Rubia i Alingabea. Trochę trwało, nim Mlei wpoila mi do głowy te wszystkie nazwy. Potrafią sobie bezogoni skomplikować życie, prawda? A to, że był to dwudziesty pierwszy i jeszcze trzeci cykl (*czyli 24 - przyp. GE.*) oznacza, że tyle cykli minęło od końca wojny z Chaosem. Od tego momentu bezogoni liczą czas.

- Zobacz, jaki piękny – powiedziałem któregoś dnia, wręczając Mlei urokliwy dzwonkowany kwiat o granatowej barwie.

- To przecież tojad! – krzyknęła. – Inaczej mordownik. Po amfiońsku *aconitum*. Silnie trujące, a według legend może zamienić w wilkołaka! Weź to wyrzuć, hurio, i od razu przemyj ręce wodą! Nawet się nie waż ich lizać!

- Że też ty wszystko musisz wiedzieć. Przynaj, że w naturze pierwszy raz widzisz tę roślinę na oczy.

- Na moje własne, owszem, pierwszy raz.

Wbrew pozorom nie była to łatwa podróż... Szliśmy na Bakburte, może trochę na Dziób. Zatrzymywaliśmy się w przydrożnych gospodach lub w chatach amfiońskich rolników. Na trzeci dzień doszliśmy do rybackiej wioski o nazwie Pesce.

- Coś mi mówi ta nazwa – zagadnąłem do Mlei, siedzącej na moim ramieniu.

- Mi również – odparła.

- Jak to? Byłaś tu kiedyś?

- Skądże, hurio? Przecież nigdy nie ruszałam się z wieży. Słyszałam tę nazwę.

- Słyszałaś? Nie czytałaś?

- W sumie to trojden słyszał. Nie ja.

- Jak mógł on słyszeć, a ty nie?

- Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie, a on – owszem.

- To gdzie on wtedy był?

- Na swym poprzednim żywicielu... aj... to jest był zespolony z innym ciałem. Konkretnie z ojcem amfiona, jeśli musisz wiedzieć.

- To znaczy z ojcem Leandra? Tym psionikiem?

- Właśnie.

- Coś podobnego! Czyli to ojciec Leandra był w Pesce, a trojden... z nim.

- Nie, nie rozumiesz. Oni tam nie byli, a jedynie słyszeli o Pesce. Opowiadał o nim jakiś barbarzyńca, który się tam wychował, a potem stamtąd uciekł przed inwazją Terahandearu.

- Turam! No jasne!

- Trojden twierdzi, że miał na imię Sjarm.

- Sjarm, czyli Turam! Niebawale! Wszystko się zgadza! Zatem to wszystko prawda!

- Znałeś tego Sjarma?



- W Młynie był moim strażnikiem. Nosił wówczas imię Turam. Spotkałem go potem w Hawkshaven, ale Vijani go zamordowała nim zdążył mi o wszystkim opowiedzieć. Lubiłem go. A ja od tamtej chwili noszę w sobie jego demona...

- Zjadłeś go?

- To był rytuał Dudii, Mlei!

- Czyli go zjadłeś, hurio! Na surowo! Obrzydliwe!

- Znacznie mniej obrzydliwe niż zjadanie starych, zakurzonych i zapleśniałych książek!

- Nie widzę niczego obrzydliwego w zjedaniu papieru, za to zjedanie ulubionego znajomego na surowo to jakiś makabryczny kanibalizm!

- Mlei, powiedz, jak to się stało, że twój trojden był kiedyś u ojca Leandra, a teraz jest u ciebie?

- To proste. Gdy amfion umierał, przekazał mi trojdena pod moją opiekę. Nie pytał mnie nawet o zdanie... to znaczy... to bardzo korzystny układ. Inaczej oboje by umarli. A trojden dzieli się ze mną swym doświadczeniem, mądrością, bezkresną pamięcią, no i wszystkim tym, czego zdążył go nauczyć amfion.

- Czyli pamięta każdy szczegół jego życia?

- Nawet najdrobniejszy.

- To niech opowie coś więcej o Turamie, to jest o Sjarnie.

- To był tylko przerażony barbarzyńca, uciekający przed wrogą armią w trakcie inwazji. Sporo w nim było chwilowego lęku i podsycanej przez wiele lat nienawiści.

- Nienawiści?

- Oczywiście. Każdy uchodźca ze swej bezradności i ułomności nienawidzi kraju, do którego trafi.

- Przecież on kochał Amfię!

- Kochał wyłącznie swój lud, jak i wszyscy jego pobratymcy.

- Nieprawda! – protestowałem uparcie. – Przecież to Amfia go przygarnęła, wychowała i karmiła. Stała się jego ojczyzną. Tak mi mówił, gdy go spotkał w Hawkshaven jakieś dwa lata temu.

- Trojden jest pod wrażeniem.

- Pod wrażeniem?

- Jest pod wrażeniem, że czar utrzymał się tyle lat. To, że ten nieszczęsnny barbarzyńca zaczął postrzegać obcy dla siebie kraj jak własną ojczyznę,

jest sprawką amfiona. Włoczył mu tę miłość prosto do głowy. To był psioniczny rozkaz.

- Że co?

- Manipulacja. Im słabszy umysł, tym lepiej działa taka magia.

- Więc to tak ojciec Leandra przekonał Sjarma, by poszedł walczyć za Amfię, zaciągając się do wojsk Terahandearu... Został zmuszony! To było... zgodne z prawem?

- Była wojna, hurio. Barbarzyńcy i albini najechali na Amfię, łamiąc wszystkie możliwe traktaty pokojowe. Wszelkie działania przeciw wrogim siłom są zgodne z amfiońskim prawem, choć z amfiońskim prawem wojennym. Zaczęło obowiązywać, gdy tylko armia Terahandearu przekroczyła przez rzekę Capello.

Przystanąłem na chwilę. Byliśmy już za daleko, by wrócić i pomówić o tym z Leandrem. Wówczas co innego było ważne...

Wyruszając w drogę miałem ze sobą trzy ciężkie sakiewki pełne złota – cały mój dorobek tych sześciu miesięcy pracy u Leandra. Łącznie ważyły dziewięć kilogramów. Nigdy w życiu nie widziałem tylu pieniędzy. Gdyśmy szli, wyobrażałem sobie, że gdybym tylko chciał, to kupiłbym za to cały antykwarjat wypełniony książkami i zostałoby mi jeszcze na najlepszy rynsztunek przeciw smokom, jaki tylko można sobie wyobrazić. Szybko się przekonałem, że wszystkie te moje majątności wcale nie były wiele warte.

Na samą żywność wydawaliśmy w Amfii zawrotne sumy. Najdrożej było w Resistenzie, amfiońskiej stolicy. Niewielka porcja dobrego mięsa potrafiła kosztować tam dwadzieścia złotych monet albo i więcej. Jeszcze droższe były księgi – nawet te zużyte i wytarte z antykwarjatów. A nie każde tomiszcze Mlei chciała w ogóle wziąć do ust. Raz mi nawet wlepili mandat za wchodzenie do księgarni ze smokiem książkowym na ramieniu. Ledwo się wypłaciłem. Ciągłe spieraliśmy się o to, że za mało wydawałem na nią, a za dużo na siebie:

- Gdybyś, hurio, nie kupił tego zardzewiałego rynsztunku, który i tak nie ochroni cię przed smoczym oddechem, to by było stać cię na wszystko – gardłowała Mlei.

- Łowca smoków musi mieć miecz, tarczę, stalową zbroję i ręczego kazara – wyrecytowałem, wspominając słowa Ricardy.

- Gdzieś ty wyczytał takie bajki? Nie stać cię już ani na tarczę, ani na kazara, ze zbroi masz ledwo fragment, a mieczem nie umiesz się nawet do brze zamachnąć!

To prawda. Wydałem fortunę na zbroję. Jakies dwie trzecie z tego, co zarobiłem u Leandra. A to był ledwo napierśnik, choć z elfickiej stali. Silnie zalatywał *nukiami* jakiegoś albina w sile wieku. Zostawił po sobie zapach potu, krwi, pasty polerskiej, alkoholu kilku rodzajów, świątynnego kadzidła i ogniskowego dymu. Do tego paski miał mocno już przetarte, a w kilku miejscach był wgnieciony i ponacinany, a potem prostowany niewprawną ręką, ale w tej cenie nie znalazłem tam niczego lepszego. Nowy, pachnący kuźnią egzemplarz kosztował dwa razy więcej! Próbowałem przymierzyć zbroję z albińskiej stali – była o niebo tańsza, ale za to tak ciężka, że ledwo mogłem się w niej ruszyć. Jeszcze gorzej było z barbarzyńskimi kirysami – nie mogłem dociec, jak w tak krępującym ruchu pancerzu mógł wytrzymać tamten pardiański *rais*, od którego Ivarr kupował huryskich niewolników. Miał przecież na sobie pełną płytową zbroję z barbarzyńskiej stali! A tego elfickiego napierśnika prawie nie czułem na sobie. To znaczy gdy już, rzecz jasna, pokryłem go rozsądną warstwą własnych *nukii*. Z obawy przed prawem pozwoliłem sobie na to dopiero po przekroczeniu granic Amfii – jakoś na trzeci dzień od zakupu.

Z ulgą opuszczałem ten kraj osobliwych i irytujących przepisów, zamieszkały przez istoty, dla których prawo, porządek i konstytucja ważniejsze są od rodzinnych więzów i zdrowego rozsądku. Jakże inna wydawała mi się Amfia, gdy opowiadał o niej Turam w tamtej ciemnej piwnicy w Hawkshaven. Któż mógł to przewidzieć, że jego miłość do ojczyzny była jedynie magicznym fortelem wtłoczonym mu siłą do głowy, a rzeczywistość – rozczarowującą karykaturą nazbyt naiwnych wyobrażeń?



*Żaden huria, nawet rais, nie może rościć sobie prawa wyłączności wobec którejs z hurianek. Dlaczego tak mi trudno się pogodzić z tym prawem?*



Granicę państw stanowił most nad rzeką Capello – ten sam, którym przeszła kiedyś armia Terahandearu, dokonując inwazji na Amfię. Amfiońscy celnicy nie trzymali nas długo – przeszukali tylko plecak – zaś barbarzyńcy po drugiej stronie mostu niemal nie zakuli mnie w kajdany jako własność tej całej Lindisfarneńskiej Gildii Handlowej. Ich chciwe oczy z kilometra dojrzały piętno wypalone w skórze... Jakie to szczęście, że nie pozbyłem się tego dokumentu od Ivarra, poświadczającego moją wolność. Tęgi, zakuty w stal dryblas, okazał się najbardziej piśmienny w całym oddziale, choć i tak pomagał sobie palcem, językiem, a każdy symbol pisma studiował z tak wielkim trudem, że aż krople potu ściekały z jego skroni, zaś jego intensywnie *nuki* zalaływały zarówno złością, jak i lękiem.

- Cicho być! Sam umiem! – warczał rozdrażniony, gdy Mlei próbowała podpowiadać mu kolejne słowa, nie widząc nawet tekstu przed oczami. Całe pismo miała przecież w głowie, choć ledwo raz rzuciła na nie kiedyś okiem. Gdy wreszcie skończył; popatrzył na mnie spode łba; zapytał, czego szukam w ich kraju, a gdy usłyszał, że latających i ziejących ogniem smoków, roześmiał się i puścił nas wolno.

W istocie, nieraz zastanawiałem się, czy ta cała wędrówka miała jakikolwiek sens? Czasem już nie byłem pewien, w jakim celu targnąłem się na coś tak wielkiego, zamiast ułożyć gdzieś wygodnie swe ciało i oddać się sjeście? Przecież nawet w elfickiej zbroi i z kryształowym mieczem w dłoni nie miałem żadnych szans z takim smokiem. Istne furiactwo!

Ruszyliśmy na rufową Bakburtę. Najbliższa astralna brama miała być w wysokich górach, na samym skraju barbarzyńskich ziem – czyli praktycznie na końcu świata. Mlei znała drogę, a przynajmniej tak mówiła. Przestudiowała wszystkie mapy, jakie tylko trojden wynalazł w kazamatach swej pamięci. Byłem zdany na jej łaskę. Na ich łaskę.

Barbarzyńskie terytoria zaraz na początku przywitały nas porażającym widokiem. Droga rozwidła się na Dziób i na Rufe, zaś na Bakburtę aż po horyzont rozpościerał się gigantyczny cmentarz. Byliśmy niedaleko piekielnych ziem, a we wszystkich tych grobach pochowano poległych zmasakrowanych w wielkiej bitwie z Kruczą Armią, jaka niegdyś miała tam miejsce podczas wojny z Chaosem<sup>37</sup>. Niezliczona liczba kamiennych kopców usypanych jeden obok drugiego wyglądała jak olbrzymie kretowisko. W każdy

*37 Wielki cmentarz pod Jormungand istnieje do dziś (2 dni drogi na Dziób z miasta Fenris lub półtora dnia na dziobową Bakburtę z barbarzyńskiego portu Bastion). Jest pozostałością po 16 dniu Barbei 103 cyklu Drugiej Ery – po największej bitwie z Kruczą*

kopiec wetknięto drewniany słupek z deski lub ociosanego tylko pnia bądź gałęzi. Niektóre zbutwiały doszczętnie, leżały połamane lub wiatr je porwał. Na nielicznych widniały jakieś napisy lub wyżłobione barbarzyńskie symbole. Mlei odczytywała z nich kolejne imiona, ale wcale nie chciała wchodzić między groby. Ja chciałem. Pragnąłem zobaczyć, jakie to było wielkie?

Po godzinie marszu na Bakburtę cmentarz wcale nie chciał się kończyć, zajmował całą ziemię po horyzont we wszystkich kierunkach. Byliśmy jak na otwartym morzu! Bezkresnym morzu z samych grobów! Prócz kopców zaczęły się pojawiać kamienne tablice lub słupy. Zmieniały się też napisy – obok barbarzyńskich były albińskie, erabskie, krasnoludzkie, niziołkowe, amfiońskie oraz kilka innych, których ani Mlei, ani jej trojden nie byli w stanie rozpoznać. Wszyscy, których tam zakopali, walczyli ramię w ramię ze wspólnym wrogiem. Nie mogłem zrozumieć, jakże potrafili się wówczas tak zjednoczyć, a po kilku latach prowadzić ze sobą bratobójcze wojny?

Z tego przerośniętego mauzoleum, zajmującego ogromne połacie terenu i mimo tylu lat wciąż zalatującego intensywnym śwadem zepsucia i rozkładu, wyszliśmy dopiero po kilku godzinach. Mlei niemal się na mnie obraziła, że uparłem się na taką drogę, ale przeszło jej. Tym bardziej, że mieliśmy większe problemy. Nigdzie nie dało się dostać żadnych książek. Nawet w największym mieście w okolicy, w Fenris, nie było ani księgarni, ani antykwiariatu, choć specjalnie zboczyliśmy z kursu na Rufe, by się tam dostać. W plecaku miałem co prawda jeszcze dwie i pół książki, ale skąd mogliśmy wiedzieć, ile potrwa jeszcze ta wyprawa? Nie byliśmy w stanie uzupełnić zapasów.

- Jak to nie wiesz, tępy trepie, co to są książki? – skrzeczała rozeźloną Mlei.

- Weź stąd, sierściuchu, swoją gadającą jaszczurkę, bo jej skrzydła wyrwę i wypatroszę! – odburknął sprzedawca jinhańskiej porcelany, którego zagadnęliśmy o najbliższą księgarnię – Guldrid mi świadkiem, że nie żartuję! Twój pan cię wychłosta, gdy mu o tym powiem!

- Wyrwij mu ręce, hurio! – nalegała Mlei, wbijając mi się pazurami w ramię i oglądając za sprzedawcą, gdyśmy już od niego kawałek odeszli. – Albo wyłup mu oczy! Lub chociaż rozwal mu te jego brudne skorupy! A najlepiej zakradnij się nocą i odetnij mu jego przyrodzenie!

---

*Armią, jaka kiedykolwiek miała miejsce. Łączną liczbę naszych ofiar tego najstraszniejszego tryumfu i zarazem najtragiczniejszej klęski podczas wojny z Chosem szacuje się dziś na 55 tysięcy (zob. Wiek postmagnibelliczny..., s. 7). – przyp. GE.*

- Mlei, nie jestem Vijani! Zaczynam żałować, że ci o niej opowiedziałem.

Tak było. Któregoś z poprzednich dni wszystko jej powiedziałem. O Vijani, tej tigranice o śnieżnobiałej sierści, i o tej naszej krucjacie przeciw bezogonom. Nie szczędziłem jej żadnych krwawych szczegółów – opowiadałem o podrzynanych gardłach, ciosach w plecy, z ukrycia, podczas snu; o tym, że mordowaliśmy bogaczy i biedaków, starych i młodych, uzbrojonych i bezbronnych, możnych panów i żebraków; nauczycieli wszelkich szkół i kapłanów wszelkich bogów; mężczyzn i kobiety wraz z ich chekechami. Dla nikogo nie robiliśmy wyjątku, to i niczego nie zataiłem przed Mlei. Była tym wszystkim prawie tak przerażona, jak zafascynowana. Milczała w bezruchu. A ja ufałem, że nie wyda mnie strażom, no i nie zawiodłem się. Nie była przecież amfionem.

Niepewni i w skwaszonych nastrojach wyruszyliśmy z Fenris na Bakburtę. Wciąż szliśmy pod górę – w tamtych stronach teren coraz bardziej piętury się w pasmo stromych gór. Tworzą coś w rodzaju ogromnego, kłaczastego pierścienia nałożonego na tę wielką kulę świata, a przynajmniej tak to przedstawiał globus w wieży Leandra. Każdego dnia wspinaliśmy się wyżej i wyżej. Barbarzyńska droga – czy raczej ścieżka – zanikła wśród łąk i dalej szliśmy na przełaj przez bezkresne górskie hale porośnięte ledwo tylko trawą i niskimi krzakami. Zaczęło padać. Mimo późnej już wiosny zrobiło się zimno, a mroźne powietrze przesywało moje futro.

Na trzeci dzień od wyjścia z Fenris szliśmy wzdłuż krawędzi wielkiego płaskowyżu, obserwując na rufowej Sterburcie olbrzymią ścianę gór, ciągnącą się przez całą szerokość horyzontu. To był Wielki Uskok – najszersze i najwyższe urwisko, jakie znają kartografowie, a przynajmniej tak mi to przedstawiła Mlei. Turam też mówił o tym Uskoku. Miał tam powstać wielki mur wzniesiony przez huryskich niewolników. Nie widziałem tam żadnego muru, ale dzieliła nas szeroka dolina wijącej się wśród tundry rzeki o nazwie Frukt.

Brnęliśmy dalej na rufową Bakburtę, choć wciąż było pod górę, a deszcz zamienił się w śnieg. Mlei, szczelnie zawinięta w derkę, nawet głowy nie wychylała z plecaka. Trzęsła się z zimna, skomląc, że chce wracać. Nie chciała stamtąd wyjść nawet, gdy stanąłem nad brzegiem płaskowyżu i wśród sypiącego śniegu, przez granatowe mleko opitych wodą chmur dostrzegłem na horyzoncie tę niezwykłą górę, cel naszej drogi. Wyłaniała się spośród innych szczytów niczym rogi olbrzymiej bestii. Lub demona. Dzielił nas może dzień drogi, może dwa. Znalazłem schronienie na noc na pół-

ce skalnej, na jaką natrafiliśmy, schodząc stromym zboczem z płaskowyżu. Była nieco wgłębiona i częściowo osłonięta od wiatru i śniegu.

Gdy z plecaka wyciągałem królika, którego upolowałem tamtego dnia po drodze, coś ostrego wbiło mi się w rękę. Z bólu odruchowo wyrwałem to gwałtownie i jednym, silnym ruchem odrzuciłem od siebie. Wgryzło się tak mocno, że odpadając, oderwało ze mnie solidny fragment sierści, skóry i mięsa. Krew trysnęła strumieniem. Zaś zębatą bestią okazała się... Mlei. Wyrzucona w powietrze, chaotycznie trzepocząc skrzydłami, złapała równowagę w locie i przysiadła na skale dwa metry ode mnie. Paszczę miała czerwoną od farby, dyszała ciężko, wzrokiem chciała mnie zabić. Zerknąłem na rękę. Krew pulsowała, ściekając na śnieg.

- Co cię ugryzło, Mlei!? – krzyknąłem, chyba niezbyt trafnie.

„Durne futro prowadzi nas na śmierć! O niczym nie ma pojęcia! I w ogóle nie słucha!”, wykrzyczało echo w moich kościach.

- Co? Jak to?

- Została mi już tylko jedna książka i to nadgryziona! – wyrzuciła z siebie Mlei, plując moją krwią. – Nie starczy na powrotną drogę. Mam dość! Masz natychmiast zawrócić, hurio!

- Jesteśmy prawie u celu! Jutro lub pojutrze tam dotrzemy!

- Głupi huria! I co dalej? Jak stamtąd wrócisz? Umrzesz z głodu! Ja nie zamierzam. Zawracaj póki możesz, hurio!

- Zobacz, nawet stąd widać tę bramę. – Zdrową ręką wskazałem rufową Bakturkę.

- Nie słuchasz, hurio! Trojden ma rację. Obchodzi cię wyłącznie twoje własne futro! Wszystkich innych traktujesz jak narzędzia!

- Bzdura! To ten obrzydliwy pasożyt każe ci tak myśleć! Wyrwę go z ciebie gołymi rękami!

Jednym susem rzuciłem się na nią nim zdążyła odfrunąć. Próbowала się wyrwać, ale przycisnąłem jej ciało do podłoża, a pazurami wbiłem się w tę mięsistą ośmiornicę przytwierdzoną do jej pleców.

„Jeszcze jeden ruch, a stanie się kaleką do końca życia!”, huknął głos wewnątrz mnie. „Nigdy już nie polec! Nawet nogą nie ruszy! Puszczaj natychmiast, durne futro, i nie wąż się do mnie zbliżać, bo ona na tym ucierpi!”

Puściłem.

Odsunąłem się przestraszony. To wszystko poszło za daleko... Nie tak miało być. Mlei nie odleciała, ale nie pozwalała mi się do siebie zbliżyć. Warczała i skrzeczała, gdy tylko próbowałem. Poza tym nie rzekła ani

słowa. Rzuciłem jej plecak, by miała gdzie się schować i co jeść. Wcześniej wyciągnąłem z niego tego królika i ciepły koc, jaki dostałem od ogrińskiego sługi z wieży Leandra. Było tak zimno, że tamtej nocy się wreszcie przydał. Oderwałem z niego skrawek, aby zatamować krew. Ręka wyglądała paskudnie. Nie przypuszczałem, że smoki książkowe mają tak ostre zęby! Po całym dniu wędrówki byłem zupełnie wycieńczony, a intensywne, krwawe *nuki* były jak drogowskaz, obwieszczający wszystkim drapieżnikom w okolicy obecność rannego zwierza.



*Ale dziś upał. Naprawdę zaczynam doceniać sjętę. Tak. Nic już tu nie piszę...*



Obudziłem się nagle. Czułem ból dosłownie w całym ciele. Jakby stado iakków przespacerowało się po mnie niczym po zeszlonym albińskim pastwisku! Dawno nie było mi aż tak źle, jak wówczas. Z trudem przypominałem sobie, co działo się pod koniec poprzedniego dnia. Odwinąłem rękę z koca. Wcałe nie chciała się goić – rana ślimaczyła się i pachniała zakażeniem. Psia jucha!

Rozejrzałem się za Mlei. Był tylko plecak. Ostrożnie przysunąłem się do niego, choć przy każdym, najdrobniejszym ruchu wszystko pulsowało i wirowało. Myślałem, że mi głowa od tego pęknie. Gdy uchyliłem klapę, duszne *nuki* buchnęły mi prosto w nos. Była w środku, opatulona derką, ale nie chciała spod niej wyjść. Wyszepiała, dysząc ciężko:

- Przepraszam.
- Nie szkodzi – odparłem. – Wylizę się.
- Nie miałam wyboru.
- Wiem, paskudny ze mnie huria. Nie zostało nam już dużo. Ruszymy w drogę?
- W drogę? Czyli ty jeszcze nic nie wiesz, hurio, mam rację?
- Czego znów nie wiem?



Mlei przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie tylko, a gdy wreszcie przemówiła, każde słowo z trudem przechodziło jej przez gardło:

- Wszystkiego. Ale wiedz, że nie miałam wyboru.

- O co ci chodzi, Mlei? O czym ty mówisz?

- Zapomniałam już, jak to jest być wolną. Tyle lat tkwiłam w kajdanych... Jeszcze nie wiesz, jakie to paskudne uczucie, gdy ktoś przysłuchuje się każdej twojej myśli; gdy bez chwili wytchnienia, w dzień i w nocy jesteś pod ciągłą obserwacją. Każdy zamiar ruchu i każde twoje słowo, nim jeszcze je wypowiesz, jest komentowane przez złośliwy podszept, od którego nie możesz się uwolnić! To udręka! Niewola! Więzienie! Ale dziś jestem wolna!

- Zawsze byłaś, Mlei! Masz skrzydła, możesz na nich polecieć dokądkolwiek zechcesz!

- Nie czuję ich. Nóg zresztą też nie. Nie mogę nimi nawet poruszyć.

- Co? – Dopiero wówczas doszło do mnie, czego się dopuściłem poprzedniego dnia. – Zrobiłem ci krzywdę!

- To nie twoja wina, hurio. Nie daj sobie tego wmówić. Rozumiesz? Nie daj sobie tego wmówić! Chciałeś mi pomóc. A ja naprawdę pragnęłam z tobą zobaczyć te smoki. Była to najbardziej szalona przygoda, w jakiej kiedykolwiek brałam udział.

- Przecież dojdziemy tam za dwa dni, może nawet dziś! Bez ciebie to wszystko się nie uda!

- Nie mam tyle czasu. Nie mogę przełknąć ani papieru, ani nawet własnej śliny. Umrę tu z głodu, hurio.

- Co? Musi istnieć sposób, by cię uzdrowić! Przecież znasz *mbarię mbarii* i jeszcze *mbarię* mądrych ksiąg!

- Nie pamiętam już ani jednej z nich. Ani jednej mapy, ani jednej ilustracji, instrukcji, przepisu. Nie pamiętam nawet, jak uruchomić astralną bramę, ani jakie są rodzaje smoków. Wszystko przepadło.

- Trojden! Zabiłem go jednak? Przecież go puściłem! Zagroził, że zrobi ci krzywdę.

- Oszukał cię, hurio.

- Jak to?

Mlei tylko popatrzyła na mnie ze współczuciem, a gdzieś wewnątrz mnie odezwało się posępne echo:

„Durne futro. Nie tak łatwo można się nas pozbyć!”

- Jesteś więc! – warknąłem. – Oddaj jej pamięć, paszyczcie!

Natychmiast, gdy to powiedziałem, poczułem tak silne ukłucie jednocześnie w kregosłupie, nogach, rękach i głowie, że wyjąć z bólu, padłem na ziemię.

- Przepraszam, Ario – wyszeptała Mlei, widząc to wszystko.

„Jeszcze raz durne futro nas tak nazwie, to będzie boleć bardziej!”

- Zwróć jej te książki! Są nam potrzebne! – wygrażałem nieprzytomnie w stronę Mlei, a świat wirował mi w głowie.

„Ależ nie możemy tego zrobić.”

- A to dlaczego?

„Nie jesteśmy już zespoleni z tym smokiem książkowym.”

- Jak to? To gdzie ty jesteś, trojdenie?

„Futro wciąż nie wie? Jesteśmy w jego ciele. W naszym wspólnym ciele. Jak futro będzie o nie dbało, to i my będziemy. Jest to w naszym wspólnym interesie.”

Chwilę to trwało, nim doszła do mnie ta przerażająca, obrzydliwa myśl. Przetrawiłem ją i błyskawicznie pomyślałem o działaniu, ale nim zdążyłem wykonać jakikolwiek ruch, odezwało się echo:

„Ani się waż, głupie futro! Zrobi nam krzywdę, to my zrobimy krzywdę jemu. W jednym momencie możemy go pozbawić czucia w nogach i rękach! Równie szybko pozbawić możemy życia.”

Był na moich plecach! Wżarty w sierść i skórę! Nie czułem go, ale na pewno tam był! Gdzieś między łopatkami. Aż mnie dreszcze przeszły.

„Spokojnie, futro! Przyzwyczaj się. Początki zawsze są trudne.”

Próbowałem nie słuchać tego intruza wewnątrz mojej własnej głowy. Rozglądałem się gorączkowo, szukając jakiegokolwiek pomocy. Nie miałem nawet pomysłu, co mogłoby nią być. Zresztą każdy mój pomysł był od razu żywo krytykowany, nim nawet zdążyłem o nim pomyśleć!

W którymś momencie tego szaleństwa skoczyłem w górę i w locie wpadłem na rozwiązanie. Przekręciłem się na plecy i w takiej pozycji zostałem aż do momentu, gdy zderzyłem się z ziemią.

Coś gruchnęło tępo i wszystko nagle zgasło...

„Durne futro!”, to była pierwsza myśl, jaka pojawiła się w mojej głowie, która pulsowała natarczywie jakby skakało po niej deinoterium. Nie miałem pojęcia, jak długo leżałem tam nieprzytomny.

„Dobrze, że boli. Futro targnęło się na własne ciało. Na nasze wspólne ciało. Zapomniało tylko, że założyło na nie elficką zbroję! Jesteśmy pod warstwą stali! A ta tępa szczotka chciała nas ordynarnie zgnieść! Nie będziemy

więcej tolerować takich wybryków! Niech futro nie próbuje tego ponownie, bo będzie bolało bardziej. I wcześniej.”

Usiadłem ostrożnie. Próbowałem się jakoś uspokoić. Sięgnąłem do plecaka. To nie był dobry wybór. Znalazłem w nim martwe ciało Mlei. Było już zupełnie zimne i sztywne. Myślałem, że przegryzę sobie żyły z rozpaczy. Nie mogłem. Trojden nie pozwalała.

- To wszystko twoja wina! – wykrzyczałem.

„Wręcz odwrotnie”, odparł spokojnie. „To futro ją zabiło, przyciskając do ziemi i łamiąc wszystkie kości wraz z kregosłupem. To delikatne stworzenie!”

- Przestrzegła mnie, bym ci nie wierzył!

„Gdyby żyła, wciąż bylibyśmy w niej, a nie w tym durnym, upartym futrze. Ale nie pozostawiło nam wyboru. W martwym ciele i my byśmy zginęli.”

Byłem załamany. Położyłem jej zielone ciało na plecaku i czule gładziłem jej zimne łuski. Nie tak miało być! Zginęła tak bardzo niepotrzebnie... Coś mi to przypomniało. Nachyliłem się nad nią i szepnąłem:

- Mlei, towarzyszeko moja, tobie mówię, wstań!

Nie zadziałało, oczywiście. Bo i czemuż by miało? Daleko mi przecież było do Chekechei. Nie miałem bladego pojęcia o magii.

„Głupi, sfilcowany dywan myśli, że taki zabobon wróci jej życie!”

- Musi być jakiś sposób, by ją ożywić – odparłem. – Musi być jakaś książka, która opisuje, co robić! Czemu żadnej nie pamiętam, skoro jesteśmy już... zespoleni?

„Futro nie zasłużyło sobie na książki. Zresztą jest na nie za głupie.”

- Nie ruszę się stąd, póki mi nie pomożesz!

„Ależ pomożemy. Zamierzamy wypełnić naszą umowę.”

- Jaką znów umowę?

„Futro przysięgło nam, że odnajdzie smoka, przejmie jego demona i w pełni podzieli się z nami smoczą wiedzą. O ile mu w tym pomożemy. Pomagamy więc. Niechże futro wypełni swoją część. Teraz wstanie z ziemi i ruszy na rufową Bakburtę w stronę góry, udającej czarcie rogi. No już!”

Wstałem i spojrzałem przed siebie. Zachodzące słońce dawno już schoowało się za płaskowyżem, którego skarpek miałem za plecami, ale oświetlało jeszcze złotem i czerwienią najwyższe wierzchołki. Dwa jasne, zaśnieżone szczyty astralnej bramy wylaniały się z brudnoniebieskich turni zasnutych

posepną mgłą. Tylko Polemos świecił swą czerwoną tarczą na bakburckim niebie. Musiał wystarczyć.

- A co z Mlei? – rzuciłem do trojdena. Natychmiast, gdy to powiedziałem, a może nawet przed tym, targnęła mną tak silna fala bólu, że wyrzuciła mnie na ziemię. Jakby ktoś w całości zanurzył mnie we wrzątku! Wiłem się w torsjach, myśląc, że zaraz skonam. Na samo wspomnienie nawet dziś przechodzą mnie dreszcze. Ból ustępował wolniej niż się pojawił. Bez słowa, drżącymi jeszcze rękami schowałem zimne cało Mlei do plecaka i wrzuciłem go sobie na plecy.

„Durne futro! Niepotrzebne mu te zwłoki! Na nic się nie przydadzą! Zostawi je na ziemi!”

Ja jednak obróciłem się w stronę rogatej góry i ruszyłem bez słowa, próbując nie myśleć o tym zbyt wiele. Aby przypadkiem nie bluznąć pod adresem swego oprawcy jakiejś obelgi, w kółko powtarzałem w myślach jedno zdanie, jakie mówiła zawsze Dhahiri: „Wszystko siedzi w głowie”. Każde przekleństwo, o którym ledwo tylko pomyślałem, owocowało silnym bólem całego ciała. Każde sprzeniewierzenie się skutkowało tym samym. Większość jego rozkazów wykonywałem wyłącznie po to, by nie bolało.

W zasadzie to, co przekazywał mi trojden, to wcale nie były słowa. Nie słyszałem ich. To były jakby gotowe myśli, które niespodziewanie pojawiały się w mojej głowie. Z czasem zacząłem sobie wmawiać, że wszystkie te myśli to moje własne chęci, pragnienia i pomysły. Traciłem rozeznanie, które z nich były moje, a które siłą właczał mi do głowy trojden. Nigdy w życiu nie czułem się tak obezwładniająco skrępowany, jak wówczas. Jednak z każdą chwilą miałem coraz mniej sił na walkę oraz coraz słabsze poczucie, że jest w ogóle potrzebna. Z każdym krokiem było mnie coraz mniej...

Byłem w więzieniu. Najgorszym ze wszystkich. Żadne poprzednie tak bardzo nie odarło mnie z wolności jak to jedno. A przecież nie miało krat ani murów. Mieściło się wewnątrz mojej własnej głowy.



*Jestem pewien, że meseje potrafią być szczęśliwi, będąc mesejami, zaś hurie – będąc huriami. Czy zawsze musimy pragnąć tego, co nie leży w naszej naturze i co nie jest nam pisane?*



„Niechże wraca!”, ponaglał trojden. „Podnieście teraz swe cuchnące ciało i ruszy na Sterburtę”.

- Wolę już tu zostać – buntowałem się resztkami siły woli. Nie czułem nóg ani rąk. Leżałem w śniegu, czekając na koniec.

„Durne futro! Zginiemy tu z głodu i zimna!”

Ciągle jakaś część mnie chciała wierzyć w tę bajkę, którą niegdyś wziąłem za pewnik. Jakże to naiwne było oczekiwać, by się ziszcila! Patrzałem na te dwa skalne słupy i nie działo się zupełnie nic!

Dojście na sam szczyt wycieńczyło mnie doszczętnie. Wspinalem się na ten oblodzony stok – miejscami był tak stromy, że aż niemal pionowy. Czasem zupełnie nie było się czego chwycić; co chwilę pazury ujeżdżały mi na śliskiej skale. Trojden nie miał pojęcia o wspinaczce, dawał mi tylko głupie uwagi i marudził, że zaraz spadniemy. Moja prawa ręka pogryziona przez Mlei też na niewiele się zdała, prawie nie miałem w niej czucia. Przez prowizoryczny opatrunek sączyła się krew, znacząc mój ślad. Zastanawiałem się, czy starczy mi sił. Istne szaleństwo...

Gdy doszedłem na górę, słońce wstawało zza horyzontu, oblewając złotem białe połacie, jakie miałem przed sobą. Byłem na skraju górskiego siodła wielkiego jak stąd aż do tamtych drzew i całego wypełnionego grubą warstwą śniegowego puchu. Po bokach wyrastały dwie strome góry wystrzelone w niebo niczym skalne słupy. Zwężyły się ku górze – ich wierzchołki sprawiały wrażenie wręcz zaostzonych, poza tym zbliżyły się do siebie, jakby się wzajemnie przyciągały. W istocie kształtem przypominały dwa czarcie rogi gigantycznych rozmiarów. Majestatyczny widok... Astralna brama. Byłem na miejscu. Chyba tylko duma trzymała na nogach moje spracowane truchło...

Brnąłem naprzód, w śniegu, zanurzając się po pas, a czasem nawet po szyję. Mimo niewielkiej odległości jakąś godzinę trwało nim dotarłem na miejsce – w sam środek bramy, pomiędzy dwoma wierzchołkami. Jakże byłem mały względem nich.

Bezwzględnie przystąpiłem do prób, postępując zgodnie z instrukcją Mlei. Pomyślałem o jakimś ciepłym, nasłonecznionym lesie, wyobraziłem

sobie, że wyrasta tuż za tą bramą, nabrałem powietrza w płuca i rzuciłem się cwałem przed siebie, naprężając ręce niczym skrzydła do lotu. Jak wściekle stado! Na zabój! Skrzypce w górę! W bębny walić! Naprzód! W ryk! Co sił!

Nie zadziało, oczywiście. Wpadłem w zaspę i utknąłem w niej na kilka chwil. Chyba z godzinę albo dwie kopałem w śniegu tor, którym mógłbym biec. Gdy tylko skończyłem, spróbowałem jeszcze raz. Potem znów. Nie wiem już dziś, skąd miałem na to siły, ale próbowałem tak jeszcze wiele razy, zmieniając w myślach cel podróży, sposób biegania, strony, układ rąk...

Wreszcie, zupełnie wycieńczony, padłem na śnieg, dysząc ciężko. Chciwie łąpałem zimne powietrze, pragnienie gasiłem mokrym śniegiem, a w głowie toczyłem walkę z trojdenem. Chciał wracać. Miał może rację, ale nawet on wiedział, że niewiele wskóra, racząc mnie bólem. Musiałem odpocząć. Zasnąłem owinięty w koc na tym zimnym puchu pełen goryczy, rozczarowania i niedosytu.

Zbudziło mnie trzęsienie ziemi. A przynajmniej tak mi się zdawało. Poderwałem się na równe nogi. Był środek nocy. Ziemia drgała. Nieustający grom huczał w uszach. Pył, śnieg i mgła kotłowały się w burzowej chmurze na samym skraju góry. Tam gdzieś, poniżej schodziła lawina, pomyślałem. Do tego, mimo zimy, parne powietrze lało się z nieba. Ciepły wicher czochochał mi futro. Zewsząd czuć było spaleniznę. Połacie białego puchu gdzieś zniknęły.

Rozejrzałem się nerwowo, myśląc o tych wszystkich stworach z „Bestiarium ziem bakburckich”. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakaś drapieżna bestia, zwabiona zapachem mojej krwi, ale przecież jaka bestia ciągnie ze sobą kataklizm na tak wielką skalę? Sięgnąłem po miecz. Błysnął w świetle gwiazd. Z ledwością utrzymywałem go w obu rękach. W napięciu ścisakałem rękąjęść, wypatrując tego, co wyłonić się miało z tej opadającej powoli burzowej chmury.

- No, chodźże! – warknąłem pod nosem.

W tej samej chwili zza pleców usłyszałem głęboki pomruk – tak głośny i potężny, że aż wprawił w wibrację całe moje ciało i zjeżył całą moją sierść. Obróciłem się, mierzając mieczem na osłep. Przerażony krzyknąłem tylko jedno:

- Smok!

Wielki, prawdziwy smok o łuskach białych niczym śnieg. Wpółsiadąc na ziemi, podpierał się ogromnymi skrzydłami. Ciało pokryte miał całą masą wypustków, zaś kręgosłup i głowę zdobił cały grzebień kościstych narosli; wyglądał jak poszarpany górski grzbiet. Para buchała z nozdrzy, a pasz-

cza, uzbrojona w palisadę ostrych zębów, była tak wielka, że mógłbym wejść do niej w całości. Pachniał *nukiami*, których nigdy dotąd nie wąchałem – nie umiałbym ich nawet nazwać!

Przyglądał mi się.

A ja, z wyciągniętym w jego stronę mieczem, krzyknąłem:

- Przychodzę, by odebrać ci życie i twojego demona!

Smok nie odpowiedział, ale nagle, gwałtownym ruchem olbrzymiej paszczy, połknął w całości głownię mego miecza i odgryzł ją, krusząc z hukiem kryształowe ostrze. Roztarł je w zębach ze szczękiem i trzaskiem, po czym wypuścił na mnie całą chmurę kryształowych odłamków. Po mieczu została mi ledwo rękojeść, co ją kurczowo trzymałem jeszcze w obu dłoniach.

- Nie macie oręża, przyjacielu – odparł smok w czystym huryjским naczuczu. Jego głos aż dudnił mi w żołądku.

Stałem jak wryty, wpatrując się w resztkę miecza, jaka mi została. Wreszcie, odrzucając ją na ziemię, wypaliłem pierwszą myśl, która wpadła mi do głowy:

- Mam broń potężniejszą od kryształu!

- Doprawdy?

- Mam wiarę.

Smok parsknął, opryskując mnie swoją śliną.

- Zaiste – orzekł. – Zaiste musicie mieć wiarę, skoro zaszliście tak daleko i grozicie smokowi śmiercią, choć ledwo trzymacie się na nogach. Albo wiarę, albo zupełny brak rozumu. Powiedzcie mi, o, potężny hurio, jak chcecie odebrać mi życie za pomocą wiary?

Na to nie miałem odpowiedzi. Dotąd wyobrażałem sobie, że przebijam smocze gardło kryształowym mieczem, smok umiera, a ja żywię się jego ciałem i krwią. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo naiwna była to wizja.

Wyobraziłem sobie, że ten piękny biały smok umiera nagle i pada nieżywy z hukiem na ziemię. Wyobraziłem sobie i nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogłoby być inaczej. Widziałem to wewnątrz własnej głowy. Nie ziściło się jednak. Smok dalej stał tam, gdzie stał, i ani myślał przewracać się nieżywy.

- Imponujące – zagrzmiał nisko – ale z taką mocą nie skrzywdzilibyście nawet mułowego skoczka. Nie macie w sobie ani wiary, ani rozumu. Zresztą źle trafiliście, przyjacielu. Mnie nie można zabić wiarą, tak samo jak

nie można mnie zabić magią. A magia i wiara to jedno i to samo. Ja jestem magią. Widzę jej przepływ przez każdą cząstkę tego świata. Zabić białego smoka magią to tak, jakby ogień ogniem spalić albo wodę w wodzie utopić. Wielu przed wami próbowało, nikt nie przeżył tej próby. Ale zdecydowanie jesteście najgorzej wyposażonym i najmniej uzdolnionym rycerzem ze wszystkich, którzy odważyli się mnie zaatakować.

- Jak to jedno i to samo? Magia i wiara to dwie różne rzeczy!

- Obie zrodzone zostały z wyobraźni i czynią to samo tymi samymi środkami.

- Ale przecież magia to działka demonów! To one ją czynią!

- Demony nie istnieją, przyjacielu.

- Jak to?

- Jeśli nawet, to nie w sposób, w jaki się wam zdaje. Istoty rozumne miewają swych bogów. Całe narody wierzą w jedną bądź kilka istot wyższych od nich samych. Zaiste, ci mają siłę, by wpływać na świat. Każdy zaś huria wierzy w swojego, osobnego demona. Jesteście zbyt słabi, by powołać do życia tak wiele tak bardzo rozproszonych istot. A jeśli nawet jakaś powstanie, to ma ona tak mało mocy, że z ledwością podtrzymuje swoją własną egzystencję. Wpływ demonów na wasze życie jest tylko przeświadczeniem, istniejącym wyłącznie w waszych głowach. Ale to wystarczy, by go doświadczać.

- Przecież Lōzi czarowała, bo miała w sobie demona, znającego się na magii.

- Istoty słabej wiary potrzebują pośredników, by wierzyć. Magowie i kapłani potrzebują gestów, zaklęć, różdżek, lasek, pentagramów, świec, haftowanych szat i spiczastych kapeluszy. Leśne elfy składają modły do duchów drzew, którymi się opiekują, ruberzy w halucynogennych transach rozmawiają ze zmarłymi, zaś wy, hurie, polujecie na demony. Wszyscy się oszukujecie...

- To znaczy, że demony zostały... wymyślone?

- Tak. To oszustwo. Ale wygodne oszustwo.

- Ale to znaczy, że ci wszyscy albińscy, barbarzyńscy czy erabscy bogowie to również jedno wielkie kłamstwo!

- Bogowie istnieją, przyjacielu, choć to prawda, że to wyznawcy powołali ich do życia i to oni podtrzymują ich istnienie swoją wiarą. Gdy zginą wyznawcy, bogowie znikną wraz z nimi albo zasną wiecznym snem.



- Myślałem, że demony i bogowie są nieśmiertelni; że są starsi od wszystkich ras, jakie chodzą po ziemi...

- Jedno nie wyklucza drugiego.

- Jak to? Przecież by pojawił się jakiś bóg, najpierw muszą pojawić się wyznawcy, by go sobie wymyślić. Sam to powiedziałeś.

- Macie bardzo ograniczone pojęcie o czasie i przestrzeni. Każdą porcję energii można przesuwac w dowolnych kierunkach we wszystkich wymiarach. Wystarczy tylko umieć ją złapać. Jeśli wyznawcy uwierzą, że ich bóg powstał przed nimi, to tak właśnie będzie.

Nic już z tego nie rozumiałem. A smok powiedział jeszcze:

- My też jesteśmy częścią czyichś wyobrażeń, przyjacielu. Istniejemy, bo ktoś w nas uwierzył.

- Kto?

- Podróżnik.

- Nie brzmi imponująco. To jakiś mag?

- Większy nad wszystkich magów na całym świecie razem wziętych.

- W takim razie potrzebuję jego pomocy. Chętnie bym go poznał.

- To akurat jest możliwe – odparł smok, kładąc swą olbrzymią głowę na ziemi tuż obok mnie...



*Dziś pogrzebaliśmy Kiini, sędziwą hekałę z naszej mbarii. To znaczy nie pogrzebaliśmy, a ułożyliśmy na przygotowanym stosie. Nie znałem jej zbyt dobrze, niewiele z nią rozmawiałem. Była tu szamanką przed Sihiri, ale na stare lata zupełnie straciła moc i pozycję w hierarchii. Dziwnie było patrzeć, jak dzikie ptaszky rozdziobują jej martwe ciało w rytualne Maiti. Po niespełna godzinie rozeszliśmy się do swoich zajęć jak gdyby nigdy nic.*



Niski pomruk wibrował całym moim ciałem. Sierść zjeżona. Ogon w napięciu. Rękami i nogami kurczowo trzymałem się wypustków kręgosłupa. Pazury ślizgały się po twardych łuskach. Śnieg pod nami wirował przy każdym machnięciu tych majestatycznych skrzydeł. Coś niesamowitego!

Wznieśliśmy się w powietrze. Ależ stamtąd był widok na ośnieżone szczyty stromych gór, mieniące się w blasku księżycowej łuny; na Sterburcie wyrósł płaskowyż, którym szedłem przed kilku dniami; z prawej – odległe lasy, doliny rzek, Wielki Uskok... Oniemiałem z wrażenia. Wówczas ziściło się moje jakże przecież nierealne marzenie, by przeistoczyć się w ptaka i spojrzeć na świat ptasimi oczami. Smoczy grzbiet dalece te marzenia przerósł.

Zatoczyliśmy spore koło, okrążając tę rogatą górę. Obróciliśmy się w jej stronę i, machając z wielką siłą skrzydłami, ruszyliśmy przed siebie, nabierając tempa. Z całych sił chwyciłem się gadziego ciała.

Bębny grzmieć! Surmy grać!

Trzaskały iskry. Wicher targał futro. Śnieg walił zewsząd. Powietrze aż wrzało od gorąca. Aż paliło w skórę! Wszystko drgało.

Smok naprężył skrzydła w górze niczym wielkie żagle i w takiej pozie parł naprzód. Spojrzałem w dół, a grunt przybliżał się tak szybko, że zamknąłem ze strachu oczy.

Stało się.

Astralna brama wypłula nas po drugiej stronie.

Powietrze było rześkie, ale pachniało latem. Wiatr ustał. Lizwały mnie po sierści ciepłe promienie słońca. Rozbłysnęła przed nami kraina wielkiej ilości jezior – niczym porozrzucane klejnoty przeróżnych rozmiarów pobłyskiwały w świetle poranka. Pokrywały całą ziemię aż po odległe pasma gór na horyzoncie. Słońce właśnie wschodziło, tylko zdawało się być jakoś gdzie indziej niż powinno, przez co zupełnie straciłem orientację.

Zatoczyliśmy pełny łuk, zostawiając za sobą tę piękną krainę. Z łatwością prostego skoku wzbiliśmy się ponad ostre, poszarpane turnie, gdzieś niedługo pokryte jeszcze śniegiem. Wśród nich była jedna góra o dwóch ostrych szczytach sterczących ku niebu i pochylonych czubkami do siebie. To musiała być astralna brama, którą się tam przedostaliśmy. Miała nieco inny kształt od tamtej, na którą wchodziłem poprzedniego dnia. Ciągle nie mogłem uwierzyć, że wszystko to działo się naprawdę...

Leciliśmy nad ziemią poszarpaną licznymi górami. Z trudem dało się wypatrzeć łatą płaskiego terenu. Ciągle wspinaliśmy się w powietrzu ponad

kolejne szczyty, było coraz zimniej i coraz bielej. Nagle w którymś momencie dostrzegłem trzy skrzydlate sylwetki, lecące w naszą stronę.

- Smoki! – zakrzyknąłem.
- Prawie, przyjacielu. To pterodraki – odparł smok.
- Są groźne?
- Bez obaw. Pagną oddać nam hołd.

Stworzenia, machając wciąż skrzydłami, zawisły w powietrzu i opuściły na chwilę swe długie szyje. Ciała miały smukłe i delikatne, pokryte jakby skórą, a nie łuskami jak mój smok. Były też od niego sporo mniejsze. Dopiero gdyśmy przelatywali obok nich, dostrzegłem na ich grzbietach sylwetki jakichś ludzi – na każdym pterodraku siedział w siodle jeździec, również oddający nam pokłon. Mieli na twarzach metalowe maski – błyszcząły złotem w słońcu.

- To świadomy lud. Przyjaciele smoków – wyjaśnił dudniący głos, gdy odprowadzałem ich wzrokiem za horyzont, choć ledwo mogłem ich już dostrzec wśród chmur. – W szerokim świecie nazywani są daimerami.

- Daimerzy? Pierwsze słyszę.
- Świat jest wiele bogatszy od waszych dotychczasowych wyobrażeń, przyjacielu. Spójrzcie choćby na wprost!

Przed nami rozciągała się grań tak ostrych i wysokich gór, że nie było już za nimi żadnych kolejnych. Tylko niebo. A zrobiło się ono granatowe jak pod wieczór, choć ledwo było po południu. Nawet gwiazdy było widać. Szaleńczo parliśmy dalej w górę, chcąc przefrunąć nad tym grzbietem. Gdy chwyciłem się mocniej, spostrzegłem, że całe futro miałem białe od szronu! Jakże tam było okrutnie zimno! Zacząłem się krztusić, nie mogąc złapać tchu! Nerwowo łapałem powietrze, świat wirował, traciłem równowagę, myślałem, że jak nic zaraz stamtąd spadnę! Gdy wreszcie wyskoczyliśmy ponad grań, oniemiałem zupełnie...

Góry zniknęły nagle, zrobiło się tak cicho i pusto, a my znaleźliśmy się nad gigantycznym urwiskiem – tak głębokim, że dno ginęło gdzieś hen pod nami w najczarniejszej czerni. Otchłań wielka jak ocean początkowo zdawała się nie mieć końca, ale w rzeczywistości wyraźnym łukiem odcinała swój głęboko czarny kształt na tle rozgwieżdżonego, nocnego nieba. Przecież dzień był, myślałem. Wszystko mi się plątało już ze sobą. Oprócz konstelacji gwiazd, których nigdy w życiu nie widziałem, było tam coś jeszcze...

W jednym miejscu, jakby po drugiej stronie tej otchłani, wyrastała inna jeszcze czarna plama, przysyłająca gwiazdy. Miała podłużny kształt jakby gigantycznego bumerangu o wielkości kontynentu. Jeden jego koniec był zanurzony w ciemni otchłani – jakby wetknął go tam jakiś olbrzym; drugi zaś wystawał daleko poza jej krawędź i świecił światłem tak jaskrawym, że aż bolały oczy. Podejrzewałem, że musiała to być jakaś wielka skała oświetlona promieniami słońca. Sama świecąca końcówka wyglądała jak nieco nieforemny księżyc, jej powierzchnia poryta była wielkimi żłobieniami i mnóstwem kraterów – takimi jak na Eirini i Polemos, tylko znacznie większymi. To było coś niesamowitego! Obserwowałem z góry to zjawisko, choć w zasadzie nie wiedziałem już, gdzie była góra, a gdzie dół.

„Co to jest?”, pytałem w myślach, gdyż widok odebrał mi mowę.

- To Podróżnik, przyjacielu – odparł smoczy głos.

„Podróżnik? Jest... skałą?”

- I tak, i nie. Poznacie go jeszcze bliżej. Tego wszak chcieliście.

Doprawdy warto uważać na to, czego się pragnie...

Górski grzbiet, ponad którym przed chwilą przebrnęliśmy, konturami swych ostrych grani mienił się na złoto w świetle słońca. Okazał się być niczym innym jak samą krawędzią świata! Oddzielał go od tej czarnej otchłani, w którą zanurkowaliśmy. Pęd powietrza począł znów targać moje futro, szumieć w uszach, mrozić mi skórę i ciągnąć, byle mnie zrzucić z tych łusek. Nie wiem, jak ja się tam utrzymałem...

„Jeśli istnieje piekło, to właśnie w nim jestem”, pomyślałem. „To przecież musi być spodnia strona świata!”

- Dół, góra, to bez znaczenia – odparł smok. Nie mam pojęcia, jak go usłyszałem w tym hałasie.

„Ale przecież to tu jest mrok, śmierć i Chaos!”

- Mrok, śmierć i Chaos są po obu stronach świata, przyjacielu.

„Jak to? Przecież to dół przedarł się na górę podczas tej całej wielkiej wojny. To był Chaos! Żywe trupy! Krucza Armia!”

- Jeden Porządek próbował zastąpić inny Porządek. Nic ponadto. Ostatecznie wszystko dąży do równowagi.

Gdy tylko to wyrzekł, nagle wyrównał lot. Aż mi się ta elficka zbroja wrznęła w sierść, tak mnie przycisnęło do smoczyc łusek. Otchłań zrobiła się jaśniejsza – bezwzględna czerń nabrała szarych tonów i światłocieni. Dzięki temu widać było, jak prędko mknęliśmy na tych smoczyc skrzydłach – łąd pod nami tylko migał – nawet najszybsze kazary nie biegną

z takim pędem! Lecieliśmy wzdłuż podłużnych rowów ciągnących się kilometrami. Były tak równe i łagodne, tak łukowato wyprofilowane, jakby nie stworzyła ich natura. Pierwszy raz widziałem tak przedziwnie regularne górskie formacje.

Dopiero wówczas, patrząc na gwiazdy i na odcinające je czernią wysokie burty otchłani, dokonałem zadziwiającego odkrycia. Byliśmy wewnątrz ogromnej, szerokiej kotliny pomiędzy górną a dolną krawędzią świata. Gdy spojrzałem za siebie, ta wielka skała o kształcie bumerangu była pomiędzy nimi. Sterczała jak gigantyczna wieża, a słoneczne światło malowało złotem jeden z jej boków. Coś niesamowitego!

W myślach zagadnąłem do smoka:

„Myślałem, że świat jest wielką kulą z pierścieniem gór pośrodku.”

Nie odpowiedział. Zrobiła to rzeczywistość. Ta sama, która mnie mroziła, usypiała, dusiła i bolała w każdej części ciała; ta sama, przez którą nie czułem już rąk, które smoczego ciała trzymały się chyba tylko z przyzwyczajenia.

Przed nami, zza horyzontu, pośrodku tej gigantycznej kotliny zaczął powoli wyłaniać się skalisty, naznaczony kraterami kształt, jasno świecący słonecznym blaskiem. Nie był to jednak wschód Eirini ani Polemos. Wschodził jakiś nowy księżyc – tak to wówczas wyglądało. Chyba tylko nieposkromiona ciekawość powstrzymywała mnie od utraty przytomności. Kształt rósł w oczach z każdym machnięciem skrzydeł. Już miałem pomyśleć, że nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego, ale zorientowałem się, że to nieprawda. Widziałem coś podobnego... To była głowa... żółwia. Wielkiego żółwia! Przeolbrzymiego, gigantycznego żółwia! Leander się mylił – świat wcale nie jest kulą. Jest żółwiem o rozmiarach tak monstrualnych, że trudno by go było sobie wyśnić. Zresztą chciałem się obudzić, ale to wcale nie był sen.

Zatrzymaliśmy się w powietrzu, a ja wciąż chłonałem wzrokiem to ciało ze skały; te łuski jak góry; te kratery jak morza. Wielkie oko żółwia, przysłonięte olbrzymią powieką musiało mieć wielkość małego państwa! Wpatrywał się nim w kosmos.

- Dalej już nie lecimy, przyjacielu – rzekł smok. – Nie mielibyście już czym oddychać.

„Ale Podróżnik...” zacząłem w myślach, ale nie byłem w stanie skleić choćby jednego zdania.

- Oto jest. I zawsze był.

„Więc wymyśleć... my... wielki żółw?”

- Tak, to prawda. Wymyślił nas sobie wielki żółw. A co ciekawsze, musiał skądś czerpać inspirację. Wyobraźnia nie bierze niczego z powietrza. Musi gdzieś istnieć świat, który jest naszym pierwowzorem.

„Ja... mówić... on?”

- Chcielibyście z nim pomówić? Zuchwałe! Ale nie usłyszysz cię. Musielibyście się stać białym smokiem, przyjacielu. Co najmniej. O co chcecie go zapytać? Może znam odpowiedzi.

Smok czekał. Z trudem sięgnąłem więc do plecaka i ostatkiem sił wyszarpałem z niego martwe ciało Mlei. Było zimnym soplem lodu pozbawionym zapachu. Ręce tak mi drgały, że bałem się, że ją upuszczę w przepaść pod nami.

- Chcecie ją ożywić, przyjacielu? – smok czytał mi w myślach. – Nie potrzebujecie mówić z Podróżnikiem, by tego dokonać. Wszyscy jesteśmy jego stworzeniem, ale i spadkobiercami. W każdej żywej istocie istnieje jego cząstka. Każdy ma jej dość, by myślą przenosić góry. Uwierz, przyjacielu, a stanie się.

Była tak zimna... Nie służyło jej górskie powietrze. Ale przecież zmarzła tylko. Wystarczyło ją jedynie ogrzać... Odpiąłem i zrzuciłem z siebie tę elficką zbroję. I tak na nic się nie przydała. Mocno przycisnąłem ciało Mlei do własnego futra i otuliłem ją całym sobą. Czulem, jak krople rozmarznętej wody ściekały mi po sierści. Pragnąłem oddać jej całe moje ciepło, choć sam dygotałem już z zimna.

- Ogrzej się, Mlei – szepotałem jej na ucho.

Nawet nie zauważyłem, kiedy smok zawrócił w powietrzu i ruszył w górę. Gdy przelecieliśmy ponad krawędzią świata, gorące promienie słońca lizały nas na powitanie. Wystawiłem jej zmarznęte łuski, by złapały trochę ciepła. Tuląc lodowy sopel do sierści, podziwiałem wielkie połacie Wysokich Lasów. Nie widzieliście w życiu takich drzew – pną się w górę nawet na kilometr, a korony mają tak gęste i zwarte ze sobą, że panują pod nimi zupełne ciemności, podczas gdy na górze tworzą coś w rodzaju ogromnego baldachimu trawiastych pagórków, ciągnących się aż po horyzont. Lecieliśmy tak nisko nad nimi, że aż *mbarie* quidan i gudoków rozbiegały się w popłochu przed nami. To dwie cywilizacje, które rozwinęły się na tych podniebnych łąkach, budując na nich swoje osady. Gdy tak podziwiałem tę fantastyczną rzeźbę roślinnego płaskowyżu, usłyszałem głos:

- Zimno mi. I jestem głodna, Ario.



*Do dziś się zastanawiam, czy chciałbym skończyć tak samo jak Kiini? Być pożartym przez ptasich padlinożerców... Odchodząc w ogniu z dymem palącego się stosu, zachowuje się przynajmniej jakąś godność. Godność to głupota, mówią hurie...*



Świat jest pełen możliwości. Ze smoczego grzbietu widziałem dość, by się o tym przekonać.

Leciałem nad onkiańską dżunglą, arufiańską sawanną, pardiańskim stepem i tigriańskimi skalnymi miastami; widziałem mesejskie wioski zaszyte w gąszczu tropikalnych lasów, ruberskie osady o stożkowych namiotach krytych skórami zwierząt, enuickie schronienia łowców zbudowane z kostek ciętego śniegu, podniebne gniazda mesejosów lewitujące pośród chmur, domy hodowane z żywych łądyg i liści w koronach drzew przez leśnych elfów oraz te drążone w litej skale i gęsto zdobione płaskorzeźbami przez ich mrocznych krewniaków; po dachach odgadywałem mieszkańców wsi, miast i metropolii: domy jin-hanów wyglądały jak zebra wygiętej w górę jaszczurki, arabskie były całe białe i proste lub kapąły złotem z pękających kopuł, albińskie kryto gontem bądź ubitą słomą, amfiońskie – ceglasto-czerwoną dachówką, ogrińskie porastała trawa i mech, a ziemianki niziołków to już w ogóle do złudzenia przypominały zwykłe pagórki, orkowe zdobyły czaszki zwierząt, ludzi i orków, zaś pałace wysokich elfów pięły się w niebo smukłymi wieżami, zachwycając harmonią architektonicznego kunsztu; zwiedziłem raz jeszcze surowe ziemie daimerów, przyjaciół smoków, i przyległą do nich krionicką krainę gór i skutych lodem jezior o lśniących miastach z litego kryształu; zahaczając skrzydłami o morskie fale, nacierałem na sterburcki archipeląg, syrenidzkie rafy koralowe, wulkaniczną wyspę olbrzymich cyklopów, barbarzyński Pil, skąd pochodził Ivarr, żaglową flotę gorgańskich łowców niewolników i gigantyczne żółwie, wyglądające z góry jak te zwykle, żyjące w jeziorach lub w bagnach; zobaczyłem dzikie ostępy

pełne entów, kroczących wśród drzew, spaloną słońcem piaskową pustynię centralną oraz tę lodową na Ruffie, oslepiającą bezmiarem bieli, ciągnącej się po horyzont, a zamieszkałą przez enuitów, bezkresne bezdroża centaurów o trawach falujących na wietrze niczym ocean, niekończące się pasma krasnoludzkich gór wypiętrzonych z ziemi niczym kregosłupy wielkich smoków, rozległe połacie ogrińskich pól uprawnych poprzecinanych siatką nawadniających kanałów, a nawet piekielne ziemie na Sterburcie i Bakburcie wyjałowione z wszelkiego życia za wyjątkiem świecących w nocy wielkich grzybów; byłem nawet na spodniej stronie świata – szybowałem tam wśród wzgórz, gór oraz wulkanów pełnych magmy i dymu, wzdłuż dolin szerokich rzek o rozczapierzonych deltach i nad centralnym oceanem dalece głębszym od Wielkiej Wody, ale nie odnalazłem tam ani spalonej, ani zepsutej, ani mrocznej, ani umarłej ziemi, choć w istocie zamieszkiwały ją cerbery, globstery, jaszczury, czarne pegazy, wszystkie rodzaje smoków, o których opowiadała mi Mlei, oraz wiele innych istot, o których się nie śniło twórcom bestiariuszy.

Jakże niewiele widziałem świata, krocząc jedynie po jego powierzchni... To może wręcz zaskakujące, że z tego ogromu możliwości zdecydowałem, by resztę swego życia spędzić na ojczystej ziemi. Mlei nie podzielała moich pragnień, zresztą trudno się jej dziwić – wśród huryjskich *mbarii* nie miałyby przecież co jeść. Nie mamy tu ani papieru, ani książek. Planowała zwiedzić erabskie biblioteki – podobno najbogatsze na całym świecie i sporo większe niż ta amfińska w Cacci. Nadeszła więc chwila, w której przyszło nam się rozstać. Podziękowaliśmy sobie za tę wspólną przygodę, z której cudem wyszliśmy żywi. Obiecaliśmy sobie, że jeszcze się zobaczymy.

- Jak ci trojden pozwoli – rzuciła żartem Mlei.

Dopiero wówczas doszło do mnie, że ten irytujący pasożyt nie odzywał się do mnie od czasu, gdy spotkałem się ze smokiem na tej rogatej górze! Nie powiedział ani słowa, nawet gdy wylecieliśmy za krawędź świata; nawet gdy zobaczyliśmy Podróżnika. Zachwyił się i umarł z wrażenia? Nie chciał się wtrącać, bo dobrze mi szło? Może pochłonęła go astralna brama, gdyśmy się przez nią przeprawiali? Albo zamarzył w tym górskim powietrzu i przypadkiem zerwał go z siebie, gdy ściągałem tę elficką zbroję? Do dziś nie wiem, co się z nim stało? Gdy wówczas badałem ręką swój kark i plecy, nie odnalazłem na nich tej wżartej w futro i skórę ośmiornicy.

- Jestem... wolny! – wykrzyknąłem radośnie na całe gardło.

Mlei uśmiechnęła się po smoczemu i rzekła:



- Zawsze byłeś, Ario. Zawsze byłeś.  
 - Jakby mi ktoś życie oddał...  
 - Zawsze było tylko twoje.  
 - Czas już na nas, przyjacielu – wtrącił smok. Z nim również się wówczas żegnałem. Mieli razem lecieć do Erabii.  
 - Mam jeszcze tyle pytań! – rzuciłem.  
 - Pytajcie więc.  
 Gorączkowo szukałem w myślach którejkolwiek z tych wszystkich kwestii, którą koniecznie miałem jeszcze z nim poruszyć:

- Młyn! – rzuciłem.  
 - Tak. Co chcecie wiedzieć o Młynie?  
 - To taka albińska kopalnia na Bakburtę od Borwoldu o kształcie wielkiego, odwróconego stożka i poziomach ze zdobionymi kolumnami. Ale czym to w zasadzie było?

- To nie kopalnia, przyjacielu. To raczej... most.  
 - Most? Pod ziemią?  
 - Nie pod, a pomiędzy...  
 Zdecydowałem się spytać o coś innego:  
 - A Podróżnik? Powiedz, skąd wyruszył i dokąd tak płynie?  
 - Trudno ująć to słowami. Najlepiej, jak sami zadacie mu to pytanie.  
 Tak... niektóre jego odpowiedzi były nieco... enigmatyczne. Wreszcie przypomniało mi się, o co miałem go zapytać od dłuższego czasu:

- Zaraz, już wiem! Nie poznałem jeszcze twojego imienia!  
 A on odparł:  
 - Imiona nie mają żadnej wartości, przyjacielu.  
 Gdy z czubka dorodnego puchowca wpatrywałem się w kontur skrzydeł szybko niknących za horyzontem, znów czułem, jak zostawiam coś bezpowrotnie za sobą...

Od tamtego dnia błąkam się po huryskich *mbariach* i opowiadam swą historię takim jak wy. Minęło już kilkanaście lat odkąd ostatni raz widziałem Mlei. Nie wiem, czy moje stare oczy kiedykolwiek ją jeszcze zobaczą, tak samo jak nie wiem, czy kiedykolwiek zobaczą jeszcze smoki. Wiem jednak, że w znacznej mierze zależy to przecież od mojej woli.

Świat jest pełen możliwości. To, jak je postrzegacie, moje chekechee, zależy wyłącznie od was. Nie od *raisa*, hierarchii, koloru sierści, rewiru, demona – wyłącznie od was. Każdy problem rodzi się w głowie i w niej rów-

niez znajduje się jego rozwiązanie. Wszystko siedzi w głowie, jak mawiała Dhahiri.

Ja w świecie dostrzegałem piękno. I wcale nie dlatego, że świat jest piękny, bo nie jest i sam z siebie być nie może. Piękno rodziło się w mojej głowie, bo tego chciałem. Bo tak chciałem świat postrzegać. W jakikolwiek sposób spojrzycie na świat, takim się wam stanie. Jeśli zechcecie, będziecie szczęśliwi – pomimo wszystko, choćbyście byli sami i nie mieli nic. Ale przymusu nie ma. Jeśli widzieć będziecie chcieli zło, wyzysk, choroby i zepsucie, to dostrzeżecie je. Wasz wybór.

To, czy i jak wykorzystacie dane wam możliwości, również zależy od was. Jesteście huriami. W języku mesejów znaczy to tyle, co wolni. Nigdy nie przestaniecie być wolne. Nikt wam tego nie odbierze. Zawsze będziecie mieć wybór, a z każdego więzienia uda się wam uciec. Nawet z takiego, które nie miałyby krat, a powstałoby wewnątrz was samych. Wasze życie zależy wyłącznie od was. Bo wszystko siedzi w głowie. Waszej głowie...



*Nie jestem hurią i nigdy nie będę... To naiwne sądzić, że wystarczy chcieć, by zacząć myśleć tak jak oni. Wzajemne zrozumienie z góry skazane jest na niepowodzenie. Narodziliśmy się w wodzie, osiedliśmy na odrębnych wyspach i z nich obserwujemy inne lądy, widząc jedynie ich skrawek. Kiedy chcemy się na któryś przeprawić, spostrzegamy, że zapomnieliśmy już, jak się pływa.*

## Epilog

Gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, przyjacielu, nawet mi przez myśl nie przeszło, że któregoś dnia staniesz się jednym z nas. Moje stare oczy wiele już w życiu widziały, ale twoja próba Mahiri zrobiła na mnie wrażenie. Stałeś się hurią mimo braku sierści i ogona, mimo ludzkiego ciała, w którym się urodziłeś. Ale twoja przemiana wcale nie odbyła się w ciele, a wewnątrz twojej głowy. Uwierzyłeś i stało się.

Widzisz... Opowiadałem tę moją historię już wiele razy – w pardiańskich, onkiańskich, arufiańskich i tigrzańskich *mbariach*. Za każdym razem, gdy dochodzę do jej końca i mówię, że wszystko siedzi w głowie, zaczynam powątpiewać, czy aby na pewno wszystko to, o czym opowiadałem, stało się naprawdę? Bo może w istocie wszystko to siedzi w głowie? W mojej głowie... Może wszystko to sobie wymyśliłem, a powtarzając tyle razy, uwierzyłem, że rzeczywiście się zdarzyło?

Któż normalny wierzy w smoki? Widziałeś kiedyś jednego? Uwierzyłeś, że spotkałem któregoś z nich i że ten, zamiast mnie pożreć, zaprosił mnie na swój grzbiet? A w to, że na skrzydłach pokazał mi cały świat – nawet jego spodnią stronę? Uwierzyłeś, że z pierwszym lepszym hurią podzielił się wiedzą, o której nie mają pojęcia zwykli śmiertelnicy? A przecież miał to być biały smok – najrzadszy, najprzebieglejszy i najsumienniejszy w pilnowaniu swych tajemnic! Uwierzyłeś, że siłą własnych myśli ożywiłem martwe i zmrożone na kość ciała Mlei? A w to, że świat jest niesiony na skorupie olbrzymiego żółwia, który przemierza kosmos pośród gwiazd – w to też uwierzyłeś? Przecież nikt w to nie wierzy! To bajki dobre dla chekechei! Tyle że mi... wydają się tak bardzo prawdziwe...

Z taką łatwością uwierzyłem, że na dobre pozbyłem się trojdena, tego irytującego pasożyta, który wdarł się niegdyś do mojej głowy i ukradł mi własną wolę. Jakże się zdumiałem, gdy odkryłem, że zniknął z moich pleców; a jeszcze wcześniej jakże było to dziwne, że nie odezwał się do mnie

ani słowem od momentu, gdy spotkałem smoka. Przecież do tamtej chwili komentował złośliwie każdą moją myśl! No właśnie... A może nigdy nie spotkałem żadnego smoka, a wszystkie te smocze przygody i cały ten niesamowity świat, jaki ujrzałem, to jedynie bajki, w które tak ochoczo uwierzyłem, a które podsunął mi do głowy trojden? Tylko jak to się stało, że nagle zniknął? Nie pamiętam przecież, żebym się go pozbywał, więc albo wymazał mi z pamięci część wspomnień, albo to, że zniknął, to również bajka! Może ten obszligły pasożyt ciągle we mnie tkwi? Może tak naprawdę moje ciało wciąż jest na tamtej rogatej górze, na którą się wspiąłem, a trojden raczy mnie głębokim snem i nie pozwala się obudzić? A może ukradł mi całe ciało i wędruje gdzieś w sobie tylko znanym celu, a ja w najmniejszym stopniu nie jestem tego świadom? Może to jakiś psioniczny rozkaz – taki jak u Turama, czy tam Sjarma? Nieraz próbowałem już się obudzić z tego snu. Bezskutecznie.

Nie jestem nawet pewien, czy te kilkanaście lat, które przeżyłem wśród huryskich *mbarii*, jest prawdziwe czy nie? Tak samo jak nie wiem, czy rozmawiam z tobą teraz na sawannie w cieniu tego drzewa, czy raczej wewnątrz mojej własnej głowy? Nie mam jak sprawdzić, czy istniejesz naprawdę. Postradałbym rozum, gdybym na co dzień nie uciszał w sobie takich myśli, niemniej jednak zawsze zostaje jakaś wątpliwość...

Na przykład to, że gdy opowiadam, miewam czasem wrażenie – może ty również – że moje przygody zrobione są... z innych moich przygód. Jakby różne ich szczegóły zdarzyły się już wcześniej, w innej części opowieści. Chekechee, które słuchają tego, co mówię, zupełnie przypominają rówieśników Gwaii z jego rodzinnego rewiru, o których wspominał w Młynie. Trawy, jakie tu wszędzie rosną na tej sawannie, wyglądają identycznie jak ta sucha kępa, którą niegdyś przemyciła z powierzchni Vijani. Cały ten rewir ludzaco jest podobny do tego, w którym byłem wraz z Ivarrem. Zwierzęta, jakie tu spotykam, widziałem już w książkowych bestiariuszach w bibliotece Leandra. Nawet tła pasują jak ulał. Wreszcie Podróżnik, ten wielki żółw, zdaje się być jedynie kopią tej pływającej wyspy, o którą rozbiłiśmy knarę podczas sztormu, tylko znacznie powiększoną i przeniesioną z wody do przestrzeni między gwiazdami. Przecież wyobraźnia nie bierze niczego z powietrza, prawda? Być może rzeczywiście wszystko to są jedynie wspomnienia sprytnie przetworzone przez trojedna, który śmieje się teraz, że daję mu się nabrać i wierzę w tę ułudę, jakby była prawdą. Na demony!

A może tych wszystkich wizji wcale nie składa trojden, a moja własna wyobraźnia? Słyszałem od kogoś, że w momencie śmierci umierającemu przelatuje przed oczami całe życie. Może wcale nie chodzi o życie, które było, a o życie, które mogłoby się zdarzyć? Może moje ciało właśnie dogorywa, a wyobraźnia w agonii tworzy zdarzenia, które nigdy się nie wydarzyły? A jeśli ciągle jestem w Hawkshaven – w tamtej płonącej piwnicy z winem? Może to, że obudziłem się w środku barbarzyńskiego powstania to tylko reakcja mojej wyobraźni na to, co mówił na ten temat Turam oraz kiedyś Bradach, ten kowal z Młyna? Może nie było żadnego powstania, a pożar zaprószył przypadkiem jakiś roztargniony albiński kamerdyner? Wyprawa z Ivarrem po hurujskich niewolników równie dobrze mogła być moim wewnętrznym buntem na te wszystkie historie, jakie opowiadał Haramisha i inni. Zaś niewolnicza praca w barbarzyńskim magazynie oraz w amfiońskim kamieniołomie tylko dowodzi tego, że wyobraźnia nie bierze niczego z powietrza – a przecież znała głównie niewolniczą, młyńską tyrkę. Pamiętasz tego mrocznego elfa z mojego łańcucha? Mówił o amfiońskich więzieniach – że pełno tam chorób, głodu, brudu; że pozbawione są słońca i gwiazd. Wypisz wymaluj Młyn.

A może... choć byłoby to już makabryczne... może wciąż leżę na szóstce w kałuży hurujskiej i albińskiej krwi? Może nasza wielka ucieczka z Młyna właśnie upada wśród wrzawy tego strasznego starcia ze strażnikami, a ja – przygnieciony przez martwe ciała i przebity bukackim mieczem bądź bełtem – wydaje z siebie ostatnie tchnienie?

Pamiętasz? Sjarm też miał przeżyć pod takim stosem trucheł, gdy ich oddział wpadł w zasadzkę Kruczej Armii. A pamiętasz, jak przywitała mnie Vijani, gdy pytała, jak ma się do mnie zwracać? Wtedy, gdy ją spotkałem po powrocie z zakupów w Alm? Powiedziała: „Aria. No tak. Dobre imię. Może być. Pasuje do ciebie”. Powiedziałem dokładnie to samo, gdym przed laty leżał w celi, a Chekechea zagadnął do mnie przez ścianę. A jak razem z Vijani weszliśmy do chaty tej albińskiej więdźmy, cały strop gęsto obwieszony był intensywnie pachnącymi ziołami – zupełnie jak na gałęzi zielarza z opowieści Gwayi. A Wilda, córka Ricardy? Zginęła, bo za bardzo zaufała huriom – zupełnie tak jak Siostra, mała tresowana mysz Chekechei. Kowal, któremu zabrałem dwa sztylety, kuł po nocy stal, a rozżarzone iskry roztańczone biegały po kowadle – zupełnie tak samo jak u Bradacha, kowala z Młyna. Były identyczne. Wyobraźnia nie bierze niczego z powietrza...

Może, może, może... Sam już nie pamiętam, która wersja jest prawdziwa? Może żadna z nich? Ale to wszystko jest już bez znaczenia.

Wiem tyle, że gdy opuszczałem Młyn, coś we mnie umarło. Umarł we mnie Chekechea. Mój wewnętrzny Chekechea. Zamordowałem go. Stałem się dorosłym hurią i przestałem postrzegać świat jego oczami. Tylko że zamiast przejrzeć – oślepiłem zupełnie i bezpowrotnie. Nieraz brakuje mi jego spojrzenia. Czasem próbuję go jeszcze ożywić, ale jego ciało dawno już rozszarpały dzikie ptaki...

Muszę ci się do czegoś przyznać, przyjacielu... To ja wymyśliłem Chekecheę. Wymyśliłem sobie Chekecheę. Dopiero niedawno to sobie uzmysłowiłem. Przez te wszystkie lata byłem przekonany, że istniał naprawdę. Tak bardzo we mnie wrósł. A to był tylko wytwór mojej wyobraźni. Wymyśliłem go od początku do końca. Gdy Leander pytał mnie o moją dawną *mbarię*, tę sprzed Młyna, nie mogłem jej sobie przypomnieć, bo i nigdy jej nie było. Przyszedłem na świat w Młynie, nigdy nie widząc ani huryskiej ojczyzny, ani blasku słońca, ani gwiazd na nocnym niebie. Nie miałem tam żadnych rówieśników. Byłem sam pośród hurii. Dlatego wymyśliłem Chekecheę. To było wtedy, gdy mnie ciurmaki tak stłukły w kabarynie, że m to ledwo przeżył – po tym, jak zabili Rembę Roha. Miałem wówczas jakieś sześć lat, sam byłem ledwo chekecheą. Wyobraziłem sobie, że jakiś mój rówieśnik zaczął mówić do mnie przez ścianę. Wyobraziłem sobie, uwierzyłem i ziściło się.

Przez te wszystkie lata rósł we mnie wewnątrz mojej głowy. Wyobrażałem sobie, jak zostawał w celi, nie musząc schodzić na tyrkę jak ja; jak z tęsknoty powołał do życia małą mysz, którą traktował jako własną Siostkę; jak rozkopywał ścianę aż runęła mu na głowę; jak uciekł klucznikowi, próbując podejść do Uhai. Wyobrażałem sobie jego lęki, marzenia i tęsknoty, powoli tracąc rachubę, czy były to jego lęki czy też moje? Wyobrażałem sobie nawet jego wyobrażenia – jak śnił o wolności, o ucieczce, o pracy w młyńskiej kuźni, o tyrcie na poziomach razem z resztą, o nieistniejących przyjaciółach. Do dziś nie mam tylko pojęcia, jakim cudem niektóre z tych jego wyobrażeń się urzeczywistniały? Jak to się stało, że burta Radży zamordowała na wolności tego albińskiego naczelnika banku, księcia Herhausena? Przecież sam wymyśliłem, że ktoś taki w ogóle istniał, tak samo zresztą jak Frei, albiński chekechea o bujnej grzywie, który miał powiedzieć o przyjeździe tego księcia...

No i Turam... Dla zabawy wyobraziłem sobie, że po pokładzie człapie pokraczna, rogata bestia, a gdy mi się znudziła, w locie przemieniłem ją w kulawego klucznika. Irytowała cię postać tego dobrego strażnika, który karmił chekecheę smakołykami i zdradzał mu swoje sekrety? Wydał ci się naiwny bądź głupi? Nic dziwnego. Przecież powstał w głowie sześciolatka! Nie mam tylko pojęcia, jakim cudem stał się tak prawdziwy, że cała cęla żywiła się tym, co przynosił?

Albo jakim cudem ożyły te wszystkie kamienne maszkarony, gdyśmy uciekali z Młyna? Przecież to były tylko wymyślone wyobrażenia wymyślonego przeze mnie Chekechei! Gdy wyszedłem na powierzchnię, musiałem otrząsnąć się z tej niepewności i twardo stanąć na ziemi. Musiałem dorosnąć, stać się huria. A w związku z tym musiałem uśmiercić Chekecheę. Przecież był tylko wytworem mojej wyobraźni...

Dopiero Janga nadał mi imię „Aria”, gdy trafiłem do celi numer jeden. Zrobił dla mnie wyjątek i przyjął mnie bez stosownych rytuałów. Dlatego Vijani, gdy ją potem spotkałem przed chatą Ricardy i Carstena, pytała, jak ma się do mnie zwracać – gdy była na pokładzie, byłem jeszcze ledwo bezimiennym chekecheą z sąsiedniej celi.

A może...

A może... to Chekechea... wymyślił mnie? Może nigdy nie było Arii z burty Radży? Czemu tak dobrze znam każdy szczegół z celi numer jeden, a celę numer dwa pamiętam tak słabo, jakbym ją tylko podsłuchiwał przez ścianę? Leander zwrócił mi na to uwagę. A Vijani? Dlaczego wtedy, przy tej chacie, mi wybaczyła, mówiąc, że Młyn rządził się innymi prawami? Przecież Aria niczym jej nie zawinił. To Chekechea z pierwszej celi ją wydał na pastwę burty! Może jedynie sobie wmówiłem, że wcale nie jestem tym podłym chekecheą, a Arią i że wychodzę na powierzchnię, mając mnóstwo przygód? Może żadna z nich się nie wydarzyła? Może tak naprawdę nigdy nie wyszedłem z Młyna i nigdy nie widziałem ani słońca, ani księżyców, ani gwiazd? Może to wyobrażenia stworzyła wszystkie te zdarzenia, próbując w agonii wypełnić pustkę?



*To objaw jakiejś paranoi, by zarzucić mi, że jestem wytworem jego wyobraźni! Przecież istniejemy tu – tak on, jak i ja! Jeden z chekechei,*

*który codziennie przystuchiwał się Opowieści, dziś wrócił do rewiru ze swojej próby Uhai. Nasz rais oznaczył go nukiami, nadał mu imię Joka, a hurysy naniósł pięknie wzór na jego plecach. Wyjawiał mi, że podczas próby, gdy był na granicy naszego terytorium, zobaczył wielką skrzydlatą bestię, krążącą po niebie. To zapewne też wytwór wyobraźni, ale cóż mi szkodzi, bym spędził z tym młodym hurem trochę czasu? Jego własny ojciec woli oddać się sjeście niż pójść z synem na łowy!*



## Epilog II

Znów jestem w celi. Czuć nasze *nukie*, swąd nieświeżej wołowiny, zapach gieru i bukackie *nuki*. Zerkam w dół. Klęczę na posadzce. Nogi i ręce pokryte mam złotym pyłem. Po sierści ścieka moja krew, a głęboko wbity bełt strażniczej kuszy wystaje mi z klatki piersiowej. Krztuszę się, z trudem łykając powietrze. Zebrawszy w sobie siły, spoglądam w stronę kraty. Stoi za nią Aria, mój najlepszy duet. Przerażony wpatruje się we mnie.

- Widziałem cię – mówię mu, plując własną krwią. – Widziałem, jak stąd wyjdiesz, kim się staniesz, czego doświadczysz, co odkryjesz, czego się nauczysz i jak skończysz. Cały świat stanie przed tobą.

Z każdym słowem nabieram sił. Wszystko układa się w spójną całość. Aria stoi tam oniemiały i jedyne, co udaje mu się powiedzieć, to:

- Ale... jak?

A ja odpowiadam:

- Każdą porcję energii można przesuwać w dowolnych kierunkach we wszystkich wymiarach. Wystarczy tylko umieć ją złapać. Będę cię obserwować aż po kres twoich dni. Wszystko, co zrobisz, nie będzie ani dobre, ani złe. Jesteś tym, który opowie tę historię kolejnym pokoleniom. Opowiesz im o Młynie i o wszystkim, czego doświadczysz, gdy już z niego wyjdiesz. Tak długo, jak trwać będzie ta opowieść w tej czy innej formie, tak długo żyć będę. Spotkamy się na rogatej górze. Widziałem to. A teraz idź. Muszę z kimś porozmawiać.

Odchodzi. Słyszę jeszcze jak stąpa po stopniach schodów. Zamykam oczy. Złoty pył ożywa i zaczyna wirować wokół mnie. Skupiam w nim swoje myśli. Rozpościeram ręce i stają się skrzydłami. Sierść złotą łuską się mieni. Wątle zwłoki chekechei zostawiam za sobą. Ani śmierć, ani żadna inna siła nie może się równać z potęgą wyobraźni!

Napinam swe nowo narodzone ciało pełne pyłowych bestii i wzlatuję ponad kraty, cele i mury Młyna. Spod chmur obserwuję, jak garstka hurii

szuka drogi powrotnej do ojczyzny; jak inna próbuje zaprowadzić sprawiedliwość na drodze zemsty; jak wielkie imperium Terahandearu chyli się i upada z łoskotem, ustępując nowym porządkom w albińskim świecie; jak samotny huria próbuje mnie odnaleźć, choć jeszcze wcale nie wie, że mnie szuka...

Po dziś dzień w złotym blasku słońca krążę nad ruinami Młyna, a wszyscy, których znałem, dawno już pomarli lub zostali zapomniani, choć materia ich ciał i energia, która je popychała, ciągle jeszcze błąkają się po świecie.

## DoDATEK 1

**HURIE** – istoty rozumne, komunikatywne, amfionokształtne, palchochodne, podobne do dzikich kotów. Mają głowę, po jednej parze rąk i nóg oraz ogon. Całe ciało pokrywa sierść. Wyposażone w ostre zęby, szorstki język i chowane pazury. Mają dobry węch i znakomity słuch oraz wzrok, dzięki któremu świetnie widzą w ciemności. Żywią się mięsem, mlekiem i tłuszczami zwierzęcymi. Nie tworzą państw, a jedynie społeczności plemienne oparte na wewnętrznej hierarchii i liczące do trzydziestu osobników. Sprawują rządy despotyczne, patriarchalne i niedziedziczne. Na czele każdego plemienia stoi wódz, mający władzę ustawodawczą, wykonawczą i sędowniczą. Nie posiadają konstytucji, a ustalone lokalnie



prawa są nieraz okrutne i niehumanitarne – jak choćby to, że każdy wódz ma prawo zamordować każde dziecko swojego plemienia bez żadnego powodu i konsekwencji. Władzę wódz oddaje dobrowolnie silniejszemu drogą abdykacji lub przekazuje temu, kto go wyzwie i pokona w pojedynku. Zamieszkują krainy centralne, a w niższych cywilizacjach na całym świecie powszechnie wykorzystywani są jako niewolnicy. Wyróżnia się pięć hurryjskich ras w zależności od umaszczenia sierści i zamieszkiwanego terenu: pardian (cętki, sawanny), onkian (większe cętki, lasy deszczowe), tigran (pręgowane, góry i jaskinie), arufian (niecętkowane i grzywiaste, sawanny) oraz dzikich spellian (niecętkowane, jaskinie). Mieszkają na drzewach, w jaskiniach lub prostych szałasach. Ich bogata, choć prymitywna kultura obejmuje szereg rytuałów, zwyczajów i wierzeń. Nie zawierają małżeństw, uprawiają luźną formę poligamii, zaś potomstwem zajmuje się całe plemię, choć czyni to niechętnie. Przywiązują dużą wagę do zapachu osobniczego, na swoją sierść nanoszą tatuaże, a zamiast pisma stosują ślady zapachowe o ustalonym znaczeniu, jakie nanoszą na skały i konary drzew. Nie uprawiają ziemi ani filozofii; nie mają pojęcia o matematyce, nie znają koła, jeździectwa, sportu, aktorstwa, murarstwa, garncarstwa, kalendarza ani pieniędzy. Zajmują się głównie łowiectwem, hodują koale na alkohol, wytwarzają też broń i narzędzia z brązu oraz proste instrumenty muzyczne. Wierzą w wędrówkę dusz; zmarłych nie grzebią, a pozostawiają dzikim ptakom do rozszarpania.<sup>1</sup>

---

1 *Amphionis historiae*. Praca zbiorowa. Resistenza, Schola Regia Cogitationis, rok pierwszy 33 cyklu, s. 278-279 (tłum. GE).

## Dodatek 2

# Słownik

### Objaśnienia skrótów:

*wieżz.* – więzienne, *hur.* – huryskie, *przyr.* – przyrodnicze

**Akwarela** – (*wieżz.*) barwnik do tatuażu.

**Amfioni** – (*przyr.*) pół ludzie, pół psy.

Gatunek cywilizowanych istot czleko-  
podobnych zamiłowanych w prawie.

Bogata w zabytki Amfia znajduje się  
na Bakburcie, między ziemiami orków  
i barbarzyńców.

**Antylopa** – (*przyr.*) iakk sawannowy.

**Araka** – (*hur.*) huryski likier.

**Aretas** – (*przyr.*) duży roślinożerca  
o szerokim pysku i grzebieniowatym  
kręgosłupie.

**Arufianie** – (*przyr.*) grzywiasta rasa hurii.

**Asalia** – (*hur.*) huryski miód pitny.

**Atanda** – (*wieżz.*) oddział.

**Atandzić** – (*wieżz.*) o ranie, która źle się  
goi.

**Baluchterium** – (*przyr.*) ogromny ssak  
roślinożerny.

**Barbarzyńcy** – (*przyr.*) rasa dumnych,  
silnych i nieokrzesanych ludzi na Bak-  
burtę od Imperium.

**Bawół** – (*przyr.*) duże rogate zwierzę  
kopytne, zamieszkujące sawannę.

**Belka** – (*wieżz.*) pręt.

**Bezogon** – (*wieżz.*) człowiek.

**Bimbać** – (*wieżz.*) żartować.

**Blat** – (*wieżz.*) zgoda.

**Boms** – (*wieżz.*) chleb.

**Brukowiec** – (*wieżz.*) chleb.

**Bujać się** – (*wieżz.*) iść.

**Bukat** – (*wieżz.*) strażnik.

**Burdel** – (*wieżz.*) więzienie.

**Burta** – (*wieżz.*) wszyscy więźniowie  
z jednej celi.

**Cejno** – (*wieżz.*) więzienie.

**Centaury** – (*przyr.*) pół ludzie, pół jed-  
norożce. Gatunek silnych, półdzikich  
stworzeń o jednej parze rąk i dwóch  
parach nóg zamieszkujący stepy na  
Sterburcie Imperium.

**Cerber** – (*przyr.*) piekielny pies o kilku  
głowach.

**Chapnąć** – (*wieżz.*) ukraść.

**Charakter** – (*wieżz.*) ważny więzień.

**Chekechea** – (*hur.*) huryskie młode.

**Cheleo** – (*hur.*) lęk przed wyższym  
w hierarchii.

**Cheza** – (*przyr.*) mesejska gra w piłkę.

**Chlejus** – (*wieżz.*) donosiciel.

**Chlew** – (*wieżz.*) cela.

**Chlipadło** – (*wieżz.*) język.

**Chmiej** – (*wieżz.*) więzień.

**Chomba** – (*hur.*) miska.

**Chropaty** – (*wieżz.*) brzydki.

**Ciurmak** – (*wieżz.*) strażnik.

- Czapla** – (*przyr.*) ptak brodzący.
- Czarny pegaz** – (*przyr.*) piekielny pegaz sięjący zarazę i niezgodę.
- Czarny unikorn** – (*przyr.*) piekielny jednorożec.
- Czkać** – (*wieżz.*) uciekać.
- Ćma** – (*wieżz.*) prostytutka.
- Daimerzy** – (*przyr.*) przedziwny gatunek człekopodobny, kryjący się za odległym pasmem gór na dziobowej Sterburcie. Znani ze zdolności psionicznych.
- Deinoterium** – (*przyr.*) gatunek dużego słonia o krótkiej trąbie i długich ciosach dolnych, będących cennym źródłem kości słoniowej.
- Dekować** – (*wieżz.*) ukrywać.
- Derby** – (*wieżz.*) spółkowanie zbiorowe.
- Dęba stawiać** – (*wieżz.*) uciec.
- Dołorób** – (*wieżz.*) więzień pracujący na dole.
- Dołowanie draniary** – (*wieżz.*) spółkowanie zbiorowe.
- Dotek** – (*wieżz.*) porcja.
- Drzazga** – (*wieżz.*) igła do tatuażu.
- Dudia** – (*hur.*) rytuał przejścia demona przez konsumpcję ciała.
- Duet** – (*wieżz.*) przyjaciel.
- Dygać** – (*wieżz.*) biegać.
- Dynia** – (*wieżz.*) głowa.
- Dywan** – (*wieżz.*) huria.
- Dźwięki** – (*wieżz.*) sala tortur.
- Elfy** – (*przyr.*) człekokształtny gatunek dzielący się na elfy leśne, wysokie i mroczne. Zamieszkują odpowiednio: lasy, równiny i góry na Sterburcie.
- Enty** – (*przyr.*) pradawni opiekunowie lasów, ludzko podobni do drzew.
- Enuici** – (*przyr.*) rasa ludzi zamieszkująca rufowe pustynie lodowe.
- Erabowie** – (*przyr.*) ludzie z Erabii Macierzystej i Archipelagu Erabskiego słynący z nauki i handlu.
- Fant** – (*wieżz.*) przedmiot.
- Farba** – (*wieżz.*) krew.
- Fartownik** – (*wieżz.*) szczęściarz.
- Fasunek** – (*wieżz.*) jedzenie.
- Ferajna** – (*wieżz.*) zżyta grupa.
- Figura** – (*wieżz.*) więzień funkcyjny.
- Fikać kantem** – (*wieżz.*) oszukiwać strażników.
- Filować** – (*wieżz.*) patrzeć, pilnować.
- Firanki** – (*wieżz.*) kraty.
- Frant** – (*wieżz.*) głupiec.
- Front** – (*wieżz.*) twarz.
- Fumy** – (*wieżz.*) bzdury.
- Futrować** – (*wieżz.*) jeść.
- Galag** – (*przyr.*) erabski kumys.
- Gańczyć** – (*wieżz.*) mówić.
- Gardłować** – (*wieżz.*) krzyczeć.
- Garować** – (*wieżz.*) spać.
- Gawniak** – (*wieżz.*) więzień.
- Gazela** – (*przyr.*) gatunek małych antylop.
- Geto** – (*wieżz.*) więzień, którym inni się wystługują.
- Gier** – (*wieżz.*) toaleta.
- Gips** – (*wieżz.*) zapach.
- Glazurować** – (*wieżz.*) obmyslać.
- Globster** – (*przyr.*) obślizgły, mackowaty, ale inteligentny potwór o głowie przypominającej ośmiornicę.
- Głazy** – (*wieżz.*) oczy.
- Gorgona** – (*przyr.*) piekielny iakk ziejący ogniem.
- Gospodarz** – (*wieżz.*) naczelnik.
- Gudoki** – (*przyr.*) półdziki gatunek dużych wiewiórek żyjący w koronach Wysokich Lasów w symbiozie z quidami.
- Hadhi** – (*hur.*) stary huria.
- Hak** – (*wieżz.*) kara śmierci.
- Hakować** – (*wieżz.*) ciężko pracować.
- Hekala** – (*hur.*) stara hurianka.
- Hidaya** – (*hur.*) dorosła hurianka.
- Holować** – (*wieżz.*) patrzeć.
- Hundun** – (*przyr.*) niedobitki sił Chaosu pozostałe po Wielkiej Wojnie na Sterburcie.

- Hur** – (*hur.*) młodociany huria.
- Hurgot** – (*wieżz.*) hałas.
- Hurie** – (*przyr.*) zob.: dodatek 1.
- Hurysa** – (*hur.*) młodociana hurianka.
- Ibis** – (*przyr.*) ptak brodzący.
- Igła** – (*wieżz.*) nóż.
- Jaszczur** – (*przyr.*) niegdyś gad strażniczy, obecnie dziki drapieżnik z grobowców i ruin.
- Jin-hani** – (*przyr.*) rasa ludzi zamieszkująca Sterburę.
- Jorgaj się** – (*wieżz.*) orientuj się.
- Kabaryna** – (*wieżz.*) karcer.
- Kadzienniaki** – (*wieżz.*) łachmany.
- Kafle** – (*wieżz.*) zęby.
- Kajfus** – (*wieżz.*) gorszy więzień.
- Kajzer** – (*wieżz.*) toaleta.
- Kapibara** – (*wieżz.*) duży gryzoń wodno-łądowy, żyjący w lasach deszczowych i na sawannach.
- Karakan** – (*wieżz.*) mały i niski więzień.
- Kazuar** – (*wieżz.*) ptak nielatający z lasów deszczowych.
- Khanga** – (*hur.*) huryjska szarfa na drobne rzeczy lub młode.
- Kikać** – (*wieżz.*) uważać.
- Kikimora** – (*przyr.*) jadowite monstrum z bagien.
- Kileo** – (*hur.*) huryjskie trupinium.
- Kindorzyć** – (*wieżz.*) spółkować.
- Kindybał** – (*wieżz.*) męski organ płciowy.
- Kinesa** – (*hur.*) wydalanie.
- Kinkażu** – (*wieżz.*) mały gatunek nadrzewnego szopa z lasów deszczowych.
- Kipisz** – (*wieżz.*) rewizja.
- Kitrać** – (*wieżz.*) chować.
- Kiwać** – (*wieżz.*) siedzieć w więzieniu.
- Klajniak** – (*wieżz.*) niedorośli więzień.
- Kłapa** – (*wieżz.*) koniec.
- Klektać** – (*wieżz.*) opowiadać.
- Kluczmajster** – (*wieżz.*) klucznik.
- Knajać** – (*wieżz.*) iść.
- Knopał** – (*wieżz.*) guzik.
- Kobzać** – (*wieżz.*) rzuć.
- Koja** – (*wieżz.*) prycza.
- Kojber** – (*wieżz.*) głowa.
- Koliba** – (*wieżz.*) łóżko, hamak.
- Komarunek** – (*wieżz.*) sen.
- Kopsunek** – (*wieżz.*) nielegalny towar.
- Koptować** – (*wieżz.*) dodawać.
- Koryto** – (*wieżz.*) porcja.
- Kosa** – (*wieżz.*) nóż.
- Kozia glazura** – (*wieżz.*) głupie gadanie.
- Krasnoludy** – (*przyr.*) gatunek człekokształtnych karłów znanych z górnictwa, metalurgii i inżynierii. Żyją w podziemnych miastach na dziobowej Bakburcie.
- Krempel** – (*wieżz.*) kręgosłup.
- Krepić** – (*wieżz.*) kraść, bić.
- Krionici** – (*przyr.*) gatunek człekopodobny, zamieszkujący daleką krainę lodowych jezior na dziobowej Sterburcie. Ich szkielety zbudowane są z kryształu, z niego też budują swoje miasta.
- Krtyka** – (*wieżz.*) gardło.
- Krucza Armia** – (*przyr.*) niedobitki sił Chaosu pozostałe po Wielkiej Wojnie na Bakburcie.
- Kufa** – (*wieżz.*) twarz.
- Kumać** – (*wieżz.*) rozumieć.
- Kwirus** – (*wieżz.*) wariat.
- Kwit** – (*wieżz.*) kara, nagana.
- Lecieć w kit** – (*wieżz.*) wierzyć.
- Lemur** – (*przyr.*) stadne zwierzę z sawanny i lasów deszczowych, żyjące w koronach drzew.
- Lew** – (*przyr.*) duży kot sawannowy. Samce grzywiate.
- Lichwa** – (*wieżz.*) wymiana, handel.
- Ligać** – (*wieżz.*) donosić.
- Lipować** – (*wieżz.*) obserwować.
- Loch** – (*wieżz.*) dziura, pomieszczenie mieszkalne strażników.
- Lot** – (*wieżz.*) okazja.
- Luft** – (*wieżz.*) przemycane przedmioty.
- Łabaj** – (*wieżz.*) lekarz.

- Łowki** – (*wież.*) zrzeczny.
- Mahiri** – (*hur.*) inicjacyjny rytuał przejścia w dorosłość.
- Maiti** – (*hur.*) rytuał pogrzebowy.
- Mańka** – (*wież.*) karcer.
- Marash** – (*hur.*) ogon.
- Mbaria** – (*hur.*) huryjskie stado.
- Mel** – (*wież.*) łom.
- Meseje** – (*przryr.*) rasa drobnych, ciemnoskórych ludzi zamieszkujących centralne lasy deszczowe.
- Mesejosi** – (*przryr.*) dziki gatunek pół ludzi, pół os, budujący gniazda w wysokich górach.
- Miotła** – (*wież.*) ogon.
- Młyn** – (*wież.*) więzienie.
- Młynarz** – (*wież.*) naczelnik.
- Mnara** – (*hur.*) huryjski stos pogrzebowy.
- Mocha** – (*wież.*) grupa.
- Mojra** – (*wież.*) strach.
- Mrongo** – (*hur.*) hurianka-przewodniczka.
- Naboja** – (*wież.*) wiele.
- Nałybać** – (*wież.*) ucieszyć się.
- Naszpagacić** – (*wież.*) nazbierać.
- Neh neh** – (*przryr.*) egzotyczny drapieznik kotowaty. Potrafi zmieniać kolor swojej sierści.
- Niebo** – (*wież.*) sufit.
- Niekumaty** – (*wież.*) głupi.
- Nieumność** – (*wież.*) głupota.
- Niuch** – (*wież.*) nos.
- Niziołki** – (*przryr.*) gatunek czelakosształtnych karłów, miłujących spokojny tryb rolniczego życia. Ich kraina w całości podlega pod Imperium Albińskie.
- Nuki** – (*hur.*) ślady zapachowe.
- Nukie** – (*hur.*) ślady zapachowe.
- Nygus** – (*wież.*) nieistotny więzień.
- Obcinać** – (*wież.*) patrzeć, dostrzegać.
- Obrączki** – (*wież.*) kajdany.
- Oczajny** – (*wież.*) równy.
- Oczewidno** – (*wież.*) oczywiście.
- Odholować** – (*wież.*) zabrać.
- Odkluczyć** – (*wież.*) otworzyć.
- Odknajać** – (*wież.*) odejść.
- Odpulić** – (*wież.*) podzielić.
- Ogór** – (*wież.*) stary więzień.
- Ogrini** – (*przryr.*) jacy ogrini są, każdy widzi. To gatunek człekopodobnych jaszczurek dobrze znoszących niewolniczą pracę. Mają łuski i ogony. Wykluwają się z jaj.
- Oklepać** – (*wież.*) pobić.
- Omloty** – (*wież.*) dotkliwa kara cielesna.
- Onkianie** – (*przryr.*) cętkowana rasa hurii (większych).
- Orki** – (*przryr.*) półdziki gatunek nieokrzęsanych człekopodobnych znanych ze swej agresji i waleczności. Łatwe do poznania po muskularnych ciałach, zielonkawej skórze i wystających kłach. Zamieszkują Bakburtę.
- Pantera mglista** – (*przryr.*) mały kot z lasów deszczowych.
- Papuga** – (*wież.*) strażnik, konwojent.
- Pardianie** – (*przryr.*) cętkowana rasa hurii (mniejszych).
- Pastuch** – (*wież.*) strażnik.
- Pasztet** – (*wież.*) piach.
- Patrzały** – (*wież.*) oczy.
- Pędzłowany** – (*wież.*) sprzedajny.
- Pienić się** – (*wież.*) denerwować się.
- Pies** – (*wież.*) strażnik.
- Pióra** – (*wież.*) pazury.
- Plomba** – (*wież.*) odmowa.
- Pniaki** – (*wież.*) kły.
- Podpulać** – (*wież.*) podważać.
- Pokład** – (*wież.*) posadzka na poziomie cel.
- Pokutnik** – (*wież.*) dozorca.
- Poruta** – (*wież.*) fiasko.
- Pragnojka od arbajtu** – (*wież.*) zwolnienie z pracy.
- Prawilnie** – (*wież.*) naprawdę.

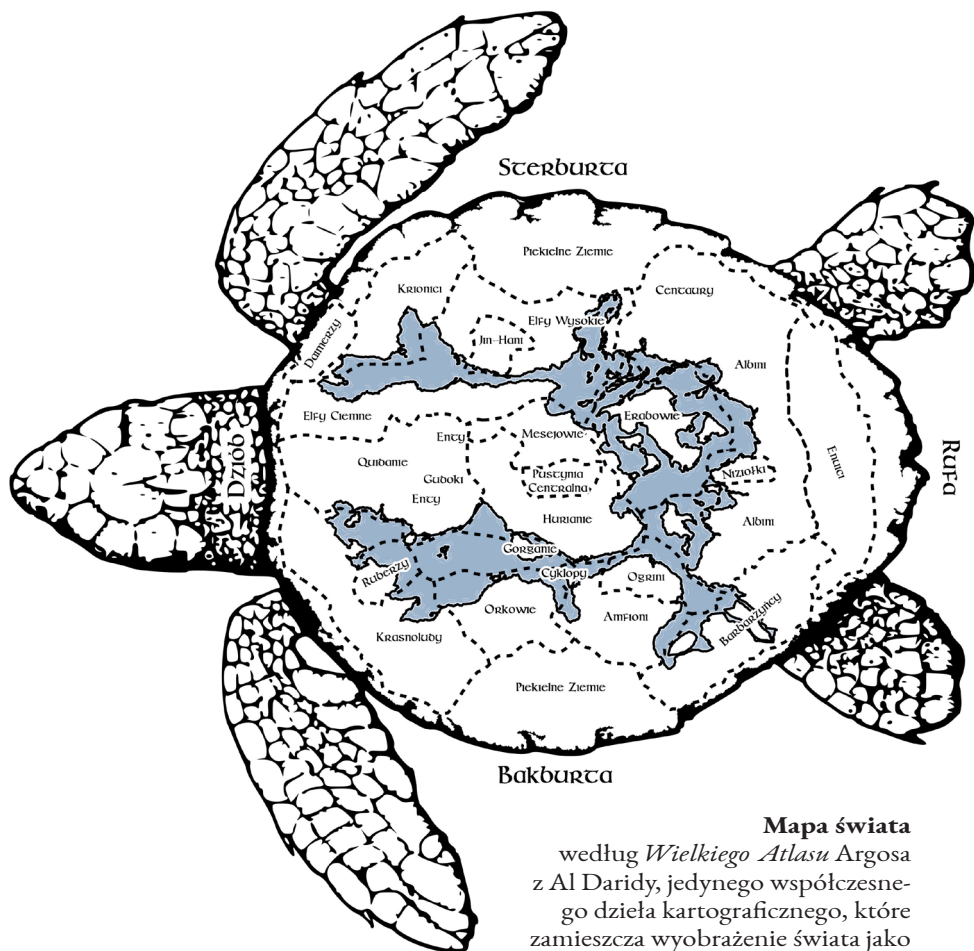


- Przeraza** – (*przyr.*) potwór pustynny o krabich nogach i paszczy po stronie brzusznej.
- Przestrzelić** – (*wież.*) zdegradować.
- Przybić** – (*wież.*) chwycić.
- Przybit** – (*wież.*) uchwyt
- Przycinać** – (*wież.*) zasłaniać.
- Przyszyć komuś brodę** – (*wież.*) wykręcić komuś szwindel.
- Psul** – (*wież.*) męski organ płciowy.
- Pterodrak** – (*przyr.*) gad skrzydlaty podobny do smoka. Oswojony przez daimarów i wykorzystywany jako wierzchowiec.
- Puchowiec** – (*przyr.*) wysokie drzewo z lasu deszczowego.
- Pukiel** – (*wież.*) worek.
- Pyrgnać** – (*wież.*) popchnąć.
- Quidanie** – (*przyr.*) półdziki gatunek żyjący stadnie w koronach drzew Wysokich Lasów. Odławiany na potrzeby niewolnictwa.
- Rais** – (*hur.*) wódz.
- Rakarz** – (*wież.*) lekarz.
- Rakietka z szamunkiem** – (*wież.*) dodatkowa porcja w ramach nagrody.
- Rapcie** – (*wież.*) uszy.
- Rozdziargać** – (*wież.*) rozszarpać, rozkładać.
- Rozkluczyć** – (*wież.*) otworzyć, zrozumieć.
- Rozpruć się** – (*wież.*) wydać współwzięniów.
- Ruberzy** – (*przyr.*) czerwonoskóra rasa ludzi zamieszkująca równiny na dzibowej Bakburcie.
- Ruszenie** – (*wież.*) bitwa.
- Ryba** – (*wież.*) kłamstwo.
- Rzezać** – (*wież.*) ciąć.
- Rzeżucha** – (*wież.*) starucha.
- Sajdka** – (*wież.*) kromka.
- Salamandra** – (*przyr.*) węzowy stwór rogaty zrodzony z ognia. Ucywilizowane bywają zatrudniane w kuźniach.
- Samara** – (*hur.*) tatuaż ozdobny.
- Sfelać** – (*wież.*) odejść.
- Sharabu** – (*hur.*) huryjaska nalewka na ziołach.
- Sharabu** – (*hur.*) huryjski.
- Sierściuch** – (*wież.*) huria.
- Sila** – (*przyr.*) złośliwy demon pustynny w ciele wielbłąda o ludzkiej twarzy.
- Sill** – (*przyr.*) ryba morska.
- Skasować** – (*wież.*) złożyć.
- Skłuczyć** – (*wież.*) otworzyć.
- Skokobryk** – (*wież.*) dzieciak.
- Słomiak** – (*wież.*) kosz.
- Słoń** – (*przyr.*) duże, gruboskórne zwierzę oddychające przez długą trąbę. Źródło cennej kości słoniowej.
- Słuszać komuś** – (*wież.*) być komuś posłusznym.
- Smar** – (*wież.*) bójka.
- Smarownia** – (*wież.*) jadalnia.
- Smarunek** – (*wież.*) jedzenie.
- Smok** – (*przyr.*) mityczny stwór latający.
- Smok książkowy** – (*przyr.*) szkodnik biblioteczny. Latający. Tępic książkami o kartach nasączanych trucizną (najlepiej cykutą na wywarze z konwalii, można dodać odrobinę rtęci). Stronić od zbędnego wietrzenia księgozbioru. Dorosłe samice przedostają się przez otwarte okna i składają jaja w opuszczonych częściach biblioteki. W przypadkach skrajnych montować kraty.
- Smuga** – (*wież.*) nieudana praca.
- Spellianie** – (*przyr.*) najdziksza rasa hurii.
- Stary** – (*wież.*) naczelnik.
- Stemp** – (*wież.*) uwaga!
- Stery** – (*wież.*) wibrysy, huryjskie wąsy.
- Suteryna** – (*wież.*) dno kotła.
- Swannah** – (*przyr.*) dzika kraina centralna porośnięta lasami deszczowymi i sawanną, zamieszkała m.in. przez hurie
- Syrenidzi** – (*przyr.*) podwodna cywilizacja zamieszkująca i hodująca rafa koralowe.

- Szajata** – (*wieżz.*) matka.  
**Szajba** – (*wieżz.*) wojsko.  
**Szamać** – (*wieżz.*) łapczywie jeść.  
**Szamot** – (*wieżz.*) pysk.  
**Szamunek** – (*wieżz.*) jedzenie.  
**Szczotka** – (*wieżz.*) huria.  
**Szczyluch** – (*wieżz.*) dzieciak.  
**Szkita** – (*wieżz.*) ogon.  
**Szłoić** – (*wieżz.*) spółkować.  
**Szłom** – (*wieżz.*) hełm.  
**Sznyty** – (*wieżz.*) blizny.  
**Szpagat** – (*wieżz.*) strażnik od rachunków.  
**Szparga** – (*wieżz.*) zysk.  
**Szpula** – (*wieżz.*) opowieść.  
**Szufir** – (*wieżz.*) hałas.  
**Szwyrgnać** – (*wieżz.*) rzucić.  
**Śmietnik** – (*wieżz.*) żołądek.  
**Śmignąć się na szkacinę** – (*wieżz.*) przystąpić do rytuału Mahiri.  
**Teges szages** – (*wieżz.*) naprawdę.  
**Tigrianie** – (*przryr.*) pręgowana rasa hurii.  
**Tojad** – (*przryr.*) trujące zioło.  
**Torf** – (*wieżz.*) czerń.  
**Trefne** – (*wieżz.*) oszukane.  
**Troidło** – (*wieżz.*) jedzenie.  
**Trojden** – (*przryr.*) pasożyt, żerujący na wszystkich rozumnych gatunkach. Kradnie wspomnienia i doświadczenia, a nawet przejmując kontrolę nad swym żywicielem.  
**Trona** – (*wieżz.*) noc.  
**Trybić** – (*wieżz.*) działać.  
**Twyrasy** – (*wieżz.*) kraty.  
**Tyrka** – (*wieżz.*) praca.  
**Ubój** – (*wieżz.*) mięso.  
**Ucho** – (*wieżz.*) donosiciel.  
**Uczepić** – (*wieżz.*) zabrać.  
**Udobny** – (*wieżz.*) wygodny.  
**Uhai** – (*hur.*) inicjacyjny rytuał przejścia w okres młodości.  
**Uhuru** – (*przryr.*) duży drapieznik podobny z sylwetki do szczura lub kota.
- Poluje za pomocą zmysłów, wykrywających pole magiczne.  
**Ukazy** – (*wieżz.*) prawa, tradycje, obyczaje.  
**Uki** – (*hur.*) żeńskie organy płciowe.  
**Ułybać** – (*wieżz.*) cieszyć.  
**Ułybny** – (*wieżz.*) śmieszny.  
**Umy** – (*hur.*) męskie organy płciowe.  
**Ustawić** – (*wieżz.*) umówić.  
**Utruffić** – (*wieżz.*) ubrudzić  
**Wacha** – (*wieżz.*) woda.  
**Wicować** – (*wieżz.*) dostać.  
**Wielbłąd** – (*przryr.*) pustynne zwierzę juczne.  
**Wodolejca** – (*wieżz.*) kłamca.  
**Wtłuki** – (*wieżz.*) kara cielesna.  
**Wupa** – (*wieżz.*) więzienie.  
**Wydębić** – (*wieżz.*) uciec.  
**Wydyganiec** – (*wieżz.*) lękliwy, słaby więzień.  
**Wykuwać** – (*wieżz.*) tatuować.  
**Wyrwać chwasta** – (*wieżz.*) zamordować strażnika.  
**Wyuchać** – (*wieżz.*) usłyszeć.  
**Wzór** – (*hur.*) tatuaż funkcyjny.  
**Yczeń** – (*wieżz.*) drzeć się.  
**Z bomby** – (*wieżz.*) szybko.  
**Z uma szedłszy** – (*wieżz.*) o wariacie.  
**Zajgler** – (*wieżz.*) mechanizm.  
**Zastawka** – (*wieżz.*) zakład.  
**Zebra** – (*przryr.*) zwierzę kopytne w paski.  
**Zeks** – (*wieżz.*) uwaga!  
**Ziwy** – (*hur.*) gruczoły mlekowe.  
**Zrajbować** – (*wieżz.*) znaleźć, ukraść.  
**Zrazić** – (*wieżz.*) stanąć do walki.  
**Żenić** – (*wieżz.*) wydać.  
**Żółw gigantyczny** – (*przryr.*) olbrzymi gatunek żółwia morskiego, pływająca wyspa. Używany do przewozu towarów, pasażerów lub wojska.  
**Żyrafa** – (*przryr.*) gatunek dużej lamy o przerośniętej szyi.

## Dodatek 3

### Mapy



**Mapa świata**  
według *Wielkiego Atlasu* Argosa  
z Al Daridy, jedyne­go współczes­  
nego dzieła kartograficznego, które  
zamieszcza wyobrażenie świata jako  
skorupy wielkiego żółwia.

TERAHANDEAR





M A P Y



**Imperium Albińskie, na Bakburtę od Thurimheim.**  
Przypuszczalne położenie Młyna zaznaczono znakiem „X”



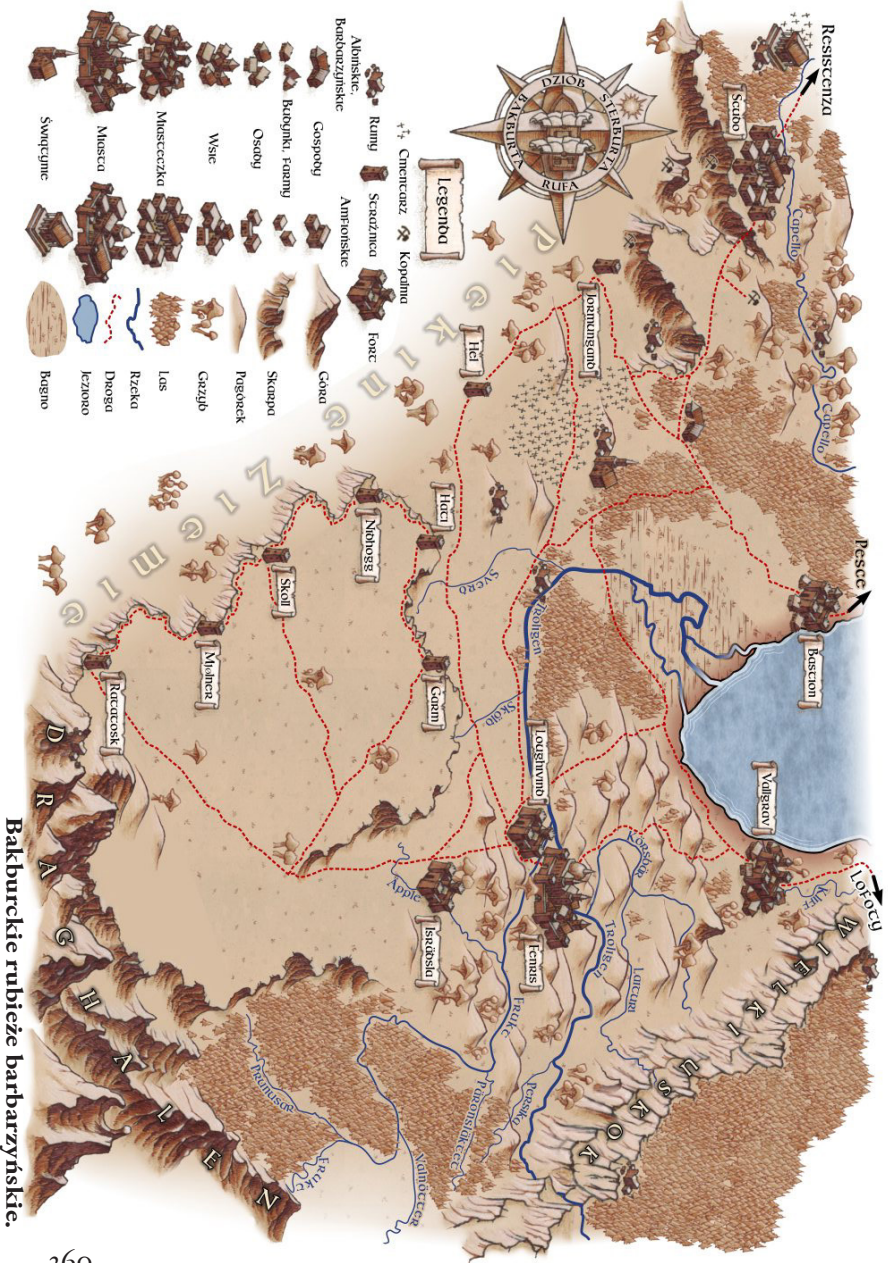


Imperium Albińskie, Bakburta.



Amfia, rufowe wybrzeże; Pii.





Bakburkie rubieże barbarzyńskie.